JÓZEF IGNACY

KRASZEWSKI

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WYDAWNICTWO
MARCTA
W WARSZAWIE

J. I. KRASZEWSKI

JASZKO ORFAN

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

BIBLJOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

JASZKO ORFAN

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE

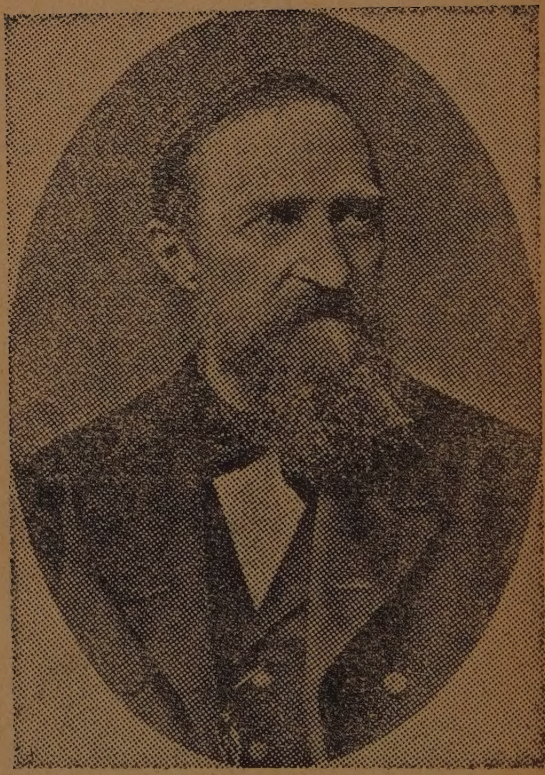

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. † 1887 r

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXXV

J. I. KRASZEWSKI

JASZKA ORFANEM

ZWANEGO

ŻYWOTA I SPRAW PAMIĘTNIK

(JAGIELLONOWIE DO ZYGMUNTA)

CZĘŚĆ I

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225.

W imię Trójcy Przenajświętszej. Amen.

Przyrodzone jest każdemu człowiekowi, złego i dobrego w tem życiu zażywając, a na lepsze pracując — pożądać, aby po nim pomiędzy ludźmi pamięć na ziemi została. Przeto się kładną grobowe kamienie i piszą księgi, z których każda niczem innem nie jest, ino człowiekiem, a że człowiek z wieku swego wyszedł, jak kurczę z jaja, więc zarazem księga jest i czasem, o którym daje świadectwo.

Ja też, maluczkie stworzenie, słabości tej czy praw ulegając, z żywota mojego długiego, wielu przygodami niepośledniemi odznaczonego, sprawę zdać pragnę, jakom na ten mizerny świat przyszedł i jak z pomocą a za miłosierdziem Bożem, acz nie bez grzechu i błędów, po nim szedłem ku temu kresowi, który pewnie już dziś jest bliskim.

Małym ci i nieznaczącym byłem i jestem, a żywot mój do wielu innych podobien, alem to szczęście miał, żem się ocierał o wielkich i znaczących, na nich prawie nieustannie patrzałem — znajdzie się więc o czem pisać, nie o samym sobie.

Niemały też przeciąg dał mi Pan Bóg przeżyć na tym padole, gdzie, jak na pobojowisku, codzień niemal widziałem obok mnie padających, codzień sam paść się spodziewałem i cudem prawie doszedłem późnej starości.

Ilu ich było, mój Boże, co mieli i sił nade mnie więcej i prawa do życia, a w kwiecie lat kosą podcięci

padli, gdy ja, jako łopuch i pokrzywa pod płotem stojąca, ocalałem!...

Aby świat ten zrozumieć, chyba nie z niego patrzeć potrzeba na sprawy ludzkie i losy — przecież wierzyć musimy, iż to, co się dzieje, sprawiedliwem i dobrem być musi. Nim więc pisać rozpocznę, — naprzód przyznać muszę uroczyście, że jako za życia fałszem ust moich nie zmazałem nigdy, tak i kart tych nim nie zbruczę, pisząc prawdę czystą, choćby się do niej przyznać wstyd było. Nie będę fałecznie przodków sobie wymyślał żadnych, ilem wiedział, tyle wyznam, a nie wszystko w życiu własnem było dla mnie jasnem. Takie było już przeznaczenie moje.

Od tego więc poczynać muszę, ani się sromam wyznać, że ani roku urodzenia mojego, ani rodziców moich nie znam. Wina w tem nie moja, żem na ten świat przyszedł pono jako gość nieproszony. To tylko zaznaczyć mogę, iż żywot rozpocząłem w tych leciech, gdy wielkim księciem był Kazimierz, Jagiełłowy syn wtóry, za panowania w Polsce Władysława, który zginął — nieodżałowane panię — pod Warną, walcząc z pogany.

Z dzieciństwa mojego mało co mi się w pamięci zostało, a to, co sobie przypomnieć mogę, dlatego się może w umysł młody wraziło, że te pierwsze lata życia nie płynęły mi jednostajnie, a było już w nich dla dziecka wiele zagadek i niespodzianek.

Kobieta uboga, prosta mieszczanka, której imię było Sonka, a po mężu ją Gajdysową mianowano, opowiadała się matką moją, chociaż, jak się potem okazało, nią nie była. Mąż jej, Gajdys, miał zajęcie na zamku około stajen książęcych, był nad niemi starszym dozorcą, przyczem i młodsze źrebce ujeżdżał. Człek był dobroduszny, jako to najczęściej bywają siłacze i olbrzymy, którym Pan Bóg daje krew zimną, gdy małym i słabym kipi ona w żyłach. Mówił mało, śmiał się rzadko, jadł dużo, pił chętnie.

Mieszkali Gajdysowie we dworze pod zamkiem dolnym u furty, od której dozorca klucz miał, tak że z ra-

na wstawszy, mógł zaraz do stajen przejść, od których nawet rżenie koni po nocach nieraz słychać było. Domostwo, choć drewniane, wygodne było i zaciszne, a że Gajdys żołd miał dobry, przyczem zboże, sukno, płótno i skóry mu ze skarbu co rok wydzielano, a podarki trafiały się często, działo się im więc dobrze.

Krom mnie, mieli Gajdysowie tylko o parę lat starszą córeczkę, Marychnę. Jam też zwał się ich własnem dzieckiem, a nie mogę powiedzieć, tylko, że Sonka tak się ze mną obchodziła, takie dla mnie miała serce, jakbym w istocie był jej synem. Później się to dopiero okazało, że Gajdysowie przez miłosierdzie mnie wzięli i jak dziecko własne hodowali, bo snać rodzice moi przyznać się do mnie czy nie mogli, czy nie chcieli. Nie będę ich sądził, ani im tego wyrzucał.

Wychowywałem się więc zprosta, nie nawykając do pieszczot i wykwintów żadnych, na chlebie razowym, mleku i kluskach, ani też do zbytku od chłodu i słoty strzeżony, za co Panu Bogu dziękuję, bo później niejeden mi trud, niewygodę, niedostatek łatwiej było znosić, zawczasu się obywszy z niemi.

Ale niezawsze jednakowo bywało. Powszednich dni Gajdysowie tak się ze mną, jak z Marychną obchodzili, a niekiedy zjawiały się dla mnie jakby świąteczne i słoneczne doby. Nadchodziły one niespodzianie, gdy w różnych porach we dworku się zjawiała nagle kobieta młoda, cała szatami otulona, z twarzą osłoniętą, którą, gdy odkryła, ukazywało się oblicze dziwnej piękności i blasku. Naówczas do chaty jakby z nią razem wpadał promień słoneczny.

Gajdysowa, ledwie rękę jej pocałowawszy, śpieszyła zaraz drzwi na skobel zasunąć, i choćby kto się dobijał, to go już nie wpuszczano.

Przybyła pani rzucała się na mnie, porywała, sadzała na kolanach, okrywała pocałunkami, przyciskała do piersi, śmiała się razem i płakała.

Nawykły tak byłem do tego, iż mi przynosiła słodycze, zabawki dziecięce, przyodziewek różny, wygodny, a nie bijący w oczy, żem za nią tęsknił, a gdy od-

chodzić miała, trudno mnie od niej było oderwać. Nieraz sam nie wiem, jak się to działo, ale pieszczotami jej utulony, objąwszy ją za szyję, na kolanach jej usypiałem, a słodszego snu w życiu nad ten nie było dla mnie.

Niekiedy wiele czasu upływało, a widać jej nie było, to znowu przez kilka dni zkolei wracała ciągle i przesiadywała dłużej; nie można było odgadnąć, ani kiedy się ona zjawi, ani na jak długo. Wpadała czasem, jak po ogień, a ledwiem miał czas objąć ją i przytulić — uchodzić musiała.

Gajdysowa i mąż jej oboje byli dla niej z wielkiem poszanowaniem, ona też im łaskawą i wielce dobroczynną. Nie odchodziła nigdy prawie, coś dla nich, dla Marychny i dla mnie nie zostawiwszy.

Gdym mówić począł, nieznajoma pani kazała mi zwać siebie matką; Gajdysową też tak mianowałem i miałem ich naówczas dwie, a Bóg widzi nie wydawało mi się, aby było nadto.

Ta matka, którą rzadziej widywałem, psuła mnie i pieściła, gdy Gajdysowa, surowszą daleko będąc, naprawiała, co tamta zepsowała. Prostej kobiecie serce rozumu dodawało. Znała ona to dobrze, iż losy moje przyszłe niepewne były, więc zmiękнąć mi nie dopuszczała. Owszem, umyślnie na chłód i na słotę, do roboty mnie pędzała, ciągle to powtarzając, że Bóg jeden wie, co mnie czeka. Więc jak skorom chodzić począł, razem ze starszą Marychną boso musiałem w podołku z podwórka trzaski obmokłe przynosić, drób zapędzać, małe posługi w domu spełniać, więcej dlatego, abym się nazwyczajał do wszystkiego, niżby gwałtowna była potrzeba.

Dla starszej córki swej Sonka bywała często surową, nieraz się jej kuksaniec dostał, mnie też bywało połaje, popchnie czasem, gdym szedł leniwo, ale nie uderzyła nigdy. Jeżelibym co zbroił, a przewinił srogo, wówczas brzozowy winnik, jakich do łaźni używano, z za pieca dobywała i nim mi groziła, ale na plecach moich nigdy on nie postał.

Sam Gajdys w domu siadywał mało; jam też z nim niewiele miał do czynienia, ale i on dobrym dla mnie był, a zdala mi się uśmiechał. Wychodził z domu zwykle o świcie, potem jeść powracał dwa razy we dnie, a wieczorem bywało i tak, że napity przyszedł. Wówczas już prosto się kładł i zasypiał.

Pani ta, która mi się matką nazywać kazała, dopókim młodszym był, przychodziła częściej, a potem coraz rzadziej... Wówczas niekiedy długo na osobności rozmawiała z Gajdysową, płakiwała, trzymając mnie na kolanach, tak, że ciepłe jej łzy dobrze po dziś dzień na twarzy mojej pamiętam.

Pamiętam i to, com naówczas ledwie mógł zrozumieć, że ciągle do ucha jedno mi powtarzała:

— Nie zapomnisz ty o mnie? Nie zapomnisz?

Tak razu jednego przybywszy poruszona, smutna, blada, płacząc, powiesiła mi na szyi, na mocnym sznurku krzyżyk błyszczący, nalegając a przykazując mocno, abym go nigdy a nigdy nie zrzucał i nie stracił.

Do dziś też dnia ostał się on cudem na piersiach moich.

Długi potem czas nie widziałem jej wcale, a gdym się o nią tęsknie dopytywał, Sonka mi odpowiadała, że odjechała daleko i nikt nie wie, kiedy znowu przybyć będzie mogła.

Rosłem tak dziko jak one pokrzywy i łopuchy pod płotem i pospolita dziatwa wiejska i miejska, zabawiając się z rówieśnikami, ich językiem mówiąc i obyczaje przyjmując.

Kilka lat tak upłynęło. Pani owa, o której dobrze pamiętałem i dopytywałem o nią, bardzo rzadko i na krótko pokazywała się u Gajdysów. Nie zapominała jednak o mnie, bo Sonka, dając mi z odzieży, obuwia coś nowego, powiadała, że to wszystko miałem z jej łaski.

Jednego dnia Sonka stara, która cały dzień chodziła posępna, mrucząc sama do siebie i wzdychając, jak miała we zwyczaju, gdy jej co dolegało, siadłszy wieczorem na ławie przy piecu, do siebie mi przyjść ka-

zała. Pogłaskała mnie i pocałowała, bo miała macierzyńskie dla mnie serce, i zaczęła coś mówić, czego z początku zrozumieć nie mogłem, zapowiadając mi, że wkońcu trzeba będzie mi gdzie indziej jechać i Gajdysów opuścić.

Rozpłakałem się mocno, wołając, że nie chcę i nie dam się stąd wziąć nikomu. Stara mnie uściskała i uspokoiła, więcej już nie chcąc mówić nic... Utkwiła mi groźba ta w pamięci i strach ogarnął, ale przeszedł wkrótce, gdy potem nie zmieniło się nic i przez czas dosyć długi mowy o tem nie było.

Naraz jednego dnia Sonka, nic mi już nie powiadając, zabrała się do mycia i czesania od rana, przyodziała mnie, jak na święto, choć dzień był powszedni, i na zapytanie, co to znaczyć miało, oznajmiła, że z Gajdysem mi pozwoli pójść patrzeć jak Kazimierz, który już królem był, ale oni go tu zawsze wielkim księciem nazywali, do Trok na łowy jechać będzie.

Nauczyła mnie, ażebym, gdy nade drogą, którą ma przejeżdżać staniemy — jak tylko ujrzę orszak pański, zaraz czapkę zdjął, a gdy się zbliży, głową do ziemi przypadł pokłonem.

Ciekawy byłem, jak każde dziecko, więc gdy potem Gajdys mnie za rękę wziął prowadzić, choć się trochę obawiałem, szedłem rad zobaczyć tego wielkiego księcia, którego tylko zdaleka widywałem, bo my dzieci uciekaliśmy i kryliśmy się przed obcymi... Powiadano nam, że przed nimi przodem jadą ludzie z biczyskami, którzy gawiedź i dzieci precz smagają.

Dnia tego, choć stary jestem i mógłby mi był wyjść z pamięci, nie zapomniałem dotąd, a stoi on tak żywo przed oczyma mojemi, jakbym go wczoraj oglądał... Staliśmy nade drogą u zamkowej bramy, a było nas ludu dosyć. Gajdys przecie tak siebie i mnie umieścił, ciągle za rękę trzymając, żeśmy w pierwszym rzędzie byli.

Przez otwarte wrota w podwórzu zamkowem widać było dwór pański, który się szykował; jedni ze psy, dru-

dzy z sokołami, z oszczepami, dzidami, panowie konno, wozy pod zwierzynę za nimi.

Mogłem nawet rozróżnić łatwo Polaków od naszych Litwinów po odzieży i kołpakach, bo Polacy strojniejsi byli i śmielsi, niż nasi. Kilkoro paniąt, co na króla czekali, tak bezmała wyglądali, jakby też książętami byli albo królewiczami. Choć się to na łowy wybierało, ale stroje mieli błyszczące od złota i srebra, a szable, kołczany i łuki lśniące całe.

Po tłumie jakby drżenie poszło. Tsyt! tsyt! — stawali wszyscy, cisnąc się naprzód, odkrywały się głowy, orszak z zamku wyruszać począł.

Szła naprzód czeladź ze psy i sokołami, z sieciami, z różnym rynsztunkiem, psiarze, łowczowie, dwór, a dopiero za nimi ukazali się panowie. Przodem jechał król, koło którego tuż u boku postępowało jakieś książątko, tak konia wstrzymując, aby królewski przodem szedł zawsze. Siedział na koniu gniadym, pokrytym suknem zielonem ze złotem, w sobolowem futerku, bo jesień była, w kołpaczku też z kun, czy z sobola, z mieczem u boku, a drugim u kolana, twarz rumiana, ciemna i jakby opalona, z żywemi oczyma czarnemi śmiała się wesoło, bo wiadomem było, że tak, jak ojciec, łowy lubił, a nie miał dnia szczęśliwszego, jak gdy ruszył w lasy ze psy na myślistwo. Długi, ciemny włos spadał mu na ramiona, a postawę miał pańską taką, że nie potrzeba było palcem nań ukazywać, iż on tu panem. Każdy w nim poczuł króla.

Śmiała mu się twarz, gdy coś rozpowiadał jadącemu tuż przy sobie książęciu, ale pomimo to coś w niej było surowego i poważnego i trwogę obudzało. I tegom później zawsze doświadczał, często się zbliżając do Kazimierza, iż choć dobrym, szczodrym, łaskawym się okazywał, majestat jakiś otaczał go zawsze, a groza i smutek z oczów jego patrzały.

Czapczynę moją zawczasu z głowy zdjąwszy, przypadłem głową też do ziemi, już na zbliżających się patrzeć nie śmiejąc, aż Gajdys mnie podniósł i kazał prosto stać, a śmiałym być.

Gdy oczy podniosłem ku Kazimierzowi, postrzegłem, że on w Gajdysa począł się wpatrywać i jakby czegoś przy nim szukać oczyma, aż jego oczy we mnie pilno wlepione zobaczyłem i uląkłem się tak, że mi się na płacz zbierać zaczęło i, gdyby mnie Gajdys za rękę nie trzymał, uszedłbym pewnie.

W tej chwili właśnie król zwolna podjechał tuż ku nam, przystanął nieco i odezwał się do tego, którego ojcem nazywałem:

— Gajdys, syn to twój?

Z pokłonem niskim potwierdził to dozorca stajenny, król w milczeniu długiem przypatrywał mi się, twarz mu spoważniała, nie rzekł już nic, koniowi ostrogę dał i ruszyli dalej.

Lżej odetchnąłem dopiero, gdy się oddalili, a Gajdys, krótko coś pomówiwszy z tymi, co go otaczali, do domu mnie poprowadził.

Zaledwieśmy tu przyszli, gdzie Sonka oczekiwała na nas niespokojna już w progu i Gajdysowie coś z sobą pocichu szeptać poczęli. Ja zaś ośmielony a dumą przejęty, żem tak blisko króla był, począłem Marychnie opisywać orszak i panów, i wszystko, com tam oglądał.

Tegoż dnia wieczorem Gajdys na zamek poszedł i dosyć tam długo zabawił, a gdy wrócił, pocichu się naradzali z żoną.

Nazajutrz Sonka się znowu wzięła do umywania i czesania, a gdym zapytał, czy z ojcem gdzie pójdziemy — odpowiedziała, pomyślawszy:

— Czas się tobie uczyć; ojciec cię zaprowadzi do wikarego, co przy kościele zamkowym mieszka, ten ci nauczycielem będzie.

Struchlałem, słuchając, bo nie mogłem pojąć, do czego mi jaka nauka służyć miała i co to znaczyć mogło. Uczułem też, że to groziło utratą tej swobody, której dotąd używałem i zacząłem płakać.

Nauka stawała mi w myśli z rózgą razem. Nie wiem już, jak Gajdys mnie zaciągnął na kanonję i za łzami w początku nie widziałem nic, głos tylko nad sobą usłyszawszy w izbie sklepionej, do której weszliśmy.

Napróżno opierałem się, kryjąc poza Gajdysem, popchnięto mnie naprzód gwałtem; dwie duże, suche, kościste ręce pochwyciły i schylona tuż siwa głowa zaczęła głosem łagodnym uspokajać mnie razem i śmiać się.

Niewielem rozumiał, co do mnie mówił nauczyciel ów przyszły; lecz po chwili trochę ochłonąwszy, ciekawość mnie wzięła przypatrzeć się temu nowemu panu, któremu mnie na pastwę dać miano. Siedział przede mną człek stary, wzrostu słusznego, kościstej budowy, chudy, z głową i twarzą pociągłą, w sukni długiej czarnej i przypatrywał mi się, rękami coś ukazując, szepcąc coś niezrozumiałego, ale łagodnie i uspokajająco brzmiącego.

To wiem, że ze mnie dnia tego słowa dobyć nie mógł, choć i po głowie głaskał i po ramionach klepał. Dał mi więc pokój, do Gajdysa mówić coś zaczął, z drugiej izby chłopaka wywołał trochę starszego nade mnie i razem z nim odpuścił mnie do domu, zapowiadając, iż nauka pocznie się rano nazajutrz.

Otóż w jaki sposób naukę moją rozpocząłem u wikarego, który po kilku dniach całkiem mnie do siebie ośmielił i dzikość moją ugłaskał. Niech Bóg miłościw będzie duszy jego, wielem mu ja winien i modlę się codziennie za niego. Na nauczyciela dziatek stworzony był ks. Łukis, bo ukochał je, a cierpliwości był świętej i można powiedzieć nadludzkiej. Z uśmiechem dobrotliwym na ustach pokonywał krnąbrności nasze, lenistwo i ociężałość umysłu nieznużoną swą łagodnością a wytrwałością niesłychaną.

Ze mną stało się to, czego pewnie ani on się nie spodziewał, ani ja sam po sobie. W początku do tej nauki jakiejś najmniejszej nie miałem ochoty, wstręt i obrzydliwość; postanawiałem opierać się tak jak koń, który ujeździć się nie daje, bo wie, że potem na sobie ciężar dźwigać będzie musiał. Tymczasem nagle obudziło się coś we mnie: ciekawość, ochota, pragnienie i z dnia na dzień zupełniem się odmienił. Co to było i jaka mnie tknęła dusza Boża — nie wiem.

Od tej chwili nauka poczęła mi iść z taką łatwością, jakgdybym tylko przypomniał sobie to, co umiałem dawno i zabyłem... Zdumiewał się ks. Łukis i cieszył niezmiernie, całując mnie w głowę, a nad miarę chwaląc. Niedawno ostatni, wyprzedziłem innych uczniów, i taka mnie brała gorąca żądza jakaś wszystko umieć, widzieć jak najwięcej, żem i zabaw wszelkich i pustot się wyrzekł dziecięcych.

W drugim roku potem ks. Łukis począł przebąkiwać, że mnie do innej szkoły dać potrzeba, ale rok cały potem zostałem jeszcze przy nim.

Życie moje całkiem się przez tę naukę zmieniło i w domu inaczej się ze mną obchodzono, patrzano na mnie inaczej. Sonka była smutna, Gajdys milczący, z Marychną na dawne zabawy czasu wcale nie miałem. Powoli się oswajając z tą myślą, że mi gdzieś indziej jechać przyjdzie, gotowałem się do podróży. Ks. Łukis mówił mi o Krakowie, jam też teraz obawy nie miał, ale ciekawość i pragnienie wielkie. Żal mi było Gajdysów i Wilna, bom się do moich przybranych rodziców przywiązał, ale obiecywałem im i sobie, że w Krakowie się wyuczywszy, powrócę nazad.

Od lat kilku opiekunki tej nieznajomej, która mi krzyżyk na piersi zawiesiła, już nie widywałem. Mówiła Gajdysowa, że odjechała daleko. Od czasu do czasu tylko przychodziły od niej podarki i pozdrowienia, a gdym pytał, czy ją kiedy widzieć będę, stara Sonka, głową pokręcając, odpowiadała wątpliwie:

— Bóg to wie, moje dziecko.

Trzeciego roku nauki mej u ks. Łukisa nadjechali jacyć panowie na zamek z Krakowa, dla narady z wojewodą i ks. Łukis, ściskając mnie, oznajmił, że zapowiedział, że zapewne ja z nimi do Krakowa się teraz dostanę, iż takie były rozkazy.

Ale czyje one były, kto je dawał, kto się mną opiekował, nie mówiono mi. W chacie Gajdysów poczęły się smutne przygotowania do tej mojej wyprawy w świat. Oboje oni, nawykłszy do mnie, rozstawali się

ze mną z boleścią, chociaż przyrzekłem im, że do nich powrócę.

Ja sam nie wiem, czy więcej bolałem nad tem, że ich i Wilno opuszczę, czym goręcej pragnął do Krakowa się dostać. Młody umysł każda nowość zaprząta, a mnie więcej jeszcze chciwość tej nauki, o której ks. Łukis powiadał zawsze, że jest studnią niezgłębioną, ciągnęła urokiem wielkim.

Gajdysowa długo bardzo milczeniem mnie zbywała, gdym dopytywał o tę panią, która mi się matką naprzód nazywać kazała, a potem nagle opuściła, i o tych, co się mną opiekowali teraz, i to, do czego mnie w przyszłości przeznaczano.

Dopiero, gdy Gajdys zapowiadać coś zaczął, że mnie bodaj przybyli panowie polscy do Krakowa z sobą zabiorą, stara, co mnie wychowała, płacząc a ściskając, lamentować nad tem poczęła i usta się jej rozwiązały.

Matkąm ją zwał, na co wzdychając, odpowiedziała:

— Wiesz to, Jaszku mój, że chociażem cię, Bóg widzi, kochała i kocham jakbym była rodzoną, przecież nią nie jestem...

A gdym żywo zapytał:

— Więc któż mi ojcem, a kto matką? — naprzód płakać poczęła, długo mówić nic nie chcąc, a potem się odezwała:

— Taka dola twoja, że ty ani matki twojej, ani ojca nigdy znać nie będziesz... Sierotą przyszedłeś na świat, ani pytaj, ani dochódź!...

Oburzyło mnie to, bo już wprzód chłopcy prześladowali mnie nieraz, żem z pod płota, sroce z pod ogona wypadł... i nieraz się o to biłem z nimi; począłem więc gorąco bardzo.

— Póki żyw, matko Gajdysowo — rzekłem, — nie przestanę śledzić i dochodzić ojca i matki... Niech się dzieje, co chce.

Stara przestraszona tulić mnie i uspokajać poczęła.

— Ani się waż, ani myśl, ani sobie tem głowy zaprzątaj — rzekła. — Wyszłoby ci to na złe i życiembyś

może przypłacić musiał... Póty spokoju i opieki nad tobą, dopóki ty jesteś sierotą. Co Bóg ci przeznaczył, to przyjm z pokorą, dochodzić darmo, bo niczego się nie dowiesz... a na siebie gniew ściągniesz i zemstę.

Ale mnie, dotknąwszy tej struny bolesnej, niełatwo uchodzić było... a im Gajdysowa więcej uspokoić i nastraszyć chciała, tem mocniej mnie podrażniła. Wspomniałem jej o tej drugiej matce, której choć bardzo dawno nie widziałem, przecieżem ją pamiętał i czułem, że ona prawdziwą być musiała.

— Spotkam-li ją gdzie w życiu — dodałem, — choćby nie wiem ile lat na to czekać przyszło, poznam ją, a ona mnie wyprzeć się nie może.

Na co stara Gajdysowa odparła:

— Wyprzeć się musi, ty tego nie rozumiesz; a no, żebyś ją spotkać mógł, albo miał, niech ci się nie śni, nie może to być.

Chwilę podumawszy, dodała żywo:

— Ona umarła, niema jej już na świecie..

Dlaczegom ja tym słowom nie uwierzył, tego nie wiem, alem był prawie pewnym, że umyślnie to powiedziała, aby mi z głowy wybić szukanie matki.

Nazajutrz i przez tych kilka dni, pókiśmy się do drogi gotowali, Gajdysowa, przestraszona tą rozmową ze mną, ciągle wracała do niej, starając się wmówić we mnie, że chcę-li być szczęśliwym, powinienem sobie z głowy wybić rodziców, bom ich nie miał... ale im więcej to pragnęła mi wpoić, tem w duszy mojej rodziło się większe pragnienie odkrycia tej jakiejś tajemnicy, która moje pochodzenie okrywała.

Ażeby matka tamta w jedwabnych szatach, piękna owa niewiasta młoda umrzeć miała, jak zapewniała Gajdysowa, temu wierzyć nie chciałem.

Ile z tego wszystkiego w dziecinnej głowie się snów i marzeń naroiło, co się nigdy ziścić nie miały, policzyć zaprawdę trudno.

Tymczasem do podróży się wszystko przysposabiało, a Gajdys jednego dnia przyniósł z zamku wiadomość tę, że nazajutrz ma mnie zaprowadzić i ukazać

temu duchownemu panu, który z sobą do Krakowa zabrać obiecywał.

Gdym się Gajdysa ośmielił zapytać, kto to tem rozporządzał i mnie stąd wysyłał, groźno spojrzał na mnie.

— A tobie, gołowąsie, co do tego? — zawołał. — Woli swojej nie masz, co ci każą, powinieneś czynić i nie pytać. Ja ci jestem ojcem, uprosiłem o to, i tak się stanie, jak postanowiono.

Wiedziałem, że z nim się sprzeczać nie było można; milczeć musiałem.

Nazajutrz, jak zapowiedział, poprowadził mnie na zamek dolny, do izby, w której zastaliśmy księdza, w sukni, prawda, takiej, jak oni wszyscy nosili, ale postawy, gdyby dopiero się ze zbroi wywlókł, rycerskiej.

Ten, zobaczywszy mnie, a snać już o mnie wiedział wprzódy, namarszczył brwi i twarz mu się wykrzywiła, ale z za stoła wstał i zbliżył się ku mnie, a jął w milczeniu jakiemś smutnem przypatrywać.

Potem wyszedłszy z zadumy, zadał mi pytań kilka. Chociaż dosyć wyglądał groźno, niebardzom się uląkł i odpowiadałem śmiało.

Słuchał uważnie, a wkońcu spytał:

— A uczyć się chcesz?

Żywom to potwierdził.

— To dobrze — rzekł, klepiąc mnie po ramieniu, — bo sierotą jesteś i nie masz na świecie nikogo, a to, co sam sobie pracą zarobisz, to twoje... Ludzie są miłosierni, ale na miłosierdzie zasłużyć potrzeba.

Znowu mnie to sieroctwo do żywego ubodło. Wtem ksiądz ów, jako się później dowiedziałem, Jan z Rzeszowa, co później biskupem był, ode mnie się odwróciwszy, zcicha zapytał Gajdysa, jak mnie zwano? Oprócz tego imienia Jaszka nie miałem innego, ksiądz nie wiem czemu Gajdysem mnie mieć nie chciał i dodał:

— Orfanem go nazwiemy.

I ot jakim sposobem przyszedłem do tego imienia, które mi na całe życie pozostało, bom do innego prawa nie miał nigdy.

Nie będę opisywał, jakem się z poczciwymi przybranymi rodzicami rozstawał we łzach wielkich i jak Gajdysowa, fartuchem łzy ocierając, przeprowadzała mnie, jak mogła najdalej.

Panowie polscy, którzy z sobą zabierali sierotę, jechali dosyć dworno. Wszyscy oni, nie wyjmując duchownych, konno podróż odbywali; ale wozów szło za nami sporo, bo nie było takich gościńców i gospód, ani gęstych osad, aby się można obejść bez zapasu dla ludzi i koni.

Stanęliśmy nareszcie w Częstochowie, którą ja sobie wyobrażałem całe inaczej. Kościół był naówczas niewielki, klasztor przy nim niedokończony, murów dużo porozpoczynanych. Miasteczko dokoła drewniane i ubogie mi się zdało.

Nazajutrz rano wszyscy byliśmy już przed obrazem na nabożeństwie i klęczeliśmy, wpatrując się w owo cudowne malowidło, a jam gorąco się modlił, prosząc, by mi Królowa niebios ojca i matkę oddała.

Po nieszporach i wieczerzy, gdym legł, natychmiast ogarnął mnie sen głęboki, ale mimo to zdawało mi się, że czuwam i widzę, co się koło mnie dzieje. We śnie tym ujrzałem przed sobą obraz cudowny, ale z niego jakby żywe oblicze Matki Bożej na mnie patrzyło, i zdało mi, że słyszę głos łagodny:

— Przyjm z pokorą, co ci Bóg przeznaczył, a nie buntuj się, albowiem matki i ojca odzyskać nie będziesz mógł i nie powinieneś się starać o to, chceszli być spokojnym i szczęśliwym.

Rozpłakałem się przez sen, wyrok ten słysząc; ale gdym się rano przebudził, tak mi się serce ścisnęło potem, iż w sen ten uwierzyć nie chciałem i lekceważyłem go sobie.

Piaszczyste i puste gościńce wiodły nas ku Krakowu i lasom, które ławą szeroką z tej strony go opasywały. Rzadko gdzie spotykaliśmy ubogie osady, lub zdala je dostrzec było można.

Najczęściej szopa wielka, z chróstu pleciona, nie zawsze wrotami zamknięta, a przy niej chałupa z dwoj-

giem starych ludzi, u których czerstwego chleba, a czasem kwaśnego cienkuszu dostać było można — zwała się gospodą. Konie od słoty i zawiei schronić się mogły, ludzie przytulić, ale pokarmić nie było czem. Studnia tylko i wodopój musiały się znaleźć koniecznie, ale i ta często zapuszczona, zgniłej wody dostarczała.

Prawda też, iż za postójne w gospodzie mało co lub nic się nie płaciło. Po takich gospodach ostatnia biedota się tylko osiedlała, bo tu łatwiej było guza, niż grosza napytać. Rzadko dworno jadący ludzie zapłacili co.

Jużeśmy się zbliżali, przebywszy srogie piaski, ku lasom i ludzie ks. Jana zapowiadali lepszą gospodę u skraju puszczy, aleśmy pobłądzili i późno tu na nocleg przyciągnęli.

Oprócz ks. Jana, drugiego kanonika i pana wojewody sandomierskiego, był z nami podkanclerzy, a każdy z panów prowadził z sobą służbę i dworzan miał kilku, tak, że wszystkich nas zliczywszy, poczet był znaczny i samych żłobów dla koni dosyć potrzebowaliśmy, bo się czeladzi nie chciało za każdym razem koły wbijać i płócienne podróżne żłoby rozpinać.

Tymczasem, gdy się nam we mroku gospoda owa ukazała, zobaczyliśmy przed nią stojącą ogromną kolebkę pańską i ludzi około niej dosyć. Zapowiadało to, że my już pewnie nie będziemy się mieli gdzie pomieścić i że nam na jesiennym chłodzie obozować przyjdzie, bo w gospodzie, jak we młynie, kto pierwszy zajeżdża, ten zajmuje... Kolebka zaś oznajmywała, że niewiasty pewnie jakieś jechać musiały i znacznego rodu, bo dwór widać było liczny.

Wszystkim to naprzekór było, a naszym dworskim tak markotno, że gotowiby byli zadrzeć się i noclegujących precz wygnać; lecz podkanclerzy i nasi księża żadnej burdy dopuszczać się nie dozwalali i karali ją srodze.

Zbliżywszy się do gospody, przez okna ujrzeliśmy rozpalone w niej ognie, służbę krzątającą się, ludzi

tłum, niewiast też niemało, zbrojny poczet okazały, słowem, dwór pański.

Słyszałem, jak ks. Jan zapytał stojącego zbrojnego człeka: kto to był — a ten mu odpowiedział, że Nawojowa z Tęczyna od ojca na Litwie do męża powracała.

Ja, com nigdy o panach z Tęczyna nie słyszał, nie wiedziałem też, jaki to ród był wielki i możny, ale mi się prawie królewskim dwór Nawojowej wydał.

We mroku z ciekawością spoglądałem ku oknom, przez które się ukazywały głowy niewiast, jeszcze, jak z podróży przybyły, białemi namitkami i zasłonami poobwijane.

Ustąpiliśmy zaraz wbok, tak, że od gospody szeroki gościniec nas dzielił. Rada nierada czeladź, choć klnąc, musiała dla panów rozbijać dwa namioty, żłoby stawić i jak należało obóz zakładać. Po gościńcach naówczas napaście dzienne i nocne nie były żadną osobliwością i każdy się na baczności mieć miał, ba, nocą nawet straż stawić.

Mnie, gdyśmy się już rozłożyli, a robić nie było co, bo jeść nierychło mieliśmy dostać i krupnik dla nas dopiero w kociołkach nastawiano, wzięła wielka ciekawość tych niewiast i dworu.

Podkradłem się więc pod otwarte okna gospody, bo ich okiennicami nie zasunięto dla dymu, który izbę napełniał i wychodził niemi.

Widok dla mnie był ciekawy i nowy tylu pań różnego wieku, postrojonych bogato, choć w podróży, i otoczonych sprzętem różnym, jakiegom w życiu mojem nie widywał.

Służba na stole, okrytym obrusem, poustawiała podróżne dzbany, kubki, misy kruszcowe, błyszczące. Woń jadła, korzeniami zaprawnego, dochodziła mnie przez okna.

Za stołem siedziały dwie niewiasty, z których jedna starsza, ku mnie zwrócona, twarz miała bladą, długą, wychudłą, z zapadłemi oczyma czarnemi, dokoła rąbkiem białym opasaną. Wydała mi się bardzo poważną i surową. Druga, której twarzy stąd widzieć nie mo-

głem, młodszą być musiała, ruchy miała żywsze i na głowie, oprócz białych rąbków, czepiec szyty bogato, z pod którego włosy ciemne się wymykały.

Reszta służby żeńskiej przynosiła misy, chodziła około stołu i pilno tym dwom podawała kubki i ręczniki. Blask od ognia rozpalonego w kominie i grubych świec woskowych na stole padał na niewiasty, przy nim siedzące, tak, że najmniejsze rzeczy dobrze widać było. Z ciekawością wielką, pochyliwszy się, przypatrywałem się temu widokowi, gdy młodsza pani odwróciła się do sługi i twarz jej, oblana światłem, ukazała się mi nagle.

Jakby piorun mnie raził, zdrętwiałem, zobaczywszy ją i dobrze, żem nie krzyknął. Poznałem bowiem w tej kobiecie tę, co mi się matką nazywać kazała.

Chciałem, ochłonąwszy cokolwiek, biec zaraz do niej, nie wątpiąc, że i ona mnie poznać musi, a nie odepchnie od siebie, ale mnie strach ogarnął jakiś. Ciągnęło coś i odpychało.

Przyszedł wreszcie na pamięć sen, który miałem w Częstochowie, rady Gajdysowej i nie wiedziałem, co począć. Łzy mi w oczach stanęły.

Gdybym był słuchał pierwszego popędu, pewniebym wpadł do izby i rzucił się do tej kobiety. Lecz nuż mnie oczy zwodziły? nuż to nie ona była, a inna do niej podobna?

Mówiło mi serce, że to nie mogło być, żem się nie mylił, a jednak obawiałem się.

Stałem u okna, jakbym w ziemię wrosnął, nie mogąc ni odejść, ni oczów odwrócić, choć twarzy już nie widziałem. Teraz głos jej do mnie dochodził, a ten potwierdzał jeszcze, że ona była, nie inna, bo mi brzmiał znajomym, serdecznym dźwiękiem.

Tak, był to głos tenci sam, choć inny razem, ostrzejszy, dumniejszy, surowszy, a jam go pamiętał miękkim, łagodnym i załzawionym.

Nie wiem, jak długobym był u tego okna pozostał, gdyby nagle silna dłoń nie chwyciła mnie za kark i nie

rzuciła precz na gościniec, tak, że o mało twarzą na ziemię nie padłem.

Krzyk mi się z ust wyrwał, i nie wiem, czy znużenie podróżą, wzruszenie, uderzenie to, czy jaka inna przyczyna o mdłość mnie przyprawiła. Pamiętam, że ręce wyciągnąwszy, zachwiałem się, w oczach mi się zaćmiło i już nie wiem, co się stało ze mną.

Poczułem potem chłód na twarzy, a gdym powieki podniósł, postrzegłem światło łuczywa nad sobą i pochylone dwie twarze niewieście, które mi się przypatrywały. Dokoła stała gawiedź dworska, opowiadając, jak mnie u okna złapała.

Mnie nic to wszystko nie obchodziło, bom oczy miał wlepione w tę, w której matkę poznałem. Schylona była nade mną, brwi ciemne miała groźno ściągnięte i usta zapadłe, wyraz niemal gniewu i strachu na twarzy.

Gdy mnie omdlałego ocucono i rozpinano, krzyżyk, który na szyi nosiłem, dobył się na wierzch, a ja w obawie, aby go nie stracić, sięgnąłem ręką po niego. Kobieta, stojąca nade mną, nie mogła go nie widzieć i nie poznać, bo był zupełnie inny od tych, jakie pospolicie noszono. Sądziłem, że mnie po nim pozna, ale zamiast uczucia na jej twarzy, odmalowała się odraza, trwoga i gniew. Czarne jej oczy zdawały mi się grozić.

Nie śmiałem więc ani ust otworzyć, ani się ruszyć. Wtem od naszego obozu nadbiegł kleryk księdza Jana niespokojny, bo się opatrzył, że mnie nie było, a tu jakieś zbiegowisko postrzegł.

Gdy się zbliżył, posłyszałem, jak starsza niewiasta rozpytywać zaczęła, kto jechał, skąd, jak się duchowni zwali, a młodsza głosem porywczym spytała, ktobym ja był.

Kleryk jej odpowiedział, że mnie ks. Jan wiózł z Wilna do Krakowa dla nauki, bo mu to polecono było przez kogoś, ale nie mówił przez kogo.

Podniosła się i wyprostowała dumnie ta, w której ja matkę upatrywałem i ostrym głosem zaczęła wyrzu-

cać klerykowi, że bez dozoru puszczano mnie pod okna się podkradać i ludzi podpatrywać.

Ani słowem, ani wejrzeniem nie dała mi poznać, żeby się domyślała we mnie swego dziecka. Ja byłem pewnym, żem się nie omylił, ale też i tego, że ona znać mnie nie chciała. Puściły mi się dziecinne łzy z oczów, wstałem o swej mocy, i nie dając klerykowi rozmawiać dłużej, pociągnąłem go z sobą do naszego obozu.

Tu od ks. Jana musiałem wysłuchać nauki, że ciekawość pierwszym stopniem do piekła, że niegodziwą to naturę zdradzało podpatrywanie niewiast zwłaszcza i złodziejskie takie podkradanie się.

Anim się myślał tłumaczyć, poszedłem płakać na moją wiązkę słomy. Okrucieństwo tej kobiety, która we mnie choćby po krzyżyku dziecko swoje poznać musiała, było mi tak bolesnem, iż o wszystkiem dla niego zapomniałem. Nic mnie nie obchodziło.

Prawdę więc mówiła Gajdysowa, że ja matki mieć nie mogłem, a ona się przyznać do mnie. Ja, com ją tak kochał, powziąłem do niej żal, który prawie w gniew przechodził. Nawykły do modlitwy i do zwracania się ku Bogu, pytałem Go, dlaczego mnie jednemu los taki przeznaczył, bo mi się zdawało, że chyba nie było w świecie drugiego, któregoby się własna wypierała matka.

W tych łzach i męczarni usnąłem potem takim snem głębokim, że mnie nazajutrz rano kleryk zbudził dopiero, gdy już do drogi wszystko było gotowem.

Oczy otworzywszy, mimowolnie naprzód ku gospodzie spojrzałem, ale już przed nią ani kolebki wczorajszej, ani dworu, ni śladu niewiast nie było.

Ludzie mówili, że o brzasku pośpiesznie wyruszyli, z czego radzi byli, bo izba próżna stała i ognisko w niej gotowe.

Nazajutrz, choć wczorajszy wieczór miałem przed oczyma, o białym dniu ostygłszy, gdym wszystko sobie znowu rozważać zaczął, chciałem wmówić w siebie, iż ta kobieta nie mogła być matką moją. Ale i głos, i twarz, i coś, co się opisać nie daje, za tem świadczyło.

Drugiego dnia potem nad wieczorem ujrzeliśmy przed sobą Kraków, który mi się po Wilnie już zdaleka wydawał tak dziwnie wspaniałym, wielkim, iście królewskim grodem, że mi to trochę odjęło wrażenie boleści.

Choć wieczór już był i dzień powszedni, na mieście więcej ruchu, wrzawy i ludzi znaleźliśmy, niż w Wilnie czasu targów i jarmarków. Domy, choć dużo drewnianych było, bielone i malowane tak ozdobne były w ganki, dachy i daszki, a na każdym niemal z nich jakieś godło rzeźbione i złocone tak oczy pociągało, że się ich napatrzeć nie mogłem dosyta. Wszystko cudnem mi się wydawało.

I przechodzący też ulicami od mieszczan wileńskich, ze staroświecka poodziewanych, wcale byli różni. Strojów osobliwych spotykaliśmy coniemiara, bogatych, pańskich, zamorskich jakichś i do naszych niepodobnych. Rycerstwo uwijało się w rynku konno, ciągnęły ogromne wozy kupieckie, popod domami szli mieszczanie w bławatach, łańcuchach i kołpakach wspaniałych.

Przytem, że wieczór był, więc i dzwony na różne głosy odzywały się po kościołach i z otwartych niektórych słychać było śpiewy wieczorne.

Kleryk ks. Jana, który mi dosyć życzliwym był, o kilka lat tylko starszy ode mnie, zapowiedział, że nazajutrz, ponieważ dzień był na spoczynek przeznaczony, a on wolny, więc mnie po mieście poprowadzi i ukaże, co w niem było najpiękniejszego.

Mnie się to wszystko cudownem zdawało!

Ks. Jan z nami stanął gospodą w domu przy ulicy św. Anny, inni nasi towarzysze podróży na zamek i po domach swoich się rozjechali.

Widok pięknego i wielkiego miasta trochę zatarł we mnie smutne wrażenie owego noclegu, ale cokolwiek mi go na pamięć przywodziło, a szczególniej mój krzyżyk, gdy go dotknąłem, znowu mi boleść pierwszą powracał.

Kleryk nazajutrz dotrzymał słowa. Poszliśmy na miasto i do kościołów, jakich ja w życiu mojem nie oglądałem, do P. Marji, do kilku zakonnych, do Bożego Ciała i co ich było w pośrodku miasta, bośmy za mury nie wychodzili.

Dziwiłem się bogactwom i wspaniałościom, liczbie duchowieństwa, nabożeństwom okazałym; jedno mnie tylko raziło, że oprócz mowy polskiej, prawie tyle, co jej, słyszeliśmy dokoła szwargotu niemieckiego. Stroje też mieszczan dużo pomiędzy niemi różnych Niemców domyślać się kazały, ale i z innych narodów około Sukiennic kręciło się dziwnie postrojonych kupców i podróżnych niemało, a tu języków się było można nasłuchać osobliwych.

Przeszedłszy parę ulic, w głowie się mąciło od tego, co się tu widziało. Co chwila stawałem, bo ciągle było na co patrzeć i o co pytać. Na zamek jechały poczty rycerstwa, kapiące od złota, z zamku powracali panowie ze służbą i zbroją dla mnie niewidzianą. Rusinów, Tatarów, Turków, Węgrów nauczyłem się dopiero rozróżniać.

Pytałem nieustannie, a dziwiłem się bez miary. Wreszcie kleryk, zmęczywszy się, nazad mnie do kamienicy odprowadził i tu samego zostawił.

Jaki mnie tu los czekał w tem obcem zupełnie mieście, wśród ludzi, co mi nie byli niczem, nie wiedziałem spełna.

Mówiono mi, żem się uczyć miał, ale gdzie i jak — głucho było.

W Wilnie przy Gajdysach czułem się jakby w rodzinie, tu wszyscy obcy i straszni się wydawali. Co kogo mógł obchodzić taki, jak ja, sierota?

Nie będę się nad temi mojemi laty pierwszemi rozszerzał zbytnio, bo i bez tego wiele mam do powiedzenia o losach i przygodach moich; powiem tylko, że choć o mnie ks. Jan nie zapominał, przez kilka dni czekałem, gdyż nic postanowionego nie było. Nie pytano mnie o nic, woli swej nie miałem; ale kto mną rozporządzał, nie mówiono mi też.

Czwartego coś dnia rano ks. Jan, ze mszą idąc do kościoła zamkowego, za sobą mi iść kazał, zapowiadając, iż do mszy służyć mu miałem.

Szedłem więc dosyć tem dumny, a zwłaszcza mi się podobało, gdy mnie w zakrystji ubrano w piękną, białą komeżkę ze wstęgą liljową.

Msza była nie pierwsza, ale wotywą zwana, w kościele ludzi dosyć, a w tem miejscu, które mi kleryk pokazywał, że tam król zwykł był słuchiwać mszy, ujrzałem go w istocie i poznałem zaraz. Z trwogą jakąś spoglądałem ku niemu tem większą, że ile razy zwróciłem oczy, zawsze spotykałem wejrzenie jego ku mnie skierowane.

Przypatrywał mi się tak, iż mnie coraz większy strach ogarniał.

Od tego czasu, gdym go nie widział, wydawał mi się zmienionym. Młody jeszcze i przystojny, twarzy rysów regularnych i wcale pięknej, miał na niej wyraz smutku jakiegoś i troski, który z niej nie schodził. Długie włosy spadały mu na ramiona.

Aż do końca mszy ks. Jana siedział tak, słuchając jej, patrząc na mnie, a po benedykcji, gdyśmy do zakrystji powracali, zniknął.

Ks. Jan, kazawszy mi iść do domu samemu, udał się na zamek.

Pod wieczór zawołano mnie do ks. Jana. Biło mi serce dobrze, bom przeczuwał, że się musiał mój los rychło rozstrzygnąć. Tak się też stało. Zapowiedział mi ks. Jan, że uczyć się powinienem był i nic lepszego nie mam do wyboru, tylko się tak przygotować, ażebym później godzien był przyoblec suknię duchowną.

Począł się nad tem szeroko rozwodzić, jakiem to było szczęściem zostać wybranym i kapłanem Bożym, dodając, że on sam rycersko wprzódy sługiwał, przecież wczas przejrzał i obrał sobie lepszą cząstkę. Radził mi więc zawczasu na duchu się gotować i sposobić do stanu tego, który wymagał wiele; bo niedosyć było nauki, niedosyć mądrości, ale świętości, pokory i wszelkich cnót do niego nabyć potrzeba było.

Zapowiedział mi w ostatku, iż będę dany w opiekę mężowi świątobliwemu, chodzić mam do szkoły, a jemu posługiwać, na niego się zapatrywać i być mu we wszystkiem, jak ojcu, posłusznym.

Czekałem z obawą wielką, modląc się, jaki mnie los i opiekun spotka.

Nazajutrz ks. Jan, węzełek mi rozkazawszy zabrać z sobą, niedaleko stamtąd dowiódł do kolegjum, gdzie w samych prawie drzwiach do maleńkiej celi zapukał. Weszliśmy. Stał nieopodal ode drzwi, jakby na nas oczekując, mężczyzna w samej wieku sile, z twarzą piękną, pogodną i niemal promienistą, dobrocią uśmiechającą się a rozumną.

Od pierwszego wejrzenia nań nie można się było powstrzymać, aby ku niemu jakiejś czci nie powziąć. Dzieckiem byłem, ludzi nie znałem, przecie mąż ten na mnie takie uczynił wrażenie, jakbym nie pospolitego przed sobą człowieka widział, ale jakąś istotę wyższą i doskonalszą.

— Oto jest chłopak, o którym mówiłem — rzekł, kłaniając się, wchodzący. — Sierota, dano mu też imię Jaszka Orfana. Daj Boże, aby godzien był wam służyć.

Gdy to mówił, stojący naprzeciw patrzał na mnie, a ja z natury trochę dziki, tak dziwnie byłem tym wzrokiem ośmielony, tak mi on błogo jakoś do duszy mówił, żem się odważył postąpić i rękę jego ująwszy, ucałowałem ją.

— Księże Janie mój — odezwał się głosem jasnym i dźwięcznym, — sierotą też zaopiekować i obowiązkiem jest i rozkoszą, alem ja, wiecie, nie tak swobodny, abym mógł się tego podjąć. Siedzę tu w Krakowie, mam co czynić w Akademji i w domu, a wiecie, iż pielgrzymuję często. Znowu mnie ciągnie do Rzymu potrzeba duszna, cóż naówczas z nim pocznę? Rychło a nie ujrzycie mnie — dodał z uśmiechem. — Pieszo chcę do grobu apostołów.

Ks. Jan po chwilce namysłu rzekł:

— Na ten czas zwierzyłbyś go ojcze osobie swojego

wyboru, a choćby niewiele czasu miał szczęście przy was pozostać, te chwile wiele mogą.

Szedłem tu, prawda, ze strachem wielkim, ale teraz, gdym zobaczył tego, któremum miał służyć, lękałem się tylko, aby mnie nie odepchnął. Siłą jakąś wielką ciągnął mnie ku sobie. Każde jego spojrzenie było jakby lekarstwo jakieś, uspokajające duszę.

W czasie, gdy dwaj księża pocichu rozmawiali z sobą, starałem się błagającym wzrokiem pozyskać sobie tego człowieka, który tak cudowne wywierał na mnie wrażenie. Czyniłem się łagodnym, pokornym, chciałem się wydawać dobrym. Pocichu odmawiałem Zdrowaśkę na tę intencję, abym przy nim mógł pozostać.

Nigdy w ciągu długiego później życia mojego nikt na mnie nie uczynił takiego wrażenia, a gdym dojrzawszy, zastanawiał się nad tem, nie mogłem go porównać z niczem, chyba z tą potęgą Chrystusa Pana, który też jednem wejrzeniem i słowem za sobą ciągnął tłumy. Ten też tą samą Chrystusową mocą na ludzi działał.

Nie wiem, co ks. Jan, który mnie tu przyprowadził, powiedział o sierocie, czem go skłonić się starał, aby go przyjął w służbę swoją, uważałem tylko w oczach duchownego malującą się litość, i wkońcu zwrócił się ks. Jan do mnie, rozkazując mi dziękować. Przypadłem do nóg nowemu opiekunowi, który mnie podniósł i pobłogosławił.

Pozostałem odtąd przy ks. Janie Kantym, jako zaraz opowiem. Mąż to był uczony wielce, pracowity niesłychanie, a cały żyjący w Bogu, ale nad wszystkie jego cnoty górowała niezrównana dobroć, łagodność i wyrozumiałość dla ludzi.

Dla siebie samego katem był, bo postami, umartwieniami, biczowaniem ciało swe dręczył nieustannie, względem drugich zaś anielską miał dobrotliwość i miłosierdzie. Szanowany przez wszystkich, bo swojego czasu Akademja nie miała nad niego uczeńszego męża — pokorę miał dziecięcą. Nigdym go nie widział ani zniecierpliwionym, ni gniewnym — widok nieprawości zasmucał go, do łez rozbolewał, ale nie burzył.

Dusza była spokojna i ubłogosławiona taką potęgą nad sobą, że krew nie mogła przeciw niej nic.

Tuż w bramie kolegjum mieliśmy parę izdebek szczupłych, w których ks. Jan się mieścił z książkami swemi i sprzętem ubogim, bo można było powiedzieć, że dla siebie nic prawie nie potrzebował. W jednej z nich miałem ja swój sienniczek na podłodze i pomieszczenie. Służba przy nim nie była ciężką, prawie żadną, bo on, modląc się, sam sobie służył, a często do stajni w podwórzu kolegjum ze dzbankiem chodził, aby mnie snu nie przerwać.

Jednej chwili spoczynku w życiu jego nie było. Czytał, pisał, albo, klęcząc, się modlił. Wzywano go też często na poradę i przychodzono do niego, aby jej zasięgnąć. Cisnęli się oprócz tego ubodzy, którym nieraz od ust odjęte jedzenie i ostatni płaszcz oddawał, jeśli nic innego nie miał. Grosz też u niego nie przeleżał jednego dnia — mówił, że go nie potrzebował. A co najdziwniejsza, przy ciągłych umartwieniach, pracy, znużeniu, nie widział go nikt nigdy zmęczonym, nigdy smutnym i chmurnym. Twarz wypogodzona uśmiechała się, dodawał otuchy i męstwa drugim, a sam mądry, z prostaczkami tak mówić umiał, iż go każdy zrozumiał, a słowo jego szło prosto do serca.

Po wyjściu ks. Jana zajął się mną zaraz z niewysłowioną dobrocią, a naprzód wziął mnie na konfesatę, dopytując się o życie przeszłe.

Mówiłem już, jakie na mnie świątobliwy mąż ten uczynił wrażenie, nie dziw też, iż ja, dosyć w sobie dotąd zamknięty, przed nim wyspowiadałem się ze wszystkiego, co mi na sercu leżało. Więc i ten mój najdroższy ból sieroctwa, żem ojca nie miał, matka się mnie zaparła... i że, nadewszystko pragnąłem o nich się dowiedzieć, ich odzyskać.

Bardzo łagodnie począł mnie naówczas przekonywać, iż powinienem był się poddać woli Bożej, przeciwko niej nie buntować i pokorą sobie wyjednać miłosierdzie. Na łzach się to skończyło... ale, gdy mnie

przeżegnał i pobłogosławił, uczułem, jakby pokój jakiś wstąpił we mnie.

Następnych dni począłem chodzić do szkoły. Nie szło mi trudno, a około mojego opiekuna nie było usługi, któraby czas zabierała. Gdym umiótł i wody przyniósł, wieczorem zapalił światło, płaszcz czasem wytrzepał, mogłem potem siedzieć z książką i papierem, a tego tylko pilnował, aby nauka modlitwie nie przeszkadzała.

Obyłem się tak powoli ze szkołą i Krakowem, a jak ziarno w piasku utonąłem w tych tłumach młodzieży, które naówczas po szkołach i kolegjach nauki szukały.

Pisząc to ze wspomnień lat moich młodych, w których rozeznania wielkiego nie miałem jeszcze, oczywista, że tylko ogólnemi wyrazy mogę zaznaczyć, co pamiętam. Wiele rzeczy mocno się w pamięć wraziło, lecz wiele później zatarło, bo ludzka pamięć jest jako tablica owa, na której w szkołach piszą: zamazuje się ona cała naprzód, a potem ściera się z niej dawne, gdy przychodzi nowe, i ślad ledwie gdzie niegdzie pozostaje.

Z tych ludzi, którzy najwięcej z ks. Janem obcowali, a najulubieńsi mu byli, pamiętam kilku, później, jak on sam, świątobliwością słynących.

Nigdy tak wielu ludzi pobożnych nie miała Polska i Kraków, co tego czasu. Pomnę z nich, naówczas już starego, ale do bardzo późnego wieku dożywającego Izajasza Bonera, zakonnika oo. eremitów, Augustyna świętego, który rzadko sam bywał u nas, ale często go ks. Jan nawiedzał, mówił o nim i był dlań ze czcią wielką.

Żył on u św. Katarzyny na Kazimierzu w takiej celce maleńkiej, jak mój dobroczyńca, tak ubogo, jak on. Boso chodził zawsze latem i zimą, sypiał na gołej ziemi i nigdy więcej nad trzy lub cztery godziny. Pomimo wieku, nieraz, gdym do niego księgi nosił, bo sobie je z ks. Janem często posyłali, zastawałem go zamiatającego klasztorne korytarze, wynoszącego śmiecia.

Innym razem znajdowałem go klęczącym przed obrazem N. Panny, ale w takim zachwycie i zatopieniu, żem, nie śmiejąc przerywać, godzinami czekać musiał, aż się przebudził z tego marzenia i wrócił do życia.

Całe znowu innym był drugi, a na pierwsze wejrzenie tak niepoczesnym, że się w nim ani świątobliwego, ani tak mądrego człeka, jakim był w istocie, domyślać nie było podobna. Rzadko kiedy z ust mu się słowo dobyło. Zwał się Świętosławem, a wszystkim wiadomem było, że nim do Krakowa przyszedł i misjonarzem został, był prostym szewcem w Sławkowie i swe rzemiosło sprawiał.

Blady, mały, przygarbiony, z rękami długiemi, nogami trochę krzywemi, z głową dużą, na której włos krótko postrzyżony się jeżył, miał przecież coś w twarzy wyżółkłej, co poszanowanie dla niego budziło. Pokora w nim była nadzwyczajna.

Kochał go mój opiekun i troskał się o niego, bo on sam o sobie nie pamiętał. Cudem było słowo z niego dobyć. Mówiono, iż ślub jakiś milczenia uczynił, ale nie, bom go przecie słyszał mówiącym, tylko nie lubił się rozszerzać ze słowem.

Czasu też tego, gdym był przy księdzu Janie, przybył do Krakowa młody jeszcze nowicjusz augustjanów z Bystrzycy na Litwie, o którym mówiono wiele i słynął jako człowiek wielkiej pobożności.

Obok tego szewca ze Sławkowa stał oto ze krwi książąt litewskich, potomek rodziny możnej, brat Michał Giedroić.

Ktoby nie wiedział, iż był dzieckiem krwi tej sławnej, pewnieby się w tym pokornym biedaku książęcia nie domyślił. Bardzo małego wzrostu, trochę na jedną nogę nalegający, chudy, szczupły, twarzy niepięknej, ale miłej i słodyczą okraszonej — brat Michał nie czuł się nawet godnym kapłaństwa i nie kusił o nie. Chciał i pozostał prostym braciszkiem.

Rozpowiadano o nim też, jak o Świętosławie i o żywocie jego rzeczy dziwne, które że prawdziwemi były, nie miałem wątpliwości.

Celkę miał maleńką przy zakrystji, w niej kominek, przy którym sam sobie biedną strawę warzył, post najściślej zachowując. Z zakrystji zaś wyprosił sobie klucz do kościoła, gdzie więcej czasu spędzał, niż w celi, krzyżem leżąc godzinami na modlitwie. We dnie czasami tylko godzinę jaką zabawiał się pracą ręczną, wyrabiając z drzewa puszeczki na wiatyk, bardzo misternie, a te kapłanom po kościołach rozdawał.

Od tego też, jak od Świętosława, niewiele było można posłyszeć, bo rad milczał lub modlił się, a w rozmowy nie wdawał, czas na nich spędzony uważając za stracony.

Wszyscy go naówczas już, gdy jeszcze dość młodym był, za świętego niemal uważali, choć on sam za ostatniego tylko ze sług i w klasztorze i na świecie chciał uchodzić. Dlatego i z pochodzeniem swem książęcem się taił i nigdy inaczej, jak bratem Michałem lub zakrystjanem nie pozwalał się nazywać.

Późniejszych nieco czasów, jak opowiem, do tych mężów przybyło jeszcze wielu, gdy pobożność rozgorzała po weselu króla i nawiedzinach świątobliwego Włocha, o którym niżej pisać będę.

Jakim sposobem, wśród tych ludzi żyjąc, na nich codziennie patrząc i o nich się ocierając w wieku do naśladowania i przejęcia się przykładem najskłonniejszym ja naówczas, choć pobożnym byłem, do stanu duchownego nie nabrałem skłonności... wytłumaczyć nie umiem. Ciągnęło mnie właśnie tam, dokąd nie miałem iść prawa. Najmilszem dla mnie było w ulicę zbiec, gdy rycerstwo na koniach jechało, gdy turniej się na zamku wyprawiał, gdy w rynku szlachta wytwornie zbrojna i strojna się zbierała. Do nich mi serce biło... koń a kord, o tem tylko marzyłem, choćby przyszło jako pacholikowi lub giermkiem służyć. Alem o tem ani śmiał mówić, ni tego dać po sobie poznać.

Badał mnie ks. Jan, bo widać było, iż życzył sobie tego, abym sukienkę kleryka później wdział, a nie taił przede mną, iż to było życzenie tych, co się mną opiekowali, ale przed nim kłamać nie mogłem, ani było

podobna. Święty mąż tak czytał ludziom myśli z oczów, a miał taką siłę dobywania z nich prawdy, że mu fałszu powiedzieć nikt nie śmiał. Ja też milczałem, a on to rozumiał dobrze; i nie nakłaniał mnie ani zbytecznie nastawał. Powiadał spokojnie:

— Różnemi drogami Pan Bóg do siebie prowadzi. Módl się, moje dziecko!

Modliłem się też, lecz natura przemagała, do stanu duchownego żadnego powołania nie czułem. Nauka była mi pożądaną, piłem ją chciwie i łatwo. Szło mi dobrze, ale z nią nie przychodziło usposobienie zmiany stanu. Zresztą o przyszłość się nie troszczyłem bardzo, rojąc zawsze po dziecinnemu, że rodziców wyszukać muszę, że się oni o mnie upomną, a że rodem i bogactwy musieli być znaczni, o tem nie wątpiłem. Snułem takie marzenia, z których mnie nikt wyleczyć nie mógł dlatego, iż o nich nie wiedzieli nawet najbliżsi.

Drugiego roku mojego pobytu w szkołach i na służbie u świątobliwego ks. Jana — to, co przepowiadał zawczasu, spełniło się. Gorąco pragnął znowu odbyć pielgrzymkę do Rzymu i do niej się sposobił. Naprawdę żadnych przygotowań nie potrzebował, gdyż pieszo, o kiju odbyć ją zamyślał, tak, jak poprzedzające, których już dwie wprzódy dokonał.

Pielgrzymów takich niemało naówczas się napotykało, pojedyńczo i gromadkami do miejsc świętych wędrujących. Przyjmowały ich wszędzie i karmiły klasztory, duchowieństwo, a tam, gdzie brakło stancji, obchodzili się suchym chlebem i wodą, które zawsze z sobą nosili. Tykwa u kija wysokiego lub baryłeczka u pasa pełną była, a w torbie przez plecy suchar się znalazł.

Niektórzy pielgrzymowali, ślub uczyniwszy, boso.

Gdy o podróży ks. Jan mówić zaczął, a do mnie odwróciwszy się, oznajmił, że ma już kogoś, któremu mnie do powrotu swojego chce powierzyć — rzuciłem się mu do nóg, nie namyśliwszy nawet, bo mnie coś tknęło, abym mu towarzyszył. Począłem go prosić o to, aby mi dozwolił iść z sobą. Zdumiał się nieco i zamy-

ślił. Począł potem reflektować mnie, że nauk przerywać nie powinienem, a niewygód i znużenia podróży długiej nie zniosę.

Nie ustępowałem jednak, po rękach i po nogach go całując, aż zmiękł nieco. Ani mi się przeciwił, ani obiecywał.

Szpiegując go teraz, zmiarkowałem, że sam nie chciał o tem stanowić i czyjejś rady co do mnie musiał zasięgnąć. Przekonywałem się z tego, iż był przecie ktoś, co się losem moim zajmował, a to jeszcze marzenia moje niedorzeczne o przyszłości rozkołysało.

Nagle potem jednego dnia, jak sam bardzo ochoczo i wesoło się do tej podróży gotował, z wielką serca gorącością, tak i mnie, głaszcząc po brodzie, rzekł:

— Gotuj nogi do drogi, ale pamiętaj, jak mi omdlejesz gdzie, to cię w klasztorze jakim zostawię.

— Na kraj świata pójdę za tobą, ojcze — zawołałem, do nóg mu się rzucając.

Myślałem, że oszaleję z radości, gdy mi ks. Jan towarzyszyć sobie dozwolił.

On sam, jak skoro to postanowił (a była wczesna wiosna i sama Wielkanoc, kiedy się to stało), po odbyciu spowiedzi i przyjęciu komunji, wyruszył tak wybrany, jakom mówił. Suknia jedna, płaszcz, kij, tykwa, sakwa i grube trzewiki. Jam też podobnie był odziany. Obciążać się niczem na drogę nie było można, a ks. Jan brewjarz tylko z sobą wziął.

Dzisiaj, po latach tylu, jużbym tej pielgrzymki opowiedzieć ani opisać nie mógł. Przesuwało się codzień tyle nowych widoków przed oczyma mojemi, żem ciągle był jakby we śnie gorączkowym. Po Wilnie Kraków mi się wydawał miastem takiem, jakiemu równego chyba na świecie nie było, a gdyśmy podróżować zaczęli przez miasta niemieckie, nawiedzając olbrzymie kościoły, patrząc na zamki, pałace i grody ogromne, co chwila słupieć było potrzeba z podziwu.

Oprócz tego sam świat, któryśmy przebywali, wcale od naszego inny, cudownym razem i strasznym się wydawał. W górach zdawało się, że się świat kończy

śniegami zasypany, a tu dopiero, przebywszy je, gdyśmy weszli jak do zaczarowanego ogrodu, miły Boże, człowiek zrazu zmysły postradał.

Ja, co te cuda po raz pierwszy oglądałem, szedłem oczarowany niemi. Ks. Jan mało na nie patrzał, modlił się albo rozmyślał. Nie pominęliśmy żadnej figury, kaplicy, ani kościoła bez modlitwy.

Przygód wielkich Pan Bóg nam szczędził jakoś, jakgdyby szczególną opieką ks. Jana osłaniał. Nieraz na burzę się zbierało, nieraz obłąkać się mogliśmy, a i zbójectwa po drogach było dosyć: wszystko nas pomijało. Stawaliśmy zawsze w porę po klasztorach na noclegi, nigdzie nas nie odepchnięto.

Za górami już pielgrzymów spotykało się dosyć, ale ks. Jan wolał iść samotnie.

W górach nieraz trwoga brała, patrząc na przepaście i szczyty śniegiem okryte, na których znaku żywota nigdzie widać nie było, jakby tu państwo śmierci się rozciągało.

W ciągu całej podróży wiedziałem to i czułem, że się z nami działo coś niezwyczajnego, jakgdyby niewidzialna moc jakaś czuwała nad nami i odwracała niebezpieczeństwa, bośmy często cudem ich unikali i zdumiewali się ludzie, widząc nas całych i zdrowych, wychodzących z takich miejsc i niebezpieczeństw, w których kości trzeba było zostawić. Ks. Jan szedł zawsze i prowadził mnie z sobą, rzec mogę, jakgdyby inny wzrok miał, dalej sięgający i pewność tę, iż nigdy się nie obłąka, a wszelkiego zła uniknie.

Po drodze też modlił się wesoło, śpiewał pieśni pobożne albo stawał wśród rozkosznych i pięknych widoków, sam się ciesząc niemi i mnie te cuda prawicy Bożej ukazując, a chwałę Stwórcy głosząc.

W Rzymie też tak się przygodziło, iż tu jakby na nas czekano, choć na świecie nikt wiedzieć nie mógł, ani się domyślać, kiedy przybędziemy.

Kleryk, którego w bramie zaraz napotkaliśmy, cudem znowu jakby okazał się Polakiem, nowicjuszem od dominikanów, z klasztoru tego, w którym nasz Ja-

cek święty niegdyś z Dominikiem przebywał. Był ów klasztor, acz niezbyt rozległy a wielki, podówczas jakby polskich pielgrzymów przytułkiem i gospodą. Kleryk też zaraz nas, niewielu słowy się rozmówiwszy, począł do niego prowadzić.

Byłoby zaprawdę ciekawem opisać, jak wyglądał Rzym ówczesny, ale się ja na to porywać nie mogę, bom w nim widział tylko małą cząstkę tego, co do oglądania było... a dziś i pamięć nie starczy, aby opowiedzieć o wiecznem mieście. To tylko wiem i pomnę, żem co chwila słupieć musiał i dziwować się jednemu światu powalonemu na ziemię, i temu, który na gruzach jego wyrastał.

Tak samo, jak Polaków, widzieć tu i spotykać było można i pielgrzymów ze wszech stron świata, językami różnemi niezrozumiałemi mówiących i chwalących Boga, a w Rzymie tym każdy znalazł tłumacza i gospodę, bo to była i jest stolica świata.

W klasztorze św. Dominika, który ani wielkością, ani wspaniałością się nie odznaczał, przeor przyjął ks. Jana wielce uprzejmie i naznaczył mu celę, przy której w korytarzu u drzwi miałem na noc posłanie, bom dobrodziejowi memu w jego modlitwach i rozmowach z Bogiem nie chciał przeszkadzać.

Jak się rzekło, znaleźliśmy tu już Polaków; był jeden ksiądz z Gniezna, od arcybiskupa posłany, a oprócz tego gromadka rycerska, jakem się dowiedział, pana Jędrycha z Tęczyna, który dla pobożności wędrował do Loretu, Rzymu i miejsc świętych.

Z tymi zaraz dnia pierwszego przy gościnnym stole (rozumie się, ja z czeladzią tylko, bom do panów przystępu nie miał) zabrałem znajomość. Młodzieży było kilku, Krakowian i Sandomierzanów.

Szeroko się rozpisywać nie będę nad tem, jakośmy z ks. Janem, bo ten mnie z sobą wszędzie prowadził, obchodzili miejsca, w których relikwje złożone były, modląc się i oglądając. I nietylko groby i kości męczenników, w każdym kościele i ołtarzu obfite, ale daleko droższe tu znajdowaliśmy pamiątki: drzewa krzyża

świętego całe sztuki, słup, przy którym Chrystus był biczowany, gwoździe, jakiemi Go na krzyżu przybito, suknie i szaty, które On i Matka jego nosiła. Anibym zliczyć mógł tych skarbów i świętości.

Ukazywano nam też owe miejsca, w których się krew męczeńska lała, jak to stoi w złotej legendzie i żywotach; więzienie Piotra świętego głęboko w ziemi, jako studnia wykute, gdzie źródło od tych czasów się sączy; miejsce, kędy Piotra, z Rzymu uchodzącego, Chrystus Pan spotkał i t. p.

Ale nadewszystko, com w życiu kiedy widział, podziwieniem i grozą przejął mnie ów niesłychanej wielkości gmach, w którym dziesiątki tysięcy ludzi mieścić się mogły, niegdyś służący do walk z dzikiemi zwierzęty, którym chrześcijanie na łup bywali dawani. Mury te, jakby nieludzką dźwignięte ręką, piętrzące się do góry, niby ze skały wykute, z głazów ogromnych spojone, już naówczas rozpadać się zaczynały i tak jak z innych, z nich też wywożono kamienie na nowe kościoły i domy.

Po ulicach i pustych rynkach, trawą pozarastałych, co było leżących, pokruszonych i całych kolumn z marmurów, jakich u nas sztuczka mała drogo się płaci, wyliczyć trudno. Można rzec, że tu stopa nie dotykała ziemi, nie potrącając o coś świadczącego, jaka to potęga legła w gruzy, aby chrześcijaństwu oczyścić pole.

Następnych dni zaraz czeladź szlachecka pana Jędrycha z Tęczyna ze mną się pobratała i poznajomiła. Starsi też, nie śmiejąc ks. Jana wypytywać, bo ten próżnych rozmów unikał, u mnie się o niego i o Kraków dowiadywali. Alem ja więcej, słuchając rozmów ich, nauczył się od nich, niż oni ode mnie, bo u ks. Jana przy celi siedząc, a do szkoły chadzając, poza ulicę św. Anny mało co wyjrzałem, i o to, co się działo w świecie, niewielem się troszczył.

Nie wystrzegano się mnie w refektarzu, gdy się na jedzenie zbierali wszyscy, panowie u przedniego stołu, my w kącie; miałem więc zręczność nasłuchać się

tu rzeczy o Polsce, o jakich wprzódy wcale wyobrażenia nie miałem, o czem rozpowiem zaraz, bo dla mnie to było dziwnem nad miarę i zdumiewającem.

W Wilnie byłem wychowany i nawykły żyć wpośród ludzi, którzy króla, a w. księcia litewskiego miłowali i szanowali go, a nigdym słowa uwłaczającego mu nie słyszał. Ja też, choć mało Kazimierza widziałem, czciłem go i uważałem jakby wyższą jakąś istotę nad wszystkimi. Jakież było osłupienie moje, gdy wpośród Polaków, którzy się tu zgromadzili około pana Jędrycha, usłyszałem po raz pierwszy wyrzekania przeciwko królowi, odgróżki, zarzuty i takie słowa, z których gniew tryskał. W początkach mi to było wcale niezrozumiałem i strasznem, jak świętokradztwo, sądzę, że dopiero później pojąłem lepiej, z czego to płynęło i do czego dążyło.

Nie ukrywali się z tem ci, co się obracali około pana z Tęczyna, a między nimi było i wielu duchownych, że króla Kazimierza obawiali się i mieli ku niemu niechęć wielką. Co więcej, ja, którym się wychował wśród Litwy, ród swój książęcy czczącej wiernie, a miłością go otaczającej wielką, dowiedziałem się tu dopiero, iż znaczna część Polaków po swoich Piastach utulić się nie mogła. Jagiełłowego rodu niecierpiała, a nawet go się pozbyć zamierzała. Duchowni też polscy wtórowali temu prawie wszyscy, na tem się opierając, iż Zbigniew, biskup krakowski, najgorzej o Kazimierzu wróżył, głosząc go wrogiem kościoła i władzy duchownej.

W Krakowie jeszcze miewałem częstą zręczność spotykania biskupa Zbyszka, który, jako zwierzchni opiekun Akademji, czynnie się nią zajmował i często w niej ukazywał. Widziałem też później następców jego na krakowskiej stolicy, ale żaden nigdy taką powagą i majestatem nie był okryty, jak on. Mógł stać obok króla z dworem swoim, z mnogą liczbą familjantów i klientów, a niekiedy wystawą i uroczystością wystąpień swych króla gasił. Wszyscy Tęczyńscy, Oleśniccy

z Sienna i z Dębna, Melsztyńscy i inni krakowscy panowie za nim szli, jako za wodzem.

Jakem się później przekonał, na sejmach i zjazdach, panom i szlachcie nietylko krakowskiej, ale innych ziem on rozkazywał, przodował, dawał znaki, co mówić i jak postępować mieli.

Nie miałem jednak, przebywając tu, ani pojęcia o tem, ażeby biskup przeciw królowi co knował i był mu przeciwnym; tu się z tem nie tajono i mówiono głośno.

Mój też ks. Jan, o którym trzymałem, że stanie w obronie króla, wprawdzie nie potępiał go, jak inni, ale też niebardzo bronił. Wszystkich to oburzało, że Kazimierz z potwierdzeniem przywilejów polskich bardzo się ociągał, a jawnie Litwie swej więcej sprzyjał. Posądzano go, że taką władzę Witoldową, jaką miał w Wilnie, chciał i w Polsce zaprowadzić, najwięcej zaś oburzano się tem, że już w początkach panowania, gdy stolice biskupie zostały opróżnione, nie dopuszczał kapitułom wyboru pasterzy, ale posyłał do nich i swoich im narzucał ludzi, nalegając, aby tych, a nie innych naznaczano.

Pan Jędrych z Tęczyna, owdowiały, bezdzietny, możny pan, człek już niemłody, pobożny bardzo, choć głównie odbywał wędrówkę dla pokłonienia się miejscom świętym, nie taił się z tem, że miał od biskupa Zbyszka zlecone uskarżać się na króla w Rzymie.

Tu mu też, jak się zdaje, ucho dawano, bo papież albo chciał zachować kapitułom prawo wyboru biskupów, lub sobie mianowanie pasterzy wprost z Rzymu. W tem choć się może różniono w zdaniach w Krakowie i Rzymie, na teraz szli wszyscy zgodnie, byle króla nie dopuścić.

Tych wszystkich rozmów o sprawach Polski w początku, słuchając, niewiele rozumiał, i nierychło mi się oczy otwierać zaczęły. Przyłożyło się do tego, iż w orszaku pana Jędrycha trafił mi się Litwin, niejaki Sliziak, człek już letni, który się przez pobożność do niego przyłączył, choć był sługą innego Tęczyńskiego.

Ten mnie naprzód po moim sposobie mówienia przeciągłym i śpiewającym poznał, żem na Litwie też chować się musiał.

Sliziak ten wcale osobliwie wyglądał i gdy się w ulicy lub w kościele pokazał, zwracał oczy wszystkich na siebie. Starzec był kościsty, silny, ogromny, a tak włosem obrosły cały, że na twarzy mało co policzków, nosa i czoła z pośrodka ich wystawało. Na ustach nawet i na nosie porastały mu włosy, choć rzadkie. Z rąk tylko dłonie nagie były. Nad oczami brwi spuściste tak zwisały, że ich mało co z pod nich świeciło. Głos miał gruby i zachrypły. Ale choć tak dziko i strasznie wyglądał, złym nie był, a pobożności nadzwyczajnej: gdy się jednak rozgadał, rozgrzał, czuć było, że w nim w średzinie ogień musiał gorzeć wielki. Kiedy milczał, to jak pień, oczy w ziemię wlepiwszy, a gdy począł mówić i rozruszał się, buchało z niego.

Sliziak ten, ledwie słowo z ust moich zasłyszawszy, gdy Litwina we mnie wytropił, spokoju nie miał, dopóki, wziąwszy na spytki, nie dobył ze mnie i tego, com chciał i co nierad byłem zwierzyć. Nie przyszło to odrazu, ale zwolna mnie tak ugłaskiwał, potrosze wyciągał, a za serce chwytał tem, że moje Wilno, które ja wspominałem zawsze z miłością wielką, tak, jak ja, kochał, a znał lepiej ode mnie.

Okazało się też, że widywał i oboje Gajdysów, wiedział o nich, a co dziwniej, o mnie nawet słyszeć musiał. Gdy się dowiedział, kto byłem, żem się tam na podzamczu wychował, nie wiem czemu, ale go to tak poruszyło, a do mnie uwiązało, żem po całych dniach musiał z nim gwarzyć i rozpowiadać o sobie. Nie porzucał mnie już, czemu zresztą rad byłem.

Całe to niespodziane dla mnie sieroty spotkanie było dziwniejsze jeszcze, że się on mną tak bardzo zajmował. Sliziak zresztą, czemum się dziwował, choć Litwin, tak, jak Polacy, króla nie lubił i z tymi trzymał, którzy na niego rzeczy niebywałe lub straszne wymyślali. Jam milczał lub bronić się starał. Sliziak mi tem

gębę zatykał, iż gotowąs jestem i rzeczy tych a spraw spełna nie rozumiem.

Mocno mnie to dziwiło, że stary się tak do mnie, chłopięcia obcego, przywiązał, a bardziej jeszcze zdziwiłem się, gdy po niejakim czasie począł mnie do stanu duchownego namawiać mocno, dowodząc, że jako sierota, najlepiejbym uczynił, gdybym, dostawszy się do Rzymu, tu do nowicjatu wstąpił i nigdy do kraju nie powracał.

Naówczas tegom sobie nie umiał wytłumaczyć, dlaczego tak był rad się zaopiekować mną, od ks. Jana oderwać i obiecywał nawet, iż pan Jędrych-by mi powagą swą wyrobił przyjęcie do nowicjatu u dominikanów.

Choć pobożny, nie miałem nigdy powołania szczególnego do zakonu, ani nawet do stanu duchownego, a wiek też mój za wczesnym był, aby o całem życiu rozstrzygać; opierałem się staremu, co nie przeszkadzało, że mi tem ustawicznie dokuczał. Naówczas wyznałem mu to, com na sercu nosił, iż postanowiłem koniecznie nieznanych mi rodziców szukać i znaleźć.

Tu już opowiedzieć muszę, jak wyznanie owo moje przyjął. Zerwał się, niem jakby przerażony i oburzony, choć nie pojmowałem, co go mój los miał tak obchodzić, i począł zaklinać gniewnie, ostro, wyrzucając mi opór przeciwko woli Bożej, odwodząc od tego, abym głupią myśl tę porzucił. Poruszonym był tak, jakby go to osobiście zabolało i dotknęło, czem mnie bardzo zdumiał i niemal przestraszył. Nie rozumiałem bowiem, jakąby to zbrodnią z mej strony być miało, że rodziców szukać chciałem.

— Przecież tyle rozsądku, choć młokos jesteś, mieć musisz — rzekł, — iż rozumiesz to, że gdy rodzice ciebie nie szukają, snać znać cię nie chcą i nie mogą! A i o tem wiedzieć powinieneś, że kusisz się o to, czego nigdy dokazać nie potrafisz, bo oni pewnie mają więcej rozumu i siły, niż ty; poddać ci się więc trzeba woli Bożej, a na świecie rodziny nie mając, szukać jej w familji świętych Dominika lub Franciszka, którzy radzi

przygarniają sieroty. Matką ci będzie kościół, ojcem patron, braćmi współzakonnicy, a szczęśliwszego żywota, jak w zakonie, nigdzie nie znajdziesz.

Ale Sliziak nietylko mnie tak starał się nawrócić, postrzegłem, że się umyślnie do ks. Jana z tem dostał i miał z nim długą rozmowę o mnie, usiłując go namówić, abym tu w nowicjacie był umieszczony.

Tegoż wieczora, gdym przyszedł po błogosławieństwo i rozkazy, a w rękę go całował, rzekł mi, uśmiechając się:

— Cóż to ten Litwin stary opiekuje się tak waszecią i chce was koniecznie do dominikanów oddać? Gdybyś w istocie powołanie miał, o czem zgoła wątpię, juściby lepiej przystało u nas u św. Trójcy, między swoimi szukać sobie braterstwa i przyjęcia.

Naówczas ja gorąco bardzo zaprotestowałem, że jako żywo do żadnego nowicjatu się nie napierałem, jak najdłużej pragnąc w usługach jego zostawać i do kraju powracać z nim, a tam czekać, co mi Bóg natchnie.

I ks. Jan, milcząc, głową tylko dał znak, że nie był temu przeciwnym.

Nie poprzestawszy na tem, Sliziak innych jeszcze środków zażyć próbował, aby mnie dominikanom oddać. Z pomocą więc pana Jędrycha samych tutejszych księży ujął, ażeby mnie ku sobie przygarniali.

Wszystko to we mnie obudziło jakieś dziwne podejrzenie, chociaż wytłumaczyć sobie nie umiałem wcale, jakieby pobudki Sliziaka czyniły tak gorliwym o mnie i przyszłość moją.

Wśród tych rozmów z nim, ponieważ umiał dobywać ze mnie wszystko, mowa też była i o krzyżyku, który na piersiach nosiłem. Sliziak mi inny, bodaj złoty i większy za niego ofiarował, chcąc dostać ode mnie, alem mu go tknąć nie dał.

Wspomniałem mu i o tem, jakom z Wilna do Krakowa jadąc, po drodze matkę spotkał i poznał — czemu on najgwałtowniej zaprzeczał, wyśmiewał mnie i długo nie dawał pokoju, usiłując wmówić, że mi się

to przywidziało, że osób do siebie podobnych niemało bywało na świecie, a moja matka pewnie oddawna już nie żyła.

Wkońcu temi naleganiami stary Sliziak tak mi się stał naprzykrzonym, żem go unikał, uchodził, zobaczywszy i zbywał milczeniem. Nic to nie pomogło: gonił za mną i pokoju mi nie dawał.

Z mowy mej mógł to wymiarkować, żem ja z Wilna wywiózł miłość i cześć wielką dla króla Kazimierza. Z osobliwą też natarczywością usiłował mnie ku niemu zniechęcić, wszystko, co najczarniejsze, na niego wymyślając. Ani wiem, jak to na młodociany i wrażliwy umysł mój nie podziałało, alem to często w życiu mojem na sobie i drugich wypróbował, że gdy zbytnio naciskano w jedną stronę, serce i głowa w przeciwną się przerzucały.

Takim był ów pobyt mój z ks. Janem w Rzymie, który, choć trwał niezbyt długo, wpłynął wielce na mnie, młodzieniaszka, głowę mi otworzył i świat rozjaśnił. Wcale innym powracać miałem, o samym kraju przywożąc z zagranicy wyobrażenie nowe i wiadomości, których nie miałem wprzódy.

Nawykły do szanowania duchowieństwa, ale razem i do czczenia króla, którego na Litwie niemal bałwochwalczo wszyscy wielbili, znalazłem się w dziwnej sprzeczności z samym sobą, pogodzić tego nie umiejąc, czego duchowni wymagali, a król się przeciwił i opierał. Zrodziła się we mnie wątpliwość, czy w istocie Kazimierz, pan nasz, miał słuszność, gdy przeciwko niemu był Rzym, ojciec święty, biskupi i niemal całe duchowieństwo.

Z drugiej strony okazywało się i to, że część duchownych z królem trzymała, jego popierała, i że w kościele też było rozdwojenie.

Na moją ciasną głowę wyrostka wszystkiego tego było za wiele i powstał w niej zamęt wielki. Sprawy to były mi obce, nie obchodzące mnie, ale zawczasu umysł miałem już taki ciekawy i niespokojny, który szczęścia nie daje. Takim mnie Pan Bóg stworzył!

Ks. Jan cały czas nasz pobytu w Rzymie spędzał na nabożeństwach i na szukaniu ksiąg, których mu było potrzeba. Tych i tu we Włoszech, choć na klerykach kopistach nie zbywało, za tanie pieniądze dostać było trudno. Sprzedawano rękopisy, przepisywane szybko, ukradkowo, dla zysku; gdy się w nich ks. Jan rozpatrywał, okazywały się tak błędnie i niedbale kopjowanemi, iż z nich nie można było spodziewać się pożytku.

Naówczas to ks. Jan, wzdychając i ukazując mi je, pierwszy raz myśl tę poddał, abym się kaligrafji uczył, ale nie miałem do tego ochoty wielkiej, ciągnęły mnie zawsze więcej rycerskie i dworskie sprawy, koń i zbroiczka, niż pulpit, pióro i pergamin.

Takeśmy czas najgorętszy przebywszy w Rzymie, wiele nabożeństwa zażywszy, wiele się nasłuchawszy, ja szczególniej, który po raz pierwszy byłem na takich godach, poczęli się zbierać do wyjazdu.

O sobie to tylko powiedzieć mogę, że mi się tu na wiele rzeczy pierwszy raz otworzyły oczy. Radbym był wielce tej podróży, pomimo niewygód i niewczasów, jakich zażyliśmy, gdyby nie Sliziak i nie jego zbytnie opiekowanie się. Dawało ono do myślenia i do domyślania się wiele, a potwierdzało mnie w tem, że jakaś tajemnica do urodzenia mego i losu przywiązaną być musiała.

Niedarmo przecie, dowiedziawszy się, kto byłem, Sliziak tak się do mnie przypił, tak nagle przystał do sieroty i w Rzymie go chciał na wieki za górami pomieścić, aby o nim więcej nie było ani wieści, ani słychu. Pewny byłem, że ten człowiek, który na Litwie bywał i Wilno znał, o Gajdysach wiedział, o mojem też pochodzeniu musiał coś mieć, a taił się z tem. Jawnem było, że mnie się ze świata, a przynajmniej z oczów pozbyć chciano.

Serce mi goryczą zapływało, gdym myślał o tem, a choć mały i słaby, mówiłem sobie, że mroki przebić muszę i dojść do rodziców, jeżeli żyją, a gdyby ich na świecie nie było, choć do świadomości o nich. Utrapienie to moje, myśli, z któremi się kryć musiałem, przy-

czyniły się do tego pewnie, żem nad wiek mój spoważniał i dojrzewał.

Gdy się zbliżyła godzina, w której nareszcie Rzym opuścić było potrzeba, ks. Jan podwoił nabożeństwa, a ja z nim, alem podołać temu, co on, nie mógł. Choć we dnie skwar był okrutny, czasem taki, że w ulicy i psa nawet nie było widać, bo się wszystko chowało po kątach i w cieniu, nocami chłód przejmujący doskwierzał; a ks. Jan noce spędzał często na modlitwie, krzyżem leżąc.

Z tego, czy z wody, której się piło dosyć, fig i owoców dokładając, pod koniec dostałem febry srogiej, która mnie kilka dni w łóżku trzymała, a gdy aptekarz dominikanin jakiemś lekarstwem gorzkiem i krzyżem świętym ją przepędził, została mi po niej słabość taka wielka, iż zdawało się, że zostać będę musiał w Rzymie, bo nie wytrzymam podróży. A niczegom się tak nie lękał jak tego, bom koniecznie do kraju pragnął powracać i modliłem się o to do ks. Jana, który miał litość nade mną.

Szczęściem dla mnie, złożyło się tak, iż pan Jędrych z Tęczyna z Rzymu też do Polski powracał. Jął więc namawiać ks. Jana, aby wedle uczynionego ślubu pieszo podróż odprawiwszy, z nim razem na wozie lub na koniu do Krakowa jechał, na co opiekun mój wkońcu przystał, nie tak dla wygody, jak dla pośpiechu, gdyż tęsknił za Krakowem, kościołem swym i ulicą św. Anny.

Mnie też na wozie przeznaczono miejsce, i Panu Bogubym za to dziękował, bo mi się na nogach długo jeszcze utrzymać było trudno, ale mi strach było Sliziaka, który już namowami swemi srodze mi dojadł i dokuczył.

Nie zdoławszy mnie w Rzymie porzucić, teraz jedno kładł w uszy ciągle, żebym nadziei niedorzecznych i starania o wyszukanie rodziców wyrzekł się, bo inaczej zgotuję sobie zgubę i gniew Boży.

Opuściliśmy tedy Rzym, progi apostolskie ucałowawszy, a wyznać muszę, że choć mi z powrotem

pilno było, przecież zrodził się żal za temi miejscami świętemi.

Słyszałem tam opowiadających, iż była woda jedna w Rzymie, która taką własność miała, iż kto się jej raz napił, miał wieczne jej pragnienie.

Oglądaliśmy się też, z miasta wyciągnąwszy, za niem, choć prędko znikło nam z oczów i otoczyła nas ta równina pustynna, przez którą tylko szlak, kamiennemi płytami wyłożony przed wieki, prowadził, a po obu jej stronach, jak pagórki, stały rumowiska, które pogańskiemi grobami opowiadano.

Drugiego dnia wieczór jużeśmy z pustyni, okalającej Rzym, wjechali w góry bardzo piękne a wąwozy, gdzie trzeba było jechać bacznie a zbrojno, bo po drogach rozbijano, a mijaliśmy niemało mogił i krzyżów, które o tem świadczyły.

Choć pan Jędrych z Tęczyna towarzyszył nam, w powrocie też nie mijaliśmy żadnego kościoła, miasta, klasztoru bez nabożeństwa, więcej po klasztorach stając na noclegi, niż po gospodach. Podróż w istocie mniej trwała, niż gdyśmy pieszo z ks. Janem te przestrzenie przebywali, a nie wiem, czemu wydała mi się ona teraz dłuższą i przykrzejszą, choć na niczem mi nie zbywało.

W miarę, jakeśmy się ku Krakowu zbliżali, już mi moja izdebina, kolegja i ulica i towarzysze szkolni tak żywo w oczach stali, żem o nich śnił nocami.

Do granicy się zbliżywszy, pan Jędrych z Tęczyna nawrócić musiał do swoich majętności, nam zaś resztę drogi przyszło odbyć pieszo, ale mnie już sił wróciło trochę, a radość ich dodawała.

Gdy z noclegu rozstawać się trzeba było z Tęczyńskimi ludźmi, Sliziak mnie wziął jeszcze na stronę. Wiedziałem, co mi prawić będzie. W istocie począł stary od tego, iż ze łzami w oczach, gorąco bardzo naprzód usiłował mi dowieść, że dla mojego własnego dobra tak się troszczy o mnie.

— Chcesz-li spokojnym być, a życia sobie nie zatruć — rzekł mi, — słuchaj rady mojej: rzuć próżne starania o dochodzenie tego, czego wiedzieć nie powi-

nieneś. Masz przecie rozumu tyle, aby rozumieć, że jeśli rodzice się ciebie wyrzekli, to nie bez słusznych powodów. Zadałbyś im przykrość i boleść może, odkrywając, co oni chcą mieć zatajonem.

— Miły panie — odpowiedziałem mu, — mało rozumu mam, młody jestem, to pewna, ale tyle wiem, że obowiązkiem rodziców dzieci nie opuszczać. Nie obwiniam ja ich o to, że się mnie tak okrutnie pozbyli: sprawa to jest złych ludzi, ich nieprzyjaciół, Bóg wie! Którażby matka dziecko własne mogła odtrącić?!

— A! a! Jaszku mój! — odparł Sliziak, — zielono u ciebie w głowie, zielono! Świat ma wiele tajemnic, które dopiero później ci się odsłonią. Bądź bacznym, jesteś na dobrej drodze przy wielce świątobliwym człowieku, do stanu duchownego powinieneś się gotować i szukać szczęścia w Bogu.

— Tak — odparłem śmielej, — jabym też nie pragnął nic, tylko powołania tego stać się godnym, alem nie winien temu, że mnie koń, zbroja i rycerstwo pociąga więcej, niż klasztor.

Oburzył się na to Sliziak.

— Roisz to sobie — krzyknął — a wmawiasz. Co cię czeka w rycerskiem rzemiośle? Pacholikiem i służką będziesz musiał być przez życie całe, tarczę lub miecz za drugimi nosząc, bo rodziców nie znając, szlachectwa nie masz.

— Albo się go to na polu bitwy dorobić nie można — odparłem. — Słyszałem przecież nie o jednym, którego królowie w bitwie rycerzem pasowali. A bez szlachectwa — dodałem — wy to wiecie, jako ja, iż w stanie duchownym daleko zajść nie można. Dla szlachty tylko są dostępne beneficja i prelatury.

— A w klasztorze źle? — zawołał Sliziak. — Prałaci i biskupi brzemiona mają nie do pozazdroszczenia.

Nie chciałem się sprzeczać z nim, alem przy swojem pozostał; tak rozstawszy się niemal u wrót Krakowa, szliśmy dalej, a nigdy ks. Jana tak wesołym i dobrej myśli nie widziałem, jak tych dni ostatnich. Troszczył się tylko, żebym nie pogubił sakw, w któ-

rych parę ksiąg niosłem, a oczy mu się śmiały, w stronę ku miastu swojemu poglądając.

W Krakowie się nas pono tak rychło nie spodziewano.

Szliśmy naprzód z dziękczynieniem do grobu świętego Stanisława, przy którym się pomodliwszy, ks. Jan z wesołą twarzą do swej celi pośpieszał. Lecz już w ulicach, kto go ujrzał, biegł do ręki i do błogosławieństwa, a zobaczywszy, radowali się wszyscy tak, że za nim szli i nimeśmy do kolegjum podążyli, cały sznur ciągnął za nami.

Był już naówczas mój ks. Jan w takiej sławie świątobliwości wielkiej, że go za życia błogosławionym uznawano, powracał z Rzymu uświęcony jeszcze pielgrzymką i błogosławieństwem apostolskiem, więc choć skraju sukni jego każdy chciał dotknąć, choć słowo z ust jego posłyszeć.

Mnie też dawni towarzysze opanowali, abym im prawił o podróży, dziwując się, żem się opalił, schudł, a drudzy powiadali, żem urósł. Chociaż z Rzymu pobłogosławionych medalików, paciorków i różnych świętości dosyć się przyniosło, ale niemi nastarczyć nie było sposobu.

Znużenie drogą mnie się następnych dni tak mocno dało uczuć, żem pokładać się musiał, a na księdzu Janie nic nie było widać, krom wielkiej pociechy, że ślub swój spełniwszy, do celi powrócił. Nazajutrz dawny swój tryb życia rozpoczął, na jeden włos nie odstępując od niego.

Cieszyło mnie to, że pytany o mnie, świadczył, żem w podróży zawadą mu nie był i dobrze się sprawował.

Przez dość długi czas potem żadnej zmiany w życiu mojem nie było. Uczyłem się pilno, bo choć stan duchowny nigdy mi nie smakował, do nauki wstrętu nie miałem, i owszem, ciekawość wielką.

I to mi ks. Jan przenikający myśli naganiał, właśnie powiadając, że nauka dobrą tylko jest, gdy Bogu służy i dla niego się nabywa, a złą, gdy syci próżną ciekawość i od Boga odwodzi.

Dnia jednego, gdym ulicą przechodził podle dworca biskupiego, około którego, jak na zamku, zawsze tłumno było i gwarno, bo ks. Zbyszek wysoko stał i z królem narówni się niemal liczył, postrzegłem znajomych mi ludzi pana Jędrycha z Tęczyna, których w podróży mieliśmy z sobą. Ci mnie jednak nie widzieli, czy nie poznali. Może przykre wspomnienie Sliziaka, czy nie wiem już co, tak mnie pognębiło, żem do kolegjum powrócił z obawą jakąś i złem przeczuciem.

Samem to sobie wyrzucał, bo cóż był za związek między mną a ludźmi tymi i czegom się miał lękać? Ale niejeden raz w życiu trafiało mi się już zło, którem groziło przeczucie.

Aliście drugiego dnia ks. Jan, powróciwszy do celi swej z miasta, zawołał mnie do siebie. Znalazłem go z twarzą posępną przechadzającego się po izdebce.

Zobaczywszy u progu stojącego, podszedł naprzód ku mnie i po głowie pogłaskał. Niezwyczajna to była pieszczota i uląkłem się jej trochę, czując, że coś niedobrego ułagodzić miała. Drżałem, rękę jego całując.

Ks. Jan stał, z politowaniem jakiemś patrząc na mnie, jakby mu do słowa przyjść było ciężko.

— Dziecko moje. — począł zwolna — dziecko moje, woli Bożej a rozporządzeniom starszych opierać się nie potrzeba. Nie jesteś takim sierotą, jak ci się zdaje; litościwi ludzie opiekują się tobą.

Słuchając, serce mi biło, jak młotem.

— Pasterz nasz przewielebny, a znaczny w kościele i Rzeczypospolitej mąż, ks. Zbyszek, zasłyszał o tobie. Pochwalono cię przed nim, a młodzieży na dworze potrzebuje. Chce cię wziąć do siebie, odrzucać tego się nie godzi.

Stałem osłupiały.

— Niechętnie się z tobą rozstaję — dodał ks. Jan, uderzając mnie po głowie, — ale rozkazowi biskupa opierać się nie mogę. Później, któż wie? zmienić się to może. Na dworze pasterza, w jego kancelarji wiele się możesz nauczyć i skorzystać, a gdy on zechce się zaopiekować, łatwo dojdziesz do wszystkiego.

Opierać się nie mogłem, ale łzy mi się puściły z oczów; oświadczyłem wreszcie, iż radbym przy nim pozostał i że nie pragnę teraz nic więcej.

— Posłusznym być powinieneś — dodał ks. Jan — pierwsza to w młodym cnota, a i w starych ona dobra. Składa się tak, musi w tem być wola Boża. Biskup mi polecił, abym cię przysłał i abyś się do marszałka dworu jego, Doliwy starego, zgłosił, który młodzież ma pod swym dozorem. Nie zamęczą cię tam pracą, bo biskup ma dwór i ludzi wielu.

Płakałem ciągle, łez nie mogąc powstrzymać, wkońcu nogi jego ucałowawszy, błogosławieństwo otrzymawszy, widząc, że niema innej rady nad posłuszeństwo, węzełek mój wziąwszy, z oczyma jeszcze od łez zaczerwienionemi szedłem do dworca biskupiego.

Świat tu inny był, a po spokojnej celce księdza Jana zrazu w tym gwarze rozpoznać się i oprzytomnieć było trudno.

Żaden z dawniejszych i późniejszych biskupów nie dorównał Oleśnickiemu ani rozumem i powagą, ani splendorem i potęgą. Ci, co go nie znali i za tych nie żyli czasów, z trudnością mogą sobie o tem uczynić jakie wyobrażenie...

Za panowania Jagiełły i pierwszego syna jego — mocarzem był, drugim królem, przed którym sam król drżał nieraz. Nie lękał się nikogo i nikt mu się sprzeciwiać nie śmiał, a kto się porwał, ten był nielitościwie zgnieciony. Co miało Krakowskie i wszystkie kraje sąsiednie mężnych panów, słuchało Zbyszka i szło za nim. On kierował wszystkiem i wszystkimi. Około niego też zawsze gromadniej było, niż nieraz przy królu samym. Miał straż swoją zbrojną tak odzianą i utrzymaną, że z królewską szła o lepszą, miał urzędników swych i kancelarję, kanclerza, kapelanów, marszałka, podczaszego, siła urzędników, a całe duchowieństwo, można powiedzieć, było wojskiem pod jego rozkazami. Poza granice diecezji przez rody możne sięgał wpływ jego do skrajów Polski na obczyznę.

Słał król posłów do Rzymu, wyprawiał ich Zbyszek. Pieniędzy mu nie zabrakło nigdy, bo ich nawet pożyczał Warneńczykowi, w zastaw biorąc całe księstwo.

Słowem, potęga to była, która nawet tronem zatrząść mogła.

Jakem się tu znalazł wśród zupełnie obcych ludzi z początku onieśmielony i drżący, jak mnie Doliwa stary przyjął, opisywać nie warto. Musiałem pod wieczór z nim razem iść przedstawić się biskupowi, który o losie moim miał stanowić.

Dworzec biskupi, choć nazewnątrz wspaniałym nie był i niewiele obiecywał, w środku po książęcemu i wspaniale był przybrany. Nigdy w życiu nic podobnego nie widziałem, a ten przepych i złoto w pierwszej chwili olśniły mnie tak, żem głupszym się wydać musiał, niż byłem w istocie.

Komnat było wiele, bo ks. Zbyszek zawsze przyjmował garnących się i codzień u niego przepełnione były stoły i izby.

Na ścianach obicia, na podłogach kobierce, stoły świecące, obrazy złociste, naczynia srebrne i wyzłacane, służba, wszędzie czekająca rozkazów, uniżoność, z jaką się do biskupa zbliżano, we mnie chudzinie musiały wywrzeć wrażenie przygniatające.

Ujrzałem nagle przed sobą mężczyznę dosyć słusznego wzrostu, pełnego ciała, z twarzą piękną, ale surową, z majestatem takim, iż nie we mnie tylko trwogę wrażał. Spojrzenie jego przeszywało.

Doświadczyłem tego, że i ks. Jan czytał w duszy, ale wzrok jego schodził w głąb człowieka, jak promień słoneczny, grając i żywiąc: biskup zdawał się człowieka w proch obracać.

Gdym wszedł, ciągnąc powoli za Doliwą, do izb, w których już było ciemno i woskowe tylko świece na stole mrok rozpraszały, ks. Zbyszek w milczeniu mi się jął przypatrywać długo. Kazał mi stanąć nawet tak do światła, aby twarz mógł widzieć. Zmarszczony groźnie, chmurny, ustami poruszając, a nie mówiąc nic,

dumał długo. Naostatek odezwał się głosem potężnym, powoli:

— Ty to jesteś, coś się wychował w Wilnie, sierota?

Ledwiem umiał coś przebąknąć.

— Tak, sierota jesteś — dodał z naciskiem — i dlatego chcę się losem twoim zająć, aleś na to zasłużyć powinien... niecierpię u mnie krnąbrności!

Nie odpowiadałem nic. Dorzucił po chwili:

— Sukienkęby ci duchowną oblec należało! Umiesz co?...

Z moich słów niewiele się pewnie biskup mógł nauczyć, plątałem się i jąkałem, wejrzenie jego przerażało mnie. Musiał widzieć, żem drżał cały. Pomimo to kłamać nie chciałem i tłumaczyłem się, że sam siebie nie znałem jeszcze.

— A przecieżeś pielgrzymkę pobożną z ks. Janem odbył i chwalił cię — rzekł biskup.

Nie mogę już dziś spełna przypomnieć rozmowy tej, wiem tylko, że Doliwa się też do niej mieszał i że koniec końcem biskup mnie do kancelarji swej kazał przyłączyć, dodając:

— A co później będzie, i do czego się okaże przydatnym, zobaczymy.

Podał mi odchodzącemu rękę do pocałowania i pobłogosławił. Nie groził mi, nie straszył, nie rzekł złego nic, przecież, gdym z Doliwą z tego posłuchania powracał, pot mi się lał z czoła i czułem trwogę niewypowiedzianą.

Tak się rozpoczął pobyt mój i służba na dworze ks. Zbyszka. W kancelarji, gdzie nas było kilku, gdy mi się popisywać kazano z kaligrafją, okazało się, żem jak kura grzebał i omyłki robił, nie zdałem się na nic.

Po kilku dniach przesadzono mnie do służby bocznej w izbie i przy biskupie. Nie gniewałem się za to, bom wolał być pod władzą Doliwy i za stołem a pulpitem nie siedzieć, a miałem też zręczność przypatrywać się tu wszystkiemu, gdy z kancelarji niewiele było widać.

Zaprawdę, nie do wiary to być może, co powiem, że na tak wielkim a poważnym dworze, jakim był Oleśnickiego, błaznów i trefnisiów, lub obowiązki ich pełniących było więcej, niż gdzie indziej. Prawda, że ani na królewskim, ani na możnych dworach innych ich nie brakło, lecz po surowym a poważnym biskupie trudno się było domyślać, ażeby on takiemi swawolnemi słowy, a ladajakiemi wymysły wartogłowów mógł się zabawiać. Przecież powszechnie to było znanem i wyrzucano nawet biskupowi Zbyszkowi, iż się błaznami rad otaczał. Ale bliżej poznając życie jego, dziwić się temu nie było można.

Większą część dnia spędzał on na naradach, w księgach, na poważnych rozmowach, często na nużących sporach, bo sprawy, nieraz gorzkie, przychodziły codzień; pod koniec więc dnia, przy jedzeniu, gdy błaznowano około niego, a trefnisie do śmiechu pobudzali, choć tem się mógł cokolwiek rozweselić i wypocząć.

Niejeden człek poważny, choć niebardzo mu się śmiać chciało, znając to usposobienie biskupa, silił się, aby błaznować; ale na dworze było dwu i obaj szlachcice, tylko, że się do swych szczytów i nazwisk nie przyznawali, którzy obowiązki dworzan pełniąc, choć błazeńskich cepów i dzwonków nie nosili, pełnili funkcje ich. Zwano jednego Kołkiem, a drugiego Sroką, ale to były przezwiska, nie imiona, o które nawet Kołkowie z Czeluśnicy, szlachta, gniewali się na pierwszego.

Kołek był mężczyzna słuszny, chudy, gibki, zręczny, średnich lat, z natury swej człek ponury, tetryk, który, gdy sam na sam z sobą pozostał, siedział, mało nie płacząc, a gdy błaznował, równego mu nie było. Potem się zamknąwszy w izbie, gdy służba przeszła, przystępu do siebię nię dawał. Zły bywał. A czasu obiadu lub wieczerzy przed biskupem i słowem, i ruchami, i twarzą, którą wykrzykiwać umiał, jak nikt, najsmutniejszych do śmiechu serdecznego pobudzał.

Sroka mały, okrągły, jak baryłka, ani rozumu tyle, co pierwszy, ani dowcipu, jak on, nie miał, ale złość i zgryźliwość okrutną. Nie darował nikomu. Podpa-

trywał wszystkich, szpiegował, tropił i miał największą przyjemność, gdy mógł publicznie zawstydzić i upokorzyć; ale wiedział, kogo zażyć, nie zaczepił nigdy tych, co u biskupa byli w łaskach, a jeżeli im się dostało, to tak lekko, że gniewać się nie mieli za co... niemiłych zaś panu ścigał nielitośnie, a i swoim osobistym nieprzyjaciołom nie przebaczał.

Oprócz Kołka i Sroki, których już wszyscyśmy znali, że od tego byli na dworze, aby zabawiali ks. Zbyszka, inni też ważyli się często u stołu i po stole występować z konceptami i takiemi płochościami, które rozśmieszyć mogły.

Zaprawdę, naszemu dworowi i obyczajowi dawało to osobliwszą cechę, bo pół dnia ważyły się tu sprawy znaczenia największego, rozstrzygały losy Rzeczypospolitej, składały narady, na które zjeżdżali się najwyżsi urzędnicy i głowy rodów, schodziło się duchowieństwo po rozkazy, rozstrzygały kościelne interesy... a gdy to wszystko się skończyło, biskup w rozrywce dziecinnej szukał wytchnienia i tak się śmiał, trzymając za boki, jakgdyby rano nie piorunował i nie był najsurowszym z sędziów.

Ludzie tacy, jak był Oleśnicki, nie rodzą się na kamieniu i nie wiem, czy Polska rychło ujrzy drugiego, podobnego mu. Stworzony bowiem był do panowania nad umysłami, a miał w sobie przekonanie o tem, że nie do czego innego był przeznaczony, szedł więc śmiało a butnie, niczego się nie lękając.

Za Jagiełły jeszcze, kiedy się z husytami zadarł, grozili mu śmiercią; przestrzegano go, że na ranną mszę zimą idącego do katedry napadną i zabić się sprzysięgli. Za nic to sobie ważył i jak chodził z jednym klerykiem wprzódy, który przed nim latarkę nosił, tak i potem więcej nikogo nie brał. Nie ważył się na niego nikt.

Na dworze biskupim, jakem już mówił, panował ruch i zajęcie takie, że chwili spoczynku nie miał nikt, a on sam najmniej. Dodnia wstawał na modlitwę, mszy świętej słuchał, potem sam ją odprawiał, a ledwie się nabożeństwo skończyło, czekali już księża,

dowiadywali się panowie i senatorowie, kiedy przypuszczonymi być mogą.

Mnie, który z Wilna wyniosłem cześć wielką i miłość dla panów naszych, a szczególniej dla króla Kazimierza, poraziło to, jak piorunem, gdym się znalazł na tym dworze, na którym inaczej, jak ze wzgardą, gniewem, z pogróżkami, z lekceważeniem nie mówiono o nim. Nie mieściło się w mej młodej głowie, jak mogli ludzie ważyć się na tego, który był panem, nastawać tak jawnie, zemsty się jego nie lękając.

Po raz pierwszy poczęły się obijać o uszy moje wszelkiego rodzaju zarzuty przeciw Kazimierzowi. O ile go na Litwie kochano i czczono, tu nienawidzono... a naprzód mu to zadawano, że sercem z Litwą był, że Litwie sprzyjał i przezywali go Litwinem.

Ks. biskup Zbyszek, choć na tron synów króla Jagiełły prowadził i królowej matce pomagał do tego, ażeby się utrzymali na nim, teraz głośno mówił, że źle uczynił, że potrzeba było naówczas, gdy Kazimierz się opierał, gdy już Bolesława mazowieckiego okrzyknięto królem, Piasta utrzymać, bodaj przyszło stracić Litwę.

Z przestrachem przekonałem się, że się tu na formalną wojnę przeciwko królowi gotowano. Biskup już w małych rzeczach oporem Kazimierza rozdrażniony, odgrażał się, że go nazad na Litwę odeśle i z tronu obali, jeżeli praw kościoła szanować nie zechce.

Króla Kazimierza dotąd mało co widywałem, chociaż twarz jego z Wilna dobrze mi się wbiła w pamięć... rad więc byłem, gdy po powrocie jego do Krakowa, Zbyszek naradziwszy się ze swymi, dnia jednego z katedry na zamek się udał, a my też, jako dwór, z nim ciągnęliśmy.

Ks. Zbyszek miał z sobą Jana z Tęczyna starego i Dobka z Oleśnicy, a że na zamku chciał się pokazać w całym blasku swoim i potędze, dnia tego ciągnął z nim dwór postrojony, urzędnicy, czeladź. On sam w biskupich sukniach uroczystych, poprzedzany krucyferem, otoczony tą świetną gromadą, poszedł z katedry na zamek, gdzie się snać spodziewano go.

Wyszli urzędnicy królewscy na powitanie biskupa aż do przedniego ganku, ale król dopiero w sali u progu na niego czekał. Dwór pański był też wspaniały i liczny, a tego dnia z szat nowych widać było, że się nie chciał dać zaćmić.

Król Kazimierz, przystojny, poważnego oblicza mężczyzna, młody jeszcze, z włosem długim, płci śniadawej, stawił się z poszanowaniem, ale jak na pana przystało... Choć w młodym, widać było majestat, który i przed biskupim się nie uginał.

Ks. Zbyszek tem śmielej, a można powiedzieć zuchwalej, poczynał sobie z królem, niewiele mu okazując uszanowania. Prawda, że od dziecka go znał i w pieluchach widział, ale dziś on starym był, a król w sile wieku i władzy.

W drugiej izbie oczekiwała królowa matka, która się tam znalazła pewnie, aby między biskupem a synem nie dopuścić waśni. Widziałem ją tylko zdala... Niemłoda już, osiwiała, strojna bogato, miała jeszcze czarne oczy królewskie... Drzwi się potem za nią zamknęły i tylko z za nich czasem słyszeć było wywoływania głośniejsze, które zdradzały Zbyszka.

Trwało to posłuchanie przeszło godzinę, w czasie której dwór też królewski z dworem biskupim w antykamerze tak na siebie spoglądali, jakby się na rękę wyzywać chcieli. Nikt jednak nikogo zaczepiać nie śmiał inaczej, jak oczyma i postawą, bośmy mieli rozkazy, aby do żadnego sporu nie dawać powodu. Królewscy też, choć szeptali i drwili, robili to tak cicho, iż tylko domyślać się mogliśmy, że to z nas.

Wystawszy tak czas niemały, gdy biskup, zimno przez króla pożegnany, nazad ruszył, my za nim w porządku poszliśmy i w milczeniu. W podwórzu dopiero ks. Zbyszkowi i nam się usta otworzyły. Nikt się tam pewnie naówczas tak pilno królowi nie przypatrywał, jak ja, bom czuł się ku niemu pociągnionym wielce, ale z twarzy jego mało co mogłem wyczytać, krom powagi nad wiek i siły wielkiej, a twardego zamkniętego w sobie charakteru.

Wszyscy o nim lekceważąco powiadali, że do ojca Jagiełły podobnym był bardzo, jak on rozrzutnym, jak on zapalonym łowcem, a z tego pono ciągnęli wniosek, że słabym być musiał, jak ojciec. Ale mnie się to nie zdawało.

Boże, mi przebacz, iż go posądzam, a zda mi się, że właśnie biskup Zbyszek za to na niego gniewnym był i niechętnym, że spodziewając go mieć sobie posłusznym i słabym, twardym go znalazł.

Teraz biskup między innemi zawczasu zapowiadał, że Kazimierz pewnie zechce wojować z krzyżakami, że na to szlachta mu poboru, akcyzy nie da... i że pewnie sięgnie do dóbr, a nawet do skarbców i sreber kościelnych.

Tu gotowano mu się ostateczny stawić opór.

Niewiele naówczas rozeznania miałem i rozumu, ale mi na myśl przychodziło, iż biskup radby był śmiałemu wystąpieniu króla, aby z nim wojnę rozpocząć. Słyszałem nie jeden raz wieczorami, gdy sam na sam byli ze starym Tęczyńskim, jak ks. Zbyszek powiadał wyraźnie:

— Nałamać go potrzeba koniecznie, inaczej na kieł weźmie i ani rady, ani nas, duchowieństwa, nie poszanuje. Tak było w początku ze starym Jagiełłą, gdy tylko co przybywszy do Polski, chciał się tu rządzić po litewsku i mazowieckiemu szwagrowi swemu nadał ziemię, nie pytając o to nikogo. Aleśmy naówczas wnet pohamowali go i później na pasku chodzić musiał. Opiera się i ten młokos, a no, złamać go musimy i póty walczyć z nim, aż się podda. Pókim ja żyw, nie ustąpię mu kroku; gdy mnie nie stanie, pamiętajcie wy naówczas, żebyście sobie jarzma litewskiego na szyję włożyć nie dali.

Przez długi czas w mojem położeniu na dworze tym nic się nie zmieniło. Mnie tu uważano za obcego i przybłędę; jam do nikogo przystać nie mógł, ale miałem tę ślimaczą naówczas naturę, żem, czując niebezpieczeństwo, rogi chował i zamykał się w skorupie mojej. Służba nie była ciężka, choć nieustannie na no-

gach, pilnowałem się, aby mi nic zadać nie mogli; zresztą mało kto na mnie zważał i dbał o mnie.

Dworzanie biskupa, wszyscy niemal Krakowianie lub Sandomierzanie, Litwinem mnie prześladując, za coś pośledniego mając, odstręczali od siebie tak, że z nikim nawet przyjaźni nie zawiązałem.

Ks. Jana widywałem zrzadka. Stawał dobry mój opiekun, spotkawszy się ze mną w ulicy, uśmiechał mi się, wypytywał, pocieszał, bo czuł to dobrze, on, co w duszach ludzkich tak czytać umiał, że mi na dworze tym nie szło po myśli. Skarżyć mi się nie dawał, bo jak sam był zawsze uśmiechnięty i anielskiej cierpliwości, tak i drugich w tę cnotę rad wdrażał.

Tego czasu, jakem już pisał, wielka pobożność i świątobliwość życia nietylko w Krakowie, lecz pono i po całym panowała świecie. Wyprzedzali się ludzie w służbie Bożej, zapominając o sobie... Nie zbywało u nas na takich mężach, o których kilku już rozpowiadałem, jako o księciu Michale i szewcu Świętosławie, aliści gruchnęła nagle wieść, że się zjawił mąż taki święty, który ognistem słowem tłumy i rzesze nawracał, a prowadził, kędy chciał.

Święty ten człek w prostej odzieży, sznurem przepasany, przechodził kraje, a wszędzie po sobie jakby drogę ognistą zostawiał... Biegli ludzie na głos jego do nowych klasztorów reguły św. Franciszka, do której i on należał, szli na wojnę przeciw poganom, odprawiali pokuty publiczne. Z papieskiemi listami, polecającemi go, przebiegał on tak różne kraje, a jednego dnia biskupowi doniesiono, iż na Morawie miał gościć.

Naówczas Zbyszek uniósł się bardzo, ręce składając i wołając, że trzeba go koniecznie do Krakowa sprowadzić, że listy pisać będzie i u króla je wyprosi, a chce mieć świętego męża tu, gdzie wiara słabła i było powinnością rozbudzić ją.

W istocie cuda o tym włoskim mnichu, Sycylijczyku, którego zwano Janem Kapistranem, rozpowiadano.

Pomnę, że gdy się o tem rozmowa wzięła, a biskup unosił bardzo, Kolek, który na pokojach był, ośmielił

się uczynić uwagę, że języka naszego nie znając, choćby najwymowniejszym był, u nas tylko niewielkiej liczbie wybranych będzie zrozumiały.

Zgromił go ks. Zbyszek.

— Duch święty daje — rzekł — dar języków apostołom, ale i ludziom też, gdy na to zasługują, dar pojmowania nawet niezrozumiałej im mowy. Cuda czyni gdzie indziej, jeśliśmy warci, staną się i u nas cuda.

Nie miał tedy pokoju biskup, obawiając się, aby Jan Kapistran nie wyminął Polski, aż w kancelarji wystosować do niego kazał list, którego sam dopilnował, a potem do króla pobiegł, domagając się też pisma. A wyrobił to przez królowę matkę, która rada była biskupa zjednać i przejednać, więc póty syna namawiała, aż posłuchał jej i wyprawiono list zapraszający, który powiózł ulubiony biskupowi kapelan jego, a zalecono mu było z największą pokorą stanąć przed mężem świątobliwym i błagać go a nakłaniać, ażeby nie omijał Polski.

Był też, jakem się dowiedział później, Kapistran przez papieża mianowany wielkim inkwizytorem, i wszelkie kacerstwo miał prawo dochodzić i karać. Biskup rad był postrach rzucić na tu i owdzie jeszcze w Polsce błąkających się husytów, o których i w Krakowie rozpowiadano, że się potajemnie zbierali na jakieś świętokradzkie nabożeństwa i komunję pod obydwiema postaciami swoim wiernym rozdawali.

Jeszcześmy nie wiedzieli, czy mąż święty skłoni się na prośby króla i biskupa do tego, aby Kraków odwiedził, gdy już wszyscy byli jakby gorączką jakąś opanowani. Nie mówiono, tylko o nim, nie myślano, tylko o tym nowym apostole, nie oczekiwano nic, tylko jego przybycia.

W klasztorach na intencję tę, aby nie minął Polski, odprawiano nabożeństwa. We dworze biskupim od rana do nocy słychać było tylko o nim. Rozpowiadano, że gdziekolwiek był dłużej, wszędzie tylu mu się do jego zakonu i reguły wpraszało ludzi, iż nowe klasztory powstawały, jako grzyby.

Słyszałem, jak biskup mówił:

— Daj Boże, aby się u nas też znaleźli ochotnicy, natychmiast plac, do brata mego należący, pochwycę, choć mocy do tego nie mam, i klasztor im w mgnieniu oka wystawię.

Niepewność zrazu była wielka, zechce-li przybyć, bo go na wsze strony rozrywano. Kapelan posłany nie powracał. Wyglądano, czekano, aż naostatek przyjechał i radość była nie do opisania, gdy się zaraz po mieście rozeszło, że Jan Kapistran przybycie swe obiecywał rychło.

Było to zwycięstwo biskupa, które go tak na chwilę uszczęśliwiło, że o niechęci swej dla króla zapomniał. Jużciż zaprzeczyć nie można, że o chwałę Bożą troskliwym był, jak mało kto, ale i to go cieszyło, że on pierwszy zażądał tego i sprowadził.

Król też, choć na Litwę miał jechać, uczynił to, że się wstrzymał i na przyjazd świętego męża chciał czekać, aby go z królową matką razem przywitać.

Jeszcześmy nie wiedzieli na pewno, kiedy do nas przybędzie, a już Kraków ogromnem zbiegowiskiem pobożnych i ciekawych napełniać się zaczął.

W dworcu też biskupim ciasno być poczynało, bo coraz to ktoś przybywał z rodziny i powinowatych, którym ks. Zbyszek gościnę u siebie dawał. W mieście o nią było trudno tak, że Tęczyńscy, co kilka swoich dworów mieli, u mieszczan najmowali.

Duchownych zjeżdżało mnóstwo, a stół biskupi większą część ich żywić musiał, ale pomimo to nigdy ks. Zbyszka naszego nie widziałem tak rozpromienionym, wesołym i dobrej myśli.

Na przyjęcie Kapistrana on tu był gospodarzem, i król przy nim malał a znikał, on rządził i rozporządzał wszystkiem.

Sprawa przybycia do Krakowa Jana Kapistrana ciągle jeszcze gorąco wszystkich zajmowała, tak, że nawet o bliskiem małżeństwie królewskiem, o którem się rozeszły wieści, nie mówiono prawie.

Słyszałem tylko, iż ludzie się dziwili temu niepomału, że miało przyjść do skutku małżeństwo to z Elżbietą, które już raz, lat dziesięć temu, zeswatanem było i rozchwiało się... Teraz sądzono je przeznaczonem i nieuchronnem.

Biskup niebardzo sprzyjał temu małżeństwu, bo i do króla serca nie miał, a zarzucał mu to, że, uchowaj Boże, wciągnąć on może Polskę kiedyś w zatargi o węgierską i czeską koronę.

Słyszałem to ówczas z ust jego, co jakby wieszczym przepowiadał duchem.

— Udało się Jagiellonom Polskę pochwycić, łakną teraz coraz większych zaborów — nienasyceni. Przypłacili już życiem jednego koronę węgierską, starej królowej śni się ciągle i Praga, i Buda dla synów, a młody król radby i zakon krzyżacki precz stąd na jaką wyspę wysadził. Chciwi są niepomiernie coraz większych ziem, gdy i tych, co są, utrzymać trudno... Daj Boże, by chciwości tej drogo nie przypłacili.

Naówczas tego nie rozumiałem tak dobrze, choć słowa jego zapamiętałem.

Na zamku, w którym dotąd dosyć bywało cicho, bo i stara królowa rzadko tu przebywała, i młody król częściej na Litwie, w Wilnie i Grodnie, albo-li po lasach przesiadywał, zaczęło się teraz poruszać i zaludniać.

Codzień prawie za biskupem chodząc na Wawel, mogliśmy się temu przypatrzeć zdaleka. Mury w niektórych miejscach z tynków obnażone, na nowo bielono, podwórca oczyszczano, w stajniach i dworcach przybyło koni i ludzi.

Jednego dnia, kiedym przypadkiem w podwórcu biskupiego dworu stał u ganku z drugimi pacholikami, spostrzegłem u bramy człeka, który ostrożnie wewnątrz zaglądał, wnijść nie śmiejąc. Wszyscy wraz ze mną widzieli to, a na odzież jego spojrzawszy, przyczyny się łatwo domyślili.

Naówczas już tak królewskiego dworu ludzie, jak i biskupiego i innych możnych panów łacno się po tak

zwanej barwie rozpoznawali. Prosta tego była przyczyna, że tak król, jak biskup i inni, swoją służbę odziewając, zakupywali u sukienników sukno flamskie jedno dla wszystkich, jedni krawce suknie im szyli. Królewscy ludzie mieli barwę granatową, a bramowanie przy niej czerwone, po czem ich każdy poznawał.

Długą też opończę taką miał na sobie człek we wrotach stojący, który w dziedziniec wnijść nie śmiał. Z królewskich ludzi do biskupa naówczas mało się kto ważył, chyba był posłanym, bo między służbą zamkową i biskupią tak jak między dworem naszym a Wawelem, jakby obrus rozrzezany był. Ciekawym będąc człeka tego, sam nie wiem jak, pchnięty czemś, podbiegłem ku wrotom, a nie dochodząc do nich, małom nie krzyknął z radości wielkiej.

Poznałem w tym człeku Gajdysa mojego, a wątpić nie mogłem, że się on tu nie do kogo skradał, tylko do mnie. Byłbym mu się na szyję rzucił zaraz, ale i on mi dał znak i ja się uląkłem, że się na nas ludzkich oczu tyle patrzało, poszedłem więc spokojnie i miałem tyle mocy nad sobą, żem mu po południu przy kościele św. Anny czekać na siebie polecił. Poczem Gajdys się śpiesznie oddalił, a ja, powróciwszy do służby biskupiej, na zapytanie jej powiedziałem, że nieznajomy ten pytał o kogoś, na dworze biskupim niebywałego.

Poczęli się wszyscy z królewskiego sługi wyśmiewać, drwić i na tem się skończyło.

Mnie piekło już co najprędzej na ulicę św. Anny zbiec i z Gajdysem się zobaczyć. Nie pojmowałem, co on tu robił, jak i poco się do Krakowa dostał, a widok jego tak mnie poruszył, tyle przypomniał, iż serce z piersi zdawało się dobywać.

Przyszły mi na myśl owe czasy, których inaczej, jak szczęśliwemi, nazywać nie mogłem, gdym matkę miał, gdy mi było tak dobrze i swobodnie w ubogim dworku ich...

Wprawdzie teraz byłem niby na szerokim gościńcu żywota, lecz szedłem, sam nie wiedząc dokąd, gnany

jakąś siłą niewidzialną, popychany, celu nie mogąc przewidzieć.

Wprędcem się potem potrafił wyrwać i wyprosić, i strzałą pobiegłem pod kościół. Gajdys tam już, na schodach siedząc, czekał na mnie, a pochwyciwszy w silne swe objęcia, spłakał się, całując, jakby w istocie własne dziecko odzyskał.

Dowiedziałem się od niego, iż z Wilna sprowadzono ich wielu ze stajen wielkoksiężnych, gdyż na wesele królewskie i koni, i ludzi było potrzeba.

Gajdys, choć stary, nastręczył się z drugimi, pomyślawszy, że mnie też zobaczy.

Poszliśmy od kościoła precz za miasto, gdzie nie tak łatwo mógł nas kto podpatrzeć i siedliśmy na kłodzie pod płotem w małej uliczce; dopiero Gajdys powiadać zaczął, jakie go tu szczęście spotkało, że dwa dni temu, gdy z końmi przyprowadzonemi około stajen się zajmował, nadszedł sam król z koniuszym i marszałkiem, a zobaczywszy go, poznał zaraz, głową mu dał znak, potem na bok go odprowadził, wypytując się o Wilno.

— Myślisz — dodał, — że on o tem zapomniał, iż ty u nas byłeś na wychowku?

— Jakto? — przerwałem z radością, — alboż król wie o mnie i pamięta?

— A jużci — rzekł Gajdys, gładząc wąsa. — Począł mnie rozpytywać, co się z tobą teraz dzieje i czy widziałem wychowanka? Musi być u któregoś z księży przy kolegjum na naukach. Pójdźże do niego, zobacz, rozpytaj go, a potem mi powiesz, co z chłopięciem się stało. Rad-liś temu?

Osłupiałem z podziwienia i radości, słysząc to, bo mi w myśli nie postało, żeby król o mnie miał wiedzieć i pamiętać. Gajdys się tem cieszył więcej może, niż ja.

— Cóż mam powiedzieć? — zapytał.

Musiałem długo i szeroko Gajdysowi wszystko, co ze mną zaszło, rozpowiadać, jakem się do ks. Jana dostał, jak z nim do Rzymu wędrowałem i szczęśliwiem powrócił, i że mi przy pobożnym człowieku dobrze by-

ło, a radbym był z nim pozostać, gdy nagle biskup zażądał i musiałem iść na dwór jego. Nie taiłem tego przed Gajdysem, że mi tu było nie tak dobrze, nadewszystko przez to, iż między nieprzyjacioły króla dostałem się.

Gdym się skarżył, aż mi łzy z oczów się puściły.

— Król co zechce, to uczyni — rzekłem, — gdyby mnie na swój dwór wziął, szczęśliwymbym był! Ale się to stać nie może!

Gajdys też głową potrząsł i milczał. Takeśmy sobie rozpowiadając wzajem, co nam dolegało, zasiedzieli się do wieczora i biegiem później musiałem wracać na dwór biskupi, aby mnie nie karano.

Obiecywaliśmy sobie zejść się na Wawelu, gdy na nabożeństwo z biskupem tam przybyć się trafi, a Gajdys mi opowiedział stajnię, około której go mogłem znaleźć.

Całą noc potem i dnie następne o tem tylko myślałem, że sam król wiedział o mnie i pamiętał, a obiecywałem sobie w razie ostatecznym, gdyby mi bardzo źle na świecie było, uciec się pod jego opiekę.

Co się w dziecinnej głowie na takim wątku mogło utkać, łatwo się domyśleć. Miłość też, którą dla króla miałem zawsze, wzmogła się tem jeszcze, a niechęć, jaką ku niemu wszyscy biskupi słudzy okazywali, jeszcze ją wzmacniała.

Kilka dni upłynęło, nim się mogłem wysunąć z kościoła do stajen królewskich dla widzenia z Gajdysem A chociaż mi rozpowiedział dobrze, gdzie go szukać gdym wpadł pomiędzy szopy, stajnie, odryny, śpichrze których tam moc była, zupełniem się zbłąkał i ledwie dopytałem Litwina.

Poszliśmy z nim na ubocze ku wałom.

— Widziałeś króla? — spytałem go.

— A jakże — odparł Gajdys, — mało nie codzień go spotykam; Bóg łaskaw, dobrym jest dla mnie. Gdyby nie to, między Lachami, którzy nas wyśmiewają i nie lubią, przepadaćby przyszło, ale widzą, że król dla nas życzliwy, boją się więc zadzierać.

— No — dodał, uśmiechając się, Gajdys — nie tylkom widział króla i mówił z nim, alem się sprawił z tego, co mi polecił, bo o tobie mu rozpowiedziałem.

— Cóż król? — zapytałem.

— Nie wiem sam, co to ma znaczyć — mówił dalej Litwin, — gdy się dowiedział, że was do biskupa wzięto, twarz mu się zmieniła i jakby gniewem zapłonęła... Namarszczył się, nogą tupnął, ale wnet się pomiarkował. Mówiłem królowi, że radbyś jemu służyć. Głową potrząsnął, pomyślawszy. Poczekawszy, rzekł: niechaj cierpliwy będzie. Teraz nie można... później; kto wie?

Pytał nawet, jak wyglądasz i czy przystałbyś na pacholę do dworu? Mówiłem, żeś wyrósł na chłopaka niczego, przystojnego.

Wszystko to, co mi Gajdys rozpowiadał, choć z jednej strony pociechą było dla mnie, z drugiej bolało, bo nie obiecywano mi nic tak rychło, a mógłże król o mnie, biedaku, pamiętać później i któżby mu miał przypomnieć?

Biskup znowu triumfował, choć z królem wojna na dobre trwała. Zajątrzyło ją to, że król, jak postanowił był, tak po śmierci biskupa przemyskiego kapitule następcy wybierać nie dopuścił, a sam naznaczył nowego.

Widział dobrze Zbyszek, iż gdy raz się ten obyczaj utrzyma, wtedy biskupów swoich mając, król w kościele się tak rządzić będzie, jak w kraju... Zarządził biskup zjazd w Sandomierzu, gdzie miał swojego Oleśnickiego wojewodą, podburzając rycerstwo i duchowieństwo, aby królowi wypowiedziało posłuszeństwo.

Król miał po sobie tylko Wielkopolan... W Krakowie na radzie, gdy Zbigniew ponowił przeciw niemu wyrzuty i groźby, mówiono, że je zimną krwią zniósł, ale nie ustąpił.

Słyszałem sam, gdy biskup nieraz powtarzał:

— Nie dożyję ja tego, ale wy z tym królem tak łatwo, jak z ojcem jego, nic dojdziecie do końca. Milczy, a uparty jest... Choć ustąpi napozór, co postano-

wił, to w sercu chowa. Biada nam, żeśmy Piasta nie wzięli i królowej matce ubłagać się dali, gdy już Bolesław mazowiecki był okrzyknięty.

Między zamkiem więc a naszym dworem gorzej stało wszystko, niż kiedykolwiek było. Jedno tylko spodziewane przybycie Jana Kapistrana zdawało się jakąś słabą czynić nadzieję, że wpływ tego świętego męża króla może zmiękczy, a wspólne z biskupem staranie o przyjęcie go w Krakowie zbliży ich ku sobie.

Ks. Zbyszek jednak na zamku nie bywał wcale, posyłał tylko, króla unikał; dwa razy gwałtownie a napróżno przeciwko niemu wystąpiwszy, już więcej nie chciał się narażać na walkę z tym, jak go zwał, młokosem.

Małom ja naówczas Kazimierza znał, a tylko z tego, co o nim we dworze u nas prawiono, wyobrażałem sobie, jakim był. Przecież nawet w moim niedojrzałym umyśle król się przedstawiał jako mąż mocy wielkiej, gdy występował do walki ze Zbyszkiem, z tym, którego ani Jagiełło, ani Witold zmóc nie potrafili.

Zarzucał mu stary Tęczyński, krakowski wojewoda, że milczący był, zamknięty w sobie, a żelaznego uporu. Mówiono, iż królowa matka zaklinała go i prosiła, aby z biskupem się pojednał, a choć nad nim wielką władzę miała — nie potrafiła nic!

Tyle wymogła, że król Polakom potwierdzenie ich przywilejów zapewnił, chcąc sobie pozyskać rycerstwo, ale w sprawie biskupstw na jeden włos nie ustąpił.

Dwu już swoich miał na biskupich stolicach, a u Zbyszka powtarzano to codzień, jakoby się miał przed Lutkiem z Brzeziany wygadać z tem, iż ani jednego na przyszłość kapitułom nie da wybierać, ani sobie z Rzymu narzucić.

Małżeństwem króla ks. Zbyszek nie zajmował się wcale, ale nie przykładając się do niego, rokował złe następstwa.

Zbliżyły się ostateczne układy. Król do nich nieprzyjaznego sobie Oleśnickiego nie wezwał... Jan

biskup włocławski i Jędrzej poznański, i kilku panów wyznaczonych było, a z tych, co Zbyszkowi sprzyjali i z nim szli, wojewoda krakowski tylko.

W wigilję tego dnia, gdy wojewoda do Wrocławia miał wyjeżdżać dla zawarcia kontraktu, przybył na wieczerzę do dworca biskupiego.

Byłem na służbie w izbie, gdy Zbyszek pośpieszył ku wchodzącemu, głośno wołając:

— Wojewodo mój, czy królowę nam sprowadzicie czy nie, czy posag jej sto tysięcy czerwonych złotych, czy połowę tylko wynosić będzie, dla mnie to marna rzecz... ale, jeżeli wy mi z sobą Kapistrana tu nie przyprowadzicie, chyba mi się nie pokazujcie na oczy! We Wrocławiu jest, dosyć już Ślązaków nawracał; zaklinajcie go, uproście, wymódlcie, aby z wami razem przybywał... Zabierzcie go z sobą, a gdy pewni będziecie, że się da wziąć, gońca mi przyślijcie, abyśmy świętego męża godnie przyjęli.

— Król mi i królowa matka toż samo zlecili — odparł wojewoda. — Mam w Bogu nadzieję!

— Niech Jan z Czyżowa, Jan z Koniecpola i Dzierżek z Rytwian nad kontraktem i umową ślubną siedzą, a Kapistrana mi pozyskajcie — dodał biskup. — Powiedzcie mu, z jaką my go pożądliwością oczekujemy. Dusze się rwą ku niemu... Chcę dożyć tego dnia.

A po chwili dorzucił wzruszony:

— Król im dał przytułek u św. Krzyża... ale ja klasztor wystawię, kościół mu zbuduję... Niech tylko przybywa!

Z takiem zleceniem wyjechał pan wojewoda do Wrocławia i wziął je do serca. Dziesiątek dni nie upłynęło, gdy nadbiegł do biskupa goniec z doniesieniem od wojewody, że Jan Kapistran z posłami razem na pewno do Krakowa przybędzie.

Znowu tedy taż sama, a może większa jeszcze gorączka i niecierpliwość oglądania tak długo oczekiwanego opanowała wszystkich. A że od miesięcy dwu już gościli w Krakowie towarzysze Kapistrana, z Władysławem Węgrzynem, którzy siła o nim opowiadali,

że się rozgłosiły cuda, rozeszły powieści o wielkiej mocy z niebios mu danej — więc z większem jeszcze upragnieniem czekano tego szczęśliwego dnia i godziny, kiedy stopa jego dotknie naszej ziemi.

Na zamku, w mieście, we dworcu u nas, po klasztorach wszędzie sposobiono się na uroczyste przyjęcie Kapistrana, szczególniej zaś zakony św. Franciszka, do których reguły należał, chociaż ją obostrzył i ściślejszą uczynił.

Nadszedł nareszcie dzień pamiętny ten, we wtorek, w samo święto Augustynowe, gdy całe miasto od rana się poruszyło i można powiedzieć, że krom tych, co w łóżkach leżeli i ruszyć się nie mogli, nikt z chrześcijan w domu nie został. Jedni za miasto i bramy, drudzy powychodzili na rynki i ulice — mieścił się każdy, jako mógł.

Żydzi z obawy, aby przy tem rozkołysaniu umysłów, jak się to nieraz trafiało, młodzież szkolna i swawolne czeladzie na nich się nie rzuciły, wcześnie się po swych domostwach pozamykali. Żadnego z nich nigdzie najrzeć nie było można.

Dzień był jesienny, ponury i pochmurny, ale spokojny. Wszystkie zakony z chorągwiami, z krzyżami, cechy miejskie, duchowieństwo świeckie, akademja, kapituła, biskup z całym dworem swym w uroczystych szatach wyszły ku bramom na spotkanie.

Królowa też stara i król wyjechali dosyć okazale i dworno. My z biskupem Zbyszkiem czekaliśmy nań na Kleparzu.

Choć oznajmiono było, iż na pewno przybywał, czekało się dosyć długo; a starzy ludzie powiadali, że nie pamiętali wjazdów królewskich tak uroczystych i tłumnych.

Ale na twarzach wszystkich nie można było dojrzeć radości, lecz jakby trwogę, gdy sędzia na winowajców przybywa.

Cicho było, oczy się zwracały na gościniec, którym oczekiwano przybycia, aż poszedł szmer, podniosły się głowy, królowa wstała z siedzenia w kolebce, młody

król z konia zsiadł. Pokazał się wóz czterema końmi zaprzężony pana Jana z Tęczyna, bo jemu się dostała cześć towarzyszenia świętemu mężowi. Za nim jechali inni posłowie z dworami swemi.

Zobaczywszy króla i królowę, wojewoda dał znak woźnicy, aby stanął i spostrzegłem szybko wysiadającego z wozu człowieka średnich lat, ciemnej płci, z długą szyją obnażoną, w sukni prostej, grubej, brunatnej, z kapturem, powrozem podpasanej, u którego wisiał prosty drewniany z dużym krzyżem różaniec. Nogi miał bose w trepkach drewnianych, a ręce niemal do kolan długie.

Inaczej ja go sobie wyobrażałem, ale takim, jakim był, wydał mi się do innych ludzi wcale niepodobnym. Przynajmniej od naszych różnił się bardzo i widać było, że z innych krajów pochodził, bo i rysy twarzy, i oczy, i postawa osobliwe były i dziwne. Poruszał się prędko, wejrzenie miał śmiałe i ogniste, ale obejście się z ludźmi pokorne.

Królowę i króla pozdrowiwszy, gdy go w rękę całować chcieli, obie ręce na piersiach złożył i pokłonił się nisko. A gdy potem podniósł głowę, a spojrzał dokoła, kogo oczy trafiły, ciarki po nim przeszły, coś takiego przejmującego miał we wzroku.

Cisnęli się wszyscy do rąk, do nóg, a on błogosławił, podniósłszy potem prawą rękę do góry i modlitwę szeptał.

W tej siermiędze prostej, z twarzą niepiękną, surową, czarną, wychudłą, boso, biedny, stał w tej chwili ponad tłumami, jako król i wódz. A nic go nie trwożyło, nie pomieszało, ani orszak ów wspaniały, ani ludu tysiące, ani oznaki czci, które odbierał. Pozostał nieporuszony zupełnie, i gdy biskup przy nim idący dał znak, ruszyło się wszystko w procesji do kościoła, księża poczęli śpiewać pieśń i wszyscy pieszo za Kapistranem i biskupem poszli do Panny Marji.

Dla niego i dla towarzyszów, których z sobą miał, bo mu nietylko na nich nie zbywało, ale mu co chwila nowi przybywali, opróżniono umyślnie w rynku kamie-

nicę Jerzego Sworca, z której można powiedzieć, że klasztor zrobiono.

Wygód ci nowi zakonnicy nie potrzebowali wcale, bo na gołej ziemi sypiali, posty bardzo surowe zachowywali mało nie codzień, w piecach sobie nawet opalać nie pozwalali, a zaraz oratorjum urządzili i klauzurę. Izba pierwsza, przy której służbę postawić musiano, bo ludzie się jęcząc i płacząc cisnęli, służyła do przyjmowania tych, których do Kapistrana przypuszczano.

Ponieważ biskup go przyjmował, a jam służbę u niego pełnił, mogłem i miałem zręczność się przypatrzeć życiu i obyczajowi świątobliwego męża.

Nawykliśmy byli wszyscy do niezmordowanej pracy naszego biskupa, który od rana do nocy prawie nie spoczywał, ale czem to było w miarę żywota tego człowieka, który wszystek czas swój trawił jakby w pobożnej gorączce! W nocy ledwie parę godzin zasypiał, odprawiając w różnych terminach modlitwy z braćmi, a przez cały dzień kazał, spowiadał, nauczał, przyjmował ludzi, każdą chwilę wolną wnet obracając na modlitwę.

Czasu modlitwy mienił się zupełnie, twarz wyjaśniała, oczy zdawały się powiększać, drżał w uniesieniu jakiemś i zdawało się, że zapominał, porwany duchem do niebios, iż był jeszcze na tym świecie.

Nawykłym będąc do mojego świątobliwego ks. Jana Kantego, zdumiewałem się, jak dwaj ludzie pobożni równie, tak mogli być do siebie niepodobni. Albowiem mój Jan spokojny był i łagodny jak baranek i w modlitwie zatapiał się, nie upajał ją; Kapistran zaś jakby uniesiony, rozgorzały, przybierał postać, wrażającą trwogę i grozę.

Następnych dni postawiono przy kościele św. Wojciecha, na tem miejscu, gdzie wedle podania apostoł też ten do ludu przemawiał, ambonę drewnianą, którą obwieszono kobiercami i oponami kosztownemi, ale Kapistran te ozdoby wszystkie pościągać kazał.

Tuż przy nim stał jeden z kolegjatów naszych i w miarę, gdy mówił, tłumaczył nam słowa jego.

Bliżej ambony były siedzenia i klęczniki dla królowej, króla, dworu, duchowieństwa i panów. Dalej rynek, jak zajrzeć, był pełniusieńki, a panowała wśród tych nabitych i ściśniętych ludzi taka cisza, iż zdawało się, że muchęby przelatującą posłyszeć można.

Mamże się ja kusić o to, abym opowiedział, jak słowo jego działało i w jaki sposób? Tego ani ja, ani nikt nie potrafi. Działo się bowiem coś cudownego. Mało ludzi mogło dosłyszeć, co mówił, inni niespełna rozumieli, przecież mowa jego poruszała serca, wyciskała łzy, nawracała, pociągała.

Nie widziałem kaznodziei tak mówiącego, jak on: rzucał się niespokojny, ręce ku niebu wyciągał, padał, chodził, zniżał do ziemi, bił w piersi; sam dźwięk jego mowy brzmiał tak, że się robiło około serca trwożno, łzy cisnęły się do oczów.

Ci, co wcale go nawet nie rozumieli, przejęci, przestraszeni łkali i mdleli.

Posłannik to był Boży i mocą Jego obdarzony, ale nie przynosił miłosierdzia i pokoju, tylko groźby straszne, wołanie pomsty za grzechy, katuszy piekielnych odgłosy. Ja to przynajmniej tak czułem, a ze mną innych wielu.

Dopóki mówił, trzymał tak na uwięzi wszystkich i tylko łkania i wykrzyki boleści przerywały mu czasem, potem, gdy kończąc, zwrócił się do krzyża i padł przed nim, ręce wyciągając ku Chrystusowi, padało z jękiem na ziemię w proch, co żyło.

Nie było człowieka, coby zimnym odszedł z oczyma suchemi.

Od pierwszego tego dnia poczęło się takie wszego ludu uniesienie pobożne, iż można było powiedzieć, że niemal spraw powszednich zapomniano. Gdzieś przyszedł, coś usłyszał, wszędzie tylko kaznodzieja i apostoł był przedmiotem rozmów i podziwu.

Wynijść w ulicę nie mógł, żeby tłumy nie ciągnęły

za nim. Znoszono mu do drzwi chorych, przywożono chromych, czatowano, aby dotknąć kraju szaty jego.

Zaraz tedy z młodzieży, co było pobożniejszych pobrało sukienki zakonne. Jednym z pierwszych był młodziuchny Szymon z Lipnicy, który później wsławił się świątobliwością i pokorą.

Razem z tym wstąpił do zakonu Rafał z Proszowic i Stanisław Kaźmirczyk, a wielu i wielu innych, nie licząc panów takich, jak Melsztyński. W samym Krakowie stu trzydziestu naliczono tych, którzy sukienki wdziali i po całym potem kraju regułę tę rozsiali.

W takiej to gorączce przebyliśmy, powiedzieć można, cały ów czas kilkomiesięczny, który Kapistran u nas spędził. Dla zakonników jego i nowej reguły, pod zawołaniem Bernardyna świętego, biskup założył na gruntach brata klasztorek i kościół, nie dopuszczając, aby z królewskiej łaski przy świętym Krzyżu zostali.

Budowano tymczasowo z pośpiechem takim, że żadne pono domostwo za pamięci ludzkiej tak prędko nie stanęło, jak ta fundacja biskupia.

Ks. Jan z biskupem i innymi duchownymi z Krakowa czynił też wycieczki do miast bliższych, a gdziekolwiek się ukazywał, wszędzie toż samo działo się, co w Krakowie.

Jam też dusznie pewnie korzystał z tego wzmożenia się pobożności, bo nie byłem ostygłym, ani obojętnym, a oprócz tego rad byłem, że o mnie zapomniano trochę wśród tego zajęcia nabożeństwy. Mogłem niepostrzeżony czasem się wyrywać do mojego Gajdysa i z nim chwilę swobodniej pomówić. Spotkało mnie też szczęście to, że gdym raz z nim stał na poufnej rozmowie, a niebardzośmy zważali, co się koło nas działo, aniśmy spostrzegli, gdy król nadszedł.

Zrazum uciekać chciał, ale mi nogi w ziemię wrosły. Tymczasem zbliżył się miłościwy pan szybkiemi kroki, nawołując Gajdysa.

— Toż syn twój? — spytał.

A gdy Litwin się skłonił milczący, król jeszcze podszedł ku mnie i czułem, jak mi się przypatrywał; gło-

wę miałem spuszczoną. Kazał mi ją podnieść i patrzeć śmiało. Choć z trwogą wielką, byłem posłusznym.

Ujrzałem naówczas wielce dobrotliwe spojrzenie królewskie, skierowane ku mnie; patrzał Kazimierz i milczał. Spytał potem, jak mi u biskupa było, na co milczeniem odpowiedziałem i nie nalegał już.

— Ucz się, a sprawuj uczciwie — rzekł potem — ja o dzieciach sług moich nie zapominam, i o tobie też pamiętać będę.

Padłem mu do nóg. Zdał się mocno poruszony, i sięgnąwszy do kaletki, którą zawsze u pasa nosił (był to obyczaj ojca jego), dobył garść pieniędzy i wsunął mi je w rękę. Mnie ona tak drżała, że poupadały na ziemię i Gajdys je podnieść musiał, a teraz dopiero spostrzegłem, iż były sztuki złota. Król się bardzo prędko oddalił.

Było tego daru pańskiego sztuk dziesięć i chciałem się niemi podzielić z Gajdysem, ale się obruszył, pogniewał, złoto w węzełek zawiązał i kazał mi go, nie ruszając, strzec, jak oka w głowie.

Ale fraszką było złoto owe, mnie wejrzenie królewskie niewypowiedzianie miłosierne, droższem nad nie było! Zdawało mi się czytać w niem, że istotnie litość mieć będzie nade mną i wyrwie mnie z tej niedoli i niebezpieczeństwa, w jakiem byłem. Obawiałem się bowiem bardzo, aby mnie siłą do seminarjum nie wzięto i w suknię kleryków nie obleczono.

Dlaczego do tego stanu ochoty w sobie nie czułem, sam zaprawdę nie wiem, ale Bóg snać powołać mnie nie chciał do siebie, inne gotując mi losy.

Tak się skończył ten rok, który żałobą okrył całe chrześcijaństwo, bo poganie owładnęli Konstantynopolem i moc ich urosła, a krzyżowi świętemu zagrażała. Przeto i Jan Kapistran tę klęskę ukazując, jako karę Boską, nietylko do pokuty wzywał, ale i do zbrojenia się i do ciągnienia przeciwko poganom, a połączenia wszystkich sił narodów chrześcijańskich.

Pomiędzy biskupem a królem nie przyszło pod ten czas do żadnego porozumienia i zgody. Stały przeciwko

sobie dwa nieprzyjacielskie obozy, jak przedtem, a gdy następnego roku przybyli posłowie pięćdziesięciu sześciu miast pruskich z prośbą do króla, aby ich z pod jarzma krzyżackiego wyzwolił i pruskie kraje, które niegdy do Polski należały, zajął w moc swoją, biskup nasz, zamiast królowi do tego być pomocą, wystąpił przeciwko połączeniu Prus. Rokował z tego długą wojnę, kosztowną, wycieńczającą a bezskuteczną, z czem napoły miał tylko słuszność, wojna bowiem w istocie utrapioną była i długą, ale skończyła się szczęśliwie odzyskaniem Prus choć w części.

Dawniej nieprzyjaciel zakonu, biskup Zbyszek, czy to, że za nimi z Rzymu się wstawiono, czy na przekorę królowi, teraz prawie za nimi przemawiał. Nie pomogło to wszakże nic, gdyż i królowa matka, i król, i znaczna część panów rady była za tem, aby garnących się Prusaków nie odpychać.

Tymczasem zbliżał się naznaczony termin weselny króla, a na zamku, pomimo największego pośpiechu, jeszcze nie wszystko było gotowem. Królowa matka i młody król zarówno nie chcieli młodej pani ladajako przyjmować, ani się okazać nieprzysposobionymi. Wesele chciano obchodzić z wielką okazałością, a zamek tych czasów dosyć był opuszczony i wszystko w nim odnawiać musiano.

Za Jagiellowych czasów król w nim mało przesiadywał, później też królowa Sonka po innych zamkach mniejszych, w Sanoku i na swych posiadłościach częściej przebywała. Kazimierz także rad polował i mieszkał na Litwie. A choć byli urzędnicy, którzy murów i izb a wszelkiego ochędóstwa w nich doglądać byli powinni, zaniedbano wielce się i teraz dopiero okazało się, iż na przyjęcie dostojnych gości sprzętu brakło.

Pracowano więc dniami i nocami, com na oczy swe widział, do Gajdysa zaglądając.

Przed dniem nawrócenia św. Pawła król już był w Krakowie, gdzie sposobiono najprzedniejszej młodzieży rycerskiej dwa tysiące koni, które naprzeciw

młodej pani wyjechać miały i towarzyszyć jej do Krakowa.

Mnie się serce rwało, patrząc na nich, tak im zazdrościłem pięknej postawy i swobody, jakiej zażywali.

Jeszcze królowa nie przybyła do Krakowa, a nawet posły po nią nie wyjechały, gdy ta stłumiona wojna między kardynałem Zbyszkiem a królem na innem polu znowu się zajęła. Choć król napozór wcale się nie mieszał do tego, między arcybiskupem gnieźnieńskim, wiernym i miłym Kazimierzowi, a naszym Zbyszkiem spór się wytoczył o to, kto będzie koronował królowę.

Składał się odwiecznem prawem swojem arcybiskup, a nasz pan, jako książę kościoła, po papieżu najwyższą dostojność kardynalską piastujący, nikomu się nie chciał dać posiąść.

Król stał na uboczu, nie rozstrzygając tego, bo sprawa była kościelna.

Gdy przed weselem namnożyło się w kancelarji kardynała listów różnych mnóstwo i pisania wszelkiego a skrybentów zewsząd ściągano, ktoś niepoczciwy, niech mu Bóg nie pamięta, i mnie nastręczył, żem musiał za stół siąść i do pióra się brać, do którego podówczas nie miałem ni chęci, ni wprawy. Przewodził tu nad nami wszystkimi ulubiony kardynała, prawa ręka jego, ks. kanonik Jan Długosz, który się wsławił pismami swemi, pracowitością i pobożnością. Przy biskupie Zbyszku mało nie od dzieciństwa ciągle zostając, najlepiej ze wszystkich rozumiał go, odgadywał i tak myślał a czuł, jak on. Więcej tylko może miał jeszcze do króla Kazimierza a do wszystkich Jagiellonów niechęci i wstrętu, tak samo i królowej matki niecierpiał, na nią się krzywił, a słyszałem go naówczas prorokującego, że król Kazimierz na tyrana urośnie. Lecz mąż to był niepospolity, choć namiętny, żywy, gorączka i ludzi czarno widzący, a podejrzewający łatwo. Pracowitszego nad niego trudno było znaleźć, bo i dziesięciu razem rozpoczętych robót się nie uląkł. W kancelarji miał jeden stół, w izbie biskupiej drugi, a u siebie w domu całe izby zarzucone księgami i pergaminami

tak, że przejść nie było można i u drzwi stać musiał, kto tu do niego przybywał.

Wszystkie te foljanty porozkładane, ponaciskane kamieniami, zakładkami poznaczone, stosami się i kupami dokoła pulpitu wznosiły, z których on potem swoje kroniki, wybierając, spisywał. Śpieszył się zawsze, niecierpliwił, gdy kto dla marnej sprawy zatrzymywał.

— Nie znasz to wartości czasu! — wołał. — Cóż nad niego droższe, a ty mi go marnujesz i wydzierasz!

To też on i chwilki nie stracił. Przybywszy do domu, gdy miał ćwierć godziny wolnej, nie spoczął i szedł do pulpitu, albo pisać dalej, lub napisane poprawiać. W ulicy nigdy powoli nie widziałem go idącym, biegł mimo wieku i ciała swego zdyszany, rzadko z próżnemi idąc rękami, bo książkę albo papier jakiś zawsze prawie niósł z sobą.

Dla akademji wielce wylanym, gorliwym był i młodzieży opiekunem troskliwym, lecz zarazem srogim dla niej, surowym i nieprzebaczającym.

Z urzędu i położenia przy biskupie często mu wypadało na zamku się znajdować, ale unikał tego, wymawiał się i od króla a dworu uciekał.

Kochali go razem ludzie i obawiali się, gdyż słowo i pióro miał ostre, a nie szczędził nikogo i prawdy w sobie zamknąć nie umiał.

Ja u niego łaski naówczas nie miałem, chociaż nie zawiniłem w niczem mu. Wyrzucał mi ciągle to, żem sukienki wdziać nie chciał, choć kardynał sobie tego życzył, o czem Długosz wiedział, bo dla biskupa tajemnic nie miał żadnych. Był to może jedyny człowiek, który całe jego zaufanie posiadał.

Oprócz innych zalet, kardynał go z tego wynosił, że była to bibljoteka chodząca. Pamięć bowiem w istocie miał nadzwyczajną i rzadko go ona zawodziła.

Szczęściem, że przy obrzędach ślubnych i koronacyjnych kardynał musiał występować z całym dworem i wobec przybywających książąt nie chciał pośledniejszym od nich się okazać, odebrano mnie więc

z kancelarji do pokojów. Książęta śląskie z Raciborza i Oświęcimia mieli przybyć na wesele, spodziewano się i innych dostojnych panów.

Naostatek owe dwa tysiące rycerstwa, tak ślicznie uzbrojone i przyodziane, że na nich jak na kwiatki patrzeć a patrzeć było można, wyciągnęli po królowę. Wszyscyśmy powychodzili się im przyglądać, a było na co. Wziął każdy, co miał najlepszego, najdroższego, żeby się przed Niemcami w Cieszynie popisać, więc konie jak najśliczniejsze, zbroje szmelcowane i złocone szyszaki z piórami farbowanemi, które na ramiona spadały, ladrowania przy koniach osobliwe, a kity i tarcze, sadzone kamieniami, kolczany, szyte srebrem i złotem, szable świecące od opraw bogatych. Mógł król z dumą na nich spojrzeć, bo mało który panujący dwa tysiące takiej młodzieżyby postawił, chłop w chłopa.

Jechał z nimi po królowę, choć królowi krzyw był, wojewoda krakowski, Jan z Tęczyna, bo z kardynałem trzymał, on i inni z rodu jego, którego był głową. Ten się nigdy od posług nie wymawiał, boć jako wojewoda pierwszy był też do nich obowiązany, i nie chciał dać drugim ubiegać siebie. Z nim byli Stanisław Ostroróg kaliski i Piotr z Szamotuł, wojewoda poznański, ludzie, jak ich zwano, królewscy, bo ci zawsze z panem byli, i Jan z Tarnowa z żoną, aby była niewiasta do towarzystwa młodej pani. Pomnę dobrze te dni, które poprzedziły przybycie Elżbiety, co później tak długo i szczęśliwie z panem naszym żyła, i muszę tu zapisać, że naówczas, jako było we zwyczaju ze wszystkiego prorokować, we wszystkiem widzieć znaki przyszłości, u nas na biskupim dworze duchowni, astrologowie, kto żył, głosili najsmutniejsze horoskopy dla małżeństwa królewskiego.

Kardynał też, Kazimierza nie lubiąc, przewidywał to, co mu życzył.

I to prawda, że wszystko się jakoś składało naopak, utrudniało, nie szło. Królowa już, już na granicach była i jechać a przybywać miała, a na zamku jeszcze

w dwu przednich izbach podłogi nie były pokładzione, w innych tynki nie poosychały.

Nikt się pewnie tem tak nie poruszał do gniewu i nie narzekał więcej, nad starą królowę matkę, Sonkę. Pani ta zawsze do gniewów była skłonną i bardzo zapalczywą, a gdy szło o jej dzieci i godność rodu, gotowa była poświęcić, co miała. Król Kazimierz znosił zwłoki po swojemu, milcząco i cierpliwie, pani matka krzyczała, biegała i oskarżała winnych i niewinnych, że naumyślnie naprzekór czyniono jej i synowi.

Królowę młodą wieziono, odebrawszy w Cieszynie, przez Pszczyn, Oświęcim i Skawinę i już jechała, gdy z Krakowa posłać musiano do pana wojewody, aby trzy dni jeszcze w drodze zmarudził, bo na zamku gotowości nie było.

A tu złym wróżbitom na pociechę, zawzięła się plucha, słota, wicher, jakby naumyślnie, aby drogi popsuć, miasto błotem napełnić i uroczystemu wjazdowi odebrać całą świetność.

Kardynał przypisywał to też gniewowi Bożemu przeciwko króla, który porywał się na Kościół i przywłaszczał sobie władzę nad biskupami.

Stało się, jak przepowiadano, bo gdy młoda królowa przybyła we czwartek po świętej Dorocie, a naprzeciw niej król młody wyjechał na koniu, którego rząd cały, drogiemi kamieniami sadzony, od złota i szmelców różnobarwnych, na czterdzieści tysięcy złotych szacowano, on i drużyna w złotogłowach, w jedwabiach, królowa matka w kolebce pozłocistej — deszcz lał jak z cebra. Nie ustał ani na chwilę, gdy młoda pani się do kolebki matki przesiadała i gdy potem z procesją, z muzyką, przy odgłosie trąb i kotłów na zamek powoli ciągniono.

Obmokło wszystko, oślizło, a kolebka, choć w osiem koni zaprzężona, chwilami musiała stawać, tak koła głęboko zapadały.

Król i dwór, któremu szat bardzo kosztownych żal było, jechali gniewni, źli, smutni, a owo wesele przy

ulewie do rozpaczy niemal starszą panią przyprowadziło.

My z kardynałem czekaliśmy dopóźna na przybywającą w kościele na Wawelu; czekali i czekali, bo orszak, który miał tu stanąć z południa, nie przywlókł się po błocie aż o dobrym mroku.

Zaraz nazajutrz rozeszła się u nas pogłoska, że przyszła królowa Elżbieta bardzo była niepiękną, że król, zobaczywszy ją, okazał ku niej niechęć wielką, aż go matka musiała zaklinać, aby jej nie objawiał i nieprzyjaciołom pociechy tej nie czynił.

Prawdą-li to było, czy nie, nie wiem tego, alem później od nich słyszał, co patrzali na pierwsze dni pożycia państwa młodych, że choć król zrazu chłodnym się okazywał, Elżbieta umiała swą wesołością, wymową, obejściem się tak go ująć bardzo prędko, iż sercem i duszą do niej przystał.

Patrzyłem potem na długie obojga królestwa pożycie i nie wiem, czy kiedy spotkałem dwoje ludzi, coby tak, jak oni dla siebie stworzeni byli. Król miał serce dobre i rozumu niemało, ale królowej to przyznać należy, iż nietylko mu nie ustępowała, ale umiejętnością obejścia się z nim, przypodobania się o wiele go przechodziła.

Poznali się na niej ludzie wkrótce. Pani była, acz młoda, rozumu i nauki niemałej, niepiękna, ale miła, przenikająca ludzi, bystra i obchodząca się z każdym tak, że go sobie ująć musiała. Poważna, baczna na siebie, nigdy się z pochmurnem czołem ani królowi, ani dworowi nie pokazywała. Twarz miała zawsze jasną, myśl swobodną, uśmiech na ustach, a im król zakłopotany chmurniej wyglądał, tem ona starała się być weselszą, aby te chmury z czoła jego rozpędziła.

Jakom rzekł, że się to małżeństwo w początku nie wiodło i przychodziło z trudnością, tak aż do końca tych obrzędów i uczt uroczystości ciągle je coś mąciło.

Gdy przyszło do koronacji, a arcybiskup z kardynałem, ani jeden, ani drugi ustępować nie chcieli, postanowiono, aby ślub dawał Kapistran, a bodaj i koronę

wkładał. Ale to nie mogło być. Przy ślubie nieumiejący języka mnich musiał kardynała wezwać na pomoc. Przeciągnęły się nabożeństwa i koronacja dopiero w nocy się odbyła.

Nie mówię już o tysiącu pomniejszych przekorach i kłopotach, które króla na każdym kroku spotykały. Po nim, jak on zawsze bywał surowego i spokojnego oblicza, niewiele poznać było można, ale ludzie biskupi na dwór przynosili każdą plotkę, wiedząc, że kardynał się tem cieszyć będzie.

Musiałem słuchać, usta przygryzając, gdy mnie to w mojej miłości dla króla więcej jeszcze umacniało, widząc go niemal prześladowanym i zagrożonym. Bo kardynał, jak był nieprzyjacielem, tak pozostał nim, a im więcej się przekonywał, że króla nie zmoże, tem zapalczywszy się stawał.

Ze wszystkiego, co mówił, wnosić było można, iż występując przeciw królowi tak gwałtownie, biskup Zbyszek miał na celu do niecierpliwości go przyprowadzić, do wybuchu, do porwania się jakiegoś zuchwałego przeciwko sobie i duchowieństwu. Rachował na gorącą krew młodego pana, ale się omylił, bo Kazimierz płonął i bladł, jak ludzie mówili, ale taką zimną krew zachowywał, iż nią kardynała w pasję wprawiał.

Postanowiono w tym roku poddanie się Prusaków przyjąć, do Prus ciągnąć, czemu kardynał był także przeciwnym i opierał się całą siłą napróżno.

Mało tego, że sam królowi na zawadzie stawał, ale z nieustannego publicznego narzekania na króla, iż Bóg za niego i grzechy jego Polskę klęskami nawiedza, w umysłach ludzi przekonanie się to ugruntowało.

Przyszedł mór na bydło, na ludzi, nieurodzaj, głód, wszystko to na króla składano. Kazimierz winien był wszystkiemu. Od przybycia Kapistrana już w umysłach wziął się niepokój i trwoga opanowała ludzi.

Święty mąż, w rynku Krakowa każąc, przepowiadał Polsce, że Turcy ją najadą, zajmą i że na tym samym rynku wielbłądy ich stać będą wkrótce. Świeże zdobycie Konstantynopola, o którem opowiadano, bo Gre-

ków dużo się naówczas po świecie rozproszyło, co na szturm ów i na śmierć pobożną Konstantyna patrzyli, i na Polskę rzucało trwogę.

Więc przepowiadali i inni straszny koniec a pomstę Bożą. Pobożny mąż, Sędziwój Sądek, modlący się przed obrazem Męki Pańskiej z wielką gorącością ducha, nagle miał widzenie straszne przyszłości i pieszo we włosiennicy poszedł do Brześcia, gdzie król podczas był, a tam w kościele, wobec Kazimierza po polsku kazanie prawił, nie wahając się królowi czynić wyrzutów, karcić go jak najwinniejszego, okrutną pomstę Bożą jemu zapowiadając, a z nim krajowi całemu. Nietylko panu, ale potomstwu jego groził, a kazanie to, gdy się po kraju rozeszło, że mąż był świątobliwy, przeciwko królowi ludzi podniosło.

Zdawało się, że tak ściśnięty i prześladowany Kazimierz ustąpi, zwłaszcza, iż pobożnym był zawsze a bogobojnym, przecież nic się nie zmieniło. Sędziwój Sądek powrócił do Krakowa, płacząc nad zatwardziałością króla.

Zbyszek kardynał, coraz więcej czując to, iż nie mógł złamać uporu Kazimierza, choć mu się w Prusiech nie wiodło i długa wojna zapowiadała, począł chorzeć, niedomagać i na siłach upadać. Już go nawet błaznowanie owo Kołka i Sroki nie zabawiało, zadumany siadywał, jakby nie słyszał, co się wkoło działo.

Jakby umyślnie, aby go rozdrażnić więcej, król naówczas Żydom, którzy prosili o potwierdzenie dawnych swoich przywilejów, a jak mówiono, znaczny za to podarek ofiarowali, w istocie dawne ich wolności na nowo przypieczętować kazał.

Znowu więc na niego urosła wrzawa i przepowiadano pomstę Bożą.

W wielkim poście, jak często był zwykł kardynał od zgiełku dla nabożeństwa się usuwać, i w Sandomierzu cichszym czas jakiś na modlitwie spędzać, tak i teraz się tam wybrał. Brał ze sobą zwykle dwór niewielki, i jam spodziewał się, że mnie podróż ta ominie, o co Pana Boga prosiłem. Stało się inaczej.

Strwożyłem się wielce, gdy stary Doliwa, posławszy po mnie, wyraźnie mi zwiastował, iż wola była kardynała samego, abym z nim do Sandomierza jechał.

Strach mnie ogarnął nie bez przyczyny, bo mi do seminarjum w Sandomierzu zapowiadanem było. Jeśli więc wieziono mnie tam, myślałem sobie, to nie dla czego innego, tylko, aby zamknąć i do przyobleczenia sukienki zmusić. Ani chorobą, ani niczem w świecie od wyraźnego rozkazu takiego wymówić się nie było można.

Posłusznym być musiałem, alem sobie w duchu rzekł, że gdy do ostateczności przyjdzie, raczej ucieknę w świat, niż się dam zamknąć do niewoli.

Dokąd mogłem się schronić, nie wiedziałem sam. Do Wilna bodaj, na dwór króla, któryby mi może opieki swej nie odmówił? Zresztą świat był szeroki, a ja w węzełku miałem zaszytych na piersi owych dziesięć sztuk złota, które mi się wydawały skarbem tak wielkim, jakby na całe życie starczyć mogły.

Zaczynało puszczać, gdyśmy z Krakowa wyruszyli do Sandomierza, małemi dniami, po złych drogach, a jak to naówczas na najmniejszą rzecz zwracano uwagę, widząc w niej prognostyk jakiś, tak i przed tą podróżą dosyć nieszczęśliwych wróżb było. Gdy kolebka biskupa z wrót podwórza wyciągała, padł jeden koń, a tylne koła o próg zawadziwszy, wstrzymały wóz tak, że ludzie go podnosić musieli. Dalej, czasu podróży, wszyscy widzieli, że stado kruków po prawej ręce naszej leciało ciągle i jakby towarzyszyło pochodowi.

Kardynał w drodze milczący był i niedomagał. Przybyliśmy dniem później, niż naznaczono, do Sandomierza, bo w kolebce pasy się porwały, koło rozsypało.

Mnie, com nigdy tu nie bywał, miasta i okolicy nie znał i nie widział, wydał się Sandomierz niewymownie smutnym i pustym. Mało co wypocząwszy, poczęliśmy przygotowywać się do spowiedzi wielkanocnej, gdyż do palmowej niedzieli tydzień tylko pozostawał.

Więcej czasu schodziło na służbie Bożej, niż na posłudze około kardynała, który też niemal cały dzień spędzał w kościele. Z rana msza po mszy wychodziły do południa, potem śpiewanie pieśni i nieszpory do wieczora starczyły.

Ksiądz biskup, choć widocznie cierpiący, smutny, słaby nie uwalniał się od kościoła. Wstawał z rana do modlitwy i trwał na niej do nocy, przed niedzielą palmową jednak zaniemógł tak, że doktór powołany w łóżku kazał mu pozostać. Siły go nagle opuszczały.

Do ostatniej chwili jednakże nie zaniedbał swych kapłańskich obowiązków. Msza się odprawiała w drugiej izbie tak, że jej z łóżka mógł słuchać. Posłano po synowców i brata, dano znać do Krakowa. Lekarz milczał, ale z twarzy jego wyczytać było można, iż się strwożył. Wiek sam a wielkie trudy, jakie podejmował ksiądz Zbyszek, siły wyczerpały.

Już się z łóżka nie ruszał, gdy Doliwa z rozkazu wyraźnego pana przyprowadził mnie do niego. Szedłem, jak na ścięcie. Odwrócił się ku mnie, popatrzył długo i odezwał się głosem zmienionym:

— Przywiozłem cię tu, abyś do szkoły duchownej wszedł i sukienkę wdział. Sierotą jesteś bez ojca i matki, bez rodziny, nie masz nic lepszego do czynienia, a Bogu podziękować powinieneś, że cię do siebie powołuje. Co na świecie lepszego spodziewać się możesz? W opiekę cię zdam, ucz się i módl.

To mówiąc i ani słuchać chcąc, czym co miał odpowiedzieć, rękę podniósł, pobłogosławił i snać dał znak Doliwie, bo ten mnie natychmiast wziął pod pachę i uprowadził. Za progiem łzy mi się puściły dopiero.

Doliwa zaraz chciał mnie odprowadzić do regensa, ale po rękach go całując i prosząc, wyjednałem to, ażebym do Wielkiejnocy przy dworze pozostał, na co, choć niechętnie, wreszcie zezwolił.

Nie zostawało mi nic nad jedną ucieczkę i uczyniłem najmocniejsze postanowienie uchodzić.

Tymczasem przygotowywał się pogrzeb zmarłego Koniecpolskiego, ludzie i duchowieństwo byli nim za-

jęci, choroba kardynała niepokoiła też i zaprzątała. Mało na nas zwracano uwagi.

Opatrywałem i obmyślałem środki, jakby się wymknąć stąd niepostrzeżonym i ujść pogoni, którą niechybnie wysłać za mną musiano. Nie znałem ani ludzi, ani kraju, anim nie miał najmniejszego doświadczenia. Bogu się potrzeba było polecić.

W niedzielę kwietnią kardynał zachorzał mocniej, okazało się jawne niebezpieczeństwo. W poniedziałek nie polepszyło się, owszem, doktór znalazł, że zbliżała się ostatnia godzina.

We wtorek po kwietniej niedzieli, gdyśmy w kościele byli i właśnie pasję śpiewano, postrzegłem wchodzących kilku tych, co przy kardynale byli i z zakrystji krzyż i lichtarze biorących szybko, a żywo coś między sobą szepcących.

W kościele, gdzieśmy stali, z ust do ust podawano sobie: kardynał nie żyje!

Gdym to usłyszał, zabrzmiało mi ono w uszach, jakby wyrok na mnie wydany. Nigdy się nie mogła nastręczyć lepsza zręczność do ucieczki, gdyż wszyscy zajęci byli przygotowaniami do pogrzebu i wielkim żalem jakby ogłuszeni, na mnie zważać nie mieli czasu.

Upadłszy przed wielkim ołtarzem na kolana i pomodliwszy się gorąco do Boga, a rozpłakawszy nad losem moim, wymknąłem się z kościoła przez zakrystję i wprost szedłem do izby, którą nas trzech zajmowało razem.

Tu, jedną opończę tylko na siebie zarzuciwszy, innej odzieży nie biorąc, bom się lękał obciążać, wśród zamieszania i gwaru, jaki powstał w podwórcu, bo się już ludzie cisnęli, posłyszawszy, że w dzwony pogrzebowe bito, wysunąłem się w ulicę i sam, wcale nie wiedząc, dokąd idę, na miasto się puściłem. Nieprędko ochłonąłem tak, żem myśli mógł zebrać.

Ucieczka pieszo wydawała mi się trudniejszą jeszcze, niż gdybym konia miał, ale do niego potrzeba było kulbaki, uzdy i rzędu jakiegoś, a potem karmić go też po drodze. Chętniebym był jedną lub dwie

sztuki złota z węzełka gdzieś pokryjomu dobył, aby mojego skarbu nie pokazywać i ważyłbym na kupno konia, alem ceny jego nie znał i nie wiedział, gdzie go szukać.

Gdym tak pośpiesznie ulicą szedł jeszcze, nastręczył mi się mieszczanin, człek letni o kiju, z zapytaniem, czy nie z zamku idę.

Odpowiedziałem potakująco.

— Prawda to, że kardynał umarł? — zawołał, przystępując do mnie.

Błysnęła mi myśl jakaś i odpowiedziałem prędko:

— Tak jest, a jam właśnie z tą wiadomością posłany do Krakowa, ale konia ani podwody mi nie dali i szukać ich muszę. Za podwodę najętąbym zapłacił, ano mi jej śpieszno bardzo potrzeba.

Zawrócił się, skinąwszy na mnie, stary i rzekł:

— Chodźcie za mną.

Tak na kłamstwo się odważywszy, dalej już w niem brnąłem, nie zważając na to, że choćbym podwodę do Krakowa dostał, na gościńcu wielkim łacno mnie ułapić mogą. Ale mi się w głupiej głowie przewracało.

Mieszczanin, w drugą uliczkę zawróciwszy, do dworku mnie zaprowadził, głośno wołając w podwórzu:

— Kulas! Kulas!

Ze stajni wyszedł na głos ten człek mały, z głową ostrzyżoną krótko, nakuliwając na jedną nogę. Twarz miał plamistą, niedobrą, oczy niespokojne i wargę obwisłą, która go straszliwie brzydkim czyniła.

Począł mu mój mieszczanin o podwodzie prawić, a jam jedno tylko powtarzał. Składałem się tem, że o śmierci biskupa potrzeba było zaraz dać znać.

Kulas mój wnet parę koni wyprowadził, a mało poczekawszy, ruszyliśmy.

Gdym się znalazł w polu, na gościńcu, sam jeden, na łasce Bożej, nie wiedziałem, czy się radować, trwożyć, czy rozpaczać.

Kulas popędzał; mnie, choć leżałem, sen wcale nie brał. W początku wozy, ludzie konni pomijali nas,

a żem w głowie miał pogoń i strach okrutny, przypadałem na wozie, aby mnie jak najmniej widać było.

Strach to był próżny, gdyż, jakem się później dowiedział, nie opatrzono się o mojej ucieczce, aż późno w noc, gdy się skończyło nabożeństwo i wieczerza postna, do której mnie nie stało.

A nawet, gdy hukano, wołano i szukano mnie napróżno, sądzono, żem się gdzie w miasteczku obłąkał, wybiegłszy, nie przypuszczając nawet, bym mógł uciekać. Jeden Doliwa, jak mi mówiono, głową potrząsał znacząco, ale jakgdyby nie miał ochoty zbytniej ścigać mnie, nie mówił nic.

Kulas tymczasem wiózł mnie ku Krakowu bocznemi drogami; pierwsze trzy mile konie szły dosyć raźno, ale ujechawszy je, popasać musieliśmy już, a dalej, choć woźnica krzyczał, poganiał, wiele obiecywał, wlekliśmy się bardzo powoli.

Obwiniał o to drogę i porę, bo, według niego, konie były zawsze najsłabsze na wiosnę, przez to, że leniały, a i ludzie też słabli w tych miesiącach, dlaczego im krew puszczano. Jechał powoli, ale zato mówił dużo, i gdybym był słuchał, wielebym mógł się nauczyć od niego, alem w głowie co innego miał.

Słowo się rzekło — do Krakowa, a dopiero teraz rozmyślanie przyszło: gdzie ja się tam podzieję, co z sobą poczne, jak się ukryję, kto mnie przyjmie? Jakiś głos wewnętrzny naówczas szepnął mi, żebym się na dwór królewski i pod opiekę pańską udał. Jeśli nie sam, przez Gajdysa mogłem się przypomnieć, a gotówem był bodaj w stajniach przy koniach królowi służyć, niż gwałtem klerykiem zostać, coby mi wszelką nadzieję znalezienia rodziców odjęło.

Naostatku ukazał się, Bogu niech będą najwyższemu dzięki, Kraków, a jam ręce do modlitwy złożył. Zdawało mi się, żem już ocalony.

Kulas zajechał do gospody na Kleparzu, gdzie zwykle stawał i tu go opłacić przyszło, a z owej sztuki złota, którą osobno miałem przygotowaną, mało co zostało.

Przybyliśmy późno wieczorem tak, że wątpliwem było, czy na zamku nie zastanę bram zamkniętych; przenocowałem więc na wozie w gospodzie, a jak dzień, nimby się ruch począł w mieście, wyszedłem, postanowiwszy wprost udać się na zamek do Gajdysa.

W ulicach jeszcze ledwie się zaczynało ożywiać, gdym bramy przeszedłszy, naprzód do kościoła wstąpił, aby Bogu podziękować i prosić go o opiekę.

Wiedziałem, że zwykle o tej porze księża i wikarjusze, którzy na zamku nie mieszkali, udawali się na nabożeństwo, musiałem pilno się oglądać, aby który z nich mnie nie zobaczył i zawczasu nie wydał. Udało się szczęśliwie wrota przebyć i wprost podążyłem ku stajniom, ale z sercem bijącem, bom nie był pewien, czy Gajdysa tam znajdę.

Znali mnie już tam niektórzy woźnice i od nich się dowiedziałem, że wprawdzie Gajdys był na miejscu, ale od wielu już dni leżał chory i źle o nim wróżono. Wskazano mi izbę małą, ciemną, gdzie na sianie stękał, wojłokami obwinięty biedaczysko wybladły i wynędzniały.

Poznawszy mnie, z radością wielką się poruszył. Naówczas, gdy na twarz mu światło od drzwi padło, przestraszyłem się, zobaczywszy tak zmienionym, że ledwie go poznałem. Żółty był, jak wosk, skóra mu się pomarszczyła i oczy tylko strasznie połyskiwały. Nie dając mi mówić, począł, jak w gorączce prawić, jak był nieszczęśliwy, że mu to przyszło między obcymi chorzeć, a może i umierać. Płakał za Litwą swoją i Wilnem, za dworkiem, a tu mu wszystko wydawało się złe: powietrze, chleb, woda, ludzie! Mówił, że gdyby tylko mógł tam powrócić, na pewnoby wyzdrowiał.

Nierychło mi pozwolił przyjść do słowa i zkolei opowiedzieć, co się ze mną stało. Przestraszył się bardzo i załamał ręce. Wstać i do króla iść prosić za mną nie mógł ani myśleć, bo się na nogach nie trzymał, użyć kogo za pośrednika powiadał, że nie było można, że on sam musiał mówić o tem z panem.

— Trzeba czekać — dokończył, wzdychając. — Jeżeli Bóg da, że on tu zajrzy do koni i stajen, bo codzień chodzi do psów swoich, może się zwlokę do drzwi. Tymczasem siedź tu i czekaj, rady innej niema.

Zostałem więc na usłudze przy chorym i w jego izbie sobie kul słomy położyłem, na co nikt nie zważał. Gajdysowi przy jakim takim dozorze, gdy było komu przynieść wody, ciepłej strawy, posłanie poprawić, okryć go ciepło, zrobiło się lepiej. I to pewnie pomogło, że miał z kim mówić o Litwie, bo teraz tylko o niej myślał, a Boga prosił, żeby tu nie umierać.

Po mojej podróży i strachu, jakiego doznałem, dwa dni leżałem u Gajdysa, jak kłoda, gdy on mnie nie potrzebował.

Króla jakoś widać nie było. Chodził w istocie na myśliwskie swe ogary patrzeć, bo te bardzo lubił, a do naszych stajni nie wstępował. Sądziłem już, że mi przyjdzie ważyć się samemu zastąpić mu drogę, paść do nóg i prosić, aby wziął mnie w swoją opiekę, aż czwartego dnia Gajdys, który głos jego dobrze znał, posłyszawszy, zerwał się i ku drzwiom pobiegł w samą chwilę, gdy król przechodził.

Zobaczywszy go tak okropnie wymizerowanym, król stanął. Gajdys się powlókł ku niemu i ostatkiem sił począł coś szybko mówić, do kolan się schylając. Poczciwy człek prosił tak za mną. Z za drzwi uważałem, jak Kazimierz się zarumienił mocno, zadumał, poruszył ramionami, stał jakby niepewny, co postanowi. Naostatek ręką zamachnął.

— Gdzie on jest? — spytał.

Gajdys zawołał mnie. Przybiegłem, płacząc, do nóg jego. Nie dał mi mówić, twarz przybrała wyraz surowy.

— Chodź za mną! — rzekł krótko.

Wprost od stajen odszedłszy ku zamkowi, król skinął na stojące pacholę w barwie.

— Burczaka mi tu daj! — zawołał.

Staliśmy w pośrodku podwórca, król, oglądając się dokoła obojętnie, ja za nim.

Z zamku wybiegł z siwą głową mężczyzna, starszy nad pokojowymi króla, Burczak, z twarzą czerwoną, która od włosów posrebrzonych odbijała dziwnie.

Wskazał mu król na mnie.

— Weźmiesz to chłopię — rzekł — do moich pacholąt, pod szczególną opiekę. Sierota jest, którego ojciec mi niegdyś służył!

Burczak się skłonił.

— Nie daj mu krzywdy czynić — dodał król — pamiętaj.

Burczak spytał nawpół mnie, wpół jakby woli królewskiej, pod jakiem imieniem ma mnie zapisać. Odwrócił się pan do mnie.

— Jaszkiem mnie zwano — zamruczałem, — więcej nie wiem.

Na tem się skończyło, bo król już, jakby mu tego dosyć było, odwrócił się, a Burczak mnie z sobą ciągnął. Do regestru mnie wpisali, nadając imię Orfana, co miało znaczyć sierotę.

Jakie były początki mej służby dworskiej, opisywać nie warto. Wszędzie człowiek, nim się z nim oswoją i nim się on z ludźmi obędzie, musi przebyć wiele; tak też było i ze mną. Chłopcy w usługach króla, którzy tu już dawniej byli we dworze, obyczaj znali, kazali mi się wkupić różnemi posługami we względy swoje. Z początku nawet szło ciężko, aż gdy Burczak za mną się parę razy ujął, a i król dobre słowo rzucił, powoli się poprawiło.

Z królem, a czasem za królową młodą chodziliśmy do kościoła, gdzie mnie poznali klerycy i księża z biskupiego dworu. Moja ucieczka była już głośną, ale gdy się okazało, żem do dworu został przyjęty, nie dochodzono, jak się to dokonało. Obawiać się nie było już czego. Kardynał nie żył, nikomu, jak mi się zdawało, nie szło o to, czem ja będę i gdzie się pomieszczę. Roić więc sobie mogłem, że się dostanę choć za giermka później pomiędzy rycerstwo, do którego naówczas serce mnie ciągnęło.

Zdawało mi się, iż ze śmiercią kardynała skończy się ta wojna, którą on prowadził przeciw królowi, ale duch jego, który tak długo przewodził kościołowi, przeżył go. Tęczyńscy, Melsztyńscy i wielu z panów, wielu prałatów i kanoników tak samo się stawili opornie, nieufnie i zacięcie, jak za życia biskupa Zbyszka. Oleśniccy, rodzina jego, połączona z nimi węzły mnogiemi, przejednać się nie chcieli.

Król, tak samo jak w Gnieźnie i Przemyślu na biskupów zalecił wybierać po swojej myśli, po śmierci kardynała też do krakowskiej kapituły słał, aby Strzępińskiego obwołała. Stało się tak, ale na tym Kazimierz się zawiódł.

Gdyby i śmielszy od niego po kardynale wziął krakowskie biskupstwo, byłoby mu je dźwigać ciężko. Kapituła była Zbyszkowska, w niej opór już się narowem stał. Biskup nowych dróg sobie torować nie mógł. Dlatego później trochę, gdy król od wszystkich kościołów zażądał sreber na wojnę przeciwko Prusakom, Strzępiński, choćby je może był rad dał, jak inni, oprzeć się musiał, stanął twardo i wydania sreber odmówił.

Samo zaś to żądanie królewskie, aby duchowieństwo i kościoły przyczyniły się do obrony kraju, nowych mu tylko nieprzyjaciół przyczyniło. Poszło już we zwyczaj wszystko na króla zwalać, obwiniać go o każdą klęskę i co się złego stało, przypisywać jemu.

Trudno to spisać i opowiedzieć, na co się owych czasów patrzało i jak wiele młody król miał do przeniesienia, a z jaką mocą ducha i cierpliwością wszystko pokonywał, nigdy się nie skarżąc. Miał przy sobie małą gromadkę wiernych, która szła posłuszna mu, gdzie wskazał, ale przeciwko sobie możnych panów, rycerstwa i duchownych daleko więcej.

Podporą i pociechą dlań była właśnie ta pani, o której czasu wesela głoszono, że król jej nie podobał sobie i narzekał, iż mu ją wyswatano. Trzeba było na nią patrzeć, jak ona umiała, nie rozdrażniając go, nie jątrząc ku nikomu, pocieszać, rozweselać, odwagi dodawać i jaki na umysł jego wpływ wywierała.

Gdyśmy z królem podróżowali nieraz, jeździli na zgromadzenia szlachty do Piotrkowa, do Brześcia, na Litwę, a napojono go żółcią i octem, aż litość brała, dopiero, gdy się z królową połączył i ona mu otuchy dodała swem męstwem, odzyskiwał weselsze usposobienie. Pani była uczeńsza może, niż niejeden kleryk, księgi czytała chętnie, z ludźmi mądrymi rozmawiać lubiła, a miała dar taki ujęcia sobie wszystkich, iż jej nikt nie był nieprzyjacielem. Do spraw krajowych nie mieszała się wcale napozór, nie mówiła o nich, choć pono więcej ważyło jej milczenie, niż starej królowej matki namowy i prośby.

Ta bowiem pokoju synowi nie dawała, gorąco wszystko biorąc do serca, plotki wszelkie zbierając, podejrzewając ludzi, budząc trwogi, nakłaniając to do zgody, to do pomsty. Umysł miała taki i krew gorącą, która jej nigdy nie dawała spocząć. A ponieważ swojego czasu wiele czyniła i nawet kardynała umiała nakłonić na swą stronę, zdawało się jej, iż i teraz powinna królowi przewodzić. Szanował ją Kazimierz i słuchał, gdy mógł, ale był człowiek taki, którego przeciw jego przekonaniu nikt nie popchnął. Zmilczał, a swoje zrobił.

Zręczniejsza daleko młoda królowa, wiedziała co można i trzeba, a że kochała męża, myśli też jego podzielała.

Król jednego dnia nie spróżnował nigdy, a jeśli miał spocząć, jechał zaraz na łowy, bo je bardzo lubił. Najmilszem mu było, gdy się mógł na Litwę dostać, ale go stamtąd zaraz zazdrośni Polacy odwoływali. Wyrywano go sobie, bo Litwa już oskarżała, że nadto Polsce się oddawał, a tu znajdowano, że za mało.

W tym roku, po zjeździe w Korczynie, gdyśmy z królem i z królową na Litwę jechali, przyszła wiadomość, że na Węgrzech zmarł pobożny Jan Kapistran, po którym żal był wielki, i zaraz go świętym okrzyknięto.

Pod koniec roku jechaliśmy na Litwę z królem i królową, już po narodzinach pierwszego syna Kazi-

mierzowego, z którego przyjścia na świat radość była wielka.

Piękniejszego dziecięcia, jak powiadali wszyscy, oczy ludzkie nie oglądały, a gwiaździarze, którzy zaraz wróżyli z tego, w jakim się znaku i konjunkturach narodził, powiadali, że miał panować szczęśliwie nad wielu krajami, co się poczęści sprawdziło. Dano mu imię Władysław, tak dla dziada, jak dla brata.

Odprowadziliśmy na Litwę króla, a gdy do Gdańska miał jechać, nas, dwór swój większy, nazad do Krakowa wyprawił.

Jam był tak szczęśliwy, żem uzdrowionego Gajdysa odwiózł i znowu ten dworek zobaczył, w którym mi moje dzieciństwo upłynęło, tak mi ono żywo przed oczyma stanęło, i ta matka, która mnie tu dzieckiem do łona swego przyciskała, iż z Gajdysem mało nie codzień mówiłem o niej, twierdząc, iż jeśli jest żywą, nie mogła się tej miłości dla dziecka swego wyrzec i upomni się o mnie pewno.

Pamiętam, że stary naówczas, głową potrząsając, odpowiedział mi:

— Zawiedziesz się na tem... Nic ja nie wiem, ale jeśli żywą jest, więcej się ona dziś może lęka ciebie i radaby pozbyć, niż myśli miłować... Ale ty tego rozumieć nie możesz... Tyle ci powiem, abyś jej nigdy nie szukał i o nią nie pytał... Nawet macierzyńska miłość może się zmienić w nienawiść.

Nie czując się winnym w niczem, zakrzyknąłem, iż to być nie może, a nie przeczuwałem tego, co mnie wkrótce miało czekać i spotkać.

Tu ze smutkiem i boleścią przychodzi mi przystąpić do opowiadania terminu życia mojego, który, gdyby nie był prawdziwym, wydałby się mnie samemu do prawdy niepodobnym. Wszystko to jednak, co mam spisać o owych czasach, nietylko zmyślonem nie jest, ale w pamięci mej słabiej się dziś maluje, niż było.

Z Wilna część dworu odprawiwszy, król nas też pacholąt kilka wysłał z Burczakiem. Pilno nam w powrocie nie było, więc małemi dniami ciągnęliśmy, niekie-

dy przystając i odpoczywając. A że Burczak wcale dla nas surowym nie był, nam zaś w głowach młodych szalało, całą więc drogę tak przebyliśmy wesoło, ochoczo przy porze pięknej, że rozkosz była o niej wspomnieć, a gdyśmy się ku Krakowu zbliżyli, niemal się serce ścisnęło.

Na zamku znaleźliśmy pustki wielkie, robić też nie było co, mogliśmy się zabawiać w podwórcach, uganiając, dziryty rzucając, z łuku strzelając, koni próbując, a swawole młode wyprawiając.

Burczak podczas i na miasto nas puszczał, z tem tylko, abyśmy powracali, nim wrota zaprą, z czego ja korzystałem, znajomych moich odwiedzając, czasem do ks. Jana zachodząc, bom go, jak ojca, miłował.

Dnia jednego, gdym powracał już na zamek pod wieczór, patrzę naprzeciw mnie kroczy Sliziak, którego dla niedźwiedziego zarostu byłbym w piekle poznał, a wstręt miałem do niego. Byłbym go rad uniknął i minął, ale zobaczywszy mnie, drogę zaparł.

— Jam was już na zamku szukał! — odezwał się, witając mnie i przypatrując mi.

— Dziękuję wam za to — rzekłem wesoło — jeżeliście się chcieli dowiedzieć, jak mi się powodzi, pochwalić się wam mogę, żem Bogu dzięki do najlepszego pana się na dwór dostał i mam trochę łaski u niego.

Jeszczem nie dokończył opowiadania, gdy na zamku otrąbywać zaczęto zamykanie wrót; pożegnawszy go więc, pobiegłem co żywo.

Nazajutrz Sliziak na zamek się przywlókł do mnie jakoś pod wieczór. Zasiedział się, zagadał i gdy już mrok padał, namawiać mnie począł, abym go do gospody odprowadził i wina się z nim osłodzonego napił.

Tak natrętnym był i nalegającym, żem się wkońcu zgodził na to, nie zważając na późną godzinę. Zeszliśmy na miasto do jakiejś gospody aż na Kleparzu, do której przybywszy, to tylko dostrzegłem, iż wóz kryty jeden stał zaprzężony, a konie posiodłane, jakby Sliziak się wybierał pod noc w drogę.

Weszliśmy do izby, gdzie nam wina zasłodzonego w istocie podano we dwu kubkach. Choć słodycz czułem w nim, ale z jakimś smakiem takim zmieszaną, że mi nie szło przez gardło. Sliziak pił i koniecznie mnie zmuszał. Wychyliłem prędko kubek mój, nalał mi drugi, próżnom się wypraszał.

Jeszczem go nie dokończył, gdy poczułem w głowie zawrót jakiś i senność, aż mi się wstyd zrobiło. Czoło pocierałem rękami, oczy otwierałem siłą, kleiły mi się dziwnie. Wkońcu straciłem przytomność zupełnie i anim już wiedział, co się ze mną działo. Kamiennym jakimś snem usnąłem.

Gdy mi znowu zmysły powracać zaczęły, dziwnem mi się to wydało, żem czuł, iż leżę, a łoże ze mną na różne strony się przewala i waży. Z trudnością powieki nieco otworzyłem. Ciemność panowała dokoła. Chciałem ręce podnieść i uczułem, że były mocno skrępowane.

Strach nadzwyczajny mnie ogarnął, nie wiedziałem, co się dzieje ze mną, ani gdzie jestem. Nie mogłem przypomnieć sobie, jak się tu dostałem. Powoli do przytomności powracając, dorozumiewałem się, że mnie wieziono skrępowanego na wozie, a i usta miałem zawiązane tak, abym oddychać tylko mógł, nie krzyczeć.

Wóz zewsząd szczelnie zamknięty nie dopuszczał widzieć nic... przy mnie nie było nikogo. Słyszałem tylko tętent kilku koni, które zdawały się iść tuż, dokoła otaczając kolebkę.

Przypomniałem sobie okrutny ból głowy, czując coraz mocniej, jak mnie niepoczciwy ten Sliziak ściągnął z zamku do swej gospody i winem poił.

Co ze mną potem uczynił i dlaczego związał i wiózł... tego pojąć nie mogłem. Byłem pewnym, że na śmierć mnie wieziono, aby się pozbyć... i przyszły na myśl przepowiednie starych Gajdysów.

Na odwadze i sile mi nie zbywało, aby się ratować, lecz popróbowawszy więzy targać, przekonałem się,

iż tego nie dokażę. Byłbym je może zębami rozgryźć się starał, ale usta miałem związane.

Krzyknąć chciałem, ale chusta głos mój tłumiła.

Jak dawno wywieziono mnie z Krakowa i jak długo podróż ta trwała — wyobrażenia nie miałem. Przez skóry, które wóz zewsząd osłaniały, przeciskało się bledsze, jakby wieczorne albo ranne światełko dnia. Głowę miałem rozbolałą i ciężką, ale sen już mnie nie brał, a łzy się z oczów lały.

Po niejakim czasie wóz stanął, rozsunęły się skóry nieco, doszło mnie powietrze świeże i głowa w żelaznym hełmie pochyliła się nade mną. Nie był to Sliziak, ale człek nieznany mi zupełnie. Zobaczywszy, że oczy mam otwarte i twarz od krwi nabrzękłą, pogroził mi naprzód, zmarszczywszy brwi, a potem chustę mi od ust odjął.

— Milczeć! — rzekł groźno — a nie, to cię ubiję!

Zawołałem, prosząc wody, ale głos miałem tak słaby, że ledwie dosłyszał. Zasunął skóry znowu, powtórzywszy mi, abym milczał i poszedł. Wkrótce powrócił z kubkiem wody i napoił mnie, nie rozwiązując... Zacząłem jęczeć i narzekać... kazał milczeć. Ulitowawszy się jednak, na rękach mi cokolwiek sznurków popuścił.

Po krótkim wypoczynku usłyszałem, jak zaprzęgano znowu konie i wóz ruszył. Jechaliśmy tak cały dzień następujący, a ja ze zmęczenia, strachu i smutku uczułem się tak chorym, żem pod wieczór stracił przytomność. Przypominam sobie tylko, że ludzie się około mnie krzątali, rozwiązali, położyli wygodniej, mówili coś do mnie, poili wodą, podnosili głowę, która straszliwie bolała, a wkońcu jeden z nich na wóz siadłszy, trzymać mnie musiał, bom się w gorączce rzucał i wyrywał.

Jak przez sen widziałem nieznane twarze wąsate, ludzi jakichś... potem ciemności tylko i boleści pamiętam wielkie.

Gdym przytomność odzyskiwać poczynał i otworzywszy oczy, mógł rozpoznać, co się ze mną działo, znalazłem się na łóżku w małej izbie sklepionej. Stara

kobieta z kądzielą w ręku, przędząc i drzemiąc, siedziała nade mną.

Izba, w którejem się znajdował, dosyć czysta, otoczona ławami, w ścianach murowanych miała mnóstwo szaf i półek. Przy łóżku mojem był stół, a na nim miski, kubki i garnuszki. Naprzeciw spostrzegłem kilka wschodów, idących w górę ku drzwiom wysoko w mur wpuszczonym. Jedno okno zakratowane wysoko wpuszczało światło.

Dokoła cisza była grobowa, tylko wrzeciono w rękach staruszki, siedzącej przy mnie, chwilami warczało.

Zwolna zaczęło mi się w głowie wyjaśniać, przypomniało coś... porwanie, podróż, Kraków! Westchnąłem mocno.

Natychmiast baba siedząca przy mnie odstawiła kądziel, wzięła kubek i chciała mnie poić... ale odepchnąłem napój.

Schylona przypatrywała mi się długo, mrucząc coś. Po chwili zapytała, czy głodu nie czułem. Ja sam jeszcze nie wiedziałem w tem przebudzeniu do życia, czego mi było potrzeba.

Zacząłem od pytania — gdziem był, co się ze mną działo, bo to najpilniejszem było. Nie dała mi mówić nic, a odpowiadać wcale nie chciała. Zkolei podawała kubek, przyniosła z komina w kącie miskę z polewką mięsną i chleb, pokazując mi je... a widząc, że nie chcę nic, siadła spokojnie prząść, nie spuszczając mnie z oczu.

Po krótkim namyśle jednak, postawiwszy kądziel, wdrapała się na wschodki ku drzwiom i wyszła, zamykając je za sobą. Zostawszy sam, śmielej się zacząłem rozpatrywać po izbie, spróbowałem się podnieść nieco, alem był tak osłabły i zbolały, że zaraz nazad na łóżko opadłem.

Baba po niejakim czasie wróciła kusić mnie znowu jedzeniem tak, że nareszcie polewki się napiłem trochę, co mnie pokrzepiło; ale potem sen przypadł znowu, i nie wiem, jak długo spałem.

Zdawało mi się, że czasu tego snu szeptano nade mną i pochylano się, alem przebudzić się nie mógł.

Nierychło dopiero otworzyłem oczy, czując się silniejszym nieco i głodnym. Stara baba owinięta w płachtę, opodal siedząc, spała w kącie, a przy niej stał garnek z łyżką. Przez okno otwarte wchodziło świeże powietrze i wesoły promień słońca. Za niem słyszałem świergotanie ptaszków.

Podniosłem się na łóżku. Wtem i stara się przebudziła, oczy przetarła, a zobaczywszy mnie siedzącym, przyszła pośpiesznie. Nie opierałem się już teraz jedzeniu i przyjąłem miskę mi podaną z polewką i trochę mięsa. Chleb też mi smakował.

Stara pogłaskała mnie po głowie, wskazała, ażebym leżał, i na kilka moich pytań tylko niezrozumiałem odpowiedziała mruczeniem.

Siły mi teraz, jakby cudem, powracały, ale straszny niepokój i nieświadomość mojego losu dręczyła.

Ani dnia tego, ani następnego, oprócz starej, co mnie pilnowała, nikt nie przychodził. Od baby nic się dopytać nie było można. Służyła, karmiła, poiła, pilnowała, ale na pytania odwracała głowę i niecierpliwie nakazywała milczenie.

Po tych dniach zapragnąłem wstać z łóżka. Baba się nie sprzeciwiała, sama zaś wyszła precz i słyszałem, jak drzwi za sobą na zamek spuściła.

Przyodziałem się pośpiesznie, chcąc wyjrzeć, aby zmiarkować, gdzie się znajdowałem... okno jednak tak było wysoko, że do niego się dostać nie mogłem. Izba choć nie tak była nędzną, jak w więzieniu, ale czyniła mi wrażenie więzienne.

Za co mnie tu zamknięto, jak to długo trwać miało? Bóg jeden wiedział. Siadłem płakać na wschodkach do drzwi zamkniętych wiodących, gdy te się otworzyły i w nich pokazał się Sliziak.

Wstałem, wpuszczając go i rzuciłem się nań, wybuchnąwszy płaczem.

— Coś ty zrobił ze mną? za coś ty mnie niewolnikiem uczynił? Co ja ci winienem?

We wzburzeniu tem począłem mu nawet grozić.

— Ty nie wiesz, że sam król się mną opiekował, żem miał u niego łaskę wielką. Szukać będą za mną i nie ujdziesz bezkarnie.

Sliziak moich wymówek słuchał zupełnie spokojnie.

— Hm — rzekł — tyś sobie sam tego nawarzył, ty sam. Więcej ci nie powiem, bo to do mnie nie należy. Sługą jestem, robię, co mi kazano. Nie burz się nadaremnie i nie zrywaj, bo to nic nie pomoże. Siedzieć tu musisz, taka twoja dola.

A po chwili dodał szyderczo, jakby nawpół sam do siebie:

— Kto to wie? Może dlatego właśnie, że król na ciebie łaskaw, spotkała cię ta niewola. A no... siedź i nie rwij się darmo, bo wyjść nie możesz. Mury grube.

Zacząłem płakać, rzuciwszy się na ławę. Nic to nie pomogło. Sliziak obojętnie patrzał i powtarzał:

— Głupi!

Wyszedł wkońcu, ale za sobą drzwi nie zasunął. Zmiarkowawszy to, zaledwie miał się czas oddalić, rzuciłem się ku nim. Otwarły się. Za niemi był korytarz półciemny, z małemi okienkami, jak strzelnice, a obok izby, w której ja siedziałem, dwie do mojej podobne. Z korytarza wyjście znalazłem zaryglowane i to mi wytłumaczyło, dlaczego drzwi moich Sliziak na klucz nie spuścił.

Z tych izb sklepionych, jak moja, jedna leżała wyżej, druga niżej. W pośrodku znajdowała się ta, w której mnie osadzono. Z wyższej, pustej, że okno w niej niższe było, wychyliwszy się, mogłem zobaczyć cokolwiek. Mur był z kamieni i cegły bardzo wysoki, spadający w głąb zarosłą krzakami, między któremi przebłyskiwała woda. Głębina ta ciągnęła się szeroko, a naprzeciw widać było brzeg kamienisty, odarty, nagi, drzewami góry jakiejś zarosły. W prawo i w lewo mur tego zamku, gdyż poznałem, że to było zamczysko wielkie... rozciągał się daleko, a potem zaginał i na rogu

sterczała jakby wieżyca, której tylko stopy mogłem dojrzeć.

Pod oknem, jak przepaść czarna, wydawał się ów przekop, w którym mruczenie płynącej wśród krzaków rzeczki dosłyszeć było można. Na brzegu przeciwnym las gęsty, piękny, stary nie ukazywał ani śladu ludzkiej stopy. Puszcza jakaś była dzika. Gdy oknem wydobywszy głowę, przysłuchiwałem się, czy na tym zamku nie pochwycę jakiego głosu, znaku życia, ruchu... oprócz szmeru rzeczułki w dole, nic nie mogłem usłyszeć. Głuche, straszne milczenie panowało dokoła.

Ponieważ z mojej izby do okna nie było przystępu, a tu przynajmniej choć drzewa mogłem widzieć i kawałek nieba, nie chciało mi się oderwać od tego widoku.

Tu mnie zwieszonego w oknie otwartem zastała baba i gwałtem do izby pierwszej odprowadziła, choć prosiłem się jej, abym tu mógł pozostać.

Ten tylko pojmie, co to jest niewola w młodych leciech, kto był jej w tym wieku pozbawiony. Być skazanym na bezczynność i milczenie, napół dziecku, nawykłemu do biegania i do wesołych towarzyszów, śmierci się równa.

Przeszło tak dni kilka. Przyszedł wreszcie Sliziak. Mnie z tej rozpaczy myśli najróżniejsze po głowie się snuły. Z nudów mi się przypominało, jakem w Rzymie u dominikanów widział braciszków kaligrafujących i malujących rękopisy. Naówczas patrzałem na to ich zatrudnienie z politowaniem, ale teraz zdawało mi się, że szczęśliwy byłbym, gdybym choć to mógł robić, a czemkolwiek dni długie, jak wieki, skrócić.

Wpadłem na Sliziaka zaraz, że jeśli mnie uśmiercić nie chcą, choć oknem na świat powinni mi pozwolić wyglądać z drugiej izby, a potem zażądałem inkaustu i choć papieru, aby z nudów nie zdechnąć. Stary mruk wysłuchał tych moich próśb cierpliwie, nie odpowiedział nic, popatrzył na mnie, znajdując, że mi zdrowiej patrzyło z oczów... i poszedł, nic nie przyrzekając.

Znowu dzień upłynął, jak pierwsze. Sliziak dopiero trzeciego nadszedł. Izby zamienić nie chciał, ale czasem do okna pójść pozwolił. Nie było niebezpieczeństwa, bo pod niem głębina okrutna się znajdowała, a w niem sterczała krata wmurowana w kamienie, gruba i mocna. Najwięcej mnie jednak uradowało, że inkaust i papier obiecywał, a nawet księgę jakąś do przepisywania. Ale kiedy to miało przyjść, nie mówił.

Nigdym wielkiego ani do ksiąg, ani do pisania, ani do siedzenia za stołem pociągu nie miał... ale teraz, com mógł czynić?

Na tę obietnicę Sliziaka długo czekać musiałem... ani skutek jej, ani on się nie pokazał. Natomiast przygodziło mi się coś takiego, co mnie i strachem i ciekawością o mało znów nie przyprawiło o chorobę.

Nie mając co czynić, po całych dniach na ławie siedząc, to na łóżku polegiwając, często drzemałem godzinami, a gdy przyszła noc, sen albo mnie odbiegał, albo był tak niespokojny, że lada najlżejszy szelest rozbudzał.

Wśród tych milczących pustych murów, gdy przyszły ciemności, nadeszła noc, trwogi się budziły czasem nieopisane jakichś zjawisk, o których się nieraz nasłuchało. Przywidywało mi się, żem słyszał jęki, że mnie dochodził dźwięk kajdan z głębi tego parowu, który widziałem z okna. Budziłem się, krzycząc i lękając jakichś widm, szatanów i upiorów. Dopiero nad ranem, gdy świtało, zasypiałem snem twardym.

Jednej nocy, kiedym leżał w tych męczarniach, zdawało mi się, że w istocie w korytarzu słyszę chód, potem u drzwi szelest, widzę światełko. Otwierają się one. Na wschodkach postrzegłem wysoką, całą obwieszoną zasłoną postać, w sukni długiej z lampką w ręku.

Krzyknąłem przeraźliwie, baba się zbudziła i zerwała; postrzegła wchodzącą i przybiegłszy do mnie, zasłoniła mi usta ręką.

— Milcz! milcz! — poczęła groźno.

Wolnym krokiem widmo to poczęło się zbliżać ku mnie. Lampkę postawiło na stole.

Nie mogłem rozpoznać ani twarzy, ani nawet postawy, bo cała była owinięta chustami, a głowę miała tak osłonioną, iż rysów wcale widać nie było.

Drżałem cały ze strachu. Baba dawała mi znaki, a sama stanęła jakby na straży. Widząc, że ta stróżka moja w zjawisku nic nadzwyczajnego nie wiedziała, i ja się uspokoiłem nieco. Zwróciłem oczy na zakwefioną niewiastę, gdyż ze wszystkiego widać było, iż nią być musiała.

Nic nie mówiąc, podniosła ona lampkę ze stołu i oświeciła nią twarz moją, popatrzyła długo i zerwała się z jakąś grozą i oburzeniem. Chwilę trwało to... widziałem ją, stojącą jakby w osłupieniu.

Ochłonąwszy nieco, dopiero teraz zmiarkowałem, że może ta niewiasta straszna los mój miała w swym ręku. Nie odzywała się do mnie.

Wyciągnąłem ręce i począłem jęczeć.

— Za co mnie więzicie? za co zabijacie? Nikomum w życiu złego nie uczynił nic. Com wam winien?

Tupnęła na to niecierpliwie nogą. Nagle jakby jej myśl przyszła jakaś, rzuciła się ku mnie, na mnie. Chwyciła za gardło i nim się mogłem zasłonić rękami, porwała na szyi wiszący krzyżyk, dany mi przez matkę, usiłując go zerwać.

Był to największy w świecie skarb dla mnie, któregom bodaj życiem bronił. Zaledwiem się domyślił, czego chciała, gdy tak gwałtownie oparłem się jej i począłem odpychać, że nareszcie ustąpić musiała.

W czasie tego krótkiego pasowania się ze mną, na które przestraszona baba patrzyła z załamanemi rękami, słowo się z jej ust nie wyrwało. Czułem tylko oddech gorący i jakby zgrzytanie zębów.

Wyrwawszy się z rąk jej, uciekłem w przeciwny kąt izby. Popatrzyłą na mnie, chwyciła lampkę i wyszła, trzaskając drzwiami.

Długo potem przelękły uspokoić się nie mogąc, nie szedłem do łóżka. Obawiałem się jakiej zdrady, podstępu, gwałtu, a krzyżyka mojego postanowiłem bronić, choćby życie stracić przyszło. Rozedniało jednak,

nie zjawił się nikt i nocna owa przygoda wydała mi się po dniu, jak zmora jakaś senna.

Następnego dnia przyszedł Sliziak. Niósł z sobą, co przyobiecał: papier, inkausty, pióra i gruby rękopis, do którego podskoczyłem ciekawością zdjęty. Były to objawienia św. Brygitty, które już u ks. Jana widywałem.

Ledwiem począł się skarżyć Sliziakowi na napaść nocną, gdy mi wnet zamknął usta.

— Śniło ci się — rzekł — milcz!

Nie dał mi nic mówić, wyszedł precz.

Następnej nocy anim się kładł, anim myślał spać; na kominku przyłożyłem ognia, aby się cokolwiek świeciło i siedziałem w trwodze, czy to straszne widmo znowu mi krzyżyka nie przyjdzie odbierać. Ale noc długa przeszła spokojnie. Wrażenie strachu tego zwolna się zacierać zaczęło.

Wziąłem się do czytania naprzód objawienia św. Brygitty. Nie szło to łatwo, bo rękopis był drobnemi głoskami pisany ze skróceniami, a jam wprawy wielkiej nie miał. Ale już po kilku dniach postrzegłem, że mi zaczynało iść coraz lepiej.

Z papieru miałem tę korzyść tylko, żem zamiast pisać na nim, przypomniawszy sobie pisane w Rzymie rysunki, które młodzi mnisi na marginesach barwami różnemi i złotem wykonywali, choć nie miałem innych farb, oprócz rubrum i inkaustu, i ja też próbować począłem piórem nakreślać. Niezgrabnie to szło, ale ptaszki i kwiatki po dziecinnemu mazać próbowałem. Czas przechodził. W rękopisie objawień było kilka liter malowanych, a każda księga w nagłówkach miała malatury i marginesy. Siedziały też na nich ptaszki na gałęziach i kwiaty różne się plątały, razem z godłami Męki Pańskiej. Wziąłem się do naśladowania tych rysunków.

Ja, com się tak dawniej wszelką kancelaryjną robotą brzydził, teraz Panu Bogu za nią dziękowałem. Czytanie też św. Brygitty przeniosło mnie jakby w świat inny. Uczułem się lichym i maluczkim, choć

nieszczęśliwym, lecz gdybym najwięcej cierpiał, nie godziło mi się narzekać na dolę moją, porównywając ją z męczeństwem samego Boga. Poznałem naówczas, jak wielkiem dobrodziejstwem może być księga. Sliziak, dawszy mi raz, o co prosiłem, ani się pokazywał więcej. Zjawisko też owo nocne nie powróciło.

Miałem na myśli teraz, gdyby stary przyszedł, odezwać się do niego z tem, że przecie winowajcom nawet mszy św. słuchać i spowiadać się dozwalają, za cóżbym ja miał być tej pociechy pozbawionym? Obrachowywałem sobie, że do kościoła jadąc, czy idąc, mógłbym sobie radzić, a księdzu na spowiedzi skarżyć się na ucisk.

Lecz Sliziak się nierychło zjawił. Zdawało się, jakby o mnie zapomnieli wszyscy. Stara nawet, która mi posługiwała, na klucz mnie zaparłszy, szła precz, a jedzenie tylko przynosiła. Nocą zaś w innej izbie się kładła od niejakiego czasu.

Nadeszła zima. Nic się nie zmieniło. Ale jak człowiek do wszystkiego w świecie nawyka, na wszystko powoli obojętnieje, tak i ja w tej niewoli, mogę powiedzieć, odrętwiałem.

Zjawił się wkońcu Sliziak o kiju zgarbiony, jakby z choroby ciężkiej dopiero wstał. Prawie go z radością powitałem, choć nienawidziłem człowieka tego, widząc w nim przyczynę wszelkich nieszczęść moich. Zaledwie siadł, gdym rozpoczął to, do czego się przygotowywałem, żądając kościoła i księdza. Było to tak słusznem i naturalnem, iż słowa przeciw nie umiał znaleźć. Gdym naglił i naciskał, zamruczał:

— Jam tu nie pan, ja robię, co mi każą; nie mogę nic.

— Powiedzcież o tém tym, co mogą! — zawołałem. — Zabić na ciele może kto się Boga nie boi, ale na duszy zabijać straszniejsza odpowiedzialność jeszcze; za to rozgrzeszenia niema.

Stary zbył mnie milczeniem.

Zdaje się, że wysłanym był, aby ode mnie rękopis objawień odebrać, alem powiedział wręcz, że nie dam, póki innego mieć nie będę.

W tem opuszczeniu i nędzy mojej, zostawiony sam sobie, czytając tylko księgę pobożną a znękanym będąc, całym duchem zwróciłem się ku Bogu, wzywając jego ratunku. Zdawało mi się, że modlitwy niewinnego prześladowanego stworzenia przebiją niebiosy i cud jakiś sprawić muszą. Wymyślałem więc sobie, przypominając, com po świecie widział, w podróży z ks. Janem, w Rzymie, nabożeństwa osobliwe, posty i umartwienia.

Zrobiłem sobie krzyżyk z prostego drzewa i powiesiłem nad łóżkiem. Z rana klękałem na modlitwę i znaczną część dnia spędzałem na klęczkach. Przychodząca baba najczęściej mnie znajdowała na ziemi leżącego krzyżem, albo przed krzyżem moim na gorącej modlitwie.

Wkońcu tak mnie całego objęło to nabożeństwo i w niem taką znajdowałem pociechę, żem prawie nic więcej nie robił, tylko powtarzał pacierze i modlitwy, jakie umiałem, a nawet sobie sam nowe układałem i potem starałem się spisywać. Ale po polsku nikt nas wówczas pisać nie uczył, więc, gdy przychodziło, co się mówiło, przenosić na papier, szło i źle, i trudno.

Za każdym razem, gdy Sliziak przychodził, dopominałem się o kościół i księdza; nic mi nie odpowiadał.

Tak upłynęła zima, i ku wiośnie się brało, alem ja lik dni i miesięcy zgubił, a widząc, gdym się czasem wyrwał do górnej izby, przez okno drzewa w pączkach i wierzby w kotkach, domyślałem się, że Wielkanoc, to wesołe święto wiosenne zbliżało się.

Jednego dnia, gdym właśnie krzyżem leżał na modlitwie i płakał, otworzyły się drzwi i na wschodkach zobaczyłem wychudłego, jak szkielet, człowieka, w długiej czarnej sukni. Z czapki i różańca w ręku poznałem w nim duchownego.

Nie był on bardzo stary, alem nigdy w życiu nie widział nikogo, coby, jak on, miał tylko skórę i kości.

Z pod skóry pomarszczonej i obwisłej żyły tylko nabrzmiałe widać i policzyć było można. Tak samo twarz niemal do trupiej głowy była podobna, bo zębów nie miał, usta szeroko zapadłe, a oczy głęboko osadzone.

Uradowałem się wielce, zobaczywszy go, jakaś nadzieja w serce mi wstąpiła, lecz gdym oczy podniósł ku niemu, takim mnie przeszył wzrokiem, żem odrętwiał. Pocałowałem go w rękę; siadł na ławie spokojnie i długo mierzył mnie oczyma. Zdawało mi się, że go wzruszę i obudzę w nim litość, opowiadając mu o sobie.

— Ojcze mój! — zawołałem — zlitujcie się nade mną, ratujcie mnie! Niewinnego mnie porwano gwałtem, więżą i każą bezprawnie!

Nie dał mi mówić więcej, namarszczył brew.

— Cicho! — rzekł. — Co ty wiesz? Azali ci, co cię więżą, prawa nie mają? Większe może, niż kto inny.

— Ojcze, to być nie może! Król jest moim opiekunem! Ja jestem sługą jego!

— A! król! król! — chmurno począł ksiądz — ten bezbożnik, ten sługa Baala, ten świętokradca, co duchownym chce rozkazywać i kościoły ograbia... król! Wkrótce on nad nikim i żadnego prawa mieć nie będzie, pójdzie boso z postronkiem na szyi całować stopy tych biskupów, którym swoją wolę tyrańską narzuca.

Z wielką namiętnością i gniewem wyrzeczone słowa te usta mi zamknęły, rozlałem się we łzy i niemęsko płakać zacząłem. Ksiądz patrzył na mnie z obojętnością tych ludzi, co przywykli patrzeć na cierpienia, już się nawet nie litując nad niemi.

Tak upłynęła chwila. Rzuciłem się całować go po rękach, które mi wyrywał, i począłem błagać go, aby się wstawił za mną, by z niewoli tej ratował.

— Wolnym chcesz być? — odparł. — A wieszże ty, czybyś nim zostawszy, nie był potem zakałą i przyczyną wstydu i sromu, a nieszczęścia dla tych, którym życie winieneś? Mówisz, że rodziców swych chcesz znać, bo ich nie znając, miłujesz, a wiesz ty, czy ta miłość nie byłaby dla nich potępieniem i nieszczęściem?

Jeżeli miłujesz ich, toś się zrzec powinien i ani myśleć szukać ich na świecie. Masz ojca w niebiesiech.

Gdym na to milczał, ksiądz powoli mówić zaczął:

— Jeżeli kiedy wolnym być możesz, to nieinaczej, aż na krzyżu, przyjmując ciało i krew Pańską, poprzysiężesz, iż z kraju się oddalisz na zawsze, nigdy nie powrócisz do niego i zapomnisz nawet młodości i pochodzenia swojego.

Spojrzał mi w oczy badająco, alem nie odpowiedział nawet. Takiej przysięgi złożyć nie chciałem. Głową potrząsłem.

— Danoby ci na środki, abyś precz z Polski mógł wyjść i do klasztoru wstąpić — mówił dalej. — Rozmyśl się. Gdy przysięgę złożysz... któż wie? zmiękczą się może serca, zjednasz litość.

Odwróciłem rozmowę, dopraszając się już tylko spowiedzi i komunji świętej, wysłuchania mszy świętej.

Nie przyrzekł mi nic i nie odmówił, zdało się jednak, jakby litość go poruszyła nieco. Słowa były surowe, ale głos łagodniejszy.

W końcu spowiedzi mnie wysłuchawszy, obiecał, że nazajutrz dodnia mszy świętej słuchać będę i komunję otrzymam.

Zasnąć nie mogłem tej nocy, tak nadzieja wyjścia choć na chwilę z tego więzienia przejmowała mnie radością jakąś. Była to w mem życiu jednostajnem zmiana przynajmniej chwilowa.

Zaledwie na brzask się miało, gdy zaszłapały kroki czyjeś pode drzwiami; otworzył je Sliziak, niosący kaganek w ręku, i zawołał:

— Chodź, a pamiętaj, że jeśli się poważysz krok zrobić ode mnie i zechcesz uciekać, ubiję cię na miejscu.

Z kurytarzyka wyszliśmy na powietrze, ale droga prowadziła chodnikiem pod murem wysokim okólnym ze strzelnicami Z drugiej strony stała wysoka, bez okien ściana zamkowa. Minęliśmy furt kilka, nareszcie Sliziak otworzył jedną, wszedł sam naprzód w bramę ciemną, wpuścił mnie, zaryglował ją i pociągnął z sobą w podwórzec zamku, ciasny, jak studnia, wyso-

kiemi otoczony murami, piętrzącemi się do góry. Żywej duszy tu widać nie było.

Po wschodkach kazał mi z sobą iść na górę.

Drzwi znalazłszy otwarte, weszliśmy do małej zakrystji, w której nie było nikogo, oprócz znajomego mi księdza. Ten klęczał przed krzyżem i modlił się. Gdyśmy weszli, dokończył modlitwę, odwrócił się i spytał, czy do mszy służyć umiem.

Nie mógł o tem wątpić, bo w każdej szkółce przecie od tego się niemal poczynało, że nas ministrantury uczono. Zamiast odpowiedzi, przykląkłszy, wziąłem się zaraz pomagać mu do ubrania.

W kaplicy panowała cisza taka, że ksiądz mszę odprawiający i ja nie śmieliśmy jej przerywać, odzywając się głośniej. Dzwonek, który znalazłem pod ręką, dźwięczał zaledwie.

Skończyła się msza, wróciliśmy do zakrystji, w której drzwiach stał Sliziak, a gdym księdza rozebrał, skinął na mnie i wyprowadził z sobą.

Dzień się był większy w czasie mszy zrobił. Mogłem się teraz przypatrzeć lepiej murom, ścianom, kamieniom, bo więcej nic do widzenia nie było.

Głazy te przed wieki musiały być niegdyś wmurowane w ściany wysokie, bo na nich pleśń, mech i miejscami trawy rosły. Wąskie okna z kratami, otwory czarne, na podwórcu kilka ogromnych kul kamiennych, więcej nic nie zobaczyłem.

Tąż samą drogą Sliziak, słowa nie mówiąc, zaprowadził mnie do więzienia mojego i zamknął w niem.

A potem — poszło znowu wszystko trybem swoim.

Ponieważ bawiłem się ciągle około papieru i rękopisu, który mi dano, a z okna, w górze umieszczonego, światła mało padało, począłem się prosić do drugiej izby, w której okno, było niżej, abym tam choć we dnie mógł siedzieć. Baba sama na to pozwolić nie chciała, ale drugiego dnia zgodziła się.

Miałem tu tę pociechę, żem, w oknie siedząc, przez kraty mógł patrzeć na las, na drzewa, które właśnie zielenieć poczynały. Mało co tu widać było, ale dla

mnie starczyło tego. Wiało powietrze, dochodziła woń, świergotały wróble. Czasem, gdym dalej odszedł, ptaszyna jaka siadała na zrębie okna, a to mi taką sprawiało radość, jakby ona z dobrą jakąś przychodziła wieścią.

O południu jednego dnia, a była niedziela, bom to mógł poznać po stróżce mojej, która wdziewała na święto bieliznę świeżą i zawiązywała głowę chustą czerwoną, siedziałem, jak zwykle, osłupiały, oknem patrząc na brzeg przeciwny i drzewa, gdy — cud! mignęło mi, jakby się tamtędy dwu ludzi przeciskało gąszczami.

Wychyliłem się cały z ciekawością niewysłowioną, z sercem bijącem. Nie myliłem się. W istocie nad samym brzegiem, powoli szło dwóch ludzi, oglądając się na zamek pilno.

Przekop i rzeczka nie były bardzo szerokie, a ja miałem wzrok zawsze doskonały. Dostrzegłem zaraz, iż nieproste chłopy to były, ale jakby myśliwi, co się zabłąkali. Prawie jednostajnie ubrani z mieczykami u boku, w czapkach takich właśnie, jakie u dworu noszono, wydali mi się młodymi i jakby obcymi tu, bo szli wolno, rozglądając się pilno, stając, naradzając ukazując na mury.

Myślałem, że mi się śni, czy w oczach dwoi, gdy lepiej się przypatrując im, zdało mi się, żem poznał obu dworzan królewskich, których widywałem codzień i byłem z nimi najlepiej.

Byłbym przysiągł, iż nie kto inny był, tylko Zadora z Bnina i Marjanek z Borów. Ale jak i skądby się oni tu wziąć mogli, Boże miłosierny!

Sam nie wiedząc, co czynię, nietylko głowę, ale ilem mógł piersi wychylić przez kratę, wysunąłem za okno i huknąłem.

Przestraszyłem się potem sam, gdy głos ten mój odbity od murów rozległ się po okolicy. Zadora i Marjanek stanęli nad samym brzegiem, oczyma szukając, skąd głos pochodził. Zdaje się, że Borowski mnie pierw-

szy zobaczył i ręką wskazał w tę stronę, na co ja też odpowiedziałem.

Ale w tejże chwili usłyszałem chód w korytarzu i ledwiem czas miał wydobyć się z kraty, przypaść do stołu i za papier pochwycić. Baba weszła, oczyma przestraszonemi patrząc na mnie, jakby krzyk mój posłyszała, ale zobaczywszy siedzącego spokojnie i schylonego nad stołem, przeżegnała się tylko i odeszła.

Gdym potem wrócił do okna, już tych dwu na przeciwnym brzegu nie było.

A tu muszę słowo o nich powiedzieć, bo na dworze pańskim nie miał Kazimierz ludzi, coby mu byli oddani tak, jak oni. Zadora takim był, że nigdy nie pytał, co król chciał, dlaczego i czy on temu podołać mógł, dosyć było, aby skinął a szepnął — szedł w ogień i wodę!

Zaś Marjanek, który głowy takiej, jak pierwszy, nie miał, i samby może wielkim rzeczom nie podołał, trzymał się Zadory, nie odstępując go na krok. Nierozdzielni byli, gdzie jeden, tam i drugi, z tą różnicą, że pierwszy rozkazywał, drugi słuchał, a tak byli do siebie nawykli, iż spojrzawszy sobie w oczy, rozumieli się. Marjanek mężny był, silny jak żubr, zapamiętały — Zadora przebiegły i zręczny.

Niebardzom był pewnym, czy w istocie oni to byli, ale gdym na tę myśl wpadł, zdało mi się: nuż król ulitował się i kazał mnie szukać, nuż trop jaki znaleźli, nuż mnie oni wyzwolą!

W gorączkę mnie to wprawiło taką, żem chodził, jak pijany.

Nazajutrz znowu do wyższej izby wpadłszy, pobiegłem zaraz do okna, ale nie zobaczyłem nic. Na przeciwnym brzegu nie było nikogo.

Bojąc się, aby w wypadku, gdyby znów przyszli, nie ominęło mnie widzenie się i przekonanie, czy w istocie Zadora był, nie odchodziłem od okna ani na chwilę. Daremniem wysiadywał, nikt nie przyszedł.

Znów więc mnie rozpacz ogarnęła, a po tej nadziei nadaremnej jeszcze mi boleśniej było, niż przedtem.

Minęło dni kilka. Prawiem już do okna zaprzestał chodzić, gdy jednego dnia oparłszy się tu o kratę, poczułem, jakby się uginała pod ręką. Lepiej się przypatrując, postrzegłem, że była podpiłowana i tyle się tylko trzymała, aby nie było widać, co się z nią stało.

Byłem najpewniejszy, że niedawno musiano kratę piłować. Na murze postrzegłem ślady świeżo zdrapane. Znowum oszalał bezmała. Tegoż dnia uparłem się, z babą posprzeczawszy, że spać będę w tej izbie. Mówiłem, że mi w niższej zaducha dokuczała.

Sprzeczała się długo, przystała nareszcie; siennik mój rzuciłem na ziemię.

Tej nocy jednak czekałem napróżno i znowu nad ranem zasnąwszy, narzekać począłem i rozpaczać. Ale trzymałem się izby górnej i siedziałem w niej ciągle. Dwie noce przemęczyłem się tak i już mnie nadzieja opuściła, gdy trzeciego dnia ledwie ściemniało, a jam leżał na moim barłogu, w oknie zobaczyłem jakby głowę ludzką.

Rzuciłem się ku kracie.

— Jaszko? — spytał głos cichy, w którym poznałem Marjana.

— Ja! ja! — wyjęknąłem, pochylając się ku niemu.

— Żywo... krata się ino trzyma, wyłam ją na izbę, a sam leź, jest drabina ze sznura.

Usłyszałem potem drapanie po murze i ucichło.

Jakom sobie naówczas rady dał, jeden Bóg wie. Z kratą nie było wiele zachodu, wykruszyła się zaraz tak, żem ledwie ją pochwycił, aby z brzękiem nie padła. Jak stałem, wysunąłem się przez okno, o resztki żelaza w murze kalecząc, alem tego ani czuł. Nogami naprzód począłem szukać sznura, potem rękami. Drabina się uginała i chwiała. Spuszczałem się, trzymając co sił, ciągle oglądając, kiedy stanę na ziemi, ale mur wysoki był i osłabłem niemal ze strachu i tego mocowania się, gdy naostatek poczułem, że mnie ktoś pochwycił za barki.

Pod nogami pluskała woda.

W przekopie ciemno było tak, żem ja ich, a oni mnie widzieć nie mogli, a gdyśmy drabinę urwawszy poczęli iść, żeby się z tego dołu wydobyć, omackiem trzeba było, chwytając gałęzie i krzaki, przebijać się na brzeg drugi; miejscami mieliśmy wody po kolana.

Zadora i Marjan nie odzywali się prawie słowa.

Drugi brzeg urwisty niełatwy też był do wdrapania się, a Marjanek klął cicho, że nie trafił na wodowyje, któremi w dół schodzili. Pięliśmy się do góry i zsuwali, nim naostatek dostaliśmy się na górę i w las. A i tu po nocy do koni swoich Zadora i Marjanek ciężko drogi szukać musieli, na ludzi hukać nie mogąc, aby się nie zdradzić.

Zaczynało już dnieć, gdyśmy znaleźli konie, stojące na polance, a ludzi uśpionych. W mgnieniu oka wszystko było wpogotowiu. Dla mnie też koń stał osiodłany, czapkę mi znaleźli, bom jej nie miał, więc na siodła i w drogę. Nie było czasu ani się rozmówić, ani pytać, ani dziękować. Jak na koniu dosiedziałem osłabły i odwykły od niego, sam nie wiem. Jechaliśmy kłusem i cwałem prawie do południa, a drogami takiemi, że na nich pogoni się nie było co obawiać. Kraj był górzysty i leśny; dopiero pod koniec spuściliśmy się na płaszczyzny i we wsi, która u podnóża gór stała, na popas stanęliśmy. Gdym z konia zlazł rozbity, zatoczyłem się na nogach i padłem. Wodą mnie i winem, które Zadora miał, musieli ocucać i krzepić.

Gdym się podniósł, począłem im dziękować. Zadora śmiał się, a tak szczęśliwy był, że mało nie dziękował sam za to, że mu się mnie uratować udało.

— Boże miłosierny — zawołałem, przejęty wdzięcznością — ale jakżeście wy na ślad trafili?

— Nie potrzebowaliśmy go szukać — odparł Zadora. — Posłuchaj, jak to było: król, gdy się dowiedział, że ciebie zabrakło, a śledzić kazał, z kim chodziłeś i gdzieś bywał, z początku zagniewał się tylko mocno. Ale ma on dosyć spraw na głowie, szczególnie z tymi Prusakami, aby mógł myśleć o wszystkiem. Nie-

rychło potem przypomniał sobie ciebie. Bodaj jakiś Litwin mu coś szepnął. Kazał mnie zawołać do siebie.

— Nie pytaj o nic — rzekł — zrób, co powiem; nagrodzę cię dobrze.

— Miłościwy panie — rzekłem — i bez nagrody życie stawię.

— Jaszka Orfana porwano — mówił dalej pan. — Szkoda chłopca. Jeżeli żyw jest, to nie gdzie indziej się znajduje (doniesiono mi), tylko w Nawojowie na zamku. Zamek stary i warowny, trudno się do niego dostać — mówił król dalej, — ale od czegóż masz rozum i ręce?

— Popatrzył król na mnie — ciągnął Zadora, — a jam się do kolan mu kłaniając, uśmiechnął.

— Miłościwy panie! — rzekłem, — kiedy wiem, kędy go szukać, spodziewam się, że Jaszka dalibóg dostanę, ale proszę o to, abym Marjanka z sobą wziąć mógł. Jak nas dwu będzie, niesposób, żebyśmy oba przepadli.

Król palec położył na ustach.

— Bierz i jedź, a o tem wszystkiem nie gadać mi ani dokąd, ani poco, i powróciwszy, jeżeli Jaszko żyw, żeby mi on się nie ważył pleść, co się z nim stało, gdzie był, kto go ratował. Patrzajcie, bo gniewny będę.

— Pamiętaj tylko jedno, gdy powrócimy — dorzucił Zadora, — abyś o swoim losie, o tem, co się z tobą stało, milczał. Król przykazał, rozumiesz.

— Gęby nie otworzę — rzekłem — choć, Bóg świadek nie wiem i nie rozumiem, za co mnie, biednego sierotę, kto prześladować może. Com ja komu winien? Co szkodzę, że po świecie chodzę?

Takeśmy, popasając, rozmawiali, niebardzo śpiesząc się z dalszą jazdą, bo może nietyle Zadora i Marjanek, ale ja byłem złamany i zbolały tak, żem sam nie wiedział, jak dłużej na koniu wysiedzę. Gdym się z tem odezwał, rzekł Zadora:

— Trzymaj się choć zębami kulbaki, a my tu nocować wpobliżu gór i Nawojowa nie możemy. Kto wie, co się gotuje? Jeżeli tam im, tym zbójom, tak bardzo

o to chodzi, aby ciebie trzymali pod kluczem, mogą nas nagonić. Tu oni tak, jak w domu, wioski i gospody do nich należą; krzykną — to im ludzie w pomoc przyjdą, a nam nikt.

Ledwie tych słów domawiał, gdy koło gospody zatętniało. Marjanek wyleciał, jak kamień z procy. Zadora się pochylił do okna i począł liczyć, ilu nadciągnęło, mnie się serce rozkołysało. Z izby słyszeliśmy tylko, jak Marjanek czeladzi się kazał do kupy ściągnąć.

— Cztery konie, — odezwał się Zadora — jeżeli ich niema więcej, a nie nadciągnie, nie obawiam się.

Wpadł do izby z oczyma zaiskrzonemi Marjan.

— Wielu?

— Czterech.

— No, to niema co się płoszyć.

Ledwie skończył mówić, gdy na progu zobaczyłem Sliziaka. Głowę wsunąwszy przez półotwarte drzwi, oczyma po izbie szukał, pewno mnie. Jam w ciemnym kącie siedział za Zadorą i widać mnie nie było. Uderzyłem go łokciem i szepnąłem:

— Ten, co mnie porwał!!

Zadora Marjankowi dał znak głową i zrozumieli się. Sliziak tymczasem stał w progu niepewny czy ma wejść, czy nie. Siedzący przy mnie zasłonił plecami tak, że nie byłem na oczach.

Zawahawszy się nieco, stary niedźwiedź, pochwaliwszy Chrystusa u progu, ociężałym wsunął się krokiem. Ciarki po mnie chodziły. Rozglądał się, nic nie mówiąc, dokoła izby.

— A skąd to Pan Bóg prowadzi? — hardo spytał Zadora.

— Z okolicy — odparł Sliziak — a wy?

— My z pod Krakowa — rzekł mój towarzysz.

Sliziak położył czapkę na stole i wyciągnął się. Siadł na ławie, a tak mu przypadło, że mnie zobaczyć nie mógł.

Piwa sobie kazał dać szynkarce. Znali go tu widać, bo mu zaraz usłużono.

— Nie jechał kto dziś tędy? — zapytał gospodyni.
— Sołtys z Brzezan i dwu kmieci z Nawojowa.
— A obcych?
— Pierwsi ci oto, co przed wami tu zaciągnęli.

Siedziałem, jak na węglach, bo mi się zdawało, że co chwila wilczemi swemi oczyma mnie wypatrzy i rzuci się, jak na swą ofiarę. Posępny Sliziak pił piwo. Zadora mu się przypatrywał, jakby zawczasu mierzył siłę jego, na wypadek, gdyby się z nim potykać przyszło.

Porozumieli się oczyma z Marjankiem, jak to oni umieli, że im słowa na to nie było potrzeba. Marjan drzwi do stajni uchylił, aby zobaczyć, czy ludzie byli wpogotowiu. Tymczasem ci, co z Sliziakiem przyciągnęli, pozsiadali, koniom uzdy zdjęli i poprowadzili je do żłobów. Zadora to wszystko musiał obrachować i wyczekawszy nieco, wstał, za rękaw mnie biorąc. Potem zaraz chwycił rękojeść szabli i kołpaczek nałożywszy, postąpił ku środkowi izby. Kiwnął głową Sliziakowi, ukazując na mnie.

— Bywaj zdrów, stary! — zaśmiał się.

Dopiero mnie zobaczywszy, niedźwiedź ów rzucił się, jakby go oszczepem przebito. Chciał na nas biec, ale Marjanek mu z pochew jego własny kord wychwycił i z nim stanął naprzeciw.

— Ani mi się rusz, bo łeb rozpłatam! — krzyknął.

Myśmy z Zadorą w drzwiach już byli, widziałem tylko, jak się Sliziak za głowę pochwycił oburącz. Wdrapaliśmy się na konie, gdy Marjanek ze zdobytą szablą nadbiegł i na swoją szkapę skoczył. Puściliśmy się kłusem wyciągniętym. Gdym mimowolnie odwrócił głowę, zobaczyłem tylko na progu karczmy ludzi ze Sliziakiem stojących, ale gonić nas nie myśleli. Było nas młodych siedem głów, a ich czterech.

Jak to młodym wesoło zawsze, gdy im cokolwiek los pofolguje. tak i my, ledwie odetchnąwszy z postrachu, aż do wieczora jadąc, ciągleśmy tylko żarty stroili. Ja najmniej, ale Zadora i Marjanek śmiali się, cieszyli, że się im tak udało, obiecywali sobie złote góry, trochę

przedrwiwali ze mnie biednego, śpiewali, świstali, hukali, i tak nareszcie już po nocy zajechaliśmy do małej mieściny, której nazwiska nie pamiętam. Stanęliśmy na targowicy pustej, bo już ludzie się po domach pozamykali i mało się nawet gdzie świeciło. Zadora upatrywał tylko, dokądby zajechać. Wtem Żyd wyszedł z jednych wrót i począł zapraszać do siebie. Niewiele myśląc więc, zaciągnęliśmy do niego. Szopa była próżna.

— No, tu już bezpiecznie się wyspać możemy i niczego obawiać nie potrzebujemy — rzekł Zadora, — a jutro przy pomocy Bożej w Krakowie będziemy.

Mnie, żem jeszcze niezupełnie ze strachu ochłonął, coś tknęło, że nieśmy wjechali do gospody, tąż samą drogą, którą myśmy przyjechali, nadbiegł konny jakiś, stanął w rynku i z konia zsiadłszy, rozglądał się. Nikt na to nie zważał.

Zajechawszy do gospody, postawiwszy konie, Zadora poszedł sam za strawą, bo głodny był, a tu, o tej godzinie w gospodzie, oprócz chleba, jaj, piwa i miodu, nie znalazł nic. Kazał więc jajecznicę smażyć, łóżka słać, miodu przynieść i jak tylko nam misę podano, którąśmy w mgnieniu oka sprzątnęli, rozebrał się na siano spać.

Mnie było nie do snu.

— Słuchaj — rzekłem. — Choć to miasteczko i choć się tobie zdaje, że już nie mamy się tu czego obawiać, jabym na noc straż postawił.

Zadora i Marjanek śmiać się ze mnie poczęli. Zawstydziłem się mojego tchórzostwa trochę, ale powiedziałem sobie w duchu, że spać nie będę.

Jeszczem pacierzy wieczornych nie dokończył, gdy moi towarzysze chrapać poczęli. I mnie sen brał, ale ta myśl, że się mogę znowu dostać w ręce Sliziaka, który pewnie mnie żywić nie będzie, trwogą mnie przejmowała. Modliłem się, siedząc na posłaniu.

Wśród tej ciszy nocnej, przerywanej tylko pianiem kogutów, najmniejszy szelest słychać było, ale oprócz

głosów zwierząt i czasem zrywającego się wiatru, który po rynku się miotał, ucho nic nie pochwyciło.

Liczyłem sobie do dnia godziny, bo wiosenna noc krótka. Nad ranem samemu mi się już poczęło zdawać, żem niepotrzebnie się trwożył, gdy naprzód tętent głuchy, a wnet potem stąpanie około domostwa słyszeć się dało. Okiennice były pozamykane, ale szpary w nich takie, że wyjrzeć mogłem przez jedną. W mroku spostrzegłem na targowicy koni ze dwadzieścia, z których ludzie zsiadali i zdawali się zcicha ku naszej kierować gospodzie. Niewiele myśląc, zbudziłem Zadorę, który miał taki sen szczęśliwy, że się z niego zrywając, ledwie co oczy przetarłszy, był przytomnym.

— Koni i ludzi ze dwudziestu — szepnąłem mu — domostwo osaczają!

Skoczył, jak był, rozdziany do okna i spojrzał. W istocie przybyła kupa rozstawiała się cichusieńko pod gospodą.

W mgnieniu oka zbudziliśmy Marjanka i wybiegli do sieni. Tu już ja spełna nie wiem, jak i co się z nami działo; uczułem, że na koniu siedzę. Zadora wpół ledwie odziany oklep z jednej strony, Marjanek z drugiej, wrota się zcicha otwierają wyjrzeliśmy. Na tyłach nie było nikogo. Naprzeciw opłotkami biegła wąska uliczka, dobrze, że piaszczysta, wiodąca ku zaroślom. Puściliśmy się nią.

Byliśmy wszyscy bezbronni, i gdyby nas napadli, chyba trzebaby było kołki z płotów wyciągać; ale dostaliśmy się do krzaków i zaszyli w nie, nie dostrzegłszy za sobą pogoni.

Ludzie, broń, odzież, reszta koni pozostała w gospodzie. Zadora tu dopiero pokazał, jaki rozum miał i jak sobie wszędzie i zawsze radę dać potrafił. W zaroślach i w lesie był jak w domu, bez drogi się puściliśmy, a on tak kierował na pewno, jakby Kraków widział już przed sobą. Przytomności nie stracił na chwilę, strachu nie okazał najmniejszego, ledwie że można było sądzić, że mu to pociechę sprawiało, iż się tak musiał wywijać a pokazać, co umie.

W drodze przez las zrobił się naprzód ranek półjasny, potem dzień. Jechaliśmy nieprędko, bo gąszcze były wielkie, ale we cztery godziny kawał drogi musieliśmy zrobić. Oba towarzysze moi milczeli, dopiero nierychło Zadora odezwał się:

— Wścieklem głodny! — Wczorajszą jajecznicę przespałem i na koniu wytrząsłem, żeby choć kawał chleba.

Ale co tu było mówić o chlebie, kiedy my ledwieśmy koszule mieli na sobie, głowy odkryte, nogi bose.

— Trzeba szukać ludzi — dodał Zadora i tak, jak pies, kiedy wietrzy, na różne strony nosem począł pociągać. Potem konia w lewo zawrócił i jechaliśmy, milcząc, znowu.

W pół godziny trafiliśmy na gościniec. Zadora z konia zlazł, ażeby się w śladach na nim rozpatrzeć. Jechaliśmy znowu, aż w lesie gospoda stoi.

Tu, jak nas ludzie we wrotach popasający zobaczyli obdartych, bez czapek, bosych, wybiegli aż ku nam. Zadora zsiadł, ale tak dobrej myśli, jakby z turnieju powracał.

— Co się gapicie? — zawołał — zbóje na nas napadli w śpiączki, musieliśmy uciekać, niema czego wielkich oczu wyropiać. Nie nowina to u nas i w biały dzień. Spytajcie kupców, co z Krakowa do Lublina jeżdżą mimo Pieskowej Skały!

Weszliśmy do izby, a Zadora nagwałt jeść wołał.

Znalazł się na popasie szczęściem człowiek, choć nieznany nam, ale na dworze bywały, Dzierżek z Ban. Jechał we cztery konie do Krakowa, do króla. Zadora się z nim w niewielu słowach rozmówił i nie zwierzając mu nic, powiedział tylko, że był z królewskiego dworu i jeździł z polecenia pańskiego, a zbóje go napadli.

Dzierżek miał z sobą dosyć odzieży i obuwia, aby nas okryć jako tako. Zmówiliśmy się razem z nim jechać.

— Mnię się widzi — rzekł Zadora, — że nasi lu-

dzie z końmi kędyś na drodze się znaleźć muszą i że cało wyjdą.

Nie tłumaczył, jak się to stać mogło. Dzierżek, raźny i wesół, kazał kur kilka zarżnąć i krupniku z nich zgotować. Wina baryłeczkę miał z sobą, bo był człek dostatni, i na popasie ochota się wzięła taka, jakgdybyśmy biedy i strachu nie zaznali.

Konie popasały, myśmy się pookrywali, no i dalej w drogę ku Krakowu. Ale już tego dnia stanąć ani było myśleć, nałożyliśmy spory kawał, zmarudzili czasu wiele, trzeba było w mil jakich dwie nocować.

Ziściło się proroctwo Zadory, bo pod wieczór w gospodzie znaleźli się ludzie nasi i rzeczy, które odbiec musieliśmy. Powiadali, że strachu się najedli niemałego, bo ledwieśmy z gospody wyskoczyli, już do niej włamali się jacyś ludzie i zobaczywszy ciepłe jeszcze posłania, nie przypuszczając ucieczki, całe dowostwo od wyżek do lochów strzęśli. Klęli i grozili, na męki chcieli brać, tumult się zrobił w miasteczku i dopiero nadciągający jacyś zbrojni zmusili napastników do ucieczki.

Pachołek Zadory opowiadał, że widział tego samego obrosłego starca, który na popasie się z nami spotkał. Sliziak więc to był ze swoją jakąś gromadą, który się tak zawziął na mnie.

Tym razem jednak niebezpieczeństwo zdawało się zażegnane, zwróciliśmy pożyczoną odzież Dzierżkowi, i tak się szczęśliwie moja przygoda skończyła.

Nazajutrz rano stanęliśmy w Krakowie, a ja jakom był, z konia zsiadłszy ledwie, wprost poszedłem do kościoła Panu Bogu dziękować.

Króla podówczas na zamku nie było, wyjechał na łowy, królowa tylko sama. Miałem czas wypocząć dobrze, a potrzebowałem wczasu tego, bo dopiero, gdym się uczuł bezpiecznym, musiałem lec na łóżku i odchorować. Choróbsko jakby czekało na to, chwyciło mnie dopiero w Krakowie tak, żem leżał bezprzytomny w gorączce i musieli mnie pilnować i trzymać, bom się zrywał jak opętany.

W tej chorobie mojej doświadczyłem tego, co mi się nieraz w życiu potwierdziło, że człowiek przywiązuje się do tego, komu wyświadczyć mógł dobrodziejstwo, więcej może, niż ten, któremu ono było wyświadczone, do swojego dobroczyńcy. Tak ten Zadora, a z nim Marjanek, którzy wprzódy dosyć byli dla mnie obojętni, teraz, gdym z ich łaski swobodę odzyskał, jak rodzeni bracia przystali do mnie. Pilnowali mnie zkolei, lekarza królewskiego przywoływali, poili, karmili, czuwali. Nigdym przez nikogo tak pielęgnowanym nie był. Wdzięczność też im wiekuistą poprzysiągłem.

Króla po powrocie zaraz widzieć nie mogłem, a wkrótce potem, gdy mnie choroba powaliła, on do Prus jechać musiał i tak się ściągnęło do jesieni.

Wstawszy potem, choć siły odzyskiwałem, nierychło mi one powróciły. Włosy mi wypełzły z głowy, i choć je potem odzyskałem w części, ale już one nigdy takie bujne, jak przedtem, nie były. W sobie też samym na duszy czułem wielką odmianę. Dawna młodzieńcza buta i odwaga, owo śmiałe patrzenie na świat, nadzieje jakieś wielkie przyszłości, losów świetnych, wszystko gdzieś w chorobie wywietrzało. Została pobożność cicha i potrzeba żywota spokojnego. Do rycerstwa już zbytniej nie miałem ochoty. Jednegom pragnął, aby mi król dozwolił z łaski swej zostać przy sobie, a cobykolwiek mi nakazał i przeznaczył, pragnąłem spełnić, byłem mu służył i pod jego opieką mógł się tulić.

Jawnem to było dla mnie, że byli tacy, co mnie ze świata sprzątnąć chcieli, którym ja zawadzałem, a nie mogąc trzymać w niewoli, gotowi byli i życia pozbawić. Ta ciągła groźba nade mną, ta obawa podstępu, zasadzki nowej czyniły mnie nieśmiałym i trwożnym. Przez czas długi prawie nie wychodziłem z zamku, a gdym się potem ważył do ks. Jana Kantego, którego widzieć pragnąłem bardzo, zmówiłem się z Zadorą, aby mi do kolegjum towarzyszył i zpowrotem zabrał.

Rozkaz króla spełniając, gdym przed moim dawnym opiekunem stanął, całując go po rękach, a on mnie dopytywać zaczął, co się ze mną działo, że tak wy-

nędzniałego i schorzałego widział — nie powiedziałem mu więcej nic nad to, że ciężką przebyłem chorobę.

Później dopiero ośmieliłem się wyznać przed nim, że król mi nakazał milczeć o tem, co mnie spotkało. Ale święty mąż bodaj nie potrzebował słów, czytał on nawskroś w człowieku. Nie dopytywał mnie więcej o nic, tylko o stan mojej duszy, a potem błogosławił i kazał mieć w Bogu nadzieję.

W Krakowie mało co znalazłem zmienionem. Spodziewałem się zawsze, iż ze śmiercią kardynała, który królowi nieprzyjaciół przyczyniał, serca się nawrócą ku niemu. Znalazłem w duchowieństwie i u panów tę samą niechęć, co dawniej. Wyrzucano mu i to, co czynił, fałszywie tłumacząc, i to, o czem wcale nie myślał.

W tym roku narzekano na przeciągającą się wojnę pruską, która się dosyć nieszczęśliwie wiodła, i na to, że król, po śmierci Władysława węgierskiego i czeskiego, słusznie się upominał o dziedzictwo nań przypadające obu tych stron. Rycerstwo nie było przeciwko wojnie, bo ono na niej zyskiwało i próżnować nie lubiło, ale ziemianie, którzy pobory, akcyzy i grosz musieli dawać, sarkali. A że król wymagał ofiar i od duchowieństwa, ono więc najgłośniej wołało, iż świętokradzkie to były zamachy.

Zarzucano królowi, że jego myncarze bili złą monetę, że kraj dla jego ambitnych zachcianek zubożał, że skarby wszystkie pochłaniała wojna, a naostatek posądzano go o zamachy na tych, co ważyli się przeciwko niemu występować.

Słuchając tego, co na zamek z miasta, zwłaszcza od Tęczyńskich przynoszono, bo tam zbierały się wszelkie schadzki niechętnych, żal brał biednego pana. Na burzę się zanosiło.

Gdy król powrócił do Krakowa, a jam już, trochę sił odzyskawszy, włóczyć się zaczął, alem mu sam się na oczy nastręczać nie śmiał, zapytał raz Zadory, co się działo ze mną. Odpowiedział mu, żem po chorobie już wydobrzał nieco. Nie wołał mnie do siebie, tak więc pozostało, jak było. Jadłem, piłem i nie robiłem nic.

A że na zamku właśnie malarz wówczas najlepszy krakowski, Jan Wielki, ściany w dwóch izbach malował, nie mając co robić, siadałem, godzinami mu się przypatrując i rozmawiając z nim.

Mistrz to był w swojej sztuce, który wprzódy po Niemczech i podobno aż po flamskich krajach, przypatrując się jej i ucząc, wędrował. Potem, powróciwszy, osiadł w Krakowie, gdzie okazawszy, co umiał, do cechu się wpisał, a teraz w nim już starszym był i można powiedzieć jedynym. Nikt tu mu nie sprostał, nietylko w obrazach Matki Boskiej i Chrystusa bolejącego, ale w takich, do których wiele osób wchodziło. W tych on umiał tak ustawić ludzi, takie im dać twarze, że zdało się, jakby ich czarodziejstwem jakiemś przeniósł na płótno.

Człowiek był ubogi, a dziwnie wesoły i niedbający o grosz a zarobek. Gdy malować poczynał, aż mu się twarz śmiała i ręce trzęsły z radości. To było całe szczęście jego. Na twarzy ospowaty, blady, brzydki, gdy się ożywił przy robocie, prawie się pięknym stawał.

Korzystali z tego ludzie, że on niebardzo dbał o siebie. Była postawiona przez cech cena za obrazy, tyle za Matkę Boską, tyle za Chrystusa ze złoceniem, z wyciskaniem ozdób albo bez nich; tyle z rękami, lub bez rąk. A chciał kto anioła mieć albo dwu, musiał osobno dopłacić. Ale on, gdy mu się anioła podobało namalować, robił darmo i śmiał się.

— Co mi to znaczy ta marna zapłata? — mówił. — Ja, kiedy malując, Pana Boga chwalę, tak mi w duszy ciepło, a w sercu wesoło, że tego żadne skarby świata nie opłacą. Więc obraz daję tanio.

Widywałem go malującym i dużo czasu siedzącym nad deską; potem jednego dnia rano machnął po swej robocie i zmazał..., poszła wniwecz. Mnie żal było okrutny.

— Ale ba — wołał — nie godzi się w świat puszczać tego, co człowiek widzi niedobrem. Póki mam nadzieję, że mi myśl moja na deskę wypłynie, póty pracuję; gdy zrozpaczę, trzeba ścierać i na nowo próbować.

Człowiek jest tak słabem stworzeniem, że nie każdej chwili to może, czego chce. Gdy momentu nie dopilnuje, nie zrobi nic.

Ze ścianami zamkowemi Wielki miał ogromną pracę, tak, że niemal wątpił, czy jej podoła; ale razem ochotę do niej tak wielką, że byłby darmo malował. Na jednej z nich król chciał mieć turniej odmalowany, na drugiej koronację.

Było nad czem myśleć, gdzie tyle różnych postaci musiał malarz ustawić, a każdą wiedzieć, jak odziać, jak uzbroić i dać jej twarz osobną, ludzką. Więc brał Wielki wprost z tych, na których codzień patrzył i ubierał nieraz po rycersku pachołków, a żebraków po senatorsku. Jak mu twarz czyja przypadła do myśli, brał prątek ołowiu i na papierze ją sobie zapisał, a potem z niej na ścianę przenosił. Gdy mu dobrze wypadła, śpiewał i śmiał się.

Patrzeć nań i słuchać go pociecha była. Gdy czasem sam pozostał, a zajść go było niepostrzeżonemu przy robocie, kto go nie znał, mógł posądzić, że szalonym był. Do swoich obrazów śmiał się, rozmawiał z niemi, bawił się, jak z dziećmi. Niekiedy przed własnem malowaniem klękał i modlił się.

Przytem był to najmilszy w świecie człowiek dla czeladzi cechowej i dla cechowych panów braci. Nigdy się z niczyjej pracy, choć najlichszej, nie naśmiewał i w każdej wyszukał i podniósł coś dobrego.

Swoje zato roboty bardzo surowo sądził. Raz, gdy namalował Matkę Boską karmicielkę z dzieciątkiem Jezus, a była bardzo piękna i jam się nad nią unosić począł, rzekł mi smutnie:

— Co z tego, co z tego, że ona piękna jest, ale po ludzku... taka sobie mieszczaneczka poczciwa i bogobojna, a tej Boskiej macierzy, którą ja w niebiosach widuję, gdy się modlę, na ziemię ściągnąć nie mogę, bośmy oglądać jej niegodni. Albo i Chrystus, Pan mój, co rozwartą ukazuje ranę w boku, cierpi on, ale jakby człowiek cierpiał, nie Bóg.

Raz przy mnie młody, ledwie co wyzwolony ma-

larz cechowy, Siedlak, przyszedł do niego, prosząc, aby mu przeprucha swojego pozwolił do Matki Boskiej.

— Masz — rzekł Wielki, — ale ci się to na nic nie zda, bo ty twój własny przepruch w duszy mieć powinieneś, a jak go tam niema, pożyczyć go nie można.

W tych właśnie czasach, gdy ja, nie mając nic do czynienia, przesiadywałem, przypatrując się jak Wielki malował, przybył, burzą zapędzony, aż tu do Polski niejaki Basilides, Greczyn, który też sztukę, co nasz malarz, w Konstantynopolu uprawiał, i był onego czasu w mieście, a nawet w kościele św. Zofji, gdy sułtan konno wjechał w ściśnięty tłum. Cudem się on naówczas ocalił i zbiegł na wyspy, skąd go wenecka galera zawiozła do Włoch, a stamtąd do nas przywędrował.

Ten z sobą miał rękopis nieoszacowany o malowaniu wszelkich obrazów, z którego Wielki też uczył się i chwalił go, choć powiadał, że na zachodzie w Europie wiele rzeczy inaczej już czyniono a swobodniej. Greckie owo malowanie, mówił, piękne było, ale sztywne i chłodne, a losy nieszczęśliwego kraju w niem się odbijały, bo wszystkie ich święte obrazy grozy były pełne i srogości.

Wielki zaś powiadał, że Chrystusa i świętych inaczej jak miłosierdzia i dobroci pełnych malować się nie godziło, aby miłość obudzali.

Miał też i on rękopis mnicha niejakiego Teofila, z którego się uczył wiele rzeczy i bardzo go szacował.

Tak mi przy nim dosyć znośnie czas schodził, a gdym mu się przyznał, że ja też, kaligrafując, próbowałem marginesy rysować w kwiatki, powiedział mi, że to była też niemała i inna sztuka, niepośledniejsza od malowań na deskach, której się uczyć trzeba było, a mało kto w niej dochodził do doskonałości.

Czasami ów Basilides, Greczyn, który też po słowiańsku umiał i zrozumieć go mogliśmy, siadał w izbie, a podparłszy się na ręku, opowiadał nam o tych strasznych dniach ostatnich Konstantynopola, na których wspomnienie łzy mu się lały.

Gdy począł mówić, przypominać, opisywać, od

chwili pobudowania przez Turków zamku Laemocopia (Bogaz-Kessè), który cieśninę uczynił jakby zamkniętą, aż do tych ostatnich dni majowych, gdy Konstantyn padł, nie chcąc przeżyć zdobycia stolicy, a potem i Notarasa ścięto, wszyscyśmy z nim płakać musieli, taką boleścią tchnęło każde jego słowo po straconej ojczyźnie, grobach ojców, domostwach rodziny i całej przeszłości w gruzach

Basilides, mówiąc o tem, drżał cały, narzekając na to, że wenecjanie, genueńczycy, papież, całe chrześcijaństwo opuściło ostatniego z cezarów greckich i dało go na łup tej dziczy.

Z tego jednak, co o Konstantynopolu przed zdobyciem jego nam opowiadał, widać było, że zguba jego, długiemi wiekami przygotowywana, była nieuchronną, a całe męstwo i poświęcenie Konstantyna losu nieprzebłaganego odwrócić nie mogło.

Nie pomnę, aby cokolwiek w życiu na mnie uczyniło takie wrażenie, jak boleść tego człowieka, który utracił ojczyznę i poszedł na tułactwo, wszędzie i zawsze nosząc się ze wspomnieniem niepowetowanej straty.

Basilides malował małe obrazki złocone i bardzo kunsztownie barwione, które na Ruś szczególnie sprzedawał. Mógł łatwo żyć z tego, ale od łez, które wylewał ciągle, wzrok mu słabł i ślepota groziła.

W tej to izbie, która i później się malowaną zawsze nazywała, gdy raz pod wieczór, po wyjściu Wielkiego, stałem, zapatrując się na jego robotę, otworzyły się drzwi i wszedł niespodzianie król z ks. Lutkiem z Brześcia.

Poznawszy mnie, podszedł żywo i naprzód, gdym go w rękę całował, pogłaskał mnie po głowie. Twarz mu sposępniała.

Ks. Lutek odstąpił ku ścianie, a król łaskaw począł się pocichu mnie wypytywać:

— Cóż? zdroweś to już?

A gdym odpowiedział, że czekam na rozkazy i radbym służbę począć, zamyślił się.

— Duchownym ty być pono nie chcesz — rzekł, — między rycerstwem jako sierota bez domu a bez szczytu nie przebijesz się... co z tobą począć? Ucz się — dodał po chwili — dzieci moje podrosną, będziesz je kiedyś może dozorował, byleś statecznym był. Ale i bakalarzować im przyjdzie. Mówię ci, ucz się. Służba na dworze przy mnie nie ciężka. Zwolni cię ochmistrz od niej, staraj się czegoś nauczyć i dla siebie i dla mnie. Sierotą jesteś, a gdy mi nad tobą opieka przypadła, nie porzucę cię. O tem, co ci się przygodziło, nie rozpowiadaj, nie pomoże rozgłos, a zaszkodzi. Teraz ci się już nic stać nie może, a co było, trzeba puścić w niepamięć. Ojca i matki próżnobyś szukał, gdy oni ciebie nie chcą lub nie mogą wziąć, a ja ci opiekunem będę — powtórzył i dodał raz jeszcze: — Ucz się!

Tak byłem przejęty miłością moją i wdzięcznością dla niego, żem się, nie zważając na świadka, rzucił do nóg, zaklinając, iż życie gotówem dać dla niego i jak pies być mu wiernym.

O psie wzmiankę posłyszawszy, król się mimowolnie rozśmiał.

— O! mój Jaszku — zawołał, — to darmo; psu w wierności żaden człowiek nie dorówna!

Zwrócił się potem do ks. Lutka i zapytał:

— Nieprawdaż, ojcze?

Tamten skinieniem głowy potwierdził. Zaczem król począł rozpatrywać malowanie Wielkiego, osobliwie rycerzy turniejowych i ich uzbrojenie, dziwując się, że prosty człek ów Wielki tak dobrze rozumiał użycie wszelkiego oręża i twarze malował jak żywe.

Ks. Lutek ukazywał niektórych na ścianie podobnych do ludzi znanych i znajdował to niewłaściwem, że się oni poznać tu mogli, ale król chwalił.

Gdy się oni tak przyglądali, a ja na uboczu stałem, król, mając już odchodzić, raz jeszcze się zbliżył do mnie i powtórzył mi to, co wprzódy, abym się uczył i dobrej był myśli, bo on sług wiernych potrzebował, mając wielu niedobrych, na dworze siedzących tylko,

aby nieprzyjaciołom królewskim donosili, co się tu działo.

Tego dnia, powiedzieć mogę, skończył się pierwszy perjod żywota mojego, który o przyszłości stanowił.

Dojrzałem w niewoli owej i przejrzałem, że przeciw losowi memu i przeznaczeniu płynąć nie powinienem był, ale się mu poddać, dziękując Bogu za to, że mi w potężnej prawicy króla a pana dał opiekę, za którą stać mogłem bezpieczny, jak za szczytem.

Król naówczas już dwu synów miał: Władysława i Kazimierza, a córkę, jeśli dobrze pomnę, jedną, Jadwigę. Co roku też przybywały dzieci, te co były, rosły, miałem już wyznaczone przyszłe miejsce moje około dozoru nad niemi. Począłem więc myśleć, jak się do tego usposobić, nimby chłopcy podrosły. Do kilku lat musieli oni być na niewieścich rękach u królowej, ja zaś miałem czas nauczyć się i pomyśleć nad tem, jakbym im potem służył.

Ochmistrzem ani nauczycielem nie mogłem sobie pochlebiać, aby mnie uczyniono. Na to wybierano zwykle poważnych, starszych i uczonych ludzi, ale towarzyszem i niańką a stróżem pewnie być mi przeznaczono. Czuwać, aby się im złego co nie stało.

Sobie samemu nie ufając, chociaż od przygody mojej ze Sliziakiem nierad wychodziłem sam na miasto, postanowiłem udać się do ks. Jana mojego i rady zasięgnąć, a wyspowiadać mu się ze szczęścia, jakie mnie spotkało.

Nie zapisałem bowiem tu jeszcze, że nazajutrz potem, gdy król mnie w malowanej izbie znalazł i przemówił, marszałek i ochmistrz oznajmili mi o wyznaczeniu dla mnie stałego jurgieltu, utrzymania dla dwu koni, sukna na odzież, kożucha i wszystkiego, co dworzanie starsi pobierali.

Ochmistrz zaś objawił i to, że mogłem czasu zażywać, jakom chciał dla nauki i do kolegjów chodzić, języków się uczyć, gdyż do żadnej służby nie byłem obowiązany, krom do stawienia się każdego wieczora na zamek.

Kończąc to, dodał łagodnie:—Patrzajże, iż szczęście własne masz w ręku, a teraz ono od ciebie samego zależy.

Szedłem tedy do ks. Jana, znając obyczaj jego w tej godzinie, gdym był pewien, że go na modlitwie i rozmyślaniu znajdę przed ukrzyżowanym Zbawicielem. Tak się stało; czekałem, aż wstał, a choć się mnie spodziewać ani wiedzieć nie mógł, że przyjdę, zwrócił się ku mnie tak, jakby się znaleźć spodziewał. Niejeden raz przekonałem się, iż miał takie przeczucia wszystkiego, co go spotkać miało. Twarz jego pogodna i jasna, nigdy podziwienia, nigdy niepokoju żadnego nie zdradziła.

— Cóż, chłopcze? — rzekł — oczy ci się śmieją? odżyłeś już.

A gdym go w rękę całował, on zaś mnie błogosławił, dodał:

— Przyniosłeś mi co nowego?

— Rady prosić przyszedłem — odparłem zcicha.

— U mnie zawsze jedna — rzekł ks. Jan, — *ora et labora,* módl się, a pracuj. To wszystko.

Chciałem i musiałem się mu wyspowiadać ze wszystkiego, słuchał cierpliwie. Nietylko dla mnie miał on tę świętą wyrozumiałość, że się wygadać dał zawsze z tem, o czem dawno wiedział i czego się mógł łatwo domyśleć. Widywałem go tak w ulicy słuchającego cierpliwie żebraków, skarżących się bab, stojącego w otoczeniu żaków.

— Bogu dziękuj! — rzekł spokojnie wkońcu. — Drogę masz wyznaczoną. Ucz się, pracuj, staraj godnym się stać zaufania króla, a pamiętaj, jeżeli cię kiedy Bóg uczyni bliskim ucha i serca tego pana, abyś wiernym mu będąc, pochlebstwem i fałszem dla pozyskania łask się nie skaził. Posługują się czasem królowie i złymi ludźmi, ale nimi pogardzają. Cnota tylko trwałe daje poszanowanie, wiarę i powodzenie.

Radził mi potem do kolegjów uczęszczać, pilno słuchać, zapisywać to, co z katedry wygłaszają, a czasu drogiego młodości nie marnować.

Przerwał ową rozmowę nadchodzący o. Jan z Dukli, pobożny i świątobliwy mąż, który należał do tych, co się wymową Kapistrana ująć dali do nowej jego reguły. Był on już dawniej w zakonie tym św. Franciszka i starszym się liczył, gdy Kapistran kazał w Krakowie.

Przybiegł naówczas ze Lwowa, aby go słuchać i ściślejszą regułę jego przyjął zaraz, a stał się nowego zakonu podporą i chlubą.

Odszedłem więc, nie śmiejąc być natrętnym dłużej, aby na zamek powrócić.

Wesołej myśli, bezpiecznie kroczyłem ku Wawelowi, gdy w ulicy św. Anny jeszcze kolebkęm spotkał pańską, której z drogi ustąpić przyszło. Jakież było przerażenie moje i osłupienie, gdy pomijając ją, ledwiem się nie otarł o Sliziaka.

Stary jechał konno tuż przy stopniu. Rzuciwszy okiem we wnętrze, ujrzałem surowych rysów dumną twarz niewiasty lat średnich. Odskoczyłem wbok... postrzegł mnie Sliziak, brwi mu się jeszcze straszniej najeżyły, gdy mnie poznał, a odrobina lica, które nie było zarostem okryte, pobladła. Rzucił się na koniu, jakby gonić chciał za mną.

W ulicy nie było się czego obawiać, przecież gnany strachem, jak strzała, nieprzytomny, spłoszony, puściłem się ku zamkowi.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXXVI

J. I. KRASZEWSKI

JASZKA ORFANEM

ZWANEGO

ŻYWOTA I SPRAW PAMIĘTNIK

(JAGIELLONOWIE DO ZYGMUNTA)

CZĘŚĆ II

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225.

Rozpoczynając opisywać drugą część przygód życia mojego, bo ono się teraz inaczej obróciło, a wiekiem też wyszedłem z dzieciństwa, muszę powtórzyć to, com sobie w duszy ku pocieszeniu i pokrzepieniu mówił ciągle:

— Błogosławione niech będzie imię pańskie i wszystko, co z wyroków Bożych na nas przychodzi, albowiem człowiek nigdy nie wie, czem się ma smucić, a z czego cieszyć, czego pragnąć, od czego uciekać, a Bóg losami tych, co mu ufają, kieruje ku dobremu końcowi.

Tegom ja doświadczył w ciągu całego żywota, a przekonałem się, że to, czegom się lękał, wyszło mi na korzyść, a czegom się dobijał, na szkodę... Ludzkie sądy płytkie są, albo widzą tylko jedną stronę wszechrzeczy.

Przeraziło mnie wielce to spotkanie ze Sliziakiem, alem o nim nie wspominał nikomu, a na zamek powróciwszy, rzekłem sobie tylko, że się z niego na miasto nogą sam jeden nie ruszę. Tu, pod opieką królewską, czułem się bezpieczny. Przecież Sliziak i ci, którym on towarzyszył, zawsze w Krakowie siedzieć nie mogli, a na zamkuby się pokazywać nie śmieli.

Tymczasem to, co już dawniej dla mnie jawnem było, choć naówczas niewiele spraw większych rozumiałem, coraz widoczniejszem się stawać zaczęło.

Król nasz miał przeciwko sobie wielki zastęp duchowieństwa i możnych panów krakowskich, którzy przejęli jakby spuściznę po kardynale Oleśnickim. Z za

grobu jeszcze nieprzyjaciel ten czuć mu się dawał i nie zostawił króla w spokoju.

Właśnie pod ten czas, gdy Sliziak się ukazał w Krakowie, zjechali się, jak opowiadano w zamku, niemal wszyscy Tęczyńscy, niektórzy z nimi spokrewnieni z Melsztyna, z Tarnowa, z Rytwian, i nie czyniono z tego tajemnicy żadnej, że się gotowali królowi na przyszłym zjeździe srogą wypowiedzieć wojnę.

Król i królowa mieli swoich, którzy im donosili o wszystkiem, ale odgróżki te dosyć sobie lekceważyli. Król, choć młody, znał już swoich dotyla, iż, co sam słyszałem, nieraz ks. Lutkowi z Brzezia powtarzał:

— Potrzeba dać im się wykrzyczeć. Gdy się nałają i nagrożą, przestaną na tem. Ja im wszelako ustępować nie myślę, a swoje uczynię, jako postanowiłem.

Dochodziły codzień wieści, iż Tęczyńscy z innymi wolali, że potrzeba króla z tronu zrzucić i na Litwę odesłać, bo mu tą Litwą ciągle wypiekano oczy. Na to król, z zimną krwią uśmiechając się, odpowiadał:

— Gdym na Litwie chciał zostać, a wzdragałem się przyjąć korony, ciągnęli mnie gwałtem, przymuszali; teraz, kiedym ją wziął, odebraćby mi radzi, ale tego nie dopuszczę...

Słyszałem, jak król zaraz potem kazał pościągać dworskie swe pułki i straże, powiększył je znacznie i uzbroił silniej. Polecił zbierać nowe zaciągi na swój koszt. Gruchnęła o tem wieść, więc i wnioski, że król gotuje zamach jakiś na szlachtę, gdy on tylko bronić się chciał od jej napaści.

Pomiędzy nieprzyjaciółmi króla gotowało się i wrzało, na zamku cicho było i spokojnie. Pan nasz mało kogo do rady przyzywał, najlepszą mu była królowa, a ta, nigdy niczem odstraszyć się nie dając, mężowi też dodawała odwagi, powtarzając, iż powinien stać twardo przy swojem, władzy swej i prawom nie dając czynić uszczerbku, gdy i tak już siła u jego poprzedników i u niego panowie wytargowali...

Pani była, jak już wspomniałem, wielkiego umysłu i serca, mężna, stateczna, spokojna i nie jak inne nie-

wiasty, które niewczesnym strachem mężów niepokoją, owszem pokrzepiająca i dodająca męstwa. Nieraz widywaliśmy pana, gdy z posępnem czołem do niej wchodził, a posiedziawszy przy królowej i posłuchawszy jej, wracał rozjaśniony i wesoły.

Zadora i inni codzień się wymykali na miasto, choć ich tam nikt nie posyłał, tropili, przysłuchiwali się, co się tam działo, co gdzie przeciw królowi mówiono, z czem się odgrażano. Pomagali im w tem mieszczanie krakowscy, którzy prawie wszyscy trzymali stronę króla, a wielu z nich możnych, szczególniej Tęczyńskich nienawidziło. A nie bez przyczyny.

Mieli Tęczyńscy zdawiendawna w mieście posiadłości znaczne, domy i place a grunta, z których miastu ani podatków, ani posłuszeństwa czynić i oddawać nie chcieli. Wprowadzali do miasta bez opłat wszelkich, co się im podobało, sprzedawali tu pod ich imieniem i osłoną obcy przekupnie, a czeladź Tęczyńskich zbrojna z pachołkami miejskimi wadziła się i ucierała. Szlachcic zaś i słudzy jego do żadnego sądu nie dawali się pociągnąć. Stąd spory i wrzawy, tumulty a bijatyki, ale wkońcu mieszczanie ulegali i milczeli. To im już dojadło wielce.

Krom niewielu biedniejszych, którzy się przy panach żywili i kłaniali im za to... starszyzna, możniejsi, rajcy, zmuszeni ulegać tej przemocy panów, zębami zgrzytali. Teraz zaś, gdy możni przeciwko królowi jawnie spiskować i burzyć się zaczęli, łacno pojąć, że mieszczaństwo poszło na jego stronę, czatując tylko, czy się nie nada zręczność odpłacić za to, co tak długo znosiło cierpliwie.

W mieszczanach król miał najgorliwszych sprzymierzeńców, ale miał przyjaciół a wiernych poddanych i w kraju, bo nie wszyscy z Tęczyńskimi trzymali. A najprzód cała niemal Wielkopolska była królewską, czego dowodem najlepszym, że gdy potrzeba było potępić opór kardynała Oleśnickiego przeciw królowi, Wielkopolanie się na to ważyli jedni, a Kazimierz się do nich odwołał.

Stara waśń o lepszą między temi dwiema ziemiami odżyła teraz, i król, oprócz Litwy, miał się na kim opierać.

Tęczyńscy, pomni tego, że oni i Małopolanie za Jagiełły rej wodzili, panowali i rządzili, Wielkopolan przekrzyczawszy i we wszystkiem uprzedzając, teraz też lekce ich sobie ważyli, nie zważając na nich wcale.

W parę dni po mojem spotkaniu ze Sliziakiem, gdy we dworze Tęczyńskich właśnie się gotowało najmocniej, wpadł jednego wieczora zdyszany Zadora, z oczami błyszczącemi,, uradowany, głosząc, że osobliwą historję ułowił, która albo niepoczciwą potwarzą jest, lub Bóg wie, z czego wyssaną wieścią, od której włosy na głowie z podziwu wstać mogły, bo nigdy nic podobnego na króla nikt się nie ważył wymyśleć. Skąd to wziął, mówić nie chciał, lecz zaręczał, że źródło było nielada.

— Coś w tem tkwić musi — wołał, — bo to pewna, że tam baba Nawojowa u Tęczyńskich rej wodzi i na króla najwięcej szczuje.

Opowiadał tedy Zadora, że gdy Kazimierza młodziusieńkim wysłano panować na Litwę, podczas gdy sławnej pamięci Warneńczyk został wyprawiony na Węgry, aby kardynał Zbigniew sam mógł w Krakowie panować — jedni przeciw niemu spiskować zaczęli, drudzy go opanować usiłowali. Na życie nawet jego nastawano.

Na wileńskiem wielkorządztwie siedział naówczas wojewoda Gastold, człek przebiegły, skryty i zręczny. Ten królewicza zaraz w początkach w opiekę swą wziął i pilno około niego chodzić zaczął, zabawy mu wymyślając, polowania sporządzając, ugaszczając go w domu swoim. Tu, choć sam wdowcem był, mając tylko syna i córkę, znajdowało się zawsze na zawołanie towarzystwo wesołe, śpiewy i wszelka rozrywka, jaka młodego przyciągnąć mogła, choć Kazimierz płochym nie był nawet za młodych lat swoich.

Naówczas ledwie wyrostkiem rządy na Litwie rozpoczynał.

W domu Gastoldowym poznał w. książę córkę wojewody, młodszą jeszcze od niego, a urody nadzwyczajnej. Dziewczę było nad swój wiek rozbudzone, żywe i śmiałe. Gastold zbliżania się do córki nie tylko nie wzbraniał, ale nastręczał zręczność do niego, a kobiety, przy pannie będące, przez szpary patrzały na dziecinne zaloty obojga.

Ale w rok czy dwa królowej matce doniesiono, na co się zanosiło, że Gastold bodaj myślał księciu wielkiemu córkę za żonę narzucić! Pobiegła więc gniewna do Wilna, a co się tam stało, Bóg jeden wie; ale Gastoldówna na czas jakiś znikła, wojewoda gniewny wyjechał, Kazimierz chodził bardzo frasobliwy i markotny, a ludzie — ludzie rozpowiadali, że Sonka się opóźniła z przybyciem, bo jej wprzódy Pan Bóg dał wnuka.

Był ślub czy nie, ale małżeństwo i miłość rozerwane zostały. Kazimierz z rozkazu matki wyjechał do Grodna, potem na Ruś i nieprędko do Wilna powrócił. Gastold zaś, który był ciałem i duszą Kazimierzowi oddanym, stał się zajadłym jego nieprzyjacielem.

Córka jego, bogata wianem i dobrami po matce, piękna i młoda, wkrótce potem została wydaną za jednego z Tęczyńskich, gdy nadziei już nie było, aby król polski do niej powrócił. Stąd podżegana przez mściwą niewiastę większa jeszcze przeciw królowi nienawiść Tęczyńskich. Zadora opowiadał, że ona była duszą i sprężyną spisków wszelkich.

Baśń to była, czy prawda, bo drudzy ją za zmyślenie mieli, utkwiła mi w umyśle mocno.

Spytałem naówczas Zadorę, co się stało z owem wnuczątkiem, o którem wspomniał, boć zawsze dziecko było królewskie. Ruszył na to ramionami i rzekł, że o tem nikt nie wiedział, bo je czy królowa matka, czy król młody, czy może Tęczyńska sprzątnęła, aby świat go nie znał i oczu niem potem nie wykalano.

Dalej tedy ciągnę o losach moich. W rynku pod królami kamienicę miał naówczas bogaty kupiec i mieszczanin krakowski, Mikołaj Kridlar. Stały na niej wi-

zerunki wszystkich dawnych monarchów, bardzo pięknie wyciosane, wyrzeźbione, pomalowane i złocone. Ludzie się im nadziwować nie mogli.

Przyjaciel mój, malarz Wielki, robotą około nich kierował, ale do rzeźbienia sobie wziął młodziuchnego pomocnika, o którym opowiadał, że kiedyś po całym świecie zasłynie. Oni to we dwu dzieła tego dokonali. Wielki rysował, Wit Stwoszyk dłótował, a potem we dwu malowali i pozłacali, a gdy odsłonięto ścianę, zdało się, że z niej żywi patrzą królowie.

Kamienica przez to stała się najpiękniejszą i najsławniejszą w mieście całem.

W pierwszych dniach, gdy mur odsłonili, gawiedź przed nim, gapiąc się, po całych dniach stała, ukazując sobie palcami i sprzeczając się, który Mieszko był a Bolek...

Z tej to próby zachwalony, począł młody Stwosz w Krakowie do kościołów i po dworach pracować.

Kridlar, możny pan, miał tylko dwie córki, dziewczęta urodziwe bardzo, a tak wypielęgnowane, wyuczone, że i szlacheckiemu dworowi zakałyby nie uczyniły. A że za niemi wiana się znacznego spodziewać było można, a szlachta już wówczas bogatemi mieszczankami krakowskiemi nie przebierała, oni się też nie mieli za gorszych od niej, do Kridlara nacisk był wielki młodzieży i rycerstwa z królewskiego dworu. Zabawiano się tu wesoło bardzo, mało nie każdego dnia.

Kridlar, otyły, rumiany, głośno się śmiejący, baryłkowaty, przysadzisty, wesoły człeczyna, szczodrym był i gościnnym. Pochlebiało mu to, że na dworze stosunki miał i spodziewał się dobrze wydać córki.

Dziewczęta, Martochna i Żychna, jak jagódki wyglądały. Pociągało ku nim to, że miały ogładę, a śmiałe przytem były, wesołe, śpiewające i każda z nich nawet kilku językami mówiła. Dbał o to ojciec.

Zaczęli mnie, com od ludzi stronił i od kobiet dotąd uciekał, bo mi strach jakiś wrażały, Zadora i Marjanek namawiać, abym z nimi koniecznie do Kridlara

szedł. Opierałem się, gwałtem prawie pociągnęli z sobą, dowodząc, że ja w samotności zdziczeję i zgłupieję.

Pierwszy to raz oglądałem taki dom zamożnego mieszczanina i zdumiałem się jego dostatkom. Obyczaj był poufalszy, niż gdzie indziej, prostota większa, kłaniać się do stóp nie było potrzeba, śmiano się swobodnie na całe gardło, a przytem chleba i napoju w bród, co najprzedniejszego podawano, bo mieszczanin w to bił, że sprostałby, jak Wierzynek, królów nawet przyjmować.

Sypała się też do niego czeladź królewska. Stąd dostawano języka o Tęczyńskich, których Kridlar był nieprzyjacielem jako drudzy, a pono nie od dziś miał z nimi coś na pieńku. Mieszczanie krakowscy od bardzo dawna odgrażali się na nich i na wąs motali, szepcąc: odpłacim my im to z nawiązką.

Tymczasem koso tylko spoglądając, ustępowano im z drogi.

Kridlar, jak innych, tak i mnie, przyjął dobrem sercem, ale wszedłszy, przestraszony zaszyłem się do kąta i nie śmiałem ust otworzyć.

Było bo na co patrzeć i czego słuchać. Izba duża, gdyby giełda, sklepiona, oświecona mosiężnemi wielkiemi, kilkoramiennemi świecznikami, ławami i stołami okrytemi w kobierce i szafami wielkiemi przybrana, wyglądała jakby od święta, choć dzień był powszedni. Wszedłszy na próg, w głowie się zawracało, taki w niej wszędy panował gwar, tyle tam było śmiechu, brzęku i wesela.

Oprócz Martochny i Żychny, na dziewczętach postrojonych, paniach starszych i młodych mężatkach nie zbywało. Wszystko to postrojone w łańcuchy, w zawoje złociste, w czółka, perłami sadzone, w atłasy i aksamity, ręce całe w pierścieniach; dziewczęta w wiankach, jejmoście w rąbkach, jak królewne.

Jam się tylko zdala przyglądał i przysłuchiwał.

Rad byłem, że Zadora i Marjanek zapomnieli trochę o mnie, gdy pierwszy z nich na upartego szukać

mnie począł, znalazł, wyciągnął i poprowadził z sobą, gdzie śpiewano i grano na cytrach.

— Patrzajno — rzekł mi żartobliwie, ręką wskazując na dziewczę, które nieopodal na ławce siedziało, — toż to smarkaty ten wyrostek jakby stworzony dla ciebie. Nim się rozmyślisz do niej zagadać, będzie miała czas wyrosnąć.

Spojrzałem bojaźliwie i ujrzałem prawdziwe cudo, jakiegom w życiu nie widział. Była to dzieweczka, zaledwie z dzieciństwa wychodząca, piękna jak aniołek, z czarnemi ogromnemi oczyma, któremi naprzemiany, jakby strwożona, to zbyt bojaźliwie, to nadto zuchwale i niezręcznie dokoła rzucała. W uśmiechu i wyrazie ustek było coś tak pociągającego, żem stanął, jak osłupiały.

Oczy się nasze spotkały, i byłbym uciekł ze strachu, ale ścisk był taki, że zamiast wtył, zostałem popchnięty naprzód i znalazłem się tuż przy dziewczęciu i średnich lat wystrojonej jejmości, która siedziała przy niej.

Ta, chociaż nieznajoma, wskazała mi miejsce przy sobie na ławie w sposób tak rozkazujący, żem nie rozmyśliwszy się, siadł posłuszny. Zwróciła się ku mnie.

— Ze dworu waćpan jesteś? — spytała.

— Tak jest.

— A jak go zowią?

— Jaszkiem Orfanem — rzekłem cicho.

Uśmiechnęła się, nie wiem czego.

— Cóżeś to tu po raz pierwszy, czy co? — poczęła dalej — boś strwożony, jak trusia!

Nie śmiałem odpowiedzieć, spuściwszy oczy. Tak się jakoś obcesowo brała do mnie, że trwoga moja jeszcze się powiększyła! alem potem języka w gębie zapomniał, gdy nachylając mi się do ucha, szepnęła:

— A co? — odszedłeś już i odżyłeś po swej niewoli na zamku?!

O tej niewoli nikt w świecie nie powinien był wiedzieć i sądziłem, że nikt o niej nie wie. Najsroższe było przykazanie królewskie, abyśmy o tem milczeli. Nie-

rychło podniosłem oczy i wybełkotałem, że niewoli żadnej nie znałem.

— Nie kłam — odparła, śmiejąc się. — Tajemnicą to jest dla wszystkich, ale my, kobiety, przez ściany słyszymy i podpatrujemy.

— Zadora chyba zdradził! — westchnąłem niespokojny i zafrasowany.

— Ani on, ani towarzysz jego słówka nikomu nie pisnął — odparła żywo, — a pomimo to, wie się wszystko.

To mówiąc, poklepała mnie po ramieniu.

— No, ze mną starą nie zabawisz się, młodziku; przysiądź do Luchny — rzekła wesoło i wskazała na cudną dzieweczkę — i poznaj się z nią. Wasze wieki lepiej się z sobą godzą.

I popchnęła mnie tak, żem sam, nie wiedząc jak, przy Luchnie owej się znalazł. Starsza pani, jakgdyby nam przeszkadzać nie chciała, odwróciła się z rozmową do któregoś z przechodzących, a ja, nieśmiało oczy podnosząc, ujrzałem przed sobą uśmiechniętą twarzyczkę ślicznego dziewczęcia. Czas jakiś patrzyłem na nią w zachwyceniu, nie wiedząc, jak rozpocząć rozmowę.

— Waćpan tu tak pono obcy jesteś, jak i ja? — zaczęła pierwsza szczebiotać.

— Po raz pierwszy w istocie przyszedłem z towarzyszami — rzekłem — i oprócz nich, nie znam nikogo — a wy?

— Jam ze wsi — odpowiedziała śmiało Luchna, — ale miasto mi się bardzo, bardzo podoba. Tak tu gwarno a wesoło, a u nas tak cicho, a często i nudno. Nie mogę się napatrzeć Krakowa, tak mi się pięknym wydaje. Po całych dniach z ciotunią biegam, a śni mi się potem, com widziała, po całych nocach.

A wy? — zapytała, — słyszę, że ze dworu króla jesteście?

— Tak jest — odpowiedziałem. — Szczęście to wielkie dla mnie tak dobremu służyć panu.

— No i na dworze też wesoło być musi? — podchwyciło dziewczę ciekawie.

— Nie tak jak tu — odparłem. — Zabaw u nas mało bywa, bo król jeśli się zabawia, to tylko łowami, a królowa dziećmi zajęta... Gdy obcy goście, książęta i panowie przybywają, uczty bywają wielkie, wspaniałość na nich królewska, ale wszystkiemu steruje powaga. Śmiechu słychać mało, śpiew rzadki.

— A! tom już dworu nie ciekawa — poczęło dziewczę, — bo ja śmiać się i zabawiać lubię bardzo.

Spojrzałem na nią, usta miała napół otwarte i rząd ząbków maleńkich, jak perełki białych, wyglądał z za różowego rąbku warg.

Musiałem się mimowolnie uśmiechnąć też do niej.

Tak się ta moja pierwsza w życiu rozmowa z dziewczęciem, które mnie oczarowało, rozpoczęła. Ani wiem, cośmy już mówili potem, ale znajomość się zrobiła bardzo łatwo i tak nam z sobą dobrze było, że gdy nikt nie przerywał, przesiedzieliśmy z godzinę, urywanemi słowy rozpowiadając sobie rzeczy różne.

Zajęła mnie tak Luchna, żem nawet o tem zapomniał, co mnie przeraziło — o wydanej tajemnicy mojej niewoli.

Opowiedziało mi dziewczę jakby odniechcenia, w jakim jutro będzie kościele, na której ulicy ją spotkać można, w ostatku nazwało mi dworek, w którym z ciotką mieszkała. Jak długo tu zabawić miały, nie wiedziała.

Po śpiewie wzięto się do skoków i Luchnę mi zabrano, a ja dopiero ochłonąwszy, gdy nadchodziła godzina powrotu na zamek, z Zadorą i Marjankiem wynieść się stąd musiałem. Prawie w progu już byłem, gdy mnie spotkało ostatnie spojrzenie Luchny, uśmiech i skinienie głową. Zdało mi się, jakbym słyszał:

— Do zobaczenia!

Zaledwieśmy byli w ulicy, gdy na Zadorę wpadłem, rozpowiadając mu, co mi się zdarzyło i co mi do ucha stara szepnęła. Któż mógł tajemnicę zdradzić, jeśli nie on lub Marjanek. Obawiałem się, aby to nie spadło na mnie. Począłem im gwałtowne czynić wyrzuty.

Zadora stanął zdumiały.

— Człowiecze — zawołał, — oszalałeś, czy co! Ja! jabym miał przeciw przykazaniu pańskiemu postąpić! Przeżegnaj się! Klnę się na wszystko, co jest najświętszem, gęby nie otworzyłem.

— A któż? Boć nie ja, o moją skórę chodzi! — krzyknąłem.

— W tem sęk — posępnie rzekł Zadora. — Stara ta podejrzaną mi jest. Nie wiem nawet, jak się ona u Kridlara znalazła, bo to dumna szlachcianka, a bodaj mąż jej Tęczyńskich sługą! Ostrożnym z nią być potrzeba.

Zadumał się frasobliwie on i ja.

Ogarniał mnie strach, ale czarne oczy Luchny rozpędzały go. Byliśmy już pod zamkiem, gdy Zadora dodał:

— Trzeba dojść, skąd baba mogła wiadomość tę dostać, a na wszelki wypadek trzymać się od niej zdaleka. Kto wie, co w tem jest skrytego. Świętochna stara bardzo siostrzenicę ci raiła... a to niebezpieczna rzecz i nie bez racji, gdy się baba do kogo wdzięczy. Bogatym nie jesteś, imienia wielkiego nie nosisz.. miejże się na baczności, abyś znowu w jakie pęta nie popadł.

Rozumnie mówił Zadora, ale mnie nie przekonał; czarne oczy Luchny tak mi się śmiały, żem dla nich zapomniał wszystkiego... Zmilczałem, postanowiwszy nazajutrz szukać dziewczęcia i widzieć je koniecznie.

— Co mi może grozić? Co złego stać się? Przecież w tem niewinnem stworzeniu zdrady obawiać się nie godzi!

Do śmierci człowiek od niewiasty i jej uroku nie jest bezpiecznym; dał im Bóg siłę wielką, aby nas na próbę wystawił i cnoty wypróbował, ale w latach późniejszych, gdy się już przez niejeden ogień przeszło, doświadczenie uczy, a i serce się nie tak łatwo porusza. Pierwsza owa miłość zawsze najstraszniejsza, bo zaślepia i ogłusza, a rozumu pozbawia.

Tak było ze mną. Całą noc prześniłem i przedumałem o Luchnie, a nazajutrz rano byłem już w kościele Św. Trójcy, gdziem się ją spotkać spodziewał.

Przybyłem o jedną mszę za wcześnie i dopiero pod koniec jej zobaczyłem Świętochnę, za którą szła śliczna jej siostrzenica. Ciotka mnie wprzódy postrzegła, niż ona, i zdało mi się, że po ustach jej przeleciał uśmiech jakby szyderski. Spojrzała potem i ona na mnie... a tuż klękły słuchać mszy, która właśnie się poczynała. Ja też dla nich pobożny byłem.

Po nabożeństwie już sam nie wiem, jak ważyłem się we drzwiach je powitać. Świętochna pierwsza odezwała się do mnie:

— Odprowadźże nas do dworku, bośmy same, a w ulicach, czem później na dzień, tem tłumniej.

Nie mogła mnie niczem nad to uczynić szczęśliwszym. Szedłem z niemi, naprzemiany mówiąc z ciotką, a patrząc na siostrzenicę... Serce mi się w piersiach rozrastało z uciechy wielkiej. Ale cóż? Droga ta od Św. Trójcy do dworku Hermanów wydała mi się tak krótką, że stanąwszy w progu... smutny, żegnać się począłem.

— Wstąp spocząć! — odezwała się ciotka uprzejmie.

Znaleźliśmy się w izbie. Świętochna poszła zrzucić zwierzchnią suknię, zostałem sam z Luchną. Wczorajsza rozmowa rozpoczęła się z równą żywością, choć co chwila obawiałem się powrotu ciotki. Zabawiła jednak dłużej, niż się tego spodziewałem. Powróciwszy, usiadła i wybadywać mnie zaczęła o dwór, o życie moje, o króla, o królowę i t. p.

Mówiłem bez wielkiego rozmysłu, co na myśl przyszło. Naostatek, zabawiwszy dosyć długo, musiałem się żegnać rad nierad.

— Od czasu do czasu — odezwała się stara uprzejmie — możesz nas waćpan odwiedzić... My tu mało znajomych mamy, a moja Luchna się nudzi!

Wyszedłem, jak pijany! Co się działo ze mną, co się działo... Radbym był w tej chwili przed całym światem chwalić się szczęściem mojem, a tu właśnie trzeba było zachować tajemnicę... Nie wiem, jak na zamku z twarzy mi nie wyczytali, żem szalał.

Co się ze mną niedoświadczonym działo, powtarzam raz jeszcze, tegom już drugi raz nie doznał w życiu. Obawa jakaś, zgryzota, niepokój razem i pragnienie, żeby to wszystko, co mnie czyniło tak nieszczęśliwym i szczęśliwym razem, nie ustawało, ciągnęło się jak najdłużej, przejmowały mnie całego.

Radbym był zaraz nazajutrz pójść do pani Świętochny, ale lękałem się być natrętnym. Trzeciego dnia poszedłem, dotarłem prawie do wrót, zląkłem się i uciekłem. Kto to wszystko opisze!

Zacząłem wreszcie powoli bywać i nabrałem większej śmiałości. Ciotka i siostrzenica dobrze mnie przyjmowały. Z Luchną jakoś dziwnieśmy się godzili i dobrze rozumieli. Rozmiłowałem się w niej straszliwie, alem już naówczas tyle rozumu miał, iż miarkowałem, że z tej miłości nic nie może być. Sierota bez imienia, ubogi, jak się miałem posunąć do szlachcianki, o której sama ciotka powiadała, że wiano miała otrzymać piękne? O ożenieniu ani myśleć było.

Tegom tylko nie mógł zrozumieć, dlaczego pani Świętochna, mająca doświadczenie i widząca, na co się zanosiło, nietylko mnie nie odpędzała, ale aż nadto dawała swobody w domu do zabawy z Luchną.

Posiedziała z nami czasem trochę, potem pod pozorem jakimś wychodziła do drugiej izby, od której drzwi zostawiała otwarte i rzucała nas samych.

Byliśmy z sobą, jak brat z siostrą... codzień lepiej, serdeczniej codzień.

Razu jednego zastałem panią Świętochnę samą. Luchna, jak powiadała, cierpiała na zęby i wyjść nie mogła. Ciotka rozmowę ze mną zaczęła tak rezolutnie i śmiało, jak była zwykła.

— A co, Jaszku, — odezwała się — Luchna moja ci wpadła w oko, ba i w serce... No, cóż z tego będzie? Ja przeciw waszmości nie mam nic, chłopak jesteś gładki, uczciwy i stateczny, choć sierota i bez majątku... ale żeby z tego co być mogło, trzebaby dwór królewski opuścić i na wsi zamieszkać. To dworowanie na nic się nie zdało.

Spojrzała mi w oczy ostro, zmilczałem osłupiony i zdziwiony. Począłem potem, bełkocząc, dziękować jej pokornie, mówiąc, żem od króla całe zależał i gdyby się co stanowić miało, musiałbym go o pozwolenie prosić.

Uważałem już z dawniejszych różnych pogadanek, że pani Świętochna jakoś do króla serca nie miała. Potrząsnęła głową.

— Nie masz poco ani się króla prosić, ani mu o tem mówić — rzekła, — nie pozwoli ci, powie, żeś za młody... Trzeba tak czy owak między nim a Luchną i nami wybierać.

— Najlepiejbyś zrobił — dodała, — żebyś nikomu nic nie powiadając, na koń siadł, gdy my wyjeżdżać będziemy i za nami ruszył... reszta się znajdzie.

Poczęła potem różnemi mnie łudzić obietnicami, mówić o wiosce, która w posagu puszczoną być miała, zachwalać dziewczę, wynosić życie wiejskie, a obrzydzać dworskie.

Na to wszystko nie umiejąc nic odpowiedzieć, wyprosiłem tylko dzień jeden namysłu i uciekłem na zamek.

Rzuciło mnie jak w gorączkę! Co tu robić? Własnemu rozumowi nie dowierzając, bo tu szło o los całego życia, do króla też czując przywiązanie wielkie, biłem się z sobą długo, aż nareszcie postanowiłem pod zaklęciem wielkiem wyspowiadać się przed Zadorą i o radę go prosić.

Zdziwił się niezmiernie, gdym na osobność go wziąwszy, całą moją historję opowiadać rozpoczął. Nie posądzał mnie wcale o takie wczesne rozmiłowanie, a słysząc o pani Świętochnie i jej dla mnie powolności, najeżył się i nasrożył.

— Człowiecze ty prostoduszny — krzyknął, gdym skończył, — głuptaszku jakiś, czyżeś tak ślepy, że nie widzisz, iż na ciebie sidła zastawiono? Jawna rzecz, że to pułapka. Mąż Świętochny jest sługą Tęczyńskich, pochwycić cię chcą znowu, a tym razem tak zasadzą, że cię ani król, ani ja nie wydobędzie z dziury! Dziew-

czynę postawiono jak gęś na wilczym dole, abyś pokusiwszy się o nią, wpadł do niego! Toż w oczy bije! Dlaczego ci o tem tajemnicę zachować kazano, aby nikt oczów otworzyć nie mógł. Szczęście twoje, żeś mi się zwierzył.

Słuchałem i nie mieściło mi się w głowie; spróbowałem zaprzeczyć. Zadora się pogniewał, i jak był szparki, wprost łajać mnie począł, powtarzając, żem głupi był.

Ale jakżem ja mógł przypuścić, żeby Luchna ona, te czarne oczy knuły taką zdradę czarną!

Nałajawszy mnie, naburzywszy się, Zadora poszedł, grożąc mi, że gdybym głupstwo takie na własną zgubę miał uczynić, wyda mnie i ochmistrzowi na wieży bodaj wsadzić poleci, jak pijanego, pókibym się nie wytrzeźwił.

Ze zmytą głową cały wieczór spędziłem na rozmyślaniach, a żem zawsze pobożny był, ofiarowałem się nazajutrz na mszę świętą u ołtarza N. Panny Różańcowej, na intencję własną o dobrą radę.

Rano tedy, a była już jesień, wyszedłem, opończą się otuliwszy. Nie dochodząc do kościoła, patrzę, Luchna moja małemi kroczkami, ze spuszczoną główką idzie zadumana wprost też do Św. Trójcy. Za nią nie ciotka, ale stara sługa, którą znałem i była mi, jak wszyscy w domu, przyjazną.

Zbliżyłem się do niej. Cofnęła się naprzód, jak przestraszona, postrzegłem oczy zaczerwienione i niby zapłakane, schwyciła mnie za rękę.

— Po mszy świętej — rzekła cicho, głosem zmienionym — w kruchcie stań, bardzo pilno mam wam coś powiedzieć. Sam Bóg was tu sprowadził...

Tknęło mnie bolesne przeczucie... wiedziałem już, iż coś złego nas czekało. Modliłem się tem goręcej, a Luchna, na którą spoglądałem czasami, zdawała się poruszoną i przejętą.

Ledwie ksiądz nas przeżegnał, a ona się podniosła, czekałem na nią przy święconej wodzie. Dała znak słudze, odeszliśmy trochę na stronę.

Długo stała, nie mogąc przemówić, głos się wreszcie dobył z jej piersi drżący i cichy.

— Rozstać się nam trzeba — rzekła, — rozstać może na zawsze. Dopiero wczoraj przypadkiem dowiedziałam się, że wam grozi niebezpieczeństwo wielkie, a mnie użyto, aby was wciągnąć w nie... Nie jedźcie z nami, ani za nami! Zaklinam was, czyhają na to! Światabyście więcej nie zobaczyli. Nie powiem wam reszty, bo mi się nie godzi... ale wyrzeczcie się Luchny... dajmy sobie ręce i bądź mi zdrów na wieki.

Łzy się jej z oczów puściły; stałem, jak oniemiały.

— Skądże, jakim sposobem dopiero wczoraj dowiedzieliście się o tem? — spytałem.

— Nocą już, gdym w łóżku była, a ciotka mnie śpiącą sądziła, — rzekła pocichu — nadjechał stary sługa pani Nawojowej.

— Ten obrosły, jak niedźwiedź? — przerwałem.

— On sam, Sliziak — ciągnęła dalej Luchna, łzy ocierając. — Poczęli mówić z ciotką o tem, a ona się przechwalała, że, z pomocą moją, już was miała w garści. Zdrętwiałam, posłyszawszy, z czem się Sliziak odgrażał i postanowiłam, choćby mi na zamek biec przyszło, przestrzec was i oznajmić.

Mnie się tak dziewczęcia żal okrutny zrobiło, żem włosy z głowy rwać począł. Więc w lament uderzyłem na ten mój los, który mi dał szczęście tylko na chwileczkę, abym je na wieki utracił.

— Ma li tak być — rzekłem, — nie pozostaje mi nic, tylko sukienkę zakonną wdziać i Bogu życia mizernego resztę poświęcić.

Luchna z za łez uspokoić się mnie starała.

— Któż wie — odparła, — jak się później rzeczy obrócą; mnie choćby zamąż wydać chcieli, nie przymuszą tak łatwo... uczynię się chorą, a kogo mi postawią, potrafię to, że mnie obrzydzi... Czekajmy oboje, ja wam ślubuję wiarę do ostatka, wy mnie, a Bogu resztę polećmy. Patrzy On na serca, a uzna, żeby miał nad niemi miłosierdzie, to nam w pomoc przyjdzie.

Tak słowośmy sobie dali, zwróciwszy się oboje ku ołtarzowi, a że stara sługa znaki dawała, Luchna powrócić musiała; kawał drogi ją przeprowadziwszy, słowa już nie mówiąc, bo mi rozpacz gardło ściskała, pożegnaliśmy się.

— Nie przychodź więcej — szepnęła mi. — Z zamku tylko dajcie znać przez kogo z czeladzi, że król was z sobą zabrał na łowy, albo wysłał w świat.

Tak się tedy skończyło pierwsze w życiu szczęście moje.

Na zamek przyszedłszy, siadłem przybity tak, iż Zadora, zobaczywszy to, zbliżył się łajać.

— Nie bądź głupim — rzekł. — Otrząśnij się i pluń na to. Dziewczyna żalu nie warta, kiedy się użyć dała na taką przynętę.

Nie mogąc się wstrzymać, skoczyłem mu na szyję, wyznając wszystko... Zadorze to pochlebiało, iż tak dobrze zgadł wszystko, wąsa kręcił i powtarzał:

— A widzisz, trutniu, starszych słuchaj... na gorąco dmuchaj, kiedyś się raz sparzył. Oto masz... Ale dziewczynie należy dobre słowo i dank za poczciwość.

Wszystko się tak potem stało, jak było ułożone. Świętochna przysłała dwa razy na zamek po mnie, powiedziano jej, że i za dwa miesiące nie wrócę. Zadora, który na wszystko miał oko — w kilka dni potem doszedł, że jejmość z wabikiem wyjechała na wieś do domu.

Ale w sercu i na oczach moich pozostała Luchna zapłakana, tak, jakem ją raz ostatni widział w kruchcie, gdyśmy sobie wiarę poprzysięgali.

Życie mi osmutniało i zbrzydło. Ratując się, chodziłem do kolegjów, słuchając i nie słysząc, co tam prawiono, przesiadywałem przy Wielkim, gdy malował; naostatek, szukając sobie powołania, gdy do niczego mnie serce nie pociągało tak bardzo, ponieważ król do dzieci swych mnie przeznaczał, na bakałarza się sposobić zacząłem. A że mi tego nie starczyło i myślałem, że dozorcy dzieci nie zawadzi też umieć zdrowiu ich ra-

dzić, począłem poglądać na medyków, aby i tej nauki coś liznąć.

Nadwornym króla, krom innych, był naówczas Paweł Gaskiewicz. Do tegom ja najwięcej śmiałości miał, bo był człowiek młody, wesół i nie hardy. Suknię duchowną nosił, choć kapłanem nie był, ale w niej tak swobodnie sobie poczynał, że mu ona do niczego nie zawadzała.

Codziennie się prawie z nim na dworze spotykało. Kiedym z niewoli mojej powrócił osłabły wielce, on z rozkazu króla kordjał mi jakiś dawał, poił mnie nim i miał staranie, dopókim do siebie nie przyszedł.

Gdy mi zaświtało w głowie, aby cokolwiek liznąć medycyny, przyznałem mu się do tego, opowiadając, że król mnie do dozoru dzieci przeznaczał, więc się to przydać mogło, gdy lekarza nie zawsze i nie wszędzie znaleźć było.

Gaskiewicz małego był wzrostu, prawie karzeł, głowę tylko miał dużą, zręczny był, zwinny, a gdy się ożywił, skakał i podnosił się na palcach. Lubili go wszyscy. Słuchając mnie, usta tak szeroko otworzył, że w nich zęby wszystkie policzyć było można.

Milczał, ale skóra na głowie, którą miał władzę poruszać, jakby wcale do czaszki nie przylegała, zaczęła mu się przesuwać od czoła na tył, ztyłu na czoło i na boki.

— He! he! — odezwał się, śmiejąc — to mi zuch! Trochę medycyny! trochę! Ale medycyna nie jabłko, żeby ją można nawpół przekroić i dać kawałek... a my wszyscy, cośmy zjedli wszystek jej rozum, takie osły jesteśmy, że nas często stara głupia baba w kąt zapędzi.

No, proszę! trochę medycyny! — powtarzał i wziął się za boki — tęgi jesteś...

Wtem spojrzawszy na moją zasmuconą minę, spoważniał i rzekł, za rękę mnie biorąc:

— Ucz się porządnie i staraj się nauczyć jak najwięcej; zobaczysz, że ci tego nawet za mało będzie! Żadna nauka człowiekowi nigdy nie szkodzi, chyba,

gdy mu jak zły humor do głowy pójdzie i ją zawróci. Czemubyś doktorem nie miał być? Po łacinie cię uczono, weź się do Hipokratesa i Gallena.

Prosiłem o pozwolenie, abym czasem mógł do niego przychodzić i z nauk jego korzystać.

— Ale ja nic nie umiem i sam się uczę, a czuję, że na tę naukę życia jednego mało — rzekł, poruszając ramionami. — My wszystko zgadujemy, a nic nie wiemy.

Pomimo tych wymówek, Gaskiewicz mi i wstępu do siebie nie broni, i nie pogardzał mną, a różne rzeczy mi rozpowiadał, jakby do nauki przysposabiając. Dziwak był jednak... Spytałem go czasem, dlaczego naprzykład takie lekarstwo ten, a nie inny czyni skutek. Zaczynał się śmiać.

— Albo my wiemy? — odparł zawsze. — Mówią, że ametyst na żołądku nosząc, upić się nie można. Który pijanica tego pierwszy próbował, nie wiem; ale to wiem, że jedno lekarstwo niejednako każdemu skutkuje; cóż tu pytać przyczyny, kiedy co krok tajemnica! Ja daję lekarstwo wiekami stwierdzone i... darmo. Baba przychodzi, palcem kiwnie, zamruczy coś i chorobę odpędzi. Pytajże przyczyny? Bóg jeden wie wszystko!

Ciekawość tych arkanów natury trochę mój smutek i utrapienie ukoiła. Wtem też nadeszły inne wypadki, które nas wszystkich gorąco zajęły, bo w Krakowie i w całym kraju zagotowało się, jak w kotle.

Lecz nim o nich opowiadać zacznę, muszę wprzód o jednym człowieku napomknąć, który na to, co się dziać miało, wielki wpływ wywarł, choć nie chlubił się z tego.

Rok czy dwa temu wprzódy powrócił do Krakowa z Niemiec, kędy go na naukę wyprawiono, młodzieniec możnych rodziców, rycerskiego stanu, Ostroróg Jan, z Wielkiej Polski, która cała, jakom mówił, królowi była oddana.

Jak skoro się tu ukazał w Krakowie, gruchnęła zaraz wieść, że osobliwej nauki i wielkiego umysłu był mężem. Chwalili go bez miary niektórzy, inni napa-

dali nań za jakieś, jak oni mówili, niedowarzone myśli, które w świat bardzo zuchwale rzucał.

Król, który o nim zasłyszał, bo mówiono wiele, kazał mu się na dworze stawić, dokąd go ks. Lutek z Brzezia przyprowadził. Widziałem go naówczas po raz pierwszy. Trudno było spotkać rycerza urodziwszego nad niego, a miał taką postawę pańską, że gdyby go w siermięgę przebrano, zdradziłaby twarz i ruch, że z wielkiej krwi pochodził. W oczach i na czole też miał wypisany rozum wielki, nad lata stateczność jakąś i powagę.

Wieczora tego, gdy go królowi przyprowadzono, co zwykle z innymi pan nasz czasu nie tracił i prędko ich zbywał, z nim do późnego wieczora przy zamkniętych drzwiach na rozmowie pozostał. Nie było nikogo, oprócz niego i ks. Lutka. Odchodzącego w progu król żegnał bardzo łaskawie.

Nazajutrz przybył znowu, a dni następnych był tak częstym gościem, iż to zwróciło oczy wszystkich. Poczynano mu zazdrościć; przepowiadano dostojeństwa wielkie, do których i krwią swą miał prawa. Tu zaś nie krew, tylko rozum go tak stawił wysoko u króla.

Skąd i jak nie wiem, w nieprzyjaznym naszemu panu obozie rozeszła się wieść, że młody ten Ostroróg przywiózł królowi z Niemiec jakieś niebezpieczne nauki i rady, jak miał rządzić w domu.

Przypisywano mu, że on króla w tem utwierdził, aby biskupów ani kapitułom samowolnie obierać, ani sobie dawał z Rzymu narzucać, że namawiał do tego, aby siłę zaciężną powiększyć, wzmóc się w posłuszne wojsko i przeciw krnąbrnym użyć bodaj siły, gdy słowo rozumne nie starczyło.

Że w tem wszystkiem, co o nim rozpowiadano, coś prawdy być musiało, rzecz niewątpliwa. Z uczonymi rozprawiając, podobno myśli nie taił. Potrząsano głowami, twierdząc, że z tych rad, dawanych królowi, może urosnąć wielkie nieszczęście.

Przede dniem św. Idziego, na który był naznaczony

zjazd w Piotrkowie, wzięła się z obu stron zawierucha wielka i zaniosło na burzę. Widzieli to już wszyscy.

Królowi donoszono, że Tęczyńscy, Tarnowscy, Melsztyńscy i inni, co dawniej z kardynałem trzymali, wprost do tego zmierzali, aby pana z tronu zrzucić, królestwa pozbawić i wywłaszczyć. Gadano o tem na dworze głośno, powtarzano wyrazy tych, co się naradzali nad środkami, szczególniej Jana z Rytwian, starosty sandomierskiego, który z niepohamowanej mowy był znanym.

Z drugiej strony, gdy wszyscy, co trzymali z królem, poczęli się ściągać zbrojno i gromadnie, a i pułki królewskie a straże otrzymały rozkaz ciągnąć z nim do Piotrkowa, Tęczyńscy głosić zaczęli, że się na nich gotuje zamach, iż Kazimierz więzić ich i sądzić zamierza za to, iż praw swych bronić chcieli.

W tych to godzinach, gdy się z obu stron wybierano na nieszczęśliwą wojnę domową, pomiędzy panem a poddanymi jego, naszego króla widzieć było potrzeba. Nam, stojącym zdaleka, gniew piersi rozrywał, wrzało w tych, co Kazimierza kochali. A on tak spokojnie to znosił, tak pogodnem czołem, jakgdyby sprawę najpowszedniejszą. W tem była zawsze wielkość i moc jego, że gniewu nie okazał nigdy, jakgdyby wyżej stał nad tych, co się tam rzucali i miotali, a swej siły pewnym był, wcale się nie troszcząc o koniec.

Trzeba było widzieć tych, co go otaczali, co doradzali, Ostrorogów, Szamotulskich, ks. Lutka, Kmitów, Gorków, Czechela i innych, jak chwili spokoju nie mieli, jak nieustannie biegali, naradzali się, grozili, przenosili wieści, obmyślali środki a wśród tego wrzątku stojąc, król czoła nie zmarszczył...

Więc ruszyło wszystko do Piotrkowa, a i mnie też więcej przez ciekawość, niż z potrzeby, napraszającemu się do orszaku pańskiego towarzyszyć dozwolono.

Prawdą to jest, że nigdy jeszcze król się tak ludno i zbrojno nie wybierał na zjazd żaden. Wyglądało to, jakby jechał na wojnę, a on po drodze, dobrej myśli będąc, polował, jak zwykle i bodaj o psach swoich

mówił więcej, niż o tem, co nas w tym Piotrkowie czekało.

Gdyśmy tu przybyli, uderzyło nas zaraz, że i panowie krakowscy i z nimi trzymający Sandomierzanie takiemi kupami najechali i tak zbrojno, iż nie było gdzie się pomieścić. Dla królewskich straży zawczasu też miejsce na obóz wytknięto dokoła zamku, a Krakowianie się ściskali i rozkładali, jak mogli. Ciasnota była wielka, który z panów nie przywiózł z sobą dla koni obroków, dla czeladzi chlebów, żywności na sprzedaż zabrakło.

Z wieczora już, gdyśmy z Zadorą poszli się rozpatrywać po mieście, można było zmiarkować jaka się gotowała walka zawzięta.

Wszyscy swoi niby, każdy, gdzie padł, tam siadł, Wielkopolanie obok Krakowian, pomieszani, ale tak się to wszystko dzieliło, koso na się patrzało, jakby do kordów porwać miało. Słyszałeś za sobą, przechodząc:

— Królewska służba! czeladź jego! A to nasi!

Z wieczora na zamku ks. Lutek i Ostroróg zapowiedzieli królowi, iż nazajutrz wystąpią przeciwko niemu Krakowianie.

— A no, z Bogiem! — rzekł król. — Posłuchamy!

Dodnia królewscy ludzie otrzymali rozkaz na wszelki wypadek stać wpogotowiu i od zamku nie odbiegać. Inni pono, bez wiadomości Kazimierza, we wrotach i w podwórcu, u komnat króla, wszędzie podwojone ustawili straże.

Gdy to zobaczyli Tęczyńscy, jeszcze ich gniew większy ogarnął... poczęli się tedy tłoczyć do izby obrad także orężno, jakgdyby się napaści obawiali i zamierzali bronić do upadłego.

W izbie samej, gdy król wszedł do niej, jam nie był, bo tam lada kogo nie wpuszczano, a ścisk nastał okrutny, że i ci, co mieli prawo się tam znajdować, nie wszyscy się dostali. Zdala tylko słyszeliśmy podniesione głosy a wrzawę ogromną, i król zabawił długo, ale potem rozpowiadano, co się działo.

Wyrwał się przodem za wszystkich znany z prędkiej a śmiałej mowy starosta sandomierski i wpadł na króla, że się on zbroi na swe rycerstwo, że je nieprzyjaciółmi swymi zowie, że na nich zasadzkę gotuje. Wymówił to królowi, że Jan Kuropatwa, jakoby z jego ramienia jadących na sejm do Piotrkowa ziemian więził i ranionych trzymał pod kluczem. Dalej wyrzucał mu to, że zawsze Litwie sprzyjał więcej, niż Polsce i ziemie od niej odrywał.

Zapalił się tak, widząc, że król spokojnie słucha, a drudzy go oczyma podżegają, iż ważył się zadać panu marnowanie skarbu, bicie złych pieniędzy, naostatek pogroził, iż ziemianie, jeśli nie po ich myśli rządzić zechce, nie przyjdą mu w pomoc ani ofiarą grosza, ani życia.

Po staroście sandomierskim drudzy, którzy głos zabierać mieli i obiecali, ulękli się przemówić. Król bowiem, nie okazawszy gniewu, usta zagryzł, lekceważąco słuchał, spoglądał zgóry na mówcę i taki jakiś zachowaniem tem się wraził strach i poszanowanie, że im usta zamknął.

Ostroróg powiadał później, że gdyby król namiętnie wystąpił, sprawęby popsuł, a zimną krwią wszystko ocalił.

Gdy Jan z Rytwian, drżąc cały, dokończył mowy, niemal się zuchwalstwu swemu dziwiąc i przewidując, jaki koniec czeka to wypowiedzenie wojny, w izbie zapanowało milczenie. Król ani zbladłszy, ni zarumieniwszy się, jak siedział, tak zwolna począł odpowiadać nie staroście sandomierskiemu, na którego nie spojrzał nawet, ale całej izbie, jakby go za jej oratora uważał. Wykładał z najzimniejszą krwią, dlaczego ziemię Łucką Litwie dozwolił zagarnąć, bo nie mógł zawczasu jej zająć; wspomniał o pieniądzach, a w ostatku rzekł, że niemniej Polskę, jak Litwę kochał i oba kraje równe miejsce w sercu jego zajmowały.

Tak niewielu słowami ubił Kazimierz wrzawę tę całą, rozognić się jej nie dając. Zwrócono się do spraw pruskich, uchwalono podatek. Prawda, że Krakowianie

mu się oparli, odkładając ofiarę, ale zresztą to, czego chcieli, podnosząc wrzawę całą, do skutku nie przyszło.

Król w spór z nimi na słowa wdawać się nie chciał, pominął ich i odsunął, a gdy się Janowi z Rytwian nie udało go rozgniewać i wywołać waśń, nikt się po nim nie ważył tego próbować.

Młodym naówczas będąc, a zdala poza szrankami stojąc, sądzić o tem nie mogłem, tylko z tego, co koło mnie ludzie poważni rozpowiadali.

Wszelako nie dali nieprzyjaciele pańscy za wygraną. Wichrzyli dalej, tylko już o zrzucaniu z tronu, o wypowiedzeniu posłuszeństwa mowy nie było.

Następnego roku narodził się królowi syn, Kazimierz, jego imieniem zwany, który z urody swej do najstarszego Władysława był podobnym. W tymże czasie właśnie, gdy pan nasz był najwięcej zaprzątniętym wojną z krzyżakami i układami w Czechach, nastąpiła okoliczność, która wiele krwi mu napsuć miała, a głośną się potem stała po Królestwie całem.

Mówiłem już, iż król postanowił, czyli z porady Ostroroga lub po myśli własnej, ażeby kapitułom wyboru biskupów nie dopuszczać, gdyby nie był po myśli jego, ani też czekać rozkazów z Rzymu do nominacji ich.

Dwa już biskupstwa tak wedle woli króla obsadzone zostały.

Właśnie jesienią roku tego zmarł na zamku swoim, w Iłży, paraliżem dotknięty, Tomasz, biskup krakowski, mąż świątobliwy, uczony, a słynący z tak nadzwyczajnej pamięci, iż do najpóźniejszych lat cokolwiek posłyszał, bodaj najdłuższą mowę, cokolwiek przeczytał, powtórzyć mógł do słowa.

Zabierała się zawczasu kapituła, w obawie, ażeby jej, jak innym, król nie odjął prawa wyboru, wezwać na stolicę takiego człowieka, któryby królowi miłym był, ale przez niego nie wyznaczonym.

Nim do wyborów przyszło, król naówczas w Prusiech bawiąc, przysłał w skok od siebie do kapituły proboszcza kaliskiego, Żychlińskiego, i miecznika kra-

kowskiego, Wiślickiego, z zaliczeniem, aby nikogo innego nie śmiano wybierać, tylko naznaczonego przez niego Jana, biskupa włocławskiego.

Kapituła go się lękała i mieć go nad sobą nie życzyła. Byli tacy, którzy już przewidywali, że gdy na stolicy siędzie, a król zapotrzebuje na wojnę sreber kościelnych, dać mu je gotów, choć poprzednik odmówił.

Wrzawa tedy i postrach stał się wielki, o którym po całem mieście bębniono. Rozpowiadam to, com słyszał, na co niemal patrzałem. Tęczyńscy i inni królowi niechętni pewnie też nieobojętni byli w sprawie, którą Kazimierzowi na przekorę uczynić się spodziewali.

Przede dniem Niepokalanego Poczęcia, na który elekcja była naznaczoną, tak się nią troszczono, rozgadywano o niej, obsyłano hasłami, jakby szło o największą sprawę, cały kraj obchodzącą.

Nie wymyślono nad to nic lepszego, tylko, by i króla nie posłuchać i razem mu się nie narazić, to jest wybrać po myśli własnej, ale takiego człowieka, coby panu miłym był.

A nikt bliższym mu i milszym się nie zdawał nad ks. Lutka z Brzezia, którego król nieustannie miał u boku swojego. Mówili sobie księża, iż przecie go Kazimierz nie odepchnie, a oni przy swem prawie się utrzymają.

Ale z panem naszym, gdy raz co postanowił, wiedząc, dlaczego to czynił, o lepszą iść było trudno.

Ks. Lutek z obawy narażenia się panu, wyboru nie myślał przyjmować. Dla dokuczenia więc królowi na inny się sposób wzięto, sądząc, że go tem pokonają.

Tęczyńscy i Melsztyńscy postarali się o to, aby w Rzymie papież Pius II krewnego nieboszczyka kardynała, syna wojewody sandomierskiego, Jakóba z Sienna, podczas w Rzymie bawiącego, mocą swą apostolską biskupem mianował.

Król więc już nie z kapitułą miał do czynienia, ale z papieżem i z Rzymem.

Brat stryjeczny kardynała, spadkobierca jego myśli i przyjaciel tych, co jawnie panu naszemu wojnę wypowiadali, na stolicy krakowskiej!

Król miał na głowie ciężką wojnę z Prusami, sądzono więc, iż sprawie tej nie podoła i ulegnie.

Z tym drugim Oleśnickim miały się począć całą powagą duchowieństwa popierane knowania przeciwko władzy królewskiej.

Radowano się w obozie Tęczyńskich i Melsztyńskich, iż królowi dawano taki orzech do zgryzienia, któremu on podołać w żaden sposób nie mógł.

Stanęły tedy rzeczy na ostrzu, iż albo król z całą powagą swoją miał upaść, uznać się zwyciężonym i pójść w niewolę, albo Rzym gotował mu wojnę i pomstę, właśnie gdy Kazimierz potrzebował poparcia jego przeciwko krzyżakom.

Niesłychana nigdy sprawa była na stole. Na jedno biskupstwo trzech elektów: królewski ks. Jan, kapitulny ks. Lutek, rzymski ks. Jakób.

Posłano do króla na zwiady, co myśli. Spodziewali się ci, co z Jakóbem trzymali, że król pogniewa się, zagrozi, ale przed słowem a rozkazem z Rzymu ustąpi.

Z niezmierną niecierpliwością tedy oczekiwano powrotu wysłańców. Niedługo przybyli, ale przywieźli to, czego się nikt nie spodziewał. Jawnie i głośno zapowiedział Kazimierz, gdy mu doniesiono o nominacji Jakóba w Rzymie, że go do stolicy nie dopuści.

Zdumieli się wszyscy... Miał być wyprawiony do papieża poseł. Wiedzieli Tęczyńscy, iż Pius II nie ustąpi, a dla własnej powagi Jakóba trzymać będzie, królowi zagrażając.

Spokrewnieni z Oleśnickimi, Jan z Tęczyna, Jan z Melsztyna, Rafał z Tarnowa, Jędrzej Oleśnicki, pojechali do króla prosić za swoim powinowatym, z Rzymu naznaczonym.

Ci, co naówczs przy królu byli, gdy się to poselstwo zjawiło, opowiadali potem, jak je Kazimierz przyjął.

Powitał je twarzą taką, jakgdyby nie wiedział, z czem przyjechali. Jan z Tęczyna głos zabrał, słuchał

go cierpliwie; przemawiali inni, nie przerywał im. Wkońcu, gdy się wyczerpało wszystko, prośby i groźby, król, który przy stole stojąc, oparty na nim ręką, w górę ciągle spoglądał, odezwał się z zimną bardzo krwią do starego pana z Tęczyna:

— Wzięliście mnie na tron królestwa tego; malowanym tu panem być nie chcę i nie mogę. Com rzekł raz, od tego nie ustąpię. Gdybym powolnym był, kłam zadałbym sobie i okazał, żem to uczynić chciał, czego dokonać nie mogłem. Mieliżbyście potem poszanowanie i posłuch dla tego, który sam się uznał w błędzie?... — Papież jest panem w Rzymie, a ja w Polsce. Szanuję władzę jego w tem, co religji tyczy, ale sobie narzucać moich biskupów nie dam. Za jednym poszliby wszyscy i mielibyśmy tu dwie głowy i dwie władze. Na to ja nie zezwolę. To moje ostatnie słowo.

Rzekł; głową im skinął i odszedł.

Napróżno już potem przez kapelanów, przez urzędników, przez różne osoby do króla trafiano. Zyskali tyle, że Kazimierz zapowiedzieć polecił, iż wszelki opór skarci najsurowiej.

Z wielkiem w sercu oburzeniem przeciwko temu królowi, który praw duchowieństwa nie szanował, głosu z Rzymu nie słuchał, posłowie odjechali, nie chcąc ulec.

Z ich porady miał ks. Jakób naprzekór królowi, wyświęconym być, z ich pomocą dobra biskupie zajechać. Sądzili, że gdy raz się dokona święcenie, wprowadzi rzymski nominat, król wreszcie ulegnie.

Nie potrafię zaprawdę opisać tego, a pamięć już dziś nie wszystko strzymała, co naówczas się działo, gdy królowi tę nową wojnę wypowiedziano, a on ją przyjął i nie ustępując na włos, sam rozpoczął.

Ks. Lutek z Brzezia wcale się już nie mieszał do niczego, wszystkiemu zostając obcym. Tymczasem Tęczyńscy, Melsztyńscy, Oleśniccy gotowali się do walki za swojego biskupa.

Wyszedł surowy dekret królewski, skazujący Jakó-

ba z Sienna na wygnanie, zagrażający mu na osobie jego i mieniu, jeśliby się ważył sięgnąć po infułę.

Wszystko to działo się tak głośno, a najmniejszych nawet ludzi tak obchodziło żywo, iż nie było w Krakowie człowieka, któryby tego czasu zmuszonym nie był wypowiedzieć się, z kim trzymał — z królem, czy z tymi, co przeciwko niemu byli.

W rynku, na ratuszu, po sklepach, w ulicach ludzie stawali, udzielając sobie wiadomości, głosząc to, czego sobie życzyli: jedni bliskie zwycięstwo królewskie, drudzy jego upokorzenie.

Z tego, co się wyżej o mieszczaństwie krakowskiem mówiło, łacno zmiarkować, iż pan je całe miał za sobą. Życzyli wszyscy, aby niepomierne zuchwalstwo panów ukrócone zostało.

Gdyby panowie z Tęczyna i ich sprzymierzeńcy całkiem ślepymi nie byli, a długą bezkarnością nie nawykli do tego, że im wszystko szło płazem, mogli byli dostrzec, że ich tu tak jak dawniej nie szanowano. Nie czapkowano im i nie kłaniano się, ani z drogi tak chyżo nie ustępowano, jak dawniej. Burknął niejeden, ale nie zważano na to.

Z rodziny panów z Tęczyna Andrzej, który miał dom w Krakowie i często się tu ukazywał, był jednym z najzuchwalszych. Niemłody już, rycerskiego rzemiosła, obozowy człek, do wojny więcej, niż do obcowania z ludźmi spokojnego nawykły, słynął z grubjaństwa i opryskliwości. Znano go z tego, nie lubiono ich wszystkich, ale Andrzeja mieszczanie i lękali się, i niecierpieli.

Na zamku nigdy prawie go nie widywałem, bo tam rzadko gościł; lubił z takimi tylko przebywać, których bardzo szanować nie potrzebował. Najmilszem towarzystwem była mu szlachta z pod tej samej chorągwi, która mu dworowała.

W ulicach nieraz wyprawiał burdy. Mieszczanina i kupca na głos złajać, wyśmiać, popchnąć, nic go nie kosztowało. Zdawało się, że dla niego, co szlachcicem nie było, nie miało szczytu i zawołania, to i człowiekiem

zwać się nie mogło i do żadnych względów prawa rościć.

Jak ognia się go obawiano i unikano, bo nie jednemu za skórę zalał.

Było to w lipcu roku następującego. Król podówczas, zajęty wojną w Prusiech, był pod Inowrocławiem, a my przy królowej na zamku, bo niedomagała. Czwartek to był, jak dziś pomnę, a dzień skwarny, tak, że my, nie mając do czynienia nic, a nie chcąc się dusić w skwarnych komnatach, wyszliśmy. Marjanek ze mną był, bo go korciło często się na miasto wyrywać i rad był sobie towarzysza do wycieczki znaleźć.

Szliśmy, rozglądając się po mieście. Ruszało się dosyć ludu, jak to po skwarnym dniu, gdy chłód nadchodzi, zwykle bywa. Roiły się ulice. Zaszliśmy, powoli tak idąc, śmiejąc się i dworując, ku rynkowi.

Tu z Sukiennic, ze sklepów, z ławek, zewsząd lud napływał i gwarno było. Patrzym, kupkami się czegoś u ratusza gromadzą, a niektórzy ręce podnoszą i coś wykrzykują. Poznać było łatwo, iż się coś stało, o czem rozprawiano, mocno biorąc do serca.

W samych drzwiach ratuszowych stała kupa największa, ściśnięta, jakby na coś oczekująca. Dobywały się z niej głosy jakieś, aleśmy ich zrozumieć nie mogli.

Marjanek, którego zawsze świerzbiało palce wetknąć, gdzie nie było potrzeba, biec począł; ja, wstrzymać go chcąc, za nim.

Aniśmy się spostrzegli, gdy ludzie nas ścisnęli, otoczyli i znaleźliśmy się w tłumie, który kołysał się w burzę, jak fala. Słyszę dokoła wołania: Co się stało? — Drudzy powiadają: Klemens, płatnerz, jak szalony na ratusz pobiegł!

Aż tu, gdy tych słów domawiają, z ratusza wyrywa się ten, o którym mowa, Klemens sam z głową odkrytą, włosy rozrzucone, jak w domu przy warsztacie był, w skórzanym fartuchu, z młotem za pasem. W mieście płatnerza tego wszyscy znali, miał i w zamku robotę, bo najlepszy ze wszech był, a znał to do siebie. Mało kto się bez niego mógł obejść, bo nikt tak około zbroi

wszelkiego rodzaju nie chodził i nie znał się lepiej na niej, nad niego. Pogruchotane na turniejach nieraz umiał tak wyprostować i wypolerować, jak nowe. Z tego ocierania się o ludzi, którzy go wszyscy potrzebowali, a nieraz prosić byli zmuszeni, aby roboty się podjął, nabrał Klemens śmiałości wielkiej i nikomu się nie kłaniając, sobie raczej się kłaniać kazał, gdy go kto potrzebował. Człowiek był znany z tego, że sobie nikomu nie dał przewodzić, nie bał się ani rajców, ani wójta, ale serca był dobrego, uczynny i za biednymi się rad ujmował. Słowo jego, gdy się odezwał, znaczyło wiele. Czeladź cechowa, rzemieśnicza, patrzała na niego na zborach, jak na głowę swoją i wodza, skinienia wyglądając.

Wybiegłszy z ratusza, Klemens, rękami machając, nie odpowiadając tym, co mu drogę zastępowali i zaczepiali, wprost począł się na rynek przedzierać ku kamienicy Mikołaja Kridlara, rajcy krakowskiego, tej, co pod królami była. Lud ciekawy płynął za nim, a mnie tak pchano, że choćbym nie chciał, inaczej nie mogłem uczynić, tylko za drugimi musiałem.

Patrzę, stoi Andrzej Tęczyński, a z nim domowników kilku uzbrojonych przed samą kamienicą Kridlara, a podle niego rajca Kridlar i Walter Kesling. Tęczyński im coś gorąco dowodzi, a wykrzykuje, Kridlar z Keslingem odpowiadają. Stary pan przy mieczu, z głową dumnie podniesioną, coraz to więcej głos rozpuszcza, jakby skarżył, czy groził.

Wtem, gdy Klemens go zobaczył zdala, zbladł. Stanął, namarszczył się, ogromną swą pięść zacisnął i wprost na Tęczyńskiego krokiem śmiałym iść począł.

Ten go nierychło zobaczył, aż tuż podle stanął.

Klemens płatnerz, rękę do góry wzniósłszy, niemal ku twarzy Tęczyńskiemu gromkim głosem wrzasnął, trzęsącym się od zajadłości i gniewu:

— Myślisz, że ci to ujdzie! Jak Bóg żyw, nie! Lepiej ci się to niebawem opłaci, niż sądzisz!

Słów tych nie zdążył jeszcze dokończyć, a Andrzej,

jak dzik, się rzucił, gdy go w kniei psi naskoczą i wrzasnął do swoich:

— A weźcie tego łotra! Małom mu dał... nauczę cię rozumu.

Stało się zamieszanie ogromne, wśród którego słyszałem tylko głosy Kridlara i Keslinga.

— Bójcie się Boga, co robicie. To rozbój... Na krzywdy są sądy.

Ale wkrótce wrzawa ich zagłuszyła, i ludzie, co szli z Tęczyńskim, na płatnerza się rzucili. Dojrzeć już nie było można dobrze, co się tam działo, bo Klemens się bronił jak lew, ale siła złego wiele na jednego. Na zbrojnych pachołków z gołemi rękami nikt nie śmiał się porywać. Widać było tylko zbitą kupę czeladzi Tęczyńskich, która naokół, kogo napadła, razami obsypywała, a w pośrodku Klemensa zmógłszy i na ziemię obaliwszy, znęcała się nad nim, tłukła i nogami deptała.

Dopiero, gdy Tęczyński, zobaczywszy na ziemi zbroczonego płatnerza, ustąpił i szedł precz, czeladź jego, swą ofiarę zbitą i znieważoną w ulicy rzuciwszy, pośpieszyła za nim, bo zmiarkowała, że się cisnęło coraz więcej mieszczan zbrojnych.

Poza sobą posłyszałem opowiadających, że to nie był początek, ale koniec sprawy, przed półgodziną rozpoczętej.

Tęczyński dał był Klemensowi zbroję do odczyszczenia i naprawy. Miała być tydzień temu gotową. Spotyka go w ulicy, staje i woła:

— Ty, przechero! Ja na wojnę nie mogę dla zbroi... czemu nie gotowa?

I pogroził mu zdala. Przypadł płatnerz.

— Jam nie wasz chłop, ani najemnik... do rozkazywania mi nie macie nic. Gdy skończę, weźmiecie.

Tęczyński, jak porywczy był, przypadł więc i po głowie uderzywszy Klemensa, za włosy go chciał ująć, ale ten pchnął go silnie i krzycząc, na ratusz pobiegł ze skargą. Z tego wszystko potem urosło.

Gdy pachołkowie Tęczyńskiego odbiegli płatnerza, ten krwią zbroczony, krzycząc, po ziemi się tarzał.

— Patrzajcie! patrzajcie, panowie rajcy, tak się z mieszczany tu obchodzą. Co nam dziś, wam jutro. Zbójom szlacheckim wszystko wolno, nawet tu, na naszych śmieciach, nie my gospodarze, a oni.

Nie potrzeba było i tego wołania, bo Kridlar i Kesling, gorąco to do serca wziąwszy, podnieśli Klemensa i poczęli krzyczeć:

— Na ratusz! Na skargę do królowej!

W rynku gotowało się i kipiało co żyło; ludźmi jakby siła jakaś rzucała... Z kup dokoła wyrywało się wołanie:

— Na gwałt uderzyć! Wrota zamykać, aby zbój nie uszedł. Kto żyw, niech ciągnie, z czem ma. Nie ujdzie mu to płazem.

Ja ciągle w tym ścisku zamknięty, jeszczem sobą nie władnął. Chciało mi się wyrwać na zamek co rychlej dać znać, ani kroku zrobić nie mogłem. Pchano mnie i rzucano mną to w lewo, to w prawo; co najgorzej, że mi Marjanek gdzieś przyzostał czy się odbił. Ani go widać było.

Sam wśród nieznajomej gawiedzi siedziałem, jak w łaźni. Zgnieciony tak, żem ledwie się obronić mógł od uduszenia, sam nie wiedziałem, jak się znalazłem pod ratuszem.

Rajcy ze wszech stron nadciągali, jak który stał, gdy mu dano znać; jedni w kaftanach, drudzy w sukni na jeden rękaw narzuconej, zdyszani, przelękli. Pisarze, wójt, ławnicy dobijali się przez tłum do izby radzieckiej, ścigani z ulic wołaniem, chwytani po drodze przez rozwścieczony tłum, domagający się pomsty za Klemensa. Niektórym pięściami grożono.

— Na tośmy was wybrali... brońcież teraz!

Chwila upłynęła w oczekiwaniu niespokojnem; lud nietylko, że się nie myślał rozchodzić, owszem, coraz większe gromady go napływały... rozżalenie, gniew rosły.

Na zamku królowa, która pod ten czas słabości się spodziewała, wiedziała już, iż w rynku się burzyło. Zawołano do rady Pieniążka, podczaszego Obulca i mar-

szałka. Ale ci się wcale nie spodziewali, aby z tego co niebezpiecznego urosnąć miało, a może też im, Boże odpuść, niewiele o panów Tęczyńskich chodziło, choćby im się i co niebardzo miłego przygodziło.

Królowa, przestraszona, kazała rajcom oświadczyć, iż uroczyście oświadcza i daje osiemdziesiąt tysięcy grzywien zaręki, że nazajutrz, bo tego dnia już noc nadchodziła, sprawę rozsądzi, zagodzi i załatwi. Rajcy się tem zaspokoić nie dawali, oświadczając, że tu coś zaraz począć trzeba, bo lud, okrutnie rozdrażniony, pohamować się nie da.

Na co im starosta Pieniążek rzekł:

— Wasza sprawa mieszczan przywieść do opamiętania; wy za wszystko odpowiecie.

Rajcy, którym to na ramiona spadło, wyszli niezmiernie oburzeni i zniechęceni. Kridlar wołał ciągle:

— Niechże się dzieje, co chce... my siły nie mamy!

Tuż u wrót zamkowych czekał na nich lud z przewódcami; kilku znaczniejszych kupców domagało się poskromienia, ratunku. Wtem Kridlar im rzucił w oczy, z czem powracał.

— Królowa, a raczej starosta zbył nas czczą obietnicą. My już sami nie wiemy, co poczynać. Musimy chyba wymierzyć sprawiedliwość, na jaką nas stało.

Tu od słowa do słowa, gdy jeden drugiemu poddawał, co czynić, a nikt nie umiał skutecznie zaradzić, umysły się rozogniły i rozpasały tak, że ich żadną siłą powstrzymać nie było można.

W tłumie tym, który niemal całe miasto zalegał jednem jakby ciałem, cokolwiek na drugim końcu ulicy drgnęło, natychmiast z ust do ust przebiegało podawane, odbijając się stokrotnie. Czego oczy nie widziały, ucho chwytało mimowoli. Poczęto krzyczeć naprzód, że rajcy lud wszystek pod ratusz zwołują, ale ten tak dobrze, jak wszystek wypełniał rynek i oblegał ich.

Wiertelnicy dawno już pozamykali bramy miejskie i straże w nich postawiono mocne, z tem, ażeby żywej

duszy nie wypuszczano, boby się winowajca mógł wymknąć.

Tymczasem, jak mi Borowski nazajutrz mówił, bo zawczasu się zawróciwszy, rychło mu się na zamek zbiec udało, królowa słała a słała do pana Andrzeja Tęczyńskiego, zaklinając go, aby co rychlej z miasta uchodził, bo rozszalałe pospólstwo miejskie wprost na życie jego godziło. Prosili go o to wszyscy przyjaciele, Secygniowski, Melsztyński i syn Jan, który z nim był, aby ustąpił, a naówczas jeszcze ujść lub się gdzieś skryć i wysunąć niepostrzeżonemu łatwo było.

Chociaż czeladzi i zbrojnych przy sobie miał niewielu, dumny pan rozgniewany wcale jeszcze ustępować nie myślał, pewien będąc, że się na niego targnąć nie ważą.

Gdy się na niego gotowano i odgrażano, a tłumy zburzone pod ratuszem naradzały się, jak mają ciągnąć i gdzie, aby go ująć, ten tymczasem, drwiąc z mieszczan, wodząc za sobą małą gromadkę, przechadzał się po Brackiej ulicy i dopiero, gdy już huknięto, że gawiedź płynie ogromną kupą, zamknął się dla obrony w domu Keslinga.

Mnie strach ogarnął, bo dokoła natychmiast ozwały się wołania:

— Bij, zabij! krew za krew!

Lud żywiej jeszcze poruszył się zapamiętały, a wskazywano już i krzyczano:

— Na Bracką ulicę! Do domu Keslinga!

Wrzask straszliwy, który tłumy poprzedzał, wrzawa i huk przerażający snać i Tęczyńskiego wkońcu zmusił pomyśleć o sobie; więc prawie w tej chwili, gdy już nadciągali zbrojni, opatrzywszy się, że w domu tym opierać się nie będzie mógł długo, bo był napół drewniany, i alboby go rozwalono lub podpalono — wyrwał się stąd ze swymi, z Secygniowskim, z Melsztyńskim, czeladzią i synem do kościoła św. Franciszka.

Przodem biegnąc, widziałem ich, jak nagle drzwi rozwarłszy, kupą zbrojną wyrwali się i biegiem popędzili ku kościołowi.

Na ostatku zdążał syn Tęczyńskiego, Jan, który miecz długi ciągnął za sobą, a ku ojcu patrzał i wołał coś, ale go posłyszeć nie było można. Zdawał się jakby nieprzytomny.

Postrzegłszy, że do kościoła zdążają, miałem ich za ocalonych, ale ciekawość mnie gnała z nimi.

Jak świat światem, nawet największym zbrodniarzom, którzy się do świątyń i ołtarzów chronili, folgowano... Niepodobna było przypuścić, że zajadłe pospólstwo w kościele go szukać będzie.

Secygniowski, Spytek z Melsztyna i ilu ich tam było, śpieszyli, popychając się, tylko Andrzej kroku nie podwoił ani się oglądał. Jan ciągnął na samym końcu, ja zboku za nim.

Po drodze stało wszędzie dosyć ludzi i widzieli uchodzących, ale nikt się nie porywał.

Przybywszy pod wieżę kościelną, Secygniowski do drzwi przyskoczył, chwycił zamek i otworzył je... Za nim Melsztyński i inni weszli zaraz, wszedł i Tęczyński. Tu było najbezpieczniej pewnie, bo drzwi zawaliwszy mocno, albo wschody w części zburzywszy, można się było trzymać przeciwko tysiącom. Bóg wie, co się stało, dosyć, że Tęczyński, ledwie wszedłszy, nie dał się wstrzymać Secygniowskiemu, nie dał uprosić i wypadł zaraz nazad z jednym Dojszwonem, sługą swoim. Tłumy już, wyjąc, nadciągały, były tuż.

Tymczasem Secygniowski i Melsztyński, słysząc krzyki, zaraz drzwi zawarli, a Jan, syn, w ulicy pozostał sam, bo o nim wszyscy zapomnieli.

Tuż był dwór wdowy Krzaczkowej, którą ja z tegom znał, że mi bieliznę pierała; domeczek nędzny. Żal mi się opuszczonego zrobiło, a tu już gawiedź była na zawrocie; chwyciłem go, niewiele myśląc, za rękaw.

— Chodźcie żywo, skryję was.

Skoczyłem do okna, bijąc w nie.

— Krzaczkowa, na miłość Bożą, odmykaj, a żywo! Poznała szczęściem głos mój, bo się już była za-

warła i koronkę odmawiała, odryglowała drzwi. Miałem tylko czas jej rzec:

— Jeśli Boga kochasz, o żywot ludzki chodzi, ukryj, gdzie chcesz.

Napoły martwe ze strachu kobiecisko ręce łamało. Nie wiedzieć było, gdzie szukać schronienia. Spojrzałem dokoła, piec tylko z czarnemi czeluściami stał otworem. W lipcu oddawna w nim nie palono, wskazałem go Tęczyńskiemu; zawahał się nieco, ale czasu do stracenia nie było, bo już ulicę tłum zbity napełnił. Wsunął się do pieca, a ja co żywiej zawaliłem otwór deską.

O siebie nie miałem się co obawiać, bo mnie barwa królewska broniła i dużo ludzi znało. Zostałem u Krzaczkowej na straży czas jakiś, zalecając, aby, gdy wyjdę, beze mnie nie wypuszczała schronionego, bom się spodziewał skuteczniej go ratować, niż onby mógł, głowę straciwszy.

Dopowiem teraz już ostatka, na który choć nie patrzałem, ale mi go potem świadkowie naoczni dobrze rozpowiadali.

Z wieży wyśliznąwszy się z Dojszwonem razem, Tęczyński wpadł do zakrystji. Zdaje się, że sługa ten prowadził go i miejsce jako najbezpieczniejsze mu ukazał. Nie wiedzieli już sami, co robili. Trwoga straszna opanowała wszystkich, słuchając tego ryku dzikiego, którym się miasto rozlegało. Tłumy oszalałe wyły zemstą i krwi a krwi wołały.

Kościół, każdego innego czasu szanowany, teraz przy tem rozbestwieniu nic nie ważył, ani mógł bronić.

Gawiedź świętości poszanować nie myślała, nie miała ani litości, ani pamięci na to, co czyniła. W gorączce człek nie wie, co mówi, ani co robi, a właśnie tłum biegł taką gorączką uniesiony. Tak samoby był na śmierć szedł, jak śmierć zadawał.

Pokrwawiony Klemens szedł przodem, krzycząc i siepaczów pijanych za sobą prowadził.

— Krew za krew! Bij a morduj! — wołali Wojtek i Teszlar, siekiery do góry podnosząc.

Rozdzielili się napastnicy, bo im jednej ofiary mało było. Część nie przestawała się dobijać do wieży, bo im byle jakiej ofiary trzeba było, aby pragnienie krwi zaspokoić, druga rzuciła się na boczne drzwi kościoła. Nie wstrzymały ich one ani na chwilę, nikt się nie spojrzał nawet, że stał na nich krzyż, który powinien był bronić. Namiętność poganami ich czyniła!

Dojszwon, któremu Tęczyński oddał z prędkości pieniądze, jakie nosił przy sobie, a miało ich być do dwóchset złotych, posłyszawszy huk u drzwi dobijających się oprawców, głowę stracił i nie wiedział, gdzie się skryć, bo w zakrystji kryjówki nie było. Wybiegł z niej w podwórze, ale tu wpadł w ręce ludzi, którzy właśnie, wyłamawszy furtę, wtargnęli.

Schwycili go ci, co przodem szli i poznawszy w nim sługę Tęczyńskiego, mordować, odzienie na nim szarpać poczęli, domagając się, aby im ukazał miejsce, gdzie się skrył pan jego. Dojszwon bronił się zrazu, bełkocąc, wreszcie ze strachu ręką drżącą ku zakrystji wskazał.

Puścili go, popchnąwszy tak, że padł na ziemię, a gawiedź, depcąc, polała się wprost na zakrystję.

Stała tam jeszcze monstrancja z Przenajświętszym Sakramentem z nieszporów przyniesiona, ale i na nią nie zważano.

Tęczyński, innego miejsca nie znalazłszy, za wielką skrzynię, w której ornaty składano, przypadłszy, się schował, ale pleców jego część wystawała.

Natychmiast rzucili się pierwsi na niego, porwali i na rękach wynieśli w pośrodek zakrystji. Tęczyński do miecza się miał, choć mu się z rąk wyślizgał, gdy wtem któryś z przewódców obuchem czy toporem go w głowę ciął tak, że mózg ze krwią trysnął i Tęczyński — Jezus Marjo! tylko krzyknąwszy, na ziemię się zwalił.

Tu go, czem kto miał, kijmi, drągami, nożami i sie-

kierami dokonali. Pastwili się, choć już nie żył. Zakrystja cała stała kałużą krwi.

Z krzykiem i wrzaskiem potem okrutnym, z urągowiskami szpetnemi wywleczono trupa stąd za nogi.

Chłopiec od rzeźnika sznury do niego przywiązał, zaprzęgło się ich kilku i śpiewając a wrzeszcząc, powlekli tak rynsztokami ciało, głową po błocie, aż pod ratusz. Tu je panom rajcom cisnęli pod nogi.

Końca tego onej tragedji świętokradzkiej a nieludzkiej naocznym świadkiem nie byłem; zakryłem sobie oczy, gdy trupa wleczono, a wkoło niego co najgorsi z pospólstwa biegli, błotem ciskając, plwając i naigrawając się.

— Ot tobie! Masz za swoje, zbójco!

Nie dosyć było jeszcze na tem tłumowi pijanemu, bo pewnie połowa zbójów nie była przy zmysłach. Gdzie po drodze browar i szynk się trafił, chwytali konwie i pili. Wynoszono im ze strachu.

Około wieży cały obóz się położył, oblegając ją, choć księża wyszli, wzywając do opamiętania. Nie pomogło nic, żartowano z nich bezwstydnie.

Do godziny piątej rano ciągle łamano drzwi żelazem okute, które się im opierały; a gdy się znużyli potem, nie ustąpili z miejsca i straż stała ciągle.

Secygniowskiemu, który oknem wyglądał, zapowiadano los, jaki spotkał jego przyjaciela.

Nazajutrz, przez cały dzień, choć już szturmów przypuszczać poprzestano, oblężenie nie ustawało... aż rajcy się w to wdali, przyszli sami, i bezpieczeństwo życia poręczając, zabrali ich z sobą pod strażą na ratusz, skąd trzeciego dnia, zagodziwszy jako tako, wypuszczono.

Szczęściem dla Jana, któregom ja u Krzaczkowej schował, nie opatrzono się wcześniej, iż go na wieży nie było; sądzono, że z Melsztyńskim i Secygniowskim razem się tam ukrywa. Ja tymczasem w ulicę śmiało wyszedłszy, rozpatrywałem się.

Jeszcze raz starej gospodyni zaleciwszy, aby go beze mnie nie śmiała wypuszczać, pobiegłem do bliskiego

narożnego domu kanonicznego, który natenczas tuż pod zamkiem trzymał jeszcze ks. Jan Długosz starszy.

Znałem go dawno, że serce miał litościwe, a oprócz tego sprzyjał Tęczyńskim. Byłem pewnym, że go zastanę na nogach, na modlitwie może, bo nocy tej mało kto w mieście spał. Obawiano się wszystkiego. Dzwon na wieży u Panny Marji ciągle na gwałt jęczał.

Gdym wpadł zdyszany, chłopię mnie ledwie chciało dopuścić do pana. Na hałas u drzwi wyszedł dopiero sam ksiądz Jan, z różańcem w ręku, z twarzą surową i namarszczoną, jaką zwykle miał. Dobrego serca był mężem i umysłu wielkiego, ale w duszy goryczy dużo nosił i z ust mu się wylewała rada, nikogo nie szczędząc. Poznał mnie, czy przypomniał sobie, że u ks. Kantego widywał.

— Czego chcesz? dlaczego się dobijasz? co wśród tych pijaniców robisz? — krzyknął na mnie. — Czy to tu miejsce dworzaninowi i słudze królewskiemu?

Wtedy ja, ośmieliwszy się, wołać począłem, że dla miłości Chrystusa proszę, aby mi z sobą chwilkę pozwolił pomówić na osobności.

— Ojcze — dodałem — o żywot ludzki chodzi!

Nie mówiąc słowa, zawrócił, prowadząc do izby, w której pracował, a gdzie się obrócić było trudno dla ksiąg pulpitów i papierów, co ją zawalały.

W krótkich słowach opowiedziałem mu, com uczynił. Zdumiał się i błogosławiąc, krzyżyk mi nad głową uczynił.

— Ojcze — rzekłem — rady innej niema; chcemyli życie młodszemu ocalić, ja go tu przyprowadzić muszę, a stąd pogodniejszej chwili na zamek lub za miasto.

Na myśl mi przyszło, żeby mu opończę czarną księżowską i biret, jaki klerycy i księża naszali, zanieść, i tak odzianego przyprowadzić do domu ks. Długosza. Nie było też do wyboru nic innego. Zwinąwszy węzełek, pobiegłem z nim do Krzaczkowej.

Gdy się do pieca zbliżyłem, wywołując go stamtąd, pierwsze słowo, którem od niego usłyszał, było:

— A ojciec! ojciec! co z nim?

Nie chciałem mu serca zakrwawiać i szepnąłem:

— Nie wiem, a no pewnie się uratował ucieczką.

Oznajmiłem, że Długosz w swym domu czeka na niego. Nie wahał się długo, wyszedł do niepoznania osmolony sadzami, miecz swój ogromny w piecu porzuciwszy. Nałożyłem mu biret i opończę i pod rękę wziąwszy, wyciągnąłem go z sobą.

Nie było daleko od dworku Krzaczkowej do kamienicy kanonicznej, ale nigdy mi się w życiu droga nie wydała dłuższą nad tę.

Chociaż co najzajadlejsze pospólstwo pod ratuszem się znajdowało, nie brakło i tu oszalałych, pomiędzy którymi przechodzić musieliśmy, niemal ich potrącając.

Tęczyński szczęściem czy nie słyszał, czy nie zrozumiał krzyczących na całe gardło a rozpowiadających o tej zemście krwawej. Nikt po drodze nie zaczepił nas, i gdy stanęliśmy przed otwierającemi się skwapliwie drzwiami domu księdza, odetchnąłem lżej. Wpuściłem go wewnątrz, a że mnie już tu nie było co czynić, ku zamkowi pośpieszyłem.

O sobie, z jakim szwankiem na ciele i duszy z tej gorącej łaźni wyszedłem, mówić zaniecham. Stłuczony, zbity, ogłuszony, strwożony tem, com oglądał i przebyłem, rankiem już dobiłem się do furty, a potem do swoich.

Marjanek i Zadora opłakiwali mnie już, nie widząc powracającego, i sądzili, że mnie też tam nieszczęście jakie spotkać mogło, a Zadora się już na zwiady wybierał.

Opadli mnie z krzykiem i radością całym widząc, abym im mówił, co się ze mną działo, ale z przyczyn wielu całkiem się im spowiadać nie chciałem. Niemiło mi było chwalić się z tego, co było więcej dziełem przypadku, niż mojem, a wreszcie na dworze taka niechęć była do Tęczyńskich, żeby mi to może wyrzucano, com z powinności chrześcijańskiej spełnił.

Dopóki na mieście gorączka ta trwała, nie miarkował nikt, co z tego jeszcze dla miasta i rajców wyniknąć może; dopiero gdy dnia trzeciego, po wydaniu trupa, który na ratuszu przez ten czas leżał, wszyscy poczęli potrosze ostygać, opatrzyli się panowie radni i miasto całe, że za tę chwilę wściekłej zemsty a wypitą krew drogo przyjdzie przypłacić.

Fraszkaby byli Tęczyńscy sami, choć i tych siła się znajdowała a możnych i wielkiego znaczenia ludzi, ale wszyscy powinowaci ich, a dalej ziemianie i rycerstwo tak ziemi krakowskiej, jak i innych, porwali się na wieść o zabiciu Andrzeja jako jeden człowiek, miotając się i wołając, że nie będzie li przykładnej zemsty i kary srogiej, wszyscy precz pójdą od króla z obozów, z wojska, nie chcą służyć i bronić takiego kraju, gdzie poszanowania dla rycerstwa, przelewającego krew swą, nie było.

Powstało larum ogromne i groźby a narzekania straszne, czemu zniechęcone duchowieństwo wtórowało.

Do króla, który na owej wojnie pruskiej trwał, a końca jej widać nie było, poszły ze wszech stron doniesienia, żale, groźby. Pojechali Tęczyńscy sami, nie tak, aby żałobę zanieść, a raczej, aby w obozie rycerstwu krzywdę opowiadając, przeciw królowi je zniechęcić i podburzyć. Głośno się z tem odzywali, że za żadnego panowania mieszczaństwo tak rozzuchwalone nie było, a nie kto inny, tylko oboje królestwo do tego je przywiedli, przeciwko ziemianom starając się pozyskać.

Na zamku niepokoju zażyliśmy wielkiego; królowa zwłaszcza, choć pani mężna, bolała nad tem, iż małżonkowi, już i tak obarczonemu, trudności to nowych przyczyni.

Miał on ich i bez tego dosyć, bo się jeszcze toczyła i ta sprawa o biskupstwo krakowskie, w Prusiech pokoju nie było, ziemianie podatków na wojnę odmawiali, a tu przyszło jeszcze dla utrzymania rycerstwa w obozie porękę dawać, iż kara będzie domierzona

przykładna. Inaczej rycerstwo się już gotowało, króla porzuciwszy, nazad do domów powracać.

I mogę to powtórzyć tu, com niejeden raz naówczas słyszał z ust samego pana, a co prawdą było i nierychło nią być przestało, że w Polsce nie było króla, któremuby cięższe przypadły rządy nad niego.

Nim król nadjechał i sprawa się przed nim mogła wytoczyć, już ją stokroć rozebrano i osądzono na rynku w Świdnickiej piwnicy, w Sukiennicach i w ulicach.

Klemens, niedługo czekając, nie mówiąc nikomu nic, warsztat swój porzuciwszy, na konia siadł i do Włocławiu, drudzy mówili, że do Żegocia, gdzie rodzinę miał, odjechał, sądu nie czekając. Inni też na Śląsk i do Węgier pousuwali się, ale rajcom, mającym kamienice, sklepy, handel, uchodzić było niepodobna, choć się głową nałożyć obawiali.

Z ludzi poważniejszych nikt do tego morderstwa ręki nie przyłożył, to pewna, najnędzniejsza gawiedź tem okrucieństwem się zmazała; ale ratusz milczał i nic nie radził, a dał się ludowi rozpasać.

Tęczyńscy głosili, że chcą mieć pomstę tak okrutną, jak była zbrodnia.

Zabiegano wcześnie na zamku i u ludzi, którzy do króla przystęp mieli, aby gniew pański złagodzić; ale nie było nikogo, coby się pośrednictwa podjął, a duchowieństwo teraz scholastyka i kanonika ściętych wypominało i głosiło, że za nich też krwawa pomsta się należy, a Bóg sam ją weźmie.

Sprawa więc dla mieszczan źle stała zawczasu, a ci, co się o życie nie obawiali, wiedzieli, że mieszkiem przypłacą, bo zbójcy grosza nie mieli, a co bogatsze mieszczaństwo ogromną główszczyznę złożyć musiało. Na dziesiątki tysięcy grzywien zawczasu ją liczono.

Króla powrót poprzedziła obietnica, że po przyjeździe swym sąd złoży i winnych ukarze. Czekali na to Tęczyńscy, a co w początkach po pogrzebie Andrzeja nikt się z nich w mieście nie pokazywał, w kilka niedziel wjechał w kilkadziesiąt koni sam cały kirem

odziany, ludzi i wierzchowce w czerni, pan Jan, Andrzejów syn, w biały dzień, ciągnąc do swojej kamienicy pod kościołem św. Michała.

Znać było, iż się już nie obawiał niczego.

Jak na dane hasło potem zewsząd się ściągać poczęli panowie z Tęczyna dla narad z nim, ale na zamku u królowej żaden się z nich nie ukazał.

Spotkawszy się z ks. Janem Długoszem przy zamkowym kościele jednego dnia, gdym mu się zdala pokłonił, palcem mnie ku sobie wezwał.

— Mówił mi pan Jan z Tęczyna — rzekł, — że radby waszmości widział i wdzięczność mu okazał za to, żeś mu życie ocalił. Cóżeś to tak dumny, że zajrzeć do niego nie chcesz, wiedząc, iż w mieście jest?

— Nie przez dumę to czynię — rzekłem, — ale żebym posądzonym nie był, iż za dobry uczynek choćby dobrego słowa żądam. Com spełnił, to dla miłości Chrystusa i z serca, nic mi się nie należy.

— Poczciwieś powiedział, — odparł mi kanonik — wszakże, gdy się komu dobro świadczyło, nie trzeba go upokarzać łaską. Idź wasze do niego, o zdrowie spytaj i pokłoń się. Choć królowi służysz, za złe ci tego nie wezmą.

Pokłoniwszy się, odszedłem, nie mówiąc nic, ale w duszy inaczej myślałem i iść mi się nie chciało. Wtem tegoż samego dnia, ulicą idąc, słyszę za sobą sykanie... obracam się, stoi pan Jan z Tęczyna w progu domu i znaki mi daje. Mimo woli przez myśl mi przeszło, jakim go teraz widziałem stojącym dumnie, a naonczas, gdy do pieca u Krzaczkowej sadzałem.

Nie było sposobu, podszedłem z wesołą twarzą i pokłonem.

— Cóż to wy mnie znać nie chcecie! — zawołał. — Myślicie, że serce mam niewdzięczne? Jako żywo. Prosiłem Długosza, aby was do mnie nagnał, radbym się za żywot wypłacić, boście mi go przy łasce Bożej ocalili.

Przerwałem szybko:

— Dobrzeście rzekli; Bóg to sprawił, a jam był narzędziem jego łaski, i sobie nic nie przyznaję; a proszę

was usilnie, abyście mi dobrego uczynku nie psowali myślą o jakiemś wynagrodzeniu.

Zdumiał się trochę i wchodząc do dworu, za sobą mnie pociągnął, na sługi wołając, aby wina przyniesiono. Kazał mi tedy przy sobie za stół siąść i pytać począł o pochodzenie moje, o służbę, co zbyłem krótkiemi słowami, opowiadając, żem u króla w opiece był. Wstał zaraz potem i przyniósłszy łańcuch wagi niemałej, cisnąć mnie zaczął i przynaglać, abym go wziął jako upominek, nie dla szacunku jego.

Broniłem się, jakom mógł, aż gdy gniewać się począł już, musiałem, nie obrażając go, przyjąć.

Zaraz potem począł rozprawę o tej nocy strasznej, o losie ojca, i rozgorzał cały, gdy przyszło do tego, jakiej pomsty Tęczyńscy żądać będą.

— Nie gawiedź pijana winna — rzekł zapalczywie, — bo ta głupia pędzi na głos swojego pastucha, na głos dzwonu, na lada wrzask; winni rajcy, którzy, zamiast hamować, bramy pozamykać kazali i na gwałt w dzwon uderzyć.

Mówiąc, to bladł, to czerwieniał, a trząsł się, gdy zaś ojca wspominał, łzy mu po twarzy ciekły, że ich powstrzymać nie mógł.

Zbierałem się odejść, podziękowawszy i wysłuchawszy, gdy wóz się zatoczył przed dwór, a tuż do komnaty wpadła kobieta w czerni cała, po czem poznałem, że do Tęczyńskich należała, a z nimi powinowaci, przyjaciele i co było ziemian i rycerstwa, które z nimi trzymało.

Nie spostrzegłem twarzy, gdy wchodziła, ale głos posłyszawszy, struchlałem. Poznałem bowiem w niej tę, która mnie prześladowała. Ona też twarz ku mnie obróciwszy, gdy zobaczyła stojącego za stołem, zbladła, jak chusta i usta jej drżeć zaczęły. Zwróciła się do gospodarza, jakby go pytać chciała, co ten człowiek tu znaczył i robił.

Jan z Tęczyna, uprzedzając pytanie, rękę ku mnie wyciągnąwszy, odezwał się:

— Oto jest ten dworzanin królewski, który mi życie ocalił.

Długo przyjść do siebie nie mogąc, patrzała to na mnie, to po izbie, tylko oddech jej ciężki słychać było. Mnie też uchodzić się chciało co rychlej, a nogi miałem jakby do ziemi wrosłe. Jużbym był odszedł, gdy namarszczoną twarz swą i oczy groźne ku mnie obróciwszy, odezwała się:

— Coście to za jedni?

Tak, jakgdyby nie znała mnie wcale. Nie wiedziałem, co powiedzieć na to, i milczałem, gdy ona oczyma temi i wejrzeniem ciągle mi się grozić zdawała.

— Sierotą jestem — odezwałem się po namyśle — bez ojca i matki. Bóg jeden wiedzieć raczy, ażali on sam mnie uczynił nim, odbierając rodziców, czy oni się mnie nielitościwie zaparli. Miłosierdziu tylko króla a pana winienem, żem żyw i nędzy nie znoszę, a w służbie jego zostając i mając opiekę, już się tak wielkim sierotą nie czuję.

Posłyszawszy wzmianę o królu, niewiasta brwi namarszczyła srożej jeszcze, twarz jej pobladła, rękę, którą na stole trzymała, ścisnęła i uderzyła nią.

— Nie wierzcie królowi — poczęła gwałtownie. — Psy mu myśliwskie pewnie milsze, niż ludzie; jeśli się na jego łaskę spuścicie, niewiele wskóracie. Znamy go dobrze wszyscy: miłuje łatwo, zapomina prędko.

Nie dając jej mówić, wziąłem gorąco króla w obronę.

— Nie godzi mi się nawet słuchać — odezwałem się — nic przeciw panu swojemu, bo nietylko dla mnie, ale dla wszystkich najlepszym jest zawsze. Psy swoje miłuje, ale mu przez to i dla ludzi serca stanie, bo go ma wiele.

— Serca! — przerwała krzykliwie, śmiejąc się — nigdy on go nie miał, nigdy!

Chwilę małą pomyślawszy, głosem zmienionym, niespokojnym, żywo mówić do mnie poczęła:

— Króla miłujecie!? A on was, mówcie?

— Nie mogę się skarżyć, — odezwałem się — małym dla niego jestem; ma on większe na swej głowie i ramionach brzemienia, a przecież kiedy niekiedy i o mnie spyta i o sierocie pamięta.

— Los wam wielki przyrzeka? — zapytała.

— Anim ja go żądny, ani mi król obietnic nie czynił żadnych — rzekłem. — Naco mi lepszy nad ten, gdy przy panu zostanę w służbie i życie mu moje poświęcę.

Zarumieniła się mocno jej twarz.

— Ocaliliście życie Janowi, — przerwała — Tęczyńscy wdzięczni być umieją. Rzućcie dwór króla, Jan was weźmie do boku i rychlej u niego co zyskacie.

Pokłoniłem się milczący, lecz mogła z twarzy mojej czytać, że mnie namowy żadne od króla odciągnąć nie potrafią. Ścigany strasznym wzrokiem tej niewiasty, pożegnawszy gospodarza u drzwi, uszedłem co najrychlej, taką czułem trwogę i niebezpieczeństwo.

Dopiero kawał drogi ulicą odbiegłszy, lżej odetchnąłem, Bogu dziękując, żem się cało wyrwał.

Roku tego zmarła stara królowa Sonka, ruska księżniczka, do późnego wieku zdrowa i krzepka, a zawsze czynna jeszcze, którą sprawy krajowe i domowe tak obchodziły, iż się nic nie stało, o czemby nie wiedziała, rady nie dawała i udziału nie wzięła.

Przywiązana do syna, do synowej i wnucząt, ciągle się niemi zabawiała. Z owoców dostawszy febry, gdy Gaskiewicza, ani z lekarzy żadnego słuchać a lekarstw przyjmować nie chciała, choroba i wiek górę wzięły.

Do króla musiano słać po rozkazy około pogrzebu, ciało w kościele św. Michała złożywszy, a że on sam zjechać nie mógł tak rychło, pochowano ją w kaplicy, którą ona sama kosztem swoim zbudowała. Mówiono, że w spadku synowi, okrom niewielu klejnotów, długi tylko zostawiła.

Króla tymczasem wstrzymywały zdradziectwa onych miast pruskich, które to mu się poddawały, to na stronę krzyżaków przechodziły, i nierychło powrócił,

a naprzód musiał zająć się sprawą mieszczan krakowskich, o którą Tęczyńscy i całe rycerstwo nalegało.

Oprócz tego król trafił, powracając, na umysły przeciwko sobie poburzone okrutnie z powodu tej sprawy o biskupstwo krakowskie, o którem wyżej było. Starły się z jednej strony opór żelazny duchowieństwa, z drugiej niezłomna wola króla.

Kanonicy wszyscy wołali głośno, iż męczeństwa pragną i gotowi są na nie, wywołać je chcieli, a król znał sługi gotowe, co się nie wahali targnąć na kapłanów.

Dnie to były smutku i żałoby.

Z kapituły którzy się najwięcej i najgłośniej opierali Pieniążek, starosta krakowski, pachołkom swym kazał pochwycić i z miasta precz wyświecić. Nie było litości z jednej strony, a z drugiej bodaj żądano, aby na widok gwałtu lud się przeciwko królowi zburzył.

Nie patrzałem na to, ale miasto całe rozpowiadało potem i nie mogło się ukoić, gdy kanonika Krzyżanowskiego, Mikołaja Bohdana, wikarjuszów kilku i misjonarzy pachołkowie, z ich domów wypędziwszy, jak stali w komżach i almacjach przez miasto, gdyby zbrodniarzy, pędzili.

Lud się tłumnie zbiegał i towarzyszył im aż za wrota, nie mogąc zrozumieć, za co wyświeceni być mieli, a wszelkie ich mienie rozgrabione. Ale na króla jednakże mało kto co rzekł, bo miarkowano łacno, że bez wielkiej winy nigdyby takiej kary nie wymierzył.

Sprawa mieszczan, jakem się mógł przekonać, nie tyle króla obchodziła, co biskupia. O tej, gdy go zagadnięto, choć krwi zimnej nie tracił nigdy, oczy mu się zaostrzyły, a z ust zawsze jedno wychodziło:

— Taka jest wolą moja, musi być tak, nieinaczej.

Im opór kapituły rósł więcej, tem król mocniej stał przy swojem.

Pieniążkowi nie rzekł nic, gdy mu z zażaleniem na niego doniesiono, iż pachołkami kanoników z miasta wyświecał. Myślano, że nagani — zmilczał.

Do tych, co się królowi przypochlebiając, najraźniej mu do wszystkiego służyć gotowi, na nic się nie oglądając, należeli dwaj z Kurozwęk: Stach i Dobek.

W sobotę wieczór, zaledwie król przybył i do królowej naprzód szedł, bo się dla ulżenia sercu naprzód przed nią musiał uskarżyć i rozmówić o wszystkiem, co go spotykało, obaj Kurozwęccy zjawili się na zamku.

Król wyszedł do nich. Wpadło mi w ucho, gdy starszy z nich parę razy nazwisko ks. Jana Długosza z niechęcią jakąś wymówił. Nastawiłem ucha pilniej.

Mowa była o tych, których Pieniążek wygnał z Krakowa, a Stach z Kurozwęk dowodził, że ci daleko mniej byli winni, niż Długosz, wychowanek i ulubieniec nieboszczyka kardynała, który wszystkich podżegał, do oporu zachęcał, na pamięć im przywodził, jak w podobnych razach Oleśnicki stałością swą nieulęknioną zwyciężał.

Król milczał posępnie.

Nalegali obaj Kurozwęccy, iż póty się duchowieństwo nie podda, aż na Długoszu król przykład uczyni i równie go z innymi ukarze.

Posłyszawszy to, a znając pana, iż mu w tej sprawie biskupiej na sercu leżało, aby zwyciężył, nie wątpiłem już, że Kurozwęccy dostaną polecenie jego też z miasta, z kamienicy i z tego, co trzymał, wyrzucić.

Żal mi się wielki stał, bom szanował człowieka tego. Znano go, jako niezbyt królowi chętnego; wiedziano, że Tęczyńskiemu dał przytułek, wszystko to groźnem się zdawało. Nie myśląc długo, wyprosiłem się u ochmistrza dla zmyślonej potrzeby na miasto. Nigdy mi nie zbraniano tego, bom też nie nadużywał swobody.

Dom kanoniczny był blisko tuż; pobiegłem do niego. Pewien byłem, że zastanę Długosza nad księgami lub modlitwą. Poratować go nie było w mej mocy, ale przestrzec czułem obowiązek.

Zobaczywszy mnie u siebie o tej porze niezwykłej, rozśmiał się smutnie. Położył pióro, z którem siedział nad księgą, i, zwracając się ku mnie, spytał, czy znowu dla kogo schronienia nie potrzebuję?

— Nie, ojcze mój — rzekłem — a nawet może zdradę popełniam teraz, wynosząc z zamku, com przypadkiem usłyszał, ale mi Pan Bóg grzech ten przebaczy.

Spojrzał na mnie ostro i głową potrząsł.

— Mów jaśniej, — rzekł — czas drogi!

W krótkich słowach zamknąłem opowiadanie moje. Słuchał, nie mrugnąwszy, nie okazując ani zdziwienia, ni przestrachu, patrzał w ziemię.

Gdym skończył, zwolna głowę podniósł i oczy.

— Dawno się tego spodziewałem — rzekł spokojnie, — ani to mnie minąć mogło. Bóg zapłać za dobrą wolę twoją, chłopcze, bo przynajmniej papiery a księgi w bezpieczniejsze miejsce ukryję. Zresztą nie pożywią się u mnie. Skarbów nie zbierałem i nie mam ich. Księżowskie mienie w kościoły i na bursy poszło, jak było powinno.

Ramionami poruszył.

— Lepiej może do nowego grzechu im nie dawać pobudki i z oczów zejść.

To mówiąc, wstał, spojrzał na stół i księgi, jakby mu je żal było rzucać, westchnął i podszedłszy ku mnie, za głowę ścisnął, błogosławiąc:

Powróciłem co żywiej na zamek, z własnem sumieniem się spierając, czym dobrze uczynił i za czyją stroną ono przemawiało.

Nazajutrz, przebudziwszy się, gdym ochłonął, wyrzucałem to sobie, iż darmo Długosza nastraszyłem, albowiem nie mogło to być, aby na tak powszechnie szanowanego człowieka targnąć się miano.

Aliści południa nie doczekawszy już, na zamek przyniesiono skargę, iż Kurozwęccy dom kanoniczny Długosza złupili.

Król na to rzekł krótko i surowo:

— Na gorszą karę zasłużył!

Zrozumiało wreszcie duchowieństwo, że króla nie zmoże, zawsze jednak jeszcze na Rzym się oglądało. Kazimierz milczał, bo też posłów tam i pisma od siebie wyprawił.

Sąd na mieszczan naostatek został zwołany. Przez królowę zawczasu starali się u króla o miłosierdzie, nie mógł jednak ani chciał folgować istotnie winnym, a i rycerstwo zniechęcone trzeba było na nowo pozyskać.

Kazał im powiedzieć tylko, że nastawać na gardło nie będzie nikomu, ale od sprawiedliwości nie może winnych osłonić.

Z tych część jakaś dawno uszła z Krakowa. Klemensa nie było. Oprawców nikt nie myślał oszczędzać, szło o rajców.

Na zamku się toczyła sprawa, a w mieście, choć zbiegowiska nie było żadnego, niepokój panował i trwoga straszna. Od wyroku królewskiego nie było już odwołania, chyba do Boga.

Rajców wszystkich ocalić nie było podobna, instygowali na nich Tęczyńscy za zwołanie ludu, bicie we dzwony i zamykanie bram.

My, cośmy na zamku byli, do końca nie wiedzieliśmy, na kogo padnie wyrok.

Z trwogą oczekiwano.

Na zamku radzono, pisano, biegano, wstawiała się królowa, ale Tęczyńscy pilnowali i nalegali, król pobłażać nie mógł.

Po Trzech Królach w sobotę wreszcie pan nasz z dekretem posłał do ratusza kasztelana kaliskiego, Mikołaja Skórę z Gajów i Pieniążka z Witwic, starostę.

Sądzeni jako winni, bo na nich przysięgą instygował Jan Tęczyński, który widział, jak ścigali ojca jego, byli z poselstwa: Jan Tesznar Wolfram, kuśnierz, malarz Wojciech, Szarlang, który ostrogi robił, i Mikołaj, dowódca wiertelników miejskich; a z rajców, co się najgłośniej odzywali i ruszali: Konrad Lang, Leymither, Szarlej i Marcin Bełza.

Pięć dni trwało, nim do wykonania dekretu przyszło; tymczasem im spowiadać się i żegnać z rodzinami dozwolono.

Przez ten czas poruszono wszystkie sprężyny, aby u Jana Tęczyńskiego wyprosić zwolnienie kary.

A tu okazało się jawnie, jaką Tęczyńscy żywili niechęć do króla i królowej. Z rajców najmniej albo i całkiem winnym nie był Mikołaj Szarlej. Padano do nóg królowi, aby on się wstawił za nim, sam uczynić tego nie mógł. Tknięta łzami i błaganiem królowa poruszyła się mocno i postanowiła iść, a prosić za nim starostę rabsztyńskiego.

Widok był osobliwy i serca dla królowej pozyskujący, gdy pani ta pieszo z małym dworem sama poszła do dworu Tęczyńskich za Szarlejem prosić. Spodziewano się, że niewieście, królowej, Tęczyński nie potrafi odmówić. Ale stało się przeciwnie.

Starosta przyjął królowę zimno, z poszanowaniem, ale niewzruszonym całe umysłem, właśnie dlatego może nie chcąc przebaczyć Szarlejowi, aby okazać, że króla i królowę niewiele sobie waży.

Odrzekł dumnie, iż krew ojca ma do pomszczenia i odpuścić nie może tym, co się do przelania jej przyłożyli. Napróżno powtarzała prośby swe królowa, stał niemy, nie dał się przebłagać.

Było to ostatniego dnia przed spełnieniem wyroku.

Gdy królowa zmieszana, ze łzami na oczach na zamek powróciła, wyszedł naprzeciwko niej Kazimierz, a nie pytał nawet o skutek, tak był pewien, iż nic nie otrzyma.

Zniósł to ze swoją zwykłą obojętnością; zamknęli się potem oboje i nierychło wyszedł król z twarzą spokojną.

W mieście królowę wynoszono, a na Tęczyńskiego wszyscy bili, iż się okrutnym okazał.

W piątek piętnastego stycznia wyprowadzono winowajców pod kościół św. Michała przed kamienicę Tęczyńskich, w której progu stał syn zabitego, otoczony tłumem powinowatych, krewnych i przyjaciół.

Tu wśród szlochania i płaczu ludu, który się zszedł na to smutne widowisko, Piotr Waszmut, sędzia sandomierski, wyrok głośno odczytał.

Domagał się starosta rabsztyński, aby tuż przed je-

go domem spełniono na nich wyrok, ale przeciwko temu król się oświadczył.

Pospólstwo i tak przyprowadzone było do rozpaczy, obawiano się rozruchu, a wiedzieli świadomsi, że się zmawiano gromadnie na kata wpaść, winowajców odbić. Kto wie naówczas, jakby się ta krwawa historja zakończyła.

Pomimo nalegań Tęczyńskiego, odprowadzono na zamek Konrada Langa, Leymithera, Szarleja, malarza Wojciecha, Szarlanga i Mikołaja rotmistrza, i tych pod jedną z wież zamkowych, którą zowią Dorotką albo Tęczyńską, oprawcy ściąć dano.

Ciała ich potem król kazał miastu oddać i pochowano je razem w jednym grobie u Panny Marji.

O tej sprawie dlatego się tak szeroko rozpisał, bo ona nie pozostała bez skutków i zostawiła po sobie w sercach i umysłach niezatarte ślady; na mój zaś własny los, czego się nigdy spodziewać nie mogłem, wpłynęła boleśnie, jak to zaraz opowiem.

Król, do Tęczyńskich dawniej serca nie mający, zachował żal za lekceważenie pani, która nadaremnie błagała; królowa także im tego darować nie mogła, zwłaszcza, gdy innym, jak Bełzie, przebaczono, na wieży ich tylko w Rabsztynie wytrzymawszy.

Triumfowali panowie z Tęczyna, że się stało po ich woli, grzywny też wielkie ściągnęli z miasta, ale pomiędzy nimi a mieszczaństwem na wieki była niezagodzona nienawiść.

Gdy się to działo dni onych, mnie przypadło z jednym z dworzan królewskich, szlachcicem z Rożyców, któremu imię było Jacek, o mało co się zwaśnić. Pół żartem, pół naprawdę zelżył mnie, wyrzucając sieroctwo i pochodzenie moje, za co policzkiem się zaraz wypłaciłem. Przypadli drudzy, aby bójce zapobiec; rąbaliśmy się potem, podali sobie ręce, bo Zadora przykazał, a co on zawyrokował, to się zawsze spełnić musiało.

Jacek Rożyc, choć pozornie przejednany ze mną, onego policzka darować mi nie mógł. Chłopiec był

usłużny i zręczny i umiejący się królowi tem przypodobać, że psy pańskie karmił, a one go nad podziw znały i lubiły. Przebiegły był, umiał z tego korzystać. Brano go na łowy dla psów, a on do pana się cisnął i dobierając chwili, gdy sam był, odniechcenia mu różne rozpowiadał rzeczy, któremi sobie usłużył, a drugim mógł zaszkodzić. Miano na niego posądzeń dosyć, iż z językiem biegał na tych, do których miał urazę.

Niebardzom się go obawiał, ani wystrzegał, bom w łasce pańskiej miał ufność wielką.

Tymczasem, jak się to później odkryło, do Niepołomnic z królem pojechawszy, Rożyc mój, który wiedział, nie wiem skąd, żem ja starostę rabsztyńskiego do pieca sadzał, że za to od niego łańcuch dostałem, a nawet żem ks. Janowi Długoszowi wieczorem dał znać, iż na niego Kurozwęccy intrygowali — wszystko to królowi wyśpiewał.

Pan nasz właśnie za żonę był na Tęczyńskiego zażalony, a Długoszowi przebaczyć nie mógł, bo mu przypisywano wszystek opór kapituły, która go słuchała i szanowała, jeszcze z czasów kardynała będąc do tego nawykłą.

Powróciwszy z Niepołomnic, król, gdym mu się na oczy nastręczył, nie rzekł mi nic, ale też, przeciw zwyczajowi swojemu, nie dał mi dobrego słowa, ani wejrzeć chciał na mnie. Lecz że tych czasów trosk miał wiele i chmurny chodził, nie zważałem na to.

W parę dni potem ochmistrz, starszy nad nami, wołać mnie każe do siebie. Lubiał mnie dosyć. Tylkom wszedł, spojrzałem mu na twarz, którą miał zawsze przezroczystą taką, iż w niej czytać było można, zmiarkowałem zaraz, iż coś złego nade mną zawisło.

Milczał chwilę, włosy pocierając.

— A co, Jaszku, — odezwał się zwolna — niedobrą ci wieść mam zwiastować. U króla łaskę straciłeś!

Załamałem ręce.

— Tak jest — dodał. — Wiesz, że u pana naszego co raz rzecze, to nieodwołalne. Wie król, żeś się wmieszał z Tęczyńskimi do zwady z mieszczanami

i starostę ratował, żeś od niego łańcuch dostał, żeś ks. Długoszowi biegał donosić, co tu o nim na zamku mówiono. Dziś z rana nakazał mi król, abym cię ze dworu odprawił.

— Ma on przyjaciół snać dosyć, opieki mojej nie potrzebuje. Wypłaćcie mu żołd, dajcie na drogę i niech nie przychodzi mi na oczy, ani żegnać się ze mną. Niech sobie idzie, kędy chce, wiedzieć o nim nie chcę.

— Wstawiałem się za wami, — mówił dalej ochmistrz — ale napróżno. Pan słuchać nie chciał. Sam winieneś, Jaszku, sam... a straciłeś więcej, niż myślisz.

Łzy mi się z oczów polały, stałem niemy. Wiedziałem i ja, że ten wyrok był nie do odwołania, i domyślałem się, komu go byłem winien.

W jednej chwili z bezpiecznego żywota pod skrzydłem pańskiem przechodziłem do najstraszniejszego sieroctwa i niedoli. Wiedzieli wszyscy, żem u króla na opiece był, precz odpędzony nie mogłem się spodziewać, aby mi kto dał przytułek. Musiano mnie posądzić o to, żem się łaski pańskiej stał niegodnym. Nawet gdybym winnym był, kara mnie spotkała nad miarę ciężka.

Mogłem ci, korzystając z niełaski króla, do Tęczyńskich iść, a byliby mnie chętnie, naprzekór jemu przygarnęli, alem tego uczynić się wzdragał. Pochlebiałem sobie, że się król później ulituje nade mną.

Z żołdu, który mi wypłacić miano, wprawdzie przez czas jakiś żyć mogłem, a w ostatnim razie i ów nieszczęsny łańcuch starosty sprzedać, ale wszystko to nie starczyło.

Coś postanowić, życie jakieś nowe rozpocząć trzeba było, a nie wiedziałem dokąd i jak się obrócić. Powołania w sobie nie czułem naówczas żadnego.

Wyszedłszy od ochmistrza, wprost do izby naszej powlokłem się, aby zabrać węzełki moje, bom wiedział, że tu mi długo pozostać nie dadzą.

Ludzie zaraz podpatrzyli, że ściągam rupiecie i chodzę, jak struty. Dowiedział się Zadora i jak burza

wpadł. Rzuciłem mu się na szyję, opowiadając, co mnie spotkało.

— Sprawa to Rożyca, — rzekł — niema co nawet jej dochodzić. Już my mu tu, mimo jego psich umizgów, taką łaźnię zgotujemy, że jej długo nie strzyma. Ale co to wam pomoże, iż on stąd wyleci.

Co z sobą myślisz czynić? — zapytał Zadora.

— Uderzyło to we mnie, jak piorun niespodzianie, — odpowiedziałem — myśli zebrać nie miałem czasu. To tylko wiem jedno, iż za Tęczyńskich ukarany, choć do nich serca nie mam, nie udam się ku nim. W mieście będę szukał sobie chleba kawałka, bakałarstwa, pracy jakiej, a bodaj się i rzemiosła uczyć.

Zakrzyczał Zadora na mnie:

— Gdybyś się tego dopuścił, znaćbym cię nie chciał! Możesz u szlachcica rycersko służyć jako zaciężny; a gdy raz ręce sobie zmażesz rzemiosłem, toś przepadł. Pisać i czytać umiesz, a łaciny dobrześ liznął, prosta rzecz, że sutannę wdziejesz. Toć już lepiej, gdyby innego się nic nie znalazło.

Na to ja głową potrząsałem, bom się nie czuł stworzonym na księdza.

— Chociaż król, gdy raz słowo rzecze, nigdy go nie odwołuje, — dodał Zadora — nie oddalaj się z miasta. Przesiedź jakiś czas bodaj u Krzaczkowej w komornem... my tu za tobą się wstawić nie wstawić, ale coś uczynić spróbujemy. Krom Rożyca, nieprzyjaciół nie masz.

Tegoż dnia wieczorem ze łzami na oczach z zamku się wyniosłem tak, aby ludzie nie spostrzegli, gdym wychodził i nie urągali się, a nie dopytywali.

Na dworze tylko o tem mówiono; poczuł zaraz Rożyc, iż go posądzono, chciał się oczyszczać, ale nikt z nim nawet nie mówił, odwracali się wszyscy od niego milczący. Nie czyniono mu wymówek żadnych, ale też i słuchać go nie chciano.

Zadora, który do mnie zabiegał, opowiadał mi potem, że Rożyc do króla skarżyć się chodził, na co mu on odparł:

— Kiedy ci tu źle, ruszaj z Bogiem. Co mi do uszu podałeś, bezkarnie ujść nie mogło, a niemniej straciłeś towarzysza i przyprawiłeś go o zgubę.

I Rożyc tedy wkrótce po mnie się ze dworu wynosić musiał, alem ja z tego pociechy nie miał.

Pierwszych dni, gdy mnie to srogie spotkało nieszczęście, siedziałem u Krzaczkowej w nędznym jej dworku przybity, pognębiony tak, że z miejsca się nie ruszając, jak padłem na ławę, tak cały boży dzień z niej nie wstałem.

Krążyły mi po głowie myśli wszelakie, a jedna się drugiej nie trzymała. Do Wilna powracać do starych moich nie było poco, do Tęczyńskich, gdybym z głodu marł, nie chciałem. Tu w Krakowie chleba szukać nie wiedziałem jak i gdzie.

W parę dni dopiero, pomodliwszy się, na myśl mi przyszło iść do ks. Jana Kantego, i jemu się wyspowiadać z winy i kary.

Nie widziałem go dawno, alem zastał tak, jakbym wczoraj dopiero odszedł. W tym mężu świętym nic się nie zmieniało, nawet wiek nie wyrażał się na twarzy dziwnie jasnej, pogodnej, a tak błogo uspokojonej, jakby nic ziemskiego dotknąć jej nie śmiało.

Nimem, go w rękę pocałowawszy, usta otworzył, dał mi się dorozumieć, że o wszystkiem był uwiadomiony. Skąd i jak, pytać nie mogłem.

— Pamiętaj, Jaszku, — rzekł — że Pan Bóg tych, których miłuje, próbuje i dotyka. Nie narzekajże, a myśl, jakbyś złe na pożytek swój duszny obrócił.

Chciałem się tłumaczyć, żem wcale się do winy nie poczuwał, ale mi przerwał łagodnie, że w istocie występku nie popełniłem żadnego i rychlej nagrody, niż kary mogłem się spodziewać.

— Przecież, dziecko moje, — dodał — takie są czasy ciężkie i boleściwe, że i cnota cierpieć musi. Widzisz sam, jak wielu duchownych, kapłanów, ludzi sędziwych poszło na wygnanie: jak inni łaskę stracili... Bóg wie, co czyni.

— Ojcze miłościwy, — rzekłem — Bóg wie pewnie, co dopuszcza na nas, ale my, to jest ja ubożuchny na umyśle, drogi przed sobą nie widzę. Wskażcie mi ją.

Pomyślał nieco, w górę oczy podniósłszy.

— Do jakiejkolwiek pracy się weźmiesz, byleś nie próżnował i na rozpustę się nie rzucił, dobrze będzie. Szukaj w sobie, ku czemu powołanie czujesz, a módl się.

Nie wiem dlaczego, rady mi odmówiwszy, pobłogosławił i odprawił. Trochę męstwa wlał we mnie, ale w głowie jak było mętno, tak zostało.

Bijąc się tak z myślami, powróciłem do tej, którą już miałem wprzódy, aby leczenia i medycyny się uczyć i z niej chleba sobie szukać.

Ale Gaskiewicz, który mi dosyć okazywał życzliwości, przez to, że na zamku mieszkał i tam aptekę miał, mnie wywołanego stąd przyjąć do siebie nie mógł. Innego nauczyciela więc szukać mi było potrzeba.

Z Gaskiewiczem się teraz i spotkać było trudno, bo z obowiązku swego przy aptece na zamku prawie ciągle siedzieć musiał, a królowa też to dla siebie, to dla dzieci i dla dworu go ciągle potrzebowała. Nie miałem nadziei nawet zejść się z nim i poradzić, a myśl uparta uczenia się medycyny prześladowała mnie. Przeznaczeniem snać było mojem, abym nie z jednego pieca chleb jadł i wszelkiego rzemiosła próbował.

W niepewności tej, co mam z sobą czynić, niecierpliwiłem się nad stratą czasu i oddany sam sobie, to u starej Krzaczkowej na ławie przesiadywałem, ręce we włosy wraziwszy, stękając, to po ulicach latałem, jak oparzony, niby losu tego szukając, który mi się powinien był nastręczyć. Miałem wielką wiarę w Opatrzność — większą, niż w mój słaby rozum własny.

Kilka dni tak zeszło nadaremnie, aż około południa w sobotę jedną, gdym się tak biedził z sobą, przed Krzaczkowej dworkiem słyszę hałas, wołanie i stukanie we drzwi. Poszła stara gospodyni otworzyć, a przez wpół uchylone zobaczyłem starostę rabsztyńskiego, któ-

ry z towarzyszącym mu często Secygniowskim stał u progu.

Pokazywał mu ów piec, w którym się ukrywał, a zobaczywszy gospodynię, głośno począł do niej:

— Należy ci się za to nagroda, żeś Tęczyńskiemu życie zachowała. Dopominają się Tęczyńscy pomsty nad mordercami, ale i zapłacić za dobre umieją. Oto masz, abyś pamiętała o rabsztyńskim staroście.

I worek jej z pieniędzmi wcisnął, gdy staruszka, go za kolana chwytając, dziękowała.

Chciałem się skryć, aby mnie nie zobaczył, ale rzuciwszy okiem po izbie, zawołał:

— Hę! A i ten tu jest!

To mówiąc, wszedł prędko, ku mnie zmierzając. Wstałem z ławy.

— Kazałem was szukać, Orfan! — począł żywo.— Wiem już o tem, że król was za mnie i ks. Długosza ze dworu wyświecić kazał. Prosta rzecz, żeś się powinien był zgłosić do mnie. Dlaczegoś tego nie uczynił?

Milczałem, namyślając się jeszcze nad odpowiedzią, gdy dodał rozkazująco:

— Chodź, masz u mnie miejsce dworzanina, pewno niegorsze od tego, jakie było u króla.

Skłoniłem się dziękując.

— Nie mogę przyjąć łaski waszej — rzekłem. — Prawda, że król JMość zagniewał się na mnie, że miejsce utraciłem, ale niemniej do pana mojego przywiązany jestem, a wy, panie starosto, liczycie się do nieprzyjaciół jego.

Namarszczył się strasznie rabsztyński.

— Ani się z tem taję, że go nie miłuję — wybuchnął — i nie ja jeden, jest nas dosyć, którzy przez niego cierpimy. Jak on nam, tak my jemu. Zjeść mu się nie damy.

Popatrzył na mnie dumnie i uśmiechnął się szydersko.

— Gwałtu ci tu zadawać nie myślę — rzekł — z Panem Bogiem. Patrzaj tylko, gdy król cię nie chce,

abyś, łaską moją gardząc, nie sczezł marnie; a potem sam nie przyszedł się prosić, gdy będzie za późno, bom ja taki, że raz słowo rzekłszy, nie cofam go. Teraz czas, potem nie wezmę, choćbyś się modlił.

— Królowi chcę wiernym pozostać, — rzekłem — choćbym i głodem przymarł.

— Szczęść Boże! — zaśmiał się Tęczyński.

I odwrócił się ode mnie, a pomyślawszy chwilę, jeszcze raz ku mnie spojrzał.

— Dwa dni ci daję do namysłu, bo mi cię żal; — dodał — potem klamka zapadła.

To powiedziawszy, do Secygniowskiego coś mówić zaczął i powoli ze dworku wyszedł.

Zostałem w miejscu zmieszany, ale przy swem stojąc i dwu dni namysłu nie potrzebując wcale, bom Tęczyńskim służyć ani chciał, ani myślał. Byliby się z tego chwalili przeciw królowi, a onby do mnie większy jeszcze miał żal. Wolałem i biedy zaznać, tymczasem ważąc i rozmyślając, co pocznę.

Nazajutrz, jeszczem się nie odział, gdy zapukano do drzwi i Krzaczkowa do komory, w której nocowałem wprowadziła kogoś. Choć przyciemno było, poznałem Sliziaka i aż mnie dreszcze przeszły. Wchodząc, Pana Boga chwalił głosem takim wesołym, jakgdyby pomiędzy nami nigdy nic nie zaszło, a ja do niego żadnej nie mógł mieć urazy.

— Starosta rabsztyński rozpowiada, że was na dwór swój chciał zabrać, a wyście łaską jego pogardzili. Przyszedłem wam powiedzieć, żeś oszalał!

— Słuchaj, stary, — wyrwało mi się zburzonemu — gdy człowiek się raz da ująć i oszukać, winien ten, co go zdradził; gdy drugi raz podejść się dozwoli, sam wtedy na siebie narzekać powinien. Nie wiem za co i dlaczego mnie prześladujecie i nasadziliście się na mnie!

Wtem Sliziak mi przerwał gwałtownie:

— Wy tego nigdy wiedzieć nie będziecie, dlaczego my się tak wami opiekujemy i nie powinniście! Darmo na to nie wysilaj rozumu.

Tu się w piersi uderzył.

— Klnę ci się teraz jednak, — dokończył — że ci nic nie grozi. Jak skoro królowi nie służysz, król się tobą nie opiekuje i obojętny jest, możesz być o siebie spokojnym!

Nagle zamilkł, jakgdyby się i tak zanadto wygadał.

— Nie bądź dzieckiem, — rzekł — nie gardź tem, co ci się stręczy. Starosta rabsztyński życzy ci dobrze i o losie twoim pomyśleć może, a u króla kto raz łaskę utracił, ten jej nigdy nie odzyska, to darmo... Zginiesz marnie.

— A dlaczegóż nagle taką wielką litość macie nade mną? — odparłem — wy, coście jej wówczas mi nie okazali, gdy potrzebowałem najwięcej?

Potrząsnął głową stary.

— Mówiłem ci, że tego nie będziesz wiedział i rozumiał nigdy — przerwał.

— A jakże mam mieć wiarę w to, czego nie rozumiem? — zapytałem.

Sliziak się zadumał.

— Cóż ty myślisz z sobą czynić? — spytał.

Nie miałem ochoty się przed nim tłumaczyć i odpowiedziałem mu umyślnie, że pewnie do Wilna, lub na Litwę powrócę.

— Abym cię przekonał, że teraz nikt złego ci nie życzy i owszem, powiem to, — rzekł Sliziak — iż jeśli pomocy potrzebować będziesz, przez kogokolwiek się zgłoś do Nawojowej, będziesz ją miał.

Nie odpowiedziałem na to, czułości tej nie dowierzając. Począł mnie potem badać, jak mnie ze dworu odprawiono, czym bez grosza był, czy mi na podróż starczyć mogło, co miałem. Na wszystkie te natrętne pytania, zbywając go, półgębkiem odpowiadałem. Zaczął mnie potem do stanu duchownego nęcić i nakłaniać, jak dawniej, a gdy milczałem, naostatek nadąsany poszedł precz.

Dwa dni, dane mi przez starostę rabsztyńskiego, upłynęły, a ja wcale się nie wahałem i zgłosić do nie-

go anim myślał. Chodziłem z myślą nauki jakiejś, wahając się jeszcze, gdy przypadek mi nastręczył Gaskiewicza nareszcie.

O mojem wygnaniu ze dworu doktór słyszał, bo o tem bardzo głośno było, ale mnie nie widział. Poznawszy, zatrzymał się sam w ulicy. Zawsze żartobliwy i szyderski, tym razem z politowaniem patrzył na mnie.

— Co myślisz? — zapytał obcesowo.

— Tak samo jak dawniej, uczyć się pragnę — rzekłem — dajcie mi nauczyciela! Będę wam do śmierci wdzięcznym.

Głową począł kręcić.

— Chce ci się być medykiem! — ruszył ramionami — chleb to ościsty i gorzki; na jedną pociechę sto zgryzot przynosi. Nie widzę tu nikogo, coby ci mógł i chciał być pomocnym, krom Jana Welsza. Idź do niego, próbuj. Medyk sławny, a człek zacny, ale surowy. Powiedz, że ja mu was zalecam.

Welsza tego niejeden raz spotykałem, do kolegjów chodząc; był przyjacielem i ks. Janowi Długoszowi i Kantemu, a lekarzem niemal wszystkich kolegjatów.

O ile Gaskiewicz swoją naukę starał się żartobliwością i wesołością okrasić, aby nią ludzi nie straszył, o tyle Jan Welsz nosił ją z powagą i surowością, z namaszczeniem jakiemś, które go nigdy nie opuszczało. Zdało się, na niego patrząc, iż doktorskiego biretu, togi i pierścienia nigdy nie rzucał.

Przeto też, gdy Gaskiewicz do łoża chorych przynosił z sobą pociechę i nie trwożył ich, Welsza się obawiano. Sama postać smutkiem była i żałobą jakąś okryta. Każde poruszenie obrachowane się zdawało i jakby agendą jakąś przepisane. Szanowali go wszyscy, lecz nie zbliżano się poufale.

Jakże tu było mnie do tego majestatu dostąpić i jaki mnie tu miał czekać nowicjat!

Drżałem myśląc, a jakkolwiek mi było pilno coś

począć, dwa dni chodziłem, zbierając się na odwagę, jak do niego przemówić, jak się wprosić.

Stał w kolegjum mniejszem.

Sam siebie zburczawszy, wreszcie podszedłem do niego.

Zastałem go nad księgą.

W krótkich słowach opowiedziawszy mu o sobie, wpraszałem się na służbę. Gdym skończył, długo mi odpowiedzi nie dawał.

Zaczął potem pytać o łacinę, o nauki i mały egzamin odbył ze mną.

W ciągu tego badania, które się coś obiecywać zdawało, nie odezwał się z niczem stanowczem. Wspomniałem umyślnie, żem przy ks. Janie Kantym był wprzódy, że ks. Jan Długosz łaskaw był na mnie, a i o Gaskiewiczu nie zapomniałem.

Przeszedł się po izbie razy kilka.

— Źle za tobą świadczy, żeś ze dworu odprawę dostał, — rzekł — ale pomijam to. Przenieś się na próbę do mnie, na miesiąc, dwa, a zobaczymy, czy z ciebie co zrobić można... Trochę się nauczyć, moje dziecko — dokończył — częstokroć gorzej jest, niż nic nie umieć. Ci, co się całe życie uczą, wiedzą przynajmniej, że nic nie umieją, gdy tacy, co liznęli odrobinę, sądzą, że wszystkie rozumy zjedli.

Nazajutrz rano do lichej izdebki tu obok Welsz mi się przenieść kazał. Krzaczkową pożegnawszy, pośpieszyłem dodnia i przed południem do posług byłem gotowy.

Z natężoną ciekawością czekałem nauki tej, której żądny byłem, ale na wstępie mnie zawód spotkał.

Dano mi moździerz i cuchnącą jakąś materję do tłuczenia i tarcia. Nazwiska jej nawet od Welsza się nie dowiedziałem. Potem ziele mi kazał gotować, inną jakąś wodę cedzić, worki czyścić i pierwsze dni na tem upłynęły.

Nauczyć się nie mogłem nic, bo nie mówił do mnie tylko tych słów kilka, które niezbędnie potrzebne były.

Część też dnia, gdy doktora nie było w domu, miałem wolną; ale gdybym i chciał był zajrzeć do ksiąg jego, a sam próbować się nieco oświecić, zakazanem mi to było tak surowo, iż nie ważyłem się tknąć żadnej.

Welsz mało na mnie patrzał, mniej jeszcze mówił, dawał rozkazy, doglądał ich spełnienia, naganił często, nie pochwalił nigdy.

Wszystko to cierpieć musiałem, bom w nim ufność miał, że gdy godzina moja wybije, do przybytku mnie dopuści. Na to się jednak nie zanosiło wcale.

Życie pędziłem smutne. Po roztargnieniu, jakie na dworze każdy dzień przynosił, w towarzystwie młodzieży wesołej, wygodach, jakie mieliśmy, tu niemal zakonne panowało milczenie, post i ubóstwo. Ale jakżem ja się na to mógł uskarżać, gdy sam Welsz tak samo żył kaszą, rybą, cienkiem piwem i mleczywem, a chlebem czerstwym i czarnym?

Co z jego wiktu zbywało, szło dopiero na mnie, a tylko, gdy Welsz w kolegjum nie obiadował, oddawano mi jego porcję.

Grosza cokolwiek mając, ratowałem się od głodu, od przekupek sobie coś przynosząc.

Za całą zabawę mi służyło, gdym podchwyciwszy jakiś przepis, ukradkiem mógł spróbować medykament jaki sam przygotować.

Szczęściem może, do izdebki mojej Welsz nie zaglądał, boby mi ta moja przedwczesna chciwość nauki pewnie była surowo naganioną.

Mam li się przyznać? Jak z wielką bardzo gorącością garnąłem się do mistrza tego i do źródła, tak teraz, po miesiącach niewielu, ogarnęło mnie znużenie i zniechęcenie nad wyraz wszelki. Życie mi zbrzydło, tęsknota nękała; czułem, że do tego chleba i powołania chyba stworzony nie byłem, albo droga, którą szedłem, nie przystała mi.

Patrzałem chciwie na księgi, których mi tknąć nie było wolno, tak jak spragniony spogląda w studnię,

gdy z niej zaczerpnąć nie może; mówiłem sobie: kiedyż się to skończy?

Welsz nie zważał na mnie, ja pytać go nie śmiałem.

Wiosna przyszła i lato, a mnie to brzemię życia nowego coraz mocniej dolegało. Czułem to dobrze teraz, że czy urodzony byłem do innego zawodu, czy nawykłem od dzieciństwa do ruchawszego między ludźmi obracania się, w tej ciszy klasztornej usychałem.

Welsz nie zdawał się nawet widzieć tego, żem wychudł, zżółkł i chodził, jak z krzyża zdjęty.

Raz, gdy mnie z lekarstwem pod Florjańską bramę wyprawił do kupca, który był zachorzał mocno, a ja od niego powracałem z głową spuszczoną, w wyszarzanym kubraczku, trafiło się, że króla powracającego z podróży na drodze napotkałem.

Jechał konno, oglądając się na wszystkie strony; zdawało mi się, że okiem rzucił na mnie i wzrok jego jakiś czas się zatrzymał. Stałem, czapkę zdjąwszy; minął mnie prędko.

Zadora, który przy wozach jechał, zsiadł z konia, aby się ze mną przywitać.

Szczęśliwy człowiek kwitł zdrowiem i weselem, tak mu na świecie dobrze było. Zobaczywszy mnie, aż zakrzyknął nad mizeractwem, w jakiem mnie znalazł.

— A toć się na śmierć zamęczysz! — zawołał. — Rzuć do licha te głupie medykamenty. Tobie konia, ruchu, swobody potrzeba. Dosyć spojrzeć, aby poznać, żeś, ucząc się leczyć, sam chory.

Radził mi doktora porzucić, a dworskiej lub rycerskiej służby szukać. Ale łatwo to było powiedzieć.

Upłynęło dni kilka od tego w ulicy widzenia mojego z Zadorą, gdy z południa, na spokojnym korytarzu naszym strasznie zamaszysto i głośno ktoś się począł o mnie upominać.

Poznałem Zadorę i otworzyłem drzwi. Wszedł nie miarkując głosu, o com go musiał przestrzec, bo u nas panowało *silentium*.

W izdebce mojej ziołami i korzeniami różnemi silnie czuć było. Pokręcił nosem.

Udusić się i zdechnąć można, żyjąc w takim smrodzie — zawołał na wstępie. — Co za dziw, że ty tu chorujesz! Otwórz okno! Wiesz, co mnie tu sprowadziło? — odezwał się.

— Nie domyślam się.

— Ratować cię chcę — dodał. — Wybij sobie z głowy tę aptekę; mam co innego.

Patrzałem w niego, jak w tęczę.

— Oto co jest — rzekł, przysuwając się do mnie.— Wczorajszego dnia starosta krakowski, Pieniążek, znacie go? dopytywał nas po dworze, czybyśmy mu do wiernych usług przybocznych piśmiennego dworzanina naraić nie mogli. Zaraz przyszedłeś mi na myśl.

— Ale on nieszlachcica przy sobie nie ścierpi — rzekłem.

— Nie pyta o szlachectwo, ani o urodzenie i pytać nie będzie — mówił dalej Zadora. — Rozgadałem się z nim o was. Człek dobry, sługa królewski wierny. Życie u niego dostatnie, żołd pewnie będzie znaczny; to dla was miejsce jak żadne.

— Zapomnieliście tylko o tem, że starosta prawie ciągle na zamku być musi i takiego piśmiennego dworzanina za sobą ciągnąć, a cóż król na to powie?

Zadora się rozśmiał.

— Myślałem o tem — rzekł. — Starosta o was posłyszawszy, bardzo gorąco się domagać począł, abyście do niego przyszli na rozmowę. Ja wieczorem zaraz królowi służąc, gdy o staroście się wspomniało, odniechcenia napomknąłem o tem, że Orfana chciał wziąć, ale się wahał, aby wygnany ze dworu, nie był na zamku źle widziany.

Król ramionami poruszył tylko.

— Więc dlatego ma głodem mrzeć, żem ja go nie chciał? — odparł. — Niech go sobie Pieniążek bierze, jeśli wola, byle mu wierniej, niż mnie, służył.

Zagryzłem usta: król więc mi ani zapomniał dotąd, ani przebaczył.

Siedzieliśmy milczący czas jakiś, ale Zadora wnet tak gorąco nastawał na mnie, tak prosił, namawiał, zaklinał, iż się zgodziłem nazajutrz iść do Pieniążka.

Lecz wprzódy, nim o tej mojej nowej losu zmianie mówić zacznę, o samym Pieniążku cokolwiek się rozpisać muszę.

Wiadomo to wszystkim, iż ród Pieniążków są prawi Odrowążowie, ciż sami, których krew dwu świętych patronów nam dała. Znaczenie ich niegdyś było wielkie i mierzyli się z najmożniejszymi w kraju, chociaż przeciwko sobie mieli też nieprzyjaciół wielu i w tej walce z nimi, choć niezłamani, straty ponieśli niemałe.

Majątkowo też gorzej się im teraz działo. Z tej rodziny nasz starosta krakowski był prawie najpierwszym i trzymając z królem, a jemu służąc, spodziewał się do dawnego blasku Odrowążów powrócić. Człek był już w latach, umysłu trochę niestałego, charakteru miękkiego, a pomimo to, gdy się przy czem zaciął, uparty.

Król go może przedewszystkiem z tego cenił, że miał w nim takiego sługę, który nie pytał nigdy, dlaczego i co Kazimierz mieć żądał, a wszelki jego rozkaz spełniał ślepo.

Gdy inni teraz w tym drażliwym sporze o biskupstwo, jak mogli, króla samego łagodzili, a postanowienia jego surowe starali się tak spełniać, aby kapitule krakowskiej, i tak już uciśnionej, nie narażać się, Pieniążek i Obulec, o którym już wspomniałem, z niezmierną ścisłością i bez najmniejszej folgi, dziesięciny, majętności, kamienice opierającym się kanonikom zabierali. Pieniążek się tem zawsze tłumaczył:

— Króla rozkaz mam, pan tak chciał!

Tem sobie wielce duchowieństwo naraził, ale tak jak nie lękał się Tęczyńskich dla króla poświęcić i przeciwko nim występować ostro, tak i kapitule mocno się dał we znaki. Tem dziwniejszem się to wy-

dawało, że syna młodszego miał w stanie duchownym i w tejże samej kapitule.

Syn ten, o czem wszyscy wiedzieli, zatruwał mu życie, ale nie tyle on może temu był winien, co ojciec.

Opowiadano o nim, że nietylko najmniejszego powołania do stanu duchownego nie miał, ale w młodości tak prawie jak zaręczonym będąc z dzieweczką, którą miłował bardzo, siłą od niej musiał być oderwany. Ojciec tak zabiegał, iż pannę zamąż wydano za innego, a Jan musiał, rad nierad, suknię oblec i księdzem zostać.

Stało się to na większe jego nieszczęście i zgubę, jak się później okazało. Księdzem się zwał i ojciec się o wyposażenie go starał, ale życie prowadził takie, że tylko zabiegi starosty i znaczenie ojca mogły go obronić od surowych kar kościelnych.

Ojcowskie groźby i prośby nic nie pomagały. Gdy się mógł tylko wyrwać mu, — a starosta miał słabość do niego i zbyt był powolny — dokazywał, przebrawszy się po świecku, polował, latał z dobranymi towarzyszami, a co gorzej, do tej pani, w której dawniej był rozmiłowany, dojeżdżał i bawił u niej tygodniami.

Przez miłość i poszanowanie dla ojca, pokrywano te sprawki syna, ale można było przewidzieć, że gdy biskup nowy na stolicę wstąpi, pobłażać zgorszeniu temu nie będzie.

Z kapituły mało kto już z ks. Pieniążkiem przestawał, odwracano się od niego i każdy unikał, aby nie być posądzonym, że podobne, jak on, życie prowadzi. On zaś, ufając może ojcowskiej powadze i znaczeniu, pomimo napomnień, nie myślał wcale ani się ukrywać z tem, co czynił, ani życia zmieniać.

Ojciec, który powiadał, że się to piwo wyburzy, niespokojnym był bardzo. Od niejakiego czasu bowiem księdza w Krakowie tak jak nie było widać, a dobrał sobie dwór, sługi i towarzyszów łotrostwa takich, iż oni go jeszcze na większe rozpasanie prowadzić mogli.

Chociaż zmiana w życiu mojem pożądaną mi była, nie bez trwogi i wahania się, skłoniony namowami Zadory, a pozwoleniem królewskiem bardziej jeszcze, nazajutrz włożyłem co najlepszą odzież i udałem się do starościńskiego dworu.

Tu, ktoby Pieniążka starego nie znał i nie słyszał o nim, patrząc na to, co się działo, człowiekaby się domyśleć musiał. Dwór, podwórze, ganek dokoła pełne były ludu najrozmaitszego, gwaru, krętaniny, nieładu, wśród którego pachołkowie, dworzanie, kto chciał, gospodarował.

Choć ludu i służby mnogo było jak u możnego pana, choć na nich dostatek niby jakiś widnym się zdawał, wszystko to nie trzymało się jedno drugiego, chodziło samopas i brakło karności.

Gdym się tu znalazł, w początku mi tak się to wydało dziwnem, niemiłem i strasznem, żem się chciał wycofać, nie pokazawszy staroście. Ale za późno było, bo ten, co tam marszałkował, już mnie o nazwisko spytał i poszedł oznajmić, a tuż i Pieniążek sam ukazał się, wołając mnie do siebie.

W izbie sklepionej, zadusznej i ciemnej taki tłok panował, jak w podwórzu i tu suplikantów było różnych, począwszy od progu do stołu gromada cała, z papierami jedni, drudzy z twarzami, które za nie stały...

Skryba dosyć nędznie odziany siedział za stołem i pióro gryzł.

Starosta, wprowadziwszy mnie, natychmiast się obrócił do pisarza, coś mu szepnął, a w głos oświadczył, że już czasu nie ma i że sprawy później załatwi. Poczem nie odpowiadając na wołania i prośby, otworzywszy drzwi do komory bocznej, wszedł szybko i mnie za sobą wprowadził.

Milcząc, naprzód długo mi się przypatrywał, a i ja miałem czas się zbliska z nim zapoznać.

Na oko był człowiek krzepki, otyły, poważny, a w twarzy i postaci mający coś wielce groźnego i potężnego. Zdawało się, że musiał mieć wolę silną i być

nieubłaganym. Twarz duża, długa, z podbródkiem, z wąsem dużym, zdala się widziała straszną, a przypatrzywszy się jej, coś w niej drgało takiego, iż niepewność jakąś okazywało. Głos miał hetmański, krzykliwy, a pomimo to niewrażający posłuszeństwa.

Widać tylko było, że mu o to szło wielce, aby przed nim drżano i obawiano go się.

Począł nagle głosem prędkim i zająkliwym, śpiesząc, plącząc się, odchrząkując, a oczyma mnie mierząc:

— Waszeć mi potrzebnym będziesz. Słyszałem już o was, wiem... Łacinę znasz, pisanie piękne, w głowie dobrze, ja właśnie amanuensa szukam. Skryba ten dla urzędu jest, a dla osoby mojej nie mam nikogo. Ale naprzód wiedzieć masz, że tu we wszystkiem, co się dzieje i dziać będzie, tajemnica się ma zachować ścisła. Język za zębami trzymać, pierwsza rzecz.

Tu przerwawszy sobie nagle, rozpoczął wyliczać, co mi daje za pracę: suknię, żołd, stół, pomieszczenie; o każdej z tej rzeczy nie dokończywszy o jednej, przechodził do drugiej, powracał do pierwszej, tak, że połapać mi się było trudno. Tylem tylko zrozumiał, że mi tu zbywać na niczem nie może, choć niebardzo mi szło o wielką płacę. Potem znowu wpadłszy na inną drogę, skarżyć się począł, iż zaufać tego czasu nie ma komu, że potrzebuje takiego, któryby mu służył, jak ojcu, a on mu rodzicem chce być.

Nie dał mi długo odpowiedzieć sobie i gdym poczynał, on na nowo swoje powtarzał. Szło mi o to jedno tylko, abym choć kilka godzin w dniu miał wolnych, bo zawsze uczyć się czegoś chciałem, mając to na widoku, że może kiedy do królewskich dzieci się dostanę. Nauka wreszcie sama dla siebie wabiła mnie, i inne drogi mając przed sobą zamknięte, w niej pociechy i ratunku szukałem.

Starosta uznawał słuszność żądania mojego, ale razem przewidywał, iż tak jak on dniem i nocą na

tym starościńskim urzędzie pokoju nie miał, tak i mnie za niego ręczyć nie mógł.

Słowem, rozmowa się tak splątała, że pono ani on nie wiedział, com mu obiecywał, ani ja mogłem wyrozumieć, co mnie czekało. Skończyło się na tem, żem prosił, abyśmy wzajem się przez ćwierć roku wypróbowali. Przystał na to.

— Jestem pewny, — dodał — że waść ze mnie będziesz rad. Ostry jestem, wymagam porządku i dyscypliny, ale na serce rachować możesz. O! u mnie wszystko tu jak w obozie na skinienie, w szeregi... ale nikomu się krzywda nie dzieje i wzgląd jest na słabość ludzką.

Sam potem starosta chciał mnie do przeznaczonej mi izby zaprowadzić. Okazało się jednak, że w niej bednarze rozeschłe beczki i statki obręczami nabijali, ktoś okno był wyjął, ławy stały całe, ale oprócz nich ani łóżka, ani żadnego sprzętu.

Zrobił się o to rumor okrutny w całym dworze. Kto tu śmiał bez wiedzy starosty bednarzy mieścić, izbę tak spustoszyć. Zawołano marszałka, ten winę zwalił na klucznicę, ta na sługi, a wkońcu przykaz wydano najsroższy, aby do wieczora było, jak w szklaneczce, czysto.

Niebardzo mi się temu wierzyć chciało i on sam wątpię, aby temu dawał wiarę, ale żądał natychmiastowego przeprowadzenia się, tak, że ledwie z powodu Welsza wyprosiłem się do jutra.

Z moim doktorem przeprawa poszła daleko łatwiej, niż się spodziewałem, wysłuchał mnie milczący, głową zawahał, zamruczał coś i dodał:

— Niestałego umysłu jesteś... a kamień tylko na miejscu obrasta. Będziesz się tak z kąta w kąt przerzucał, nigdy miejsca nie zagrzewając, i zmarnujesz się; wszystkiego potrosze umieć, znaczy na głupotę pracować... ale co począć z temperamentem? Tyranami są temperamenta. Trudno, trudno! Idźże z Bogiem!

Zaśmiał się.

— Tyle tylko, żeś się jednego plastra u mnie nauczył.

Dał mi rękę do pocałowania i po chwili wrócił do książki.

Nazajutrz, gdym moje szczupłe węzełki tu sprowadził, znalazłem izbę jeszcze bez okna, na podłodze wióry bednarskie, ale tapczan stał w kącie oparty nogami o ścianę i stół, osobno nogi, osobno stolnica, czekał na mnie. Dane mi było do usług pacholę gadatliwe, z włosami rozczochranemi, które plotło dużo, ale wyrwawszy się z izby, nie wracało.

Szczęściem przywykły byłem sam sobie służyć, a marszałek też wziął okno do serca i naostatek izbę kazał uprzątnąć.

Dano mi wiedzieć, że starosta już trzy razy po mnie przysyłał, szedłem więc do niego. We wczorajszej izbie takie same było zbiorowisko ludzi. Urzędowy skryba siedział, gryząc pióro, za stołem, mnie za pańskiem krzesłem miejsce u ucha starosty wyznaczono.

— Oswajaj się waść, przysłuchując, bo to tu nie łatwa rzecz sobie z tylu sprawami radę dawać.

Najgorszem to było, że w istocie sprawy nie przychodziły w porządku jedna po drugiej, ale wszystkie razem w jeden kłębek nierozplątany się zbijały.

Mówił ktoś, drugi mu przerywał, starosta przywoływał trzeciego, czwartego sobie przypomniawszy, tego rzucał, ludzie podnosili głosy, usiłując się przekrzyczeć, słowem, sądny to był dzień.

Starosta nogami tupał, łajał, ale sam ten nieład mnożył.

Stałem tak z godzinę za wielkiem krzesłem pana, alem niewiele się nauczył. Wtem wpadł dworzanin, powołując do króla: zerwał się Pieniążek i wyruszył natychmiast. Jam tu już nie miał co robić, ale kazał mi pozostać i czekać na siebie.

Skryba, sołtysów syn z okolic Bochni, chłopak nie w ciemię bity, po wyjściu pana dopiero na mnie

wcale nie zważając, wziął się do spraw, z któremi przybyli nie odchodzili.

Prędko i umiejętnie przesłuchiwał skarżących się i proszących, widziałem jak mu ten i ów coś w dłoń wcisnął, a on na papierze sobie zapisał i wpół godziny izba się opróżniła.

Zostaliśmy sami, szydersko się popatrzał na mnie.

— Co wy, miłościwy panie, przy staroście robić będziecie, — rzekł — tego nie wiem. Widzi mi się, że chyba słuchać lamentów jego i listy poufne do syna pisywać. Nie byłoby tu co tak dalece robić, gdyby ład jaki był, ale starosta go nie zaprowadzi nigdy, a jakby był, to go zaraz zamąci.

Uśmiechnął się.

— Dobre panisko, ale sobie samemu nieprzyjaciel srogi!

Starosta, który natychmiast miał powrócić od króla, pojechał tymczasem na miasto, poszedł na ratusz, dał się zaprosić do któregoś z ziemian i nie przyjechał do dworu, aż późnym wieczorem.

Od skryby wiedziałem, że bodaj do północy na niego czekać powinniśmy, poczem nas odprawi z niczem, nakazując jak świt do roboty stawać, chociaż robić nie będzie co...

Stało się, jak sołtysiak przepowiedział; powrócił zmęczony starosta, narzekając, że mu tchnąć nie dają, że się na śmierć zapracuje, odprawił skrybę, mnie za sobą do sypialni jeszcze iść kazał, i dopiero w łóżku ległszy, odejść dozwolił.

Następnych dni kazał mi to i owo zapamiętać, musiałem przy nim ciągle być, ale do roboty nie dał mi nic, ciągle powtarzając: iż Panu Bogu dziękuje za to, że mnie ma pod ręką, bo lada chwila nawał być może do czynienia. Służba to była w istocie ciężka i upokarzająca, bo starego żal się robiło, a w niczem mu pomocnym nie mogłem być.

Kładąc się wieczorem do łóżka, zabierał mnie z sobą, aby jeszcze żale i lamenty rozwodzić przede mną, ale tu przyszło już do istotnych zwierzeń. Naprzód mi

o synu, tym księdzu, napomknął, powoli wynurzać się zaczął, rozpłakał, ręce łamał i wygadał się ze wszystkiem.

Właśnie szło o to, ażebym list groźny do niego napisał, a starosta zaklinał się, że uchowaj Boże większego zgorszenia, sam go, chociaż duchownego, zamknie i w więzieniu trzymać będzie. Ważyłem się mu powiedzieć, że jeżeli groźby dotąd nie skutkowały, możeby inaczej należało przemawiać do niego, starać się poruszyć serce, zakląć na miłość ojcowską i t. p.

Myśl ta bardzo mu się podobała. Kazał mi tedy raptularz nazajutrz przygotować, a wolnym czasem razem mieliśmy go odczytać.

Z tem szedłem do izby, gdy nazajutrz rano podwórzec nasz, w którym nigdy spokoju do późnej nocy nie było, wrzawą taką się rozległ, iż równemi nogami porwałem się z łóżka.

Sołtysiak wpadł do mnie.

— Dopieroż mieć będziemy ciężką przeprawę: — zawołał — przybył ksiądz Jan ze swymi!

W podwórzu rżenie koni, ujadanie psów, śmiechy czeladzi słychać było bez żadnego dla ojca i urzędnika poszanowania.

Przyznaję, żem ciekaw był bardzo oglądać tego syna marnotrawnego; odziałem się żywo i zbiegłem do izby starosty.

Siedział on tu, ale nie mając czasu się przyodziać, jak z łóżka wstał, kożuch tylko na siebie narzuciwszy, w koszuli jednej syna przyjmował.

Ksiądz, którego trudno było poznać, iż duchownym się zwał, w sukni krótkiej, w butach z ostrogami, młody, przystojny mężczyzna, z oczyma bystremi, z włosem długim, wedle obyczaju ówczesnego w puklach na ramiona spływającym, żwawo biegał po izbie. Słychać było tylko głos jego, gdyż starosta cicho się odzywał i siedział, jak przybity.

Gdym wszedł, stary skinął na mnie i dał znak, abym nie przeszkadzał ich rozmowie; cofnąłem się

więc. Wtem odwołał mnie nazad i wskazał na sypialnię, abym tam na niego czekał.

Drzwi tylko cienkie przedzielały mnie od izby, w której ciągnęła się dalej rozmowa rozpoczęta. Głos ojca był błagający, syna szyderski.

Rad nierad słuchałem.

— Co komu do tego, jak ja żyję! — wołał ks. Jan — ja za siebie sam przed Panem Bogiem odpowiadam. Wyrostkiem nie jestem, bakałarzów nie potrzebuję.

— Nietylko bakałarz, ale rózgaby się przydała, — przerwał starosta — tak, tak! Wstyd czynisz Odrowążom. Pomnisz na Jacka i Czesława.

— Ale ba! Wszyscy Odrowążowie świętymi być nie mogą — rozśmiał się syn. — Ja do stanu duchownego nie miałem powołania i nie mam, a Dorotkę jakem kochał, tak ją miłuję. To darmo. Przecież Jakób, mąż jej, nie skarży się na mnie? Cóż komu do tego!

— Jakób ślepy jest i dobroduszny, — zawołał ojciec — a przecie Mikołaj, brat jego, wojewoda mazowiecki, przyjeżdżał umyślnie do mnie z żalem na was.

Rzucił się ks. archidiakon gwałtownie.

— Ja go rozumu nauczę, pana wojewodę — krzyknął, — a cóż to, czy Jakób Boglewski dziecko, opieki potrzebuje? Niech pilnuje swego nosa i swej żonki, a w drogę mi nie lezie, bo mu pokażę, że ja szablą nie zapomniałem władać.

Słychać było, jak ojciec w dłonie klasnął.

— A milczże!

Chwilę krótką panowała w izbie cisza, słyszałem tylko żywy chód archidiakona, który zcicha sobie poświstywał.

Miał ojciec znowu począć admonicje, gdy drzwi się otworzyły. Musieli wnijść przyjaciele, a słudzy ks. archidiakona i jeden począł:

— Ani koni, ani psów niema gdzie wygodnie pomieścić.

— Myśmy głodni — dodał drugi.

— A i ja głodny jestem — rozśmiał się ksiądz. — Do tego przyjdzie, że ja tu ojca mając starostą, gospody sobie na mieście szukać będę musiał.

Zaburczał coś stary, musiano dać znać, że jadło przyniesiono i starosta sam, wzdychając, wtoczył się do izby, w której na niego czekałem.

Twarz miał zmienioną i zbolałą, trząsł głową, nic nie mówiąc. Dwie łzy powoli toczyły mu się po policzkach.

— Słyszałeś? widzisz, jak mnie Bóg pokarał! Co z nim robić! Ani Boga, ani rodzica, ani ludzi nie słucha!

I po chwilce powtórzył:

— A! pokarał mnie Bóg! pokarał!

Zadumał się i jakby nawpół do siebie począł:

— Albo i to towarzystwo? Plichta! Komeski! Wszakże to znane łotry, kostery i zbóje. Na Komeskiego kupcy lubelscy instygowali, że ich z drugimi na gościńcach rozbijał. Plichta nie lepszy. Ci, choćby chciał się poprawić, nie dadzą mu.

Płakał i powtarzał nieustannie:

— Pokarał mnie Bóg, pokarał!

Następnych kilka dni Pieniążek gościł u ojca, zapraszał coraz nowych przyjaciół z ulicy, tego rodzaju, co Plichta i Komeski; noszono im miód, wino i cały dwór musiał być na usługi. Do ojca archidiakon prawie nie przychodził i lekceważył starca w oburzający sposób.

Nie wiem, jak i czem moja powierzchowność w oko mu wpadła. Dopytując o mnie, dowiedział się snać, że byłem u króla na usługach. Powiedział ojcu, że jemu takiego amanuensa nie szkodziłoby mieć i że mnieby wziął do siebie.

Rano przychodzę do starosty, który mi tę nowinę z twarzą rozjaśnioną zwiastuje.

— Zmiłuj się — woła, ręce łamiąc — jeżeli Boga kochasz, przystań do niego! Jesteś stateczny, możesz go powstrzymywać; będziesz miał zasługę wielką.

Zakrzyknąłem, chwytając się za głowę.

— Jakto! — zawołałem — tam, gdzie ojciec nie może nic, jabym młodzik, coś potrafił. Zlituj się pan!

Starosta, który z rozpaczy najniedorzeczniejszych myśli chwycić się był gotów, uparł się i nalegał. Oświadczyłem tedy stanowczo, że za nic w świecie do archidiakona w służbę nie pójdę.

— Raczej panu staroście za nią podziękuję — dokończyłem. — Nie może to być.

Widząc mnie tak upartym, stary wreszcie nalegania zaniechał, a archidiakon, przez ojca się dowiedziawszy, żem służbą jego wzgardził, ani już patrzył na mnie.

W Krakowie zbyt księdzu było ciężko ciągle się o duchowieństwo surowe ocierać, spotykając oblicza chmurne, a i niejedno słowo ostre, niewygodnie gościć długo. Zabawiwszy kilka dni, pociągnęli do Łęczycy, i myśmy na starostwie, ojca nie wyjmując, lżej odetchnęli.

Ja na mojej tej utrapionej służbie, która się inaczej, jak niewolą nazwać nie mogła, pozostałem. Byłbym doprawdy szukał może innej, ale Pieniążek się przywiązał do mnie, a jam żałował go i litował się nad nim. Nawykł był wylewać przede mną serce swoje, często pocichu, choć u młokosa, rady zasięgał; wiedziałem, żem mu był potrzebny.

Sołtysiak, choć niezły człowiek, więcej swojej kieszeni, niż dobrej sławy i godności starosty strzegł, musiałem więc na wodzy go trzymać, ostrzegać i nie dopuszczać, aby słabości pana nadużywał.

Naprawdę nie robiłem tak, jak nic, alem na chwilę się oddalić nie mógł i musiał być z uchem wpogotowiu. W poufnych sprawach czasem mnie posyłał.

W wolnych godzinach com miał czynić — czytałem! Czytałem, co popadłem, com dostał; i komentarze nad biblją i kroniki Kadłubkowe, do których właśnie Dąbrówka pisał objaśnienia, i łacińskich starożytnych pisarzów, bo ci byli podczas w wielkiem zachowaniu i coraz nowych wydobywano, których wprzódy nikt tu nie znał.

Oprócz tego poniewaźem czasu podróży z ks. Janem trochę liznął włoszczyzny, a kilku Włochów na dworze się i w mieście plątało, więc i języka tego poduczałem się, nie chcąc go zapomnieć.

Oswoiwszy się z położeniem mojem, choć nie było mi tu tak, jakbym pragnął, trwałem już przy staroście. Pytał mnie, gołowąsa, często o radę, gdy sam nie wiedział, co czynić, a żem mu sercem poczciwem służył, słuchał i mogłem go niekiedy wczas ostrzec.

Domowi, o tem przekonawszy się, obchodzili się ze mną dobrze i nie mogłem się skarżyć, ażeby mi tu źle było.

Czas upływał bez troski przynajmniej o chleb powszedni, chociaż na jutro nic oszczędzić nie mogłem.

O Luchnie też nie zapomniałem, chociaż ani od niej, ani o niej żadnej wieści nie miałem. Niewiele polegałem na danem mi słowie, bo nie było w mocy dziewczęcia dotrzymać go; powszechnie bowiem albo rodzice lub opiekunowie losem dziewek rozporządzali, a te się rozkazom ich opierać nie mogły. Z mojej strony zaś w poprzysiężonej wierności wytrwać łatwo było, raz, że mi się żadna sposobność nawet nie nastręczała do obcowania z kobietami, a powtóre, żadnaby z nich człowieka bez łomu i domu, bez rodziców i mienia wziąć za męża nie chciała.

Utrapieniu temu wielkiemu sieroctwem mojem, które mi dolegało wielce, starałem się ulgę uczynić tem, żem myśl natrętną o niem odpychał i postanowił najmocniej zdać los mój na łaskę Bożą. Powiedziawszy więc sobie:

— Stań się wola Twoja — czem innem się zaprzątałem.

Ponieważ starostę Pieniążka urząd jego do Krakowa przywiązywał, i on się stąd oddalał rzadko, więc i ja przy nim będąc, nie opuszczałem miasta.

Lata ubiegały. W r. 1464 we wtorek po Wielkiej Nocy, trzeciego kwietnia, po tym pokoju miasto znowu zakłócone zostało niespodzianą napaścią na Żydów.

Czyniono naówczas zaciągi na wojnę krzyżową przeciwko poganom. Jaki to tam lud się pod te chorągwie ściągał, gdy w domu co było lepszego, król zabierał do Prus, łatwo pojąć. Szli ludzie tacy, których nikt nie chciał, łotrzyki, a zbójcy czyhający na łupież tylko.

Kupa tej gawiedzi pijanej a niesfornej po drodze wtargnęła do miasta dla spoczynku. Nie mogli rajcy tym krzyże noszącym żołnierzom Chrystusowym odmówić dachu. Wkrótce jednak przyszło pożałować, że ich wpuszczono, bo lepiej się było u wrót wykupić, a do miasta ich nie wpuszczać.

Stanąwszy tu, gdy się z miejskimi konfratrami zwąchali a dowiedzieli, iż w Krakowie było dosyć Żydów, o których powiadano, że mieli wielkie bogactwa, zuchwała ta gromada postanowiła napaść ich i złupić, sądząc, że jej to ujdzie płazem. Z pomocą więc ulicznej gawiedzi, wieczorem, cała tłuszcza krzyżowa runęła na synagogę i na żydowskie domy.

Napad był tak niespodziewany, że w początkach nikt się im nie opierał; ubito ze trzydziestu, splondrowano kilka domów, a przestraszone żydostwo, którego mieszczanie bronić nie chcieli dlatego, że ono nie miasta, ale zamkowego sądu i rządu słuchało i im podlegało, schroniło się do domu Jana Tęczyńskiego, kasztelana krakowskiego, który nieopodal się znalazł. A że stara waśń między mieszczany a Tęczyńskimi zawsze była pamiętna, dano im tu przytułek. Tymczasem i starosta z pachołkami swymi, choć siła ich przeciwko krzyżowcom nie stawała, wystąpił.

Noc nadeszła i wszystko się zdawało uspokojone, chociaż Żydzi, nie dowierzając, na dziedzińcach się i po szopach rozłożyli. I mieli słuszność, iż nie zaufali uspokojeniu, bo nazajutrz rano gromada dom Tęczyńskich oblegała i szturmować zaczęła.

Obudzili się dopiero panowie rajcy, bo gdyby łupiestwu początek uczyniono, poszłoby i po innych. Nadbiegła czeladź biskupia, starościńska, ludzie podskarbiego, pana Jakóba z Dębna, rozpędzono napast-

ników, a Żydów strwożonych myśmy na zamek dla bezpieczeństwa zaprowadzili.

Winę tego rozruchu i grabieży włożono na miasto nie bez przyczyny, gdyż w pierwszej chwili Żydów nie chciano bronić, odpowiadając, że kto ich sądzi, ten ich osłaniać winien.

Wygnano precz tę hałastrę natychmiast, a ratusz musiał zapłacić trzy tysiące czerwonych złotych grzywien.

Król w roku tym i następnym bawił w Prusiech, we Lwowie, na Rusi i ze dworem w Kaliszu a Brześciu.

Z krzyżakami wreszcie z niemałym trudem wkrótce potem podpisano pokój, czasu którego w Toruniu zmarł z królem tam będący Sędziwój z Lezienic, wojewoda sieradzki.

Siła też najznaczniejszych ludzi, biskupów, duchowieństwa, prawników do pisania traktatów z przewrotnym zakonem użytych było.

Kiedy się właśnie toczą te układy, a my w Krakowie przesiadujemy, starosta, coraz we mnie większą ufność pokładający, nocy jednej późno powróciwszy do domu, mnie już z łóżka wyrostkowi kazał przyzwać. Nie było to bezprzykładnem, a nieraz się trafiało, że poto tylko iść mi do siebie kazał, aby miał przed kim żalić się na swój los, szczególniej na syna archidiakona.

Wszedłszy do starosty, zastałem go klęczącym przy łóżku, z rękami złożonemi i twarzą łzami zalaną.

Za łkaniem przemówić nie mógł. Chciał powstać, nie miał siły, pomogłem mu się dźwignąć... rzucił mi się na szyję.

Na pytanie moje odpowiedzieć długo nie mógł, alem już pewnym był, że o synu tym nieszczęsnym wiadomość jakąś odebrał.

Trząsł się cały i głosem zniżonym począł:

— Na rany Chrystusowe! Jaszku, bierz konia i ludzi najlepszych, nie patrz na noc, a jedź. Nie wiem, co się stało, ale archidiakon popełnił jakąś krwawą

burdę u Boglewskich. Ludzie mi nie powiadają, co się stało, wieści są sprzeczne. Ruszaj na miejsce, dokąd chcesz, dostań języka, wyrwij mnie z tej niepewności.

Chciałem go dopytywać, co mu doniesiono, ale stary się plątał i widać było, że albo z pewnością nie wiedział, co się w Boglewie stało, lub tego, co mu powiadano, powtarzać nie chciał, wiary nie dając.

Dobył natychmiast worek pieniędzy, konie i ludzi kazał wskok gotować, a mnie tak naglił, żem się nawet rozmówić z nim nie mógł, pędził tylko, abym jechał. Musiałem mu być posłusznym.

Noc już była, bramy miejskie pozamykane, ale starościńska straż towarzyszyła mi z rozkazem, aby mnie z miasta puszczono.

Tak nagle, ledwie się przepasawszy, w słotę okrutną, po nocy w drogę samoczwart puścić się musiałem.

Koni mi nie kazano żałować, to też ich nie szczędziliśmy, drogę jak najprostszą wybierając, przewodników opłacając, tak, że trzeciego dnia już w mil dwie od Boglewa stanąłem na spoczynek w gospodzie.

Po drodze tak dobrze jak z nikim się nie spotkawszy, o nic też rozpytywać nie mogłem; tu dopiero szlachtę, dwu panów Robockich zastawszy, którzy koniom popasali, gdym z rozmowy ich o Boglewie coś pochwycił, przystąpiłem do nich, zapytując, czyby nie wiedzieli, co się tam stało.

— Jakże wiedzieć nie mamy? — podchwycił starszy Marek, gdym mu się, jako dworzanin starosty krakowskiego nazwał. — Naokół o niczem nie mówią, tylko o tej historji krwawej. Jakóba Boglewskiego zabito.

— Kto? jak? — krzyknąłem przerażony.

— Kto? Gach! — odparł drugi Robocki — a do tego duchowny i dygnitarz — ks. Jan Pieniążek.

Porwałem się, przecząc, ale mi usta zamknęli.

— Posłuchajże wasze, bośmy sąsiedzi, a Marek zaraz po dokonaniu zbrodni na miejscu był i na swoje oczy trupa oglądał. Całemu światu wiadomem było,

że Pieniążek do pani Doroty Boglewskiej od lat wielu dojeżdżał. Pan chorąży czerski na to nie zważał, bawili się z nim razem przyjacielsko. Przestrzegali go ludzie, że zdrajcę żywi w domu, śmiał się z tego. Człek był łagodny i spokojny... Trwało tak długo, archidiakon do Boglewa, jak do domu, zajeżdżał, a tygodniami przesiadywał. Przybywał nie sam, zwykle ze sługami i dworem, a że chorążego ludzi opłacał i umiał ich sobie pozyskać, panią miał za sobą, fraucymer jej też, więc mu tu było wygodnie i bezpiecznie... Gdy chorąży wieczorem, podpiwszy, spać legł, a skryba jego Adam Jaszczułkowski na straży przy nim siedział, Pieniążek czynił, co chciał... Naostatek przebrała się miara, ślepy chorąży cokolwiek przejrzał, ludzie go podbudzali, a szczególniej brat, wojewoda mazowiecki. Ale i teraz chciał w dobry sposób pozbyć się gacha i we cztery oczy mu oświadczył, iż go więcej w domu cierpieć nie będzie, bo mu brat i ludzie tem dojadają.

Oparł się archidiakon, lecz na ten raz chorąży twardo stanął.

— Zadajcie kłam ludziom, co na moją żonę i na was potwarz rzucają; oddalcie się, inaczej wojewoda mi tę krzywdę uczyni, że się sam za mną, jak za małoletnim i niedołężnym ujmie... Jedźcie i nie powracajcie.

Na to oświadczenie wpadła podsłuchująca żona, stał się hałas wielki i kłótnia, ale chorąży nie ustąpił; wyłajała go żona, sfukał archidiakon, zawrócił się od nich i szedł precz do swej sypialni... Co się potem stało, różnie opowiadają. Pieniążek do gościnnej izby ze swymi przyjaciółmi poszedłszy, wezwał do niej Jaszczułkowskiego, którego mówią, że spojono, czy też obietnicą zapłaty ujęto... Chorąży spał spokojnie, gdy Jaszczułkowski z Plichtą i Komeskim do izby jego wtargnęli i skryba go spisą, którą przyniósł, w piersi raził, w czem mu dwaj przyjaciele księdza pomagali, tak, że ciało całe na sztuki niemal zrąbane i skłute nazajutrz znaleziono... Czy sam Pieniążek ze zbójcami był, niewiadomo...

Gdy mi to Roboccy opowiadali, włosy na głowie stawały i płakać się chciało nad losem ojca.

— Cóż się z Pieniążkiem stało? — zapytałem strwożony.

— Nie dał się ująć, a może też i niebardzo z tem pośpieszono; teraz zaś, gdy z Łęczycy z nowymi przyjaciółmi w świat się puścił, sukienkę duchowną zrzuciwszy, niełatwo kto go dostanie.

Takim sposobem wiadomość otrzymawszy, gdym już we dwie mile od Boglewa był, a o prawdzie tego, co mi opowiadano, wątpić nie mógł, rozmyśleć się musiałem, co dalej czynić. Będąc sługą Pieniążków, wojewodzie mazowieckiemu w ręce wpaść bezpiecznem nie było. Posądzić mnie mógł o jakie wspólnictwo z winowajcą, o wywiadywanie się na korzyść jego.

Do miejsca więc dotrzeć nie było sposobu, lecz do sąsiedniej wioski dostawszy się, tu dzień cały na przysłuchiwaniu się opowiadaniom spędziłem.

O niczem też więcej nie rozprawiano, a choć się różniły wieści te i ludzkie języki, jak zwykle, przerabiały je każdy na swój sposób, jedno się przecież stale powtarzało — jawna wina księdza, którego okolica znała, jako człowieka zuchwałego i rozpasanego.

W Boglewie, jak mi mówiono, wojewoda, który do brata przywiązanym był, zbierał wszelkie dowody winy bratowej i głośno się odgrażał, że ją, wedle prawa, żywcem zakopać da, a współwinnemu, gdyby i do papieża przyszło z żałobą iść, nie przebaczy.

Tak nieszczęśliwe moje poselstwo sprawiwszy, nie pozostawało mi już nic, tylko do Krakowa powracać. Konie były półżywe, więc pośpieszyć nie mogłem, a nie było też z czem, bo starosta na to, co się stało, radzić już nie był w mocy, a pocieszyć go nie miałem czem.

Powlokłem się więc nazad, dawszy spocząć koniom i sobie.

Drugiego dnia, gdyśmy bory przebywali, przyszło pod noc stanąć w nędznej gospodzie. Zaparta szopa wewnątrz pełną być musiała, bo nam jej otwierać nie chciano.

Ludzie starościńscy, ze mną jadący, nie nawykli do tego, aby komu ustępowali, gwałtem się do zapartej gospody włamywać zaczęli. Nimem ich powściągnąć mógł, otworzyły się wrota, i wypadło na nas kilku ludzi z szablami.

Z izby też gospodarz z łuczywem wybiegł i przy świetle jego z wielkiem mojem podziwieniem i strachem, zdało mi się, żem poznał archidiakona. Już do bójki przyjść miało, gdym na próbę w głos krzyknął, iż ze dworu starosty Pieniążka jesteśmy.

Na ten głos przypadł do mnie archidiakon, gdyż on to w istocie był, nacierając, kto byłem i z czem jechałem. Księdza już w nim nic nie pozostało, przebrał się był bowiem po rycersku, miecz przypasał i raczej do zbójcy był podobnym.

Na pytanie nie zawahałem się odpowiedzieć, że właśnie za nim wysłanym byłem, abym języka dostał. Tu broń złożywszy, razem z nim wszedłem do gospody.

Kroczył przodem zuchwale, a nie widać było po nim, aby za zbrodnię popełnioną skruchę miał wielką. Gniew nim tylko miotał.

— A! starosta was wysłał za językiem? powiedzcież mu, że Boglewskiego nie stało... Jam nie winien, nie tknąłem go. Gawiedź pijana uprzątnęła, ale na mnie i na żonę winę zwalą. Nie myślę się też dać ująć; sutannę zrzuciłem, księdzem nie będę, a gdy dla mnie tu bezpieczeństwa niema, no... to i drugim ze mną bardzo bezpieczno nie będzie.

Począł się śmiać dziko i zwracając nagle ku mnie, spytał:

— Nie mówili wam, co się z Dorotą stało?

— Uszła była, lecz powiadają, że ją pochwycono. Listy też jej ma w ręku wojewoda.

Zachmurzyło mu się czoło.

— Mnie nie wezmą! — odezwał się porywczo — nie dam się. Jeśli mi ojciec nie postara się o środki do ucieczki... no... będę, jak drudzy, polował po drogach na kupców. Ludzi do tego znajdę. Jest takich dosyć, co chorągwi szukają.

Ręką zamachnął, ale pomimo tych odgróżek twarz miał zrozpaczoną i posępną. Stał kubek z napojem jakimś, wychylił go zapalczywie duszkiem i padł na ławę. Podniósł powoli głowę.

— Co tu myśleć — rzekł; — dobrze, żeście mi w ręce wpadli, ludzi starościńskich i was zabieram. Nie jestem z tą małą garścią bezpiecznym.

— Ja się zabrać nie dam — odparłem stanowczo.

Poruszył głową, nie nalegając.

— No, to jedź sobie do stu katów sam — odparł; — ojcowskie sługi do mnie należą, tych nie dam.

I zerwawszy się z ławy, do szopy biegł do swoich, ja też za nim, aby mi czeladzi nie bałamucił, ale drzwi przede mną zaparł.

Usłyszałem głosy, wrzawę, spór i nawoływanie, poczem jakoś ucichło i archidiakon powrócił zwycięsko.

— Czeladź mojego ojca zostanie ze mną, przykazałem im, słuchać muszą; wy, jeśli cało chcecie wynijść, nie zadzierajcie ze mną. Życia ludzkiego tak dalece nie ważę, podziękujcie, jeżeli was puszczę. Tegobym może nie uczynił, ale ojcu donieść powinniście o mnie... Powiedzcie mu, że w lasach tych siedzieć będę, że kupę zbiorę i żywić się postaram, jako zmogę. Chceli tego uniknąć, niech mi da z czem ujść, choćby za morze, już mnie tu nic nie trzyma.

Nie chciałem z nim rozprawiać, anim myślał nawracać. Dałem mu pleść, co chciał, a sam, w kącie na ławie siadłszy, całą noc przebyłem, drzemiąc, dopókiby nie rozedniało.

O brzasku ksiądz też zawołał na ludzi o konie, nie chcąc tu być dłużej; poszedłem do czeladzi, sądząc, że ochłonąwszy, pojedzie ze mną, ale pachołkowie księdza pilnowali moich i jak więźniów ich trzymali: ani mi dali przystąpić do nich. Musiałem sam sobie konia wyprowadzić, a miałem wierzchowca doskonałego, deresza, którego ledwie zoczywszy, Pieniążek uzdę mi z rąk wyrwał i zabrał go sobie. Sakwy nawet i siodła nie mogłem ocalić, gdyż natychmiast swoich koni po-

dosiadawszy, jednego luzem prowadząc, mnie pieszego zostawili, śmiejąc się na pożegnanie.

W sakwach znajdowały się suknie i część pieniędzy starosty, szczęściem, żem coś grosza miał w małej kalecie u pasa. Zostałem tak więc pośród lasu sam jeden i pieszo.

Dróg nie znając, gdy w puszczy łatwo się było obłąkać, musiałem pozostać, oczekując, ażali na wielkim gościńcu nie trafi się podwoda do Krakowa, lub kupcy albo szlachta, coby mnie poratować mogli.

Nazajutrz o głodzie, dosyć czasu zmarnowawszy, nędzną szkapę opłaciwszy we dwoje, ruszyłem już sam, Bogu się oddając. Dowlókłem się tak nareszcie na tej marsze, co ledwie nogi dźwigała, do Krakowa, a gdym wrota miejskie ujrzał, serce mi zabiło z radości i z niepokoju.

Com miał powiedzieć ojcu, co zataić?

Cichaczem wprowadziwszy konia do stajen, poszedłem naprzód wypocząć. Nie było się z czem śpieszyć.

Marszałek i Sołtysiak, z którymi się spotkałem, oznajmili mi, że staroście wszystko już było wiadomem, bo mu bezlitośnie dał o tem znać listem wojewoda mazowiecki, jego za syna czyniąc winnym. Starosta w łóżku leżał, modlił się i płakał.

Myśli zebrawszy, poszedłem do niego. Porwał się, zobaczywszy mnie.

— Wszystko już miłość wasza wiecie — rzekłem;— nic nowego nie przywożę.

— Zgubił siebie ten człowiek — załamując ręce, odrzekł starosta — i okrył nas sromem. Śmierci mu już życzyć tylko!

Długo nie mogłem się zebrać na to, aby mu o mojej przygodzie opowiedzieć, lecz skryć całkiem dla ludzi, których z sobą miałem, nie było podobna.

Co dalej z Pieniążkiem miało się stać, przewidzieć było trudno; tymczasem, zebrawszy sobie ludzi, po lasach się tułał, po gościńcach i na dwory najeżdżał, gdzie wiedział, że siła czeladzi nie było. Gwałtem sobie gospodę z nich czynił, jeść, pić i obroki dawać rozka-

zywał, siedział dzień i dwa, zabierał, co mu się podobało i ruszał dalej.

Szczególniej na Mazowszu, które znał dobrze, a w lasy ono obfitowało, udawało mu się tak bezkarnie snuć, ludzi szacować i drwić z tych, co za nim gonili. Były bowiem wydane listy gończe, ale nikt tak bardzo się nie troszczył o pochwycenie Pieniążka, a wiedziano dobrze, iż się nie da wziąć gołą ręką i bronić będzie, bo nic nie miał do stracenia.

Wprawdzie mimo zbrodni niesłychanej i winy jawnej, jako duchownego władza świecka nie mogła karać, a duchowna byłaby go oszczędziła, zamknąwszy na życie do więzienia — ale rozpasanemu człowiekowi do skruchy i pokuty było daleko.

Osobliwsze też pobłażanie okazano dla Doroty Boglewskiej, którą zakonnicy warszawscy św. Franciszka wyprosili, że jej ujść i skryć się dano tak, że kary uniknęła. Uczynili to nie dla niej, ale dla Rogalów z Sudocina, których była dzieckiem, aby sromotna kara i jej wspomnienie nie spadło na rodzinę.

Adama tylko Jaszczułkowskiego, pochwyconego, osądzono na poćwiertowanie i wyrok na nim spełniono.

Ale tego wojewodzie mazowieckiemu nie było dosyć; chciał za krew brata karać i żonę niewierną, i Pieniążka uchwycić. Z jego to naprawy rozstawione były czaty i ludzie czyhali na archidiakona, ale on zwinniejszy był od nich i pod nosem im się przesuwał, naigrawając. O wszystkiem zaś będąc uwiadomiony przez ludzi przebiegłych, których do posług zażywał, gdy mu ci dali znać, iż Dorota uszła na Pomorze, o tem już tylko myślał, jak się z nią połączyć.

Do tego jednak potrzeba mu było pieniędzy, których nie miał, a od ojca je chciał wyciągnąć.

Był więc tak zuchwałym, że przebranego Plichtę, który do zabójstwa należał, przysłał do nas do starosty z pismem, wprost się domagając, aby mu tyle a tyle grzywien przysłał, chceli, aby imię jego nie zostało zhańbionem. Wiedział dobrze o tem i on, i Plichta, że starosta go sprawiedliwości nie wyda.

Nigdym człowieka na takie srogie męki wystawionym nie widział, jak był naówczas stary Pieniążek.

Silniejszej woli a mocy nad sobą każdy inny wiedziałby odrazu, co ma czynić i przebolawszy, szedłby obraną drogą. W staroście miłość dla syna, przywiązanie do imienia i rodziny, chęć uniknięcia sromu i obowiązki sumienia walczyły. Widywałem go tak pasującym się z sobą, modlącym, z rękami zaciśniętemi, z czołem okrytem potem, oddanego na łup myślom, które go, jak owe Harpje, szarpały. Nie mówił nic, lecz widać było, co cierpiał, jak się uspokajał, postanowienie uczyniwszy, potem się wahał i wyrzucony zkolei znowu drogi szukał, a znaleźć jej nie mógł.

Plichtę starosta odprawił z groźbą, fukiem, grosza nie dał, konia jego ze stajen kazał wygnać, jego samego, jak zapowietrzeńca, wypędzić ze dworu, i zapowiedział mu, jeśliby śmiał tu bawić dłużej, że go do więzienia wtrąci.

Synowi zaś kazał tylko rzec, że go za dziecko swe znać nie chce, wyrzeka się i zakazuje mu zgłaszać się do siebie. To uczyniwszy, biedny rozpłakał się potem jak bóbr, bo mu Jaśka tego żal było, a ratunku nie widział.

Pocieszałem go, jak mogłem, choć w takiem cierpieniu Bóg jeden, a czas drugi tylko pociechę przynoszą.

Co rano przychodziłem do starosty, gdy w łóżku jeszcze leżał, wrzekomo po rozkazy, a w istocie dla słuchania skarg i użaleń nad losem, jaki go spotkał.

Byłem już do tego nawykłym i niemal jednemi słowami zawsze starałem się go pocieszać.

Tego dnia, gdym z proga spojrzał na bladą twarz jego, postrzegłem w niej zmianę wielką. Widać było wysiłek ogromny, ale jakieś postanowienie twarde. Zerwał się z łoża i, nie poczynając, jak zwykle, od opowiadania mi o złowrogich snach swoich i t. p., zawołał:

— Jedziecie ze mną!

— Dokąd? — zapytałem.

Zawahał się nieco.

— Król mnie posyła, sprawa bardzo ważna; wybierzcie się tak, abyście choć i miesiąc ze mną mogli trwać.

Widząc go osłabłym, znękanym, a i wiekiem przyciśniętym, odezwałem się, że mógłby go kto zastąpić.

— Nikt, — odparł żywo i silnie — nikt! Sam muszę jechać. Wolę zresztą tułać się już po gościńcach, niżeli tu siedzieć i w każdych oczach czytać pogardę, albo równie upokarzającą litość.

Wnet się przyodziewać zaczął, a oddział, który mu miał towarzyszyć, był już gotowym. Dobrano najlepszych ludzi, najwytrwalsze konie, a i liczba naznaczona była niemała, bo wynosiła przeszło pięćdziesiąt koni.

Z kierunku drogi zmiarkowałem, iż na Mazowsze lub do Litwy zmierzamy, co dawało do myślenia, iż się może gdzieś z królem połączymy.

Takeśmy zaciągnęli do nędznej mieściny w okolicy Czerska, której nazwiska nie pamiętam.

Na noclegu starosta Żydów kazał zwołać i na osobności długo z nimi konferował i radził. Nazajutrz mieliśmy odpoczywać dzień cały. Postrzegłem, że Żydy się rozbiegły, ruch pomiędzy nimi był wielki, a starosta cały dzień z głową rękami uciśniętą, za stołem siedział milczący. Wieczorem Żydki mu jakąś wiadomość przynieśli. Tu, gdy już noc zapadała, a myśmy się zabierali odpoczywać, nagle Pieniążek wydał rozkaz na koń siadać, samopały gotować i ruszać.

Z mieściny wyjechawszy, chociaż noc była ciemna, za przewodem zdążając, jechaliśmy bezpiecznie, a trwało to niemal do północy, cośmy po gwiazdach poznawali. W zaroślach nakoniec okazał się dworek czy chata.

Przewodnik zawrócił do Pieniążka i ukazał mu go. Stary drżącym głosem wydał rozkaz, ażeby dwór tak opasano dokoła, iżby się z niego żywa dusza wymknąć nie mogła.

Gdy mówił, tak mu się słowa plątały w ustach niewyraźne, jakgdyby je łkanie przerywało.

Starościńscy ludzie do różnych wypraw dosyć byli nawykli i zręczni. Zmiarkowawszy więc, że szło o pochwycenie jakiegoś zbiega, natychmiast się ustawili, osaczyli zabudowania, a nas gromadka wpadła ze starostą na podwórzec.

Wtem ze dworku napół odziany wypadł ksiądz Pieniążek i oko w oko z ojcem się spotkawszy, osłupiał...

— Wiązać go! — zakrzyczał starosta.

Ten uszom swym wierzyć nie chcąc, gdy się z obroną ociągał, pachołków dwu skoczyło, obaliło go i skrępowało.

Pieniążek na koniu stał, z ustami zaciśniętemi, jak skamieniały, a w blasku ognia widziałem, że mu się łzy toczyły po twarzy.

— Ojcze! — krzyknął leżący na ziemi.

— Ojca tu niema! — zawołał starosta — jest sędzia tylko, jest z urzędu szukający pomsty. Nie mam syna! Znieważyłeś matkę swą, kościół, zhańbiłeś siwe ojca włosy... — kara cię minąć nie powinna.

— Na koń z nim i za mną! — dodał, zwracając się do swoich. — Kto mu pofolguje, szyją mi za to odpowie.

Wszyscy my, cośmy starostę znali, pewno niemniej od syna byliśmy zdumieni jego postępkiem. Było w tem coś tak bohaterskiego, tak strasznego razem, tak potężnego, iż człowiek ten obudzał dla siebie poszanowanie.

Ksiądz, którego na konia wrzucono, w początku tak był przerażony, iż się nawet nie odzywał; potem go szał jakiś porwał, zaczął krzyczeć, łajać, pienić się i rzucać.

Ojciec jechał, wzdrygając się za każdym wrzaskiem, ale nieporuszony.

— Wydasz mnie więc katom... ty! ojciec własny!... ty, coś winien, jako ja, boś mnie w tę przyodział suknię... ty bezlitościwy oprawco!

Raz tylko zatrzymał się na koniu Pieniążek i nie śmiejąc oczu na niego obrócić, aby od widoku tego nie zmiękł, odparł:

— Wydam cię... tak, abyś pokutował i duszę zbawił, abyś jeśli nie w tem, to w przyszłem życiu był ocalony. Niech cię sądzą, a Bóg miłościw będzie. Lepiej gardło dać, niż brnąć w zbrodniach bez opanowania. Wydam cię, bom powinien!

Gdybym na to wszystko własnemi nie patrzył oczyma, gdybym nie był świadkiem, nie wierzyłbym może temu, tak jak w całej Polsce w początku miano to za baśń; a gdy się ludzie przekonali, iż starosta heroicznego tego czynu dokonał, inaczej go szacować zaczęto. W tym słabym człowieku był przecież mąż wielkiego ducha.

Stawił syna sam starosta przed sądem, a gdy łkając i cały zalany łzami dopełniał tego czynu, nie było człowieka, któryby z nim razem nie płakał.

Archidiakon, który w drodze krzyczał, rwał się i ojca a matkę przeklinał, potem jakby zdrętwiał. Milczał i dał z sobą czynić, co chciano, ale skruchy nie okazał żadnej.

Zaraz potem stary Pieniążek, uprzedzając króla, sam urząd swój złożył.

Miłosiernie jeszcze dosyć osądzono winowajcę, którego w więzieniu w Iłży w głębi wieży osadzono i pozostał tam półczwarta roku, a potem już i słychać o nim nie było.

Pieniążek mój cały się potem oddał pobożności i usunął się od świata, więc i dwór swój rozpuszczał. Chciał w początku zatrzymać mnie, bo był nawykł, ale i mnie, i jemu się to nie mogło zdać na nic.

W tej bezczynności lat kilka spędziwszy, pragnąłem innego życia, i pożegnawszy starostę, który mnie po ojcowsku odprawił, nagrodziwszy, pozostałem w Krakowie, rozpatrując się, w którą mam iść stronę, co z sobą robić.

Króla podówczas, jak zwykle, nie było na zamku, Zadory też, poczciwego przyjaciela mojego, z którym radbym był mówił i radził.

Wprosiwszy się na komorne u znajomego kupca, Suki, czas spędzałem na modlitwie i rozmowach ze

znajomymi. Ciągnęło mnie do kolegjów, do nauki, a i inni namawiali, ale potrzeba było sukienkę wdziać i stan razem duchowny obrać, a tegom się obawiał.

Nawet smutna historja młodego Pieniążka nauczyła mnie, iż płocho, a bez powołania wdziewać sukni i obowiązki z nią połączone brać na się nie godziło się. Może i wspomnienie Luchny, które mnie nie opuszczało, jakąś niedorzeczną karmiąc nadzieją, wstrzymywało.

Pomiędzy kupcami i mieszczanami mając znajomych i przyjaznych wielu, gdym we dnie z profesorami i po kolegjach się zabawiał, wieczorem zawsze miałem gdzieś iść i odpocząć w weselszem towarzystwie.

W pamięci mając, iż w kościele Św. Trójcy moją umiłowaną Luchnę widziałem raz ostatni, gdy kościół po pożarze wprędce znowu pokryto i otwarto, chodziłem się do niego modlić.

Jednego ranku, gdy w ławce ukląkłem, patrzę, Nawojowa Tęczyńska, ta, która mnie prześladowała i na życie moje godziła, klęczy, modląc się, a za nią druga niewiasta, której chociaż nie poznałem, serce mi bić na widok jej zaczęło. Gdy głowę podniosła — o Boże miłosierny, poznałem Luchnę! Tak, ona to była, chociaż zmieniona, blada i twarzy zmęczonej. Postrzegłszy mnie, dała mi głową znak, abym się ani zbliżał, ani jej chciał poznawać.

Nie odpędziłaby mnie może nawet Tęczyńska, choć niewymownie się jej obawiałem, czując w niej razem matkę i nieprzyjaciółkę, ale Luchny rozkaz był dla mnie świętym.

Tylem tedy pociechy miał, że się z za słupa przypatrywałem jej, a niekiedy chwytałem wzrok ku mnie skierowany, msza mi jak jedno oka mgnienie przeszła.

Za słupem pozostawszy, widziałem, jak wychodziły obie powoli.

Nawojowa się obróciła, jakimś wzrokiem smutnym a roztargnionym odnowionym murom się przypatrując, i nim miałem czas za słup się skryć, zobaczyła mnie.

Myślałem, że nie pozna, lecz tymczasem brwi się jej ściągnęły strasznie, wzdrygnęła się i nagle dała mi znak, abym się zbliżył.

Nie śmiałem być nieposłusznym, podszedłem powoli.

Zmierzyła oczyma moją dosyć ubogą odzież i rzekła tylko nakazująco:

— Pójdźcie za mną!

Luchna pod ten czas ani spojrzała na mnie. Zboku widziałem twarz jej bladą, jak ściana.

Wyszliśmy razem z kościoła, a Nawojowa ani się już obejrzała na mnie, szła zadumana i nadąsana, co poznać mogłem po rzucaniu ramionami i chodzie niecierpliwym.

Wiodła mnie tak za sobą aż do dworu starosty rabsztyńskiego, który zajmowała.

Tu w sieniach Luchna się obejrzała ku mnie z politowaniem jakiemś i znikła pośpiesznie. Nawojowa prowadziła mnie do wielkiej izby gościnnej, w której nikogo nie było. Stanąłem u progu. W milczeniu zrzuciła z siebie zasłonę, okrycie, a czyniąc to i niekiedy mierząc mnie oczyma, okazywała taką niechęć, taką złość prawie i wstręt, że nie mogłem pojąć, poco mi iść za sobą kazała, nie mogąc spojrzeć na mnie bez odrazy.

Było to tak wyraźnem, że omylić się nie mogłem. Czekałem jak na mękach, podczas gdy ona im dłużej się nie odzywała, tem snać wewnątrz burzyła się mocniej, aż gdy zniecierpliwienie jej doszło do najwyższego stopnia, wybuchnęła.

— Wiecznież ja ciebie na mojej drodze będę spotykać? — krzyknęła. — Co tu robisz? Czego tu siedzisz? mało ci świata? Czemu rady poczciwej nie słuchasz i nie pójdziesz się gdzie zamknąć w klasztorze? Spodziewasz się? Czego się ty spodziewać możesz?

Szybkim krokiem, obejrzawszy się po izbie, przystąpiła tak blisko do mnie, żem uczuł oddech jej przyśpieszony. Widząc, że nikogo nie było, dodała pośpiesznie, ale stłumionym głosem:

— Ty wiesz, że jestem matką twoją, tak, jestem nią, za grzechy moje, za pokutę, na srom! I brzydzę się tobą, tak jak nienawidzę zdrajcy, co się zwie ojcem twoim. Dlatego patrzeć na ciebie nie mogę, śmierci ci życzę, jak jemu. Idź, uchodź... niech się pozbędę raz ciebie, gotowam do ofiar... Wdziej suknię i zagrzeb się gdzie w klasztorze, a niech ja o tobie nie słyszę i nie wiem, jakby cię na świecie nie było... I dla niego chcę, abyś zginął, aby, jeżeli ma litość jaką nad tobą, zamiast niej, zgryzotę miał tylko. Jako matka mam prawo ci rozkazywać i tobą rozrządzać.

Pierwszy to raz od mojego dzieciństwa przyznawała się do macierzyństwa. Serce mi uderzyło takiem dziwnem uczuciem jakiemś błogiem, że mimo nienawiści, jaką mi okazywała, ukląkłem, chcąc rąbek jej szaty ucałować.

— Zlitujże się nade mną! — wyjąknąłem — matką się wyznajesz, okaż macierzyńskie serce. Nigdy ci wstydu nie uczynię, nie wydam tajemnicy, zamknę ją w sobie, ale nie odpychaj mnie.

Nawojowa cofnęła się ze wstrętem.

— Precz, nie tykaj mnie! — zawołała. — Ty jesteś jego dzieckiem, nie mojem, a co tylko od niego idzie, co go przypomina, znienawidzone! przeklęte! Precz ode mnie!

I rzuciwszy się wtył, poczęła głosem wzburzonym:

— Idź, zagrzeb się, ukryj, gdzie chcesz! Spodziewasz się od kogoś może uznania, łaski, opieki. Nikt, nikt się nie zaopiekuje tobą, boby się zdradził, ani ja, bo jesteś dla mnie ohydą.

Wstałem zwolna.

— Nie czuję się winnym w niczem i nikomu — rzekłem. — Za cóż mam być karanym i pokutować?

— Boś się nie powinien był rodzić! — krzyknęła, załamując ręce, i zaczęła płakać z gniewu. — Całe moje życie zatrute przez niego i przez ciebie.

Szlochała, oczy zakrywszy, ja milczałem; co się w mojej duszy działo, tego wypowiedzieć nie umiem. Byłem przybity, nieszczęśliwy nad wyraz wszelki, umę-

czony, wylękły, a ponad temi uczuciami, jakby cudem, górowała słodka ta myśl, żem znalazł, że miałem matkę.

Nawojowa chodziła po wielkiej komnacie, poruszona, pomrukując wyrazami niezrozumiałemi, stawała naprzeciw mnie, wpatrywała się i zakrywała sobie oczy. W ostatku wyciągnęła rękę ku mnie i grzmiącym głosem zawołała:

— Precz!

Pochwyciłem rękę tę, którą zbliżyła ku mnie, i wyrywającą się, łzami oblewając, całowałem.

Krzyk się wyrwał z jej ust, targnęła silniej, wychwyciła mi ją i w chwili, gdym wychodził, padła napoły omdlała na krzesło.

Krzyk jej posłyszawszy, sługi wchodziły właśnie, gdy ja, drzwi za sobą zamknąwszy, uciekałem z tego domu, w gorączce jakiejś i jakby nieprzytomny.

Nie myśląc nawet, dokąd się skieruję, samym zwyczajem i nałogiem skierowałem się do mojego mieszkania, padłem tu na łóżko i, rozmyślając a dręcząc się, ległem na nie.

Miałem to postanowienie, by, jeżeli nie z kraju ustąpić na zawsze, to przynajmniej z Krakowa się wynieść i nigdy tu nie powracać. Uznała się matką moją, winienem jej był to, abym życia nie zatruwał. Szerokie kraje nasze dawały mi możność przeniesienia się i skrycia w odległej ziemi jakiej, na Rusi, na Mazowszu, w Wielkiej Polsce, na Litwie wreszcie.

Ale uchodząc z Krakowa, musiałem się wyrzec tego, co mi było najdroższem, nadziei, aby król kiedy znowu do łaski mnie swojej przypuścił. Musiałem się skazać na wiekuiste sieroctwo.

Niepewnym jeszcze, co mam czynić, ale już szukającym służby jakiejkolwiek w oddalonym gdzieś kącie znalazł mnie powracający Zadora.

Nie miałem ja tajemnic dla niego, ale tego, co mi wyznała matka, zwierzyć mu nie mogłem. Nie przyznałem się nawet do widzenia z nią.

Powiedziałem mu tylko, że mi Kraków obrzydł, że chcę zmienić powietrze i ludzi, a gdzie indziej może szczęśliwszym będę, niż tu, bo mi się jawnie nie powodziło. Zadora się nie sprzeciwiał, żądał tylko, abym mu dawał znać o sobie.

W rozmowie z nim, gdyśmy rozbierali, dokąd się mam udać, Zadora mi poradził Wielkopolskę, szczególniej dlatego, że ona królowi sprzyjała i on tam miał najwierniejszych sobie. Nie mogłem przewidzieć wówczas, nie znając tam nikogo, jak nieszczęśliwie, a właśnie tam popadnę, gdziem nie był powinien.

Ale już po drodze rozpytując ludzi, szukając wiadomości o tem, gdzieby służbę jaką najłacniej znaleźć można, przekonałem się, że u kasztelana więcej dworu było, niż potrzebował, i do niego się dostać nie było podobna. Czyniono mi zato nadzieję, że u innych łacno ją znajdę. Wymieniał mi jeden i drugi Władysława z Domaborza, o którym głoszono, że ludzi siła zbierał i zawsze ich potrzebował.

Powiadano, że hojnym był, sługi swe wynagradzał szczodrze, i to mi tylko nie w smak w nim się znalazło, że do Toporczyków należał, zatem był w jakimś związku krwi z Tęczyńskimi, choć w Krakowie o tem wcale słychać nie było.

Nie dojechawszy do Poznania, bo tubym się był może inaczej rozsłuchał i rozpatrzył, na popasie mi się trafiło zetknąć z gromadką zbrojnych, której dowódca wesoły a gadatliwy człowiek, gdyśmy się rozmówili, oświadczył się mnie wprost do Domaborza z sobą prowadzić i ręczył, że służbę dostanę.

Oddział jego, powracający z jakiejś wycieczki, o której, śmiejąc się, półgębkiem gadano, wiózł z sobą łup i tak mi się wydał, jakby wprost, najazd gdzieś szczęśliwie dokonawszy, z grabieżą śpieszył do pana.

Ale naówczas trafiało się nieraz, że ludzie sobie sami musieli sprawiedliwość czynić, i nikogo to nie dziwiło. O zbójectwo żadne pana takiego, jakim głoszono Władysława z Domaborza, ani mi się śniło posądzać.

Wiedziałem, że był synem wojewody inowrocławskiego, Macieja, a za żonę miał córkę Wacława, księcia na Raciborzu, której siostrę wziął Ostroróg. Słyszałem o tem, że do Prus królowi oddziały prowadził, które się o należny żołd potem zbuntowały, ale to zagodzono.

Dowódca oddziału, Mazur Szeliga, który bez miary wiele opowiadał i rad był, że nowego człowieka do słuchania schwycił, już gdyśmy w drodze byli do Domaborza, wygadał się z tem, o czem nie wiedziałem dotąd i za późnom się dosłyszał tego, że Domaborski z Piotrem z Szamotuł starostą był w otwartej wojnie.

Nicem nie rzekł na to, ale mi się zrobiło markotno, bo wojna ze starostą tyle znaczyła, co z królem. Teraz zaś z rąk się wyrwać Szelidze nie było sposobu.

Ciągnął mnie z sobą, wiele z tego obiecując, żem do wszystkiego im służyć mógł, i do konia, i do pióra, a oni właśnie takich potrzebowali.

— Poznacie naszego Władka! — mówił, tak poufale pana swojego zowiąc — takich ludzi na świecie mało. I głowa u niego i serce, i ręka równie tęga. On powinien w Wielkiej Polsce ster trzymać, dopieroby z tem i królowi, i nam, i ziemi całej dobrze było. Ale na to potrzeba, abyśmy się wprzód Szamotulskiego pozbyli.

I śmiejąc się, dodawał:

— Niechajno! Przyjdzie i do tego!

Z tych rozmaitych nieostrożnie wygadanych wiadomostek już mi dojeżdżając do celu nie w smak było, żem się wplątał i dał tak lekko ująć.

Nie byłem jednak związany niczem i obiecywałem sobie, że nie ugodziwszy się z Domaborskim, będę się mógł wycofać.

Zdala zamczysko i dwory pańskie wydawały się bardzo pokaźnie i obronnie.

Osada była znaczna, ludzi mnóstwo, dwór, żołnierz, straże, jakgdyby jutro na wojnę ciągnąć mieli. Ruch na zamku o trzech podwórcach ogromnych panował

wielki. Szeliga mnie z sobą do swoich izb zabrał, kazał spoczywać, sam oświadczył się panu mnie zalecić.

— A no, musicie poczekać, bo nasz Władek siła na głowie ma, przystęp do niego niełatwy.

W istocie postrzegłem, że ludzi tu różnych napływało wielu, posłańcy wychodzili i przybywali ciągle, oddziały wyprawiano, inne ściągały, a szlachty różnej było mnóstwo. Na dolnym zamku, jak go tam zwano, stoły były ciągle zastawione, gawiedzi koło niej mnóstwo, przyjęcie niewytworne, ale piwa i mięsa ladajakiego nie skąpiono.

Ponieważ i mnie tam do jednego stołu posadzono, a uważano za swego, w rozmowie zaraz dowiedziałem się, że powracał jeden oddział, który plebanję sąsiednią złupił. Inni opowiadali o kupcach z Kijowa, których przed niewielu tygodniami z życiem tylko w koszulach puścili.

Uszom nie dowierzałem, ale niepodobna było wątpić; wielki ten pan, syn wojewody, Toporczyk, łupieżą się po gościńcach zabawiał, nie znajdując w tem nawet nic zdrożnego.

Oprócz duchownych, których tu wcale widać nie było, wszelkiego stanu ludzi jak mrowia się ściągało, za rozmaitemi sprawy, z któremi aż na górny zamek ich prowadzono. Na dole gawiedź zbrojna miała rozpasane języki i wygadywała o sobie i swych wyprawach dziwne rzeczy, którym się wierzyć nie chciało, gdy na górnym zamku coś jakby tajemniczego się odbywało: narady, zjazdy, znaki i hasła niezrozumiałe.

Już mi się tu przykrzeć zaczynało, gdy rano trzeciego dnia Szeliga mnie poprowadził na zamek górny do pana.

Tu może, aby mi okazać jego możność i bogactwo, przywiódł całym szeregiem izb, bogato poprzystrajanych i kazawszy jeszcze czekać w przedsieni, gdzie czeladź liczna stała, wwiódł do sypialni Domaborskiego.

W sile wieku, olbrzymio zbudowany, krzepki, zuchwałego oblicza, stał właśnie, trzem różnym urzędnikom wydając rozkazy.

Gdym próg przestąpił, dosłyszałem ostatek wyrazów do uzbrojonego rycersko, przed nim stojącego mężczyzny, głośno wyrzeczonych:

— Zakrystję wasze opatrz, a co się sreber znajdzie, zabrać; król bierze też na wojnę, a mnie dla żołnierzy potrzeba.

Skinął i odprawił go. Spojrzał potem zgóry na mnie, ale mu moja wysmukła postać i chudzizna a bladość niebardzo się podobały. Zmarszczył się i usta wydął.

— Mówił mi Szeliga, że służby chcecie, u mnie jest dowoli — rzekł, — ale do szabli z was niewielka byłaby pociecha. Mnie takich potrzeba, coby już z pałek wyszli, a na was jeszcze młode pierze... Ale piszesz i czytasz?

Potwierdziłem to.

— Mnie w mennicy pisarza potrzeba — rzekł, bystro spoglądając na mnie, i gdy spostrzegł na twarzy wyraz zdziwienia, rozśmiał się szydersko. — Tak, jest na zamku mennica... Prawda, bez królewskiego pozwolenia szelągi u mnie biją, a no, niema czem ludzi płacić, radzić sobie muszę. O tem nie powinni ludzie wiedzieć wiele, bo to moja sprawa... Pisarzem przy mennicy chcesz być?

Nie umiałem odpowiedzieć.

— Co to pytać? — przerwał nagle, nie doczekawszy się ode mnie słowa. — Wziąć go do mennicy... na próbę.

Odwrócił się ode mnie.

— Nie mam w tem doświadczenia — odezwałem się — i takiej służby nie życzyłem sobie.

— A ja właśnie pytać o to was będę — zawołał Domaborski, — jeżeliś w moich rękach, mnie takiego potrzeba, nie masz co mówić nawet, ja nie lubię nieposłuszeństwa.

Skinął na Szeligę.

— Wziąć go do mennicy.

— Przecież niewolnikiem nie jestem — odezwałem się oburzony.

Domaborski nogą uderzył o podłogę.

— U mnie rozprawiania niema... Kto się mi w ręce dostał, ten tak skakać musi, jak ja mu zaśpiewam.

— Słyszałeś? — zwrócił się do Szeligi. — Prowadź go do mennicy i stróża mu dodać, kiedy rozumu nie ma.

Nimem się opatrzył, wyciągnięto mnie siłą z izby i wpośród szydersko mruczących i spoglądających dworzan Szeliga uprowadził. Muszę mu oddać tę sprawiedliwość, że chociaż się śmiał ze mnie, starał pocieszyć po swojemu.

Niewielem słyszał i rozumiał z tego, co mi już potem Szeliga kładł do ucha, a widząc, że mu się oprzeć nie potrafię, dałem się poprowadzić do wieży.

Drzwi jej żelazne stały zaparte wewnątrz, ledwieśmy się dostukali. Otwarto nam. Na dole piece jakieś, ognie i warsztaty nakształt kowalskich przesunęły mi się przed oczyma, kilku ludzi zwijało się koło nich, a dwóch Żydów, których po stroju, nakryciu głów i z mowy było poznać łatwo, dozorowali nad nimi. Dzwoniły blachy wyciągane i krajane, stękały kowadła i młoty.

Wschody murowane prowadziły stąd do górnej izby, do której Szeliga mnie wciągnął za sobą. Tu zastałem starego Żyda z długą brodą, ze szkłem w ręku, nad rozrzuconemi po stole szelągami.

— Pisarza pan kasztelan ci przysyła, Rebe Nathan — rzekł Szeliga. — Ten rachunek będzie prowadził i klucz ma mieć od skrzyni.

Żyd, mało co podniósłszy głowę, spojrzał na mnie zimnemi, obojętnemi oczyma, zamruczał coś i zaczął znowu porzucone na chwilę szelągi przebierać. Nie odpowiedział ani słowa.

Uderzywszy mnie po ramieniu, Szeliga szepnął w ucho:

— Bierzcie się do tego, co wam nakazano, inaczej nie będzie.

Nim odpowiedzieć mogłem, wyszedł. Żyd, ani zważając na mnie, swoje dalej ciągnął.

Zostawiony z nim sam, zrozpaczony stałem długo, jak osłupiały. Nathan wkońcu, zlitowawszy się, pod-

niósł głowę i wyjąknął pytanie, skądem się ja tu wziął i kto mnie nastręczył.

Byłem tak oburzony tą niewolą, w którą popadłem, żem z goryczą wielką opowiedział mu wszystko, narzekając i przeklinając. Żyd słuchał, ale szelągi wciąż przebierał; odsuwał jedne na bok, drugie zsypywał do stojącej skrzyni otwartej. Na moje opowiadanie długo nic nie rzekłszy, wytrzymał tak, aż mu się szeląg ów przebrało. Naówczas podniósł oczy zaczerwienione, ręce złożył i powoli mówić zaczął:

— Z panem Domaborskim sprawa trudna. Myślicie, żem ja tu z dobrej woli?

Ruszył ramionami.

— Najgorsza rzecz, — dodał — że jego pochwycą wkońcu, a nas z nim winnymi uczynią bicia fałszywej monety. To są plewy, nie pieniądze, one nic nie warte, a co on ich w świat puścił! Albo dziw? Jemu tak dużo potrzeba.

Siadłem na pustej skrzyni.

Żyd wstał i powoli zszedł na dół, skąd dochodził nas tu głuchy łoskot uderzeń młota i śmiechu ludzi, pracujących w izbie pod naszą. Rozglądnąłem się po komorze sklepionej, w której mnie zamknięto. Miała dwa okna u góry i drzwi zamczyste do dalszych izb. Stół, skrzynia, ławka, półka, na której Żyd trzymał swoje miski i garnuszki — więcej nie było tu nic.

Co miałem robić, nie wiedziałem, ale mi do roboty nie było śpieszno. Myślałem, że, opierając się przymusowi, wkońcu dokażę tego, iż mnie wypuszczą.

Nathan powrócił wkrótce z jednym worem w ręku, a drugi za nim niósł zasmolony parobek i rzucił go na stół.

— A co! — odezwał się Żyd, siadając — poczynaj waćpan robotę.

— Ani myślę gwałtowi się poddać.

— Wolisz pójść do lochu? — zapytał Żyd. Wysypał szeląg i dodał, poczekawszy trochę:

— Trzeba człowieka znać; nie jątrz go na siebie,

zły jest... no a oszukać go i uciec z zamku będziesz mógł, poczekawszy. — Tu wielkiego ładu niema.

Głową potrząsł.

— Co w skrzyni jest, albo przeważyć, albo przeliczyć trzeba, potem zapisać. Ja i owszem, wolę, że rachunku zdawać nie będę.

Około południa wpuszczono Żydówkę, która Nathanowi jedzenie z podzamcza przyniosła. Poszwargotał z nią i pomodliwszy się, siadł jeść. Mnie też jadło dosyć nędzne parobczakiem przysłano. Siadłem obok jeść milczący, ale mi do gardła nie szło. Do wieczora nie wziąwszy się do rachunku żadnego, przesiedziałem na skrzyni; Żyd już na mnie nie zważał. Gdy zmierzchło, zamknął ją, klucze mi oddał i płaszcz nadziawszy, wyszedł. Miał izbę osobną na zamku. Szeliga zjawił się po mnie, a od Nathana dowiedziawszy się, żem nic nie chciał poczynać, nałajał mnie.

— Jutro musisz się wziąć, a nie, to ja zapytany nie skłamię i czeka was kuna, chleb i woda. Nielepiejże się zdać odrazu? Wiekować tu nie będziesz!

— Ale ja i dnia tu nie chcę być! — zawołałem.

— Cóż tu mówić o chceniu, kiedy jest mus? — rzekł obojętnie Szeliga. — Trzeba rozum mieć, głową muru nie przebić.

Izbę lichą dano mi na dolnym zamku i stróżów miałem dokoła. Na podwórzec mi wyjść samemu nie dawali, słowem było to więzienie. A nie ja jeden u kasztelana tak byłem z musu sługą, znajdowało się wielu pobranych na drogach i po dworach, których na zamku trzymano, bo mu ludzi zawsze mało było.

Następnych dni, widząc, że się nie wyrwę stąd łatwo, musiałem poddać się w milczeniu, obiecując sobie przy pierwszej zręczności wyśliznąć, bodaj wszystko, com miał, porzuciwszy. Udałem uspokojonego i Szeliga mnie pochwalił za to, ale że w naturze ludzkiej jest często niepoczciwa chęć pomszczenia się swoich cierpień na drugich, ze złości wziąłem się do ścisłego obrachunku Żyda Nathana i jego pomocników. Stąd między nami przyszło do zwady, a że Żyd nierównie był

ode mnie przebieglejszy i zręczniejszy, więcej on mnie dokuczył, niż ja jemu.

Zyskałem na tem tylko tyle, że Żydzi radzi się mnie pozbywali, nie mówili nic, gdym z wieży wychodził na podwórce, błądził po nich i w tem życiu tutejszem się rozpatrywał, które do żadnego innego podobne nie było. Można je było nazwać dwoistem, gdyż działy się rzeczy, z któremi się tajono i nie chciano, aby najaw wychodziły, z drugiemi się zaś popisywano.

Gdy zjeżdżali na zamek znaczniejsi ziemianie, rycerstwo, urzędnicy, wszystko to przybierało inną postać, spokojną, poważną i nie różniącą się w niczem od zwykłej na zamkach możnych panów. Kasztelan występował wspaniale, przyjmował gościnnie, obdarzał i starał się okazać niczem więcej, jak pospolitym, spokojnym panem wielkopolskim.

Na niedostępne podwórce zamknięte chroniła się naówczas ta gawiedź podejrzana, te gromady żołnierstwa, które nocami wymykały się i wracały z jakichś wypraw bardzo dwuznacznych. Żadnemu z tych nie wolno się było pokazać, gdy Domaborski występował, szczególniej, kiedy do niego przybywali powinowaci żony, albo Ostroróg, z siostrą jej ożeniony.

Podwórzec ten nasz nieszczęśliwy cały był zamieszkany przez to, co na zamku się znajdowało najplugawszego, było to jakby śmietnisko, na które zrzucano co gdzie indziej zawadzało i śmierdziało, z czem się potrzeba było ukrywać. Hałastrę tę musiano trzymać grozą, nieubłaganą surowością, a czasem jak bydlęta karmiąc i pojąc dosyta. Więc bywały dnie hałaśliwego wesela, śpiewów, szumu a wrzawy, a po nich cisza straszna i kaźnie, niekiedy bunty krwawe, bójki i morderstwa.

To był chleb powszedni i ja musiałem się z tem obyć, gdy nocą obudził wrzask, a parobek przyszedł dać znać obojętnie, że któryś z ciurów drugiego przy kościach ubił.

Za bunty zwłaszcza, gdy się okazała zmowa, wprost bez sądu w tym samym dziedzińcu wieszano i czasem

przez dzień cały wisiał tak trup, okręcając się z wiatrem na postronku, póki go nie odcięto.

A ktoby kasztelana widział, gdy książąt, braci żony, albo Ostroroga przyjmował, nie posądziłby go nawet o to, co się tu z jego wiedzą działo. Tak samo, jak fałszywą monetę ukrywano, umiano i wycieczki na kupców i na gościńce składać na innych. Na kasztelana choćby kto i posądzenie miał, trudno uwierzyć było, żeby się dopuszczał takich bezprawiów.

Z Nathanem się ciągle gryząc o rachunki, wcale do czego innego doszedłem, niż się spodziewałem. Żyd, którego Domaborski często do siebie przypuszczał i nie wierząc mu, jednak go do rady przyzywał w wielu razach zręcznie sobie postąpił. Zachwalił on mnie jemu jako bardzo zdolnego pisarza i kancelistę, a że właśnie brakło amanuensa kasztelanowi, który pisać ani czytać nie umiał, postanowił mnie wziąć do tego obowiązku.

Kazawszy zawołać, tak samo, jak za pierwszym razem, objawił mi swoją wolę, nie pytając, jak mnie z nią było i dodał:

— Tylko nie myśl ani uciekać, ani mnie zdradzać, bo ja mam długie ręce. Będziesz dobrym, będzie ci dobrze, a najmniejsze podejrzenie...

Dokończył, pokazując na gardło.

Wolałem stokroć już być pisarzem przy nim, niż w mennicy. Nie uwolniło mnie to od nadzoru, a choć ten nie był tak widocznym, przekonałem się, że nie ustawał i że miano na mnie oko.

Przyznać trzeba zresztą kasztelanowi, że gdy z kogo rad był, nagradzał szczodrze, tak samo, jak karał nielitościwie.

Wielkiej pracy przy nim nie było. Izbę mi dali lepszą, a tu część dnia trawiąc bez zajęcia, wziąłem się do zabawki mojej więziennej, począłem pisać, kaligrafować i rysować na papierze, com widywał w manuskryptach innych.

Kartki te rozproszone leżały u mnie na stoliku i ktoś jedną z nich pochwyciwszy, na której Ojcze nasz, Po-

zdrowienie Anielskie i Wierzę wykaligrafowałem bardzo ozdobnie, zaniósł do kasztelanowej. Zapytała snać męża o amanuensa i za tem poszło, że mi pieśni pobożne i modlitwy dla pani pisać kazano.

Tu już próżność moja i chętka pochwalenia się z tem, czego nie umiałem, bodźca mi dodała. Wysadzałem się na jak najpiękniejszą kaligrafję, za co mi się nawet oprócz pochwały dostała osobna nagroda od kasztelanowej.

Samej pani naszej nigdym nie widywał, tylko zdala; niepiękną była, ale książęcy ród w niej i krew się okazywała powagą i wielką o strój bogaty starannością. Dwór jej napół niemiecki także był wytwornie odziany i oddzielnie się od mężowskiego trzymał.

Ze wszystkiego mogłem wnosić, że jak dla obcych, tak dla żony tajemne roboty Domaborskiego zakryte być musiały i ona się ich nawet nie domyślała.

Z listów, które mi pisać kazano, jedna rzecz jawną była, to nieprzyjaźń i wypowiedziana wojna między Piotrem z Szamotuł a Domaborskim. Starosta wielkopolski posądzał go o to wszystko, czego się on zapierał, nawet sprawa fałszywej monety już do niego dojść musiała. Odgrażał się Szamotulski, iż na nic się nie oglądając, jeśli kasztelan się kajać nie będzie, przed sąd go postawi i jak pospolitego buntownika i warchoła bodaj na gardle ukarze. Śmiał się z tego starosta i kasztelan nakielski, dobrze się obwarowawszy w Domaborzu, i powiadał:

— Niechżeno mnie Szamotulski wprzódy dostanie!

Gdy się to działo, na zamku ludzi coraz więcej się zbierało, na podzamczu aż obóz dla nowych oddziałów rozbić musiano. Pytałem Szeligi, coby to znaczyć miało.

— A co ma być? — odparł. — Król nam nie płaci, dopominamy się nadaremnie, kasztelan zebrał ludzi i pójdzie się upominać o swoje.

— Przeciwko królowi? — zawołałem ze zgrozą i zdumieniem.

— Król naszym dłużnikiem jest i nie płaci, — rzekł Szeliga — trzeba go zmusić do porachunku.

Nie chciało mi się wierzyć, aby Domaborski mógł podnieść taki bunt jawny, ale się na wojnę gotowało wszystko i nie było to już tajemnicą żadną.

Co dnia się spodziewano rozkazu ciągnienia, gdy od Szamotulskiego przyszło pismo groźne, aby kasztelan natychmiast ludzi rozpuszczał i rękojmię dał, że żadnego niepokoju w kraju nie wzbudzi i buntu podnosić nie myśli.

Przypadło na mnie i czytać je i na nie odpisywać. Musiałem to, co mi kazano, odpowiedzieć. Domaborski rękojmi dać nie chciał a i spokojnego zachowania się nie obiecywał, ogromne żądania do króla wystosowując, za które domagał się sum tak znacznych, iż się śmiesznemi wydawały. Inaczej wprost się odgrażał na sąsiednie powiaty i zamki królewskie ciągnąć i sam sobie domierzać sprawiedliwość.

Odgrażając się a miotając, bardzo czynnie kasztelan się gotował do jakiejś wycieczki, gdy nadjechał szwagier jego, Ostroróg.

Właśnie mi naówczas kazano układać nowe pismo z odpowiedzią do Szamotulskiego, które pod jego okiem pisałem, nieustannie mu je odczytując, gdy dano znać o Ostrorogu i ten zaraz wszedł do izby, tak, że mnie tylko drzwi od nich przedzielały.

Wyjść mi precz nie było wolno. Podsłuchiwać pewnie anim myślał, ni mi się śniło, ale, mimo woli mej, rozmowa, podniesionemi głosy prowadzona, dochodziła do mnie.

Domaborski w początkach ją wesoło zagaił. Było to w jego obyczaju, że po sobie troski nierad dawał poznać, ale wprędce się ton zmienił.

Rozpoznałem głos Ostroroga.

— Miły bracie, — mówił surowo — dopóki czas, zlitujcie się sami nad sobą. Co czynicie? Wojnę przeciw królowi i królestwu rozpoczynacie? Gdzież rozum, gdzie siła?... Szamotulski wyciągnie na was z całem rycerstwem. Zginiesz!

Domaborski szydersko syczał.

— Nie tak mnie on łatwo weźmie! Mam i ja ludzi! Czemu mi nie płacą? Nie ma król pieniędzy, niech zastawem da ziemię, puści zamki.

— Zapłacą ci, — przerwał Ostroróg — jak innym się uiszczono, ależ nie kordem się tego od pana domagać. To bunt!

— Szamotulskiemu to bunt, bo ten mnie nienawidzi — krzyknął Domaborski. — Gdyby nie on, królby mnie zaspokoił. Nie przeciwko niemu, ale ze starostą, z tym wrogiem, walczyć muszę. Gdybym ludzi rozpuścił, jutrobym życia nie był pewnym.

Mówił, wybuchając, przerywając sobie, a gdy Ostroróg go hamować chciał, usta mu zamykał.

— Ty jesteś klechą, jurystą, jam żołnierz — wołał. — Gdybym tobą był, inaczejbym się ze starostą rozprawiał, a jako Domaborski, mieczem muszę. Razem go wziął, a nie puszczę, aż koniec uczynię.

— Koniec? jaki? — zapytał Ostroróg.

— Król mi puści zamki i ziemie, żołd zapłaci i Szamotulskiego precz wyżenie!

Ostroróg zakrzyknął:

— Toś oszalał!

Śmiał się kasztelan.

— Zwij, jak chcesz; próżno wodę warzymy.

Począł mu wyrzucać napaście na dwory, na plebanje, na kościoły, naostatek i tego nie taił, że go o bicie monety fałszywej obwiniają.

— Ciury głodne, to darmo; musimy szukać chleba, gdzie napadniem, — zawołał kasztelan — król za nas zapłaci. Moi ludzie muszą żyć. Fałszywe szelągi Żydy puszczają, ja o nich nie wiem nic! Szamotulski wszystko wali na mnie, zbójcą i fałszerzem czyni, ale na jego skórze z nim obrachunek uczynię.

Przerwał mu Ostroróg; zawrzało, zahuczało i ucichło. Ciszej potem naradzali się z sobą, tylko Domaborski wybuchał niekiedy, sprzeciwiając się, nie poddając, słuchać nie chcąc rad rozumnych.

Nie wiem, na czem się skończyło, ale kłamstwo

i zuchwalstwo kasztelana nie umilkło. Ostroróg snać zmiarkowawszy, iż tu słowo i rozum nic nie pomogą, umilkł.

Powiedli się potem wieczerzać do komnat innych, a o mnie tak dobrze zapomniano, żem musiał, listy porzuciwszy, gdy ściemniało, do komory mojej powrócić.

Nazajutrz jeszcze przez dzień cały na zamku pozostał Ostroróg, zapewne, aby kasztelana z pomocą żony skłonić do porozumienia się z Szamotulskim.

Wyszło to mnie, jeśli nie na korzyść, to na chwilowe próżności mojej połechtanie. Wiedziano o tem, że Ostroróg wszelkich ksiąg i rzeczy pisanych był ciekawym. Okazano kaligrafję moją, a choć może niewiele była ona warta, gdy podczas i on skryptora nie miał, zażądał natarczywie od kasztelana, aby mu mnie odstąpił.

Nic o tem nie wiedziałem, gdy zażądano, abym szedł do pana. Zastałem go w izbie samego, zachmurzonego, czerwonego, chodzącego niespokojnemi kroki. Ostro naprzód mnie zmierzył, gdy na progu chód posłyszał.

— Jest tu brat mój, — odezwał się szorstko — człek pisma ciekawy, półklecha, podobało mu się pisanie twoje, chce z wami mówić... Zażąda pisania, nie bronię, ale, patrz! język za zębami! Co u nas się dzieje, o tem paplać wara. Skarżyć się nie masz na co, a mnie obwiniać, niech cię Bóg strzeże!... Słyszałeś to raz: długie ręce mam, króla się nie boję, chłystka powiesić u mnie, jak orzech zgryźć. Pamiętaj!

Powtórzył to parę razy, groził mi i milczenie moje biorąc za przestrach, z niechęcią wskazał mi, dokąd mam iść, aby się z Ostrorogiem rozmówić, po namyśle sam krocząc za mną.

Ostroróg zimno naprzód mnie badać począł, skąd i co zacz byłem. Powiedziałem mu, że sierotą jestem, że król nade mną opiekę miał, żem u niego na dworze był, ale odpuścił mnie.

O tem, jak tu w pułapkę wpadłem, nie mogłem mówić, bo kasztelan stał tuż nade mną.

Z pochwałą się wyraziwszy o pisaniu mojem, radził mi potem, abym pióra nie rzucał i na bakałarza się

sposobił, bo takich ludzi, do szkółek wielu potrzeba było. Stanęło na tem, że mi miał manuskrypt dać, którybym kilkakroć dla niego przepisał, a że łaciński był, o łacinę też mnie zapytał.

Stał Domaborski nad nami ciągle, rozmowie się nie dając przeciągnąć — a ledwie się skończyła, dał znak, abym szedł precz. Na tem dnia tego było dosyć.

Nazajutrz rano w podwórcu spotkałem Ostroroga, od ludzi swych powracającego. Poznał mnie i skinął.

W twarzy jego malowało się coś, niepokój wielki zdradzającego. Przebiegły i bystro wglądający we wszystko musiał coś pochwycić w czasie pobytu swojego, co mu do myślenia dało, iż Domaborski nie tak czystym był, jak się chciał okazać.

Naprzód od rękopismu począwszy, gdy się obejrzał wkoło, że nas nikt nie słucha, przystąpił do mnie i spojrzał mi w oczy głęboko.

— Słuchaj — odezwał się, — mów mi prawdę szczerą, co ty tu robisz? Jesteśli po dobrej woli?

— Nie godzi mi się ust otworzyć, — odpowiedziałem prędko — sprawa to gardłowa. Proszę, nie pytajcie mnie... Jedno tylko rzeknę, że niewola sroga.

Chciałem odejść, bom się lękał, aby nas nie ułapiono na rozmowie, gdy Ostroróg spytał żywo:

— Mów, biją Żydzi na zamku monetę?

— Panie — zawołałem, — zlitujcie się nade mną, usta mam groźbą straszną zapieczętowane; o życie idzie.

Zrozumiał to i zamilkł, a mnie odpuścił i z głową spuszczoną poszedł na zamek.

Ode drzwi potem, zawróciwszy się, gdy ja już w sieniach się skryłem, wyszedł Ostroróg na podwórce znowu, i tak jakgdyby się przechadzał tylko, rozpatrywać się począł... Skierował się ku zamkniętym wrotom tej części, która dla obcych była zapartą, przypatrując się im chwilę i w górę wyrosłej wieżycy.

Kasztelan snać, czy mu o tem znać dano, czy sam postrzegłszy, nadbiegł tu... Stali u zapartych bram na rozmowie i widać było, że Ostroróg zamek chciał ogląd-

dać, a pan go nie puszczał. Nie otworzył mu i na swojem postawił, ale pewnie tem podejrzenia szwagra utwierdził.

Przed południem Ostroróg odjechał.

Szeliga, który za drzwiami w sieniach był, gdy się żegnali, szepnął mi potem, że Domaborski miał w podejrzeniu szwagra, iż więcej wiedział, niż mówił i niechętnym mu był.

Wszystko się potem w dziwny sposób u nas poczęło mieszać i plątać. Kasztelan chodził niespokojny, odgrażał się, posyłał listy i ludzi. Szeliga, głową potrząsając, coś złego wróżył.

Domaborski sam prawie się nie oddalał z zamku, a gdy mu potrzeba było jechać, otaczał się takim orszakiem zbrojnym, jakby się lękał napaści.

Nadeszła wiosna. Ja w tem zamknięciu, co się na świecie działo, nie wiedziałem wcale. Jakoś około połowy maja podróż, o której oddawna mówiono i do niej się przygotowywano, przyszła do skutku. Kasztelan miał jechać do Kalisza.

Sprawa musiała być jakaś sądowa, do której pisarza było potrzeba, bo i mnie się w drogę kazano gotować. Taki jakiś niepokój panował na dworze, iż nawet nie zważano na to, że ja, poniewoli zaciągnięty, w podróży najłacniej mogę zbiec. Zapomniał o tem kasztelan. Jam rad był, że choć się z tych murów wyrwę i świata trochę zobaczę.

Jechał Domaborski tym razem z niezbyt wielkim pocztem, ale po pańsku. Szły i wozy za nami. On sam, od niejakiego czasu ciągle zły i niecierpliwy, przodem na koniu z głową spuszczoną jechał, jakby mu pilno było i stanąć w miejscu, i powracać co rychlej do domu. Nie dawał długo popasać, z rana, jak świt, zrywał się w drogę.

Pod noc stanęliśmy w Kaliszu, gdzie on miał własny dwór, ale dawno zaniedbany. Teraz ludzie wysłani przodem na przyjęcie pana trochę go tylko oczyścili.

Odsunięty od innych domostw, otoczony ogrodem, opasany parkanem mocnym, stał na uboczu, ale nieopo-

dal od zamku. Nimeśmy do miasta wjechali, wyprawił kasztelan przodem Szeligę po coś. Zatrzymał się nieco i dopiero, gdy on powrócił, ruszyliśmy.

Nas po pustych izbach, w których tylko słomy i siana rzucono na posłanie, pomieszczono. Z wieczora ledwie co było jeść. Beczkę piwa kazał kasztelan z miasta przyciągnąć i zabraliśmy się do spoczynku. Kogoś się wieczorem spodziewał, dwa razy posyłając, a nie doczekawszy się, poszedł spać i wrota zamknięto. Kazał jednak u bramy straż postawić.

Ze mną Szeliga leżał, który się nie rozbierał, tylko żelastwa, co na sobie miał, zrzucił! — Stękał czegoś i przewracał się z boku na bok, zasnąć nie mogąc.

Około północy było, gdym poczuł, że mnie trącił ręką. Otwarłem oczy. Szeliga stał i zdawał się przysłuchiwać.

— Nie słyszysz? — rzekł do mnie.

— A cóż słyszeć mam? Spałem.

— Stąpanie jakieś za parkanem, jakby ludzi gromada nas osaczała.

— Co się wam śni! — roześmiałem się.

Cisza była w istocie, ale wnet i ja jakiś szelest głuchy posłyszałem. Szeliga się przeżegnał i z izby wyszedł na palcach.

Ledwie był za drzwiami, gdy z ogromnym łomotem do wielkich wrót się dobijać zaczęto. Ludzie, ze snu zbudzeni, porwali się nieprzytomni. Ja chwyciłem za odzież, nie mogąc zrozumieć, coby nam w mieście zagrażać mogło i jeszczem się pociemku odziewał, omackiem, gdy w podwórzu i w izbach sąsiednich powstał krzyk, wrzawa, bieganie takie, iż głowę straciłem.

Przez otwarte drzwi zabłysło mi światło pochodni w wielkiej sieni, spostrzegłem zbrojnych ludzi, wpadających do domu, a w chwilę potem skrępowanego kasztelana, którego, pochwyciwszy, na rękach prawie nieśli, choć im się, wściekle broniąc, opierał.

Trwało to tak krótko, że gdym dobiegł bliżej ku drzwiom, tu już było ciemno i pusto, przeniosło się

wszystko w podwórze z hałasem tym i tumultem, potem za wrota, aż wkrótce we dworze była cisza znowu.

Kilku naszych ranionych stękało w podwórzu, wtem wbiegł Szeliga.

— Kasztelana pochwycili! Zasadzka była na niego. Starosta Szamotulski na zamek go wziął. Trzeba do Ostroroga słać; nie przybędzieli kto w pomoc, po nim już. Życie mu wezmą.

— Ależ bez sądu człowieka nie karzą — odpowiedziałem.

Machnął ręką tylko.

Oprócz Domaborskiego ze dworu nikogo nie zabrano, tak śpiesznie im było mieć głównego sprawcę. Zostaliśmy bezpańscy, nie wiedząc, co czynić.

Mnie, choć już teraz nic nie przeszkadzało precz iść i swobodę odzyskać, rażony tak byłem nagłością wypadku, iż o sobie nie myślałem.

Nie miałem też z czem w świat iść, bo w Domaborzu pozostawiłem moje rupiecie. Dzień się robił, więc spać jużeśmy się nie kładli. Szeliga dwa razy do zamku biegał, nie wpuszczono go, wrócił z niczem i posłańca tylko wyprawił do kasztelanowej.

Z zamku się o niczem dowiedzieć nie było można, oprócz, iż sędziego powołano i że sam starosta Piotr tam był.

Cały dzień upłynął tak w milczeniu i nieświadomości. Szeliga, choć znał dobrze pana swojego i wszystkie sprawy jego, przecie żal mu go było. Przywiązał się do gwałtownika, który czasem dla swoich dobre serce miewał, a jak sam broił, tak im wiele też dozwalał.

W ciągu dnia tyleśmy wiedzieli tylko, iż go sądzono; ale sąd nie mógł na takiego człowieka wypaść doraźnie, aby wnet o losie jego wyrokowano. Szeliga powiadał, że go w więzieniu trzymać będą, a do króla poślą.

Z temeśmy się spać pokładli, a że wszyscy zmęczeni byli wielce, schwycił nas sen taki, że już jasny dzień

był, gdyśmy się przebudzili. W progu stał nieznajomy człek.

— Któren tu starszy z Domaborskiego ludzi? — zapytał.

Szeliga się podniósł.

— A co? — rzekł.

Posłaniec, jakby mu słowo, które przyniósł, ciężko było wymówić, kazał czekać na nie, potem głosem cichym rzekł:

— Weźmijcie wóz, a zabierzcie sobie ciało!

Szeliga słyszał, lecz nie rozumiał.

— Jakie? gdzie?

— Pana waszego, boć go przed godziną na zamku ścięto.

Wydało nam się to tak nieprawdopodobnem, żeśmy wierzyć nie chcieli, ale Szeliga odział się i na zamek poszedł.

Niestety, prawdą to było. Starosta, pochwyciwszy warchoła, przed sąd go postawił, wszystko mając przygotowane do tego, aby mu winy dowiódł. Ci sami Żydzi, którzy fałszywe szelągi puszczali, stawali się świadczyć, kto im je dawał, drudzy, co z rozkazu Domaborskiego rozbijali dwory i zakrystje łupili, na oczy mu to zadawali, iż ich słał, że łup na zamek mu odwozili. Wypadł wyrok na śmierć. Ale kasztelan nie wierzył i nie dopuszczał, aby go wykonać miano. W nocy starosta posłał mu księdza. On to jeszcze postrachem tłumaczył sobie, nad ranem jednak, gdy kat przyszedł i pieniek suknem okryty ustawiono, a wyrok mu przeczytano, dopiero upadłszy na duchu, spowiadał się ze skruchą.

Starosta, mimo zaklęć i próśb jego, aby do króla o potwierdzenie wyroku słał, uczynić tego nie chciał.

Pokoju w kraju mieć nie będziemy, dopóki takich, jak wy, żywić zechcemy. Król raz wam przebaczył.

— Krew moja spadnie na was! — wołał kasztelan.

— Pan Bóg osądzi, czym ją przelał niewinnie — odparł starosta.

Co tam zresztą między nimi zaszło w ostatniej go-

dzinie, różnie opowiadano, ale koniec był taki, iż kasztelana ścięto.

Osłupieli wszyscy, słysząc o tem. Drudzy pocichu mówili, iż starosta Szamotulski zdawna ząb miał do niego i pomścił się jakiejś osobistej urazy. Inni twierdzili, że się to stało nie bez wiedzy i przyzwolenia królewskiego, aby postrach rzucić na możnych, którzy żadnemu prawu nie chcąc podlegać, za bardzo się rozpasywali i przeciwko panu swemu, i przeciwko zakonom.

Maleńkiej szlachcie, której możni byli zawsze solą w oku, podobało się to, że nie poszanowano ani mienia, ani dostojeństwa, — panowie sarkali! Wzburzyły się umysły.

Mnie tu już nie trzymało nic, wolnym się stałem i mogłem myśleć o sobie, ale przygoda ta do Wielkopolski mnie zraziła i dziwna jakaś tęsknica ku Krakowu ciągnęła. Zdało mi się, że gdzie indziej, jak tam, żyć nie można. Wprawdzie powinienem był unikać Nawojowej, aby jej oszczędzić boleści, bo mi żal było tej matki, choć nią dla mnie być nie chciała, lecz myślałem, że w takiem mieście, jak Kraków, łatwo się w kąt zaszyć i nie być na oczach nikomu.

Com miał robić tam, niedawno uciekłszy, teraz powracając znowu, nie wiedziałem — czułem tylko, że dla mnie życie wszelakie tam było, a gdzie indziej tęsknica i pustki. Przychodziło na pamięć i to, że Ostroróg mnie mieć żądał, że u niego służba byłaby dobrą, bo mąż był rozumny i stateczny, ale już do tego kraju czułem wstręt i rad byłem co rychlej go opuścić.

Mało co miałem w Domaborzu, ale i tego porzucić się nie godziło przy ubóstwie mojem, musiałem więc z Szeligą i innymi jechać za ciałem, któreśmy wieźli w prostej, sosnowej trumnie, tyle tylko, że dla ciepłej pory smołą ją wylać i chmielem zapchać kazał Szeliga. Okrywszy płachtą czarnego sukna, wieźliśmy zwłoki nieszczęśliwego, który niedawno tąż samą drogą jechał z taką butą, nie przeczuwając rychłego zgonu...

O mil dwie od zamku spotkała nas wdowa zrozpa-

czona, a że nie wiedziała wcale, co mężowi jej zadawać mogli ludzie, obwiniała wprost Piotra z Szamotuł o morderstwo, natychmiast chcąc do króla jechać z żałobą.

Strach i żal było spojrzeć na biedną, rozpadającą się z żalu niewiastę, której rozpacz powiększało to, że, jak pospolitego zbrodniarza, męża jej skazano i ścięto.

Na zamku, dokąd przybyliśmy, panował nieład największy, bo wszystko, co tam się siłą trzymało, rozluzowało się, wyrywało, chwytało, co napadło i rozpraszało się na cztery wiatry.

Na owem podwórcu zamkniętem teraz wszystko stało naoścież pootwierane i opustoszone. Ze skrzyni z monetą Żydzi, zagarnąwszy, co było, pierzchnęli. Ze zbrojowni i ze skarbca też pochwytano wiele i zmarnowano. Ludzi zaciężnych, którzy już tu ani opieki się nie spodziewali, ani utrzymania, mało co zostało i to rannych a niedołęgów. Inni, jak z gościńców tu się zbiegli, to znów po drogach kupkami rozproszyli, na swoją rękę rozbijać. Z moich rupieci niewiele wartych mało co zginęło, tak, żem, nie dopominając się płacy, wyruszył stąd mniej zasobnie, niż przybyłem.

Samemu jednemu się puszczać w podróż nie było bezpiecznie, alem sobie dobrał dwu towarzyszów, którzy też w Krakowie szczęścia szukać chcieli, obu szlachciców i do rycerskiego rzemiosła nawykłych, a takim wszędzie o zaciąg łatwo było.

Nie czekając więc nawet pogrzebu, opuściliśmy zamek, bo nas nikt zatrzymywać nie myślał, tak wszyscy potracili głowy.

Uważałem tylko, że ci, co królowi i staroście Szamotulskiemu byli niechętni, ścięcie gwałtowne Domaborskiego chcieli przeciwko nim obrócić i na powszechny się zjazd z tą sprawą gotowali.

Z jakim smutkiem i sercem zbolałem powracałem nazad, wypowiedzieć mi trudno. Widziałem w tych wysiłkach obłędnych marnujące się życie, schodzące lata, a żadnego na przyszłość widoku. Ojca nie miałem, matka mnie nienawidziła — jeden Bóg był nade

mną. Nie zwątpiłem o opiece jego, ale męstwa i wytrwałości na te próby, na jakie narażony byłem, brakło.

W ciągu podróży chciałem powziąć jakieś postanowienie, nawet od klasztoru i sukienki duchownej się nie zarzekając, choć powołania do nich nie czułem, lecz com dnia jednego ułożył, drugiego się samo rozsypywało.

Najprostszą rzeczą było pójść w służbę rycerską, skłamawszy sobie jakiekolwiek szlachectwo, bo o dowody nikt nie pytał, — alem już mówił, jaki wstręt czułem żyć na fałszu o pożyczanem nazwisku.

Naostatek, wymęczywszy się w ciągu podróży, która szła nie pośpiesznie, bośmy nie mieli czego pędzić, na los i przeznaczenie zdałem wszystko. Niechaj będzie, jako chce.

Przez wszystkie te dni jechałem tak milczący i posępny, iż towarzysze mi to wyrzucali, a Kraków zobaczywszy, Boże miły, lice mi się rozjaśniło. Nie był on ci mojem rodzinnem miastem, alem tu najlepsze lata młodzieńcze przebył, do jakiego takiego rozumu przyszedł, miałem ludzi znajomych i przyjaznych, czułem się jak w domu.

Zaciągnęliśmy wszyscy do gospody, do mojego mieszczanina, u któregom wprzód komornem stał, który nas pod dachem w izbie umieścił, a i na konie się znalazło miejsce. Ledwie się obmywszy z kurzawy, tak mi pilno było na Wawel, żem na godzinę nie zważał. Król był na łowach, powiadano, alem się Zadorę albo Marjanka, lub w ostatku któregokolwiek ze znajomych spodziewał znaleźć.

Trafiłem na Zadorę śpiącego po jakiejś zabawie. Gdym go zbudził, zobaczywszy mnie, przeżegnał się.

— A ty tu co robisz?

— Widzisz, powróciłem, guza tylko oberwawszy.

Ponieważ wcale nie słyszał o mnie, musiałem mu całą historję opowiedzieć, z której się, zamiast ulitować nade mną, śmiał niepoczciwy.

— Tyle wiem, — rzekł wkońcu — że jabym się tak

nie dał wziąć. Prostaczek jesteś i choć nie młokos już, a łatwowierny, jak dziecko.

O losie Domaborskiego wiedziano już w Krakowie, Tęczyńscy bowiem, jako Toporczyka sprawę jego wzięli przeciwko Szamotulskiemu. Król odpowiadał na pytania: sąd był, wina była, a karany został słusznie.

I nie chciał ani wiedzieć o tem, aby starostę do odpowiedzialności pociągnąć.

Gdyśmy się tak z Zadorą rozgadali, przerwał sobie nagle i rzekł:

— Nawojowa wdowa w Krakowie siedzi, królowi nieprzyjaciół stara się przyczynić. Ani poznać zdziczałej baby, tak życie nagle odmieniła. Śpiewacy i muzyka od niej nie wychodzą, uczty codzień, młodzieży wiele. Stroi się, choć już zwiędła, maluje, zaleca, skoki wyprawia, a dokazuje tak, iż drudzy powiadają, jakoby w głowie miała niespełna rozumu. Nie byłem ja tam, bo z królewskiego dworu nikt do niej nie zagląda, ale mi powiadano, że wszystka ta jej wesołość i zalotność, jakby choroba jaka wygląda. Zdaje się ciągle w gorączce być, a nawet, gdy się śmieje, niewesoły uśmiech przejmuje strachem. To też choćby pono się zamąż wydać rada była, choć z ojca i z oprawy swej bogatą jest, nie kusi się nikt o jej rękę... Tęczyńskim służy, ale i oni nieradzi z niej, bo nadto sprawia hałasu, a oni cicho nawykli przygotowywać, co czynią.

Wiadomość o wdowie nie była miłą dla mnie, alem Zadorze nie powiedział nic. Obiecałem sobie tylko dworu i ulicy, na której mieszkała, unikać, aby się z nią nie spotykać. Nie śmiałem pytać o Luchnę, a coś mi mówiło, że i ona z nią być musiała. Radbym ją był widział, lecz nie mogłem ani myśleć o tem, aby nie wpaść w oko Nawojowej.

Ostrożnie się dokoła oglądając, poszedłem nazajutrz po znajomych moich, a naprzód do ks. Kantego.

Jak nie dziwił się, gdym go przychodził żegnać, tak, zobaczywszy mnie teraz, nie okazał po sobie, aby mu się to dziwnem wydało.

— Zpowrotem znowu — rzekł z uśmiechem —

a! ty niespokojny człecze, duchu błędny, kiedyż ty do portu przypłyniesz?

Nie spytał mnie, kędym bywał i co się ze mną działo, jakgdyby mu to wszystko wiadomem było. Miał ten dar czytania w ludziach, o którym wiedziałem dawno. Stęknąłem tylko, że mnie los prześladuje.

Uśmiechnął się.

— Dziecko moje — rzekł, — a wieszże ty, co ci on przeznacza i dokąd prowadzi? Wielekroć człowiek, gdy się nad przepaścią sądzi, wyzwolenia jest najbliższy.

— Bogdajby słowa wasze prorocze były! — westchnąłem.

Patrzył na mnie twarzą i oczyma tak pogodnemi, iż mi dodał otuchy.

— Idź z Bogiem — rzekł zagadkowo, — a nie trwóż się.

I znowu mnie z tą tylko pociechą, żadnej rady nie dając, odprawił.

Wyszedłszy od niego, tak byłem w myślach zatopiony, żem krokami mojemi nie kierował. Wlokłem się zadumany, ku zamkowi zmierzając i nie ocknąłem się, aż pod kamienicą jakąś, którą poznałem, że była Długoszową.

Przypomniałem sobie, że mu ją byli Kurozwęccy złupili, a i on sam uchodzić musiał dla sprawy biskupiej, ale ta już została załatwioną.

Stało się, jak król chciał. Nalegał nań legat papieski, aby ustąpił, klękał przed nim ks. Jakób z Sienna, nie pomogło nic; biskupowi włocławskiemu dano krakowską stolicę.

Powiadano, iż rzymski poseł od papieża groził Kazimierzowi utratą królestwa, na co on odpowiedział, iż gdyby nie jedną, ale trzy korony miał utracić, słowa raz rzeczonego nie odmieni.

Postawił więc na swojem, zabiegając, aby odtąd mu Rzym biskupów nie nasyłał, a kapituły bez królewskiego zezwolenia ich nie wybierały.

Poznali naówczas wszyscy lepiej Kazimierza, niż

kiedykolwiek i nauczyli się go szanować, bo wiedzieli, iż wolę miał, której nic przełamać nie zdołało.

Jeszczem stał, domowi Długoszowemu się przypatrując, gdy chłopak, co mu posługiwał, a znał-ci mnie, na próg wyszedł.

— Znowuście to tutaj? — zapytałem.

— A juściż — rzekł, głową wesoło potrząsając — wiele się rzeczy zmieniło; a wy gdzieżeście to bywali, że o nich nie wiecie?

— Po świecie — odparłem, nie chcąc z nim wchodzić w długą rozmowę. Wtem słyszę, puka ktoś w błonę u okna, i spostrzegam surową, bladą twarz kanonika. Wchodzę tedy, aby go w rękę pocałować.

Stał tak namarszczony i chmurny, jak gdy go wyganiano i łupiono, bo zawsze jedną twarz miał, a wesołości po sobie nie okazywał nigdy.

— Com to ja was nie widział? — zapytał. — Nie byłeś tu?

— Włóczyłem się — odparłem z westchnieniem. — Służbym szukał, a niewolę znalazłem. Niema rozpowiadać o czem.

— A dalej co myślisz z sobą? — zapytał.

— Czekam zmiłowania Bożego — rzekłem, wzdychając.

Popatrzał na mnie jakoś długo, namyślając się i marszcząc.

— Chodziłeś pono na kolegja! Cóżeś tam z nich liznął? Po łacinie umiesz? Czytasz i piszesz poczciwie? — zaczął mnie badać.

— Nietylko piszę, alem się kaligrafją zabawiał — odpowiedziałem smutnie, — ale z tego chleba nie jeść.

— Ze wszystkiego chleb jeść można, co się kolwiek do doskonałości doprowadzi, — rzekł surowo — z miernego tylko i ladajakiego nawet robienia złota człek nie żyje. Lepiej dobrze buty szyć, niż nie do rzeczy urzędować.

Przeszedł się po izbie.

— Nie wątpię, żeś stateczny — dodał, — że karnym i statecznym umiesz być, a mnie takiego bakałarzyka

i dozorcy właśnie potrzeba, aby mi pomagał, a nie psuł... Hę? zostałbyś przy mnie i pode mną!

Podniosłem oczy.

— Nie wiem, czy temu podołam, czego po mnie żądać będziecie? — szepnąłem. — Radbym...

— Nie święci garnki lepią, — odparł ks. Długosz — byleś posłusznym, pilnym i cierpliwym był.

Domyślałem się, słysząc to, że kanonikowi dzieci swe Tęczyńscy lub Tarnowscy powierzyć musieli.

Wtem z wielkiem zdumieniem odzywa się do mnie Długosz:

— Wieszci o tem pewnie, że ja przy starszych synach królewskich nauczycielem i dozorcą? Nie od dziś przecie jestem z nimi.

— Jam wcale nie słyszał o tem, ale posmutniałem wnet, bo mnie nadzieja opuściła, aby król dozwolił do tej służby wygnanego przez się zaciągnąć.

— Do królewiczów nawet na najmniejszego służkę — rzekłem — nie wiem, czy król mnie przyjąć dozwoli. Ze dworu jestem odpuszczony, łaskę straciłem, choć do żadnej nie poczuwam się winy.

— Wiem ja o wszystkiem — odparł ks. Długosz — ale i ja też tę łaskę byłem postradał, a widzisz, że się to wszystko zmieniło. Król nie będzie mieć przeciwko temu nic, gdy się wami posłużę. Chłopcy rosną, sam im nie dam rady. Czasem im odetchnąć trzeba dać, a z oka nie spuszczać. Naówczas dozór wy mieć będziecie, aby zbytniej nie dopuścić swawoli.

Spojrzał na mnie badająco, długo zadumany, gdy ja, nie odpowiadając nic, do ręki jego się tylko zbliżyłem, całując; czytał mi pewnie z oczów, że większego szczęścia nad to nigdym w życiu się nie spodziewał.

— Przyjdź jutro — dokończył krótko.

Gdym z kamienicy w ulicę wybiegł, przyszły mi na pamięć istnie prorocze słowa ks. Jana Kantego, i naprzód do kościoła biegłem Panu Bogu dziękować.

Niespodzianie cudownie do tego portu dopływałem, o którym mąż ów święty mówił. Ale od króla zawisło teraz wszystko, dozwoli on, czy zabroni?

Pośpieszyłem potem do Zadory, dzieląc się z nim nadzieją, a pytając go, jakby mu się zdało, pozwoli pan czy nie?

— Ani wątp o tem — zawołał wesoło. — Król przecież zdał wszystko na Długosza i do niczego sam się nie wtrąca, taką w nim ufność pokłada. Królowa pono Włocha, lub Niemca miećby była wolała. Nie sprzeciwi się król, jeśli Długosz tego zażąda. Surowość mu zalecił wielką, i ciągle chłopcy prawie od Krakowa zdala są trzymani, aby matka bojaźliwa i troskliwa pieszczotami ich nie psuła.

Z taką niespokojnością oczekiwałem dnia następnego, żem się do niczego wziąć, niczem zająć nie mógł. Los mój miał się rozstrzygnąć.

Wiedziałem o tem dobrze, że pod ferulą Długoszową wygodnie mi nie będzie, bo mąż był surowy, nieprzebaczający, nieoszczędzający nikogo, choć sprawiedliwy. Alem się mógł przez to zbliżyć do pana, dworu i młodych królewiczów, których miłość mogłem zaskarbić sobie zawczasu.

Sam król niegdyś wspominał mi, że przy nich mogłem być dozorcą! — Miałoż się to teraz ziścić?

Przybyłem do kamienicy kanonicznej tak zawczasu, że go jeszcze tu nie było. Siadłem na ławie w sieniach, czekając, a za każdym zrywając się szelestem. Nadszedł wreszcie. Z twarzy, jak zawsze zasępionej, wyczytać nic nie było można. Wprowadził do izby za sobą. Milczenie długie już mnie przestrachem napełniać zaczynało.

— Pytałem o was króla — rzekł po długim przestanku, — chociaż nie wątpiłem, że, raz zdawszy się na mnie, wyborowi memu przeciwnym nie będzie. Jaż go biorę na sumienie moje. I zgodził się pan chętliwie.

Wtem twarz mu się więcej, niż zwykle, zachmurzyła.

— Patrzajże, patrzaj — ciągnął dalej, — abyś mojej ufności w sobie nie zawiódł. Dwa razy dałeś dowód serca poczciwego, świadczy to dobrze za tobą. Ks. Jan Kanty dał dobre słowo, a męża świętego świadectwo waży wiele. Biorę cię więc, ale zawczasu o tem wiedzieć

masz, że wymagam wiele a pobłażam mało. Gdzie o przyszłość idzie tych, co kiedyś ludom panować mają, sroga odpowiedzialność ciąży!... Nie pochlebiaj więc sobie, abyś tu łatwy i rozkoszny chleb znalazł. W znoju i pocie czoła pożywać go będziesz, w nieustannem czuwaniu, trwodze, trosce... Bóg pobłogosławi, gdy serce do tego przyłożysz.

Na wszystko byłem przygotowany i dziękując dobroczyńcy memu, uroczyście przyrzekłem, iż sługą jego i wykonawcą woli będę tylko.

— Idź teraz, spocznij — dodał — masz kilka dni swobodnych. W drodze najlepiej z tobą, a ty z nimi oswoją się królewicze. My stąd precz musimy, do Lublina może, zdrowego szukać powietrza.

Tak się tedy nad wszelkie moje spodziewanie szczęśliwie rozwiązał los, o który właśnie troszczyłem się najmocniej, zwątpiwszy o nim. Zadora po twarzy mojej poznał, żem wracał z dobrą wiadomością i ani pytał.

— Z królewiczami — rzekł — wielkiej biedy mieć nie będziesz, starsi się tylko trzej dostali ks. Długoszowi, a ci wszyscy łagodni są i dobrego serca, ale z kanonikiem zawczasu gotuj się na to, że gorzkim będzie, bo nigdy nie był innym... Prawy, uczony i święty mąż, ale dla ludzi surowy, króla nie lubi, królowej mniej jeszcze. Jagiellonów wszystkich niewiele ceni. Nie mógł odmówić wychowania, lecz bez miłości dla dzieci tych i dla rodu ich; będzie im ciężkim i bezlitośnym. Na was spadnie ten ich los łagodzić.

Ja królewiczów, zdala tylko widując, nie znałem prawie. Wychowywali się oni długo pod opieką królowej, wśród niewiast i męskiej służby tylko.

Najstarszy z nich, Władysław, dziadowskie noszący imię, miał podówczas rok jedenasty, Kazimierz, drugi, dziewiąty, Olbracht — ósmy. Młodsi dwaj, bo szósty się dopiero w rok potem narodził, Aleksander pięcioletni, Zygmunt, w pieluchach, przy królowej do czasu pozostawali.

Z późniejszego z nimi obcowania dodać to mogę, iż

pierwszy z nich, nadzwyczajnej urody, z twarzyczką dziwnej łagodności, prawie niewieści miał charakter a dobroć zbytnią może, gdyż w słabość przechodziła. Nieśmiały, rad był wszystkim otaczającym przypodobać się i im a braciom ustępował we wszystkiem.

Nie miał też z nim ks. Długosz troski żadnej, chyba tę, aby go zahartować, a to mu się nie powiodło. Jakim był bowiem, takim pozostał, nie mogąc przezwyciężyć tego, z czem na świat przyszedł. Kochali go wszyscy, a ja też nie wiem, zaprawdę, czy był kto, któremuby on dobrem za złe i miłością nie płacił.

Piękność oblicza czyniła go ulubieńcem wszystkich, królewską miał postawę, włos długi, obfity i lśniący, który królowa pieściwie utrzymywać zalecała; i tego jednego ks. Długosz wymóc nie zdołał, aby im pukle te śliczne poostrzygać kazał. Surowy nauczyciel dowodził, że i lubowanie się pięknością mężczyźnie szkodliwem być może. Królowa znajdowała, że na króla przeznaczony i postawą i obliczem powinien był stać nad innymi.

Kazimierz, drugi, z twarzy był do Władysława podobnym, a i z serca a dobroci również; ale od pierwszej młodości wątłe to dziecię, z wielkiemi, wyrazistemi oczyma, więcej w niebo patrzało i do niego wzdychało, niż do ziemi. Pobożność jego zdumiewała w dziecięciu. Oba oni z Władysławem mieli jagiellońską cnotę szczodrobliwości, jak jeden, tak drugi — nigdy nic nikomu odmówić nie umiał. Co najmilszego mieli, oddawali chętnie, i ludzie z tego niemiłosiernie korzystali.

Dziewięcioletni Kazimierz naówczas chętniej się zabawiał, naśladując nabożeństwo księży w kościele, przebierając za chłopca kościelnego, prawiąc kazania, śpiewając pieśni, niż w podwórcu w piłkę i rzucanie oszczepami.

Do wojny oba oni nie mieli tej męskiej ochoty, którą inne dzieci zawczasu okazują; na łowy też, których im dozwalano, gdy zwierza nieszkodliwego upatrzono, nie tak chętnie szli, jak ojciec.

Władysław czasem się niemi rozbawił, Kazimierz,

do zabijania wstręt miał i na krew patrzeć nie lubił. On też więcej okazywał zamiłowania do nauki, a pamięć miał szczęśliwą.

Król i królowa co do wychowania wymagającymi byli, a szczególniej ojciec języków uczyć kazał, czując potrzebę ich dla panującego, który z całym światem mając stosunki, powinien się obejść bez usług i pośrednictwa kanclerzy i tłumaczów.

Ośmioletni, najmłodszy, Olbracht nie był do starszych podobny, samowolniejszy od nich, więcej rycerskiego mający ducha, przebieglejszy, umysłu żywszego, pojęcie miał bystrzejsze, ale charakter mniej łatwy i do ulegania skłonny. Chociaż twarzy przystojnej i do braci podobny, nie był, jak oni, pięknym.

Długosz zawczasu to widział, że z nim najwięcej mieć będzie trudności — bo i w sobie był zamknięty, skryty i do gniewu skłonny, gdy starsi żółci prawie w sobie nie mieli.

Ci, co z nimi od dzieciństwa obcowali, znajdowali, iż ostatni najzdolniejszym był, ale najupartszym. Mówiono, że się w ojca wdał... Ciekawy, żywy, ruchliwy, potrzebował nadzoru nieustannego, bo się wyślizgał, a pytany albo milczał, lub nie zawsze prawdę mówił.

Król go lubił dosyć.

Jak starsi bracia, Olbrachcik był też rozrzutnym wielce, może nieopatrzniejszym, niż oni. Zapowiadał już zawczasu, że gdy wolę swą mieć będzie, złotem obsypie tych, co mu wiernie służyć będą, a niechętnych precz rozgoni.

Jam naówczas o tem wszystkiem tak jak zgoła nie wiedział, od Zadory dopiero i innych dworskich starałem się czegoś nauczyć, abym zaraz w początkach umiał się do ich charakterów zastosować. Olbrachcikiem wszyscy mnie straszyli, i okazało się w istocie, że najtwardszym z nich był, a największej wymagał pilności.

Królowa Długosza, surowym głoszonego, w początkach lękała się bardzo — król przy nim właśnie dlatego obstawał.

— Ludzi się znajdzie dosyć, co ich psuć będą, — mówił — ten przynajmniej pochlebiać im i ulegać nie zechce. Znam go, bo i przeciw mnie stawał, gdy sądził to swym obowiązkiem. Dlatego wybrałem go, bo ufam, iż pobłażliwym i miękkim nie będzie. Miecz, który ma dobrym być, hartować w ogniu potrzeba.

Ażeby królowa wpływem swym surowemu obejściu się z synami nie przeszkadzała a skarg ciągłych nie podnosiła, prawie ciągle Długosz z wychowańcami po zamkach różnych, zdala od dworu przebywał.

Dni jeszcze kilka mając wolnych, korzystałem z nich, dając się Zadorze wyciągać na miasto. Jedna z dawniej znajomych nam córek Kridlara wyszła była zamąż po śmierci ojca i w posagu wzięła pamiętną mi kamienicę pod królami, w której po raz pierwszy moją Luchnę spotkałem.

Wspomnienie to skłoniło mnie, żem do Suterza, męża Kridlarównej, dał się zaciągnąć. A tu mnie, jakby w szczęśliwem miejscu spotkała niespodziana radość, bom znowu zobaczył tę, której się widzieć wcale nie spodziewałem.

Nawojowa, zbywając się jej z domu, ze starszą sługą pozwoliła się pójść zabawić w wesołem mieszczańskiem towarzystwie. Może w domu młodość jej i piękność nadto oczy pociągały.

Zobaczywszy ją — tylkom na kolana nie padł.

Zeszliśmy się z nią zaraz, na ławie usiedli obok siebie i takeśmy, z miejsca się nie ruszając, pozostali przez wieczór cały, choć ludzie patrzali koso i dworowali z nas sobie.

Zaczęła mi opowiadać o pani swej.

— Dziwy się dzieją z tą niewiastą, — mówiła — której żal i strach, gdy się na nią patrzy zbliska. Zrozumieć jej trudno. Smutek jej i wesele zarówno tajemnicą są, jak jedno, tak drugie buja i prawie do choroby dochodzi. Gdy płacze i rozpacza, przejmuje trwoga, gdy się śmieje i rozweseli, dreszcz przebiega, słuchając. Teraz ją nawiedziła niepomierna żądza zabawy, tak jej pragnie, jak ten, co pije, aby troski zapomniał. Na

chwilę sama nie chce z sobą pozostać. Ludzi sprasza, muzykę najmuje, śpiewać każe, dokazywać a błaznować. Często do białego dnia pokoju u nas niema.

Wielkim smutkiem i litością przejęło mnie opowiadanie Luchny, która była więcej oburzoną przeciwko Nawojowej, niż zasmuconą, i wstręt miała do nieszczęśliwej, której ja żałowałem, czując, że jeszcze młodości swej nie przebolała. Musiałem, milcząc, słuchać, nie mogąc podzielać gniewu Luchny i niechęci.

Skarżyła się, że zmuszoną była zostawać na dworze Tęczyńskiej, patrzeć na to jej postępowanie, a nie mogła się uwolnić, jako uboga powinowata, której los od wdowy zależał. Świętochna wcale inaczej mówiła o położeniu Luchny i posażną ją głosiła, ale wszystko to kłamstwem było.

Mnie to uradowało więcej, niż zasmuciło, iż w istocie nie miała nic, bo ubóstwo nas do siebie zbliżało.

Obiecaliśmy tu sobie znowu wytrwać wiernie, w przywiązaniu wzajemnem i cierpliwie oczekiwać szczęśliwszych chwil.

Nie wiedziała o tem Luchna, że Nawojowa matką moją była, a tego jej zwierzać nie śmiałem; napomknęła tylko z podziwieniem pewnem, że się ona wielce losem moim troszczyła, dopytywała, co się ze mną działo i sądziła, że w tem tajemnica jakiejś nienawiści tkwiła, którąby może i pochodzenie moje rozjaśnić mogła. Nie chciałem o tem z nią mówić. Rozstaliśmy się znowu, nie wiedząc, kiedy i jakim cudem się na świecie spotkamy, ale z tą szczęśliwą wiarą młodzieńczą, że się to jednak stać musi.

Stawiłem się na dzień naznaczony ks. Długoszowi, który mi obowiązki moje wyłożył, najmniejsze nawet drobnostki przewidując, na wszelki wypadek dając instrukcje i zalecając surowość jak największą. Stawił mnie potem przed królewiczami jako pomocnika swojego i dozorcę, którego we wszystkiem słuchać byli obowiązani, a gdy nadeszła godzina spoczynku i rozrywki w podwórcach, po raz pierwszy sam z młodymi panami wyszedłem, towarzysząc do zwykłych zabaw.

Ale tego dnia ja byłem dla nich przedmiotem ciekawości i badania tak zajmującym, że o rozrywkach innych zapomnieli. Przypatrywali mi się, chodzili, zagadywali, a najśmielszy Olbrachcik pierwszy pociągnął do egzaminu. Starali się wyrozumieć, czy bardzo dla nich będę ciężkim i surowym; ja z mej strony usiłowałem okazać, że w granicach dozwolonych będę im sługą dobrym i powolnym.

Kazimierz trzymał się, najmniej okazując śmiałości, na uboczu, najmłodszy był zato najodważniejszym, a Władek najstarszy zabiegał, aby sobie moją przyjaźń i życzliwość pozyskać, zalecając mi się z jakąś niemal niewieścią pieszczotliwością.

Tak rozpocząłem nowy zawód mój, w imię Boże szczęśliwie. Nimeśmy z ks. Długoszem i królewiczami do Lublina wyjechali miałem i to szczęście, żem króla widział i przekonał się, iż życzliwość jego odzyskałem.

Zobaczywszy mnie przy synach, poznał, zbliżył się, popatrzył na mnie, zapewne rozpatrując, jak się zmieniłem wielce, rzekł, uderzając po ramieniu:

— Wyciągnąłeś się, postarzałeś... hę? tułając po świecie. Patrzajże, abyś już więcej szukać służby obcej nie potrzebował. Chłopcom nie folguj, bo to rozpustne łotry!

Wziął potem za czuprynę Olbrachcika, rozśmiał się smutnie do nich i szedł dalej, bo już na niego czekano.

Dziwiono się nieraz, krwi to przypisując, że Kazimierz łowy, psy i lasy lubił bardzo, a mnie się zdało, że on więcej w nich spoczynek ten upatrywał i samotność, których był żądny, bo na Wawelu, czy gdziekolwiek był, chwili jednej wolnej nie miał.

Tak się skończył drugi okres życia mojego, jeżeli nie polepszeniem losu znacznem, to przynajmniej nadzieją jakąś, że nie zginę marnie.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXXVII

J. I. KRASZEWSKI

JASZKA ORFANEM

ZWANEGO

ŻYWOTA SPRAW PAMIĘTNIKA

(JAGIELLONOWIE DO ZYGMUNTA)

CZĘŚĆ III

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

Gdy po tylu ubiegłych latach myśl moja sięga w dawniejsze czasy młodości, przebiega wypadki i ludzi, na jakich się w życiu natrafiało i o jakich się ocierało, zaprawdę naówczas dopiero człowiek oblicza przeżyte, a tak szybko upłynione dziesiątki i czuje, jaką przestrzeń ma poza sobą.

Za żywota mojego zmieniło się niemal wszystko; czy ku lepszemu, czy na gorsze, o tem ja sądu nie śmiem wydawać, tylko to wiem, iż ludzie i sprawy ich odmiennie dziś wyglądają.

Król, a pan nasz, Kazimierz, miał do zwalczenia i przezwyciężenia tak wiele przeciwności, a przetrwał je i pokonał tak szczęśliwie, iż dziwować się potrzeba sile i wytrwałości jego, od trudnych początków panowania, aż do dni ostatnich. Zazdroszczą monarchom szczęścia ich, a nie wiedzą tego, że oni pracy i troski mają więcej od niejednego wyrobnika, odpoczynku zaś nigdy, a wdzięczności doczekają się chyba dopiero po śmierci.

Było za tych czasów moich i siła złego i dobrego, iż nie wiedzieć jak pojąc, że to razem jeden czas i jedna ziemia wydać mogła. Widzieliśmy obok siebie chodzących i ocierających się takich mężów, jak owi święci i błogosławieni: Kanty, Szymon, Świętosław, Geodrojć Michał, a tuż przy nich Pieniążków, Szafrańców, warchołów, rozbijających po gościńcach, rozumnego Ostroroga, Długosza uczonego, przy nieukach a próżniakach, pnących się na najwyższe dostojeństwa; Grzegorza

z Sanoka, Rzeszowskiego, obok duchownych, niegodnych imienia i sukni kapłańskiej.

Sama dawna prostota obyczajów, jaką my zwłaszcza na Litwie i na Mazowszu zapamiętaliśmy, przy napływie cudzoziemców a podróżach młodzieży do krajów obcych, przywożącej coraz nowe wymysły, stroje, nawyknienia, po miastach i na dworze szczególniej, zupełnie poszła w niepamięć. Zniewieściałość się do nas z Włochami i innymi cudzoziemcami dostała, przywiozła jej też nieco z Wiednia królowa, razem z piękną ogładą.

Gdy dawniej włos na głowie mężczyzny tak rósł i leżał, jak Bóg dał, i aby nie zawadzał, pod hełm podcinano go — zaczęto za moich czasów trefić, w pukle układać, na ramiona spuszczać, tak, że zdala często przy sukni długiej mężczyznę długowłosego za niewiastę wziąć było można. Nie od rzeczy dodać, iż królowa Elżbieta i do tego obyczaju dała pobudkę dzieciom swym, wdzięcznego oblicza Władysławowi a Kazimierzowi, którzy napodziw obfite i piękne mieli pukle, pielęgnując je, zapuszczając i starannie codzień przykazując układać. Wnet za nimi poszła młodzież dworska, a za tą inni.

Nierycersko to wyglądało, a starzy mężowie dziwili się temu i naśmiewali, ale młokosy się zabawiały. Z Włoch też przywieziono obyczaj noszenia sukni długich, wyszywanych wstęgami i wszelakiem bramowaniem, pętlicami, haftami, sznurami, guzami, za które drogo przepłacać było potrzeba.

Kupcy krakowscy coraz to nowe tkaniny różne zwożąc, to barwami osobliwemi, to wzorami na nich dzierżganemi oczy porywając, wielkich za nie pieniędzy żądali i otrzymywali je. Każdy pragnął przesadzić drugiego i na wielkie uroczystości wystąpić tak, aby innych zaćmić i wzrok obrócić na siebie.

Łagodniały obyczaje, to prawda, umysły się ogładzały, ale rycerski duch wygasał. Już onych dawnych Zawiszów, rycerzy Łokietkowych i Bolesławowych, dla sławy i imienia dobrego pracujących, było coraz mniej.

Za moich czasów łatwiej się stało o uczonego wymownego mądrala, niż o prostego a mężnego żołnierza, któryby i słuchać chciał, i rozkazywać musiał.

W oczach się to wszystko przeistaczało, i co dawniej mało kto ze świeckich czytać i pisać umiał, a pan każdy kanclerza z sobą woził, aby on to za niego sprawiał, jednej tylko pieczęci sam pilnując, którą miasto podpisu wyciskał, teraz niemal wstyd już było nie znać pisma, niewiasty nawet chciwie się do niego garnęły i kmiecy synowie do kościelnych szkółek chodzić zaczęli.

W samej też uczoności zaszły wielkie zmiany, bo w niej zaczęto szukać tego, coby do życia się zaraz zastosować dało, a co dawniej wszystko po łacinie musiało być, gdy mądrym być chciano, teraz i w kościele i w szkole swój język własny obok łaciny stawał; glossy dopisywano polskie, z kazalnic, nie sromając się, odzywano polszczyzną, nad którą pracowali ludzie znaczni, kolegjaci, opowiadając, że mowa ta tak dobrą była, tak obfitą, iż łacinie nie ustępowała. Zjawiły się naprzód, za Jagiełły jeszcze, tłumaczenia ksiąg świętych, kazania polskie i pieśni pobożne zaczęto przekładać z łaciny, aby to, co się w niej kryło dla niewielu przystępne, uczynić zrozumiałem dla wszystkich.

Więc gdy mowa jest o tem, choć nie w miejscu, opowiem, jak za moich czasów zjawiły się te pierwsze księgi napisane a ciśnięte, o których naprzód poszła wieść głucha, a w początkach wydawały się one sprawą czarodziejską, niemal szatańską, i wielu wierzyć w to nie chciało, aby w istocie pismo inaczej, jak piórem, mogło być wykonane.

Roku już teraz nie pomnę, ale było to wprzódy, niż Zajner w Krakowie cisnąć próbował pierwszą swą książeczkę, gdy za kanonikiem i kolegjatem, ks. Walerzem, idąc ulicą ku św. Annie, spotkaliśmy w niej ks. Brzózkę. Szedł naprzeciw nas z twarzą rozognioną jakąś, a tak przejęty i poruszony czemś, iż ks. Walerz, zobaczywszy go, zamruczał:

— Zaprawdę dziekan swoim obyczajem do kubka go pewnie zmusił, a głowę słabą ma.

Ks. Brzózka, zbliżywszy się i pozdrowiwszy nas, począł prędko i niespokojnie:

— Ks. Stanko z Niemiec tylko co powrócił. Na Boga żywego, idźcież do niego, idźcie, a ujrzycie cud ów. o którym prawiono: — księgę, której ludzka ręka nie pisała, a jest uczynioną tak, że pismo ręki ludzkiej prawie przechodzi!

Na to ks. Walerz odparł:

— Ojcze mój, stare to są bałamuctwa. Te liche, deskami odbijane obrazki z podpisami widywaliśmy; mało co one warte, o innych zaś, choć z Niemiec donoszono, a no Niemcy się radzi chwalą swoimi czarnoksiężnikami, ale zbliska te cuda widząc, nieosobliwie wyglądają.

Ks. Brzózka odparł, uśmiechając się:

— Idźcież sami, zobaczcie, jako niewierny Tomasz palec włóżcie, a potem mi powiecie: nie cudowna li to rzecz jest.

Ręce obie złożywszy, podniósł je do góry.

— Niewysłowiona łaska Boża! Miarkujcież, toż to najbiedniejszy kościołek, najmniejsza szkółka, ubogi człek słowo Boże będzie mógł za mały grosz kupić, cieszyć się niem, karmić i pomnoży się chwała Stworzyciela i Zbawiciela naszego!

— Amen — dokończył ks. Walerz z niedowiarstwem pewnem.

Ks. Brzózka odszedł, a ja za Walerzem ciągnąłem do ks. Stanki.

Przybyliśmy do niego; stał w kolegjum mniejszem i tylko co był powrócił z podróży a sakwy rozwiązał. W izbie zastaliśmy z dziesiątek profesorów i bakałarzów zgromadzonych.

Na pulpicie leżała rozwarta księga w deski oprawna, jak pospolite manuskrypta. Otaczali ją wszyscy. Na twarzach przytomnych malowało się niedowiarstwo, zdziwienie, niemal przestrach jakiś.

Wyszedł gospodarz do progu naprzeciw ks. Walerzowi, witając go uprzejmie.

— Powiedziano wam już pewnie, com za skarb osobliwy przywiózł. Chodźcież, a podziwiajcie to dzieło wielkie, zdumiewające, a chwalmy Boga, który sprawę tę natchnął.

To mówiąc, wskazał na pulpit i rozłożoną na nim księgę.

Przystąpił ks. Walerz z ciekawością, ale z niedowierzaniem. Na pierwszy rzut oka nie było w księdze tej nic, coby ją od pospolitych rękopismów, ręką biegłych skryptorów wykonywanych, odróżnić dało. Wielkie litery widocznie nawet były malowane i złocone od pióra i pendzla.

Księga zawierała tak zwany *Catholicon*.

Ks. Walerz przerzucił kart parę, zajrzał, ramionami ruszył i odezwał się:

— Osobliwego nie widzę nic, księga tak pisana, jak inne, ale ręką wprawną i jednostajną.

— W tem osobliwość, że ona pisana nie jest — żywo przerwał Stanko; — jest składaną i literami pojedyńczemi wyciśniętą! Nie na deskach rzeźana! nie! Niemiec przebiegły wymyślił rzezać pojedyńcze litery, składać je do kupy, namazywać inkaustem i na papierze je wyciskać. Tym sposobem raz złożonej księgi odbija, wiele zechce. Wielkie tylko litery zostawia próżne dla dopisania od ręki, aby ludzi oszukiwał i dał to za prawdziwą skrypturę, za którą się drogo płaci.

Słuchali wszyscy zdumieni. Ks. Walerz uważniej księgę rozpatrywać zaczął i głową potrząsał.

Wtem odezwał się przytomny ks. Dąbrówka:

— Deski rzezane nieforemnie widywaliśmy dawniej. Wyciskano niemi karty dla kosterów, obrazy śmierci i świętych, gdzie niegdzie słów potrosze.

— Ale toć wcale inna rzecz, — przerwał ks. Stanko — bo tu każda litera stawi się osobno, i dziś ona służy do Catholiconu, a jutro może do Biblji lub Lombarda. W tem cały rozum Niemca! Co dawniej ręko-

pism, licho przekopjowany, kilkadziesiąt grzywien opłacać przyszło, dziś za kilkanaście dają.

Stali wszyscy, jak niemi, a przybyły z podróży ks. Stanko ciągnął dalej:

— Powiadano mi w Frankfurcie, jaka tam gadka chodzi o tym wynalazku. Po ludzku się to stało, nie rozumem a przypadkiem, bo człowiek więcej winien trafunkom pono, niż mądrości własnej. Niemiec ów, który deski rzezane z obrazami śmierci odbijał, jedną z nich roztrzaskał, cisnąc i poszła w kawałki. Wzięły się niemi bawić chłopięta... Stał wyraz u góry wielkiemi literami: *omen;* połupały go i z *omen,* pokolei składały dla zabawy *nemo, omne, mone* i t. p. Nadszedł stary ojciec i wpatrzył się w zabawę tę dziecinną. Uderzyła go myśl, aby rzezać litery osobne, naprzód z drzewa, potem próbował je lać cynowe czy ołowiane, i stał się cud ów.

— Zaprawdę cud, — odparł ks. Dąbrówka — bo ludzie na to oddawna powinni byli trafić. Na starych glinianych naczyniach literami wybijali garncarze imiona swe, na rzymskich monumentach pojedyńcze bronzowe litery przytwierdzano. Cicero mówi o rozsypanych takich znakach. Szło tylko o to, aby je kto poczernił i wycisnął.

— I na to tysiąc lat czekać było potrzeba, a od dziecka się dopiero i od przypadku nauczyć — dodał ks. Dąbrówka.

Przyglądali się wszyscy ciekawie.

— Nie do wiary! — szeptali niektórzy, karta po karcie przepatrując.

— Musimy wierzyć, gdy w ręku mamy dowód, iż to rzecz dokonana — mówił ks. Stanko. — Nie pisany to jest Catholicon, ale ciśnięty i odbito ich siła, a jam przywiózł dwa, które porównywając, łatwo się przekonać, że kreska w kreskę są do siebie podobne. Sprawa to wielka, potęga nowa, bo co dawniej dla niewielu było dostępne, dziś się po świecie rozejdzie... na chwałę Bożą, na pożytek duszny ludzi. Biblję już taką mają.

Stojący tuż, znany wszystkim kolegjat ks. Musiński, o którym powiadano, że szatana się niemniej lękał, jak samego Boga, a o sprawach ducha ciemności rozprawiać lubił i wszędzie owego pazura djabelskiego się domyślał, głową zaczął pokręcać.

— Wy to macie za sprawę Bożą i natchnienie Ducha Świętego, a ja — nie wiem. Okaże się to, czy wieczny nieprzyjaciel rodu ludzkiego nie wymyślił tego na zgubę naszą. Biblję, powiadacie, wyciśnięto, alboż ją w ręce prostaczków, nie przygotowanych do zrozumienia, dać można?

I odwrócił się do stojącego tuż ks. Walerza.

— Medyk wam to najlepiej powie, iż zdrowszego na świecie niema nic nad chleb, a chlebem się przecie zabić można. Wygłodzonemu człeku dajcie świeżo upieczonego a gorącego, niech się go obje, a pewnie rozpuknie i zdechnie. Tak i z biblją jest, ze słowem Bożem, gdy je głodni zechcą pożerać.

Nierychło potem doczekałem się tego, że i u nas ksiąg się namnożyło, a gdy raz je cisnąć zaczęto, potem już sypały się jedne po drugich, choć pomimo to rękopisami się w szkołach posługiwano.

Właśnie o tym czasie jakoś zaszły u nas na dworze królewskim zmiany znaczne i zjawił się człowiek, który potem długo, choć cudzoziemcem był i urzędu żadnego nie piastował, na króla, na sprawy publiczne, na królewiczów zwłaszcza młodszych wielki wpływ wywierał.

Byłem podówczas jeszcze pod ks. Długoszem przy królewiczach dorastających, bo najstarszy Władek rok piętnasty poczynał, Kazimierzowi się liczyło trzynaście, a Olbrachcikowi dwanaście.

Na stolicy arcybiskupiej we Lwowie siedział naówczas mąż sławny, wielce uczony, wysoko ceniony przez ludzi, ale w wielu obudzający obawę, bo był niepomiernie ostrego słowa i sądu surowego, nie wszystko tak widział jak drudzy, z bardzo mnogich rzeczy się wyśmiewał i szydził. Gdy drudzy je zakrywali i szczę-

dzili, on nie zważał na nic; co głupotą było, zwał głupiem, co łotrostwem, mianował niepoczciwością.

Jakbym już nazwał po imieniu ks. Grzegorza z Sanoka, owego ubogiego sierotkę, który się o własnej sile wszystkiego dobił. Z łaciny i pięknego stylu, z pisania wierszy, ze znajomości dawnej literatury łacińskiej słynął przed wszystkimi. Dla niego też ci, co z nim się lubowali w niej, byli najulubieńsi.

Na stolicy lwowskiej siedząc, gdzie akademji, kolegjów, ksiąg, uczonych dysput i ludzi mu brakło, choć miał się czem zajmować około diecezji swej, mówiono, że się niepomiernie nudził. Onemu, co Wirgilim i Plautem rad żył, słuchać codzień nieokrzesanej rusińskiej mowy lub kościelnej łaciny nie w smak było.

Każdy więc uczony, który przybywał do Lwowa, pewien był, że go tam czeka najlepsze przyjęcie i gościna.

Takie też spotkało Włocha, wygnańca z własnego kraju, który pono sprzeniewierzywszy się papieżowi, proskrybowany, uchodzić musiał z Włoch i po świecie sobie schronienia i chleba szukać. Zwano go pospolicie Kallimachem, chociaż rodowe nazwisko inaczej brzmiało, i w istocie mianował się Filipem z Buonacorsich de Tebaldis, a dodawał sobie przydomek: Experiens.

Zmiarkował snać zręczny Włoch, zasłyszawszy, iż król Kazimierz z papieżem Pawłem o mianowanie biskupów spór wiódł, iż tu mu będzie najbezpieczniej. Umiał się też przydać i zalecić. Powierzchowności nadzwyczaj pięknej, ujmującej, w obejściu zręczny, twarzy wyrazistej i życia pełnej, żywego umysłu, wielkiej znajomości ludzi, umiał sobie pozyskać tych, których potrzebował.

Przez niewiasty też, do których wiersze pisał i rad się w nich rozmiłowywał po włosku, czyniąc je bóstwami, do czego one u nas nie były nawykłe, wiele umiał zyskać.

Na Pokuciu naprzód u pięknej szlachcianki czas

jakiś przesiedziawszy, gdy o Grzegorzu z Sanoka posłyszał, wprost się udał do niego.

Spragnionemu takiego towarzysza arcybiskupowi Włoch jakby z nieba spadł. Pokochali się więc wzajem tak bardzo, iż dla Kallimacha w całej Polsce nie było drugiego takiego człowieka, jak ks. Grzegorz z Sanoka, a dla niego Kallimach nad wszystkiego świata uczonych stał wyżej. Wszystkie ich upodobania się zgadzały, myśli mieli jednakie, sąd jeden i zabawiali się oba z równą miłością — literaturą i poezją łacińską.

Odżył arcybiskup przy nim, ale światła tego pod korcem chować nie chciał. Uważał to za szczęście, iż Kallimach do Polski się dostał, i nie miał pokoju, aż go królowi Kazimierzowi zalecił.

Długosz miał starszych synów pod sobą. Grzegorz z Sanoka raił do młodszych Kallimacha, a oprócz tego jako doradcę, jako posła do spraw zagranicznych za nieocenionego uważał.

Stawało to na przeszkodzie, iż Włoch po polsku umiał ledwie tyle, ile potrzeba, aby nie umrzeć z głodu. I mówić się nigdy nie nauczył, ale rozumiał potem dobrze, co mówiono. Król zaś ani włoskiego, ani łacińskiego języka nie znał.

Nie przyszło jednak łatwo narzucić go panu naszemu, chociaż królowa, zasłyszawszy o nim, bardzo sobie życzyła. Długosz bowiem wiedział też o nim, a był mu podejrzanym z tego, że przeciwko stolicy apostolskiej nietylko dawniej występował, ale i teraz rad na Rzym sarkał i co było najczarniejszego o nim rozpowiadał.

Lękał się ks. Długosz, aby nietylko nie wpłynął na króla do większego wyłamania się z pod powagi kościoła, ale i młodych królewiczów w tych zgubnych nie wychował uczuciach i nie wykarmił niemi.

Mówiono jednak tyle o Kallimachu, o niezmiernej uczoności jego, przebiegłości, zręczności, rozumie, obyczajach pięknych, dworskości, iż go w Krakowie wreszcie choć zobaczyć zażądano.

Zjechał tedy Włoch, opatrzony tak przez arcybi-

skupa, aby się mógł korzystnie stawić, co mu łatwo przyszło. Każda suknia leżała na nim wdzięcznie, wszelki strój umiał tak nosić, iż się na nim inaczej, niż na pospolitych ludziach wydawał. Czy szedł, siadł czy stanął, umiał to tak uczynić, że oczy ku sobie pociągał. Strój też włoski naówczas po całej Europie za najpiękniejszy był uważany. Tak samo jak w obejściu się, wymowie, w głosie mistrzem był, a ci, co go nie rozumieli, samym dźwiękiem słowa i wyrazem twarzy byli zachwyceni.

Ale tu dodać muszę, że uczony wielce, czego mu nikt zaprzeczyć nie mógł, wcale inaczej nosił mądrość swą, niż poważni mężowie nasi, profesorowie i kolegjaci. Można było rzec, że sobie zabawkę czynił z tego, co umiał i że to obracał na chwałę własną więcej, na popis, niż na inny pożytek ludzki.

Głosił też to nieustannie, że takich ludzi, jakim on był, monarchowie, panowie możni złotem obsypywać byli powinni, gdyż przez nich tylko do nieśmiertelności, do wieków potomnych dojść mogli. Umiał każdym wierszykiem swym tak frymarczyć, każde pismo tak zalecić, tak wynieść, tak się do nagrody przymówić zręcznie, iż mu się i śmiech, i dowcip, i lada słówko sowicie opłacało.

Zjawił się tedy w tym właśnie roku na dworze Kazimierzowym ów naprzód zalecony i sławą poprzedzony Kallimach, gdy już o wezwanie na tron czeski Władysława najstarszego i umowy o przyjęcie korony tej prawie były zawarte.

Z tego powodu i nadzór ks. Długosza nad królewiczami musiał ustać, gdyż Kazimierz oświadczył naprzód, iż chce, aby Długosz w pierwszych czasach towarzyszył synowi do Pragi i tam mu był radą i opiekunem wśród ludzi obcych. Władysław też bez miary dobry, łagodny, wszystkim dogodzić usiłujący, potrzebował koniecznie kierownika takiego, tem bardziej, że dotąd trzymany w posłuszeństwie i zawisłości, nagle miał pełną wolę otrzymać. Łacno go źli ludzie, gdzieby chcieli, poprowadzić mogli.

Muszę też tu słówko powiedzieć o sobie, i jakem włożone na mnie obowiązki spełniał.

W pierwszych czasach stałem od królewiczów dosyć zdala, towarzysząc im milczący w przejażdżkach, w grach, na podwórcach i w ogrodzie, a czasu słoty w izbach, na to przeznaczonych. Niekiedy powtarzałem im zadane pensa i rozwiązywałem w nich trudności.

Oprócz mnie było około nich służby, towarzystwa, pacholąt różnych dosyć dla rozrywki i współzawodnictwa przy nauce. Pomagał ks. Długoszowi starszy ochmistrz, Stanisław Szydłowiecki, mąż stateczny, dobrego serca, miękki, ale na wzór Długosza przybierający zawsze surową postać i oblicze, choć nad miarę powolny i dobroduszny był. Udawał nieubłaganego, ale odchodził i przez szpary patrzył, choć się co inaczej działo, niż polecił. Starał się o miłość u swoich wychowanków i miał też ją, ale go tak, jak ks. Długosza, nie obawiali się i nie szanowali. Nastawiał marsa, groził, fukał, ale nigdy nie oskarżył i nie ukarał.

Z pomiędzy młodzieży szlacheckiej, która dodaną była królewiczom, wyróżniał się Konarski Jan, niezmiernie pokaźny chłopaczek, który Kazimierzowi szczególniej przypadł do serca. Byli prawie nierozdzielni, modlili się, śpiewali razem, klęczeli przed obrazami, a gdy jeden odmawiał modlitwy, drugi odpowiadał. Miłość ich dla siebie była tak wielką, że jeden bez drugiego żyć prawie nie mógł, ale że ona pobożności była podnietą, nie miał przeciwko niej nic ks. Długosz, i Konarski był nieodstępnym przy Kazimierzu.

Władysław nie jednego, ale wielu miał takich przyjaciół, żadnego jednak nie wyróżniał z między nich i nie przypuszczał do zbytniej poufałości; choć nadzwyczaj dobre miał serce, niemniej wszakże czuł się królewiczem, przeznaczonym do korony.

Olbracht się nie przywiązywał do nikogo, ale naprzemiany to się do zbytku poufalił, to dumnie stronił od ludzi. Naturę miał więcej w sobie zamkniętą, skrytą i nie lubił, aby go odgadywano.

Bracia się wszyscy kochali między sobą, ale Ol-

bracht mniej ze starszymi żył i zwierzał się im; naturę miał inną wcale, więcej rycerską, dumniejszą, choć gdy się rozweselił i rozpuścił do zbytku z chłopiętami, sobie i im z sobą wiele pozwalał. Ale bieda była, gdy nagle się opamiętał, kim był; naówczas ani się kto mógł zbliżyć do niego.

Z nim i Szydłowiecki, i Długosz, i ja w początkach miałem najwięcej do czynienia. Spuścić go z oka nie było można, bo naówczas to, co najmocniej mu zakazano, pewnie zbroił. Dorwać się do dzbanka z winem, które tylko z wodą królewiczom dawano, i to bardzo pomiernie, wdrapać się na drzewo, na płot, wpaść do stajen, między gawiedź, psiarzy i ciurów, i z nimi żarty i swawole poczynać, najmilszem mu było. Stawiano go na pokutę potem, z czego się śmiał, nauczycielowi, gdy nań nie patrzył, przekrzywiając się.

Nauka mu przychodziła bardzo łatwo, pamięć miał doskonałą, ale ochoty niewiele. Tylko gdy mu kto czytał historje, słuchał ciekawie i zaraz do siebie je stosując, opowiadał, jakim on będzie monarchą.

Długosz, który o tem wiedział, starał się skarcić przedwczesną dumę i powtarzał mu, że niewiadomo, który z nich do jakiej korony dojdzie, bo ich sześciu było, a królestw tylu do rozdania znaleźć ciężko.

Oglądano się wprawdzie na Czechy i Węgry, o czem wszyscy wiedzieli, lecz bodaj o oboje przychodziło wojować.

Najmłodszy z synów, Fryderyk, od kolebki był do stanu duchownego przeznaczonym, lecz i tak pozostawało do wyposażenia pięciu, a licząc, że Litwa i Korona osobno obsadzone być mogły, jak za Jagiełły, jeszcze koron dla paniąt za mało było w zapasie.

Przez czas pobytu przy młodych panach, co kilka lat dobrych trwało, oni ze mną i ja z nimi się spoufaliłem. Lubili mnie dosyć, szczególną jednak słabość powziął dla mnie Olbracht i tego byłem najbliżej. Jak do tego przyszło, nie wiem. Starałem się go oszczędzać, gdy co zbroił, nie stroniłem od rozmowy z nim poufałej, oddawałem małe posługi i pozyskałem zaufanie.

Powiedzieć jednak nie mogę, aby mi się kiedy zupełnie z czego zwierzył. Wyrostkiem jeszcze będąc, taką już zachowywał ostrożność, iż przed nikim całych myśli swych nie odkrywał. Badał drugich, nie wydawał się sam nigdy. Zresztą wesół, bawić się lubił i braci, bojaźliwszych, gdy mógł, pociągał za sobą. Udawało mu się to z powolnym Władysławem, Kazimierz mu się opierał.

Gdyśmy przybyli w początku roku do Krakowa, wiedzieli już królewicze, że Władysław miał czeskim królem zostać. Długosz nieustannie mówił mu o obowiązkach monarchy względem Kościoła i wiary, gdyż szczególniej w Czechach lękał się pobłażania herezji.

Wszyscy synowie królewscy w pobożności i praktykach religijnych wychowani byli, ale różnie one do nich przystały. Olbracht najmniej religijnego okazywał ducha. Na swój wiek panięta wszystkie były dojrzałe i starsze umysłem i nauką, niż pospolite dzieci w tych latach bywają. Odzywała się w nich mimowoli czasem młodość jakąś swawolą, śmiechem, porywem, ale wogóle poważni byli, jak starzy ludzie i zważać na siebie musieli.

Ilekroć powracaliśmy na Wawel, a zastawali tu królowę Elżbietę, dla matki od dzieci odłączonej, dla młodszej braci i sióstr, dla rodziny całej były to dni wesela takiego, że obcym, patrzącym na nie, łzy z oczów tryskały. Ja, com nigdy rodziny nie miał i nie doznał tych rozkoszy, niemal z zazdrością się przypatrywałem obrazowi temu, gdy przybywających witano z okrzykami i uściski, gdy bracia i siostry pozdrawiali się, opowiadając sobie wzajemnie, co pod ich niebytność zaszło.

Strzegła tego królowa, aby i przy poufałych familijnych zabawach pewna dostojności królewskiej powaga zachowana była, ale młodzież utrzymać trudno. Śmiechem się naówczas rozlegały komnaty.

Gronko królewskich dzieci było liczne, bo i księżniczek drugie tyle prawie, co chłopców liczyło; a było wszelkiego wieku wyrostków, od Władka poczynając,

który piętnaście lat miał, do trzyletniego Fryderyczka, przy którym jeszcze niańka chodziła.

Było komu do stołu zasiąść, gdy sami jedli z królem i królową, a znękany pan mógł się widokiem tego rozkwitającego potomstwa pocieszyć. Wszystkie niemal dzieci odznaczały się pięknością lica i prawdziwie królewskiem jakiemś dostojeństwem.

Z młodszych Aleksander już lat jedenaście mający, tak łagodny, jak Władysław, powolny, milczącym był od dzieciństwa i nie okazywał żywości umysłu, jak inni. Zygmunt i Fryderyk oba jeszcze dziećmi byli.

Król pod te czasy jeżeli się niewiele zmienił, to ani poweselał, ani swobodniejszym się okazywał. Trosk miał zawsze wiele, nieprzyjaciół dosyć, trudności w sejmach ciągłe o każdy grosz, którego trzeba się było dopraszać. Tę miał tylko pociechę, że wiele spraw, jak z Prusami, w Inflantach i w domu z biskupstwy doprowadził szczęśliwie do skutku.

Pozostawało mu jeszcze do czynienia dość, a między tymi, co króla otaczali, nie tajnem było, że wielkie osnuwał plany, chcąc pod dynastją Jagiellońską połączyć Królestwo Polskie z Litwą, Węgry i Czechy. Z taką potęgą potem łatwo się mógł kusić i o odebranie Turkom tych słowiańskich prowincyj, które byli zagarnęli.

Uśmiechać się to mogło w istocie panu naszemu, gdyby tak ogromne królestwa związać mógł z sobą i jak mur żywy przeciwko poganom postawić.

Władka już tu w Krakowie pocichu królem witano, co mu na twarz rumieniec skromności i uciechy wywoływało. Głośno o tem nie mówiono jeszcze, bo wybór nie był dopełniony.

W maju przybywszy, król wysłał zaraz do Pragi dla mającego nastąpić wyboru posłów od siebie.

Nie godziło mi się w takim składzie okoliczności myśleć, ani się starać o siebie, jednakże obawiać się zacząłem, aby mnie nie odprawiono, gdy ks. Długosz z najstarszym odjedzie. Co gorzej, zaczynano gwarzyć, że trzynastoletniego Kazimierza król chciał na

Węgry wyprawić, choć chłopię się od tego płaczem wymawiało.

Wprawdzie i Szydłowiecki mnie zapewniał, że pod sobą zatrzyma przy młodszych, i Olbracht ręczył, że nie dozwoli, aby mnie mu wzięto, i na swych posługach zachowa, ale sama zmiana wszelka groźną się wydawała.

Zadora, który mało co mając do czynienia, znacznie był ociężał, utył i stracił dawną swą żywość i drapieżność, gdym się przed nim nad losem moim użalał, ruszył ramionami tylko.

— Daj pokój: twardo już wrosłeś do dworu, nikt cię wysadzić nie potrafi. Niema się troskać o co.

Dodał mi trochę otuchy. Poszliśmy razem rozsłuchać się i rozpatrzeć po mieście. Od czasu, gdym Luchnę raz ostatni spotkał w Krakowie, ani jej, ani Nawojowej nietylkom nie widział, ale mi się o nich nawet słyszeć nie dało nic. Ile razy przyszło w Krakowie czas jakiś mieszkać, dowiadywałem się pilno; mówiono mi, że, niejaki czas tu przebywszy, wdowa odjechała do majętności swych i oddawna się tu nie pokazywała. Nie wiedziano o niej nic.

Idąc ulicą z Zadorą, spotkaliśmy procesję, której towarzyszył tłum wielki pobożnych.

Jakież było podziwienie moje i przestrach, gdy zaraz za księdzem ujrzałem idącą, do niepoznania zestarzałą i zmienioną, a dla mnie zawsze jeszcze tęż samą matkę, której rysy w pamięci mej się wyryły. Szła w sukni brunatnej, podobnej krojem do tych, jakie nosiły zakonnice św. Franciszka, wytartej i połatanej, z różańcem u pasa, boso, z głową osłoniętą czarnym rąbkiem, świece niosąc w ręku, z oczyma osłupiałemi wymizerowana, blada, straszna cierpieniem, które się na licu jej malowało.

Wszyscy się na nią oglądali, bo była jedna w tym ubiorze pokutnicy, a sama twarz jej litość obudzała. Nogi miała zbłocone i pokrwawione; ręce, w których świece i paciorki trzymała, trzęsły się i drżały.

Stanęliśmy, zdjąwszy czapki, a jam zaniemiał od tego widoku.

Nawojowa szła, nie patrząc na nic i na nikogo; nagle, jakby wzrok mój rzucony na nią siłę miał jakąś i jakby go ona poczuła, zwróciła oczy na mnie.

Stanęła chwilkę, oblicze się jej zmieniło przestrachem, ale wnet się opamiętawszy, spuściła ku ziemi wejrzenie i drżącym krokiem dalej postępowała.

Zadora, któremu była obojętną, wcale jej nie poznał. Nie odzywałem się do niego, dając przejść procesji i nie mogąc ruszyć z miejsca. Stałem, jak wkuty.

Obejrzawszy się na mnie, Zadora dopiero poznał, że coś się stało ze mną, czego zrozumieć nie mógł.

— Co ci jest? — spytał.

— Nie widziałeś nic?

— Com miał widzieć?

Dopierom mu powiedział o niej, ale wierzyć nie chciał.

— Przewidziało ci się — odparł; — u stracha wielkie oczy. Skądżeby jej od tego szaleństwa przejść było do nabożeństwa. Nie może to być, nie może!

Nie dałem mu pokoju, poszliśmy na zwiady. Zaciągnąłem go do kamienicy Pod św. Michała, chcąc od ludzi Tęczyńskich języka dostać.

Zadora ludzi znał wszędzie, dopytał się i tu do dalekiego powinowatego, który na zapytanie o Nawojową rzekł:

— A juści tu jest od pół roku szalona baba. Zgryzotę tylko z nią mają Tęczyńscy, bo nie wiedzieć nigdy, co uczyni, do czego się rzuci. Po wielkich szałach, kiedy tak dokazywała, że ją już niemal zamykać chcieli, nagle na wieś zbiegła; na zamku sama jedna osiadła; zaparła drzwi, odgrodziła się od ludzi. Napadło ją nabożeństwo, skrucha, pokuta, i oto już kilka miesięcy przy klasztorze siedzi, wdziała habit, a całe miasto się jej dziwuje. Powiadają, że się biczuje, włosienicę nosi, posty okrutne zadaje sobie, po nocach krzyżem leży, a co ma, ubogim rozdaje.

Poruszył głową szlachcic i dodał:

— A mnie się zawsze widziało, że u tej niewiasty niespełna rozumu... Bóg wie, jak się to jeszcze skończy, a no zawsze lepsza taka pobożność, niż te uczty, które wyprawiała.

Powróciłem na zamek, myśląc i przemyślając nad jej losem.

Jeżeli kiedy serce moje ku nieszczęśliwej się skłaniało, to teraz, gdym miał jawne dowody, jakiem męczeństwem było jej życie. A w tem życiu ja też tkwiłem, jako cierń bolesny i niepozbyty. Wyrzucałem to sobie, żem jej na oczy przyszedł, lecz stało się to mimowoli, bom przewidzieć nic nie mógł. Zadora, widząc mnie tak pognębionym, pocieszał, jak umiał.

Nazajutrz, gdym wedle zwyczaju Olbrachtowi poszedł czytać historję rzymską, bo jej rad słuchał i o niej rozpowiadał, a łacinę tak rozumiał dobrze, że w tem starszych braci przechodził, wsunęło się pacholę, szepcąc mi, że ktoś o mnie pilno się dopytuje.

Królewicz mnie natychmiast odprawił. Szedłem za chłopakiem w dziedziniec, gdziem zastał dziada, jakby żebraka z pod kościoła od zakonnic św. Franciszka, który mi powiedział, abym się do klasztoru stawił dla rozmowy z pokutnicą, którą tam zwano imieniem Magdaleny.

Szedłem natychmiast z nim, wiedząc już, kto mnie wołał.

Dziad do furty zadzwonił i gdy oznajmił o mnie, do izby pustej przy niej wpuszczony zostałem. Tu mi czekać kazano, aby się nabożeństwo w chórze skończyło.

Łzy miałem w oczach, gdy szelest sukni i stąpanie usłyszałem... Zbliżyła się do mnie w milczeniu. Byłem tak przejęty litością wielką i miłością, nią wzbudzoną, żem, nie śmiejąc spojrzeć, do stóp się jej rzucił, łkając.

Chwilę trwało milczenie; gdym podniósł oczy, ujrzałem ją jakby ciężką walkę z sobą przebywającą, z rękami zaciśnionemi, z usty zakąszonemi, z oczyma straszliwie rozpłomienionemi.

— Nie kuś mnie — odezwała się głosem złamanym; — niegodną jestem żadnej pociechy, żadnej radości na ziemi, ani uścisku dziecka, ani nazwiska matki... Zawołać cię kazałam, bo powinieneś i ty być narzędziem pokuty dla mnie. Nie powinnam się sromu mojego wyrzekać, ani go zrywać, ale odkryć przed światem, aby na mnie plwał i deptał mnie, jak zasłużyłam.

Porwałem się przestraszony.

— Nie czyńcie tego, — zawołałem — zaklinam was. Nie o mnie mi chodzi, ani nawet o was, gdy srom ten chcecie ofiarować Bogu, lecz o rodzinę i tych których byście pociągnąć musieli z sobą... Uczyńcie ze mną, co się wam podoba, lecz szczędźcie innych... Nie powinniście, matko moja, gdy mi tego imienia użyć wolno, czynić nic bez porady świątobliwych ludzi, a pewien jestem, że takiej pokuty żaden z nich wymagać i dopuścić nie może.

— Bóg jest sprawiedliwy, — poczęła po przestanku, z płaczem — powinien ukarać winnego. Jeżelim zasłużyła, niech mnie kaźni, ale i ten... ten... pokutować powinien... I dziecko grzechu nie może być szczęśliwem — dodała.

Siły ją opuściły, zachwiała się i padła na ławę przy ścianie. Wlepiła we mnie oczy.

— Sługą jesteś na dworze? — spytała — sponiewieranym? bez imienia?

— Nie skarżę się, — rzekłem — los mój znoszę i nie żądam zmiany jego.

— Choć inny tobie i mnie się należał — szepnęła. — Ale Bóg chciał, błogosławiona wola Jego.

Otarła oczy i zaczęła mówić gorączkowo prędko:

— Nie powinnam była cię widzieć, alem pragnęła raz jeszcze. Mów, co ja dla ciebie uczynić mogę? chcę naprawić to, co los popsuł.

— Nic nie żądam, — odparłem wzruszony — pozwólcie mi tylko widzieć siebie i zyskać serce wasze... Jestem sierotą.

— Nie! nie! — zawołała — toby było pociechą dla mnie, a ja pokucie życie oddałam. Zakonnicą niegodnam być, łaską jest, że mi tę suknię wdziać pozwolono, ale świata wyrzec się muszę i zapomnieć. Chciałam tę pokutę moją uczynić głośną, jawną, oskarżyć się, okryć wstydem. Ale rodzina, ale wszyscy, co są z nią związani, nie dopuszczą tego... zamkną... Możni są... Zadawali mi szaleństwo — rzekła cicho. — Tak... mogliby o nie obwinić.

Załamała ręce, łzy się jej z oczów toczyły. Wśród tego pobożnego pokutniczego usposobienia czuć było wybuchy ziemskich wspomnień i uczuć, które się z niem pogodzić nie mogły. W skrusze i pokorze tkwiło jeszcze niezgasłe uczucie zemsty.

Po namyśle wstała z ławy, czoło się jej zmarszczyło.

— Chcę naprawić choć w części niesprawiedliwość losu — rzekła; — mam majętności, przekażę je tobie, niech ludzie mówią, co chcą, nie dbam o to... Mam prawo mieniem mojem rozrządzać, ale powinieneś dwór porzucić, służby się tej wyrzec.

Nie potrzebowałem długiego namysłu, aby stanowczo odrzucić tę ofiarę. Chciałem rękę jej ucałować, wyrwała mi ją.

— Nie mogę przyjąć tego — rzekłem. — Jawnemby się stało naówczas, kim jestem, oskarżyłabyś siebie, a z sobą współwinowajcę, rzuciłabyś jego i siebie na łup językom i złości ludzkiej.

— Niech mnie gryzą! — zawołała — ja tego chcę, ja dlatego jawnie pokutuję. Pragnę, aby mnie wytykano palcami.

— A jabym żyw też musiał chodzić z tem piętnem — odezwałem się, — którego z czoła mojego niby zetrzeć nie mogło. Dziś zowię się sierotą, musiałbym obelżywe wziąć naówczas nazwanie. Chceszże tego dla dziecka swojego?

— Dzieci za rodziców pokutować powinny — zamruczała ponuro. — Stoi to w piśmie... wiele pokoleń... wiele...

Zadumała się nagle.

— Nie czyńcie tego — dodałem pokornie. — Bóg takich ofiar ani żąda, ani przyjmuje wdzięcznie. Matko moja, radźcie się świątobliwych, nie czyńcie bez ich zgody żadnego kroku.

Siadła na ławie, ale oczy już miała z łez oschłe i krwawe od nich tylko.

— Cały ciężar pokuty spada na mnie — zaczęła powoli, — nikt podzielić jej ze mną nie chce. Ja jedna muszę do śmierci nosić plamę i ranę niezgojoną... Tak... wypierałam się ja dziecka, teraz dziecko się mnie wypiera... A on!

Nie dokończyła, łzy z wyschłych powiek polały się znowu. Popatrzyła na mnie, ale z gniewem i wyrzutem.

— Idź już, — rzekła — idź, rozdarta jest dusza moja, umysł zbłąkany; nie wiem, co czynić; cierpię i umieram, a umrzeć nie mogę, a cierpieć nie umiem... Idź.

Wstała z ławy. Schyliłem się, kraj jej sukni chcąc ucałować, odsunęła się ze wstrętem.

— Zaklinam cię, matko...

— Nie zwij mnie tem imieniem — przerwała dziko.

— Wezwijcie rady świątobliwych mężów, których tylu liczy miasto nasze; oni uspokoją, oni wskażą pokutę i drogę.

— Skarcą mnie i odepchną — przerwała gwałtownie.

I nie patrząc na mnie, wyszła nagle. Zostawszy sam, wywlokłem się przestraszony i zbolały z klasztoru.

Z niepokojem w duszy odszedłem na zamek do służby mojej, od której uwolnić się musiałem dnia tego, tak czułem się słabym i pomieszanym.

Dnia następnego zwiększył się niepokój, gdy pobiegłszy do klasztoru, aby się dowiedzieć o Nawojową, otrzymałem odpowiedź, iż dziś jej nie będę mógł widzieć. Czekać musiałem jutra, postanowiwszy sobie chodzić bodaj codzień i natrętnie dobijać, dopóki przypuszczonym nie będę.

Siostra furtjanka, wpuściwszy mnie do gościnnej izby, czekać kazała. Nierychło dały się słyszeć powolne, wlokące kroki. Ujrzałem matkę, wchodzącą po-

woli, z twarzą łzami zalaną, ale spokojniejszą, niż była. Gorączka ta, którą miała wyrytą na obliczu, ustąpiła, a w jej miejscu głęboki smutek oblókł twarz wychudzoną i zwiędłą.

Upadłem jej do nóg z miłością wielką, którą poczuć musiała, bo mnie nie odepchnęła.

Siadła na ławie osłabła, płacząc ciągle, lecz łzy to były błogosławione, z któremi ból z duszy płynął.

Milczenie długie ja pierwszy przerwałem; dwa dni namysłu uczyniły mnie śmielszym.

— Matko moja, — rzekłem — raz jeszcze do ciebie przychodzę jak dziecię, spragnione miłości. Sierotą jesteś, jak ja, odpokutowałaś długie lata, pozwól mi teraz żyć dla ciebie, służyć ci. Królewicze teraz ciągle będą w Krakowie, a przynajmniej przez czas długi. Służba moja przy nich nie ciężka. Zamiast klasztoru, pozwól mi znaleźć ci dom, gdziebyś modlić się, jak tu, mogła, a ja mógł być z tobą i posługiwać ci, pocieszać... Moja miłość sieroca, która się nie miała gdzie zwrócić, cała dla ciebie się wyleje i może choć jeden dzień życia ozłoci.

Gdym mówił, słuchała mnie bez gniewu, patrzała na mnie, łkała i zachodziła się od płaczu.

Nagle pochyliwszy się ku mnie, po raz pierwszy od dni dzieciństwa mojego pocałowała mnie w głowę i z jękiem bolesnym wyszła.

Dnia tego napróżno czekałem jej powrotu, wróciłem nazajutrz z lepszą nadzieją. Zuchwała to myśl była, którą rzuciłem, nie rozważywszy nawet, jak trudną była do spełnienia. Wystawiałem sobie tylko tę rozkosz, jakąbym miał, pielęgnując biedną kobietę, uspokajając ją na duchu, starając się przekonać, że to odrzucone dziecię kochało ją nad wszystko na świecie.

Byłem tak pozbawionym od lat wielu tego, co mogło mnie silnie przywiązywać do kogokolwiek bądź, iż odzyskanie matki rajem mi się wydawało.

Miłość dla Luchny była innego rodzaju i z tem pragnieniem serca macierzyńskiego nic wspólnego nie miała.

Spokojniejszą znalazłem ją znowu, łzy nawet oschły. Zadumana słuchała mnie, chwytała każde słowo, wszystko, com mówił, tak nowem było dla niej, jak dla mnie. Lecz i tego dnia jeszcze nie odpowiedziała na prośbę moją. Sądziłem, że wymagać będzie po mnie, abym służbę króla porzucił dla niej, lecz nie mówiła o tem.

Nie znajdując oporu wyraźnego przeciwko mojemu żądaniu, aby w Krakowie zamieszkała i pozwoliła mi służyć sobie, wróciłem znowu do tej myśli.

— Stanie się, jak żądasz — rzekła powoli. — Winnam ci za to wszystko, coś wycierpiał niewinnie, a zechce li świat czernić mnie i obwiniać, zniosę w pokorze. Nie zamknę się w klasztorze, chociaż sukni tercjarki nie zrzucę, ani pokuty nie zaniedbam. Kazano wszystko przebaczyć, aby Bóg nam win naszych nie pamiętał. Kazano przebaczyć — dodała, — nad tem pracować potrzeba, aby serce własne zwyciężyć.

Gdym dziękował jej, odprawiła mnie, za głowę ująwszy i wyszła, łzy ocierając. Drugiego dnia wychodzić miałem z zamku, gdy mnie Sliziak spotkał we wrotach. Chociaż się go nie obawiałem teraz, miałem wstręt jakiś do tego człowieka z dawnych czasów i pozbyć się go nie mogłem. Powitałem dosyć zimno.

— Do was szedłem — rzekł, biorąc mnie za rękę i spojrzawszy mi w oczy, dodał — nie marszcz się na mnie. Sługą byłem i jestem, nie z tych sług, co dla pieniędzy, ale co dla serca służą. Od pieluch ją kochałem dzieckiem, dlategom był gotów dla niej choćby truć i zabijać, a gdy każe miłować, dla niej miłuję, tak jakem nienawidził.

Westchnął.

— Cuda się dzieją — mówił dalej, widząc, że mu nie myślę przerywać. — Pani moja domu szuka w mieście, aby go kupiła... ale bez was teraz nic uczynić nie chce. Nawojowej lada dworku nabyć się nie godzi, musi mieć kamienicę, którejby się ani Gastoldowie, ni Tęczyńscy nie wstydzili. Brat jej po Siemionie Olelkowiczu wielkorządcą w Kijowie. Znalazłem w rynku

dom po Rejzerach, Pod złotym dzwonem, ale dzwon się na tarczę naszą przerobi. Chodź opatrzeć.

Sliziak się uśmiechał, był teraz tak dla mnie serdecznym, tak powolnym, iż ja trochę się rozmarzać zacząłem.

Szliśmy Pod złoty dzwon, który ja zdala znałem, ale co się wewnątrz w nim działo, nie wiedziałem spełna. Mieszczańskie było domostwo, lecz do zamożnych należało, więc znalazło się gdzie rozgościć szeroko. Sieni ogromne, wschody ciemne, izby sklepione pokaźne, podwórce obszerne starczyły i dla liczniejszego dworu. Zdało mi się wszystko to dobrem a najlepszem, iż Nawojowa kamienicę nabywała. Wolałbym był wprawdzie dla niej dom osobno stojący z ogrodem, od zgiełku rynkowego i ulicznego oddalony, ale o taki trudno było. Co lepsze murowane domostwa stały w pośrodku miasta, w ogrodach zaś dworki wszystkie drewniane.

Ale Tęczyńscy mieli też trzy domy wpośród mieszczańskich stojące, a nie sarkali na to. Pod złotym dzwonem na dole był kram, ale ten zamknąć i na izbę mieszkalną przerobić łatwo było.

Tak ze Sliziakiem obejrzawszy przyszłe nabycie, rozradowany wielce, chciałem z nim iść też zaraz do klasztoru, na co się nie zgodził.

— Przyjdziesz jutro — rzekł, — dziś ona musi to przebyć, czego nie lubi, sprawy swoje pieniężne i majątkowe pokończyć, aby była swobodną. Takiego końca jam się nigdy nie spodziewał, ale Bóg łaskaw, taki najlepszy.

Życie moje tedy, choć napozór nie miało żadnej doznać zmiany, w istocie zmieniło się tak, jakby po nocy czarnej zeszła jutrzenka. Sliziak powiedział dobrze — stał się w istocie cud, nie miałem dosyć słów i modlitw na podziękowanie Bogu.

Lecz biedna ta niewiasta, którą zwałem matką swoją, tyle razy w życiu różnemi porywana prądami, mieniąca się tak dziwnie, czy mogła wytrwać w tem nowem postanowieniu.

Drżałem o to.

Gdym znowu do klasztoru przybył, znalazłem ją, dzięki Bogu, nieodmienioną wcale, uspokojoną, jakby uradowaną z tego, co się stało.

— Opowiadał mi Sliziak o dworze nowym — rzekła. — Izby na dole będą dla ciebie, choćbyś w nich nie mieszkał stale, mieć je przecież musisz. Widzisz, że się temu poddaję, byś służby królewiczów nie rzucał, najwięcej mnie to kosztuje, ale dla waszej przyszłości zdać się to może... niech tak będzie.

W czasie tym, gdy dom Pod złotym dzwonem uprzątać i oczyszczać miano, Nawojowa pozostawała w celi klasztornej. Przybywałem tu codzień po rozkazy, dla widzenia się, spowiadając z całego życia mojego.

Była już tak daleko uspokojoną, że nietylko o dworze słuchała cierpliwie, gdym rozpowiadał, ale sama mnie rozpytywała.

Tylko gdym o królu mówił, odwracała głowę i milczała.

Właśnie pod ten czas przypadły wielkie zmiany na dworze, bo już, już królewicza Władysława mieliśmy postradać, gdyż, jakem mówił, do Czech go brano.

Jedni go im żałowali, bo, jako najstarszy, mówili, powinien był po ojcu nastąpić, a wielkiej dobroci jego też nieradzi byli postradać; drudzy twierdzili, iż zbyt łagodnymby był dla Polaków i lepiej było, że go Czesi brali, gdzie umysłem zgodnym mógł spory i niesnaski koić, a ludzi zwaśnionych z sobą przejednać.

Postanowionem było, iżby ks. Długosz mu towarzyszył.

Tymczasem zwierzchni kierunek nad królewiczami obejmował Szydłowiecki, ja dozór i naglądanie, a na widoku w przyszłości naówczas już stawiano onego sławionego Kallimacha, stręczonego przez Grzegorza z Sanoka.

Wielki to był a uroczysty dzień dla króla naszego, który zwycięstwu się równał w boju odniesionemu, gdy posłowie czescy z Pragi przybyli, koronę tego zacnego

królestwa pokrewnego nam mową ofiarując piętnastoletniemu synowi Władysławowi.

Dnia 16 lipca w niedzielę w sali zamkowej, którą właśnie dokończył był malować Jan Wielki, piękny jak anioł królewicz przyjmował starszyznę czeską i w języku polskim przemawiał do niej tak pięknie, iż wymową, głosem, postawą, równie jak całą osobą swą zachwycił słuchających. Widziałem Jana, arcybiskupa gnieźnieńskiego, gdy pod koniec przemówienia tego rozpłakał się i łzy ocierać musiał. Płakała królowa, poruszonym był sam pan, i później Długoszowi za wychowanie dziękował, jemu przyznając pociechę tę, jaką miał z królewiczów.

Nie ociągano się z wyprawieniem młodego króla do Pragi w orszaku wielkim i bardzo wspaniałym, na który, równie jak na pierwsze potrzeby nowego królestwa, Kazimierz ze szkatuły swej hojnie łożył.

Łatwo mi naówczas było towarzyszyć mu, bo i młody pan sobie tego życzył i ks. Długosz namawiał, alem Krakowa opuszczać nie chciał dla matki i dla tej szczególnej łaski, jaką mi młody Olbracht okazywał, któremum ja służyć przyobiecał.

Jak do tego przyszło, iż najmłodszy i najtrudniejszy do poprowadzenia z nich wszystkich Olbracht mnie sobie wybrał za powiernika i, mogę powiedzieć, przyjaciela, o com się nie starał, wytłumaczyć tego nie umiem.

Ledwie że Władysław w Pradze był, gdy król postanowił młodszego od niego jeszcze, a wcale do wypraw wojennych niesposobnego Kazimierza, ze dwunastu tysiącami ludzi na Węgry wyprawić.

Temu przedsięwzięciu nawet między najposłuszniejszymi króla sługami wielu było przeciwnych. Przewidywano, co się ziściło, że siłę przeważną Kazimierz znajdzie przeciwko sobie, a na pomoc tych, co się z nią obiecywali, rachować nie może.

On sam zaś nietylko ku temu ochoty nie miał, ale się wypraszał u królowej, u króla, matkę po rękach całując i błagając, aby dla niego ludzie krwi nie przele-

wali, gdyż on żadnej, okrom niebieskiej, nie życzy sobie korony.

Nie pomogło to, gdyż król od dziecka wymagał posłuszeństwa. Trzynastoletni wyrostek był tylko chorągwią, dowódcami zaś istotnymi wyprawy dobrani mężowie, znani z wojennego ducha, z męstwa i energji.

Prorokowano zawczasu, zwłaszcza starzy, co Warneńczyka pamiętali, że Kazimierzowi się nie powiedzie.

Król zaś jakąś zuchwałą miał wiarę w szczęście swoje, którą wybór Władysława podnosił. Rachował też i na to może, że brat, ustaliwszy się na tronie, poprze Kazimierza, byle się choć w części kraju mógł utrzymać.

Zamki zdawać obiecywano.

Dodając męstwa i ochoty synowi, sam król już jesienią, gdy się zaciągi pozbierały, odprowadził go do Nowego Sącza. Ale krótkie były nadzieje, a prędko przyszło rozczarowanie po tych obietnicach Węgrów, którzy wcale ich spełniać nie myśleli.

Zaledwie wkroczył królewicz do kraju, który miał mu otwierać bramy, gdy się zdrada okazała. Nieprzyjaciel się zjawił, przyjaciół nie było wcale. Niemcy najemni, którzy łupu, a nie wojny krwawej się spodziewali, pierwsi opuścili szeregi; niektóre oddziały polskie, zgubę swą widząc, poszły za ich przykładem.

Zamknął się w początku królewicz w Nitrze, ale i tu oblężenia się trzeba było spodziewać, musiał więc uchodzić o mroku, zostawując tu ze czterema tysiącami Pawła Jasieńskiego, mężnego i doświadczonego dowódcę.

Po drodze do Iławy napadli Węgrzy obóz królewiczowski i sześćdziesiąt mu wozów odcięli i uprowadzili. Podzieliły się zdania w radzie wojennej. Co było przedniejszego rycerstwa, chciało się trzymać i walczyć; Tarnowski, Wątróbka, Szydłowiecki, Melsztyński za srom sobie mieli uchodzić, ale reszta biła w to, że drogie życie królewicza ocalić należało. Zakrzyczano do odwrotu.

Smutnyż to był ów do Krakowa przyjazd z taką stratą i upokorzeniem, o które część rycerstwa obwiniano. Kazimierz sam mało w tem stanowił, nie pragnął wojny, lecz byłby w niej wytrwał, gdyby nie doradcy bojaźliwi. Źle, czy dobrze się stało, Bóg wie jeden.

Król był tem mocno przybity, lecz nie dawał poznać po sobie.

Kazimierz przybył cicho, obawiając się gniewu ojca, rachując na matkę, nie śmiejąc się tłumaczyć, sądząc, że będzie strofowany surowo, ale król go przyjął czule, pocieszająco, bez narzekań spóźnionych na to, co się dokonało.

Z Węgrami postanowił wejść w układy; trudności wojennej wyprawy, do których sił potrzeba było znacznych, teraz się dopiero czuć dawały. Wziąć ją na barki nie mógł król i dlatego zachował się obojętnie, odkładając wszystko na przyszłość.

Próba ta z młodym królewiczem była stanowczą dla niego; przekonali się oboje rodzice, iż nie był wcale zrodzony do zdobywania państw. Sława rycerska, królowanie nie pociągały go bynajmniej. Powracał znużony, smutny i znękany, a nie odzyskał zwykłego swego humoru i spokoju, aż gdy znowu z Konarskim nie wymodlił się w katedrze, w kaplicy i we własnej izdebce, w której miał klęcznik przybrany, zamiast ołtarzyka.

Zdrowie też jego nakazywało go oszczędzać. Biały był i delikatnej cery, jak dzieweczka, aż nadto świeży i żywy rumieniec lice te krasił, oczy były pełne ognia i życia, ale sił miał niewiele, męczył się prędko, oddech naówczas miał przyśpieszony i kaszel go męczył po nocach.

Niespokojna matka przypisywała to do przesady posuniętym praktykom religijnym, dla których wstawał po nocach, aby pewne modlitwy odmawiać; czuwał długo, ścisłe bardzo posty sobie zadawał i klęczeniem się nużył. Od tego jednak wstrzymać go nie było spo-

sobu, i ulubiony nawet Konarski, przez którego starano się ten zapał ukrócać, nie mógł go ostudzić.

Zdaje się, że król od tej wyprawy niewiele rachował na Kazimierza, jako prawdopodobnego swego następcę; oczy jego zwracały się na Olbrachta, na Aleksandra, nareszcie na Zygmunta, bo ostatni był nieodwołalnie do stanu duchownego przeznaczony.

Nie taił się z tem ojciec, że się spodziewał go wyposażyć biskupstwem krakowskiem i arcybiskupstwem gnieźnieńskiem, co, razem wzięte, stanowiło dotację książęcą.

Aleksander, który dorastał, tępego był umysłu, milczący, ale, jak oni wszyscy, łagodny, szczodry i dobry.

Właśnie gdy ks. Długosz w Pradze się jeszcze znajdował, zapowiedziane przybycie Kallimacha do Krakowa nastąpiło. Los czy ludzie tak umiejętnie układali na korzyść jego — nie wiem, lecz pewna, że lepiej się to nie mogło dla niego złożyć.

Królowa była najkorzystniej uprzedzoną, król nauczyciela potrzebował. Sławiono rozum i polityki znajomość we Włochu, a tu właśnie śmierć Lutka z Brzezia opróżnione po nim miejsce w radzie nastręczała. Królewiczom dwom, nie licząc już Kazimierza, potrzebnym był mąż europejskiego wykształcenia. Oczekiwano więc zjawienia się Kallimacha z ciekawością gorącą.

W takich razach najczęściej się trafia, że przesadzone nadzieje zawiedzionemi bywają, tym razem jednak stało się wcale przeciwnie. — Włoch przeszedł nadzieje.

Wiedział on, iż od pierwszego wystąpienia, olśnienia, od wrażenia, jakie człowiek uczyni zrazu, zależy wiele. Wszystko było ku temu celowi skierowane, aby się podobać.

Mówiono, że Włoch ze swych włóczęg po świecie na Pokucie naprzód do przyjaciółki swej, potem do arcybiskupa Grzegorza przybył bardzo ubogo wyposażony. Przez czas jednak pobytu we Lwowie tak umiał korzystać z łask przyjaciela, tak się okazał godnym te-

go, aby mógł pańsko i wytwornie wystąpić, iż Grzegorz się postarał o to, by do Krakowa już jako człowiek dostatni, któremu na niczem nie zbywało, przyjechał. Gotowy dwór dlań stanowili oczekujący na niego już Włosi.

Wystąpienie jego na dworze było tak piękne i rozumne, iż odrazu za serca wszystkich chwyciło.

Królowej wyraził uwielbienie swe dla pięknych jej, królewskiego oblicza dzieci, przed królem się korzył, sławiąc rozum jego i trudy panowania, o których przez Grzegorza z Sanoka doskonale był uwiadomiony, kładł szczególniej nacisk na wielkie zwycięstwo, odniesione nad stolicą apostolską, do którego wiedział pewnie, że sam Kazimierz wielką wagę przykładał.

Zaraz też tego dnia po łacinie z młodymi: Kazimierzem i Olbrachtem, zamieniwszy po kilka słów, nad wychowaniem ich szczęśliwem się unosił.

Królowa służyła za tłumacza, gdyż Kazimierz, pan nasz, po łacinie mało co, a po włosku nic nie umiał; Kallimach zaś po polsku się nie ważył, ledwie się z tym językiem zaczynając oswajać, którego i później się nie nauczył.

Z tego występu pierwszego można było już miarkować, jakie Kallimach zajmie tu miejsce, jeżeli czy to do królewiczów, czy do kancelarji pańskiej przyjęty zostanie.

Wszystko w nim wielkiego pana znamionowało, choć chudym pachołkiem był. Lecz królowi człowiek taki właśnie dla spraw rzymskich i dla stosunków zagranicznych nieocenionym się wydawał.

Pierwsze dni spożytkował zręcznie Włoch, gdy na dworze bywając, przez królowę Kazimierzowi wmawiał, że zbytnie swobody rycerstwa i szlachty koniecznie ukrócić powinien. Czuł król tego potrzebę, a w radzie, co go otaczała, znajdował wstręt i obawę do przedsięwzięcia kroków ku temu. Kallimach więc wydawał mu się i do tego wielce potrzebnym.

Z królewiczów Olbrachcik mój najpierwszy do niego przystał, zyskał też sobie i Aleksandra milczącego,

Kazimierz tylko nie garnął się ku niemu. Wcale inaczej zaraz niż ks. Długosz z chłopcami sobie postępować zaczął, więcej w myśli królowej, będąc przeciwnym surowości zbytniej, przywiązując wagę do ogłady, elegancji i obyczaju.

Długosz karcił rozmiłowanie się w stroju, trefieniu włosów i wytworności, Kallimach je pochwalał, a na sobie dawał przykład, iż się bez tego obejść nie można.

W kilka dni po przybyciu jego nie ulegało już wątpliwości, iż Włoch obejmie wychowanie królewiczów i zostanie przy dworze.

Jako cudzoziemiec, do wysokich dostojeństw nie mógł być przypuszczonym, lecz poza niemi przy osobie królewskiej pozostawało wiele do czynienia, pocichu.

Jaki tam układ stanął, o tem nikt nie wiedział, lecz z pierwszego osiedlenia się Kallimachowego widać było, do jakiego dążył stanowiska. Dwór osobny, służbę, konie, wszystko zaraz obmyślać począł.

Ja w pierwszych dniach około matki mej i jej przesiedlenia się z klasztorem do dworu Pod złotym dzwonem będąc zajętym, zdaleka tylko na to wszystko patrzyłem.

Widziałem jednak, że jak z jednej strony Włochowi się powiedzie pewnie, tak i to, iż mnogich sobie nieprzyjaciół pozyska.

Tak samo jak ze dworem i królestwem, umiał sobie postąpić Włoch z panami kolegjatami i akademją. Zalecony przez Grzegorza z Sanoka, miał już za sobą wielkiej wagi zdanie jego, ale postarał się o to, aby go głosem uwielbienia powitano, naprzód akademję krakowską podnosząc i sławiąc z tego, co czasu soborów czyniła i jak się korzystnie światu poznać dała. Dla panów kolegjatów, ich prac niósł hołd w imieniu obcych, świata oddalonego, ziemi klasycznej, źródła nauk i oświaty.

Nakoniec olśnił i zaćmił tu wszystkich swoją łaciną, którą tak władał, jak może żaden ze współczesnych, z łatwością, wytwornością, z poufałością człowieka, który się nią karmił od dzieciństwa.

W tej łacinie, przyznać potrzeba, nikt mu tu nie sprostał, z wyjątkiem może jednego przyjaciela jego, Grzegorza. Stosunki też Kallimacha ze wszystkimi sławnymi mężami w Europie, korespondencje rozliczne z nimi, wysoko go podnosiły.

Ponieważ tak wielki pan nie mógł być codziennym dozorcą królewiczów, a był tylko ich nauczycielem, pozostał więc Szydłowiecki ochmistrzem i mnie z miejsca nie ruszono, a żem po włosku cokolwiek umiał, wypadło tak, iż zostałem z urzędu tłumaczem Kallimachowym, co mnie do niego zbliżyło.

Po ks. Długoszu naszym jak mi się on wydawał, trudno określić. Bystrzejszy umysłem, uczeńszy w łacińskich rzeczach, nie miał surowości jego, płochym był i lekkim nad miarę. W religijnych zwłaszcza zasadach pobłażał drugim i sobie do zbytku, nie zdając się tego ważyć wiele, co ks. Długosz, jako nienaruszone i nietykalne, szanował.

Zaraz w początkach, gdy królewicze mowy, jakie im w usta kładziono, powinszowania różne i łacińskie oracje przed nim wypowiadali, które my za wzory języka uważaliśmy, Kallimach na nie krzywić się począł i łacinę ich niecierpliwie poprawiał, utrzymując, że jej na wszelkiej elegancji zbywało.

Jeżeli to naszego ks. Długosza doszło, zaboleć pewnie musiało.

Czas wolny, który mu zbywał, dawny nauczyciel spędzał na modlitwie lub w kronikach swych zatopiony; Kallimach zaś życie wesołe, biesiadowanie, rozmowy tak lubił, że na nich dnie i noce trawić był gotów.

W ciągłej obawie, aby ów szczęśliwy zwrot w życiu Nawojowej nie został czem zwichnięty, nie uspokoiłem się, ażem ujrzał ją w nowej kamienicy, z małym dworem swym osiedloną.

Czynnym byłem i pomocnym jej w tem, o ile tylko obowiązki moje na zamku dozwalały.

Przemyślałem nad tem, aby jej pobyt ten uczynić jak najznośniejszym. Ponieważ oddaną była teraz nabożeństwu i na modlitwach większą część czasu spę-

działa, urządziłem przy sypialni kapliczkę domową, do której od Jana Wielkiego obraz Matki Bożej Bolesnej kupiłem za własny pieniądz, sądząc, że widok jej osłodzi też cierpienie biednej niewiasty.

Sliziak, który świadkiem był, jakem zabiegał i krzątał się około domu, mógł mi oddać świadectwo, chociaż nie chodziło mi o wdzięczność matki, ale o zaspokojenie potrzeby serca własnego.

Doczekałem się tego wreszcie, iż obdarzywszy klasztor sowicie, dnia jednego Nawojowa się do kamienicy przeniosła, gdzie ją wieczorem zastałem modlącą się przed obrazem i spłakaną.

Postanowiłem godziny wolne jej poświęcać. Sama jedna była, modlitwami się karmiąc, ludzi unikając; sądziłem więc, że pobożne książki przynosząc jej i czytając, przyczynię się najlepiej do uspokojenia jej duszy.

Czyniłem, com mógł, bo naówczas polskich ksiąg, krom kilku, nie było, te więc, jakie miałem po łacinie, przygotowując się zawczasu i glossy sobie zapisując, tłumaczyć się starałem.

Praca to była częstokroć twarda dla mnie, do której i porady cudzej zażyć musiałem, ale mi się ona stokroć wywdzięczała tem, że matkę moją uczyniła szczęśliwszą daleko w boleści jej, że ją oderwała od własnego losu i umysł zaprzątnęła.

Troskliwość, jaką okazywałem dla niej, zmiękczyła też długo zamknięte serce. Sliziak opowiadał mi, że gdy na zwykłą nie przychodziłem godzinę, niepokoiła się, płakała, posyłała i lękała, abym jej nie opuścił.

Była dla mnie tak pobłażającą, że mi o dworze, o osobach jej niemiłych, o wszystkiem mówić dozwalała. Czasem na bladą twarz jej rumieniec wystąpił, ale wnet się hamowała.

Nie zmieniwszy stroju tercjarki, chodziła w habicie św. Franciszka, alem uprosił ją, że stary i zużyty, który przez pokorę wzięła, zmieniła na nowszy i wygodniejszy. Zaczęto ją znać już w mieście pod nazwiskiem Tęczyńskiej pokutnicy.

Niebardzo podobno miłem okiem na te postanowienia jej patrzyła rodzina, ale były powody, dla których powolną jej być musiała.

Dla mnie wyznaczone izby na dole, choć się mojemi zwały, małom ich kiedy zażywał i oglądał. Żądała przecież matka po mnie, abym podczas w nich skromnie przyjaciół przyjął; w istocie Zadorę, Marjana i kilku innych spokojniejszych ugościłem tu parę razy, nie dopuszczając wrzawy, która dla Nawojowej nieznośną była.

Na zamku król, który wszystko wiedział, bo mu szczególniej o sługach jego donoszono, musiał już i o mojej przygodzie być zawiadomionym, ale mi o niej nie wspominał ni słowa.

Po przybyciu Kallimacha, gdy mnie za tłumacza powoływano do króla, a z łatwością mi przychodziło z tego się wywiązać, Kazimierz się uśmiechał i klepał mnie po ramieniu.

Powiedział raz zwięźle, jak był zwykł:

— Rad jestem z ciebie.

Skłaniał się król coraz więcej ku Włochowi, bo w myśl jego mówił i sądził o wszystkich królestwa sprawach, a o wzmocnienie władzy pańskiej mocno nastawał.

Rozgłosiło się to. Kółko przyjaciół królewskich, ludzi jak Ostroróg i inni urzędnicy przy boku pańskim stojący, którzy wiedzieli, co ucierpiał przez spiski przeciwko sobie, potakiwali Kallimachowi, ale byli i tacy, co wieści o tem roznosząc, możnych i duchowieństwo nowym nabawiali strachem.

Cała już tu zręczność Włocha poradzić na to nie mogła, aby królowi dogadzając, miłość sobie u rycerstwa i możnych pozyskać.

Z nieufnością a groźnie poczęto spoglądać na niego zewsząd, tak, że musiał powoli zamknąć się w ciasnem kółku Włochów swych, niewielu kolegjatów uczonych i dworzan królewskich.

Niema wątpliwości, iż gdyby był chciał, z taką przedziwną umiejętnością władania ludźmi i ujmowa-

nia ich sobie, byłby łatwo przyjaciół zjednał wszędzie, lecz musiał wybierać. Stanął więc przeciwko panom z królem.

Przez Sliziaka i innych wiedzieliśmy, co się działo w tym obozie, który królowi niedowierzał i posądzał go o jakiś zamach na przywileje rycerstwa. Tam przybyłego Włocha uważano, jako najniebezpieczniejszego doradcę nietylko przy królu, ale wychowaniem królewiczów mogącego wpłynąć na przyszłość.

Tego się lękano, a nie bez przyczyny.

Włoch w istocie karmił młode panięta opowiadaniami ze swej historji włoskiej, jak tam respubliki umieli stojący na ich czele obrócić na państwa sobie podległe, jak głowy możnym ścinali, więzili ich, z niezgód korzystali i władzę swą powiększali.

Ciekawy tych historyj Olbracht, który się im przysłuchiwać lubił, szczególniej przyklaskiwał, radował się, cieszył, gdy mu Kallimach opowiadał. Wyrywało mu się często, iż ojciec powinien był tak u siebie w domu gospodarzyć i że gdyby on miał władzę w ręku, poskromićby potrafił krnąbrnych a opornych.

Nigdy królewicze nie słyszeli nauk podobnych z ust ks. Długosza, który na to nastawał, że poprzysiężone prawa krajowe panujący szanować był powinien i im się poddać, bo one również poddanych, jak królów, obowiązują. Z ust Kallimacha słyszeli szyderstwa z tych, co nie korzystali ze zręczności, a śmieszną sumiennością dali się skrępować.

Na młodego Kazimierza nie mógł mieć Włoch wpływu żadnego i rychło to zmiarkowawszy, próżno się nad tem nie trudził. Narażać mu się nie chcąc, pobożność jego pochwalał, opowiadał mu o świętościach, relikwjach i kościołach Rzymu. Zresztą zostawiał go samemu sobie.

Z Olbrachta mojego zato Kallimach był rad wielce i po nim sobie obiecywał wszystko, gdy na tron wstąpi. Rachował bowiem na to, że go czeka korona.

W tym to czasie, gdy Aleksander też już dorastał, zawiązała się owa wielka miłość między nim a Era-

zmem Ciołkiem, szewczukiem, a stało się to wypadkiem. Z Kallimachem na dwór jakby inny wiatr powiał, dawna surowość i wstręt do wszelkich płochych rozrywek zamienił się w poszukiwanie ich dla zabawienia młodzieży. Włoch bowiem utrzymywał, że wesołość zdrową jest i potrzebną. Muzyka, zdaniem Włocha, miękczyła dzikie umysły, obyczaje czyniła gładszemi, młodych rozwijała. Dla młodszych więc, przyczem i starsi się zabawiali, u królowej często zwoływano śpiewaków i cytarzystów.

Jednego wieczora ktoś rozpowiadać zaczął o cudownem chłopięciu, Ciołku, tak, iż wszyscy go ciekawymi byli. Królowa kazała go sprowadzić.

Cześć to była wielka dla starego Ciołka, który się jej nigdy dla siebie i syna spodziewać nie mógł.

Obawiano się, aby Erazmek ze strachu przed królową i dworem nie tak się popisał, jak zwykle, lecz obawa była próżną, gdyż zarozumiałe i do zbytku śmiałe chłopię, które wystrojono w co było najlepszego, wcale się nikogo nie lękało.

Przyprowadzony przed królowę, gdy mu śpiewać kazano, tak sobie poczynał, jakby w szynku u matki stał przed zwykłymi gośćmi. Śmiałość ta i nieustraszoność wyrostka niezmiernie się podobały, a głos też miał nadzwyczaj piękny i nucił takie pieśni, które w jego ustach dziwnie brzmiały, bo się z wiekiem nie godziły.

Rozumkiem też, odpowiedziami, obejściem się całem królowę, dwór, a szczególniej młodego Aleksandra zachwycił. Królewicz chodził za nim ciągle, przypatrywał mu się, uśmiechał do niego, a gdy potem Ciołka nie stało, wciąż się o niego upominał. Szydłowiecki nie widział w tem nic złego, choć chłopię było mieszczańskie, dopuszczać je dla zabawy do królewiczów. Kallimach się temu nie sprzeciwił.

Takim sposobem przywykł nasz milczący Aleksander do rozmownego i żywego Ciołka. Sądzono, że chłopię trochę opieszały umysł królewicza rozbudzi; Aleksander jednak pozostał, jak był, a Ciołek tylko przy nim, chlubiąc się tem, że go na Wawel potrzebowano,

urósł w pychę i nadzieję wielkich losów. Ale chłopak był w istocie do nich stworzony, choć z gminu wyszedł i zdolności miał tak wielkie, iż już naówczas z rozmów chwytał więcej i przyswajał sobie, niż się drudzy z ksiąg uczą. Kallimach też, zdolności widząc nadzwyczajne, nalegał na to, aby dać chłopcu wychowanie lepsze i mieć z niego niepospolitego sługę.

Z łaski królewicza Aleksandra zaczął i król o losie Ciołka myśleć i kazał mu naznaczyć żołd do szkół.

Nie straciłem ja łaski u mojego Olbrachta, lecz teraz przy Kallimachu nie byłem już dla niego tem, co wprzódy. We mnie zawsze Długoszowy duch nieśmielszy mieszkał, gdy Włoch szersze roztwierał pola umysłowi młodemu.

Nie zbywało Olbrachtowi na dowcipie i łatwości pojęcia, ale krew w nim zawczasu bardzo grać zaczęła i od nauki go odrywała. Lubił słuchać, żywem słowem się karmić, ale szukać w księgach, grzebać w nich — niecierpliwiło go. Z rozmów z Kallimachem wkrótce nabrał takiej wprawy w języku łacińskim i tak wytwornie się z nim a łatwo posługiwał, iż w podziwienie wprawiał wszystkich. Innemi też językami mówił dobrze, ale z łaciny był dumnym. Nikt z królewiczów tak jej nie posiadał, jak on, co też Kallimacha do niego przywiązywało. Prorokował mu świetne losy.

Część ta żywota mojego upływała jednostajniej i spokojniej. Nieznacznie i choć o zmianie żadnej w obowiązkach moich mowy nie było, przeszedłem ze służby przy młodych paniętach do Jana Olbrachta. Ten mnie sobie wyprosił do osoby swej, o czem król wiedział, i odtąd wolniejszym byłem, a czasu nauki, gdy go Kallimach brał, mogłem do matki na miasto zejść i czuwać nad nią.

Nie śmiałem wspomnieć jej nigdy o Luchnie, ale miałem jakąś nadzieję, że gdy wprzódy ją przy sobie miała, a teraz też dworu i służby żeńskiej potrzebowała, zażąda mieć ją przy sobie. Mówić o tem, aby nie ściągnąć podejrzenia na nas oboje, nie mogłem. Sliziaka zaś, choć teraz żyliśmy z nim w zgodzie, użyć

wstręt miałem jakiś. Zdałem to na Opatrzność Bożą, na którą od niejakiego czasu nawykłem był wszystko składać, — stań się wola Twoja, powtarzając.

Nauczył mnie tego drogi mistrz, ks. Jan Kanty, że własna wola najczęściej na błędne drogi prowadzi. Chciałem, patrząc na niego, nabrać tego spokoju ducha i pogody, a równości umysłu w dobrej i złej doli, jaką on miał. Lecz któż takiemu wzorowi mógłby dorównać?

O wszystkiem, co się mnie tyczyło, król, chociaż tego po sobie nie dawał może poznać, zdawał się być uwiadomionym, nawet o mojem uczęszczaniu do Nawojowej i stosunku jej ze mną.

Gdy Kallimach się już na dobre rozgościł w Krakowie, objął wychowanie chłopiąt i niemal codzień powoływanym był do króla, u którego godzinami przesiadywał, gdy się rada zbierała, rozeszło się to rychło po ludziach i starzy panowie, Kazimierzowi niechętni, powiadać zaczęli z przekąsem, że wziął nauczyciela nie do dzieci, a dla siebie.

Kto rozmowy potajemne i rady Włocha zdradzał i wynosił z zamku, tego dociec było trudno; to jednak pewna, że prawiono o nich wiele, szeroko i zdaje się, nie z palca wyssawszy.

Kallimachem teraz posługiwano się do wszystkiego niemal. Pominąwszy to, że królewiczów wychowanie na barkach miał i niem rozporządzał, jako chciał, w kancelarji pańskiej wszystkie sprawy rzymskie i zagraniczne związki z monarchami obcymi przez jego szły ręce.

Poprawiał łacinę w listach, ale i treść dyktował, królowi wmawiając, że potężnym jest, być powinien i żadnemu z monarchów nie ustępuje, więc też i dać im to czuć powinien. Według niego, większej tylko władzy w domu brakło królowi, aby ją i poza granicami dał poznać. Król słuchał tego chętnie, ale nie było zręczności, aby z gadaniny coś się narodzić mogło.

Włochowi życie płynęło tak szczęśliwie, że istotnie

Polskę mógł nazwać drugą ojczyzną swoją. Wcale też nie myślał ją opuszczać, ani na inną zamieniać.

Następnego roku, kiedy już wszyscy widzieli go tu zupełnie ustalonym, usłyszałem pierwszy raz z ust Włocha imię tej pani, u której na Pokuciu przebywał i uderzyło mnie to, że ją zwał Świętochną, właśnie tak, jak się owa krewna Luchny nazywała.

Opiewał on ją pod imieniem Fanji w pieśniach swoich, bo mu pierwsza gościnność wyświadczyła, gdy się tu z Węgier dostał ubożuchnym, i pokochała go.

Teraz jednak, po upływie lat kilku, śmiejąc się, powiadał, że choć wdzięczność dla niej zachował, innego uczucia trudnoby mu już z piersi dobyć i zmarłą dla niej miłość odżywić. Ze zwykłą sobie dosyć bezwzględną otwartością prawił o tem przed przyjaciółmi, nie zważając na przytomność moją.

— Zważcie moi mili — dodał, — w jakiem położeniu będę, gdy owa Świętochna, jak zapowiada, gotuje się przybyć dla nawiedzenia mnie w Krakowie. *Tempora mutantur!* Niewiasta postarzała... jam ostygł, lecz słuszna, abym za gościnność się wypłacił... i dziś, do portu dopłynąwszy, wywdzięczył za przytułek rozbitkowi dany.

Jeszczem nie przypuszczał, aby te dwie Świętochny jedną być miały, gdy wkrótce potem przybywszy do matki, od Sliziaka się dowiedziałem, iż gościa ma teraz jej niemiłego, przybyłą daleką powinowatą, Świętochnę, którą się niegdyś posługiwała, ale jej dla płochości obyczajów znieść nie może.

Nie wiedziałem sam, czy mam się wstrzymać od ukazania u matki, pozostawując ją samą ze Świętochną, czy iść tam, aby niemiłe obcowanie z nią sam na sam skrócić, gdy mi służebna Nawojowej przyszła oznajmić, ażebym szedł do pani.

Nigdym Świętochny nie lubił dla jej malowanej twarzy, odmładzania się, gadatliwości i fałszu; pamiętałem jej to, że się ofiarowała ściągnąć mnie w zasadzkę, a i Luchny wstręt do niej do mojego się przyczy-

niał. Szedłem jednak, gotów zawsze rozkaz matki spełnić.

Zastałem Świętochnę przerażająco zestarzałą, ale jeszcze straszniej, niż ongi, wymalowaną, strojną śmiesznie, z włosami po młodemu utrefionemi, a głosem, wielką wesołość zdradzającym.

Siedziała naprzeciw Nawojowej, która w swej sukni zakonnej, z różańcem w ręku, chmurna, słuchać się zdawała jej szczebiotania z odrazą.

Gdym wchodził, odwróciła się ku mnie, uśmiechając, Świętochna i poufałem skinieniem głowy pozdrowiła.

— Wszystko się więc, widzę, szczęśliwie skończyło — zawołała; — tylko ta suknia i pokuta niepotrzebna! Pan Bóg już o wszystkiem zapomniał.

Zmierzywszy mnie od stóp do głów wzrokiem śmiałym, dodała:

— Doprawdy, wyrósł na przystojnego mężczyznę i pięknie się prezentuje... A cóżeś to — rozśmiała się — o Luchnie zapomniał?

Zarumieniłem się mocno, bo matka wlepiła we mnie oczy.

— Nie zapomniałem — rzekłem, kłamać nie chcąc, — ale...

— Co z oczów, to z myśli, powiadają ludzie! — dodała Świętochna.

— Znajdzie on sobie, gdy czas przyjdzie, stosowną parę — przerwała żywo matka. — To moja rzecz, aby mu ją wyszukać i nastręczyć. Nie chcę, aby się rychło żenił, bom zazdrosna. Przywiązałby się do żony, a o mnie zapomniał. Służba też, w której pozostaje, nie dopuszcza mu się żenić.

Zmilczałem, wtem Świętochna zwróciła się ku mnie.

— Ale! Wszak przy królewiczach byliście, czy jesteście... znacie więc Kallimacha?

Nie wiem, czy, mówiąc to, zarumienić się chciała, bo bielidło rumieńca dojrzeć nie dozwalało, ale zrobiła minkę dziewczęcia, które się sroma... Uderzyło mnie to mocno.

— Codzień go widuję i mam szczęście z nim przestawać, a za tłumacza mu służyć — rzekłem.

— A! takich ludzi ziemia nasza nie rodzi! — poczęła z zapałem. — Pod szczęśliwszem niebem przychodzą oni na świat! Jakże go porównać nawet z tymi grubjańskimi mężczyznami naszymi, którzy uczuć, ani obyczajów delikatnych nie znają i we krwi nie mają. Zaprawdę, lepszego nauczyciela król synom wybrać nie mógł — ciągnęła dalej z zapałem. — On sam, jak królewicz, wygląda!

Milcząc, słuchaliśmy tych pochwał. Nie odpowiedziałem też na nie i po chwili dopiero spytałem, skądby go znała.

Zakłopotała się pozornie i chusteczkę, którą na kolanach trzymała, szarpiąc, odezwała się, oczu nie podniósłszy.

— O! to historja długa i ciekawa. Miałam to szczęście, naówczas na Pokuciu przebywając, mieć go u siebie w gościnie. Nieszczęśliwym naówczas był, obcym, ograbionym na Węgrzech. Grożono mu tem podobno, że go chciano wydać papieżowi, który mu stał na gardło; schronił się więc pod skrzydła pana naszego. Wziął go potem ks. arcybiskup ode mnie, ale teraz przecie ludzie się na nim poznali. Nieprawdaż? król go podobno kanclerzem uczynić ma?

— Nie sądzę — odpowiedziałem chłodno, — gdyż obcy tego urzędu piastować nie może.

Widząc znużenie wielkie na twarzy matki, nie odpowiadałem już, rozmowy nie chcąc przeciągać. Świętochna też zdawała się zabierać do odejścia. Zwróciła się tylko do mnie z zapytaniem, gdzie Kallimach mieszkał, czy z królewiczami razem i kiedy doma bywał.

Odpowiedziałem dwuznacznie, że w domu go zastać zawsze było trudno, gdyż więcej na zamku przy królu przesiadywał, a gdy powracał, naówczas mnóstwo już ludzi na niego czekało i zawsze tłum go otaczał...

Skrzywiła się na to... Skończyły się przecież odwie-

dziny oznajmieniem, iż Świętochna dwór sobie nająć tu chciała i czas jakiś pozostać w Krakowie. Domyślać mi się było łatwo, iż to czyniła dla Kallimacha, który gościowi pewno niebardzo rad być musiał.

Wiedzieli już wszyscy o nowych jego w mieście miłostkach, bo bez tych żyć nie mógł, utrzymując, że poecie niewiasta tylko mogła dać natchnienie.

Wieczorem musiałem z polecenia króla iść do Włocha, znalazłem go z przyjacielem Bonfilim, ale zachmurzonym i smutnym.

Nie spostrzegł mnie, gdym wchodził, a zobaczywszy potem, nie zważając, kończył poczęte zwierzenie się przyjacielowi.

— Do kata! babę tu licho mi przyniosło! Zestarzała okropnie i śmieszną się stała, chcąc dzieweczkę skromną udawać. Naturalnie miłość jej wzrosła o tyle, o ile moja ostygła. Nie mogę się jej pozbyć, a życie mi zatruje!

Przybycie Świętochny do Krakowa miało większy wpływ na losy Kallimacha, niż on i ktokolwiek mógł był przewidywać.

Widziałem go następnych dni zafrasowanym i ciągle posłów Świętochny odprawiającym pod pozorami różnemi z tem, iż się stawić nie mógł. Skończyło się pono tragicznie, bo Świętochna dowiedziała się o tej, która jej serce Włocha odebrała.

Jak się z nim rozprawili, nie wiem, musiało przyjść do srogiego starcia, gdyż od matki dowiedziałem się, że Świętochna Kallimachowi wojnę wypowiedziała.

Zastałem ją potem u Nawojowej rozdąsaną. Zobaczywszy mnie, odezwała się z przekąsem:

— Cóż tam na dworze słychać? Mówią, że Kallimach się żeni? Winszuję tej, co go sobie weźmie. Szatani są ci kuglarze, Włosi; niczem u nich uwieść i oszukać niewiastę, ułożyć się, przypochlebić, omamić. Toż samo czeka i króla naszego, którego on zdradzi. Słyną z tego Włosi, iż chytrzy są... a kłamcy bezczelni!

Nie mogłem się wstrzymać, aby jej nie przypomnieć, że niedawno Kallimacha pod niebiosa wynosiła. Rozgniewała się na mnie za to wspomnienie nie w porę.

— Nie umieliście się poznać na tem, — rzekła — jakem to mówiła! Zły człowiek jest, zły; zawszem to twierdziła, lecz nie damy mu długo tu gościć na zgubę królestwa naszego, które radami swemi chce podkopać. Poznali się tu już na nim ludzie i gotują dla niego niespodziankę. Nie ujdzie stąd cało! Ani go król mocą swą zasłonić potrafi!

To mówiąc, wstała i, pożegnawszy się, prędko wyszła.

Niepróżnem to było, co mówiła, bo w istocie niechęć ku Kallimachowi, podżegana z wielu stron, rosła.

Wprędce potem dowiedziałem się, że Świętochna dwór najęła i pomimo że z Kallimachem wojnę rozpoczęła zajadłą, z Krakowa się oddalać nie myślała. Knuła zemstę, a że potrzebowała być ciągle uwiadamianą o tem, co się z jej niewiernym miłośnikiem działo, rzuciła okiem na mnie i poczęła nasyłać z nieustannemi wezwaniami do siebie.

Kobieta sama była mi wstrętliwą, a to donosicielstwo, którego po mnie wymagała, obrzydłem i nieznośnem. Odpowiedziałem więc bez ogródki, iż nie mam ani czasu na odwiedziny, ani ochoty do nich. Wolałem już, żeby się gniewała na mnie i skarżyła przed matką, która mi tego naganić nie mogła.

Przebiegła niewiasta wzięła się na inny sposób. Spotkawszy mnie w ulicy sama, podeszła ku mnie ze zwykłą sobie śmiałością.

— Nie łaskaw wasze na mnie? — zawołała szydersko. — Nie chcesz ani zajrzeć do starej Świętochny? Jak wola! jak wola, ale posłuchaj tego, co powiem. Oto nie upłynie dni kilkanaście, a będziesz się dobijał i prosił, abym cię wpuściła do mnie, a ja ci drzwi zamknę przed nosem, pamiętaj!

Odwróciła się i poszła. Zrozumiałem bardzo dobrze, jaką myśl mieć mogła; zamierzała do siebie sprowa-

dzić Luchnę. Serce mi zabiło. Nie było już rady, aby jejmość przebłagać; zostawić to musiałem czasowi.

Kiedy się to działo, a ja codziennie do matki uczęszczałem, która dotąd trwała w swoim pokutniczym stroju i życiu, zwróciły się niepotrzebnie na nią ludzkie oczy i języki.

Urodzona Gastoldówna, siostra wielkorządcy na Kijowie, w tym czasie właśnie z podziału majętności między rodziną otrzymała znaczne dobra na Litwie, które brat jej puścił, jako spadek po matce i część należną po ojcu.

Tęczyńscy, dowiedziawszy się o tem, trochę zaniedbaną zaczęli nawiedzać i kłaniać się jej. Mówiono o jej życiu, o przeszłości; w jaki sposób — do mnie to najmniej dojść mogło, ale snać rozprawiano wiele.

Czy mnie za syna jej miano, czy za przybraną sierotę — nie wiedziałem i nigdym się jawnie do żadnego powinowactwa nie przyznawał, powiadając się raczej jej sługą.

Musiano i o tych wielkich majętnościach, i o jakiejś przeszłości, a stosunkach rozpowiadać wiele i obudzić tem ciekawość ogólną, gdy nawet Włoch mój jednego wieczora niespodzianie mnie rozpytywać począł o wdowę Nawojową, którą głoszono bezdzietną i panią fortuny książęcej. Zwracał się z tem do mnie najniezręczniej, bo ja właśnie mu najmniej powiedzieć mogłem, zbywając go kilku słowy zimnemi.

Miałem naówczas lat trzydzieści, a matka moja nie więcej nad czterdzieści kilka. Żywot ciężki i boleściwy zestarzył ją przedwcześnie, uczynił zwiędłą; lecz teraz, gdy odzyskała spokój, zmieniła życie, a i samą pokutę uczyniła znośniejszą — zdrowie jej powróciło. Widziałem z pociechą wielką, iż rumieniec na twarzy się zjawił, lice się wypełniło i jakby odblask jakiejś młodości je rozjaśnił. Cieszyłem się tak wielce w duszy.

Pokuta nie ustawała dotąd, lecz tak surową i pochłaniającą nie była. Nawojowa mniej unikała świata, więcej się o ludzi, dwór i t. p. rozpytywała.

Nie widziałem w tem nic zdrożnego, gdy w ostatku suknia tercjarska ustąpiła zupełnie, a matka oświadczyła mi, że dziwowiskiem dla ludzi być nie chce i tylko w pewne dni na nabożeństwo wdziewać ją myśli.

Gdy z Litwy przybyli z majętności ci, co niemi zarządzali, dzierżawcy i tenutorowie, a z nimi przypłynęły i znaczne sumy pieniędzy, matka się dała namówić Sliziakowi, aby i dwór swój, kolebki, woźniki, czeladź, stosownie do stanu, dała urządzić. Mnie się o to nie pytano i nie mogłem mieć nic przeciwko temu, co matce miało uczynić przyjemność, jej, co tyle przecierpiała.

Stateczne tylko dotąd odmawiałem, gdy mi nadto świadczyć chciała, czemby na mnie oczy zwracała niepotrzebnie. Przyjmowałem konia, rzęd, zbroiczkę, drobne podarki, alem nic okazalszego mieć nie chciał.

Gdy zwolna zmiany te u nas w domu Pod złotym dzwonem zachodziły, Świętochna jak sobie postanowiła, tak uczyniła — sprowadziła tu Luchnę.

Nierychło się o tem dowiedziałem.

Jaką myśl miała, — czy mnie do siebie pociągnąć, abym jej służył za narzędzie do pomsty nad Kallimachem, czy za zimne przyjęcie nad matką moją chciała się mścić, mnie mimo jej woli uplątawszy... dość, że Luchna przybyła.

Nad wszelki wyraz chytra i przebiegła kobieta w pierwszych dniach po przybyciu mojej Luchny wypuściła ją samą do kościoła, nie wątpiąc, albo raczej przeczuwając to, że my się spotkać musimy i dowiemy o sobie.

Tak się też stało; jest Opatrzność nad tymi, co się uczciwie miłują. Nie powiem, jak byłem szczęśliwy, spotykając ją i jaką chwilę spędzaliśmy razem, choć z obawą, aby nas nie spostrzeżono. Luchna, która dobrze znała swą powinowatą i przed którą ona już się wygadać musiała, przestrzegła mnie, abym ostrożnym był, bo tu znowu przeczuwa zasadzkę.

Tym razem jednak rachuby Świętochny, które miała niewątpliwie, omylone zostały zbiegiem wypadków

nieprzewidzianych, dla mnie równie nieszczęśliwych, jak to, co z innej strony czekać mogło.

Wielki rozgłos imienia Kallimachowego, stanowisko, jakie zajmował na dworze, codzień rosnące znaczenie tego człowieka, obudzało ciekawość wszystkich. Każdy chciał widzieć go, słyszeć, zachwycać się tym czarodziejem. Wyprawiano dla niego uczty, ugaszczano, obsypywano darami, a na te on wcale obojętnym nie był. Znajdował to bardzo naturalnem i niejako obowiązkowem, gdy mu za kilka pochwalnych wierszy łacińskich kilkadziesiąt sztuk złota przynoszono. Powiadał otwarcie, że za bezcen daje nieśmiertelność, albowiem nie wątpił, że dzieła jego mieć ją będą.

Kallimach był zwierzchnikiem moim, bardzo więc łaskawie znalazła się matka moja, dnia jednego oświadczając mi, że chce Włocha dla mnie pozyskać, przyjmując go wspaniałą ucztą w swym domu, na którą dozwoliła mi zaprosić osoby, jakie jemu miłe, a mnie potrzebne być mogły. Piękną bardzo czaszę pozłocistą i misę srebrną przeznaczała, jako dar i pamiątkę dla Kallimacha.

Rzuciłem się jej do nóg, dziękując za tę troskliwość dla mnie, ale starałem się wszelkiemi sposoby odwieść ją od tego, a szczególniej od uczty, która spokojne jej życie mogła zamącić. Nie szło o koszta, bo te nie mogły być dla niej znaczącemi, hojną była i miała czem szafować; lecz wstręt czułem do tego otwarcia domu i ściągnięcia lub potwierdzenia podejrzeń, czem ja byłem dla niej. Powiedziałem to otwarcie.

— Ale ja, dziecko moje — odparła zimno, — nie kryję się z tem, co już się utaić nie daje i dozwalam, niech świat mówi, co chce. Dla mnie to dziś obojętne!

Okazała tak stanowczą i nieprzełamaną wolę, że mnie, nawykłemu do spełniania jej rozkazów, sprzeciwiać się nie było podobna. Wystawiałem jej to nadewszystko, że raz otwarte drzwi domu już się znowu potem zamknąć nie dadzą, że spokoju mieć nie będzie.

— Gdy go zechcę odzyskać — rzekła, — bądź pewien, że potrafię. Znasz mnie, iż mam silną wolę; gdy

postanowię, pewnym być możesz, iż w domu nikomu panować nie dam nad sobą.

Próżne już były usiłowania moje.

Sliziak odebrał rozkazy co do uczty, którą ja ograniczyłem do niewielkiej liczby Włochów i pana Dersława z Rytwian, szczególnego przyjaciela Kallimachowego.

Musiałem spytać, w czyjem imieniu i pod jakim pozorem ja do domu Nawojowej Tęczyńskiej zapraszać miałem. Matka mi na to odpowiedziała.

— Nazwiesz mnie opiekunką swą. Nie trzeba więcej, ale chcę, abyś mi gospodarzem był i wyręczał we wszystkiem.

Dodać tu muszę jedno, że już naówczas w Litwie się znajdowali mnodzy, którzy dzieje jej rodzin litewskich pisać i zbierać zamierzali. Ci słusznie, czy nie, utrzymywali, że pierwsze i najstarsze rodziny litewskie pochodziły od włoskich przybyszów, którzy niegdyś tu wylądowali i osiedli. Wyprowadzano Paców od włoskich Pazzi, a Gastoldów od Castaldich bodaj. Stąd na dworze starego wojewody Włochy bywały i języka tego dzieci uczono potrosze. Nawojowa go wprawdzie zapomniała, ale cośkolwiek jej zostało w pamięci. Kallimacha więc tym językiem mówiącego zrozumieć mogła.

Z dnia na dzień tę niemiłą mi ucztę odkładając, gdy wreszcie nadszedł dzień naznaczony, musiałem prosić Kallimacha i jego towarzyszów z pokorą wielką, bo dla mnie to wielka cześć być miała takiego gościa mieć w domu mej opiekunki. Dersław z Rytwian, który nieskory był do uczęszczania po domach mniej znanych, dla Kallimacha zaprosiny przyjął.

Nad spodziewanie moje, Włoch nietylko, że zaprosiny przyjął nader chętliwie, ale się z największem staraniem wystroił na nie po pańsku i humor wiózł z sobą, jaki rzadko widywałem u niego.

Matka moja od czasu, jak strój pokutniczy złożyła, ubierała się bardzo poważnie i skromnie; dnia tego jednak, aby uczcić gościa, ujrzałem ją tak wspaniale

przybraną, klejnotami okrytą, a tak jeszcze piękną, iż zobaczywszy ją, zdumiałem się. Wesołość też do stroju przybrać umiała taką, a pański obyczaj, że zdało się oglądać królowę.

Kallimach, słodki zawsze, tu chciał się ze szczególną pilnością okazać czarującym. Łatwo mu to przychodziło. On sam prawie mówił, pytał, odpowiadał, zgadywał myśli i obracał tak rozmowę, aby mógł miodem pochlebstwa nakarmić. Posadzony u stołu przy matce mojej, z wielkiem poszanowaniem nią jedną się zajmował, ją zabawiał, ku niej zwracał. Był-bohaterem uczty, ale umiał się za to wywdzięczyć. Wszystko w tym domu znajdował przedziwnem, a chwile tu spędzone, jak powiadał, do najszczęśliwszych w życiu zaliczał.

Cieszyłem się tem, iż uczta się powiodła, dar został wdzięcznie przyjęty, matka moja, zamiast znużenia, miała rozrywkę, która ją wprawiła w niezwykle wesołe usposobienie.

Dziękowałem jej na klęczkach, lecz przyznaję się, że to zbliżenie do Kallimacha i obowiązek niejako utrzymania z nim ściślejszych stosunków ciężyły mi nieco.

Oświadczeniom Włocha, który codzień szafował tym chlebem powszednim pochlebstw, nie wierzyłem wiele.

Ten jednak był skutek czaszy i misy a uczty, że ja w oczach Kallimacha podrosłem nieco, a na matkę moją zwrócił szczególną uwagę.

Świętochna tymczasem spiskowała przeciwko niemu. U niej zbierali się po staremu ci, co na zjazdach przyszłych królowi do oczu skakać mieli, a teraz przeciwko Włochowi spiskowali.

Jak się niegdyś ná kardynała Zbigniewa husyci odgrażali, że go zamordują, tak Włochowi też grozili niechętni, że go gdzieś przydybawszy, zgładzą ze świata.

Mówiono o tem Kallimachowi, lecz wcale się nie zdawał lękać i postępowania bynajmniej nie zmienił.

Ja z Luchną zaledwie kiedy w kościele lub ulicy mogłem się na chwilę spotkać. Sama ona obawiała się,

aby mnie Świętochna nie wplątała i nie naraziła na gniew matki, która jej drzwi zamknęła.

Powodem tego stał się Kallimach, gdyż matka moja znosić nie chciała potwarzy, jakie nań rzucano, a Świętochna z wściekłością przeciwko niemu powstawała.

Przedłużył się ten stan rzeczy, gdy raz wieczorem do matki przybywszy, zastałem ją niespokojną i rozdrażnioną. Uprzedził mnie o tem Sliziak, iż z Litwy od majętności jej niedobre wieści przyniesiono, iż się tam działy sprośne nadużycia a grabieże, zamek jeden jej spalono i t. p.

Chodziła po izbie nadąsana, zaledwie paru słowami mnie przywitawszy, gdy jakby ją myśl jakaś uderzyła, niespodzianie odezwała się do mnie:

— Jedź ty na miejsce ze Sliziakiem, ład zaprowadzicie. Wolałabym nie mieć majętności, niż je dać łupić bezkarnie.

Zdumiałem się temu postanowieniu; jakgdyby zapomniała o tem, iż zależny byłem, w służbie i oddalić się na czas dłuższy nie miałem prawa, a w rzeczy obawiałbym się nawet oddalenia, aby mnie nie zastąpiono innym i ze dworu nie wypchnięto.

Łaski matki wprawdzie zapewniały mi do czasu życie swobodne, ale na przyszłość — nic. Nie mogła, a kto wie, czyby chciała los mój zabezpieczyć, na siebie przez to zwracając oczy.

Musiałem jej przypomnieć zależność moją.

— Jesteś mi tam potrzebnym, — odezwała się—nie mam nikogo, a Włoch przecie potrafi to wyrobić, aby cię na kilka tygodni puszczono.

— I bez Włocha — odpowiedziałem — sam to mogę wyjednać przez Szydłowieckiego, iż mnie uwolnią; ale Olbracht nawykł do swojego sługi, łaska pańska niestała; gdy go mieć nie będzie, dobierze sobie innego.

Matce mej nie zdawało się to trafiać do przekonania, nastawała, abym jechał na Litwę, wreszcie poczęła tego wymagać, jako dowodu przywiązania i posłuszeń-

stwa, narzekać na swe osierocenie i wdowieństwo, nastawać na mój obowiązek posłużenia jej.

Wieczora tego, wysłuchawszy tylko nalegań, nic jeszcze nie postanowiłem; rozeszliśmy się, a ja wziąłem rzecz do namysłu.

Wahałem się nawet mówić o tem na dworze. Olbracht właśnie mnie, jako towarzysza i dozorcy, potrzebował do łowów jesiennych, które mu dozwalano. I on, i młodszy Aleksander mieli już swe psiarnie, konie i myślistwo, z tym tylko zakazem, aby się na dzikie i drapieżne bestje nie porywali.

Olbrachtowi myślistwo już dlatego miłem było, że żywego temperamentu, lubiący swawolić i gwarzyć z ludźmi prostymi, w lesie mógł więcej dokazywać i puścić cugle sobie.

Wtem, ku wieczorowi niespodzianie zagadnął mnie Kallimach, na jak długo oddalić się myślę? Stanąłem oniemiały. Naówczas dodał, iż pani Nawojowa żądała, aby mnie dla posług jej na kilka tygodni odpuszczono, o czem on, Kallimach, królowi mówił, a król się zgodził na to.

Rzecz była załatwiona i postanowiona. Wpadł też na mnie zaraz Olbracht, wyrzucając mi, że go opuszczam.

Tłumaczyłem mu się, że tego z dobrej woli nie czynię. Nałajał mi wesoło i skończyło się na tem, żebym jak najrychlej powracał.

Związany byłem i cofnąć się już nie mogłem.

Posłuszny więc, nazajutrz pożegnawszy królewiczów, a szczególniej Olbrachta, rozstawszy się z Kallimachem, który mi żartobliwie polecał, abym mu futer pięknych nie zapomniał przywieźć, udałem się do kamienicy Pod złotym dzwonem.

Tu Sliziak już wszystko był do drogi przysposobił. Nie mogłem się uskarżać, gdyż mnie, jak paniątko wyprawiano. Podróż odbywać mieliśmy konno, ale wóz kryty szedł za nami, luźnych koni para dla zmiany, a czeladzi aż dziesiątek miał towarzyszyć.

Chciałem matce odradzić, aby mnie tak kosztownie

i gromadnie nie wysyłała, lecz wnet mi usta zamknęła tem, że z jej ręki nie mogę tam się okazać bez pewnej powagi i występu. List pod pieczęcią jej otwierał mi wszędzie wrota i dawał moc rozporządzania ludźmi, pieniędzmi i sprawami, jakieby ukończenia potrzebowały.

Pieniądze znaczne miał sobie powierzone Sliziak.

Nie wiem dlaczego, choćby się podróż taka młodemu uśmiechać była powinna, więcej mi ona trwogi czyniła, niż uciechy. Nie czułem się zdolnym do rozstrzygania spraw, ani dosyć wprawnym do tego, abym umiał wystąpić surowo. Szło głównie o to, abym widział naocznie spustoszenia, o których donoszono, krnąbrnych dzierżawców i niepoczciwych rządców precz porozpędzał i, coby się dało, odzyskał.

Jakem drogę odbywał i com począł na miejscu, gdym tam spadł, jak piorun, na ludzi, wcale się nikogo nie spodziewających, opisywać nie będę. Majętności były rozległe, jak państwa oddzielne, w lasach ogromnych, w przestrzeniach bezludnych rozrzucone. Ci, co tu gospodarzyli, niektórzy już od kilku pokoleń niemal się za dziedzicznych panów mieli, więc też prawie od nich wymagać było potrzeba posłuszeństwa. Prawdy dochodzić nie było łatwo. Mieli tu swych ludzi, a w niewielu majętnościach ucisk wywołał skargi, za które się pomsty obawiano. Trzeba było na najdrapieżniejszych przykładu. Musiałem siłą wyrzucać, karać i zmuszać do posłuszeństwa, a sam się mieć na baczności, bo na życie się zasadzono... i Sliziak czuwać musiał, abyśmy cało i bez sromu wyszli.

Ale jak przepowiadano, tak się stało. Nie starczyły tygodnie te, na które liczyliśmy. Częstokroć w jednym dworze po kilka dni trzeba było siedzieć, nim się dopytało końca. Naostatek, gdy niemal wszystko sprawiwszy, niewszędzie szczęśliwie, przyszło jeszcze do Wilna jechać dla spraw sądowych, już zima nadchodziła. Raz jednak musiałem je załatwić, mówiąc sobie, że powtórnie dla nich nie będę potrzebował odbywać podróży.

Wilno uśmiechało mi się wspomnieniami, choć za-

tartemi, dzieciństwa mojego. Zaledwie z konia zsiadłszy, pobiegłem do Gajdysów.

Dworek stał, jakby opustoszały, ledwiem się dostukał; stary, złamany, przygarbiony przyszedł mi drzwi otworzyć, oczyma krwawemi przypatrując się przybyszowi — do niepoznania zmieniony Gajdys.

Mój Boże! on to był! Żonę i córkę stracił, wnuczątko tylko boso biegało za nim. Głos mój posłyszawszy, z płaczem rzucił mi się na szyję.

Toż samo, większe może ubóstwo zastałem tu, co dawniej, ale dobrowolne! Stary skąpił dla wnuka!

Boleść, praca, całe życie nieustannych trosk na umyśle tak samo przybiło go, jak na ciele. Płakał nieustannie. Opowiadał mi zgon żony, zamęście córki, jej pożycie, chorobę, śmierć, swoje sieroctwo... skarżył się na tę dolę.

— A! dawnobym ja sobie u Boga uprosił, żeby mnie stąd wziął, ale dla tego biedactwa żyć muszę. Póki go nie odchowam, nie mogę umrzeć! nie mogę! A żyć tak ciężko! a każdego dnia, gdy się dźwignąć trzeba, tak lata przygniatają!

Sierotkę trzymał, mówiąc to, na kolanach i obejmował ją zmarszczonemi, spracowanemi rękami, na których stawach wiek powyciskał kościste narości i dziwne piętna.

Musiałem i ja mu mówić o sobie. Wykrzykiwał z podziwienia i radości, a gdym gościńce od matki i od siebie oddawał, płakać zaczął i już tych łez zatamować nie mógł.

Miałem zamiar krótko zabawić w Wilnie, gdyż mi bardzo pilno było zpowrotem, ale tu nieznajomy, nierychłom mógł, gdzie było potrzeba, trafić i pozałatwiać sprawy moje.

Wiedziano, że z Krakowa przybywam i na dworze królewskim służę, osaczano więc pytaniami i narzekaniami zarzucano.

Litwa ta, którą Kazimierzowi, jako ulubienicę, ciągle w Polsce wymawiano, że jej zbytnio folgował, sarkała na dawniej ukochanego. W Wilnie chciano ko-

niecznie mieć osobnego pana, swojego wielkiego księcia, któryby z sobą przyniósł życie do obumarłej stolicy. Narzekano, że król, mając tylu synów, którzy dorastali, dawał ich Czechom i Węgrom, a Litwie nie chciał. Możni się głośno z tem odzywali, iż po Kazimierzu nie dopuszczą już, aby stolica wielkoksiążęca opróżnioną została.

Ciągle na ustach miano Witoldowe czasy, Witoldowe rządy, Witoldową moc i potęgę. Skarżyli się, że wszystko teraz Polska im pochłonęła. Mówić nawet z nimi o tem było trudno; potrząsali głowami i słuchać nie chcieli. Smutek i pognębienie widać było na licach.

Przybywszy do Wilna, prostośmy zajechali do Gastoldowego dworu pod zamek, bo ten stał pusty, a Sliziak tam był z dawniejszych czasów, jak w domu. Jeden tylko burgrabia i kilku stróżów mieli około niego straż. Oprócz nas, wielu przejeżdżających z Polski, gdy się gdzie pomieścić nie mieli, wpraszali się gospodą do izb, które stały opuszczone. Prawda, że w nich często nawet ław i stołów brakło, ale dach był nad głową i ognisko, około którego ogrzać się było można.

Jeszczem spraw wszystkich nie pokończył, gdy powracając jednego wieczora do dworu na nocleg, zastałem Sliziaka, chodzącego po izbie i tak zafrasowanego czegoś, że mnie nawet wchodzącego nie zobaczył. Zły był i jak niedźwiedź pomrukiwał.

— Co ci to, stary? — zapytałem.

— Nic, co ma być — odparł; — tylko mi się chce już powracać do Krakowa. Długo my tu siedzieć będziemy?

Odpowiedziałem mu, że nie wiem. Rzucił się niespokojnie. Widocznie coś mu było, o czem mówić nie chciał i próżno go naciskałem. Powtarzał tylko, że powracać trzeba.

Trwogi mi napędził niemałej, ale musiałem już z nią do Krakowa prawie jechać, bo dopiero u wrót mi się przyznał, iż w Wilnie od dworzanina królewskiego słyszał, jakoby po mieście rozgadywano, że Włoch, Kal-

limach miał się żenić, czy nawet ożenił się z wdową, z Nawojową Tęczyńską.

Oburzyłem się na to i śmiać począłem, ale Sliziak pozostał chmurny i zadumany.

W kamienicy Pod złotym dzwonem zastaliśmy wszystko po staremu; matka mnie dosyć czule powitała. Znalazłem ją wesołą, kwitnącą, zdrową i więcej, niż zwykle ożywioną. W domu około niej ta tylko zmiana widzieć się dawała, że służba występowała świetniej i wytworniej i życia było więcej. Tegoż wieczora o zmroku przybył Kallimach, na którego, jak się zdawało, oczekiwano z kolacją na sposób włoski. W obejściu się jego z matką, w znalezieniu się ze mną było więcej poufałości i jakiegoś tonu rozkazującego, niż przedtem.

Zaniepokojony tem, co mi Sliziak zwierzył, dostrzegłem w istocie, jakby Włoch tu wcale się nie czuł obcym. Ludziom dawał rozkazy, z moją matką szeptał i rozmawiał na uboczu, a co się tyczy mnie, choć uprzejmym był, ale zdala jakoś trzymał i zdawał się lekceważyć.

Matka moja rumieniła się, spoglądała ku mnie, starała okazać obojętną i poważną, lecz zdradzała się co chwila z wielkiem zajęciem gościem swoim.

Nie mogłem ani pytać, co tu zaszło, anim miał prawa czynić matce jakichkolwiek przedstawień. Była panią swojej woli, majątku i losem swym rozporządzać miała prawo.

Dla mnie nazajutrz jawnem było, że czy z własnej woli, czy z porady czyjej, starała się trzymać mnie zdala od siebie i od dawniejszej poufałości odzwyczaić. Zrobiła mi tę uwagę, iżbym powinien z zamku się teraz nie oddalać, abym u królewicza i u króla łaski nie stracił.

Po tej wskazówce, naturalnie, żem dni kilka Pod złotym dzwonem nie postał. Dawniej, gdy się to przytrafiło, matka przysyłała dowiadywać się o mnie, powoływała, teraz się wcale nie zdała troszczyć.

Jakem bolał nad tem, nie chcę mówić. Jedyny

skarb mój na ziemi, miłość matki, nierychło zdobytą, nienawistny los mi wydzierał. Była to sprawa tego człowieka, któremu nie chodziło ani o serce, ani o przywiązanie wcale, ale o znaczne majętności, jakiemi bezdzietna wdowa rozporządzała. Wiedziałem, że on sam potem z jej łatwowierności naśmiewać się będzie. Nie szło mi o to, co jej wydrzeć mógł, lecz o zawód, jakiego doznać musiała.

Drugiego dnia po powrocie, gdym z królewiczem Olbrachtem przybył do domu Kallimachowego, na pierwszym wstępie uderzyły mnie łupy, które już miał czas z domu Pod złotym dzwonem przenieść do siebie. Poznałem opony, któremi Nawojowa się chlubiła, naczynia srebrne, które widywałem u niej, świeczniki, nalewki, szyte obrusy i ręczniki.

Włoch się z temi zdobyczami nie ukrywał wcale, ale chlubił prędko nabytemi dostatkami.

Przestałem prawie zupełnie chodzić do matki. Niekiedy na chwilę zjawiałem się rano po rozkazy... przyjmowała mnie zimno, zakłopotana, jakby zawstydzona, a że jej przytomność moja przykrość się zdawała czynić, ustępowałem.

Upłynęło dwa tygodnie po powrocie, gdy po mojej niebytności kilkodniowej u matki przyszedł stary Sliziak. Myślałem zrazu, że przysłanym był; odpowiedział mi, zbiedzony wielce, że sam z siebie nawiedził mnie i dowiedzieć się przybył. Jak noc siedział chmurny i wzdychał.

Nigdy z nim o matce nie wdawałem się w rozmowy, tem bardziej teraz, gdy wstyd mi było i boleść usta zamykała. Z postawy i twarzy starego czytałem, że i on okrutnie był pognębiony i zburzony.

— Czemu bo — rzekł wkońcu — przestałeś przychodzić? Zdałbyś się może, gdyby na ciebie częściej patrzała nasza pani.

— Nie żądają mnie tam — rzekłem.

— Źle się dzieje — wybuchnął stary; — krwawemi łzami płakać chce się.

Wstał, ręce załamując.

— Nie wierzę, ale powiadają, że czasu niebytności naszej korzystał... przeklęty Włoch, wdowę oplątał, a może i ślub z nią wziął.

— Dlaczegóżby się z tem kryć miała? — zapytałem.

— Boi się może Tęczyńskich, może brata, albo ja wiem! — począł Sliziak. — Mój Boże! Ktoby to był przewidział, że się tak to sromotnie dla niej skończy. Łzy ocierał stary.

— Możnaby wnosić, że chyba w istocie się ożenił z nią — dodał Litwin, — bo dom tak nam plondruje i ogałaca, tak się w nim samowolnie rządzi, jakby tu panem był. Wiem, ile w skarbcu zostawiliśmy, wyjeżdżając, a co dzisiaj jest...

Poruszył ramionami.

Długo tak stary bolał i wyrzekał. Kochał on panią swą, najdziwniejsze jej zachcenia spełniał, aż do okrucieństwa, poddawał się fantazjom, ale sromu jej znieść nie mógł, a sromem się mu wydawało zamążpójście za przybłędę, człowieka obcego, którego on za prostego chłopa uważał.

— Cóż poradzić! Teraz z nią i mówić o tem nie można!

W całem mieście jeden głos był i powszechne mniemanie, że Włoch w istocie ożenił się z wdową; to przynajmniej pocieszało, bo jakiekolwiek wyjście zamąż lepsze było, niż życie na wiarę.

Kallimach, choć czuł pewnie i widział to, że mi krzywdę wyrządził i srogo dotknął, wcale postępowaniem swem nie starał się wrażenia tego złagodzić. Był nieco ostrzejszym dla mnie, a nie widując mnie Pod złotym dzwonem, nawet nie raczył spytać, dlaczego teraz tak rzadkim byłem tam gościem.

Im matka zimniejszą się okazywała dla mnie, tem i ja musiałem dalej trzymać się od niej. Dawniej miała zwyczaj obsypywać mnie podarkami, teraz zupełnie one ustały i przez Sliziaka tylko na święta przysłała małą sumkę pieniędzy, żądając, abym nie dziękował.

Na dole izby, które się nazywały mojemi i gdzie

chowałem część moich mizernych sprzętów, wkrótce potem okazały się potrzebne dla zwiększonego dworu. Półgębkiem oświadczył mi Sliziak, iż pani radziła, abym, królewicza pilnując, całkiem się wyniósł na zamek.

Była to odprawa. Nie pisnąłem słowa nawet i tegoż dnia sobie u Szydłowieckiego izbę wyprosiwszy, w zamku przy wieży, choć wilgotna była i wiedziałem, że mi tam pognije wszystko, przeprowadziłem się do niej.

Bóg mi świadkiem! Nigdym się ja wielkich po matce dostatków, mienia i łask nie spodziewał, nie rachowałem na nie, ale serca, jakie mi okazywała, przywiązania, które się zrodziło, dosyć nie mogłem opłakać. Znowu popadłem w sieroctwo i niedarmo imię Orfana mi dano. Jak niespodzianie zabłysło mi światełko macierzyńskiej miłości, tak nagle mi je los wydzierał.

Musiałem całe męstwo moje dobyć, aby się nie poddać rozpaczy. Gdybyż matka przynajmniej tą ofiarą dziecięcia szczęście sobie kupiła. Ja, co patrzyłem na Kallimacha, jego życie, postępowanie, lekkość, nie mogłem się łudzić ani na chwilę. Można było przewidzieć już, że gdy łupieży dokona, wcale wdowy szanować, ani oszczędzać nie będzie.

Jedyną korzyścią mojego osierocenia teraźniejszego było, żem z musu i tęsknicy znowu się całkiem do Olbrachta przywiązał... a było zawsze co czynić przy nim, bo go wszyscy razem, dozorcy i nauczyciele, zaledwie utrzymać mogli.

Ale ani Kallimach, ani Szydłowiecki nie znali t k Olbrachta, jak ja, którego się on nie wystrzegał i nie lękał. Chłopak był tak zawczasu ladajakiem obcowaniem ze służbą rozpuszczony, rozbudzony, swawolny a zuchwały, że niepodobna było go upilnować. Dwa czy trzy razy dorwawszy się do wina, tak go nadużył, żem z największą biedą potrafił to pokryć, składając na chorobę.

Wybryków podobnych i gorszych było mnóstwo. Taiłem, jakem mógł, alem myślał już, co to dalej będzie.

Kallimach zaś na to bujanie młodzieńcze patrzał przez szpary.

Królowi i pod te czasy nie zbywało na kłopotach i troskach, bo z Węgrami układy szły tępo i opornie... i tu się nic zyskać nie dawało. Z Pragi też przychodziły wiadomości, które w obojgu rodzicach trwogę obudzały o los Władysława. Ktoś tam do patrzącego przez okno z łuku strzelił, inny pono truciznę mu gotował. Władysław się na górny zamek do Hradszyna schronić musiał.

W ciągu tych lat musiałbym się powtarzać, gdybym wszystko spisywać chciał, co się na Węgrzech i w Czechach działo, bo tam wodę warzono bez skutku. Ale król miał swój upór chwalebny, który mu rozpoczętego dzieła rzucać nie dawał.

Do spraw węgierskich i czeskich przybyła też pruska, choć zakończona a odnowiona. Pomijam i to, jak powtóre wygorzał Kraków, a napomknę, żem na to sławne przyjęcie mistrza krzyżackiego w Malborgu, gdzie król w zdobytym na zakonie głównym grodzie, wydziedziczonego pana jego przyjmował prawdziwie po królewsku — patrzałem, u boku Olbrachta się tu znajdując. Miał król przy sobie i starszego Kazimierza, wielki poczet senatorów, dwór wojskowy i świecki wspaniały wielce.

Tu widzieć było potrzeba onych panów krzyżackich gośćmi we własnem gnieździe, gdzie na każdym kroku dawna ich moc, a dzisiejsza słabość się przypominała. Większego zaprawdę upokorzenia może nigdy nie doznał przewrotny ten i zdradziecki zakon, jak naówczas, zmuszony kłaniać się zwycięzcy, a panu, którego w duszy nienawidził.

Nie dziw, że potem rok nie upłynął, a krzyżacy knuli znowu i spiskowali.

Następnego lata jechaliśmy całym dworem do Wilna, z królową, z dwoma starszymi królewiczami i zapusty odprawiali w Trokach, dla łowów.

Gdyśmy na Litwie byli, ona też dawno zażalona,

że własnego pana nie miała, na królu wymóc zamierzyła koniecznie, aby jej dał jednego z synów.

Byliby się chętnie pobożnym Kazimierzem zaspokoili, ale jemu rządów powierzyć dla słabego zdrowia ojciec nie mógł, a pominąwszy go, Olbrachtowi dać nie chciał z innych powodów.

Był Olbracht w leciech, o których mówię, dziewiętnastoletni już, krwi gorącej, rozrzutny, samowolny i nierozważny. Puścić go samego Kazimierz nie mógł; obawiał się, bo znał Litwę, że albo by ją ku sobie zniechęcił, lub zbytnią powolnością od Polski oderwał znowu. Mawiał zawsze król i stał przy tem, że oddzielnego pana Litwa mieć nie powinna, a jeden na te dwa kraje starczyć może i musi — inaczej się to powtórzy, co za Witolda i Świdrygiełły bywało.

Litwini pozostali wielce markotni z tej odmowy, lecz pocichu mruczeli, iż kiedyś na swem postawią, a w. księcia sobie posadzą na Litwie i wziąć nie pozwolą.

Tę sporą przestrzeń czasu aż do 1480 roku tak przebiegam, jakem ją przeżył, nie doznawszy w ciągu niej nic, na los mój wpłynąć mogącego.

Mogę powiedzieć, żem zupełnie utracił matkę, która się ode mnie odsunęła, zapomniała i zatrzeć się starała pamięć tego, co dla mnie dawniej czyniła.

Kallimach był jej mężem, czy też przyjacielem, nikt dociec nie mógł, lecz postępował sobie tak, iż go za pierwszego miano. Chociaż płochego życia swego nie zaniechał i zabawiał się gdzie indziej, nie zaniedbywał wdowy, bo ta zawsze pomocną mu być mogła i trzymała wielkie posiadłości, których wydrzeć już nie było sposobu. Stąd Włoch zachowywał dla niej respekt i względy, starając się łask nie stracić.

O mnie w pierwszych latach tego związku niekiedy sobie matka przypominała, przysyłała czasem podarek mały, ale dawała mi to czuć, że się do mnie przyznawać, ani losem moim zajmować się nie myślała. Powoli tak coraz rzadszą była ta pamięć o mnie, a wkońcu zostałem zupełnie zaniedbanym.

Kallimach, choć względny i uprzejmy, o matce przede mną nigdy ani wspomniał, i zdawało się, że chciał mi to okazać, abym nie marzył o zbliżeniu się do niej. On też, jak mnie Sliziak upewniał, oddalenia mojego był przyczyną. Byłby może i ze dworu mnie postarał się dalej kędyś wysadzić, gdyby nie Olbracht, który ani o tem mówić dozwalał. Szanował on, czcił Kallimacha i przywiązany był do niego, ale do mnie nawykły, stawał uparcie w obronie mej, gdy o oddalenie chodziło, bo kilkakroć próbowano tego.

Wychowanie, albo raczej prowadzenie młodych królewiczów przy Kallimachu wcale czem innem było, niż pod naszym Długoszem, który sam był bakałarzem, dozorcą, towarzyszem i opiekunem. Włoch w wielu rzeczach na innych się zdawał, przytem oddalał się często; nagle napadała go żarliwość wielka i po całych dniach zabawiał się z paniętami, aż znowu tygodniami do nich nie zajrzał. Jednego najwięcej pilnował, to, ażeby sobie miłość ich i zaufanie zaskarbić, i tego dopiął w zupełności. Ale też wiele czynił przeciw wyraźnej woli króla i z tem się tail, a starszym nietylko pobłażał, ale niemal do swawoli ich podżegał, powiadając, że młodość ma swe prawa i wyszumieć się musi, a wyburzyć, jak młode wino w kadzi.

Pierwszy korzystał z tego Olbracht, a miało to wpływ na całe życie jego, jak zaraz opowiem.

Z pomiędzy wielu domów bogatych mieszczan, do których Kallimach rad uczęszczał, bo go tam szczodrze i poczestnie przyjmowano, skarbiąc sobie przez niego opiekę i łaski, przedniejszym był niejako Montelupiego, genueńczyka, kupca, który naprzód z kupią przybywszy do Krakowa, gdy mu się to powiodło, sklep tu założył z jedwabiami, wstęgami i wyrobami złotniczemi, stale się osiedlił i mieszczaństwo krakowskie otrzymał.

Miał genueńczyk, już przybywając do Polski, majątek znaczny, a ten szczęśliwym handlem nadzwyczaj prędko urósł tak, iż się już stary Montelupi liczył tu do najzamożniejszych. Dom też trzymał taki, że i naj-

większych panów mógł w nim przyjmować. Obdzierał ich pewnie na tem, co im sprzedawał, ale gdy ich miał u siebie, niczego nie żałował. Najprzedniejsze wina, łakocie, owoce, ciasta na srebrnych misach podawano lepiej, jak u króla.

Montelupi stary nie miał włoskiej giętkości Kallimacha, wydawał się rubasznym, prawdomównym, prostym człowiekiem, ale tą dobrodusznością okrywał niezmierną zręczność i znajomość ludzi. Robił też interesy tak szczęśliwe, że gdzie drudzy tracili, on zyskiwał. Oprócz handlu zdaje się, że Montelupi wiele zarabiał na monecie, lepszą wybierając z kraju, a gorszą wprowadzając ze Śląska i z zagranic, którą w obieg puszczał tak zręcznie, że go na tem ułapić nie było można, sam bowiem jej nie wydawał, ale miał takich, którym to zwierzał.

Trzeba li było mieniać srebro, dostać złota, przesłać zagranicę znaczniejszą sumę, nie narażając się na rozbój, oddawano to Montelupiemu.

Maso Montelupi, w wieku już, otyły, oliwkowej cery, bujnego siwego włosa, jak drut twardego, na ogromnej głowie, oczów jak gałki czarnych, ust odętych, stał na czele domu. Synów miał dwóch: Andreę i Michała. Z tych starszy żonaty z Włoszką, wenecjanką, dzieci miał już małe. A że do nich dozoru potrzebowali i chcieli mieć potomstwo Włochami, służbę mnogą ściągali z Wenecji i Genui.

Wedle obyczaju włoskiego, służba niemal do rodziny się liczyła i poufale z nią przestawała. Nierzadko można było przy stole i w izbie gościnnej widywać biegające i krzątające się dziewczęta, Włoszki, z których młodziusieńka, wyrostek, czerwonowłosa Lena, wenecjanka, szczególniej z piękności się zalecała.

Mogła mieć naówczas lat czternaście, ale to wiadoma rzecz, że pod niebem gorętszem ludzie, kobiety szczególniej, prędzej dojrzewają. Dziewczę było tak rozbudzone i pewne siebie, jakby miało lat dwadzieścia.

Nie powiem ja, ażeby mi piękność jej wydawała się taką, jak drugim. Naprzód, co drudzy osobliwem

a cudnie znajdowali urodziwem, włosy miedziano-złotego koloru, acz bujne, obfite i lśniące, raziły mnie. Wedle naszych pojęć, rude włosy judaszowskie zawsze źle człowieka piętnowały. Do tego trzeba dodać dziwactwo natury, bo brwi i rzęsy miała ciemne, oczy czarne, a płeć śnieżnej, mlecznej, dziwnej białości delikatnej. Co do postaci samej, tej nic zarzucić nie było można, bo choć pewnie chłopianka prosta i nędznej ekstrakcji, ale nóżki i rączki miała gdyby królewna.

Nie umiała nic, bo nawet czytać, ni pisać nikt jej nie uczył i tyle może, iż modlitw cokolwiek napamięć ją szczebiotać zmuszono, ale szatan w tej głowie siedział. Niewiastom natura daje częstokroć, co miała Lena, chwytają z powietrza wszystko, łapią z rozmów, uczą się, śpiąc. Jest w tem tajemnica.

Prosta służąca przy dzieciach Montelupich, ta mała Lena, gdy się zaczepiona do rozmowy wmieszała, trzeba ją było słuchać. Nic jej nie było obcem, wiedziała, znała wszystko, a dowcipu miała tyle, że się starzy zdumiewali i słupieli.

Młoda pani Montelupi, sama piękna i lubiąca, aby na nią patrzano, nie rada była Lenie w izbach przy gościach, bo gdy się ona ukazała, zwracano się ku niej, zaczepiano i ona się stawała heroiną.

Kallimach, jak wszystkie niewiasty bez wyjątku czcił i sławił zkolei, pochlebiał im i przez nie sobie na świecie drogi torował, tak i młodą panią Montelupi wielbił, gdyż stary Montelupi synowę tę bardzo kochał.

Spędzał tu Włoch jeśli nie całe wieczory, to długie godziny, a raz na przejażdżkę z Olbrachtem i Aleksandrem się wybrawszy za miasto, w progu znalazłszy starego, który uprzejmie na kubek wina zapraszał, choć nie sam był, wraz z paniętami do kupca wstąpił.

Kupcy to sobie mieli za wielkie szczęście, że królewicze próg ich domu przestąpili... Stary dobył, co miał najlepszego, aby ich ugościć; nakarmił, napoił, obdarzył, bawił... i tak dobrze im tu czas zeszedł, że i przejażdżki trzeba było zaniechać, a na zamek wrócono o zmierzchu — ale o tem wara mówić było.

Znajdowałem się ja przy Olbrachcie, który tu, już grając rolę dorosłego mężczyzny, poczynał sobie śmiało, lecz bardzo przystojnie. Mówił wiele i dowcipnie, zabawiał się ze starym i młodszym Montelupim, z jejmością, ale mnie tknęło, jak żelazem w bok, gdym dostrzegł, że posługującej przy stole Leny z oka nie spuszczał. Było to tak uderzającem, że i inni się na tem poznać musieli; nie umiał się ukryć, nie starał nawet utaić.

Dziewczę, które wiedziało, że to królewicz był, gdy się jej oczy spotkały z jego wejrzeniem, poczęło strzelać ku młodzikowi nawzajem.

Nie wiem, co sobie powiedzieli, ale choć jedno do drugiego słowa się nie odzywało, pewien jestem, że od tego pierwszego spotkania zawiązała się miłość między nimi.

Naówczas nikt ani mógł przypuszczać, aby młokos Olbracht miał tak rozgorzeć dla prostej dziewczyny. Płochym był od piętnastego roku życia i na zamku skargi na niego zanoszono ciągle, ale to za dzieciństwo uważano. Wzbraniano mu wstępu do izb fraucymeru królowej, karciła matka, strofował ojciec, a skutek był ten tylko, iż w wybrykach swych stał się skrytszym i ostrożniejszym.

Ja, o ilem tylko zdołał, powstrzymywałem od nich i nieraz byłem na gniew narażony. Dawniej z młodszym szło to łatwiej, teraz, gdy dochodził lat dwudziestu, na kieł brać zaczynał i prosto sobie drwił ze mnie.

Ledwieśmy z miasta na zamek powrócili, gdy Olbracht mnie do siebie zawołać kazał. Chodził po komnacie, śpiewając, włosy długie rękami rozrzucając, śmiejąc się do siebie, postawy różne przybierając, bo jeszcze wino pana Montelupiego w głowie było.

— Jaszku! — zawołał nagle — alboś ty mi wiernym sługą, lub na wieki wrogiem! Przyszła godzina, że się to okaże.

— Jam myślał, — rzekłem — że miłość wasza dawno o tem wiesz, gdzie mnie liczyć masz.

Stanął, porywając mnie za ramiona.

— Jaszku, ja oszaleję! — krzyknął — ta dziewczyna!...

Zmarszczyłem się.

— Jaka? gdzie? znowu?

— Jakgdybyś ty nie wiedział i nie domyślał się — ciągnął zapalczywie; — ta Włoszka u Montelupich, z płomienistemi włosami a oczami, jak diamenty czarne!

Chwycił się za pukle swe rozrzucone i targać je począł.

— Jaszku! ratuj! — zakrzyczał.

Spojrzałem na niego surowo, ale razem jakby o miłosierdzie prosząc.

— Wasza miłość wiesz, — odparłem — że ile razy chodzi o podwikę, ja nie pomagam, a przeszkadzam. I teraz inaczej nie będzie.

Olbrachtowi twarz się ściągnęła i pofałdowała namiętnie, groźno się postawił.

— To wcale co innego jest, niż bywało — rzekł. — Oczarowała mnie bestja.

— Jutro miłość wasza ostygniesz — przerwałem — i zapomnisz!

Chciał jeszcze przedłużać rozmowę, alem mu pod pozorem zajęcia się wymknął.

Tymczasem tegoż wieczora z Kallimachem się zszedłszy, Olbracht się tak utrzymać nie umiał, iż jemu wyznał, jakie piękność dziewczęcia uczyniła na nim wrażenie. Włoch, zamiast skarcić go, począł się śmiać, o włoskich pięknościach rozprawiać, rzymskie jeszcze nad weneckie przenosząc, opowiadając o genueńskich, o bolońskich, o florenckich i opisując, czem się odznaczały.

Nie zganiwszy królewiczowi, iż się do wenecjanki zapalił, nic w tem zdrożnego nie widząc, znajdując to w młodym rzeczą naturalną, ośmielił Olbrachta, a mnie pohamowanie go utrudnił.

Miałem gó na oku — wystrzegał się mnie, lecz czułem i widziałem, że nietylko nie ostygł, ale coraz go-

ręcej się tem zajmował, jak w domu Montelupich zawiązać stosunek.

Nie doścignęłem tego nigdy, kim się posłużył i jak potrafił się znieść z dziewczyną, ale to pewna, że ona w kilka dni wiedziała o tem, iż się sam królewicz nią zajmował i ona mu głowę zawróciła. Dziewczę było tak niedoświadczone i głupie, że się tem zaraz przed swą panią pochwaliło i pokazało pierścień z oczkiem, który jej Olbracht posłał.

Zrobił się w domu alarm wielki. Co tu poczynać? Jejmość naprzód Lenę chciała wyprawić do Wenecji zpowrotem; stary Montelupi głową potrząsał.

— Król niemłody, — rzekł — wszelkie podobieństwo zatem, że Olbracht dostanie się po nim na tron... Zamiast go sobie pozyskać, — narazić i uczynić nieprzyjacielem — dla jednej dziewczyny... nad tem się trzeba namyśleć.

Wezwano pono do narady Kallimacha, a można było przewidzieć, co z tego wypadnie. Postanowiono ani pomagać, ani przeszkadzać, a patrzeć przez szpary i jakby nie wiedząc o niczem.

Montelupiowa jednak dziewczęciu w sekrecie pogroziła i zapowiedziała, że jej płochości żadnej nie przebaczy.

Kallimach, zdaje się, wcale nie myślał przeszkadzać. Przede mną już królewicz nie wspominał o Lenie, nie mówił o tem, co przedsiębrał i krył się.

Na czas jakiś przerwało się wszystko tem, że król, ile razy na Litwę jechał na czas dłuższy, zabierał z sobą żonę i starszych synów: Kazimierza, Olbrachta i Aleksandra. Na zjazdach, przy przyjmowaniu posłów, w uroczystościach panięta w szkarłatach, z włosami trefionemi stawały obok króla przy tronie, a ludzie się ich piękności, postawie i twarzom miłym przypatrując, odchwalić nie mogli.

Litwa, ile razy Kazimierz tu przybył, pamiętna tych lat, jakie spędził w Wilnie, i nie mogąc odżałować, że jej nie pozostał, trzymała go, prosiła, aby mieszkał, nie puszczała od siebie. Tymczasem z Polski najeżdżano

z takiemiż prośbami, ciągnąc do Krakowa, a małopolscy panowie utyskiwali, że taki do nich serca nie miał.

Trudno to rozstrzygać, ale tam, gdzie miłość była większa a władza nieograniczona, pewnie królowi pozostawać było łacniej, gdy w Krakowie sarkano, przeszkadzano i sprzeciwiano mu się nieustannie.

Królowa może wolała Kraków, ale małżonka nie rada była opuszczać.

Olbracht przy królu w Wilnie, Grodnie, Trokach zapominał potrosze wenecjanki, biegał za mieszczankami i lada młodą twarzyczką, bo płochy był, a gorącej krwi.

A że w tych skrytych wyprawach to się przebierał, to za dworzanina królewskiego podawał, zuchwałym przytem będąc, spotykały go nieraz takie niemiłe zajścia, iż ledwie cało uchodził.

Mnie się z tem wystrzegał, a dopiero, gdy bieda groziła, na ratunek przyzywał.

W tych corocznych podróżach naszych byłem już pewien, że tę nieszczęsną Włoszkę zabył, ale gdyśmy tylko do Krakowa nawracali, wnet ją miał na ustach.

Dwa lata to trwało... dawał do myślenia ten upór nadzwyczajny.

Inaczej się stało.

Gdyśmy drugiego roku na Wawel zawitali, a mnie wypadło nazajutrz podle domu Montelupich przechodzić, ujrzałem w progu Lenę i ażem stanął, aby się jej przypatrzeć. Zmieniła się mało, tylko rozkwitła ślicznie, wyrosła trochę, z chudości dziecinnej wyszła, a że strojna była zalotnie — oczy rwała ku sobie.

Snać jej na niczem nie zbywało, bo i ubiór i ozdoby stroju aż do przesady miała błyszczące i obfite. Na szyi łańcuszki weneckie, jak nici cieniuchne, na rączkach pierścienie, w uszach kolce, we włosach szpilki i grzebienie. Patrzała tak na ludzi zgóry, pewna panowania nad nimi, oczyma szyderskiemi ich mierząc, aż dreszcze przechodziły. Powiedziałem sobie w duchu:

— Daj, Panie Boże, aby jej nie widział!

Wcalem tego świadom nie był, iż królewicz tam już miał swe drogi, ludzi ujętych i schadzki umówione.

Mnie podówczas, sieroctwem mojem a nieszczęśliwą dolą matki przygnębionego, co innego zajmowało. Patrzałem się na ten świat, który z młodości mej pamiętałem, tak mi się mieniący w oczach, iżem go nie poznawał.

Owe grono ludzi świętych, pobożnych, natchnionych, które tu Kapistran witał tak gorąco, a jego wpływem zwiększało się i pomnożyło nowymi wybranymi, wymierało i schodziło... Szli jeden po drugim do grobu ci, co żarliwością swą i pobożnością świecili nam i ogrzewali.

Nie było nas wówczas w Krakowie, gdy mój najdroższy nauczyciel, opiekun i dobroczyńca, błogosławionym za żywota uznany, Jan Kanty, w samą wigilję Narodzenia Pańskiego poszedł do niebios po nagrodę za to, co przecierpiał, a uczynił ludziom na ziemi.

O wielu cudach jego życia chodziły wieści przed zgonem, chociaż taił się z tem, co czynił, zaprzeczał i wypierał, lecz dopiero, gdy zmarł, cała świętość jego i wszystkie dzieła dobroczynności, miłosierdzia, pokory wyszły najaw i opromieniły zmarłego. Chlubiła się nim akademja, chociaż nie samą uczonością swą słynął, ale sercem, na wzór Chrystusowy urobionem, chlubił Kraków i całe to królestwo, które w nim orędownika nowego w niebiesiech pozyskało.

Bolesnem mi to było nad wyraz wszelki, żem ani za trumną jego pójść nie mógł, ani raz jeszcze wyprosić u niego błogosławieństwa.

Naostatek przedwcześnie przyszło mi stracić drugiego opiekuna i dobroczyńcę w ks. Janie Długoszu, zmarłym w roku 1480, gdy nie mając nad lat sześćdziesiąt i pięć, mógł jeszcze sędziwszego dożyć wieku, gdyż był silnie zbudowany, acz suchy i na wszelkie niewygody i prace zahartowany. Twarz miał surowego wyrazu, nos pociągły, orli, oczy żywe, głos przyjemny,

chociaż jąkał się trochę. Życie jego wstrzemięźliwe i skromne, od wszelkiego zbytku dalekie, zdawało się mu rokować lata sędziwsze, ale praca go zabiła. Zachorzał był wraz po powrocie z Pragi na kamień, z którego naówczas doktór Jan Stanko szczęśliwie go uleczył. A gdy chorzał, i król, i królewicze okazywali mu tę miłość wielką, na którą zasłużył, odwiedzając i czuwając nad nim.

Od tej pory stękał i nie domagał ciągle, ale pracy nie rzucał. Zliczyć, ile odbył podróży, poselstw, pielgrzymek do Jeruzalem, do Rzymu, po różnych krajach przy niewygodach, pośpiechu, troskach, ile przeżył zmian losu, ile przeczytał, umiał i pozostawił po sobie ręką własną napisanego, a mozolnie pozbieranego, nikt podobno nie potrafi.

Był mężem przekonań żelaznych, surowości wielkiej, pracy niesłychanej... W ostatnich latach przyszło mu, budując swoim kosztem, fundując bursy, stawiąc plebanje, pamiętać o każdej cegle i kamieniu, o każdym wozie i koniu, co je miał przywieźć, o rzemieślnikach, o groszu na nich... A przytem nie schodziły z pulpitu kroniki, nie przebierało się rękopismów i kart, które czytał i spisywał do ostatniej chwili żywota.

Wspaniałym pogrzebem uczcił go król, bo choć była chwila, gdy miał do niego żal i z innymi musiał karać, aby wymóc posłuszeństwo — szanować umiał charakter niezłomny, pobożność wielką, żywot czysty i przykładny.

Dla mnie też strata to była wielka, bom w nim miał opiekuna niepobłażającego, ale do którego serca i rozumu mogłem się uciec w złej doli.

Następnych lat już niemal same klęski zapisywać by potrzeba.

Jakom rzekł, marli ludzie świątobliwi, w ich miejsce jawili się uczeni, wymowni na wzór Kallimachowy, świecką mądrość nad inną przekładający, a obyczajem wyzwalający się z pod prawa chrześcijańskiego.

W cieniach klasztornych skrywała się resztka tych

świątobliwych ludzi, która pozostała z wieku przeszłego. W rynkach już na kazania ludzie się nie zbiegali, a i kościoły niezawsze były pełne. Zato po domach życie wesołe wrzało i kipiało, jakby ostatka dni szczęśliwszych używać chciano.

Nadszedł też w parę potem lat z Węgier przyniesiony mór straszliwy, który nawiedził Kraków, tak, że się z niego, co mogło, wynosiło w lasy i pola, a inne ziemie. Od połowy czerwca, oktawy Bożego Ciała, do połowy sierpnia powietrze straszne, śmierć czarna, przeciwko której doktorzy napróżno lekarstw szukali— wyludniła miasto znacznie. Szczęśliwa była doba, gdy nie więcej w parafji P. Marji w rynku nad pięćdziesiąt osób na cmentarz wywieziono.

Ludzie padali w ulicach rażeni nagle i często, nim ksiądz pośpieszył z wiatykiem, w okropnych boleściach życie kończyli. A do którego domostwa zastukała kostucha, już tam mało kto, albo nikt nie pozostał. Starzy i młodzi kładli się zkolei.

Trwoga okropna opanowała umysły tak, że dzieci rodziców, a rodzice odbiegali dzieci, lecz i wielkich poświęceń, a nieustraszonego serca ludzie się znajdowali. Odznaczył się między wszystkimi ów pobożny Michał Gedrojć, książątko litewskie, które tu żebrakom i ubóstwu służyło, spowiadając, karmiąc, pojąc, opatrując, grzebiąc niezmordowanie we dnie i w nocy. On i kilku odważnych zakonników — jedni w mieście porządek utrzymywali, a złym i rozpasanym nie dopuścili łupieży i gwałtów, śmierć bowiem wszystkie węzły posłuszeństwa i poszanowania targała, i jeden tylko ksiądz jeszcze wrażał jakąś trwogę.

Nie stawało trumien, więc na wozach zrzucone ciała wywożono do wielkich dołów, tam je grzebiąc co rychlej, gdyż doktorowie od zwłok gnijących w skwarne dni lata gorszej jeszcze obawiali się zarazy.

Nie było nas ze dworem w Krakowie, wyjechali i matka moja do Nowojowa, a Kallimach z nami; więc to tylko wiem, co mi za powrotem opowiadali ci, którzy własnemi oczyma na te dnie sądu patrzyli.

Wszystkie bogatsze mieszczaństwo, więc i Montelupiowie do Wrocławia i na Śląsk zbiegli.

W klasztorach zaś nietylko się nie wyludniło, ale przybyło zewsząd sług Bożych, gotowych na śmierć i męczeństwo dla chwały Zbawiciela i oddania mu świadectwa.

W popłochu tym, gdy co żyło, opuszczało miasto, ja na pamięci mając matkę, choć nie chciałem się jej narzucać — pragnąłem ratować. Pobiegłem do Sliziaka potajemnie. Gotowano się do drogi, myślałem, że z powodu Kallimacha, nie wątpiąc, iż żoną jego jest, matka moja za dworem ciągnąć może.

Sliziak, który strasznie postarzał i nogami suwał, a podróże teraz, nie chcąc pani opuścić, odbywał na wozie, bo już konia dosiąść nie mógł, gdym wpadł, dopytując go, co zamyślają, rzekł mi sucho i smutnie:

— Jedziemy.

— Dokąd?

— Do Nawojowa.

Popatrzył na mnie długo.

— Myślicie może, iż za wami pociągniemy?

Głową potrząsnął. Byliśmy sami; stary siadł i ławę mi ukazał, wzdychając.

— U nas się też wiele rzeczy odmieniło — rzekł — czy na lepsze, nie wiem. Obrał nas Włoch, jako żywie chciał, obicia ze ścian i misy ze skarbca pozabierał, dobrze, że kubek do wody zostawił... więc i ostygł znacznie. Jejmość zawsze mu rada, a miłuje go bez miary, ale płacze i oczy wypłakuje, bo widzi, że tam u niego serca niema, a bodaj go nigdy nie było.

— Za późno, niestety, — rzekłem — poznaliście go, gdy już więzów potargać nie można.

Stary ręką rzucił w powietrzu.

— A któż to wie? — rzekł pocichu. — Nie byliśmy w Krakowie, gdy się to stało, i ślubu nikt nie widział. Gorsze od niego zaślepienie, które dotąd pani naszej widzieć tego nie daje, iż dla jej dostatków tylko czyhał na nią człek, który się teraz, jak ze służebnicą obchodzi.

Zamilkł na chwilę.

— Płacze teraz — dodał; — oczy się może przemyte otworzą!

Nie śmiałem go spytać nawet, czy kiedy o mnie nie wspomniała, lub nie dała znaku jakiego, że jej żal opuszczonego sieroty. Sliziak też niechętnie mówił i to tylko, co mu najwięcej na sercu ciążyło. Spokojniejszy o matkę, wyszedłem do zamku, gdzie wozy już stały gotowe, i wyruszyliśmy w tę podróż, z której dopiero zimą mieliśmy powrócić.

Byliśmy za miastem, konno jadąc wszyscy z królewiczami, gdy Olbracht, konia swego zatrzymawszy, dał mi znak, i na stronę ze mną odjechał.

— Montelupiowie też wyjechać musieli? — zapytał.

Spojrzałem nań zdziwiony.

— Dziewczyny mi żal i niepokój o nią mam taki, że bodaj w mórbym nawrócił, aby ją ocalić. Przecież ją w Krakowie nie porzucę?

Zburzony byłem i smutny tak, żem mu wyrzucać zaczął, iż w takiej godzinie o płochych jeszcze myślał rzeczach.

— Płochych! — zawołał, oczyma mnie groźnemi mierząc. — Dla mnie to nie płocha sprawa, bom do niej się sercem przywiązał całem, a ona do mnie... a gdybym ją utracić miał, życieby mi obmierzło.

Ruszyłem ramionami.

— Ale z wami o tem nie gadać! — dodał gniewnie i obrócił się do młodego Bobrka, na którego skinąwszy, poszeptawszy z nim, uspokojony już jechał dalej, snać dowiedziawszy się, czego żądał.

Tak tedy daleko było zaszło, o czem ja dopiero teraz ze smutkiem się dowiedziałem.

Nie odjął mi Olbracht łask swych, ani serca, ale nie chcąc mu posługiwać do tych pokątnych miłostek, straciłem zaufanie jego, nie zwierzał mi się już z niczem, Bobrka do tego używał i co dawniej wielkie czynił obietnice, teraz dawał mi to czuć, iż się na nowo zasłużyć muszę.

Lubił rozmowę ze mną o rzeczach obojętnych, wiedział, że się wygadać może, bo go nie zdradzę, a ulgę mu to czyniło, gdy co miał na sercu, zrzucił — lecz coraz dalej stałem od niego. Być może, iż wpływ Kallimacha do tego się przyczyniał, a ten był coraz większy.

Wielekroć to powtarzałem, że król Kazimierz, choć głównemi sprawy zajęty nad miarę, na które pamięcią i rozumem ledwie było w mocy ludzkiej wystarczyć, jednak w najmniejszych drobnostkach świadomym był wszystkiego, co się synów, dworu i osób należących do niego tyczyło.

Na mnie jednak maluczkiego oddawna się nie zdawał zwracać uwagi, i zdziwiłem się, a niemal przeraziłem tem, gdy w podróży, do Grodna nie dojeżdżając, na noclegu zawołano mnie do niego. Szedłem z bijącem sercem, lękając się, czy mnie niesprawiedliwie nie zaskarżono przed nim o pomoc Olbrachtowi w wybrykach jego, które król surowo karać był zwykł.

Zastałem go siedzącym za stołem z jednym tylko lekarzem swym, który, widząc mnie wchodzącego, wysunął się.

Stałem jak winowajca przed nim, ale twarz miał choć smutną, nie gniewną jednak. Podniósł oczy ku mnie.

— Niemało już lat służysz wiernie — rzekł do mnie — a nigdyś żadnej rzeczy nie żądał ode mnie... Patrzałem na was i chwalę tę poczciwość. Myślałem, że los ci inaczej zabezpieczy przyszłość, abyś na stare lata miał kawałek chleba. Słyszę, że inaczej się to obróciło.

Pomilczał trochę.

— Nie masz nic... hę? Olbracht cię, słyszę, miłował i miał trzymać przy sobie, ale ten wkrótce nie będzie mógł nikomu nic świadczyć, bo wszystko strwoni... Pamiętałem o tem, abyś był słusznie wynagrodzonym.

To mówiąc, król wziął ze stołu przygotowaną kartę i podał mi ją osłupiałemu ze zdziwienia. Rzuciłem

się do nóg, obejmując je z płaczem wdzięcznym, lecz podniósł się zaraz i przerwał mi...

— Dosyć tego, dosyć. Bóg z tobą!

Rękę mi położył na ramieniu.

— Taka jest wola moja, abyś teraz na czas był od służby oswobodzonym i jechał tam objąć, com ci dał. Powracaj rychło. Zostaniesz przy mnie, bo wiernych sług mi potrzeba, a Olbrachtowi i później będziesz mógł posługiwać.

Jakby na dany znak znowu wszedł doktór, za nim kapelan i ks. podkanclerzy, a jam z papierem w ręku, z sercem bijącem z komnaty się wydostał, sam nie wiedząc, co niosę. Cudem mi się to wydawało.

Przy zapalonej pochodni, otoczony ciekawymi, bo się wszyscy cisnęli dowiedzieć, co mnie spotkało, począłem czytać owo królewskie nadanie. Zawierało ono wiekuisty dar ziemi z osadami włościańskiemi pod Lidą, Pacewicami, Horszyszkami i Druskawą.

Temu, co nigdy nie miał nic, ani się cokolwiek posiadać spodziewał, było to bogactwem niezmiernem. Anim jednak wiedział, co mam.

Z Litwinów, którzy na dworze byli, żaden nie znał miejscowości i objaśnić mnie nie umiał. Natychmiast musiałem się wybierać na grunt, aby wioski objąć w posiadanie, ale i w tem była trudność niemała.

Żołd mając niewielki, nie było z czego oszczędzać i zapasu zrobić, przeżywało się na dworze często to, co dawano ze skarbu i więcej. Naówczas więc w kieszeni nie miałem nad parę kop groszy, z któremi się w drogę puścić nie było sposobu.

Poratowałby mnie pewnie przyjaciel Zadora, gdyby z nami był; ale od lat kilku tak się haniebnie roztył, rozpasł, że go w podróż nie brano, a na czas niebytności dworu w Krakowie do rodziny wyjeżdżał na wieś spoczywać i tam piwo z grzankami pijąc, jeszcze się tylko więcej rozpasał.

Inni towarzysze niewiele też mieli grosza. Przemyśliwałem więc, jak radzić sobie, gdy nazajutrz pod-

skarbi wręczył mi od króla zasiłek na podróż tak, żem, nie ociągając się już, mógł wyruszyć.

Po drodze przepytując, dowiedziałem się o przyszłej majętności mojej, iż choć opuszczona, bo dzierżawami była dawana, ale dobry kawał chleba dać mogła. Ziemi i lasu było poddostatkiem, woda, stawek, młyn... więc tylko Panu Bogu i łaskawemu panu dziękować.

Teraz, gdy mi przychodzi po latach już wielu mówić o tem, jakem po raz pierwszy wjeżdżał na tę ziemię, którą moją nazwać miałem prawo, zdaje mi się, że nigdy nie potrafię uczucia tego, z jakiem na granicy u krzyża ukląkłem, opisać i wypowiedzieć. Budziła się jakaś osobliwa miłość, jakaś radość z tego związku pomiędzy tym kątem a mną — niewysłowiona. Zdawało się tu wszystko innem, niż na całym świecie, lepszem i do duszy przemawiającem. Mogę to rzec śmiało, żem był jak pijany i tak szczęśliwy, że zajechawszy do Pacewicz, nie zważałem na to, co mnie tu spotykało i czekało!

Nie powiem już nic o dworze, a raczej starej chałupie, którą dzierżawca tyle tylko, że podpierał, bo mając obok własną majętność, o Pacewicze nie dbał i z nich tylko, co mógł, wyciskał.

Miałem nadanie królewskie, o którem tu już wiedziano, ale odebrać majątek natychmiast było trudno. Dzierżawca tysiącznemi wykręty bronił się, albo raczej wytargować na mnie chciał okup. Składał rachunki, świadczył się ludźmi, popierał zwyczajami, tak, żem musiał, niecierpliw będąc wnijścia w posiadanie, dobrze mu się opłacić.

Brałem wprawdzie majętność znaczną, ale spustoszoną i bez żadnego inwentarza. Ten, który dzierżawcy zdano, okazano, jako wymarły i zaginiony dla mnie. Sam na gospodarstwie nie mogąc tu pozostać, bo mi król na służbę nie już do Olbrachta, ale do siebie powracać kazał, musiałem szukać człowieka, któremubym powierzył Pacewicze i grosza na zagospodarowanie.

Wiedziano o tem, żem królowi służył i przy nim stał; cokolwiek mi to miru u ludzi dawało, ale karmiono mnie słowy i pokłonami, ale z mieszkiem każdy się trzymał ostrożnie.

Raili mi tam zaraz ożenek w sąsiedztwie z dziewką szlachecką, która miała wiano i rodzinę mogącą się zająć Pacewiczami, alem ja do tego ochoty nie miał, Luchny z pamięci nie mogąc wypuścić — a cobym z żoną miał czynić przy dworze? Służby zaś przy królu moim, dopóki żywota jego, nie mogłem rzucić przez wdzięczność samą.

Przyszło więc naostatek tak radzić sobie, jak od wieków u nas wszyscy — u Żyda na lichwę pożyczyć pieniędzy, a ubogiego szlachetkę ugodzić i posadzić na wiosce — Bogu resztę polecając. Grosza na teraz dla siebie nie tylko żadnej nie było nadziei, ale go jeszcze szukać musiałem na zagospodarowanie. Dwór nowy stawić, młyn upadły podnieść, inwentarz skupić było potrzeba. Wszystko to raczej ciężar, niż bogactwo stanowiło, ale człek sobie myślał, iż dach własny ma i schronienie, a ziemię rodzicielkę pod stopami, z której go nikt, chyba Tatar, mógł wygnać.

Spieszyło się, jak mogło, z tem, a jednak czasu dosyć upłynęło i dopiero w końcu lutego wybrałem się gonić za królem, który już z Wilna jechał do Grodna.

Po drodze doszły mnie smutne wieści, że Kazimierz, owa perła czysta pomiędzy dziećmi pańskiemi, najprzedniejszej wody, coraz słabszy, kaszlący, wątły bez oddechu, w kolebce wiezionym być musiał, a lekarze serce królowej przygotowywali do strasznego ciosu.

Miała Elżbieta dzieci poddostatkiem, lecz zawsze to jest najulubieńszem, które tracimy, a w istocie Kazimierz u rodziców i u wszystkich miłość taką miał, jak żaden.

Nie było już ratunku, tak choroba wzięła górę. Przypisywali ją lekarze temu, iż żywot prowadził żadnej krewkości młodzieńczej nieprzystępny, czysty a anielski. Myślano go żenić, ale otwarcie przyznał, iż czystość Bogu ślubował.

Słabowitym tak będąc, gdy noce często całe spędzał na modlitwie pod krzyżem na zimnie, albo w kościele krzyżem leżąc, poszcząc tak surowo, iż po kilka dni często tylko chlebem i wodą się żywił, nic dziwnego, iż wkońcu siły zupełnie utracił.

Osobliwszem zaś było, iż nigdy tak anielsko pięknym nie był, jak naówczas. Włoch, Contarini, który przez króla był niegdyś przyjmowany w Trokach, nie mógł się dosyć nachwalić piękności Kazimierza i Olbrachta; ale od tych lat królewicz, rosnąc, można powiedzieć, jeszcze cudniejszym się stał na obliczu.

Król dla dzieci surowy, a teraz nawet na Władysława czeskiego zagniewany, bo mu niedosyć posłuszeństwa okazywał, Kazimierza, można powiedzieć, szanował i nigdy go w tych latach nie strofował nawet.

Nie sprzeciwiano mu się już, gdy, wbrew lekarzom, posty i modlitwami się męczył. Mało było nadziei żywota.

Gdym przybył ostatnich dni lutego do Grodna i zaraz przy królu objął służbę komornika, dowiedziałem się, iż Kazimierz, drogą znużony, osłabł bardzo, gorączki dostał i doktór mu spoczywać kazał. Nikt jednak, oprócz niego samego, zgonu tak rychłego nie przeczuwał.

Marcowe pierwsze dni ostre były i zimne, zamczysko w Grodnie, choć niby opatrzone na przyjazd króla, izby miało chłodne, dymne, a piece, w których po całych dniach palono, źle je ogrzewały.

Nie dawano się już królewiczowi nawet do kaplicy wychylić z komory, więc ze swoim Konarskim ołtarz zaraz w niej zbudował, obraz N. Panny, który zawsze z sobą miewał, nad nim zawiesił i po całych dniach modlili się przed nim i śpiewali. A że wielki post był właśnie, więc dni suchych w tygodniu połowa, gdy doktorowie posiłek lepszy zalecali, ale napróżno... Jedzenia, które przynoszono, królewskie psy pono zjadły, a oni żyli chlebem i wodą.

Czwartego marca wreszcie poszedł anioł do nieba, a kto go widział zmarłym w trumnie, nigdy nie za-

pomni, bo ta piękność, jaką się za życia odznaczał, po zgonie jeszcze stokroć cudniejszą się stała. Zdawał się uśpiony uśmiechać błogo.

Żalu po nim opisać trudno. Nawet Olbracht, który do płaczu wcale skłonnym nie był, a z bratem tym, choć się kochali, mało obcował, bo ludzie byli zupełnie odmienni, przez dni kilka chodził, jak osowiały.

Olbrachtowi teraz prawo starszeństwa zapowiadało koronę.

Powróciliśmy do Krakowa, gdy mór już był zupełnie ustał, ale po nim jeszcze zostały mnogie ślady. Do niektórych kamienic, w których ludzie wymarli, nie śmieli się jeszcze wnosić nowi mieszkańcy, choć je na nowo poświęcono i oczyszczono. Brakło wielu znajomych, wspomnienie strasznych dni było na wszystkich ustach i w pamięci. Mnóstwo chodziło w żałobie.

Gdyśmy się tu znaleźli znowu, a już z inną powagą witałem dawnych znajomych jako *possesionatus*, czego mi winszowano i Kallimach też z pewnym przekąsem przywitał mnie, dziwując się, iż służby nie porzuciłem.

— Owszem, gorliwiej jeszcze teraz panu memu łaskę zawdzięczać muszę — rzekłem. — Żal mi tylko, że opuszczam królewicza Olbrachta, do którego długiemi laty się przywiązałem.

Nic nie rzekł na to.

Nie śmiałem pytać nikogo o matkę moją, ani nawet zajrzeć do domu Pod złotym dzwonem. Pragnąłem się dowiedzieć czegoś o niej i obawiałem razem, tak, że parę razy będąc na mieście, pomijałem kamienicę, nie śmiejąc spojrzeć, czy tam kto jest.

Odkładałem od dnia do dnia z obawy, aby się o czemś złem nie dowiedzieć. Ze sług i przybocznych Kallimachowych, choć mógłby był mnie może który objaśnić, nie chciałem ich badać.

Upłynęło dni kilka.

Teraz już do tego, co się z Olbrachtem działo, mieszać się i niepokoić o to nie miałem żadnego powodu. Zaraz po powrocie naszym na dworze głośnem być po-

częło, że Włoszkę od Montelupich wzięto, osobno ją osadzono, opatrzono obficie, dwór jej niewieści przydano i królewicz ze swoimi zaufanymi do niej wieczorami uczęszczał.

Pozornie jednak ukrywano to, i Włoszkę pono Kallimach miał w swej zwierzchniej opiece. Ale tajemnica na dworze i w mieście trudno aby się utrzymała, tem bardziej, gdy się ona tyczy królewskiego syna, który w przyszłości po nim ma królować.

Rozpowiadano więc o Włoszce, o piękności jej i o władzy, jaką nad niestałym i płochym Olbrachtem miała, a przypisywano ją nietylko niezwyczajnej piękności, ale równie nadzwyczajnemu dowcipowi i talentom, które jej w tych latach przybyły. Śpiewała bowiem, grała na cytrze i we włoskim tańcu zachwycającą być miała.

Gdy Olbrachtowi grosza częstokroć brakło, około Włoszki był przepych wielki. Zalecano się przyszłemu panu, obsypując podarunkami kochankę.

Zarazem też niezbyt pochlebne o niej głoszono rzeczy, jako płochą była, zalotną i przewrotną. Mówiono, że z królewicza się z innymi naśmiewała, a nie taiła z tem, iż wcale go nie kochała.

Z doświadczenia znając, ile ludzkim językom wiary dawać nie można, puszczałem to mimo uszów, nie myśląc sprawdzać, gdy marszałek dworu, wezwawszy mnie do siebie, objawił wolę króla, abym starał się bliżej poznać ten stosunek, o którym już go doszła wiadomość.

Nie chciał Kazimierz ani się w to wdawać, ani okazać, że już był zawiadomionym, a niepokoił się o syna. Wolał może, iż jedną miłośnicę miał, niżby płocho, jak dawniej, po mieście ich, z ladajakiemi się błąkając, wyszukiwał.

Kallimach zaś w rozmowach powtarzał ciągle, iż młodość ma prawa swe i że na wiele jej sprawek przez szpary patrzeć potrzeba.

Zafrasowałem się niemało, polecenie otrzymawszy, które mi dawnego pana mojego nakazywało śledzić,

a może oskarżać. Lecz wolę króla spełnić musiałem, zwłaszcza, iż ona z dobrem młodego panięcia się godziła i ono tylko miała na celu.

Nie wiedziałem tylko zrazu, jak to spełnię, czego wymagano po mnie, gdy tegoż dnia, jakby z umysłu Olbracht mnie, wieczorem spotkawszy przechodzącego, zawołał do siebie.

— Jużeś się to tak mnie wyrzekł, — odezwał się — że do mnie ani zajrzysz?

— Wiesz wasza miłość, że jakom dla niej serce miał, tak je zachowałem — odparłem, — ale inni zastąpili mnie, potrzebnym nie jestem.

Poklepał mnie po ramieniu, śmiejąc się.

— Radbym ci się pochwalił — rzekł, mrugając oczyma — i moją Lenę pokazał, ale ty, stary djable, sromać się będziesz pójść do niej ze mną. Hę? Wieczorem biorę jednego Bobrka? Pójdziesz z nami?

— Dlaczegóżbym zaproszony gościem nie miał być — odparłem po namyśle; — byle gospodyni mnie za drzwi nie wyprawiła.

— Jam ci tam gospodarzem — zawołał królewicz. — Gotuj się wieczorem ze mną, ale wara mi od Włoszki! Zdała się tylko do niej modlić wolno, bom zazdrosny!

Tak się stało, że mnie sam Olbracht do onej Leny wprowadził.

Teraz owego skromnego dziewczęcia ani było poznać w niewieście, po pańsku wystrojonej i takie sobie dającej tony, jakby w istocie panią wielką była zawsze.

Stara kobieta, czy w istocie matka, czy krewna w zwykłym ubiorze prostych wieśniaczek, ale bardzo wytwornym, była jej towarzyszką. Znać w niej było chłopiankę, bo nawet językiem takim mówiła złamanym, iż się go uczyć było trzeba, ażeby zrozumieć, choć się włoskim nazywał.

Królewicz, jak sam wystawność lubił, tak i tu na nią nie żałował. Przepych więc był wielki, ale ładu i czystości mało.

Wesołość panowała jakby z nakazu dla ubawienia królewicza. Wybuchła, gdy się ukazał tylko i nie ustała aż do wyjścia naszego. Zdawała mi się udaną i sztuczną, ale Olbracht rad był jej. Więc i gra, i śpiew, i taniec, i szepty, i śmiechy, i zalotne napaści przy świadkach naprzemiany szły po sobie. Wino i łakocie zjawiły się na stole i nie zeszły z niego przez cały czas, gdyśmy gościli.

Bobrek i ja trzymaliśmy się zdala, lecz Lena i nas zaczepiała, a że ze mną po włosku mówić mogła, zwracała się często z dowcipami, które śmiechem i oklaskami płacić było potrzeba.

Od tego czasu, gdym ją widział raz ostatni stojącą we wrotach kamienicy, nie przybyło jej wdzięku, ale śmiałości, zalotności i zręczności bardzo wiele.

Zdawała się bardzo pewną panowania swojego nad Olbrachtem, bo z nim postępowała zuchwale, i sam widziałem tego wieczora, gdy, bawiąc się, policzek mu dała. Sczerwienił się okrutnie, lecz my z Bobrkiem udaliśmy, żeśmy tego nie spostrzegli i wnet zgoda nastąpiła znowu.

Miał królewicz na szyi łańcuch pancerzowej roboty bardzo piękny. Nie wiem, czy po raz pierwszy go oglądała, lecz naprzód zaczęła mu się przypatrywać pilno, potem zdjęła z szyi Olbrachtowi, włożyła na swoją, poszła się przejrzeć do zwierciadła i choć królewicz nazad go mieć chciał i wykupić, nie myślała oddać.

Wcale niezbudowany a smutny po północy już wyszedłem z królewiczem od niej.

— A cóż? — zawołał — ledwie za próg stąpiwszy — nie szatan-że ta Włoszka? I gdzie na świecie druga jej podobna? Nie miałżem ja dla niej szaleć i rozmiłować się wściekle?

Nie wtórowałem pochwałom tym, za co królewicz się niemal nadąsał na mnie.

— Wszyscy mi zazdrościcie — rzekł — i dlatego każdy cośby rad jej zarzucić, ale to cud niewiasta. Niewiasty, jak ona, wesołe i zalotne, cnotliwsze są niż te, które skromnisie udają. Tak mówi mistrz Kallimach,

Experiens — dodał, śmiejąc się, — a on i w sprawach miłosnych experiensem zwać się może!

To mówiąc, królewicz na głos począł deklamować wiersz łaciński, który Experiens ułożył na cześć pięknej Leny.

Opowiedziałem nazajutrz marszałkowi, com widział, nie tając tego, że dziewczę płochem się być zdaje.

— Tem lepiej — odparł mi, — może więc Olbracht zrazić się wkońcu, a dobrzeby było, aby zbyt nie przywiązywał się do niej.

Opowiedziałem historję łańcucha, na co ramionami ruszył.

Nie stawiano żadnych przeszkód królewiczowi, przez szpary na to patrząc.

Zajęty służbą moją komorniczą przy panu, więcej teraz mogłem przypatrzeć się pracowitemu życiu jego.

Ileż to już lat ono, nie ustając, trwało, a pod koniec właśnie sprawy węgierskie i czeskie trudności mnożyły, trosk dodawały.

Dorastali królewicze, z których, odjąwszy dwóch, zmarłego i wyposażonego, pozostawało czterech do pomieszczenia. Jednemu z nich należał się tron polski i nikt naówczas ani mógł pomyśleć, aby to było wątpliwem; drugi do stanu duchownego przeznaczony, już sukienkę nawet nosił, choć wcale powołania nie okazywał, a charakterem i temperamentem do Olbrachta był najwięcej podobny.

Z dwóch ostatnich Aleksander, powolny, milczący, miły, niewiele obiecywał, ale i nie zdawał się też siła pragnąć, bo mu pieśni, muzyki i wczasu starczyło do szczęścia.

O Zygmuncie naówczas wróżyć nikt nie umiał. Z pozoru i powierzchowności trochę Aleksandra przypominał, ale zdolnościami go o wiele przechodził. Milczał tak jak on, odezwawszy się jednak krótko, zwięźle, zawsze rozumnego coś powiedział. Kallimach, znawca ludzi, obiecywał po nim wiele. Twarz miał na oko surową, namarszczoną już zamłodu, brwi ścią-

gał groźnie, ale dobroci był wielkiej i charakteru szlachetnego.

Młodszy od niego, Fryderyk, dowcipem łatwym, umysłem żywym górował nad nim, lecz niepomiernie płochy, bawić się lubiący, niespokojny, w niczem długo wytrwać nie mógł.

Nim ostatek lat panowania Kazimierzowego pokrótce opowiem, o sobie też coś rzec muszę.

O matce mojej żadnych zdawna nie mając wiadomości, gdy Kallimach zdawał się, o ilem mógł wnosić, całkiem o niej zapominać, przypuszczałem, iż wkońcu o niewierności i przewrotności człowieka tego przekonana, musiała pozostać w Nawojowie, zerwawszy z nim, choć go mężem jej mieniono.

Mimo woli mej dowiedziałem się tego czasu, iż dom Pod złotym dzwonem, który sprzedanym sądziłem, stał prawie pusty, a liczył się zawsze własnością wdowy Tęczyńskiej.

Dnia jednego, gdym się najmniej tego spodziewał, nieznany chłopak przyszedł od Sliziaka wezwać mnie, abym do niego przyszedł, gdyż stary, podróż odbywszy, niemocen był. Wyprosiłem się natychmiast u podkomorzego i pobiegłem. Na dole okiennice, dawniej zamykane, stały otworem i tu mnie posłaniec wprowadził.

Leżał Sliziak na świeżem sianie i przyjął mnie, stękając. Nie śmiałem go o nic pytać, taki strach mnie ogarnął. Lękałem się o matkę.

Kochałem ją zawsze, teraz może, wiedząc, że nieszczęśliwą była, więcej, niż dawniej. Żalu nie miałem, choć mi zapomnienie przez nią bolesnem było; czułem, że przyczyną jego stał się ten człowiek, który wszystko i wszystkich gotów był poświęcić dla siebie.

Sliziak, zestarzały, zgrzybiały, ledwie dyszał; patrzył na mnie i ręka, którą podniósł, trzęsła mu się, nie miał siły dobyć głosu.

Przeczuwałem już złą wieść.

Wtem drzwi boczne otwarły się rzucone silnie i w progu pokazała się moja matka... O Boże! jak stra-

sznie zmieniona, wychudła, zestarzała, z włosami białemi, z twarzą pomarszczoną, wśród której tylko wypłakane oczy jej świeciły. Miała na sobie dawny strój tercjarki-pokutnicy.

Rozpostarła ręce, wyciągając je do mnie, i krzyknęła głosem, który przejął mnie do wnętrzności:

— Jaszko!

Znalazłem się naprzód u kolan jej, a potem w długim uścisku. Trzymała mnie tak, płacząc, przy sobie. Sliziak tymczasem zwlókł się z łoża swego i widząc, jak drżała, siedzenie jej podsunął, na które padła, zachodząc się od łez.

— Możeszże ty mieć jeszcze serce dla wyrodnej matki? — poczęła z bólem. — A! ten człowiek, ten człowiek spotwarzał cię, tyś był i jesteś lepszy, niż my wszyscy, a ja... a ja! O mój Boże!

I rozpłakała się znowu.

— Ale teraz poznałam go i brzydzę się sobą, żem się dała uwieść i oszukać. Mój Jaszku! Wszystko naprawione zostanie!

— Wszystko już zostało naprawione i zapomniane, kochana matko, — rzekłem — jak skoro łaskę mi swoją przywracasz. Więcej nad nią nie pragnąłem nigdy i nie żądam.

Po tylu latach niewidzenia znalazła mnie zestarzałym. W początku o dolę moją zapytywać nie śmiała. Odezwała się wkońcu:

— Zawszeż jeszcze dźwigasz jarzmo służby królewskiej i to jeszcze pod zwierzchnictwem niegodziwego sprawcy nieszczęścia mego?

— Dzięki łasce królewskiej — odezwałem się — nie cięży mi służba, do której nawykłem. Od królewicza Olbrachta przeszedłem do boku pana naszego i jestem przy nim komornikiem. Król pamiętał nawet o mojej przyszłości, — dodałem — bo choć go nie prosiłem o to, obdarzył mnie kawałkiem ziemi pod Lidą. W najgorszym więc razie mam kątek własny i schronienie.

Słuchając tego, matka moja podniosła się nieco i bladą jej twarz oblał na chwilę rumieniec; ale natychmiast pobladła znowu, pochyliła się i zadumała głęboko Zaczęła potem słabym głosem opowiadać, jak jedynie dla mnie teraz przybyła i widzieć mnie była spragnioną.

— Nie rozstaniemy się już więcej — dodała; — król was odpuści dla mnie, sług ma dosyć.

Miałem się odezwać, prosząc jej, aby mi pozwoliła nie opuszczać pana, do którego się przywiązałem, gdy zaturkotało przed domem; wywlókł się Sliziak i powrócił poruszony, bełkocąc, a wskazując na drzwi. Wylękły oznajmywał o przybyciu Kallimacha.

Na samą wzmiankę tego imienia matka moja porwała się ze zgrozą i z krzykiem zawołała:

— Precz z nim! precz! Niema mnie na świecie dla niego! Powiedz mu, żem umarła dla niego, że widzieć, ani znać go nie chcę.

Oczy jej pałały gniewem.

— Idź — powtórzyła Sliziakowi — mów mu śmiało, że dom ten zamknięty dla niego na zawsze. Precz z niegodziwym.

Wyrazy te, jak się zdaje, Włoch stojący pode drzwiami musiał słyszeć, bo gdy Sliziak wyszedł mu oznajmić rozkaz matki, już go nie było. Odjechał nie ukazując się tu więcej.

Znaczną część dnia tego spędziłem, uspokajając matkę i starając się ją przekonać o mojej miłości synowskiej. Nigdy nie okazała się dla mnie tak czułą i serdeczną. Chciała mi nagrodzić wszystko, com wycierpiał.

Znowu więc służbę moją podzielić musiałem pomiędzy starego pana i nieszczęśliwą matkę.

Pokój powracać zaczął do jej duszy razem z pobożnością, której się cała oddała. Jedyną jej troską był los mój. Chciała mnie widzieć swobodniejszym, niezależnym, majętnym a naostatek żonatym.

Gdy mnie o to naciskała, musiałem się jej przyznać, żem w sercu nosił ową Luchnę, dla miłości której po-

starzałem bezżennym, nie wiedząc nawet, co się z nią teraz działo.

— Czekaliście na siebie za długo — rzekła — i ona też już nie młoda i nie tak piękna, jak była, ale zamąż pono nie wyszła.

— Jeżeli kiedy żenić się mam, — odparłem — to tylko z nią; jakąkolwiek ją dziś znajdę, kochać będę miłością dawną.

Potrząsłszy głową, matka nic już nie odpowiedziała mi.

Ponieważ król w Lidzkiem nadał mi Pacewicze, a ona miała ziemie swe niezbyt odległe od nich, oznajmiła mi, że daru czynić nie mogąc prawnie, aby go potem nie unieważniono, chciała mi znaczną majętność sprzedać i na to każe sporządzić papiery, oddając mi ją we władanie natychmiast.

Wypraszałem się od tego daru z powodu brata jej, Gastolda i reszty rodziny, lecz słuchać nie chcąc, odpowiedziała mi tylko, iż brat sprzeciwiać się nie będzie, a ona to za zgodą jego, dla spokoju sumienia swego chce uczynić.

Tak tedy los mój, długo niepewny i nędzny, nagle aż nadto mnie obsypywał. W Polsce sierota bezimienny, choćbym ziemię posiadał, nic sobie rokować nie mogłem, bo tu rodów i szczytu badano pilnie, a człek nowy niełatwo był przyjęty między ziemian. Na Litwie zaś, gdzie szlachectwo było rzeczą nową, a stara bojarszczyzna ściągała się z różnych ludzi, pochodzenia nie patrzano, gdy kto ziemię trzymał. Tam więc i mnie o szczyt pytać nikt nie mógł, a z polskiej szlachty ubogiej wielu Litwę do herbów przyjmowało za mało co, lub nawet dla pobratymstwa. Przyjęcie też takie Litwina od horodelskiego połączenia nikogo nie raziło i było w obyczaju. Mogłem więc spodziewać się, że mi teraz mego sieroctwa nikt wyrzucać nie będzie. Weselszem okiem spoglądałem w świat i na życie, od którego chociaż już wiele się spodziewać nie mogłem, wszelkiej nadziei nie straciłem. Czterdzieści z okładem lat miałem naówczas, alem się czuł krzepkim i zdro-

wym, bo chorób w życiu prawie w późniejszym wieku nie znałem; mówiono też, iż z twarzy na mój wiek nie wyglądałem.

Snuło mi się po głowie, że wkońcu Luchnie podam rękę do ołtarza, kiedyśmy oboje sobie tak długo wiary dochowywali, a matka się szczęściu mojemu sprzeciwiać nie będzie.

Ale któż przyszłość swoją przewidzieć może?

Kallimach, którego odprawiono z domu Pod złotym dzwonem tak, jak zasłużył, zgłosił się tam podobno raz jeszcze jeden, czy drugi, próbując dostać się do matki mojej, a pewnym będąc, że ją gładkiemi słowy przejedna. To mu się wszakże nie powiodło i wkońcu przekonał się, że źródło, z którego długo czerpał, a zbogacił się niemało, zostało dla niego zamknięte.

Baczny człowiek, który się oglądać musiał na to, ażeby sobie nieprzyjaciół nie przysparzać, zmienił tryb postępowania. Widział mnie w łaskach u króla i u Olbrachta, nie chciał więc narażać na skargi.

Przy pierwszem spotkaniu ze mną sam na sam tym lekkim tonem wesołym, który umiał tak doskonale przybierać, począł mi winszować pojednania z Nawojową.

— Dawno tego pragnąłem i starałem się ją skłonić — rzekł do mnie — ale tam domownicy wam u niej szkodzili i zniechęcali ją. Bardzo się cieszę, iż to się tak dobrze skończyło. Była mi Nawojowa czas jakiś bardzo przyjazną i łaskawą, winienem jej wiele, ale i mnie tam teraz przyboczna jej straż nie dopuszcza!

I śmiejąc się, ręką zamachnął.

Nadzwyczaj starał się okazać serdecznym, co ja dosyć zimno przyjąwszy, sprawy bolesnej i wstydliwej nie rozmazywałem.

Król, jak zawsze, kłopotów miał nad miarę, bo może też troszcząc się o los synów i rozszerzenie królestwa swego, a ubezpieczenie go, sam ich sobie przysparzał. Targano go na wsze strony.

Wypadało znowu na Litwę ciągnąć, a mnie serce bolało, że się będę musiał od matki oddalić, gdy wie-

czorem przybywszy do niej na pożegnanie, zastałem ją czulszą, niż zwykle, com przypisał rozstaniu.

Wzięła mnie za głowę i całując, odezwała się:

— Tobie, sieroto biedna, od kolebki naznaczono z życia tylko znać trud i poświęcenie dla drugich. Nie masz szczęścia, Jaszku!

— Jakto? — przerwałem żywo — albo się to ja skarżyć mogę? Właśnie mi Bóg dał długo czekać na szczęście, ażeby się ono wydało jeszcze większem, bo głodnemu każdy pokarm smakuje.

Matka westchnęła i spojrzała na mnie z politowaniem. Coś zdawała się mieć na ustach, a nie śmiała się odezwać.

— Jutro jedziecie z królem — rzekła; — lepiej, żebyś teraz już dowiedział się, że na twoją poczciwą Luchnę rachować nie powinieneś.

A widząc mnie poruszonym wielce, poczęła, siadając przy mnie:

— Przyjmij to spokojnie. Do niej żalu mieć nie powinieneś; czekała na ciebie długo, aż pono zwątpić musiała. Wyszło to biedactwo zamąż, nie po dobrej woli, ale przez poczciwe serce swoje. Miała bowiem siostrę, która za mężem była. Zmarło się jej, a sierot drobnych zostało troje i mąż, który nie mógł wychowaniu ich podołać. Zabierało się na to, że im musiał dać macochę. Ulękła się Luchna, płakała, a wkońcu dla tych dzieci poświęcić się musiała. Trzeba jej i to porachować, że wdowiec człowiek gwałtowny, grubjanin, jak siostrze zatruł życie, tak ją też pewnie szczęśliwą nie uczyni.

Słuchałem tego opowiadania matki, zdrętwiawszy niemal, ale mi się potem łez puściło z oczów trochę i tchnąłem lżej. Nie godziło mi się słowa przeciwko kobiecie tej rzec, tylko litować się nad nią.

— Znajdziesz sobie inną, — dodała matka — rana się zagoi.

— O tem nie myślę, — odezwałem się — przeznaczenie to moje, sieroctwo; poddać mu się muszę. Wola Boża. Lat tyle nosiłem ją w sercu mojem, że i teraz

ona w niem pozostanie na zawsze. Znajdę sierotkę taką, jaką sam byłem, chłopaka biednego i za syna go przyjmę. Innej rodziny mi się już nie spodziewać.

Tak rozchwiały się moje ostatnie marzenia szczęścia i to w tej chwili, gdy mogłem Luchnie ofiarować dostatek i dolę lepszą od tej, którą przebyła.

Gdy ze mną los tak sobie igrał. na dworze naszym wszystko się snuło tą koleją, jaką raz poszło. Kallimach mocno już wrósł, chociaż i nieprzyjaciół mu codzień przybywało. Słyszałem sam, gdy z Włochami o tem poufale rozprawiał, iż z zimną krwią przyszłość przygotował i obmyślał.

— Rycerstwa tego niespokojnego butę i zuchwalstwo złamać potrzeba koniecznie — mówił. — Po starym królu tego się nie spodziewać. Ogląda się na Węgry, na Prusy, na Tatarów, na Moskwę... na głowie ma siła, a tu trzeba śmiałej i dzielnej dłoni. Do tego ja wychowałem i przygotowałem Olbrachta; wierzy we mnie, przejął się tem, czego uczyłem go! Posłucha li potem, uczynimy z tego królestwa silne państwo... Gdzie wielu gospodarzy, ładu niema... władza skupiona być musi w jednej ręce. Głów może zuchwałych trochę strącić będzie trzeba, ale potem posłuszni być muszą.

Olbracht nasz, na którego Kallimach tak wiele rachował, tymczasem życie prowadził coraz, a coraz rozwiąźlejsze. Prawda, że coby czynić miał, nie wiedział, bo król go do niczego nie powoływał, krom, gdy przypadały wielkie uroczystości, aby stał u jego boku razem z Aleksandrem, a podczas i młodszymi. Więc szumniej coraz, hałaśliwiej zabawiano się u Leny, a niekiedy u bogatych mieszczan, którzy ją zapraszali do siebie, aby królewicza ściągnąć. A że wiedziano, jak Olbracht długi robił, pieniądze trwonił, kochankę tę obsypując darami, niektóre dziewczęta miejskie lżejszej myśli zazdrość brała. Nasuwały mu się, nastręczały, a on, choć zawsze przepadał za Leną, bo od tej go nie można było oderwać, bałamucił się i z innemi.

Króla to dochodziło, milczał długo. Syn już doro-

sły był, trudno go było karcić, jak dziecko, gdy mu poszanowanie w kraju trzeba było pozyskać.

Kallimach ciągle swoje powtarzał, iż się to wyszumi; jakoż szumiało, prawda, ale nie poprzestawało.

Przyszła naówczas wieść z Rusi i Podola o napadzie tatarskim i o strasznem spustoszeniu i jasyrze.

Na to łotrostwo, które bezkarnością było rozzuchwalone, koniecznie potrzeba było iść i to nie z ladajakim pocztem, małą siłą, ale z pogromem takim, aby długo czuły go te rabusie.

Co było ludzi rycerskich, można powiedzieć, prosiło się na tę wycieczkę. Ochotnika nie zbywało, wodzów nie brakło. Wtem, kiedy się tak kotłuje już, kto którędy pociągnie, kto dowództwo otrzyma, ja króla jednego wieczora do snu kładłem i izbę sypialną z obowiązku opatrywałem, aby na noc mu nic nie brakło.

Leżał już w łóżku pan, powychodzili inni; palcem mnie powołał ku sobie milczący. Podbiegłem, sądząc, że jak był czasem zwykł, zechce sobie kazać podać krztę wina z wodą, ale mi się z uchem nachylić kazał.

— Czemuście Olbrachtowi nie podszepnęli, aby mi się na tę wyprawę prosił? Ja go słać nie chcę rozkazem, alebym rad pozwolił. Zdrowiej mu w polu będzie, niż tu w Krakowie, gdzie się płochości uczy. Rycerską sprawę lubi; czasby ją rozpocząć.

— Miłościwy panie, — odparłem pośpiesznie, a niebardzo rozważywszy, co powiem — królewiczby pewnie pragnął wystąpić i okazać się rycerzem, ale go Kallimach więcej dworszczyzną a łaciną bałamuci.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza, oboje potrzebne — rzekł król — a bez rycerstwa i męstwa nie będzie miał uroku dla ludzi... serc nie pozyska nigdzie łatwiej, jak w obozie.

I kładnąc się, dodał jeszcze:

— Ale nie z rozkazu; po własnej woli iść powinien.

Z tem mnie odprawił.

Chciałem spełnić królewskie zlecenie, z którego dumny byłem, bo dowodziło zaufanie, ale jak tu się wziąć do tego miałem. Zrazu mi na myśl głupio przy-

szło, aby się Kallimachem posłużyć; ale samem zmiarkował, iż gdyby to było dobrem, królby mnie, maluczkiego, do tej sprawy nie potrzebował.

Rano poszedłem do królewicza... Trzeba było w one czasy już widzieć dwór jego i słyszeć, co się tam działo, jaka to tam drużyna się osobliwa ściągała, i trwożyć o przyszłość.

Dopuszczał do siebie bez wyboru, kto kogokolwiek bawił, błaznował, przysługiwał się, rozśmieszał i poddawał do nowych zabawek myśli. Więc obok paniczów wyszarzane kubraki jakichś przybłędów, błaznowie, kuglarze, karły, a od rana do wieczora hałas, brzęk, śmiech, bez żadnego poszanowania dla Olbrachta, który tylko czasem, gdy sobie kto zanadto pozwolił, płatnął sam lub za drzwi wyrzucić kazał.

Rozmowy też były niebudujące. Ten sam pan, który z Kallimachem szedł o lepsze w wytwornej łacinie i rozprawiał o historji Rzymian, iż słuchać go było miło i dziwno, większą część dnia karmił się opowiadaniami takiej gawiedzi, co się gdzie działo po szynkach i ze znanemi mieszczkami, iż człek poważniejszy, wszedłszy, rumienić się musiał.

Ale taką miał naturę dwoistą: — rozum wielki, a krew niepoczciwą a szaloną.

— Jaszko! — zakrzyczał, zobaczywszy mnie. — Hę? To dopiero gość u mnie. A postawcież mu krzesło z poduszką i dajcie kubek.

Uśmiechnąłem się.

— Aleś ty i twoje uszy nie nawykły do tych pustych żartów, jakiemi my, młodzież, zabawiamy się. Dziewki na placu.

— No, to prawda — przerwałem, — że ja wolę o wszelkiem innem stworzeniu rozprawiać, niż o nich. Nawet o psach i koniach.

— Ale bo chybiłeś powołania, — odparł królewicz — za Kapistranem potrzeba było iść i bernardynem zostać.

— Dziś za późno — uśmiechnąłem się, — ale o czem innem myślę.

— A no? — spytał królewicz ciekawie.

— Wszyscy ciągną przeciwko tej dziczy tatarskiej — rzekłem, — mnie też bierze ochota. Przyznaję się, gdybym na miejscu miłości waszej był, korzystałbym z tak pięknej okazji i takżebym ruszył na poganina, na tę szarańczę paskudną.

Młodzież dokoła stojąca zamilkła, spoglądając po sobie. Olbracht się trochę zadumał.

— Jest tam już wodzów dosyć — odparł.

— Ale gdyby królewicz był, tenby wszystkim rozkazywał — odezwałem się. — Nawetby z nim zaraz męstwo wstąpiło w szeregi.

Wszystkich przytomnych tak zdumiała mowa moja, iż nikt się słowa nie odezwał.

— Cóż to myślisz, że ja rycerskiego serca i ochoty nie mam? — odparł po chwili królewicz posępnie. — Juścibym poszedł i wolałbym może w polu, niż tu siedzieć i jednych bajek ciągle słuchać, ale ty przecie wiesz, że my swojej woli nie mamy, choć podorastaliśmy. Co ojciec każe, to spełniamy, a samym nam chcieć nic nie wolno.

I po namyśle dołożył ciszej:

— Patrzajże, iż król dotąd jeszcze Władysławowi czeskiemu radby rozkazywać, co dopiero nam! Gniewa się na niego, że go, jak wyrostek, nie słucha.

— Prawdą to jest — rzekłem, spoglądając dokoła, bo płocha gawiedź, tą rozmową rozpędzona, rozchodziła się po kątach i zostawiła nas tak, jak samych, — ależ mnie się zdaje, że gdyby syn ojca poprosił na wojnę, pewnieby nie odmówił, a może się i ucieszył.

Wtem głupia piosenka, nucona półgłosem, zabrzmiała z kąta. Olbracht ją posłyszał, podchwycił i, jakby zapomniał, o czem mówiliśmy, krzyknął:

— To ta czarnobrewa Kinga śpiewa ją... a jak śpiewa.... dziewka jak róża rozkwitła... który z was u niej w łaskach?

Wrzawa powróciła, a mnie aż się smutno i wstyd zrobiło. Spuściłem oczy. Gawiedź znowu nas otaczać poczęła, nie mówiłem nic, alem nie odchodził.

Olbracht, jakby zupełnie zapomniał, o czem mówiliśmy, żartował i żarty wywoływał. Bawiło go to, ale na czole mars mu pozostał.

Widząc, że tego razu nic tu nie zrobię, chciałem się wysunąć. Obiecywałem sobie powrócić wieczorem.

Wtem, gdy wrzawa się do takiego stopnia wzmogła, że już nic słyszeć nie było można, co pletli błaznowie, Olbracht wstał poważny, groźny i machnął ręką.

— Precz! za drzwi! a nu!

I bezmała, jak psy, ich przepędził. Zostaliśmy sami.

— Wiesz ty — odezwał się po przestanku, — że czasem niegłupie miewasz myśli. Gdybym tęgo strzepał Tatarów? Bohaterstwo ma urok, nigdy ono nie szkodzi.

— Szczególnie tu, w Polsce — rzekłem, — gdzie ciągle na granicy stać, czuwać i korda na chwilę z rąk puszczać nie można.

Stanął zadumany.

— To cóż? Król pośle jakiego Litwina, lub którego z Rytwian, z Tarnowa... o mnie ani pomyśli.

— Bo wasza miłość moglibyście sami o sobie pomyśleć — dodałem. — Żaden ojciec dziecka na niebezpieczeństwo chętnie nie naraża... Ani królowa, ani on nie powiedzą: idź na wojnę... ale gdybyś zapragnął tego, sądzę, że królowiby nawet miłem to było.

Wpatrzył się we mnie bacznie, ciągnąłem dalej:

— To wiem, że na życie wesołe krakowskie król niebardzo rad patrzy.

— Trudno młodym nie być — zawołał Olbracht, — a potem gdy przyjdzie, da Bóg, panować i do tego pługa się zaprząc, w którym ojciec chodzi, że ledwie dysze, nie stanie czasu na życie dla siebie... Człowiekowi się trochę wesela należy.

Mówił to, a fantazja rozbudzona w nim grać poczynała. W izbie sypialnej wisiało kilka zbroi. Zbliżył się do jednej.

— Patrzno — rozśmiał się, — gdybym ją wdział, do hełmu pióra przypiął, złocony miecz do boku, a mój nieodstępny mały do pasa, na ramiona płaszcz zarzu-

cił szkarłatny, pode mną siwy koń... niepiękniebym się ja wydawał!

— Ani wątpić — począłem wesoło, — tylko dla Tatarów stroić się tak, pożal Boże! Chłopstwo to brudne, a nie rycerstwo żadne; mybyśmy to plugastwo wymietli wnet i wysiekli.

Wieczorem Olbracht kazał mnie wołać do siebie.

— Jaszko — rzekł, siedząc na łożu, — mnie doprawdy zaczyna się chcieć na Tatarów. Znudziło mnie się siedzieć tu... i Lena, i Kinga lepiejby smakowały po wypoczynku. Mówiłem z Kallimachem, nie jest to mąż rycerskiego rzemiosła, ale rozumny! rozumny! Powiada, że mającemu panować sława rycerska jest potrzebną... Nie zaszkodziłaby i mnie.

— Któż o tem wątpi? — potwierdziłem.

— Nie mam śmiałości do króla — przerwał, — tak nas do pokory i posłuszeństwa wdrożył, że człek i pod wąsem jeszcze się go, jak młokos, boi.

— A królowa? — poddałem.

Nie odpowiedział mi nic długo.

— Mam wielką ochotę — powtórzył.

— Pocóż się ociągać!

Zamyślił się znowu.

— Trochę mi złotowłosej żal będzie — szepnął.

— Mnie się widzi — zamruczałem, — że wasza miłość za nią więcej, niż ona za wami zatęskni.

Ruszył ramionami.

— Co mi tam — uśmiechnął się pogardliwie, — byle, gdy przychodzę, uśmiech miała na zawołanie.

Ale wróćmy do Tatarów — odezwał się. — Jutro powiem matce, że mi się zachciało ich wojować... zobaczymy.

Królowa Elżbieta była to matka nadzwyczaj do dzieci swych przywiązana, ale pani wielkiego umysłu i ambicji. Olbrachta, jako najwięcej obiecującego, kochała i czuwała nad nim; może go na wojnę narażać niebardzo sobie życzyła, ale w niej też odezwała się krew pańska a rycerska. Uściskała syna, gdy jej to objawił.

Wymowny i umiejący dowieść, co chciał, bo sztukę tę doskonale przejął od Kallimacha, Olbracht, gdy się rozmarzył, tak pięknie odmalował sławę, którą mógł pozyskać, iż Elżbietę poruszył.

Wszedł na to król. Olbracht zamilkł, ale matka nie zataiła, z czem przyszedł. Kazimierz głową skinął.

— Czemuż nie — odparł; — ma li serce do tego, niech idzie!

Olbrachta narazie to tak uradowało, iż przypadł do ręki ojcowskiej dziękować.

— Będzie miał starszych, wytrawnych, bywałych dowódców, co wyprawą pokierują — mówił król, — bo z Tatarami wojowanie jest inne, znać ich potrzeba, ich sztuki przeniknąć, chody i napaści przewidzieć. Bóg da, poszczęścić się może... a ocalicie co ludu, odbijecie z jasyru, pozyskacie sobie tem u ludzi serce, którego nam potrzeba, bo nieprzyjaciół mamy wielu.

Królowa chciała temu zaprzeczyć.

— Nie zapierajmy tego, co prawda — rzekł król, — bo prawdę zawsze lepiej znać i na niej się opierać. Nieprzyjaciół ja więcej dorobiłem się przez długie panowanie, niż druhów. Na jednej Litwie serce mam.

Tak z naprawy samego króla wyjazd Olbrachta na wojnę postanowiony został. Pierwszego dnia, gdy się to rozeszło po dworze, po mieście, jedni wierzyć nie chcieli, drudzy biegli, aby się do dworu Olbrachta zaciągnąć. On sam, gdy raz w nim ta myśl już się przyjęła, wziął ją ze zwykłą sobie gorącością i uporem do serca. Nie myślał, nie mówił, tylko o tem. Urósł w jednej chwili i sam poczuł, że mu to dawało znaczenie, którego nie miał.

Wesół, szczęśliwy, dwa razy mi powtórzył żartobliwie:

— Ślepej kurze się ziarnko udało znaleźć; wszak to ty pierwszy mi tę myśl poddałeś.

Chciałem i ja królewiczowi towarzyszyć i poszedłem prosić o to Kazimierza.

— Potrzebnym mi tu jesteś — odparł chmurno, — nie odpuszczę cię. Czterdzieści kilka lat z okładem już

masz, na wojnę nie chodziłeś, zostaw to młodym. Zdasz mi się tu.

Gdy król raz co powiedział, wypraszać się u niego sposobu nie było, musiałem z tem zostać, choć mi bardzo markotno było. Prosił Olbracht za mną, odparł zimno:

— Masz dosyć ludzi, a mnie Jaszko potrzebny. Drugim nie zawsze zaufać mogę.

Tak pierwszą swą wyprawę rozpoczął królewicz z wielką ochotą i sercem takiem, że ono zwycięstwo rokowało.

Dobór pułków, ludzi, dowódców był najtroskliwszy; ręczyli też starsi królowej, że nie dopuszczą, aby Olbracht miał być w niebezpieczeństwie i czuwać będą nad nim. Gdy raz już postanowiono ciągnąć, nie miał królewicz chwili spoczynku, tak mu było pilno. Gorzał poprostu i rwał się.

Po tej wrzawie przy wyborze na wojnę, kiedy wyciągnęli wszyscy na granicę, gdzie Tatarów mieli ścigać, nastąpiła straszna cisza.

Wiadomości długo nie było żadnych, jak to u nas zwykle z Rusi i Podola, gdzie zapadłszy, człowiek, jakby utonął. Choć miano gońców posyłać i dawać wiedzieć o sobie, z początku ani wieści, ani języka. Król był spokojny, królowa coraz bojaźliwsza, wyprawiała do Lwowa i dalej, aby się czegoś dowiedzieć.

Wiadomości przychodziły ladajakie, że Tatarów ćmy i tabory niezmierne niszczyły pobereżne ziemie, ale więcej nic. O naszych, co poszli przeciwko nim, ni słychu.

Dopiero ludzkim obyczajem, bo inaczej nigdy nie bywa, gdy się niespokojnie czeka wieści, poczęli niektórzy z palców ssać, że naszych pogromiono i rozproszono. Drudzy już to za pewne podawali, a nawet liczyli tych, co poginęli. Słuchy te jednak pełzały nisko, do góry ich nie dopuszczaliśmy.

Wtem, pomnę jako dziś, król mnie posłał do książęcia mazowieckiego, który przybył dnia tego, abym go pozdrowił i na zamek zabrał. Nie dojeżdżając do

gospody, patrzę, na ściągniętej szkapie, cały obłocony, osmarowany, brudny, ledwie go poznać, leci Bobrek, co przy Olbrachcie był, samotrzeć. Wszyscy obdarci i tak wyglądający, jakby się z rąk oprawców wyrwali.

Zobaczywszy go, struchlałem, a zabiegłszy mu drogę, wołam:

— Stój! Co wieziesz?

A temu w gardle tchu brakło, ale oczy zaświeciły. Podniósł rękę do góry.

— Sławne, wielkie zwycięstwo! — zawołał. — Olbracht bił się jak bohater! Tysiące Tatarów trupem zalega pola pod Kopestrynem, nad Szawraną.

I, ledwie dokończywszy, pognał z tem do zamku. Mnie się serce rozradowało tak, żem ledwie poselstwo sprawiwszy, poleciał za nim na zamek, aby się lepiej rozpytać.

Ale z Bobrka, który nigdy nic poczciwie powiedzieć nie umiał, cztery razy zaczynał, nigdy nie kończył, od środka i od początku wyrywał, co mu na pamięć przyszło, niewiele się można było dopytać. Tyle tylko pewnego było, że szarańczy wybito wiele, że jeńców odebrano siła i nabrano ich w pęta tysiącami, że królewicz zdrów był i wesół i słał rodzicom powitanie z placu boju, nimby sam wrócił.

Zaraz na Wawelu odśpiewano nabożeństwo dziękczynne, radość była niezmierna, a i na twarzy króla, która nigdy prawie się nie rozjaśniała, widać było radość. Płochy dotąd Olbracht, nie myślący tylko o zabawie i krotochwili z ladajakimi kompanami, okazał rycerską odwagę i serce wielkie, a Kallimach ręczył, że i w innych sprawach równie się okaże dzielnym, co wszystko sobie przypisywał... chociaż, co było dobrego, to pono Długosz zasiał i z tego ziarna rosło.

Królowi to zwycięstwo nad Tatarami przychodziło właśnie w porę, gdy oddawna trwające zajście z węgierskim Maćkiem Korwinem śmierć jego niespodzianie na inne przeprowadziła pole.

Chciał już uparty ten, zły i przewrotny, a zuchwały panek położyć tym zatargom koniec, że królewnę na-

szą myślał poślubić. Ale królowa Elżbieta, oburzona, oparła się temu i jeszcze go tak zwymyślała przed ludźmi od chłopów i gorzej, że gdy to doniesiono Korwinowi, zajadł się i zgody żadnej znać nie chciał.

Tymczasem zmarł bez prawego potomstwa i Węgry zostały bezpańskie, a król Kazimierz, który od czasu onej wyprawy królewicza Kazimierza nie spuszczał ich z oka i myśli, powziął zamiar wyprawić tam Olbrachta; posłał od siebie na zjazd, zalecając, aby go wybrano i zaciągi natychmiast kazał gotować, które z nim na Węgry miały ruszyć.

Ale królowi pod koniec życia, tak, jak to bywa przy piciu lekarstwa, gdy największa gorycz na dnie osiądzie, wszystko się miało w żółć obracać. Któżby się mógł był spodziewać tego, że Olbrachtowi, na Węgry idącemu, rodzony brat, Władysław, z wojskiem stanie na drodze i zaprze mu ją?

A dodać tu muszę, że jak wszystko rodzeństwo się między sobą kochało, tak Władysław z Olbrachtem szczególniej. Olbrachtowi jeszcze prędzej było można wmówić, że gdzie o koronę idzie, tam o miłości braterskiej zapomnieć trzeba, lecz Władysław miał serce tak niewieście miękkie, iż pojąć było trudno, jak go Czesi skłonić mogli do wystąpienia przeciw rodzonemu swemu.

Stary król nasz i tak rozdrażniony, zażalony przeciwko swemu pierworodnemu, gdy mu doniesiono o tem, wierzyć nie chciał, pojąć nie mógł podobnego zuchwalstwa ze strony Władysława.

Dla nas, cośmy go znali w młodszym wieku, było to owszem łatwem do zrozumienia, a nawet i do uniewinnienia. Władysław ulegał zawsze tym, co najbliżej stali niego i w uszy mu kładli, czego się domagali; nigdy się oprzeć niczemu nie mógł i nie umiał. Dobroć ta jego była dla innych doskonałem narzędziem, ale jemu klęską i nieszczęściem prawdziwem. Panowie czescy niektórzy i węgierscy, pozyskani przez wdowę po Macieju, Beatrycę, która spodziewała się zaślubić młodego małżonka i z nim panować, osaczyli go tak,

opanowali, wmówili mu obowiązek dobijania się o koronę Węgier, iż oprzeć się temu nie będzie mógł.

Przewidywał on gniew ojca, który i tak już prawie się go był zaparł, a cóż dopiero teraz być miało, gdy on z wojskiem przeciw Polakom i bratu miał wystąpić.

Gdy Olbracht z wyprawy tatarskiej wrócił, a tu już drugą przygotowującą się znalazł, dość dobrą myślą ją przyjął w początku, ale po małym rozmyśle począł się chmurzyć.

Wiedział to dobrze z wyprawy Kazimierza i z usposobienia Węgrów, z położenia ich twierdz, z obronności kraju, że wojna z nimi nie będzie łatwą. Wcale inną rzeczą było zwojować niesforne kupy tatarskie, które padały impetem, jak szarańcza, na wojsko, usiłując je oskrzydlić, zasypywały je strzałami, a gdy się nie udało rozbić go, uchodziły i dopiero w pogoni odwrotu próbowały. Ten, kto raz z nimi miał do czynienia, oględnie szedł, języka dostawał, dostał kroku w pierwszej chwili, — zawsze ich potłuc musiał.

Tałałajstwo to ani zbroją, ani orężem nie równało się rycerstwu naszemu, liczbą tylko przemagało czasem, a i tę na oko powiększali tem, iż koni luźnych z sobą moc ciągnęli.

Na Węgrzech wojna była i w polu ciężka, bo tam kraj w większej części wzgórzysty i rzeki znaczne, a grody nad niemi mocne. Więc po zameczkach załogi, do których się dostać wymagało wiele czasu i trudu, a nieprzyjacielowi z nich wypaść, niepokoić, urywać bardzo łatwo. Żołnierz też zaciężny niemiecki, czeski i węgierski dobrze zbrojny i w boju zahartowany. Dla obcego więc, który gościem przychodzi, dobrze nie znając gruntu pod nogami — twardy orzech do zgryzienia.

Olbracht, choć ufał sobie, a więcej jeszcze rycerstwu polskiemu, nieulęknionemu i z Warneńczyka czasów znającemu Węgry, przecież zcicha mówił, że się lęka, aby tam laurów zdobytych nie posiał. Ale ojciec nakazywał, nie można się było opierać — iść musiał.

Szedł tedy Olbracht poprzedzany sławą zwycięzcy

na Węgry, ale rychło się okazało, że miał tu szwankować.

Na Bardjów i Koszyce puścił się królewicz z małem wojskiem, choć doborowem, do Pesztu wprost w samo serce królestwa mierząc. Szturmowano próżno do Koszyc. Nie było ani machin, ani przyrządów oblężniczych, więc daremny wysiłek skończył się zawieszeniem broni, a wojsko, jak donoszono, przez wielkie niewczasy i złą roku porę, ucierpiało wiele. Żołnierz zaś, gdy na ciele dłużej boleje, i na duchu zwykł tracić. Podnosi go zwycięstwo, daremny wysiłek zniechęca.

Tak skończył się ten rok, a król stary, choć już widział, że się tam z Olbrachtem swym nie utrzyma, odwoływać go nie chciał i nie mógł.

Przysłany z obozu Bobrek powiadał też, iż królewicz upierał się próbować szczęścia i do bitwy koniecznie sposobił.

Czekaliśmy w Krakowie niespokojni późniejszych wieści, a królowa nieustannie modlić się polecała, strwożona o los obu swoich synów.

Niedługośmy też wyglądali przybycia przeczuwanego posła: — nadbiegł z tem, że bitwę Polacy przegrali, chociaż bili się, jako lwy, ale nieprzyjaciel przemógł ich siłą.

Sam Olbracht walczył z innymi i, gdyby mu Krupski miecza nie podał, mógł był życie stracić, tak go osaczono i naciśnięto. Konia miał pod sobą zabitego, ze zbroją potłuczoną przerąbawszy się ledwie do swoich.

Jawna rzecz była, iż tu o Węgrzech myśleć nie przystało. Okazało się jednak, iż Władysław, który czasu wojny więcej się troszczył o życie Olbrachta, niż może o węgierską koronę, aby zapobiec bratobójczej wojnie, skłaniał się do zawarcia pokoju dosyć korzystnego.

Zwyciężonemu więc niemal Olbrachtowi ofiarował puścić Śląsk, Głogów, Opawę, Bytom, Koźle, Górę

i znaczne posiadłości w Węgrzech z Przeszowem, byle się zrzekł roszczeń wszelkich do korony węgierskiej.

Było to jeszcze wielkiem szczęściem, którego sobie Kazimierz z Olbrachtem winszować mogli i w tem się serce braterskie króla czeskiego okazało, ale stary pan nasz, jak z wyprawy, z Olbrachta, tak i z tego pokoju nie był rad.

Odzyskanie części Śląska lekce sobie ważył i mówić o nim nie dawał. Zyskał na tem Olbracht najwięcej, gdyż niezależnym się stał przez to i miał już własnego kraju kawał do rozpościerania się w nim. Ucierpiała rycerska jego sława, z czem mu kwaśno było, choć wszyscy oddawali sprawiedliwość, iż na placu boju walczył mężnie — życia nie szczędząc. Mało mu tego było. Rycerzem go uznawano, wodzem się nie okazał.

Ja, com dzień w dzień na króla patrzał i myśli jego czytał na twarzy, najlepiej wiedziałem o tem, jak przygnębionym był nieudanemi pokuszeniami na Węgry. Wzdychał a gryzł się. Spadło wiele na Olbrachta, choć winy w tem jego nie było. Król go lepiej coraz poznając z małych rzeczy, jakie do uszu jego dochodziły, rozrzutności jego i płochości nie lubił. Zwrócił się więcej teraz ku Aleksandrowi, o którym chodziły wieści, że go chciał posadzić na Wilnie, ulegając nieustannym domaganiom Litwinów osobnego pana.

Prawdą jest, iż pono w spisanej ostatniej woli króla znalazło się coś o tem, iż nie byłby przeciwny wyniesienia Aleksandra na wielkie księstwo starym obyczajem, lecz my tylko wiedzieliśmy, dlaczego to czynił.

Wydawał mu się Aleksander powolnym, łagodnym a nie chciwym władzy, więc się go mniej w Wilnie obawiał dla Polski, niż Zygmunta, a wiedział to, ciągle przebywając na Litwie i znając ich tam dobrze, iż postanowienie mieli niezmienne wybrać sobie koniecznie jednego z królewiczów.

Aleksander już naówczas przed śmiercią naszego pana miał lat przeszło trzydzieści, ale nigdy królowi niczem się nie naraził. Zabawy jego były bardzo ciche,

krom śpiewów i muzyki. Naówczas już Ciołek ów, chłopię z krakowskiego bruku, pierwszy ulubieniec jego, niespodzianie przez ambicję wdziawszy suknię duchowną, dawał po sobie poznać, że nie zaśpi gruszek w popiele.

Gdyby więcej obcował z Kallimachem, gotówbym był rzec, że jego duchem i naukami się przejął, lecz w nim silniej działała natura, niż przykład Włocha. Zdolny, bystry, ambitny, bo od dziecka był nawykł, że go cudownym głoszono, klaskano mu i podziwiano, w nadzwyczajnych łaskach u Aleksandra, który koszta na niego łożył... ponieważ był synem szewca i szynkarki, a dumnie stawał, jak książątko, naraził sobie wszystkich.

Zdawał się wcale nie dbać o to, że mu codzień przybywało nieprzyjaciół, nigdy przed nikim karku nie ugiął, a że rozum miał, wymowę okrutną, śmiałość przytem, rąbał straszliwie, kto mu się nawinął, tak był pewien swojego. W dodatku obdarzyła go natura taką pańską i piękną powierzchownością, iż z tych, co mu liche pochodzenie mieszczańskie zarzucali, drwił sobie.

Na wiosnę następnego roku król, jakby się już za Litwą zatęsknił, bo istotnie ją kochał i za swój rodzinny kraj uważał, będąc tam dziedzicem i panem, pociągnął w lasy pod pozorem łowów.

Chociaż nie stary był, bo nad lat sześćdziesiąt i kilka nie liczył, a u Jagiellonów wiek to był niepodeszły, widzieliśmy go w trzech ostatnich leciech znacznie na siłach podupadającym. Nie mówił o tem nic, lecz zważałem, gdy się odziewał, że mu dawniej dogodne obuwie podczas bywało ciasnem. Nogi brzękły. Smutny też był, małomówny i tylko na łowach a ze psy zapominał trosk swoich.

Osobliwym składem okoliczności i ludzi, miał ten pan wielu posłusznych i oddanych sobie, ale serdecznie przywiązanych do jego osoby mało było. W Polsce mu zdawna możni panowie małopolscy niechętni, podejrzliwi, serca szlachty i rycerstwa odbierali. Ducho-

wieństwu się naraził, a ono mu tego zapomnieć nie mogło, że się nie poddał i zwyciężył.

Najlepsze nawet rzeczy, które uczynił, wyszpecano tak, aby je złemi i szkodliwemi okazać. Nie dziękowano mu za zdobycie Prus, za pozyskanie teraz Śląska, za osadzenie w Pradze na tronie Jagiellona.

Gdyśmy na Litwę jechać mieli, a naznaczono dwór do towarzyszenia panu, Kazimierz sam mnie zażądał mieć z sobą. Byłem temu rad, bo wiosną podróż i lasy litewskie uśmiechały mi się, a któż z nas nie lubi tych starych puszcz, w których dopiero Litwin się czuje jakby w domu? Lękałem się tylko, aby matce z tem nie było markotno, bo teraz mnie rada była mieć codzień, choćby na krótki czas. Poszedłem tedy Pod dzwon, oznajmując o tej podróży.

— Szczególna rzecz, — odezwała się do mnie — jak czasem składają się wypadki. Ja też Wilno i Litwę raz jeszcze w życiu chciałam oglądać i pojadę pewnie w tym samym czasie, więc w Wilnie lub Grodnie, około którego w lasach nad Niemnem król polować lubi, spotkać się możemy... kto wie?

Ponieważ matka bardzo silną i zdrową nie była, zafrasowałem się o tę jej wyprawę, aby się nie stała ciężką, gdyby nie była naprzód obmyślaną i dogodną.

— Sliziak dawniej bardzo troskliwym był — rzekłem, — sługa z niego, jakich mało, ale haniebnie postarzał i podupadł na siłach.

— Nic to nie szkodzi — przerwała mi matka. — Wprawdzie na konia go już wsadzić trudno, ale na wozie leżąc, gdy huknie, ludzie go słuchają, a o niczem nigdy nie zapomina. Bądź więc spokojnym, iż mi na wygodach nie zbędzie. Kolebkę biorę najlepszą, konie dzielne, sługi dobiorę, których lubię i oni mnie kochają. Starą jestem, Bóg wie, co się stanie; radabym zobaczyć Wilję i dwór Gastoldów, i ogród, i te wszystkie miejsca, gdzie byłam krótko szczęśliwą.

Gdy nadszedł dzień wyjazdu, pobiegłem jeszcze raz do matki; powtórzyła mi:

— Dowidzenia w Wilnie lub Grodnie.

Król jakoś się w lasach orzeźwił i począł jeść lepiej. Nie skarżył się. Jednakże uważałem to, że do łowów, choć się nastręczały, nie miał ochoty tak wielkiej i, mrucząc, powiadał, iż mu do Wilna pilno naprzód, a łowy sobie około Trok nagrodzi.

Przybyliśmy tu, gdzie na króla oczekiwali bajorasy i kniaziowie w liczbie znacznej, a że o dniu przybycia byli zawiadomieni, sprawili mu wjazd okazały przy huku trąb, kotłów, piszczałek, a wielkich i serdecznych okrzykach.

Kazimierzowi też lice poweselało, niemal odżył i odmłodniał. Kochali Litwini swego Kazimierza, czuć to było i widać; ale ten tłumny zjazd, oprócz okazania mu miłości tej, więcej coś miał na celu. Chodziły słuchy, iż król ostatnią wolę swoją miał kazać spisać. Dotąd na największe nalegania Litwy, domagającej się osobnego wielkiego księcia, odpowiadał im ciągle, że podzielone rządy nic dobrego nie przyniosą, a narody rozdwoją. Niezrażona tem Litwa, bo ona z żelaznego uporu słynie, a jej się to chwali, trwała przy swojem.

Sprowadzili więc nawet z Kijowa osadzonego tam na wielkorządztwie Gastolda, brata Nawojowej, aby i on im pomógł króla zmiękczyć i przekonać.

Jakoż zaraz następnych dni, zaledwie Kazimierz wytchnął, oblegli go. Nie zuchwałemi wymaganiami, ale prośbami serdecznemi usiłowali go nawrócić. Zaręczali to najuroczyściej, że dla swego niebezpieczeństwa od Moskwy nigdy sojuszu z Polską zrywać nie myślą, lecz i obyczaj, i pożytek ziemi tej domaga się rządów samoistnych.

Więc nie ustąpili dnia tego ani następnych, choć Kazimierz ich zbywał różnie, do namysłu rzecz wziąć obiecując, aż póki złamany w ostatku nie odpowiedział im, że gdyby Aleksandra wybrać chcieli, przeciwnym nie będzie. Nierychlej jednak aż po zgonie jego, gdyż on, jako rzekł, wstępując na tron, dotrzymać chce, iż przy sobie innego wielkiego księcia nie ścierpi.

Dano im zapewnienie, że w testamencie będzie o tem uczynioną wzmianka.

Sprawiło to radość wielką między panami, a nawet wybór królewicza się podobał; znano go ze szczodrobliwości nadzwyczajnej, z dobroci wielkiej i spodziewano się opanować. A kusili się tam już niektórzy o to z niebardzo czystą myślą.

Pierwszy raz spotykałem oko w oko brata matki mojej, który był tu z dworem książęcym, z liczbą sług ogromną, z kolebkami i w oprawie, królewskim się równającemi.

Człek był podżyły, dumny, ale ludzki, tylko dowodnie w obcowaniu mało kogo sobie równym uważał. Król się z nim bardzo łaskawie obchodził, on z poszanowaniem, ale bez zbytniej uległości.

Panom polskim, którzy z królem byli, nie okazywał wielkiej serdeczności; można się było domyślać, iż ich za króla i ze starego obyczaju nie lubił.

Ponieważ czas jakiś na Litwie przy królu miał pozostać, a potem, wracając, majętności swe objechać, tuszyłem więc, iż matka moja tu lub gdzie indziej się z nim spotkać może, wiedząc, jaka z tego dla niej radość urośnie.

Po opędzeniu wielkiej sprawy, za którą zaraz poszły pomniejsze, bo król rozdawał urzędy i o wojsku na granicy przeciwko Moskwie myśleć musiał, siedzieliśmy jeszcze w Wilnie cały maj, ale przyszły przedwczesne skwary i oznajmiono, że pociągniemy do Grodna.

Dla mnie miejsce to, zamek bardzo smutne wspomnienia z sobą niosły, bośmy tu stracili błogosławionego młodzieńca, Kazimierza, a obraz jego, w trumnie złożonego wśród zieleni i wieńców, jeszcze mi stał przed oczyma.

Na wiosnę pobyt w Grodnie na zamku znośnym był, innego czasu niewygodny dla króla, a cóż dopiero dla nas.

Od samego z Wilna wyjazdu nie wiodło się nam dziwnie. Konie padały, ludzie chorowali, łamały się wozy, gubiliśmy drogę, król dąsał się i gniewał. Zaledwie jedną biedęśmy przetrwali, druga nadchodziła. Uwa-

żałem, że i doktór, Jakób z Zalesia, był zasępiony i nierad ze stanu zdrowia królewskiego, któremu próżno dobierano różne jadło. Albo go jeść nie mógł, lub mu szkodziło.

Nawykły do myśliwskiego życia bez wielkich wykwintów, kiedy nieraz po chłopskich chatach jajecznicę ze słoniną i kaszę ze skwarkami, albo kluski z mlekiem jadał, wcale nie przykrząc sobie, król utrzymywał, że do wszystkiego był przyzwyczajony i naturze jego nic szkodzić nie mogło.

Dojeżdżając do Grodna, gdyśmy go wszyscy znużonym bardzo widzieli, a nogi, na koniu zwieszone, coraz mocniej brzękły, chciał doktór Jakób namówić go, aby siadł do kolebki, która zawsze na wszelki wypadek szła za nami, ale się na to oburzył i zburczał go.

— Cóż ty mnie za tak zgrzybiałego starca masz? — odparł. — Przypomnij lata ojca mojego? Ja też naturę jego odziedziczyłem, pieścić się nie chcę. Lekarzem jesteś, więc wiedzieć to musisz, iż gdy człowiek pod piecem siędzie, a zgnuśnieje, sił się pozbywa.

— Miłościwy panie — rzekł pokornie pan Jakób, — prawdą to jest, ale kto się niezdrowym czuje, powinien być ostrożnym.

Jechaliśmy tak do Grodna z orszakiem wielkim, bo przeprowadzało Litwinów siła: Gastold, Tabor, Zabrzeziński, Gliński i wielu innych. W drodze ciągle o Moskwie i o wojnie, a o gotowaniu się do niej rozprawiano.

Postrzegłem to ja, com go dawno znał, że pospolicie milczący, albo krótko odprawiający każdą rzecz, mówił teraz więcej, niż zwykle, i tak jakoś, jakby nie po dobrej woli, ale z utrapienia i gorączki.

Ostatniego dnia, gdym, jak zawsze, jechał tuż za królem, wioząc to, czego mógł potrzebować, że się mnie, jako niemego sługi, wcale nie strzeżono, a Kazimierz otwarcie mawiał wszystko, wiedząc, że we mnie wpadnie to, jak kamień w studnię, pochwyciłem mowę jego do Gastolda, który przy boku pana był.

— Zgorzkło mi życie, wierzaj — rzekł do niego. — Nie wiodło mi się w niem, a to, com zdobył, mogę po-

wiedzieć, że krwią, potem i żółcią okupiłem... Patrzajże z tą Wołoszą, z krzyżaki, z Tatary, teraz z Moskwą drzeć się muszę ciągle, chwili spoczynku nie mam. Chcę dla wszystkich dobra, czynię je, a nieprzyjaciół sobie jednam. W Litwie krzyczą, żem się Polakom zaprzedał.

— Miłościwy panie — chciał przerwać Gastold, ale mu król mówić nie dał.

— Tak jest; a w Polsce mnie Litwinem zwą i łają. Pan Bóg dał rodzinę, patrzajże... Kazimierza mi w kwiecie wieku wziął, a z Władysława nietylko pociechy nie mam, ale zgryzotę. Niewdzięczny, tak, że wyrzec się go będę musiał. Gdyby nie on, Olbracht byłby posiadł królestwo węgierskie, byłbym mój skarbiec osobisty do dna wymiótł, aby go wprowadzić do Budy. Tymczasem ten, który za moje pieniądze ma koronę czeską, wyrywa mi Węgry. Olbracht też nie odpowiedział moim nadziejom. Zabrakło mu wytrwałości... potłukli go raz, zraził się i bez mej wiedzy zrzekł się... za kawałek Śląska. Struł mnie tem! — dodał — zabił! Marzyłem o połączeniu Węgier, Czech, Wołoszy, Polski i Litwy, a potem runęlibyśmy na pogan.

Król nagle głos zniżył, westchnął i urwał.

Gastold starał się go pocieszać, ale już mu nic odpowiadając, zatopił się w myślach.

W Grodnie mieliśmy jechać na łowy po dwóch dniach odpoczynku; wszystko było gotowe. Król sobie kazał przyprowadzić psy ulubione, patrząc, jak drogę odbyły, ale do polowania nie przyszło.

Apetyt stracił, dostał boleści, a Jakób z Zalesia tak był niespokojny, iż po lekarzy do Krakowa gotów był słać, gdy myśmy jeszcze w tem nic tak niebezpiecznego ani szczególnego nie upatrywali. Chorował na żołądek.

Dawano wina różne, przyprawne i korzenne, nie strzymywały. Niecierpliwił się mocno, doktora fukał, sam na siebie się gniewał — słabł w oczach.

W tym stanie zdrowia i zgryzoty wszystkie czuł mocniej, nie rozchmurzył się na chwilę. Nocami sy-

piałem przy nim. Słyszałem mruczącego coś przez sen a może i na jawie; rzucał się niespokojnie. Pragnienie miał, a to, co pił, choć doktór sam gotował, szkodziło.

Jednego dnia obległ z wieczora wcześniej, niż zwykle, a nazajutrz rano miał nogi tak opuchłe, że wstać nie mógł. Chciał, wedle obyczaju, do łaźni; pan Jakób nie dozwalał.

Wdała się gorączka, a choróbsko rosło przez niecierpliwość jego, bo nie zwykł był ani chorować, ani leżeć.

Jakób z Zalesia chodził, ręce łamiąc. Co było w aptece podróżnej ziół, medykamentów, driakwi, balsamów, próbował wszystkiego, nie skutkowało nic.

Gdyśmy tak biedowali, z rana przyszedł Zabrzeziński, a król, zwykle milczący, skarżyć mu się zaczął okrutnie, że tu już medyk głowę stracił i na żołądek nawet poradzić mu nie umie.

Zabrzeziński, chłop jak dąb, który pono w życiu swem nigdy z medykami i medycyną do czynienia nie miał, począł na tych mądralów wygadywać, iż więcej udają, niż umieją, a lud prosty i lada stara baba często ujmie jak ręką taką chorobę, której oni nie wiedzą, jak radzić.

— U nas tu — dodał, — miłościwy królu, jest też prosty człek, braciszek, bernardyn Symon, który często cudów dokazuje, a lada czem leczy. Ugotuje garść ziela, posmaruje tłustością i jak ręką odjął.

— A to dajcież mi go! dajcie! — przerwał król — zlitujcie się. Jakób mój głowę stracił, na miłość Boga! a prędko... klasztorowi i jemu zawdzięczę.

Posłał zaraz po Symona Zabrzeziński, ale mnich, gdy się dowiedział, że go do króla wziąć chciano, przeląkł się i schował.

— Niech Bóg uchowa, abym ja, nieuk, miał pana mojego leczyć — wołał.

Zaczęto mu dowodzić, że Jakób z Zalesia sam już nie wie, co czynić, opisano chorobę, naostatek opierającego się, drżącego i przestraszonego pod wieczór niemal gwałtem na zamek ściągnięto.

Popatrzywszy nań, jakoś mało otuchy nabrałem; opasły, zdrów, czerwony, wyglądał, jak parobek i w oczach mu nie świeciło nic. Leczyć mu było może lud prosty, ale nie pana naszego.

Kazał zaraz, zamiast innej strawy, grubego razowego chleba przynieść i gruszki gotować. Gruszek zaś dojrzałych w początku czerwca u nas nie dostać, krom lichych, robaczliwych i małych. Leku zresztą nie dał żadnego, oprócz tego chleba ościstego i gruszek.

Zobaczywszy to, pan Jakób osłupiał, bo na słaby żołądek króla była to strawa ciężka i zbójecka. Ale mnich Symon uśmiechał się i stał przy swojem.

Nazajutrz po gruszkach i chlebie pogorszyło się znacznie, bernardyn trwał przy tem, że to przejdzie, a dobrym znakiem jest, iż medycyna skutkuje.

Trzeciego dnia spotykam u drzwi pana Jakóba z rękami załamanemi, oczy utopił w ziemię i płacze. Schwyciłem go za rękę.

— Co wam?

— Co? Dla króla niema już ratunku! — odparł — nie powiadam ja, żeby go chleb ten i gruszki głupie ubiły, bo i wprzódy było źle, ale teraz wyjścia niema... Umrzeć musi!

Mnie, com ani przypuszczał, ażeby się to mogło tak skończyć, znając dobre zdrowie i siły pana, strach i boleść ogarnęły takie, żem szlochać zaczął.

— Możeż to być? — Niemasz sposobu...

— Niema — rzekł doktór. — Nogi coraz więcej puchną; gorączka wielka... z każdą godziną gorzej.

Wiadomość ta, której doktór nie taił przed nikim, w mgnieniu oka się rozbiegła po dworze całym i niepokój wzbudziła niezmierny. Jedni chcieli słać do Krakowa, drudzy do Wilna, do synów, do królowej, aby przybywali.

— Ale to daremna rzecz — odezwał się doktór, — bo go nie zastaną. Godziny policzone, niewiele ich już jest.

Gastold pierwszy odezwał się z tem, że jeśli zagrażało nieszczęście tak wielkie i nagłe, pierwszemu kró-

lowi o tem należało powiedzieć, bo mógł mieć do pozostawienia takie rozkazy i wolę, które królestwu i spokojowi duszy jego potrzebne są.

Dnia tego Kazimierz już ani chleba, ani gruszek tknąć nie mógł, a biedny bernardyn zniknął. Zabrzeziński siebie i jego przeklinał. Wieczorem gorączka się wzmogła.

— Doktorze — zapytałem pana Jakóba, — jak długo król żyć może?

— Alboż ja wiem? — odparł — trochę dłużej lub krócej męczyć się może, wedle siły; tylko to pewna, że już z łoża tego nie powstanie!

W nocy, oprócz innych, czuwałem i ja przy nim. Cierpiał mocno, lecz w tej ostatniej godzinie, dziwna a osobliwa rzecz, jakgdyby miał przeczucie nieodwołalnego końca, uspokoił się i odzyskał tę wielką władzę nad sobą, jaką miał w życiu całem.

Wychudła twarz jego nawet nie zdradzała boleści. Sen miał niespokojny, pragnienie; dawaliśmy wodę przegotowaną z chlebem i odrobinę wina.

Nadedniem, a u nas w tej porze roku wiadomo, jak zawczasu dnieje, król westchnął, otworzył oczy i spojrzał na mnie. Patrzał długo, jakby mu niełatwo było zebrać myśli; potem ręką skinął, przystąpiłem do łoża.

— Przyprowadź mi doktora Jakóba — rzekł głosem słabym.

W drugiej izbie drzemał Zaleski, o stół oparty; zbudziłem go tem, że król wołał do siebie. Szedł zaraz ze mną.

Miał już chory tak mało siły, iż do ust się kazał doktorowi przychylić.

— Niema na śmierć lekarstwa — rzekł cicho. — Czuję, że mi bardzo źle, że bodaj ostatnia zbliża się godzina. Nie tajcie tego przede mną.

Zawahał się lekarz.

— Nakazuję, mów prawdę; dzieckiem nie jestem, a życie nie tak słodkie, by po niem boleć wielce. Chcę wiedzieć, abym i duszy mojej radził, i co mam do roz-

porządzenia, dopełnił. Masz jaką nadzieję? — powtórzył, patrząc bardzo na schylonego lekarza.

Pan Jakób milczał, nie podnosząc głowy, nie śmiejąc jeszcze ust otworzyć. Znaczące to było milczenie.

— Mów — dodał król, — mów!

— Nie mam żadnej nadziei — odparł lekarz, ręce łamiąc, — nie mam!

Chwilę król się nie odzywał.

— A w i ę c u m r z e ć! — dodał spokojnie.

Nie widać było, aby ten wyrok na nim uczynił wrażenie wielkie, snać się go spodziewał.

Gdy rozedniało więcej, naprzód posłał po kapelana spowiednika. Chciał się na śmierć przygotować.

Zdawało się, jakby pewność ta, iż żyć już nie może, uspokajająco wpłynęła na niego. Co chwila kogoś kazał przywoływać, czemś rozporządzał, coś zapomnianego wznawiał, posyłał... niektóre rzeczy, z tych, które miał w drodze, rozdawał nam.

Płakaliśmy.

Zkolei Polacy, Litwa, urzędnicy, dwór, ilu nas tam było, mieniali się przy łożu. Król to drzemał, jakby znużonym był wielce, to się ożywiał i mówił przytomnie.

Trwało to do wieczora; jam łoża jego nie odstępował. Nadeszła prawie noc i siedziałem jeszcze w ciemnym kącie ukryty, łzy ocierając, gdy ostrożnie i pocichu wszedł Gastold i przystąpił do łoża króla. Poczuwszy go przy sobie, Kazimierz oczy otworzył.

Patrzałem, jak się Gastold schylił ku niemu i coś szeptać mu począł. Prosić się zdawał.

Żywo poruszył się król, tak, że głowę podniósł... i dał znak przyzwalający, ale z niepokojem jakimś.

Wtem Gastold, powróciwszy ku drzwiom, chwileczkę się w progu zatrzymał.

Izba była przyciemniona, parę świec zakrytych paliło się w kącie. Na progu ukazała się niewiasta, zakwefiona cała. Na widok jej, choć twarzy widzieć nie mogłem, dreszcz przebiegł po mnie.

Poznałem ją, albo raczej przeczułem — była to

matka moja! Szła, podtrzymywana przez brata, chwiejąc się, z głową pochyloną, aż do łoża samego i przy niem padła na kolana. Król wychudłą rękę wyciągnął ku niej i ledwie dosłyszany szept doszedł do uszu moich:

— Przebacz!...

Nawojowa, schylona nad ręką tą, jęczała, wstrzymując łkanie, mówiła coś, lecz nic już pochwycić nie mogłem. We mnie wszystko kipiało i głowa się zawracała.

Jakim cudem ona tu znaleźć się mogła w tej godzinie, jaką łaską Bożą natchniona przyszła z tem przebaczeniem, którego tak długo serce jej dać nie chciało.

Gdy mi się w oczach ćmiło, jak widziadło senne, przesunęła się znowu ta postać i znikła.

Usłyszałem króla słabym głosem wołającego mnie. Pobiegłem do łoża. Nie rzekł nic, tylko pochylonemu na głowie rękę położył, jakgdyby błogosławił. Łzy mu biegły po twarzy, a ja — ja nie wiedziałem, że żyję.

Wtem pan Jakób podszedł do łoża i poprawując nakrycia, przypatrywał się królowi. Dał mu napój chłodzący, radził sen i spoczynek.

— A zbudzęż ja się jeszcze? — spytał Kazimierz.

Doktór potwierdził to. Usunęliśmy się nieco dalej; król, zdawało się, że drzemać zaczął. Był dziwnie spokojny, oddech tylko żywszy, ciężki, przestraszał nas.

Całą tak noc w milczeniuśmy przesiedzieli u łoża, czatując, czy nie zażąda czego, ale spał ciągle, nie poruszał się nawet, oddech, zrazu tak przyśpieszony, zwolniał, ucichł...

Przez błony okien wpadał brzask pięknego dnia czerwcowego, gdy doktór Jakób na palcach się do łoża zbliżył i spojrzawszy na bladą twarz króla, dotknął zwieszonej ręki.

Była zimna, jak lód — król nie żył.

Tak skończył życie ten męczennik dumny, co się nawet nie skarżył i rzadko gorzki wyraz z ust mu się

wyrywał. Śmierć przyszła we śnie, przynosząc z sobą spoczynek.

Nigdy mi może nikczemność serc ludzkich i niestałość przywiązania nie stanęła obrzydliwiej w oczach, jak w tej godzinie. Pan ten, przed którym wczoraj chodzili wszyscy zgięci i pokorni, oświadczając wielką miłość swą, leżał jeszcze na łożu, gdy już każdy tylko o sobie myślał.

Litwa, poruszona niezmiernie, nie o śmierci pana, ale o wyborze nowego namiętnie się naradzała. Znaczniejsza część chciała natychmiast ciągnąć do Wilna, inni po Aleksandra. Panowie polscy też do Krakowa się rwali, jedni do królowej, drudzy do swych przyjaciół, z którymi pilno im było radzić natychmiast o nowym wyborze.

Gdyby nie przyboczna służba i komornicy pańscy, ledwieby było komu pomyśleć o trumnie i pogrzebie.

Wszystkim się w głowach pozawracało, a każdy zdradzał się mimowolnie, iż o tem myślał tylko, jak z tej nagłej śmierci skorzysta. W całym zamku wrzawa, bieganina, nieład, nieposłuszeństwo, tak, że podkomorzy zagrozić musiał, aby ład przywrócić.

Nawet z pogrzebem nie było zgody. Chcieli jedni prowadzić ciało do Wilna, panowie polscy i ci, co z królową trzymali, do Krakowa na Wawel. Inaczej nie powinno było się stać, a pogrzeb mógł też dla rodziny serca otworzyć i dla nieboszczyka obudzić miłość. Często się ona dopiero przy trumnie rodzi.

Nie miałem prawie czasu do wieczora pomyśleć o tem, że mi też matki szukać należało i widzieć ją, jeżeli przy Gastoldzie, bracie swym, zechce mnie przypuścić. Niełatwo mi się było dowiedzieć o jej gospodzie, a że ta w mieście dosyć od zamku daleko położoną była, jechałem konno, Sliziaka naprzód chcąc wyszukać.

Gastolda brata nie zastałem już; śmierć króla zmusiła go co najrychlej pośpieszać do Kijowa i przed kilku godzinami z Grodna wyjechał.

Matkę zastałem we łzach, na klęczkach modlącą się. Gdym wpadł, odwróciła się do mnie, ręce rozpostarła i uścisnęła, za szyję chwyciwszy. Łzy długo słowa wyrzec jej nie dawały. Zaczęła potem pytać o ostatnią godzinę. Opowiedziałem o błogosławieństwie i o spokojnym zgonie we śnie.

— Porzućże teraz dwór — odezwała się; — dosłużyłeś mu wiernie do śmierci, nie masz już tam co robić. Jedź ze mną!

Musiałem się tłumaczyć, iż samowolnie odbiec od ciała nie mogę, bo nam przypada obowiązek odprowadzenia do Krakowa. Nie upierałem się zresztą przy dworskiej służbie dalszej, anim jej żądnym był, chociaż przewidywałem, że Olbracht odpuścić mnie nie zechce.

Wdowa oświadczyła mi na to, że i ona gotową jest ciągnąć za nami do Krakowa, czemu się sprzeciwić musiałem już dlatego, aby serca sobie tem nie psuła, a i dla niewygód podróży przy licznym orszaku, który na gościńcu gospody musiał zajmować i wszystko zjeść, co gdzie dostać było można.

Uprosiłem więc, aby natychmiast, poprzedzając nas, udała się do Krakowa. Ledwie się to stało, a jam nazajutrz wyprawił ją z Grodna, gdy wprędce i my pociągnęliśmy powoli z ciałem królewskiem.

Wszędzie je duchowieństwo, rycerstwo i lud pospolity spotykał, towarzyszyli nam kapłani, żal się zdawał powszechny, lecz niemy był jakiś i serdeczności w nim się nie czuło. Ten sam los, który mu towarzyszył za życia, ścigał go i po śmierci. Żałowano go, bo nim nowy pan miał nastać, kraj był bez rządu i sądu. Trwożyło to ludzi, ale po dobrym i sprawiedliwym monarsze nie płakał nikt.

Natychmiast po śmierci pańskiej wyprawiono gońców do Krakowa z tą smutną wieścią. Olbracht po powrocie z nieszczęśliwej wyprawy właśnie się tam znajdował. Na niego oczy wszystkich były zwrócone. Zdawało się najpewniejszem, że nie kto inny, tylko on, wybranym zostanie.

Litwa tymczasem słała nagwałt dla siebie po Aleksandra, chcąc pośpieszyć z osadzeniem go na stolicy. Głośno się odzywano, że sami sobą rządzić się muszą i na Polskę oglądać nie myślą.

W tem ciągnieniu z marami, gdy się powolnie zbliżamy do stolicy, w cztery dni przed przybyciem do niej nadbiegł Bobrek od Olbrachta z żądaniem do ochmistrza dworu, aby mnie odpuścił i natychmiast słał do Krakowa.

Nie było z tem trudności, lecz się zafrasowałem tą łaską pańską, widząc, że ani chce, ni myśli mnie zwolnić ze służby.

Jechaliśmy więc przodem z pośpiechem wielkim. Dopytać mi było trudno, poco mnie tam żądano; tom tylko z niego dobył, że choć królowa za Olbrachtem stać będzie, w Krakowie się już wieści rozchodziły, że nie wszyscy go sobie życzą. Wiedziano o tem dobrze, iż duszą i ciałem oddanym był Kallimachowi, a do Włocha nienawiść rosła ciągle.

— Jaki nauczyciel, taki uczeń! — mówiono i jedni Aleksandra, drudzy Zygmunta życzyli, a nawet o Piaście mówiono.

Dziwnem mi się to wydawało.

Zaledwie przybywszy na Wawel, tak, jakem stał, musiałem iść do królewicza.

Izba zamkowa, w której przyjmował, pełną była, jak nabita, ludzi wszelkiego stanu. W krześle za stołem z dumną miną królował Kallimach niezmiernie czynny.

Olbracht z zarumienioną swą twarzą, w odzieży zaniedbanej, chodził od jednej gromadki swych gości do drugiej. Przynoszono mu wieści, wychodziły stąd rozkazy.

Choć nie umiał nigdy Olbracht bardzo brać do serca żadnej rzeczy, ani długo się nią frasować, postrzegłem z twarzy jego, iż zaniepokojony był.

Zobaczywszy mnie, pośpieszył do progu.

Pytał naprzód o ojca, o to, czy nie mówił co o nim, czy rozkazów jakich komu nie wydał. Rozpowiedzia-

łem o podróży, chorobie i zgonie, dodając, że Litwa myśli pośpieszać i Aleksandra pochwycić, a z nim się bodaj odłączyć.

Olbracht, słysząc to, spojrzał na Kallimacha, który rzekł obojętnie:

— Niech próbują, sami się potem do unji prosić będą... Dziś temu zapobiec trudno... Mamy tu co czynić i pilnować się, aby nam prymas i Krakowianie nie wprowadzili Piasta!

Okazałem zdumienie.

— No, tak! — zawołał Olbracht — przypomnieli sobie dawnych panów, ale tych my nie dopuścimy!

— Gdyby w istocie królowa i wasza miłość, skarb i zaciągi mając w ręku, dozwoliliście na pochwycenie sobie z misy pieczeni, nie warcibyście byli jej spożywać — odezwał się Kallimach.

Gawiedź, której izba była pełna, a przy której mi na pytania odpowiadać niemiłem było, poczęła się rozchodzić. Wtem zwrócił się do mnie królewicz.

— Ja ciebie potrzebuję — odezwał się, — u ojca skończyłeś służbę, u mnie ją teraz począć musisz. Cenię cię dlatego, że umiesz milczeć i tajemnicy dochować. Nie puszczę cię, Jaszko... nie puszczę.

— Znajdziesz teraz miłość wasza wielu nade mnie lepszych, młodszych i dogodniejszych... chciałbym spocząć.

— Ani myśl — zawołał Olbracht; — uczynię ci służbę lekką, nagrodzę sowicie, ale potrzeba mi zaufanego człowieka i do pióra, i z językiem. Miałżebyś mnie w takiej właśnie chwili opuścić... ledwie, nie powiem, zdradzić?!

Gdym się ociągał jeszcze z odpowiedzią, dodał:

— Potem się rozmówimy obszerniej... dziś ci to tylko oznajmuję, że nie puszczę, że gwałtem zatrzymam. Ludzi nie mam... zaufać nikomu nie mogę.

Zmilczałem przyzwalająco.

W tej chwili wsunął się do izby, a raczej wpadł, od progu już żywo coś mówiąc, biskup Fryderyk. Przy-

witał i on mnie ze zwykłą sobie słodyczą, ale i z dumą, która go cechowała.

Wszyscy trzej z Kallimachem pocichu się naradzać zaczęli. Chciałem odejść, Olbracht mnie zatrzymał. Któżby uwierzyć mógł, że w takiej chwili, wśród tej żałoby, przy troskach o koronę, szepnął mi, iż chce, abym mu do Leny towarzyszył. Spojrzałem nań tak wyraziście i ostro, z takim wyrzutem, iż się zawstydził i w żart to obrócił.

Nazajutrz pobiegłem do matki, która po podróży leżała w łóżku. Musiałem się jej przyznać do tego, że Olbrachtowi oprzeć się nie potrafię przynajmniej dopóty pomagać, dopóki korony nie otrzyma.

Całą kamienicę Pod złotym dzwonem okrytą żałobą znalazłem. Nie było u nas nikomu wzbronionem po panujących jej wdziewać i nosić, owszem wielu z nich tak opłakiwano nietylko kapturami, ale kirem. Izba Nawojowej była nim cała wybitą, ona sama w czerni grubej, podobnież służba, kolebki i uprzęże. Mnie też kazała natychmiast wdziać kir i nie rzucać go do roku i niedziel sześciu.

Pochwycony tak przez Olbrachta, ledwiem mógł na chwilę zbiec czasem do matki, tyle było do czynienia, pisania i układania.

Zaledwie ciało przywieziono do Krakowa, gdy o pogrzebie uroczystym wedle obyczajów i zwyczajów dawnych myśleć było potrzeba. Zachowano przy obrzędzie tym wszystko, co należało królowi, lecz ci, co pamiętali i słyszeli o składaniu zwłok dawnych panów, utrzymywali, że ani wspaniałości ich, ani liczby towarzyszących, ani jałmużny, jak się należało, nie było na tym pogrzebie. Umysły zaś tak niespokojne, poburzone wszędzie się okazywały, iż czasu obrzędu nawet więcej mówiono o przyszłym żywym, niż o zmarłym monarsze.

Ze śmiercią króla Kazimierza skończył się dla mnie trzeci okres życia mojego, ten, który o przyszłości człowieka stanowi, bo czego się w nim nie dorobi, tego już nie zdobędzie nigdy. Nie mogę powiedzieć, abym wiele

zyskał w nim, chyba tem, żem cierpiał dosyć, a wszelkie cierpienie nauką jest. Nauczyłem się też znosić w milczeniu, nie buntować przeciw losowi, ani zbyt wiele dla siebie pragnąć. Z początków moich wróżąc, tego, com teraz miał, wcale się spodziewać nie mogłem. Król obdarzył mnie dobrym szmatem ziemi, więcej jeszcze winienem był matce mojej. Teraz więc, gdy się powoli zęby psuć zaczynały, przyszedł chleb, którego nie było czem ukąsić. Dla mnie samego miałem aż nadto, a straciwszy Luchnę i starzejąc, pary sobie dobrać na starość anim się spodziewał, ani żądał.

Komu to było zostawić? Miałem zamiar wyszukać sobie sierotkę, wziąć ją, usynowić i jemu po sobie przekazać spuściznę.

Matka jednak nalegała mocno, abym się żenił, ukazując mi przykłady tych, co w daleko późniejszym wieku szli do ołtarza i byli szczęśliwi.

Nie sprzeciwiając się jej, tymczasem musiałem i ją cokolwiek zaniedbać, i o sobie zapomnieć dla Olbrachta. Miał on przy sobie poddostatkiem gawiedzi do kufla i do śmiechów, ale najlepiej to sam rozumiał, że nimi się w niczem posłużyć nie było można. Wszystko więc spadało na mnie. Że mi za to złote góry obiecywano, o tem już nie mówię; gdyby w istocie Olbracht miał je, pewnieby ich nie żałował. Rozrzucał hanienie, a pochlebcy i błaznowie, uwijający się koło niego, korzystali z tego.

Jużem to mówił, lecz od powtórzenia się wstrzymać nie mogę, jak mąż takiego rozumu, umysłu bystrego i nauki smakować mógł w nieukach, trefnisiach i najpospolitszej gawiedzi? Dwoisty był, jakom rzekł, podczas mąż poważny i rozumny, a tuż lekki i dziecinny niemal, dla zbytniej krewkości. Lada trafne błazeństwo i lada twarzyczka świeża brały go za miękkie serce. Prawda, że też, z wyjątkami niewielu, stale się do niczego nie przywiązywał.

Ponieważ pieniędzy ze skarbca prywatnego króla nieboszczyka nagwałt było potrzeba, zaraz otworzono testament i co przy nim było dopisków różnych, gdyż

król o nikim ze sług swych nie zapomniał. Jam się już niczego nie spodziewał, bom był obdarowany za życia, jednakże okazało się, iż z szat, koni, siądzeń i zbroi i mnie się coś dostało, a najprzedniejsza była szuba, kunami podbita, jedwabiem kryta, którą król sam nosił, ale nie więcej, jak parę razy. Koni też ze stajni dzielnych dostała mi się para.

O innych nie zapomniał Kazimierz także. Jednemu Władysławowi czeskiemu na zawinięcie palca nie dał nic, a nawet wzmianki o nim nie uczynił w testamencie, jakby go na świecie nie było. Aleksandra, Zygmunta i Fryderyka części były znaczniejsze, Olbrachtowa szczupła bardzo, czy dla rozrzutności jego, czy może, iż na tron wstępując, mniej potrzebował. Lecz teraz dopiero, po śmierci króla, okazało się, czego nikt na świecie przewidywać nie mógł, że wybór Olbrachta był bardzo wątpliwy. Obyczajem dawnym należało mu po ojcu na tron wstąpić, ale z rycerstwa jedni twierdzili, że im w królewskiej rodzinie wybór był pozostawiony, na co ciągnęli przykłady z kronik, a drudzy, dalej idąc, żądali Piasta.

Znaczyło to, przy wyborze na Litwie Aleksandra, o który się starano w Wilnie, zerwanie z nią zupełne i jakby wygnanie Jagiełłów na ich dawne dziedzictwo.

A chociaż nie wydawano się z tem głośno, wiadomem było, że arcybiskup gnieźnieński, Zbigniew z Oleśnicy, tak samo, jak stryj jego, kardynał, za Piastem ciągnął. Dochodziły już do Krakowa wieści, że na zjazd wielki, na którym króla okrzyknąć miano, jeden z książąt mazowieckich gotował się w tysiąc koni i miał za sobą spory lik drobnej szlachty, kilku biskupów swych, a co najgorzej, arcybiskupa, który choć chory już był i ciężko się poruszał, miał wpływ wielki i ludzi swych czynnych.

Królowa matka, która w początkach wierzyć nawet nie chciała, aby po długiem panowaniu męża jej, a więcej, niż stuletniem rodu Jagiełłów, mogli Polacy pomyśleć o nowej dynastji, przekonawszy się, że w istocie na to się zanosiło, a wiedząc, że Olbracht lekcewa-

ży sobie niebezpieczeństwo, z niezmierną energją wzięła się do dzieła. Zawołała do siebie Kallimacha, skupiła wszystkich przyjaciół nieboszczyka, ściągnęła co mogła pieniędzy i nie spoczęła teraz ani na chwilę. Olbracht zaś, widząc, że go matka tak dobrze wyręczy, tem mniej dbał i sam się zajmował wyborem swoim.

Zdawał się być albo tak swego pewien, lub mało sobie ważyć, będzie li królem czy nie, iż często słuchać nie chciał najważniejszej wiadomości, a gdy tylko mógł, do Leny uciekał i tam się zabawiał.

Z tego, com ja między ludźmi mógł się dowiedzieć, co i w mieście powtarzano, i ziemianie przywozili, widać było, że głównie szkodził Olbrachtowi Kallimach. Niecierpiano go, jako nieprzyjaciela rycerstwa i możnych za nieboszczyka króla, kiedy się aż na życie jego targnąć chciano — teraz zaś, wiedząc, że Olbracht był mu oddany duszą i ciałem, obu pozbyć się usiłowano.

Ponieważ przed zjazdem wieści krążyły tak różne a mętne, iż z nich mało prawdy wyrozumieć było można, Olbracht mnie razem z Bobrkiem w świat wyprawił, byśmy mu języka przywieźli, jak rzeczy stały.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXXVIII

J. I. KRASZEWSKI

JASZKA ORFANEM

ZWANEGO

ŻYWOTA SPRAW PAMIĘTNIKA

(JAGIELLONOWIE DO ZYGMUNTA)

CZĘŚĆ IV

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

Mało co czasu zostawało do naznaczonego na 15 sierpnia zjazdu w Piotrkowie, jak że my z Bobrkiem, aby się przekonać, jak szlachta myśli i kto jej przewodzi, musieliśmy lecieć, jak oparzeni, chwytać wlot słowa, zgadywać, co się gdzie gotuje, aby królowa z biskupem Fryderykiem mogła coś radzić na to; bo na samego Olbrachta, który sobie ze wszystkiego drwił, spuścić się nie było można. Ściskał i całował matkę, dziękując jej za opiekę, bratu żartobliwie obiecywał, że gdy królem zostanie, to się go postara papieżem zrobić — a co się miało stać, o to się bynajmniej nie frasował! Słuchał piosnek, śmiał się z żartów i popijał sławne piwo piątkowskie, które i Fryderyk lubił.

Gdym, zbiwszy się haniebnie na siodle, z mojej wycieczki z doniesieniem powrócił, a królowa, młody Fryderyk i Zygmunt natychmiast się zebrali słuchać, cośmy przywieźli dla porównania z tem, co do nich inną doszło drogą — Olbracht, jakby mu wcale nie było pilno, począł się z mojej sukni podróżnej wyśmiewać i najpierw pytanie zadał, gdzieśmy najlepsze piwo pili?

Mnie już to lekceważenie głównej sprawy, dla której wszyscy pracowali, tak podrażniło, żem na to odpowiedział sucho:

— Warzą dopiero piwo dla miłości waszej i o tośmy się dowiadywać jeździli, a o innem nie wiemy nic.

Uderzył mnie po ramieniu.

— Gadajże, co przywozisz! — rzekł.

A było o czem. Widzieliśmy, że z naprawy Oleśnickiego Janusz z bratem Konradem do Piotrkowa w ty-

siąc koni rycerstwa i z tłumem drobnych panoszów ciągnęli niedarmo.

Choć Wielkopolska królowi nieboszczykowi była powolną, a no teraz odezwało się i tu przywiązanie do dawnych panów, Kazimierzowi zadawano, że kraj wojnami niszczył, że zamki i grody zostawił zaniedbane w ruinie, a nawet, że tego zbója Szafrańca, co kupców rozbijał i zabijał, ściąć kazał. Kładziono na jego karb i śmierć Tęczyńskiego, i oderwanie ziem dla Litwy, i wiele innych grzechów. O Olbrachcie zaś mówiono, że gorszym jeszcze będzie, bo bez Włocha doradcy stąpić nie może.

Oprócz tych, co mazowieckiego Piasta prowadzili, inni dlatego, aby się Litwa nie oderwała, Aleksandra wybierać chcieli, aby znowu obu krajom panował; naostatek Rafał Tęczyński, marszałek i reszta panów z Tęczyna, a z nimi Krakowianie, woleli już Zygmunta, niż płochego Olbrachta. Nikomu nie było tajemnicą, jakie życie prowadził, toby mu jednak przebaczono łatwo, lecz Kallimacha ziemianie nie chcieli, czując, że w nim mieli nieprzyjaciela.

Zaledwie kilkanaście dni czasu pozostawało do zjazdu w Piotrkowie. Królowa dała swoich pieniędzy, aby zaciągi powiększyć i przynajmniej dwa tysiące zbrojnych dać synowi, które Fryderyk miał prowadzić, bo się sam do tego gorąco nastręczał. Naprędce jednak pościągawszy, co było można, nad tysiąc sześćset koni się nie zebrało. Oprócz tego było własnego Olbrachtowego dworu głów do dwóchset, ale niewiele wartych, tyle tylko, że zuchwałych.

Postanowiono się do Piotrkowa nie opóźniać, zamek i miasto zająć, tak, aby Mazurów i co było niechętnych zepchnąć na przedmieścia.

Olbracht zaś miał o to wielkie staranie, aby piwa i wina było poddostatkiem dla zgromadzonych, wiele na to licząc, gdy im upusty otworzy.

Choćby rad pewnie wieźć z sobą Kallimacha, nie mógł się ważyć na to. Włochowiby tam nie tylko wielkie groziło niebezpieczeństwo, aleby niechybnie życie

postradał. On też sam, przestraszony, ostrożny, wolał się zamknąć na Wawelu i tu czekać końca.

Tak stały rzeczy, gdyśmy w same skwary sierpniowe ruszyli nareszcie taborem wielkim do tego Piotrkowa. Olbracht, choć na dwoje wróżono, co go tam spotkać może, jechał tak wesół i swobodny, jakby wcale o nic nie dbał.

Tysiąc kilkaset zbrojnej komitywy prowadził biskup krakowski, a ktoby na koniu wówczas widział młodego, raźnego, rycersko wyglądającego, nie odgadłby w nim pasterza duszyczek.

Jemu to była uciecha wielka, nowość, rozrywka, której sobie odebrać nie dał Zygmuntowi starszemu, ofiarującemu się też prowadzić ludzi.

Pośpieszaliśmy tak dobrze, iż jak było powiedziano, zamek i miasto zajęliśmy całe i obsadzili swoimi. Beczki też w porę nadeszły. Kardynał Fryderyk, umyślnie się przyzostawszy za nami, miał przybyć dopiero, kiedy się już ziemianie gromadzić zaczną.

Zjazd był nadzwyczaj liczny, a szczególniej Mazurów i Wielkopolan zwlekło się siła i mazowieccy panowie w tysiąc koni. Wojsko to nie było bardzo pokaźne, liczbą tylko groziło. Czy książęta byli uwiadomieni o sile, którą prowadził Fryderyk, nie wiem — ale gdy ona się okazała, nadeszła i obozem położyła, bardzo im ubyło raźności i buty.

Tymczasem Olbracht po swojemu sobie serca pozyskiwał. Zapraszał panów, ugaszczał, z ziemianami ubogimi przepijał, śmiał się, żartował i można go było nieledwie wziąć za prostaczka.

Naprzód tedy ci, co Aleksandra chcieli, poczuli się w tak małej liczbie, że nawet nic począć nie śmieli. Tęczyńscy, którzy sobie Zygmunta życzyli, zrazu dosyć pociągnęli za sobą, ale jawnem było, że Zygmunt przeciwko bratu występować sobie nie życzył, że królowa też popierała starszego, a drobniejsi panoszowie, ujęci poufałem obejściem się Olbrachta, poczynali się skłaniać ku niemu.

Pomogło i to, że Kallimacha nie było, a rozpuszczo-

no wieść, jakoby do swej ojczyzny miał powrócić i już w Polsce się nie ukazywać.

Próbowali Mazury, mając tajemne poparcie arcybiskupa, zalecać swoich książąt, ale że Zbigniew z Oleśnicy dla puchliny, na którą cierpiał, sam przybyć tu nie mógł, a od siebie nie przysłał nikogo, coby skutecznie mógł przedsięwziąć, i że myśmy biegali, poili, namawiali, pilnowali i straszyli, gdy przyszło do okrzykiwania, a nasi pierwsi Olbrachta obwołali, huknęli, zagłuszyli innych, i nikt już głosu podnieść nie śmiał. Mazury, uszy pospuszczawszy, widząc, że najmniejszej nadziei mieć nie mogą, wołali, jak drudzy.

Olbracht był na to przygotowany, aby, gdy go okrzykną, wielką ucztą cały ten tłum ugościć. Nie żałował na to. Jakby cudem stanęły stoły z desek, całe niecki mięsiwa, całe stosy chlebów, wina, piwa i miodów, nietylko, cośmy z Krakowa przywieźli, ale co Piotrków i okolica miała. Myślę, że potem parę miesięcy najmniej samą wodę pito. Więc wesele wielkie, ochota, śpiewy, a przytem i zwady, i bójki do białego dnia trwały.

Mnie nowoobrany król wyprawił zaraz z pismem do Gniezna do arcybiskupa, oznajmując mu o wyborze i upraszając zarazem, ażeby obyczajem dawnym zjechał na koronację do Krakowa.

Wprawdzie biskup krakowski, brat Fryderyk, chętnie ofiarował się go zastąpić, ale tego sobie nie życzyła ani królowa, ani Olbracht.

Niemal rad byłem, z Piotrkowa się wyrwawszy, gdziem od krzyku napoły ogłuchł, od wołania ochrypł, a od bezsenności i trudu mało nie oszalał, wytchnąć nieco w podróży do Gniezna. Drugiego tedy Zbigniewa z Oleśnicy mało i zdala tylko widywałem, więc i ciekaw byłem do stryja go przymierzyć. Wiedziałem od Kallimacha, że z nim był w listowaniu i dobrych stosunkach, choć Kallimach Olbrachtów był, a arcybiskup Jagiellonów, jak stryj, nie lubił.

Gdym z listem do Gniezna nadążył, naprzód mi oznajmiono, iż arcybiskup chorzał a cierpiał wiele

i czekać musiałem godziny, aż do niego przystąpić będzie można. Nie trwało to wszakże długo i zawołano mnie do arcypasterza.

Siedział w krześle wielkiem z okrytemi nogami, z twarzą obrzękłą, ale mąż wielkiej powagi i zaraz po nim widać było, iż świata i ludzi wiele znał, że ogładę miał pańską. Dwór też około niego i wszystko, co go otaczało, godnem było książęcia Kościoła.

List, który wiozłem, i ja byliśmy tu pierwszymi zwiastunami wiadomości o wyborze Olbrachta. Arcybiskup, co nie tajnem nam było, Mazurów popierał, ale najmniejszego nie dał po sobie znaku, aby nawet świadom był ich pokuszenia się.

Na list króla rzuciwszy okiem, głosem spokojnym rozpytywać mnie zaczął o wszystko. Ja też, trochę głuptaszka udając, od tegom zagaił, żem podziwienie wyraził ze zjawienia się Piastów, którzy się też do korony stręczyli, naówczas gdy ona od przeszło stu lat w rodzinie Jagiełłów była. Arcybiskup wysłuchał tego, głową poruszając i niby też wyrażając swoje podziwienie.

Ciągnąłem dalej o sile, jaką z sobą przyprowadzili, a razem o rycerstwie, które otaczało Olbrachta, o różnych głosach za Aleksandrem i Zygmuntem, kończąc tem, iż przecie jednogłośnie i bez sporu a swaru Olbrachta obwołano.

Oleśnicki, wszystkiego tego wysłuchawszy, wziął raz jeszcze do rąk list króla, odczytał go, złożył i długo myślał, nic nie odpowiadając. Potem odsłonił mi zgrubiałe i strasznie opuchłe nogi, wskazał na nie i wzdychając, rzekł głosem stłumionym:

— Patrzajże, dziecko moje, jaki to ja jestem i czy mogę jechać na koronację, a trud ten znieść przy chorobie mojej?... *Ultimis spiro!* Życia we mnie niewiele.

— Królowi wielce idzie o to — rzekłem, — aby z rąk arcypasterza otrzymał tę koronę. Sądzę też, iż dla zachowania prawa, które gnieźnieńskiemu pasterzowi przysługuje, należy coś uczynić. Naostatek i to dodać muszę, iż ludzie złośliwi a potwarcy w Piotrko-

wie się z tem nosili, jakoby wasza pasterska mość Piastom był przychylny.

Zmarszczył się Zbigniew i poruszył żywo.

— Cóż znowu — przerwał mi, — albo nie widzicie, żem przykuty i obezwładniony, a Boga chwaląc, w świeckie sprawy wcale się już nie wdaję!

Poruszył ramionami.

— Piastom już nic więcej nie pozostało, jak spuścizna imienia ich, z którem powoli do grobu poschodzą, raz straconego nie odzyskawszy.

Gdy, mając się już oddalić, o odpowiedź się domagałem, pomyślał znowu chwilę Oleśnicki i rzekł mi:

— Choćbym się z Gniezna do Krakowa nieść miał kazać, obowiązku mego dopełnię, przybyć muszę. Nie chcę ani dać karmi nowej oszczerstwu, ani dopuścić uszczerbku praw biskupich. Miesiąc czasu pozostaje mi na przygotowanie do podróży i na drogę... dali Bóg życie!

Spuścił głowę smutnie, a ja, rękę jego ucałowawszy, odszedłem.

Więc natychmiast pośpieszyłem napowrót z odpowiedzią do Krakowa, gdzie już mnie król i Fryderyk biskup poprzedzili. Wprawdzie, dzięki królowej i jemu, postawiliśmy na swem. Olbrachta okrzyknięto, aleśmy razem w tych gromad i tłumów usposobieniach się rozpatrzyli. Podobało się to, że młody pan zabawiał się i żartował poufale z lada kim, ale mu niedowierzano. Miał coś w postawie, twarzy, w obejściu się nawet najpoufalszem takiego, co się w nim kazało obawiać człeka srogiego, a ludzi lekceważącego. Winniśmy byli naszym około dwu tysiącom zaciężnych, żeśmy się Mazurom nie dali, a no, patrzano na tę siłę koso i mówiono: kiedy ich tu przyprowadził, będzie z nimi na wszystkie zjazdy przybywał, a sprzeciwi mu się kto,— gotów łby ścinać.

Myśmy to i inne słysząc, czuli tak dobrze, co było na stole, iż nie dziwiliśmy się postanowieniu pańskiemu, który nietylko chciał wszystkie zaciągi utrzymać, ale powiadał, że je musi powiększyć. Tłumaczył to,

uśmiechając się chytrze i okiem pomrugując tem, że prędzej lub później wszystkich sprzymierzeńców swych ściągnąwszy, musi na pogan iść.

W Krakowie ledwiem mógł zbiec do pani matki, bardzo tęskniącej za mną, a wyrzucającej mi, że się niepotrzebnie w służbę zaprzęgam, gdy mnie już na zamek rwano, bośmy musieli przygotować wszystko do uroczystości koronacyjnej.

Olbracht lubił zabawy, uczty i sądził, że niczem się więcej nie może przypodobać ludziom, jak wyprawiając im wspaniałe i obfite gody. Szczególniej zaś dla ludu krakowskiego, który go znał, bo się tam od dziecka między nimi kręcił, chciał w rynku wydać bankiet taki, aby go wieki pamiętały.

Zawczasu zakupiono napojów tyle, iż zdawało się, że ich największa zgraja nie wysączy; wołów też, baranów, ptactwa, zwierzyny, które miano piec całe.

Nie będę ja tego opisywał, boć takie gody zawsze się jednako poczynają i tem samem kończą. Zrazu dużo wesołości, śmiechu, śpiewów, pod koniec łby rozkwaszone, gawiedź pobita, gwałty, guzy i rany.

Na Wawelu uroczystość była wspaniała bardzo, bo oprócz Władysława i Aleksandra, cała rodzina jej była przytomną (córki wyjąwszy), dużo panów, nawet tych, co się zdawali przeciw królowi być, kler liczny. I umysły się jakoś ku młodemu panu skłaniać zdały. Mówiono:

— Gdy go arcybiskup namaści, łaska Boża i Duch Święty na niego zstąpi. Zdolny jest, mężny, rozumny, ambicji ma dosyć.

Zbigniew Oleśnicki, arcybiskup, choć się na nogach opuchłych okrutnie ledwie już trzymał, i zmarł niebawem z choroby tej, — jak przyrzekł, przybył i króla sam w asystencji innych koronował.

A muszę to powiedzieć, że gdy mu miecz dał, a on, wydobywszy go z pochew, na cztery świata strony nim zamachnął, aby okazać, iż wiary i ojczyzny bronić będzie, było mu pięknie i bohatersko się wydawał. Miał zawsze takie momenta, ale wkrótce potem, gdy śmiech

szyderski usta mu skrzywił sposobem Kallimachowym, innym się stawał.

Kiedy nazajutrz, po hołdzie mieszczan w rynku, który król na majestacie przyjmował, wyprawiono dla mieszczaństwa i ludu ucztę, choć na zamku gości dostojnych było wiele, nie wytrzymał Olbracht i, przebrawszy się w lada jaki kubrak, mnie i Bobrka zmusił, ażebyśmy mu towarzyszyli na miasto, bo chce się przypatrzeć pijanej gawiedzi.

Napróżno go prawie na klęczkach prosiłem, aby od zamiaru tego odstąpił, gdyż nie było bezpiecznem między napitych się cisnąć i to samotrzeć. Zaprószone głowy i oczy królaby poznać i uszanować nie pozwalały.

Mieczyk u pasa nosił zawżdy; — ukazał mi go, śmiejąc się.

— Nie obronicie wy mnie, to ten przyjaciel odetnie się.

Od miasta aż tu na Wawel dochodził głuchy szmer tłumów i krzyki, jakby morze na dole szumiało. Noc wrześniowa, a było już pod koniec miesiąca, w Krakowie ciepłą nie jest, ale myślę, że dla wielu ona gorącą się stała.

Prawie dla nas nie do wiary było widzieć tego pana, tylko co ukoronowanego, śpieszącego po dobrej woli w taką gawiedź pijaną. Ale jego to tak cieszyło i bawiło, że zdala już patrząc i słuchając, za boki się brał.

Wprost nas tedy, gdzie najgęstsze kupy, na rynek wiódł, a strzymywać go było nadaremnem. Około beczek i kadzi, już prawie poopróżnianych, ludzie stali, skakali, leżeli i siedzieli na ziemi. Wykrzykiwano różnie.

Mnie strach i odraza brała do tej ciżby; pociągnąłem króla ku kamienicom, kędy przystojniejsze mieszczaństwo osobno się przypatrywało zabawom na rynku. Niektórzy mieli latarki, bo już noc była ciemna, a i z domostw przez otwarte okna potrosze światła szło w ulice.

Zbliżyliśmy się do gromadki młodych mieszczan, bardzo strojno poubieranych i głośno rozmawiających. Żaden nam bliżej znajomym nie był.

— A co? — odezwał się jeden — nie poszlibyśmy to do Leny Włoszki, królewskiej kochanki, na gody? Tam teraz musi płynąć wino złotym potokiem, a i kobiecina, choć przywiędła, niczego.

Król mnie w bok uderzył i zatrzymał się, słuchając.

— Teraz on ci ją chyba rzuci — rzekł drugi; — ślepymby był i głuchym, gdyby nie wiedział, że go dziesięć razy na dzień zdradza.

Ledwie słów tych dopowiedział, gdy Olbracht krzyknął, za swój mieczyk chwytając.

— Łżesz!

Myśmy go zasłonili, ale ten, co się odezwał, nastawił się.

— Chodź tu, abym cię nauczył, że mi w oczy bezkarnie pluć nie można.

Wszyscy z nim będący poruszyli się tłumnie ku nam. Staraliśmy się króla osłonić i uprowadzić, ale nas odepchnął.

— Łżesz! — powtórzył i, mieczyka dobywszy, zamierzył się, co ja zobaczywszy, za rękę go chwyciłem.

Obstąpywano nas dookoła; szczęściem, byliśmy nieopodal od Złotego dzwona, i zaraz mi na myśl przyszło króla tu schronić, bo klucz od bramy zawsze miałem przy sobie. Ale nie było sposobu go wziąć; upierał się ukarać zuchwalca, który wcale nie wiedział, z kim miał do czynienia, bo króla pociemku poznać było niesposób, a domyśleć się go tu mniej jeszcze. Mieszczuki młode trochę we łbach miały. Król, nie chowając mieczyka do pochew, ciągle nim wywijał.

Towarzysze tego, który o Włoszce tak źle mówił, poczęli go hamować, widząc, że się na bójkę zanosi.

Nie wiem, jak mi się powiodło, Bobrka stawiąc na przedzie, króla siłą porwać do wrót, które otworzywszy, pchnąłem go w ciemne sieni, i zaraz je za sobą zamknąłem, nawet o Bobrku zabywszy. W sieniach, choć oczy wykól, nic nie było widać; alem wiedział,

gdzie w prawo drzwi wiodły do izby Sliziaka i otworzyłem je.

Olbracht, nie widzący, dokąd go prowadziłem i gdziem tak pewien siebie był, wnet zapomniawszy o tem, co go w ulicy spotkało, wpadł za mną do izby Sliziaka.

Tu palił się tylko kaganek mały, a stary niedźwiedź leżał już na barłogu i, zobaczywszy mnie, zawołał:

— Taż to noc już! Czegoś tu wpadł z takim obcesem?

Dałem mu znak, pokazując na króla, który chodził już po izbie, przypatrując się, co gdzie stało po kątach.

Otwieranie wrót, hałas u nich, bo się niektórzy dobijali, przestraszył kobiety na górze; Nawojowa przysłała pytać, co się stało.

Odpowiedziałem służebnej, żem przyjaciela i siebie musiał tu schronić, bo nas pijani napadli. Dzieweczka nieroztropna na to:

— No, to chodźcie do pani na górę; nie śpi ona jeszcze i modlitw wieczornych nie skończyła, rada was widzieć będzie.

Król się tego chwycił i nie wiem, co mu do głowy przyszło, wziął pod brodę dziewczynę, pytając:

— A macie na górze dobre wino?

— Winoby się znalazło — zaśmiała się, wyrywając, — ale po tem, co go dziś tyle na ulicach rozlano nie wiem, ktoby go żądnym był.

Pierzchnęło dziewczę, a król pytać mnie począł:

— Czyj to dom? Gdzie jesteśmy?

— Nawojowej Tęczyńskiej, wdowy — odpowiedziałem, — która dla mnie tak, jak matką jest. Niewiasta w wieku, chora i pokoju jej mącićby nie należało.

Dziwnie jakoś niedowierzająco król spojrzał na mnie, ale właśnie dlatego, żem sobie nie życzył prowadzić na górę, on był ciekawy tam iść.

Nie odpowiadając mi, wszedł na schody, na których w górze dziewczyna kaganek zostawiła.

Począłem go prosić, całując po rękach, aby od zamiaru odstąpił, lecz posądzał mnie pewnie o kłamstwo, a wyobrażał sobie, że tam kochankę jakąś moją odkryje.

Więc nie słuchając, wprost na schody, a z nich do antykamery, aż do izb, które zajmowała matka. Ale zobaczywszy te całe kirem obite, stanął i skrzywił się. Smutnych myśli i widoków nie lubił.

Tymczasem matka, chód posłyszawszy, a od dziewczęcia wiedząc, żem ja był, wychodziła z drugich drzwi, cała czarna, zakwefiona, a tak poważna i surowego oblicza, iż król na widok jej stanął, niepewien, co pocznie.

Matka, która z rana przez okna swego domu na hołd w rynku patrzyła i świeżo królowi się przyglądała dobrze, poznała go zaraz zdumiona.

Dałem jej znak błagający, aby tego nie okazywała po sobie. Zrozumiała to łacno i zwróciła się do mnie:

— Chociem rada wam o każdej godzinie — rzekła — a i gościom, jakich mi przyprowadzasz, ale zaprawdę w taki dzień, na pijany tłum po nocy, toby chyba młodszym, niż waść przebaczonem być mogło.

Król się śmiał, słuchając.

— Nie winien Jaszko — odparł, — ze służby mu to wypadło.

— I musieliście się aż przebojem do kamienicy schronić.

To powiedziawszy, skłoniła się nieco, i za sobą prowadząc do drugiej komnaty, także kirem obitej, odezwała się:

— Kiedy już raz tu jesteście, dziś tak uroczysty dzień, że w każdym domu za królewskie zdrowie przepijać potrzeba.

I wskazała stolik, na którym była flaszka z parą kubków srebrnych.

Olbrachtowi się już oczy do nich śmiały — ja odmówiłem, lecz musiałem mu nalać i służyć. Siadł na krześle, matka moja opodal miejsce sobie wyszukała.

— Po kimże tu żałoba? — zapytał Olbracht, pijąc.

Nie śmiałem odpowiadać, gdy matka moja śmiałym głosem rzekła:

— Po królu.

Na twarzy Olbrachta widać było zdumienie; nie pytając więcej, zamilkł. Wspomnienie to niespodziane ojca na chwilę uczyniło go poważnym, lecz wnet dochodzące z ulicy wołania i krzyki odwróciły jego uwagę. Dopił kubka, obejrzał się, ręką skinął ku wdowie i zawołał ku mnie:

— Chodźmy!

Ja poszedłem matkę pożegnać. Milcząc, spuściliśmy się ze wschodów. Król chciał zaraz w ulicę, alem się musiał przekonać, że już nie było tamtych, co nas napastować chcieli.

Olbracht znacznie był ochłódł i o tem tylko myślał, co mu o wenecjance jego opowiadano.

Gdym otworzył bramę, znaleźliśmy przy niej wiernego Bobrka i cudem bez guza... Król ani nań patrzał...

— Taką tedy sobie ta głupia Włoszka sławę w mieście uczyniła — rzekł do mnie. — Kłamstwo jest, co o niej prawią, bo choć pozory mogą być, ale dziewczyna jest mi wierna.

Nie mogłem zręczności tej pominąć, nie skorzystawszy z niej, choćby się pogniewał.

— Miłościwy panie, trudno się łudzić, a i nie przystało teraz, abyś tak sromotnie był oszukiwanym... Lena was zwodzi; ma i miała kochanków, i z was, któremu winna wszystko, wyśmiewa się z nimi.

Zagniewał się Olbracht mocno.

— Skąd to wiesz? — krzyknął.

— Całe miasto wie o tem i palcami wytyka tych, co u niej łaski mieli i mają — począłem.

— Mów, kto? — przerwał król.

Wymieniłem kilka imion.

— Dziewka się bawi, zalotna jest, lubi, aby około niej skakano; ale to wszystko pozory są, a niewierności niema.

Widząc, że przekonywać go trudno, zamilkłem; lecz Olbracht uderzył mnie w bok.

— Kiedyś począł, mów! — krzyknął.

— Powiedziałem wszystko, a jeśli wiary nie dajecie, pocóż wam serce psować.

Nic już nie odpowiadając, król począł się w tym kierunku przez rynek przeciskać, iż łatwom się mógł domyśleć, iż do dworu kochanki zmierza. Tu się go tego dnia pewno nie spodziewano; pomyślałem, iż to może zrządzenie opatrzne, aby się na oczy przekonał, co się podczas działo. Nie wątpiłem, iż tam też uczt owano swobodnie.

Od ulicy okiennice były pozamykane, ale przez szpary światło z nich biło. W dziedzińcu zaś, na który jedno okno wielkiej izby wychodziło, okiennicy nie było, a król to wiedzieć musiał. Klucz miał przy sobie. Weszliśmy z nim pocichu. W podwórku już śmiechy i śpiewanie jakieś było słychać.

Olbracht żywo przystąpił do okna i stanął w niem. Ja z poza niego wnętrze też oświecone widzieć mogłem. Na ławie siedział młody Włoch ze dworu Kallimachowego, którego zwano Sarzanem, i trzymał na kolanach piękną Lenę. Ta miała w ręku cytrę, a twarz tak blisko jego ust, jakby pocałunek tylko co się skończył lub miał rozpocząć.

Kilku młodzieży, tyłem do tej pary siedząc przy stoliku i kubkach, kości rzucało.

Jakiś czas Olbracht stał niemy.

— Małoż tego? — spytałem.

Nie odpowiadając mi nic, odwrócił się od okna, uczynił ruch, jakby miał wnijść do dworu, cofnął się od progu i powrócił do bramy, którą na ulicę nas wyprowadził.

— Dość mam tego! — rzekł. — Na zamek.

Przez całą drogę prawie się do nas nie odzywał.

Takeśmy się dostali na Wawel, gdzie choć nie wszyscy spali, bo tu ucztowano, król szedł wprost do swojej sypialni i kazał się do łoża prowadzić.

Ciekaw byłem, co z Leną będzie, lecz nazajutrz nic nie mówiono o niej. Olbracht odbywał nieustanne narady z Kallimachem i matką. Widocznem było, że wiel-

kie jakieś gotowały się rzeczy, a i znaczne też zachodziły zmiany.

Powtarzano słowa Litawora marszałka, który, witając go, powiedział:

„Stanięć to księstwo za wszelkie państwa, tylko prosimy cię, byś nie włoskim, ni czeskim, ani niemieckim obyczajem, ale prawdziwym litewskim i Witoldowym przykładem nas rządził. Inaczej i własnej i naszej zguby będziesz przyczyną".

Rozumiano u nas dobrze, na co się zanosiło, iż Litwa nikogo nad sobą mieć nie chciała i na swą rękę miała sobie poczynać. Olbrachtowi, który na Turków wielkim pogromem iść pragnął, ku czemu i Aleksandra i zakon krzyżacki, ba, nawet Władysława czeskiego wciągał, niemiłem to było. Lecz Kallimach wyrocznią u nas się teraz stał, a ten o Litwie i o Aleksandrze wyraził się:

— Nie lękajmy się; gdy ich moskiewski kniaź i Tatarowie tak nacisną, iż sami sobie rady dać nie będą mogli, powrócą do unji i zostaną zmuszeni prosić o nią, a że moskiewski teraz zkolei na Litwę uderzy, niema wątpliwości.

Nie można mu tego odmówić, że Włoch widział daleko, gdy o politykę chodziło, a sąd o rzeczach miał zdrowy, niemniej przeto jako człowiek niewiele wart był, a jako pisarz wytworny retorem więcej, niż historykiem nazwać się powinien. Mowy starożytnych, jako Tyta Liwjusza, w nim się odbijają. Pięknie to brzmi, ale gdy się działo, inaczej wyglądało.

Sąd mój przecież o nim wstrzymuję, bom, nie lubiąc go, mógł być za surowym.

Gdy te pierwsze miesiące panowania Aleksander spędzał na Litwie z Ciołkiem swym, z młodym Glińskim, z Łaskim i wśród krzyżujących się różnych wpływów, bo tam już dwa obozy się złożyły i stały przeciwko sobie, i my też nie spaliśmy, a krzątali się czynnie.

W Wilnie Ciołek, teraz do najwyższych dostojności się dobijający, aby sobie przeciw nieprzyjaciołom, ja-

kich miał w Polsce, sprzymierzeńców zyskać, związał się pono z Glińskim i innymi. W Krakowie powiadano o tem głośno.

Aleksander, jakim zamłodu był, takim się okazał po wyborze. Dobry, łagodny, uprzejmy, nikomu nigdy nic nie umiejący odmówić, dawał sobą zawładnąć tym, co za niego rządzić chcieli. Zrozumiał to bardzo bystry kniaź Gliński, a Ciołek go prowadził, bo dawniej Aleksandra znał.

W Polsce zaś także niemałej wagi sprawy się przygotowywały.

Ponieważ król mnie podkomorzym swoim mianował i z obowiązków miałem każdego czasu wstęp na pokoje, a znano to, iż nigdy z nich słowa nie wyniosłem, miałem tedy zręczność przysłuchiwać się wszystkiemu, wiedzieć o wszystkiem, w wielu sprawach nieraz być pytanym i użytym.

Najgłówniejszą myślą króla było zawrzeć wielki sojusz, skupić siły, opanować Wołoszę i stamtąd iść na Turka. Nie tajono się z tem. Rycerstwo, choć wojną się nie brzydziło i byłoby jej rade, za jakimś podszeptem idąc, poczęło wołać, iż wielka wojna ta nie co innego ma na celu, tylko, aby szlachtę i możnych wytępić, a nad królestwem zaprowadzić rząd samowolny.

Przypisywano to radom Kallimachowym; stąd na Włocha zajadłość wielka i spiski takie, że bez straży poza miasto nie mógł się oddalić.

Trafiało się, co sam widywałem, że jadącemu ulicą w kolebce, bo w ostatnich czasach starosta gostyński inaczej się nie ruszał z domu, pod nos niemal szlachta z pięściami zaciśniętemi podjeżdżała i głośno się odgrażała.

Strzec go musiał i król, bo bardzo był do niego przywiązany i wielkiemu rozumowi ufał bez miary.

Z jego porady naprzód w tajemnicy został zawarty sojusz pomiędzy czeskim Władysławem a naszym panem, którzy sobie wzajem poręczali oba, jeżeliby poddani ich przeciw nim coś zamierzali, wspomagać się

i bronić. Tak, że gdyby w Pradze rycerstwo burzyło się, Olbracht miał Polaków słać i wzajemnie.

Spisano to i przypieczętowano, a miało pozostać tajemnem; ale król nasz, gdy dobrej myśli był, wygadywał się z każdą rzeczą, choć niby się chwalił tem, iż do jego duszy nikt zajrzeć nie mógł i powiadał, że gdyby koszula myśli jego znała, zarazby ją spalił. Tymczasem on sam gorzej się zdradzał, niż wszelkie koszule.

Tak i z tym traktatem, o którym gdy się wieść rozeszła, przeciwko Kallimachowi i królowi okrutnie umysły podniosła. Wrzawa była taka, że na jakiś czas musiał z Krakowa zniknąć, choć niedaleko się ukrywał.

Następującego roku w grudniu i styczniu mieliśmy ciepło takie, jakgdyby już wiosna przyjść miała, aż w poście mrozy i zima powróciły srogie, a z niemi dużo chorób i śmiertelność znaczna.

Ponieważ mnie służba podkomorska prawie ciągle w Krakowie trzymała, a codziennie mogłem u matki bywać, podczas jeść, czytać jej, służyć, być pomocą we wszystkiem — więc się nie przeciwiła temu, abym zostawał przy królu. Było to dla niej rozrywką, żem przychodząc, mógł wiadomość jaką przynieść nie tylko z naszego dworu, ale i z Litwy, gdy stryjeczny jej, Gastold, zwany Białym, przy Aleksandrze wojskowo służył i przepowiadano mu wielkie a przeważne stanowisko.

Z jednem tylko pokoju mi nie dawała, to, abym się żenił koniecznie, choć tłumaczyłem jej, że na ochocie mi zbywało i szczęścia się już w małżeństwie nie spodziewałem.

Nic mi nie mówiąc, matka podtenczas fraucymer swój zaczęła powiększać i zmieniać. Uważałem to, że dziewczęta brała szlacheckie, co najurodziwsze... a gdym przychodził, to jedną, to drugą przywoływała i trzymała, rozpytując, wciągając w rozmowę, a spoglądając na mnie, czy też która nie przypadnie mi do serca.

Jednego dnia patrzę, wchodzi dziewczę młodziuch-

ne: o małom nie krzyknął — istny obraz tej Luchny, takiej, jakąm ją po raz pierwszy owego wieczora u Kridlara widział. Podobieństwo było tak uderzające, żem osłupiał i pewnie się to na mojej twarzy objawiać musiało.

Matka jakby nie postrzegła nic, dosyć obojętnie objaśniła, że to była rodzona siostrzenica Luchny. Przeszło mi wprawdzie przez myśl, że nie bez zamiaru ją tu może sprowadzono, lecz, Panie Boże odpuść, ja już szpak, a to ledwie podlotek.

— Ślicznaby była para! — rzekłem sobie — przypiął kwiatek do kożucha.

Głowy sobie nią nie zawracając wcale, zeznam jednak, że mi na nią patrzeć i słuchać jej szczebiotania bardzo miłem było. Przypominała mi dziwnie nie tylko głosem, ruchami, ale mową i całem obejściem się ciotkę swą i macochę... Dziewczę śmiałe było bardzo, a i matka się do niego przywiązała prędko i w domu, można powiedzieć, ona teraz ruch cały i życie nadawała. Ciągnęło mnie pod Złoty dzwon, zasiedziałem się czasem dłużej, to prawda, lecz żebym myśli jakie miał, nie przyznam się, bom je za śmieszne i grzeszne uważał, a temu kwiatkowi życzyłem lepszego szczęścia, niż to, jakie ja dać mogłem. Alem nałogowo przywykł do niej, a i ona mnie wujaszkiem przezywając, bardzo mile za każdym razem witała.

W następnym roku, ponieważ ów sojusz z Władysławem wydawał się niedostatecznym Kallimachowi i Olbrachtowi, uradzili znowu, niby to tajemny, choć o nim naprzód miesiącami kilku gadano, zjazd na Spiżu w Lewoczy.

Miał się tam stawić Władysław, Olbracht, powoływano Aleksandra, ale nadaremnie. Zygmunt i Fryderyk jechali z królem.

Fryderyk, choć i biskup i arcybiskup, dwakroć pasterz, a teraz już kapłan też, choć miał dosyć do czynienia w diecezjach obu, od sprawy publicznej nigdy nie odstawał i nie uwalniał się od niej. Gotów był wojskiem dowodzić, jak w Piotrkowie, w radzie zasiadać,

wielkorządy sprawiać i głowę miał po temu. Statku tylko, jak i u Olbrachta, nie było! Oba uczniowie Kallimachowi, duchem jego przejęci, płochością też zarażeni byli.

Na ten zjazd gotowaliśmy się długo, bo choć wiosną lada gdzie można się schronić, zameczek był niecałkiem godzien mieścić takich gości i drugi raz pono dwu królów i książąt widzieć u siebie nie miał.

Wysłał mnie tam król przodem z oponami, kobiercami, sprzętem, kuchnią i ludźmi, aby w tych nagich ścianach izby oczyścić i przystroić. Znalazłem, prawda, ściany gołe, nie wszędzie podłogi, okna niespełna błonami opatrzone, aleśmy to w Krakowie przewidywali. W kilka dni więc wyporządziły się sypialnie dla panów, jadalna izba czysta i pokaźna, i jedna do obradowania, którą król tak chciał mieć położoną, aby go tam nikt w świecie podsłuchiwać nie mógł. Ja miałem ciągle stać u drzwi na straży, aby się do nich żywa dusza pod żadnym pozorem przybliżyć nie śmiała.

Choć kwiecień już był za pasem, ale w tym górzystym kraju jeszcze wiało jakby zimową aurą, potrzeba było palić na wielkich kominach, ale nie wszędzie się znalazły. W murach chłód był przejmujący, ale też panowie i my kożuchów nie zrzucaliśmy, nawet do stołu.

Prawie razem przybyli wszyscy do Lewoczy w piękny dzień kwietniowy, dnia 17-go, chociaż rychło potem, jak to w tym miesiącu nie nowina, niebo się zachmurzyło i śnieg sypać zaczął.

Władysław najstarszy dobrze i pańsko, a zdrowo wyglądał, jako to zwykli ludzie, którzy albo trosk nie mają, lub im do serca przystępu nie dają. Uśmiech prawie z ust jego nie schodził.

Olbrachtowi zawsze pilno bywało brzemię spraw poważnych co rychlej z karku otrząść, aby dobrej myśli zażywać, lecz wszyscy dnia tego byli znużeni, a po długiem niewidzeniu bracia się chcieli sobą nacieszyć. Stół miałem przygotowany i jedzenie gotowe, do które-

go gdy zasiedli, ani się spostrzegli, do nocy przetrwawszy.

Czeski król pierwsze swe lata na Pradze opowiadał. Było czego posłuchać, o różnych swatach, z jakiemi chodzono około niego, Olbracht już o przyszłości zagadywał. Zygmunt milczał i słuchał więcej, niż mówił, słowem rzucając rzadkiem, ale mądrem. Śmiechu najwięcej sprawiał Fryderyk, a i Kallimach po dobrem winie, słaby żołądek ogrzawszy, począł dowcipy swe na popis wywodzić.

Dnia tego jednak do żadnych narad nie przyszło; postanowiono tylko, nie zwlekając ich, już nazajutrz rano rozpocząć, a nie rozstawać się, dopókiby one do dobrego końca doprowadzone nie były.

Gdy już spać się rozchodzić mieli, mój pan czeskiego zagadnął głośno, czy w Pradze miał dziewczęta ładne? Zygmunt odszedł, odpowiedzi nie będąc ciekawym, a trzej pozostali z Kallimachem długo jeszcze, śmiejąc się, rozprawiali, którym niewiastom przyznać należało pierwszeństwo.

Włoch i król za włoskiemi głosowali, czemum się nie dziwił, bo wiedziałem, że po owym wieczorze, kiedy Lenę na kolanach młokosa zobaczył, Olbracht trzy tygodnie znać jej nie chciał, a potem dał się odurzyć i powrócił do niej.

Nazajutrz, ledwie się polewki napiwszy, siedli radzić. Stałem u drzwi na straży i słowo jedno mi nie uszło z tego, co mówili.

Olbracht nasz, kiedy chciał, wielce wymownym był, a dnia tego przygotował się gorąco i wytwornie sprawę swą popierać; począł od tego, jako obowiązkiem ich było i dobrze zrozumiałem dobrem własnem, silnie a krzepko i wytrwale ująć się za ręce, iść razem zgodnie i wszelkie siły przeciw każdemu wrogowi jednego z nich obracać.

— Wzywałem do nas Aleksandra — dodał, — bo go prędzej później z sojuszu nie wyłączam; Litwini go odciągnęli, nie chcąc w niczem Polsce się dać powodować, natenczas więc bez niego musimy wiązać się

i obradować. Zechce później do naszego sojuszu przystąpić, otworzymy mu ramiona.

Pan Bóg pobłogosławił plemieniowi naszemu nienadaremnie, oto litewski ród posiadł koronę polską, czeską i węgierską, ale na tem nie dosyć. Stoi przeciwko nas napastnik, przybłęda, poganin Turek, który już zalał część ziem, jakie się nam należą, są nam krewne i od Boga na dziedzictwo przeznaczone.

Nieinaczej rozumiem wybór mój na króla Polski, tylko jako wskazówkę i nakaz, abym poganina pogromił i ludy, w niewoli sromotnej jęczące, oswobodził. Wiem, że to rzecz jest trudna, ale wielka, *Audaces juvat fortuna!* Nie sam jestem! Czterech nas, a królestw do zdobycia więcej, niż nam potrzeba.

Słuchali, gdy mówił długo i pięknie, nikt nie przeczył, dawał znaki przyzwolenia Władysław, uśmiechał się Fryderyk, który już to nieraz słyszeć musiał. Zygmunt siedział z oczami w stół wlepionemi. Nie rozgrzał się wcale mową brata, był napozór zimny.

Kallimach czynił takie różne poruszenia, jakgdyby go to niecierpliwiło. Aż na zakończenie, kiedy Olbracht począł już triumfy przyszłe głosić i Konstantynopol opanowywał, Włoch syknął.

Obrócili się wszyscy ku niemu. Mówić zaczął powoli.

— Wszystko to bardzo piękne — rzekł, — ale aby podboje olbrzymie do skutku przyprowadzić, nie doznając w nich przeszkody, nie potrzebując się co chwila odwoływać do zjazdów, do panów rady, od czego naprzód począć należy? U siebie w domu potrzeba inny rząd i ład zaprowadzić! Wy, miłościwy królu — rzekł, zwracając się do Olbrachta, — chcecie i powinniście być głową i wodzem tego związku, a no patrzcie, czy doma panem jesteście? Czem wy rozporządzacie? Polski król, malowany król, żaden jest, doża wenecki ma nad niego więcej mocy i swobody.

— Wielekroć już mi to powtarzaliście — odparł Olbracht, — lecz jaka na to rada?

— Powtarzałem ją nieboszczykowi ojcu waszemu

nieustannie — dodał Kallimach, — a mam tak na sercu wielkość waszą i szczęście, że do znużenia i zdechu o jedno wołać będę, jako ów Rzymianin, który powtarzał: *Delenda Carthago*... ja zaś głosuję: *Delenda libertas polonorum!* Dopóki oni te swobody mają, wy niewolnikiem jesteście, królu!

Olbracht spuścił oczy.

— A jakże dojść do wyswobodzenia? — westchnął.

— Trzeba iść, a dojdziecie — mówił Kallimach gorąco. — Dlatego sądzę, że dziś o poganinie, o Wołoszy, o wojnie mówić za wcześnie, a naprzód do najpilniejszego wziąć się należy dzieła. Niema już co zwlekać, ziemianie i możni niebezpieczeństwo zwietrzyli... działać potrzeba, zostać panem w domu. Bez tego wojny i podboje — marzeniami! Wiem to, iż samą groźbą ukrócenia ich rycerstwo zawczasu gotuje na zjazdy przyszłe jeszcze większe, niż kiedykolwiek, wymagania przywilejów. Czekać nie można, aż wystąpią z niemi.

Olbracht sposępniał, a Władysław łagodnym głosem, zwróciwszy się do Kallimacha, zapytał, jakiemi środkami możnaby dojść do celu?

— Jeden jest właściwie — zawołał Włoch, — jeden: siła! Lecz ona w różne się formy przyobleka. Trzeba popełnić gwałt, by zrazu burzy całej nie wywołać. Wiem to z opowiadań statystów waszych i z aktów, które mi ukazywał Długosz, z samej historji jego, bo część jej czytałem, że od Ludwika węgierskiego korzystali panowie i ziemianie z każdej okoliczności, aby coś dla siebie z władzy monarchów oderwać i przyswoić. Dziś tu już król lalką jest, a ta ciżba, której kilku magnatów przewodzi i znaki daje — wszystkiem. I wam to wojnę prowadzić, gdy o każdy lichy grosz dopraszać się potrzeba, a potem słuchać wymówek, że król go do własnej sprzątnął szkatuły.

Tu Kallimach trybem ludzi, jedną myślą opanowanych, począł gadatliwie znowu powtarzać, co król pewnie sto razy z ust jego słyszeć musiał:

— Żadnych nowych przywilejów, żadnych praw nowych, bo te wszystkie wy, jak wyroki, na siebie pod-

pisujecie. Zjazdy samowolne rozpędzać, są to jawne spiski... król je ma tylko prawo zwoływać, a nie powinien wołać. Gdzie tłum, tam bunt z niego. Ziemianom wojna i powołanie pod chorągwie powinna być nieustannym strachem. Grozić nią potrzeba. Nie zechcą iść, niech dadzą pobór na zaciągi, z którego połowę do skarbca zamknąć. Z poddanymi rachunków niema! Będą krzyczeli, miotali się, odgrażali nawet, lecz znacie ich, jako i ja teraz znam... u nich wszystko w gębie. Gdy się wykrzyczą, koniec na tem.

Roześmiali się wszyscy, jam się za drzwiami zarumienił ze sromu; było w tem trocha prawdy gorzkiej, ale w ustach obcego brzmiała mi jak obelga.

Olbracht śmiał się z innymi.

— Wszystko to zdrowe rady, ale na to lat trzeba.

— I dlatego to od jutra należy poczynać, nie ociągać się — rzekł Kallimach.

Nastąpiła chwila milczenia; Kallimach zadumał się nieco i począł dalej:

— Wojna ta zresztą, czy ona przyjdzie czy nie do skutku, jest dobrą, bo ją możesz i powinieneś wyzyskać. Żadne prawo nie wzbrania królowi wojsko sobie, bodaj cudzoziemskie, za swój miły grosz zbierać, zaciągać, gromadzić, obsadzać niem grody, trzymać je przy sobie. Przeciwko butnemu rycerstwu własnemu to najlepsza tarcza i obrona. Nie będą się ważyć tak śmiało występować, widząc, że siłę masz.

— Kosztowna rzecz — odparł król.

— Ale się nagrodzi! — zawołał Kallimach.

Milczący dotąd Zygmunt zwolna podniósł głowę, a Olbracht, który zdanie jego wysoko sobie ważył, zwrócił się ku niemu, oczekując, co powie.

Na poważnej twarzy młodzieńca widać było jakby walkę przekonania z pewną nieśmiałością. Musiał wystąpić przeciwko takiej powadze, za jaką był tu uważany zdawna Kallimach. Sumienie mu to nakazywało, trwożliwość pewna wstrzymywała. Począł naostatek zwolna.

— Za złe mi nie miejcie, mistrzu — odparł, — iż

się wam wogóle sprzeciwić muszę, bom z tego, co o naszym kraju czytałem, com słyszał, czegom od ludzi, obcując z nimi, nauczył się, innych co do rządu polskiego nabrał przekonań. Dajcie mi ucho cierpliwe. W całej niemal Europie, u was też we Włoszech, książęta i monarchowie — są to zdobywcy albo spadkobiercy ich, i wszystkie rządy wynikły z podbojów, więc stosunek ich do narodu zachował charakter niezatarty — nieprzyjaźni i walki. W Polsce jest i było inaczej. Tu panowali swoi, albo wybrani. Nigdy u nas król poddanych za wrogów, a oni go za ciemiężyciela i nieprzyjaciela nie uważali. Nie walczono więc wzajemnie, ale usiłowano wolność narodu z godnością i władzą monarchy tak pojednać, aby one zgodnie dla dobra powszechnego pracowały. Wy po zachodniemu radzicie nieufność, a w ostatku złamanie praw zaprzysiężonych... U nas to rzecz niesłychana, a wątpliwa, czyby się spełnić dała. Król na takim burzliwym zjeździe powinien wystąpić jak ojciec, mówić z nimi, jak z dziećmi, zresztą swobody ich poszanować, bo one dla panującego są też dobrodziejstwem, nie dając mu nadużyć władzy, od której się najtęższa głowa zawraca.

Kallimach, słuchając, uśmiechnął się szydersko.

— Jest to jedyny sposób — odparł, — abyście u poddanych wiecznie byli w niewoli, a może i razem z nimi popadli w niewolę u obcych. Zygmuncie mój! — począł żywiej. — Gdybyście obaj siedzieli w kraju, któryby ze dwóch stron morzem był oblany, a z dwu drugich niebotycznemi obmurowany skałami, w kraju niedostępnym napaści nieprzyjaciela... ba! tamby wam, jak Platonowi na wymyślonej wyspie, wolno sobie było marzyć rząd taki ojca nad dziećmi; ale w waszej Polsce na cztery wiatry otwartej, na którą godzą wrogi ze wszech stron, w tej Polsce, co musi być cała wojskiem, cała obozem, możnaż inaczej rządzić, jak po hetmańsku? A hetman jestli czem innem, jak despotą? Musi nim być, bo mu się wojsko rozprzęże.

Zygmunt słuchał z natężeniem, a chciał odpowiedzieć coś, gdy Olbracht uderzył go po ręce i szepnął:

— Daj raczej dokończyć Kallimachowi.

— Powracam ja do mojego założenia — rzekł Włoch, — że teraz u was niema pilniejszego nieprzyjaciela do złamania nad możnych i związane z nimi duchowieństwo. Drobni panoszowie idą za nimi; nie stanie ich, będą królowi służyć. Możnych należy zubożyć, złamać, bezsilnymi uczynić. Na to są tysiączne środki. Czemu miast nie podnosicie, nie dacie się bogacić kupcom? nie opieracie na nich? To naturalny nieprzyjaciel możnych, którzy ich dumą, wzgardą, odsuwaniem od wszystkiego do najwyższego narazili stopnia. Mieliśmy przykład na tym dniu, który mi opowiadano, gdy Tęczyńskiego ubito w Krakowie. We Włoszech miasta są potęgą.

— Tak — przerwał Fryderyk ze śmiechem, — ale pamiętajcie, że wasi tyrani nieraz też z niemi ciężkie przejścia mieli.

— U nas położenie było inne, przeszłość inna — rzekł Kallimach; — wy swój stan mieszczański możecie sobie ulepić, jak zechcecie, macie miękką glinę. Powtarzam wam: toć naprzód są to złotodajne pszczoły, które miód zbierać umieją, a wy go podbierać powinniście; a potem to wrogi możnych, a wasi sprzymierzeńce.

— Tak — dodał po chwili namysłu, — mówiłem to nieboszczykowi ojcu i powtarzam wam: możni z duchownymi wziąwszy się za ręce, tak jak tu zdawna rej wodzili, chcą przy sterze pozostać. Arcybiskupi tron stawią obok królewskiego.

— Mnie dotykasz! — rozśmiał się Fryderyk.

— Ty jesteś arcybiskupem szczęśliwego przypadku, ale po tobie przyjdą Oleśniccy — odparł Kallimach. — Znacie mnie, iż z Rzymem i papieżami nie trzymam — dodał. — Potrzebny jest Rzym, jako głowa kościoła, aby ten kościół bez klucza w sklepieniu nie rozpadł się na kościołki, a ludzkość na kupki bez związku. Jeden pasterz i jedna owczarnia — piękna myśl! A no i małym pastuszkom po mniejszych zagrodach niechby była daną swoboda owieczkami swe-

mi rządzić. Dotąd w Polsce dwóch mieliście królów, jednego na tronie, drugiego na biskupim stolcu; duchowieństwo sobie dobierało takich ludzi, coby mieli odwagę skakać panu do oczów. Oburzył się król... odpowiedział kapłan: ubij mnie, gotów jestem na męczeństwo. Tak kardynał Oleśnicki Jagiełłę w swej podległości trzymał. Koniec temu położył ojciec wasz, ale duchowieństwo nie śpi, kapituły się nie zrzekły prawa wyborów, Rzym może zechcieć powrócić do nominacji biskupów. Zezwolicie na to... królem być przestajecie.

Fryderyk, na łokciu podparty, słuchał z nieco szyderskim wyrazem twarzy.

— Kallimachu! — odezwał się, — *audiatur et altera pars,* jako arcybiskup i biskup krakowski, choć słowo mieć muszę. Wy stanowczo tylko przemawiacie za tyranami, nie za interesami ludzkości. Zowiecie się humanistami, prawda? a stajecie rzecznikami siły zwierzęcej i pięści.

— Zaprawdę tak! Ani się tego, jako humanista, zapieram — wykrzyknął Kallimach, — bo jestem przekonany, że ludzkość bez rozumnych tyranów sama do niczego nie dojdzie. Co z tej gawiedzi i tłumów, które lecą pędzone lada wiatrem, nie wiedząc, dokąd i poco? Tylko na dworach książąt gnieździ się nauka, kwitnie sztuka, mają przytułek uczeni i poeci. Tłum ich ani ocenia, ni rozumie, ani nakarmi, ni laurem nie opasze skroni. Ludzkości potrzeba takich wodzów silnej dłoni, silnej woli, wielkiego serca.

Wszyscy umilkli na chwilę.

— Dlatego, że was kocham, jako dzieci ducha mojego — mówił dalej Kallimach, — daję te rady, chociaż wiem, że dla nich znienawidzony zostałem. Powiem więcej, tu w Polsce zgoła trzeba wszystko odmienić. Zjazdy i posły od ziemian powoli zagubić i puścić w niepamięć... oni wam zawsze prawa dyktować będą. Zażądają zjazdu, wołajcie pilno na wojnę. Zbiorą się samowolnie, macie wojsko zaciężne, niech go stanie

tyle, co posłów... zmiękną im rogi. Dopóki będą sejmy, póty wy władzy mieć nie będziecie.

Olbracht wstał, trochę już zniecierpliwiony, rękami objął za szyję Włocha, pochylił się ku niemu i rzekł:

— Wszystko to są wstępne rzeczy, które ja mam zapisane głęboko w pamięci, alem przybył tu z braćmi radzić nie o tem, mistrzu mój, a o wojnie. Wojna mi potrzebna, wojna dla mnie nieunikniona, jako droga i do tych celów, które wy mi wskazujecie. Chcę począć od Wołoszy. Zygmunt na Śląsku marnować się będzie. Jego tam na hospodarstwie posadzić trzeba, odjąwszy je zdrajcy, przewrotnemu Stepankowi.

Kallimach głową poruszał zadumany.

— Powiecie znów, że po włosku wam radzę — rzekł. — Wojna z tym Stepankiem dużo krwi i pieniędzy kosztować będzie. Możnaby jej uniknąć.

Tu zniżył nieco głos.

— Posłać mu na dwór ludzi zręcznych — kończył, — którzyby u niego łaski umieli wyjednać, a drugich razem przeciw niemu zniechęcali. Zasiać mu tam bunt i zdradę. O puginał łatwo, a można stać na granicy, aby z zamieszania korzystać. Sam wam Wołosz wpadnie w ręce.

Olbracht się skrzywił.

— Nie — rzekł, — wstępnym bojem uderzę na niego; potrzeba mi, bądź co bądź, szlachtę wyprowadzić i samemu zażyć rycerskiej sprawy. Wojna więc... wojna na Wołoszę!

— Jam wcale nie żądny Wołoszy — odezwał się Zygmunt. — Kraj to niełatwy do rządzenia. Turek u boku, lud raźny, który znać trzeba, barbarzyństwo wielkie. Ja w sobie sił po temu nie czuję.

— Znajdą się one — przerwał Olbracht.

Wtem i Fryderyk począł.

— Ta wojna z Wołoszą zda się niebezpieczną — dodał. — Może później okaże się ona łatwiejszą, a okoliczności jej sprzyjać będą lepiej; dziś tobie, Olbrachcie, rozpatrzeć się w domu, umysły sobie tak zjednać, abyś do walki, o której mówi Kallimach, znalazł poparcie.

Wszyscy mi to przyznacie, że nam się naprzód u siebie w domu potrzeba mocniej usadowić. Panowanie ojca tak długie i szczęśliwe dziwnym sposobem zakończyło się tem, że po nim Piastów napowrót zażądali. Liczmy naszych przyjaciół i zwolenników: ani król, ani żaden z nas wielu ich nie ma. W narodzie nie znajdujemy poparcia. Sługi mamy, partji żadnej. Stwórzmyż ją sobie, abyśmy, mając się o co oprzeć, śmielej kroczyli dalej. Wprzód, nim tępić zaczniemy nieprzyjaciół, zróbmy sobie druhów. Tych samych możnych, co teraz zastępem przeciwko nam stoją, trzeba rozerwać i poróżnić. Jednych sobie łaskami pozyskać, aby w drugich zazdrość obudzić. Jak skoro niezgodę posiejemy w ich obozie, panami jesteśmy.

Kallimach, słuchając, w ramię pocałował ucznia.

— Oto są złote słowa! — zawołał — i widać, że nauka moja w las nie poszła. Fryderykowi daliście biskupstwo i arcybiskupstwo, ale to są zaszczyty i chleb dla niego, a nie pole do działania. Czemuby nie osadzić go na wielkorządztwie Prus, aby zakon podkopać i obalić. Dopóki tam krzyżacy są, a za nimi Niemce i Rzym, we wnętrznościach waszych wrzód macie.

— Czuję ja to dobrze — rzekł Olbracht, — lecz wszystkiego razem przedsiębrać nie mogę, a wojna z Wołoszą, ten pierwszy krok do wielkiego wystąpienia przeciw Turkom, leży mi na sercu pierwsza.

Tu się rozpoczęły pomiędzy nimi rozprawy o możliwości wyprawy na Wołoszę, których ja jednem uchem słuchałem tylko i król mnie przywołał, dając rozkaz, aby choć chleba i wina przyniesiono, tak już czczym był i zmęczonym. Musiałem więc oddalić się na chwilę.

Odtąd szły narady około wyprawy tej i sił, jakie na nią potrzeba było przygotować. Chciał Olbracht mieć z sobą i Aleksandra, Litwę, i Tatarów, i krzyżacki oddział, i swoje zaciągi, i posiłki od Władysława.

Sam gotów był iść na czele wyprawy, hetmanem pod sobą czyniąc Zygmunta.

— A gdy wy kraj z żołnierza ogołocicie — rzekł Kallimach, — i wszyscy wyciągniecie na Wołcha,

jesteście tego pewni, że wam w domu możni i duchowieństwo, zwoławszy się na zjazd, nie wypowiedzą posłuszeństwa i nie okrzykną sobie Piasta?

— Nie sądzę, znając ich, aby im to niebezpieczeństwo zagrażało — odparł Olbracht; — jednak nie myślę kraju zostawić bezpańskim, a w lepsze go ręce powierzyć nie mogę, jak Fryderykowi.

Kallimach głową skinął, że myśl tę pochwalał.

— Bratu i królowi pewnie nie odmówię — odezwał się Fryderyk, — ale powtarzam wam: wyprawę tę uważam za przedwczesną, a gdyby się ona miała nie powieść, za zgubną. W takich wielkich przedsięwzięciach krok fałszywy odejmuje i ufność w siebie, i na długo obezwładnia. Lepiej nie poczynać, niż pośliznąć się, źle począwszy.

Olbracht podrażniony oburzył się, a był już po dwu kubkach wina.

— Bądź pewien — rzekł, — że jeśli pójdę, to z taką siłą, której się nic oprzeć nie zdoła. Liczę na sto przeszło tysięcy ludzi... Gdzież mi się to tałałajstwo wołoskie opierać będzie mogło? Kraj im niemi zaleję.

Wtem Zygmunt wtrącił zwolna:

— Pamiętaj, że te sto tysięcy karmić będzie potrzeba i że żołnierz głodny niesforny. Jabym wolał dobornego człeka mieć dwadzieścia, niż ciurów dziesięć razy tyle! Nie na liczbie polega powodzenie wojny, ale na najściu rozumnem i w porę, na znajomości kraju i ludzi, na wcześnie sobie porobionych pomocnikach.

Olbracht głową potrząsał.

— Mądre to są słowa — rzekł, — ale z Wołoszą, jak z Tatarami, gromadą trzeba iść i walczyć. Objemy im kraj... tem lepiej, głodni się poddadzą. Karmić nas będą musieli.

Fryderyk coś wtrącił, Kallimach milczał. Tak, aż do obiadu napróżno sobie wzajem myśli poddawano, roztrząsano, lecz na nie zgody nie było. Kallimach zawsze zdawał się naprzód ład w domu zalecać, Fryderyk go popierał, Zygmunt stanowczo nie mówił nic, a czeski Władysław, zkolei każdego mówcę pochwala-

jąc gorąco, widocznie własnego zdania nie miał. Zapewniał tylko Olbrachta, iż gotów jest zawsze przyjść mu w pomoc, gdy wojna raz będzie postanowioną.

We Władysławie wszyscy mieli pilnego słuchacza. Z uśmieszkiem na ustach obracał się ku mówiącym, ciągle dając znaki, iż zdania ich zupełnie podzielał. Wedle zwyczaju swego pocichu szeptał:

— Dobrze, bardzo dobrze!

Widocznie Olbracht mu swą wymową, Zygmunt powagą, Fryderyk żywością i dowcipem, Kallimach sławą wielką imponował. Czuł się jakoś małym między nimi — ale rad był, że go przypuszczono; a wreszcie przywiązanie jego do braci szczere i serdeczne czyniło gotowym do podania ręki. Czuł się tem bardziej w obowiązku dowiedzenia im, iż nie chciał zrywać z nimi, że testament ojca, gniew jego, wydziedziczenie mocno mu na sercu leżało. Płakał, gdy mówił o tem.

Cały dzień zszedł na naradach mniej więcej tej samej treści i nie sądzę, ażeby, oprócz ogólnych obietnic wzajemnej pomocy, nierozerwanego braterskiego związku, coś tu stanowczego postanowiono.

Wojna, przy której Olbracht twardo obstawał, uznana w tej chwili za niemożliwą jeszcze, odłożoną nieco, ale zaniechaną być nie mogła. Zręcznie za nią przemawiał król i umiał okazać Kallimachowi, iż nawet do pokrzepienia władzy przyczynić się ona musiała.

Pół dnia potem jeszcze gwarzyli z sobą o młodszych latach. Władysław oddawał upominki dla matki i sióstr. Wzajem się poobdarzali bracia, a zgóry można pewnym być, iż ani Kallimach o sobie nie da, ani o Kallimachu zapomnieć mogą. Skorzystał więc najwięcej Włoch, który złoto lubił i do niego się zręcznie przymawiać umiał. Naostatek, po serdecznych uściskach, kielichach i wykrzykach, wszyscyśmy razem opuścili Lewoczę, bo i ja tu już z wozami nie miałem co robić.

Nieraz potem słyszałem opowiadania o tem, co się tam w takiej tajemnicy na zameczku w górach dziać mogło, co tam radzono i postanowiono? Nie mówiłem

nikomu, czegom był świadkiem, ale zapisać to tutaj mogę, iż w istocie słów było wiele, ale z nich wkońcu nie wykluło się żadne dojrzałe ziarno.

Powróciwszy do Krakowa, pośpieszyłem do matki, która niespokojnie na mnie oczekiwała, a rad też byłem zobaczyć i to kurczątko do mojej Luchny tak podobne. Rozumie się, że matka też mnie na spytki wzięła, nad czem obradowano; alem, nie kłamiąc, mógł powiedzieć, że bracia się do siebie zbliżyć i wzajemną sobie przyjaźń poręczyć chcieli. Król, powróciwszy, wziął się niepomału do spraw publicznych, aż z miłem zadziwieniem patrzałem nań, sądząc, że się płochego życia wyrzecze. U niego jednak najsprzeczniejsze rzeczy szły w parze.

Wieczorami już nie mnie biorąc, ale Bobrka i dwu innych, bom ja mu zawsze czynił wymówki, w lada opończy włóczył się po mieście. W tym roku przyszło do tego, z powodu pono skarg mieszczan i zaburzenia czasu krzyżaków, o którem pisałem, że wszystkich Żydów z miasta precz wysadzono na Kazimierz pod mury, koło kościoła Św. Wawrzyńca.

Lamentów i łez było dosyć, raz, że w mieście bezpieczniejszymi się czuli, powtóre, że tu już osiedleni, nawykli byli i domostwa swoje mieli. Mieszczaństwo jednak nalegało, a król, wedle rad Włocha, z panami mieszczany chciał żyć dobrze.

Strach też niemały miałem czasu tego ogromnego pożaru, jaki w roku tym nawiedził nieszczęśliwy Kraków, który mało nie co parę lat palić się musiał.

Wszczął się ten pożar nocą, niewiadomo z jakiej przyczyny, gdyśmy wszyscy spali, a że i rynkowi i domom w nim zagrażał, co tchu biegłem w pomoc matce.

Popłoch od tych płomieni, które na wsze strony się rozlewały, bo gdzie wiatr zaniósł płacheć dachu, wnet na drugich gonty gorzały... a gdy się zajęły one i strychy pełne słomy a siana, tam i domu ratować nie było podobna.

Pókim żyw, widoku tego nie zabędę, bom ludzi w pierwospy zbudzonych nigdy tak wylękłymi nie wi-

dział. U Kallimacha czeladź wyrzucała wszystko z domu na podwórze, a on sam oburącz wynosił księgi i okrywał je. Kardynał Fryderyk z ludźmi kazał swoje sprzęty na wozy kłaść, tak się też uląkł o nie.

Gdym czasu tego pożaru ciągle prawie około matki i jej domu się kręcił, nie mogąc opuścić zwłaszcza, że nadzwyczajną miała trwogę ognia, nad ranem już namówiwszy staruszkę, aby się położyła, zapewniłem ją, że nie odejdę, ale na dole zostanę. Tak też i uczyniłem; poszedłem do Sliziaka, który teraz większą część dnia w łóżku spędzał, usiadłem przy nim, a że stary kwaśny był, rozweselałem go, jak mogłem. Niełatwa to rzecz była.

Gdyśmy tak gawędzili sami siedząc, ujął mnie Sliziak za rękę i powiada:

— Głupią rzecz ci muszę wyjawić, ale mi się zda, że już dłużej taić przed tobą nie można.

— Cóż tam znowu takiego? — zapytałem.

— Pamiętasz dzień — począł szeptać pocichu, — gdyś się tu schronił wraz z królem? Ja nie wiem, czy naówczas Kinga była już u nas, czy on ją widział?

— Nie! — odparłem. — Kinga przybyła później.

— Gdzież król Kingę napatrzył? — zamruczał Sliziak.—Nie wiem, ale to wiem, że na nią poluje... że tu od niego posły w podwikach i różne szpiegi z podarkami nadchodzą i że mu w oko wpadła.

Strasznie mnie to oburzyło; mogę powiedzieć, że cała miłość i poszanowanie, jakie miałem dla króla, odrazu z serca mi wypadły, taki gniew mnie uniósł.

— Mało ich ma po całem mieście — krzyknąłem,— żeby po szlacheckie, uczciwe dziewczęta śmiał sięgać i starał się je bałamucić. Przecież Kinga umiała posły odprawić, jak należało, w oczy im napluwszy?

— Tak jest — rzekł Sliziak, — ale to nie pomaga. Królowi zdaje się, że, jako król, może, czego pragnie. Uparty jest. Widzę, że zabiegi nie ustają. Dlatego powiadam ci, abyś przy zręczności królowi twemu dał to uczuć, iż tu, oprócz wzgardy, nic nie pozyszcze.

Tak mi się to dziwnem wydawało, co słyszałem od

starego, żem niebardzo mu wierzyć chciał. Dobadywałem o szczegóły i przekonałem się, niestety, iż w istocie było, jak mówił.

Źli ludzie go na to naprowadzili. Niemało było takich, co mi zazdrościli wszystkiego; ci, rozpowiadając o mnie, wystawili królowi Kingę, jako moją kochankę, czy narzeczoną, i tak mu ją opisali, jako cudo piękności, iż ją widzieć zapragnął; pokazali naostatek, a że się zapalał łatwo, poszła za tem reszta.

Miał dotąd Włoszkę, której nie opuszczał, albo raczej ona go się, jak kleszcz, trzymała; miał mieszczankę ledwie piętnastoletnią, we fraucymerze królowej nie brakło przyjaciółek, lecz jemu codzień potrzeba było coś nowego. O Włoszce mówił, że była mu chlebem powszednim, a oprócz chleba potrzebował kołacza i łakoci.

Tak sobie, wzorem mistrza, ze wszystkiego trefnie żartował.

Powróciłem na zamek z mocnem postanowieniem przy pierwszej zręczności królowi wymówić, że domowi, w którym schronienie mu dałem, srom chce czynić. Ale sam go o to zaczepić nie śmiałem i nie mogłem, trzeba było czekać zręczności.

W pierwszych tych latach, choć król serc sobie pozyskać nie umiał, niewiarę budził, a wielka jego miłość i ufność w Kallimachu odstręczała od niego, nie można powiedzieć, aby się nieszczęśliwie wiodło.

Z tych, co stali na czele obozu przeciwnego, kilku znaczniejszych zmarło, co zawsze rozprzęga i osłabia. Mazowieckich książąt Piastów miał zręczność sobie pozyskać, puszczając te części Mazowsza, które na niego spadły. Ziemianie burczeli, ale zdaleka. Tymczasem powoli, wedle rad mistrza, ściągały się zaciągi obce, przez króla płatne i od niego tylko zależne. Można powiedzieć, że z królów ostatnich żaden tak ciągle w wojsko gotowe na wypadek wszelki nie był zasobny, jak Olbracht, a i on też sam, co mu wyrzucano, nigdy z łóżka nie wstał nawet, nie przypasawszy mieczyka. Nazywał go najlepszym przyjacielem.

Wszystko to było owocem owych włoskich nauk, bo myśmy królowi to wrażali, że u nas panowie chadzali bezbronni, nie obawiając się nikogo i nieprzyjaciół w poddanych swych nie mieli.

Nienawiść przeciwko Kallimachowi rosła ciągle, podżegana tem, że o radach jego, królom dawanych, nietylko prawiono szeroko, ale je złośliwi ludzie spisywali tak, aby go podać w ohydę i kartelusze te sobie z rąk do rąk podawano. Mało kto ich naówczas nie znał i nie czytał.

To był pierwszy powód nienawiści, drugim zaś zazdrość. U Olbrachta zajmował on stanowisko wyjątkowe, tak, że najwyżsi urzędnicy, gdy szło o sprawy krajowe, do niego iść i odnosić się musieli, bo bez niego nic poczynać nie mogli. Panował więcej, niż król, bo nad królem panował.

Tak samo mu uległ Fryderyk i był całkiem oddany, najmniej Zygmunt, który też rad już pod ten czas na Śląsku siedział u siebie, a jeden głos był, iż się tam rządził jako nie można lepiej. Ale ten do braci, jak niebo do ziemi, nie był podobny. Mówił mało, szedł powoli, kroki mierzył, za wiele nie pragnął, a nadewszystko kraj znał i stosował się z wędzidłem do rumaka. Tu zaś włoską uzdę chciano na polskie, z pozwoleniem, pyski wcisnąć gwałtem.

Coby z tego wynikło, gdyby Kallimach dłużej na tym świecie pozostał, przewidzieć trudno. Nienawiść ku niemu była już w roku ostatnim życia jego taka, że nie bez przyczyny jawne i potajemne straże około domu jego dniem i nocą stawić było potrzeba.

Nie było dnia, żeby nie doniesiono królowi o jakimś nowym zamierzonym zamachu. Poczynało się od tego, iż wiary nie dawał, posyłał na zwiady, a zawsze okazało się, iż istotnie coś zamierzonego było.

Ci, co na królu nowe przywileje ziemiańskie koniecznie wytargować chcieli, powiadali sobie, że póki on żyje, póty żaden zjazd nie dojdzie i nic nie dostaną; zgładzić go więc było hasłem umówionem, a gdy takie złe słowo się rozejdzie, któż tego nie wie, że ludzi go-

towych na sprzedanie się i ważenie gardła zawsze jest dosyć. Za moich czasów było ich bardzo wielu. Tu zaś nie szło o pospolite morderstwo, a głośno wołano, że dobrze się zasłuży królestwu ten, co nieprzyjaciela wolności jego ze świata sprzątnie.

Niektóre z tych spisków były tak uknute, iż prawdziwym cudem tylko ludzie wpadli na trop, a kilku zasadzek uszedł Włoch przypadkiem, tam się spóźniwszy, tu pośpieszywszy, albo zmieniając myśl w chwili ostatniej.

O wielu, albo prawie o wszystkich tych niebezpieczeństwach nie mówiono mu, bo i bez tego zgryźliwym był, a oprócz rodziny królewskiej i niewielu przyjaciół, nie cierpiał reszty możnych i duchowieństwa.

Wiele przeciwko Kallimachowi powiedziawszy, choć nauce jego i rozumowi sprawiedliwość oddaję i przed temi głowę skłaniam, to jeszcze na pochwałę niemiłego Włocha dodać muszę, iż nie pozornie, nie dla zysku, ale istotnie i serdecznie się wkońcu do królewiczów, do rodziny całej przywiązał. Nazywał ich dziećmi swemi, a brał tak do serca każdą ich sprawę, jak własną.

Nadszedł rok 1495 przy takiem naprężeniu umysłów przeciwko królowi i Kallimachowi, że się można było spodziewać strasznego jakiegoś wybuchu ziemian, któryby siłą chyba uśmierzać przyszło.

Wołano i krzyczano, że Olbracht praw im i przywilejów nie chce dlatego potwierdzić, iż je złamać i zniszczyć zamierza, że zjazdów nie zwołuje, aby je zatracić i sam ze swymi radcami rządzić królestwem na sposób nie chrześcijański, ale pogański.

A że w tej chwili, gdy król cały był przyszłą swą wojną zajęty, w domu niepokoju musiał się strzec i umysły należało ułagodzić, nastały rady codzienne i nieustanne, w których się zdania rozbijały.

Sam Olbracht już był gotów dla zyskania coś ziemianom uczynić; był tego zdania Maciej Drzewiecki, sekretarz pański, a uczeń i przyjaciel Kallimacha. Kallimach zaś, złamany nieco i znużony, choć ustępstw tych nie radził i nie pochwalał, milczał.

I stało się to, czego w świecie nikt nie mógł przewidzieć — zwołano sejm jesienią do Piotrkowa. Jechał nań król z tem postanowieniem, aby się dać wykrzyczeć ziemianóm, wiele im obiecać, a nie dać nic.

Takie było postanowienie, ale Olbracht nie miał mocy i stałości w niczem. Walczyć z taką zimną krwią, jak ojciec z ziemianami, wcale nie było jego rzeczą. Odwracał się od nich i drwił sobie, lub nawet co innego miał w głowie. I on, co wedle rady mistrza swojego miał obcinać, ścieśniać, odejmować swobody, pojechawszy na sejm, podpisał na siebie i następców swych takie zobowiązania, że się zakuciu w kajdany równały.

Tym nowym przywilejem król przyrzekał nikomu nie odejmować dóbr bez wyroku; zaciągom za granicę płacić od oszczepu po pięć grzywien, nie dawać urzędów tylko osiadłym tam, gdzie je pełnić mieli i t. p., a naostatek ani praw nowych nie stanowić, ani wojny wypowiadać bez zezwolenia sejmu. Dopisali sobie jeszcze panosze, aby plebejuszów, uchowaj Boże, do duchownych dostojeństw nie dopuszczano, a kmieciom obostrzono ich wolność, równie, jak mieszczanom, którym dóbr nabywać wzbroniono.

I ten oto król właśnie, co się przeciwko wolności najwięcej odgrażał, na przyszłość najtrwalsze fundamenty jej położył.

Kallimacha naturalnie w Piotrkowie nie było, czekał na nas w Krakowie.

Z praw potwierdzonych król sobie nic nie czynił, ale nad tem, jak się miał tłumaczyć mistrzowi, rozmyślał i niepokoił się.

W początku panowania, w którem się na takie zmiany zanosiło, swobody powiększyć — znaczyło wiele.

Powrót też nasz do Krakowa był niewesoły. Uczeń zawstydzony, obawiał się stanąć przed strasznym sędzią. Drzewiecki też wiedział, że i na niego spadną gromy.

Ażeby siłę ich zmniejszyć, król mnie przodem wyprawił do Kallimacha z ustnem poleceniem, abym opo-

wiedział, co się stało, a starał go wytłumaczyć, że inaczej być nie mogło, bo król przed wojną ziemian potrzebując, zrażać ich nie chciał.

Stanąwszy w Krakowie, poszedłem zaraz do starosty gostyńskiego, którego znalazłem we włoskiem jego kółku zajętym czytaniem listów o nowem tłumaczeniu Platona, które przyjaciel jego, Ficinus, właśnie kończył.

Radzi mi byli czy nie, jako posłańca pańskiego przyjąć musieli. Zdałem sprawy z sejmu nieszczęśliwego.

Ruszył ramionami i rzekł:

— *Ad calendas graecas* odłożone reformy... a tymczasem nowa obroża na szyi. Olbrachtowi było z katedry o rządzeniu czytać collegia, ale nie za berło chwytać. Gdy mówi, rozumny jest... gdy do czynu się zapręże, krew nim rządzi, nie myśli.

Poczem zamilkł smutnie, nie okazując nawet, aby go to zbytnio dziwiło.

Jak się potem spotkali z królem, nie wiem.

Pod ten czas Kallimach już ciągle niedomagał i doktorowie go odwiedzali a lekarstwami karmili, życia wszakże swojego zwykłego nie zmieniał, a przy rozmowach wina siła pijał i, zapomniawszy się, niezdrowych potraw zjadał więcej, niż było potrzeba.

Widzieliśmy też wszyscy wielką na twarzy jego zmianę, a doktór Maciej z Miechowa i inni radzili życie bardzo pomierne i stateczne.

Na dni kilka przed uroczystością Wszystkich Świętych taż sama choroba, z której zmarł nieboszczyk król Kazimierz, napadła go, a choć tu bernardyna nie było i leczyli go najlepsi królewscy i krakowscy doktorowie najkosztowniejszemi leki, król niczego nie żałował i czyniono, co było w ludzkiej mocy, przecie życia dla wielkiej straty krwi, której zatamować nie umiano, nie ocalono.

I zmarł w sam dzień Wszystkich Świętych z wielką umysłu przytomnością i stałością, bez obawy śmierci,

przygotowany do niej tak, jakby ją zawczasu przewidywał i przysposabiał się do niej.

Wspaniałym był pogrzeb Długoszowy, ale przepychem, wspaniałością, okazałością pogrzeb Kallimacha o wiele go przeszedł.

Król, który mu później grobowiec wznieść kazał u Św. Trójcy, sam starał się o to, aby mu oddano ostatnią cześć wielką, okazując, ile mu rodzina królewska, a on sam szczególniej zawdzięczał.

Matka moja nie ode mnie dowiedziała się o śmierci Kallimachowej. Wszelkie z nim stosunki oddawna były rozerwane i imię jego w domu na niczyich nie postało ustach.

Nie spodziewałem się też wcale, aby w testamencie miał o matce mojej w jakikolwiek sposób pamiętać, gdy Jan notarjusz, powoławszy mnie po pogrzebie, wręczył mi pudełko misterne i otworzywszy je, ukazał w niem piękny krucyfiks starożytnej roboty z kości słoniowej, opowiadając, iż Kallimach chciał go mieć przeze mnie wręczonym wdowie Nawojowej.

Zdumiałem się i zawahałem zrazu, lecz ofiary takiej odrzucać mi się nie godziło. Na karteluszu, przypiętym u dołu, stały wyrazy: *„Et dimitte nobis peccata nostra sicut et nos dimittimus peccatoribus nostris“*.

Rzewnemi łzami oblała go matka moja, w ołtarzyku domowym ustawiwszy.

Tu nadchodzi tak smutna epoka życia mojego i tylu nieszczęściami upamiętniona, iż wolałbym ją pominąć i szerzej się o niej nie rozpisywać, bo mi się dziś jeszcze serce krwawi, gdy wspomnę, co sam i patrząc na to, co się działo, cierpiałem. Ale z wielu względów nie godzi mi się milczeć o tem, co ludzie może wcale inaczej i fałszywie opowiadać i tłumaczyć będą.

Wszystkich tych klęsk i nieszczęść stało się przyczyną, jeżeli nie złe serce, bo o to go nie obwiniam, to wielka króla lekkomyślność a nierozwaga.

Jak skoro na tron wstąpił, już z myślą tą, którą, jak utrzymywał, po ojcu wziął w spadku, nosić się począł, aby śmierć bohaterską Warneńczyka pomścić,

a Turków pogromiwszy, zagarnięte przez nich ziemie odzyskać.

Od zjazdu w Lewoczy król o niczem nie myślał, nie mówił, nie troszczył się o nic, prócz tego. Wojsko sprzymierzone chciał mieć tak potężne i wielkie, jakiego jeszcze żaden inny mocarz przeciw poganom nie wystawił. Pomijając własne, polskie pospolite ruszenie, posiłki litewskie Aleksandra, ks. Konrada mazowieckie, krzyżaków, czeskie i węgierskie, na które też rachował, zmusić chciał Stefana Wołoszyna, aby i ten z nim szedł.

Z roku na rok ściągało się aż do połowy 1497 roku, kiedy naostatek wojskom w lipcu do Lwowa się zbierać nakazano. Kardynał Fryderyk pozostawał w Krakowie na straży, jako wielkorządca z ramienia króla i jego zastępca. Zygmunt musiał ciągnąć z bratem.

Zdawało się, iż królowi tak szło o lik ogromny, iż co było ludzi zdolnych do wzięcia broni, pędzić kazał pod chorągwie. Tak samo i dwór swój licznym mieć chciał, wozów coniemiara, koni moc wielka, zapasu wszelkiego niezliczona ilość.

Chociaż wszystko to zawczasu się sposobiło, i ludzie byli wyznaczeni do utrzymania w tym porządku, niełacno to, gdzie na dziesiątki tysięcy liczą się same ciury, a sto tysięcy rycerstwa idzie ład zdzierżyć, zapobiec swawoli, strat się ustrzec, karność utrzymać.

W samym początku już widać było, czem będzie ta wyprawa nieszczęśliwa, bo się mnożyły takie trudności, jakich nikt zawczasu przewidzieć nie mógł, a zaskoczeni niemi, radzili na nie tak, iż nowe z nich rosły.

Jeszcześmy się do Lwowa nie ruszyli, gdy skarg i zapytań tyle przyszło, iż król głowę tracił, ale na Zygmunta je zdawał, a sam tylko o wielkiem zwycięstwie marząc, tak sobie płocho poczynał, jak zwykle.

Dość powiedzieć, że na królewskich wozach jechać miały pańskie ulubienice ze swemi dworkami.

Lecz mało tego, jak zaraz opowiem. Wiedziałem zawczasu, iż ze dworem jadąc, nie na wiele się tam

zdam, a zagryzę, patrząc na to, czemu rady nie było. Chciałem się więc z podkomorstwa mego zwolnić i jednego rana, pokłoniwszy się królowi, oświadczyłem, że czasu takiej wojny do pełnienia obowiązków nie czuję się zdolnym.

— Zważam to dawno, Jaszku, — rzekł — żeś serce do mnie stracił. A kiedyż służba twoja potrzebniejszą mi być może, niż teraz? W takiejże to chwili godzi się mnie opuszczać?

— Bóg mi świadkiem, — odparłem — iż nie ze złej woli, ale dlatego o uwolnienie proszę, iż na siłach się nie czuję. Ze wszystkiego już dziś widać, miłościwy królu, co będzie w obozie i ciągnieniu, co na ziemi nieprzyjacielskiej i czasu wojny. Sprawa to tak wielka i trudna, iż myśląc o niej, włosy na głowie powstają.

Roześmiał się król.

— Pewnie — rzekł — czasu pokoju, w domu, pod piecem żywot łatwiejszy, ale tak siedząc nad garnkiem grzanego piwa, nie zdobywa się państw i nie zyskuje sławy. Wielu z nas nie powróci, ale się wielkie dzieło dokona. Ja cię wprost od siebie nie puszczę i zakazuję mówić o tem.

Ani chciał słuchać więcej.

Bóg wie, z jaką troską w sercu poszedłem się żalić przed matką, która płakała. Nikt tej wyprawie dobrego nic nie przepowiadał, we wszystkich budziła niepokój straszny.

Nie powiem, aby to przypomnienie losu Warneńczyka sprawiało; — wiedzieli i patrzyli, czy kto chciał, czy nie, iż nieład był straszny, król niebaczny, a Zygmunt na wszystko starczyć nie mógł. Jeden Olbracht z obojętnością swą zwykłą i lekceważeniem wszystkiego wierzył w jakąś gwiazdę szczęśliwą.

Poczęło się tedy owo nieszczęsne ciągnienie z wozami, ciurami, luźnemi końmi naprzód do Lwowa po drogach już tak rozbitych, rozkwaszonych, dokoła objedzonych, iż nigdzie kawałka chleba ani wiązki siana dostać nie było można. Kto z sobą nic nie miał, ten

mógł z głodu mrzeć, albo prosto drugiemu wydzierać musiał. Już na gościńcu się ta tragedja poczynała.

Trzeciego dnia po przyjeździe do Lwowa król, książę Zygmunt i cały dwór, szliśmy wszyscy rano na mszę świętą, którą odprawiał mnich świętego Franciszka, staruszek, pobożny bardzo.

Cóż się dzieje? Oto czy biedaczysko osłabł, czy taka była wola Boża, aby na przestrogach nie zbywało, w chwili, gdy hostję błogosławioną w górę podnosił, wypadła mu z rąk na ziemię. On też za nią rzucił się na kolana, a w kaplicy popłoch się stał, trwoga nie do opisania. Przypadli z zakrystji księża inni w pomoc, podniesiono Sakrament, odbyły się należyte modlitwy, msza dokończyła, ale wrażenie jakiegoś nieszczęścia pozostało we wszystkich umysłach.

A że ludzie już i tak potrwożeni byli, drudzy wszystkie te złe znaki skrzętnie zbierali, więc z każdą godziną więcej się w tem utwierdzano, iż zguba czeka króla i tych, co z nim idą.

W istocie też nigdy może razem tyle się przepowiedni nie zebrało naraz.

Ledwieśmy odetchnęli po tej hostji, gdy nad wieczorem, kiedy nikt burzy się nie mógł spodziewać, nadciągnęła chmura czarna.

Bobrek, królewski ulubieniec, stał w progu stajen. gdy deszcz z wiatrem padać zaczął. Jam z przeciwnej strony w krużganku siedział na ławie, spoczywając trochę. Wtem oczy mi zalało, jakby ogień po nich przeszedł, siarkę poczułem i słyszę trzask wielki. Zerwałem się z ławy, żegnając. Bobrka we drzwiach nie widzę, tylko coś leży na ziemi, a poza nim płomienie buchają i ludzie krzyczą, a konie rżą.

Nimem się ja zebrał biec, ze wszech stron zaczęli ludzie nadbiegać, ukazał się i król. Bobrka czeladź niosła na rękach nieżywego. Na skroni miał znaczek mały, siny, jakby ziarnko grochu.

W stajni najlepszych koni dwanaście piorun sobie jakby wybierał, bo z jednego końca sześć ich po-

walił, z drugiego tyleż, a tym, co w pośrodku były, nic się nie stało.

Oczom się nie chciało wierzyć, a że w istocie tak było, poświadczą mi wszyscy, którzy pod ten czas tam byli.

Olbracht po Bobrku wielce bolał, bo to były jego obcęgi i miotła... gdzie się sparzyć i powalać nie chciał, nim się wyręczał.

Wszystkie te skazówki z niebios i przepowiednie głęboko się w umysły wraziły, wielu zatem było, zwłaszcza, że jesień nadchodziła, aby wyprawę odłożyć i wojsko w części rozpuścić, lub na zimowych umieścić legowiskach do wiosny. Król o tem ani słuchać nie chciał.

Wyciągnienie ze Lwowa odraczało się z dnia na dzień z powodu Stepanka Wołoszyna. Posyłał do niego król, aby mu stawał z posiłkami, jako był obowiązany, obiecując na Kilję uderzyć.

Przyszła odpowiedź, że hospodar nie odmawia iść razem, ale się nie ruszy, dopóki króla z wojskiem nie zobaczy nad Dunajem.

— Mam Turków pod bokiem i na karku — mówił przez posła, — polski król, jak przyszedł, tak pójdzie precz, a na mnie się skrupi, i poganin mścić będzie. Za cudze grzechy pokutować nie chcę.

O ile ja wiem, król podobno od początku na Wołoszyna nie rachował wcale, chciał tylko mieć pozór dobry, aby za niedotrzymanie słowa na jego ziemię najechać i dla Zygmunta ją zdobyć.

Gdy posły ostatnie od Stepanka przyszły z odpowiedzią, zaczęto się głośno odzywać, że nie na Kilję iść trzeba, ale na Soczawę.

Wołoszyn też chytry, nie był bezbronny i ci, co ku granicy siedzieli, opowiadali, że siły ogromne zgromadził, a i Turków w pomoc sobie zapewnił, czemu Olbracht wiary nie dawał i cenił go sobie bardzo lekko.

Mnie po tych wszystkich przypadkach, wróżbach i patrząc na coraz się mnożący w wojsku nieład, ogar-

niała taka tęsknota i ból, jakgdybyśmy już nad przepaścią stali.

Co dnia prawie posyłany byłem na miasto, do dowódców oddziałów i różnych oddziałów królewskich, którzy tam mieli swoje kwatery. Musiałem więc patrzeć na takie widowisko bezecne, jakiegom w życiu nigdy nie oglądał i bodaj oczy moje nie widziały, pókim żyw.

Za wojskiem i ciurami, nie wiedzieć skąd, ściągnęło się do obozu plugastwo takie gromadami wielkiemi, iż bez sromu przejść około łaźni, szczególniej w biały dzień, nie było można. Nagich kobiet i dziewcząt, z żołdactwem wyprawujących pląsy, nikt nie rozpędzał... muzyka przygrywała, a pijani żołnierze dopuszczali się takich sprosności, iż niechybnie karę Bożą na się ściągnąć musieli.

Oboźni i starszyzna donosili o tem królowi, domagając się, aby kobiety, za obozem ciągnące, wysmagać i precz odpędzić, ale Olbracht ramionami poruszał i żołnierzy zrażać nie chciał.

Tymczasem tych zaciężnych z jednej strony kobiety, z drugiej szynkarze a kostery, włóczące się za wojskiem, szalbierze, przekupnie obierali z ostatniego grosza, odzierali, tak, że niektórzy nawet część zbroi pozostawiali i potracili.

Był naówczas w ruszeniu pospolitem krakowskiem ziemianin, wszystkim znany, niejaki Sropski, z którego zwyczajem już było się naśmiewać.

Nie był on głupim wcale, ale prostaczkiem i gadułą, który cokolwiek na sercu miał, na języku też sadzał. Nie zważał na nic Sropski i swoje prawił. Niektórzy go kaznodzieją przezywali. Wyzwany paplał, gadał, unosił się, wszystkich gromił a karcił i dawał się śmiać z siebie.

— Na rzeź idziecie — wołał, — noga wasza stamtąd nie wyjdzie... Bóg skarze i pomści zgorszenie, jakie dajecie. Pogan wojować wybieracie się, a samiście od nich gorsi, bo ci niechrzczeni, Chrystusa nie znają i jeżeli w grzechach brną, mniej winni, gdy ślepi,

a wy, białą sukienkę wdziawszy, z nią w błoto brniecie... To nie wojsko jest, ale trzoda, na rzeź przeznaczona! — powtarzał.

Doszło i do króla, że Sropski serca odejmuje wojsku, więc mu przez obożnych zakazano mówić publicznie, na co on wcale nie zważał.

Postanowiony już był dzień, kiedyśmy wyruszyć mieli, bardzo się opóźniwszy. Niektóre oddziały, rade nierade, pierwsze z tej Kapui lwowskiej poczęły wychodzić nie ku Kamieńcowi i Kilji, ale ku Soczawie. Ja moje wozy, konie i ludzi sposobiłem tak, aby najgorszym drogom i przypadkom podołać mogły. Zapas kół zapaśnych, żelastwa, toporków, drągów kutych jeszcze powiększyłem we Lwowie.

Na czwartek rano po mszy św. naznaczony był wyjazd, gdy w środę wieczorem, do stajni wszedłszy dla przekonania się, że mi moja czeladź nie zbiegła na miasto do łazien tych i szynków, zbliżywszy się nieostrożnie do konia królewskiego, zwanego Żmiją, który tak zły był, że się czasem rzucał kąsać, uczułem jak wierzgnął i w nogę mnie trafiwszy, obalił. Chciałem się podnieść zaraz, ale noga wisiała przetrącona kości w niej były pogruchotane.

Czeladź zaniosła mnie, leżącego na desce, na zamek do izby na dole; przyszedł zaraz pan Maciej z Miechowa, opatrzył i potwierdził to tylko, com ja już czuł najlepiej: bestja mi nogę połamała.

Zawszem na wszystko gotów był; ani o nogę, ani o życie mi tak bardzo nie chodziło, ale o służbę królewską. Prosiłem zaraz, aby panu dano znać o mnie, bo trzeba było obmyśleć zastępcę.

Olbracht sam przyszedł natychmiast.

— Trzeba ci było — zawołał — pociemku do stajen, tak, jak Bobrkowi wówczas pod piorun, abym ja na tę wyprawę jednego poczciwego sługi nie miał. Kogóż ja na twe miejsce wybiorę?

Poddałem mu Sawka Czerwiaka, co król przyjął milczeniem.

Takim sposobem, w chwili, gdy już wyruszać miał,

lec musiałem, a choć doktorowie, nogę mi złożywszy i związawszy, zapewnili, że zrosnąć się może i powinna, niebardzom był życia pewien.

Rzuciło mnie w gorączkę straszną, tak, iż przytomność postradałem, a gdym ją odzyskał, na zamku było pusto. Wyciągnęło, co żyło. W mieście też zostały tylko śmiecie i okruchy. Naprzód tedy posłałem po księdza, aby na wypadek wszelki z Bogiem się pojednać i w sumieniu uspokoić, potem matce dałem znać.

Do Krakowa z nogą, której poruszyć nie było wolno, gdyby mnie na rękach nawet nieść miano, nie dostałbym się żyw.

Nieznajomy w mieście, jedynych opiekunów miałem w doktorze Staszku z Mościsk, któremu mnie Miechowita polecił, i księżynie mnichu, ojcu Karle, przychodzącemu dla pocieszenia mnie prawie codziennie.

Izba dolna na zamku, choć trochę zimna, nie była zbyt niewygodną, a mój barłóg umieszczono blisko wielkiego komina, na którym dzień i noc gorzały kłody dla ciepła i światła. Do posługi miałem pacholika mego krakowskiego, Ziarnka, niezgorsze chłopię, choć nad miarę swawolne.

Po tych ostatnich tygodniach, spędzonych we wrzawie i piekle, teraz mi się ta cisza niemal grobową wydawała. Z Krakowa się rychło nie spodziewałem nic, anim tego żądał.

Rozmyślałem teraz w samotności tej, co się tam działo z wojskiem, królem i panami naszymi, których siła tak wielka mu towarzyszyła.

Jak ludzie pamięcią sięgnąć mogli, nigdy tak ogromne wojsko jeszcze nie zgromadziło się na żadną wyprawę, ani za Kazimierza, ani za Jagiełły, gdy z krzyżakami wojowano. Liczono rycerstwa do stu tysięcy, ciurów obozowych i sług a gawiedzi wszelkiej najmniej ze czterdzieści tysięcy, wołów pewnie dwadzieścia.

Gnano całe stado bydła, ale już pono prędko się ich przebierać zaczęło.

O pochodzie mówiono we Lwowie mało, a wiedzia-

no tyle tylko, że wszyscy poszli na Soczawę i Stepanka z niej wygnać mieli. Nikt jakoś dobrze nie wróżył tej potędze tak wielkiej; było jakby przeczucie nieszczęścia jakiegoś.

Zresztą doktór mój i ksiądz czasami przynosili z miasta tak sprzeczne i bałamutne wiadomości, żem wolał ich nie słuchać.

Jużem po pierwszych przebytych strasznych boleściach i gorączce cokolwiek zaczynał przychodzić do siebie, kiedy dnia jednego drzwi się otwierają naoścież, patrzę i oczom nie wierzę... Wchodzi zakwefiona matka moja i podtrzymująca ją pod rękę Kinga.

Łzy mi się naprzód z oczów puściły, bom się nigdy spodziewać ani przypuszczać nie mógł, że staruszka podróż taką dla mnie biedaka podjąć zechce. Padłbym był jej do nóg, ale przykuty leżałem do barłogu mojego.

Oświadczyła mi naprzód, że chce choćby na noszach kazać mnie do Krakowa z sobą przenieść, lecz doktór nie mógł na to pozwolić. Stanęło więc na tem, iż sama z Kingą i małym dworem swoim, okupiwszy się burgrabiemu, na zamku się umieściła dla dozorowania mnie.

Nie byłem nigdy nawykły do żadnych pieszczot, sam sobie będąc zawsze zostawiony, więc mi teraz to staranie około mnie rajem było i kalectwo błogosławić kazało.

Matka, nie mogąc sama dla wieku i rąk zbolałych nic czynić, Kingą się posługiwała, która z dobrocią jakby przywiązanego dziecięcia czuwała nade mną.

Więc i jadło, i napój, i posłanie na lepsze się teraz zmieniły, a jam opływał we wszystko. Smutna ta ciemna izba na zamku tak mi się teraz rozjaśniła, iż nie zdało mi się, abym piękniejszej nad nią widział w życiu kiedy.

Wstyd wyznać, iż tem światłem, co mi ją tak rozpromieniło, była śliczna Kinga, która się tu przez pół dnia krzątała, biegała, szczebiotała, napełniając ją życiem jakiemś, które przynosiła z sobą. Przywiązałem

się do niej, jak do dziecka, bo mi w głowie nie postało inaczej się rozmiłować na starość. Takem sobie przynajmniej moją dla niej słabość tłumaczył.

Matka moja patrzała na to, ciesząc się, iż mi z sobą przyniosła pociechę i rozrywkę.

Noga też moja, dzięki poczciwemu doktorowi, staraniom, jakie około mnie miano i temu może uspokojeniu a rozweseleniu na duchu, dziwnie się zrastać i goić poczęła. Nie było już wątpliwości, że przy łasce Bożej chodzić będę mógł bez kija mało co, albo nic nie zakuliwając.

Kalectwa i niedołęstwa obawiałem się równo ze śmiercią, bo skazanym być na to, aby nie móc się poruszać o swej sile i bez pomocy ludzi i nic poczynać, jest najstraszniejszą dolą dla człowieka.

Gdy mi tak czas płynął dosyć żywo z łaski matki, po niejakim czasie poczęły przychodzić różne wiadomości od wojsk naszych, ale się z nich wiele nauczyć nie było można.

Przybywali włóczęgi, co się od swoich oddziałów dla choroby lub ze swawoli odbili, ciury poodpędzane — wszystkie, można powiedzieć, śmiecie obozowe. Ci pletli koszałki, aby siebie oczyścić, i nikt im nie wierzył.

Potem zaczęli nadchodzić gońcy, opowiadając różnie. Naprzód, że wyżebrany posiłek litewski, ledwie się połączywszy z wojskiem króla, zaraz od niego odstał. Krzyżacy też zawiedli... Mazurów tak jak nie było.

Wogóle ktokolwiek nadciągnął stamtąd, nic dobrego nie przynosił. Każdy przybywał posępny, z twarzą zżółkłą, milczący, tak, że trudno było co z niego wydobyć... a z czego się wyspowiadał, trwożyło i smuciło. Nic szczęśliwego nie rokowano z wyprawy.

Dalej ci, co się przywlekli do Lwowa, zaczęli opowiadać, że król chorzał i że nie zawsze na koń siąść mógł, a na wozie go podwożono podczas. Zrywał się na koń, ale znowu zaniemógłszy, zbroję zrzucał.

Przyszła wiadomość, że oblegano Soczawę, ale miasto się broniło okrutnie, a lud okoliczny przeciwko najazdowi, który mu kraj niszczył, tak był zajadły, że

się nikt na krok od kupy oddalić nie śmiał, bo po zaroślach i wąwozach czatowano i ubijano.

Wszyscy byli zrażeni i zniechęceni, żywności zaczynało braknąć, a tu nadchodziła zima, srogie wiatry a słoty.

We Lwowie już ci, co królowi sprzyjali, o jedno Pana Boga prosili, aby wyszedł cało z tej imprezy, którą mu wszyscy naówczas odradzali, a wywiódł wojsko z tego kraju, którego zawojować nie było tak łatwo, jak się spodziewał.

Wołoszyn, zamiast przeciwko Turka z nami iść, miał go za sobą i posiłki nawet od niego otrzymywał.

Jeden z pisarzy królewskich przywiózł naostatek pocieszającą wiadomość, że za pośrednictwem Węgrów ze Stepankiem miał być zawarty pokój i przymierze, poczem zaraz wojska zamierzały puścić się naprost przez bukowińskie lasy nazad do domu.

Wszyscy się wielce uradowali tem i lżej odetchnęli. Kazano się nam wrychle spodziewać króla do Lwowa, gdyż chory powracał i przez czas dłuższy miał tu wypocząć. Przyszedł więc do mnie burgrabia Trzeciak, dobry człek, wielce mi przyjazny, aby się naradzić, co czynić wypadało w przewidywaniu królewskiego powrotu. Nie wypędzał on mnie, bo jako sługa pański miałem prawo pozostać na zamku, lecz szło o matkę, która z ludźmi potrzebowała kilka izb, stajen i wozowni dla koni i ludzi.

Nie życzyłem też ja sobie, aby Kinga pozostała tu aż do przybycia króla i dworu, a od matki nie chcąc się oddzielić, sam wniosłem, abyśmy kamieniczkę jaką w mieście najęli, dokądby i mnie na ręku lub z łożem bodaj przeniesiono.

Matce też to lepiej się podobało, niż na łasce burgrabiego gospodą na zamku mieszkać, zawsze nie jak u siebie, ale gościną. Natychmiast więc najęto dwór od Żurowiczów z ogrodem i stajniami, drewniany prawda, niewytworny, ale ciepły i przestronny. Na jednej stronie było trzy dużych izb z alkierzem, z drugiej tyleż dla czeladzi na kuchnię. A że się powrotu

królewskiego lada dzień można było spodziewać i nie chcieliśmy, aby nas tu zastał, jak tylko izby umieciono i ogrzano, matka się natychmiast wyniosła pierwsza. Mnie, jakem leżał, okrywszy obręczami skórą obleczonemi, sześciu najętych drabów poniosło, tak, żem oprócz trochy chłodu, niewiele co poczuł tych przenosin.

Matka zawczasu opatrzyła mi najlepszą izbę we dworku, tak, żem przybywszy, aż się weselszym poczuł, więcej widząc światła Bożego i około siebie weselszego coś, niż w murach zamkowych. Była tuż i komórka dla pachołęcia i wszelkie wygody, a gdybym wstać i chodzić mógł, dosyć miejsca, aby się swobodnie poruszać.

Pierwszy to był dzień od okaleczenia, żem się mógł śmiać, żartować i weselszą myśl okazać... a że nadzieja powrotu króla i naszych ożywiała, byliśmy dobrej myśli wszyscy.

Niestety, trwało to bardzo krótko i przyszło jakby dlatego tylko, aby po tym dniu jasnym żałoba nasza czarniejszą się wydawała.

Mówiłem już o Sropskim, tym proroku, z którego się wszyscy naśmiewali. Sropski ten, pomimo iż się najgorszego spodziewał, gdy wojsko się ruszyło, poszedł z niem razem. Pamiętam, że mu naówczas mówiono, naigrawając się:

— Jeżeliś prorokiem, Sropski, a Pan Bóg z tobą w takiej komitywie, że ci naprzód objawia swe wyroki, wiesz tedy, że na zgubę idziemy... no, to wracaj do domu!

— A godziż się to? — odparł naówczas. — Nie! Gdzie wszyscy idą, tam musi, kto ze swymi trzyma, choćby w przepaść, bo się od braci odstawać nie godzi, ale zakon nasz ginąć z nimi! Wiemci, że nas tam zguba czeka. Kto głowę wyniesie całą, Bogu tylko wiadomo; ja tam może moją położę, ale ponieść ją muszę.

Poszedł tedy Sropski z innymi, wziąwszy z sobą tylko pasek św. Franciszka i poświęcony różaniec.

Z rana była może na półzegarzu godzina dziesiąta,

na dwie przed południem, leżę sam jeden w mojej izbie świeżo smółką wykadzonej, słońce zimowe świeci wesoło, wróble jakby na wiosnę ćwierkają, w duszy mi było błogo jakoś niewypowiedzianie. Wtem słyszę kroki, szłapanie jakieś raczej powolne i jęki przytłumione. Poznałem po chodzie, że to nie mógł być nikt z domowych.

W sieni, słyszę, ktoś przystanął i po drzwiach jak ślepy skobla szuka, ręką wodząc. Podniosłem się nieco na łokciu. Otwierają się drzwi zwolna i ukazuje się postać — nie wiedzieć, żebrak, włóczęga — drab czy widmo.

W różnych krajach i przygodach dosyć się ludzi napatrzyłem, zdało mi się, że już mnie żaden nie zdziwi i nowym nie będzie. Począwszy od trędowatych, chromych i paralityków pod kościołami we Włoszech, aż do naszej nędzy po lasach i wioskach, widziałem wszelką ludzką potworność i niedolę. Ale człowieka takiego, jaki stanął przed mojemi oczyma teraz, nie oglądałem nigdy, anim mógł przypuścić, że on mi się zjawi kiedy.

Twarz trupia, żółta, wyschła, z oczyma wytrzeszczonemi jakby nieprzytomnie. Ponad nią włosy rozczochrane okropnie, przez czoło zakrwawiona chusta ze krwią sczerniałą, zaschłą i zabłoconą. Szyja naga sińcami i plamami okryta, ciało napół osłonięte szczątkami, łachmanami, powrozami, gałganami poobwiązywane, na nogach onuczki, zdarte obuwie, kawałki kory, bose rany, skorupy błota. W jednem ręku ogromny kostur jakby świeżo wyłamany, przy którym sterczały jeszcze gałązki. A wszystko to nic przeciw twarzy i postawie — wpół obłąkanej, jak nieprzytomnej i dyszącej gorączką.

Patrzę osłupiały, patrzę — zdaje się wkońcu, iż mi się Sropski ochapia, ale nie jestem jewny. On? nie on... Zwarjował, obłąkał się!!

Zląkłem się go! Nuż wściekły szaleniec, a ja tu bezbronny. Ale, widzę, wszedł, drzwi za sobą zamknąwszy, w pośrodku izby stanął, usta mu się otwarły, oczy

patrzą nie na mnie, a na ścianę, i chrypliwy głos poczyna mu się z gardła dobywać... ale tak nieprzymierzając, jakgdyby ciasnym otworem woda prądem naciśnięta. Wtem wybuchnął, poburczawszy niezrozumiale:

— Wziął Bóg pomstę za grzechy... i stała się rzeź wielka, mord okropny... padli winni i niewinni. Oczy moje patrzały na to, i jeszcze krew mam w nich... krwawo widzę wszystko, okrzyk i jęki dogorywających słyszę. Niema rycerstwa polskiego... chłopstwo wołoskie wygniotło je i wybiło. Nie będzie domu bez żałoby... nie będzie rodu bez mogiły... Wdów i sierot tysiące!

Załamał ręce i płakać zaczął okrutnie z taką boleścią, że chociażem go za obłąkanego miał, serce mi się ścisnęło.

— Sropski! — krzyknąłem — opamiętaj się! Co ci jest? przeżegnaj się!

I począłem wołać na pacholika. Wtem matka moja z Kingą, usłyszawszy krzyk, nadbiegły, ale ukazania się ich płaczący ani spostrzegł nawet.

Tak jak ja, niewiasty go wzięły za obłąkanego, zlękły się i Kinga pobiegła po służbę.

Tymczasem Sropski, spłakawszy się, otarł łzy zwolna i obrócił się do mnie.

— Bóg cię ocalił — rzekł; — mało, że życie, ale pobłogosławił tem, iż widoku dnia tego nie miałeś na oczach i nosić go nie będziesz aż do śmierci, jako ja. Ach! kto patrzał na ten dzień pomsty, ten i na jedną chwilę do zgonu wolen od niego nie będzie. Wyrył się ten obraz krwawy tym, co w bukowińskim lesie nie położyli kości swych, i pójdzie z nimi, i wypiętnuje się im na piersi, na czole, na uchu, na ustach, na oczach, aby się kajali do śmierci.

Słuchaliśmy go ciągle jak obłąkanego jeszcze, nie rozumiejąc, ale mnie tknęło to, że lasy bukowińskie wspomniał. Serce mi w piersiach zakołatało.

Wtem słyszę rumor, chód i na progu zjawia się burgrabia zamkowy Trzeciak. Gdym go zobaczył bla-

dego, pomieszanego, z męską jego twarzą niemal po niewieściemu boleścią łzawą skrzywioną, uczułem dopiero, że dotknąć nas musiała klęska jakaś, która i Sropskiemu zmysły odjęła.

Wpadł Trzeciak i załamał ręce.

— Wiecie już zgubę naszą! — krzyknął.

— Nie wiemy nic — zawołałem. — Cóż się stało?

— Rycerstwo nasze, kwiat naszego wojska, nadzieje rodzin... to, cośmy mieli najlepszego, najdroższego, marnie w zasadzce chłopskiej padło ofiarą zbójców. Cały las podrąbany zwalili na wojsko nasze, aby je potem bezbronne, spłoszone mordować, wieszać za włosy i zarzynać...

I Trzeciak zakrył sobie oczy; wtem Sropski począł głosem grobowym:

— Język na to słów nie ma, aby opowiedzieć klęskę tę naszą, którą wieki pamiętać będą... Stamtąd idę, ja nie żyw, ale upiór, bom sto razy polec tam był powinien.

— Trzeciaku, miły bracie — przerwałem, — mówcież, mówcie tak, abyśmy wiedzieli, co opłakiwać mamy. Gdzie król? Zostalli żyw? Co się stało z Zygmuntem? kto napadł... przecież z Wołochem pokój był zawarty...

Gdym to mówił, Sropski, któremu sił zabrakło, zatoczył się i pod ścianę obalił — runął na ziemię jak kłoda. Kostur mu wypadł z rąk, jęknął, głowę pochylił i dysząc, pozostał na ziemi.

Trzeciak trochę ochłonął.

— Dziś — rzekł — nie jeden, ale już z dziesięciu odrapanych i pokaleczonych przybiegło... Co było najlichszego, to ocalało, bieżąc; co najlepszego było, zginęło. Za sto lat tego Polska nie odboli. Mówią wszyscy, że sam Stepanek królowi odradzał, aby na bukowińskie lasy nie wracał.

Król był i jest chory, na wozie go wieziono. Zygmunt dowodził. Ale pokój zawarłszy, nasi, znużeni obleganiem, radzi, że do domu powracają, rozprzęgli się i luźnie ciągnęli, tak, że połowa nawet broń na wo-

zach miała. Nikt się nie obawiał niczego, gdy w tę przeklętą Bukowinę wkroczyli.

Tam ono chłopstwo, któremu żołnierz nasz dojadł najazdem, łatwej zemsty szukając, zasadziło się. Drzewa popodrąbywali, zasieki ogromne zapierały drogę. Ze wszystkich stron opadła Wołosz naszych, ze wściekłością okrutną... Król zaraz na koń wsiadł, Zygmunt zebrał ludzi, wszczęła się walka straszna — ale co naszych poległo marnie i jak... tego nikt nie zliczy. Dopiero, gdy niedobitki tu przyciągną, obrachujemy kogo nie stało... kto tam bez grzechu zawisł na gałęzi, lub rozszarpany został przez zbójów.

Od tego dnia, słyszę, aż do samego Prutu nie dali pokoju wojsku. Król chory musiał na koń siąść i ze swoją jazdą obóz osłaniać. Paliły się lasy i pola dokoła, aby drogę tamować, tak, że od płomieni i dymu dusili się ludzie i konie. Pod Czarnowicami z tym motłochem ścierać się nasi musieli o przeprawę.

I gdyby nie Zygmunt i nie królewskie pułki, Wielkopolanie byliby się rozproszyli, zbiegli i padli ofiarą; ledwie ich Olbracht zdołał tem wstrzymać, że ich tam porzuci i uciecze.

Niema wojska naszego! niema rycerstwa!

I Trzeciak płakać zaczął, a leżący pod ścianą Sropski zaczynał głosem dzikim:

— *Dies irae, dies illa!* Był dzień gniewu Bożego, a czyje oczy nie patrzały nań, czyje ucho nie słyszało jęku konających... ten niech milczy o tym dniu sądu... Kwiat nasz ścięła kosa tego chłopstwa podłego, krwią szlachetną mordercy podleli swoje pola, na stos nas powiedli...

Słuchaliśmy wszyscy przejęci i przerażeni, tak, iż wypowiedzieć niepodobna, co się działo z nami. Płakały niewiasty, od zmysłów odchodząc... jam też, jak bóbr, łzy lał, bo tu już nad nie nic więcej nie zostało. Cóż gniew nasz mógł przeciwko Bożemu?

Poczciwy Trzeciak wziął się zaraz do Sropskiego, którego trzeba było opatrzeć, odziać, położyć... ale już w nim tyle tylko życia pozostało, że się wyspowiadaw-

szy i do końca wyrzekając, a krzycząc, nazajutrz nad wieczorem skonał.

Co się potem działo w mieście całem, gdy niemal co godzina ktoś nadbiegał i nowe przywoził szczegóły o bukowińskiej klęsce... jaki lament powszechny po kraju całym i narzekania na Olbrachta, wypowiedzieć tego niepodobna.

Król wprawdzie, choć chory mocno, mężnie stawał, nie opuścił swoich, na koniu dosiadywał, nie stracił ani na chwilę odwagi i przytomności, lecz wszystko to przychodziła za późno. Strasznej klęski nic powetować nie mogło. Wielkie owe wojenne zamysły wszystkie w puszczy bukowińskiej razem z rycerstwem naszem pogrzebione zostały.

Więc ci, których to bolało najwięcej, bo potracili ojców, braci, mężów, przypominali teraz rady Kallimachowe, aby szlachtę powściągnąć, i mówili głośno, iż król umyślnie dał ją na rzeź w Bukowinie, aby się jej zbył... Stąd większa jeszcze do Olbrachta nienawiść, który i przedtem nie miał u ludzi miłości.

Jeszcze przed powrotem królewskim, widoczną łaską Bożą, noga mi się tak dobrze zrosła, żem naprzód o kulach zaczął po izbie się przechadzać.

Jak tylkom mógł się już poruszać, matka nastawać zaczęła wielce, abym w kolebce jej powoli do Krakowa z nią wracał.

Prawda, że pobyt we Lwowie nie obiecywał mi się wcale miłym, bo tu wszystkie owe nieszczęsne niedobitki nasze, jeżeli nie stale, to przychodem gościły i przynosiły z sobą ból, narzekanie i przekleństwa. Ze wsi zaś, z różnych ziem, rodziny tych, co z królem szli na wojnę, gdy powracających się nie mogły doczekać, a słyszały o pogromie, przybiegały, szukając swoich. Tu grobową wieść znajdując, miasto napełniały narzekaniem. W kościołach, po ulicach jęki tylko i płacze słychać było. Serce się krajało... Niewiasty w rozpaczy publicznie króla przeklinały. Przybył Olbracht na zamek, ale tak chory, że go na wozie wysłanym i okry-

tym musiano noga za nogą prowadzić, a tu wnet po doktorów do Krakowa słać i ratować.

Choć o kulach i niebardzo dobrze chodziłem, żal mi się taki zrobiło pana mojego po tej klęsce, żem spokoju nie miał, ażem się u matki wyprosił, aby mi pozwoliła dostać się na zamek i pożegnać go a pocieszyć.

W kolebcem jechać musiał.

Na zamek przybywszy, com się tu spodziewał wszystkich zastać we łzach i utrapieniu, zgłupiałem, od progu spotykając dworaków i urzędników tak jakoś spokojnego umysłu i równej myśli, żem zwątpił o tem, co dotąd na uszy własne od świadków o klęsce słyszałem.

Króla zastałem w koszuli jednej i kożuchu na nią wdzianym, powolnym krokiem przechadzającego się po izbie, z której doszedł mnie od progu śmiech. Rozmawiał ze swoimi komornikami, jak niegdyś, drwiąc sobie. Na twarzy chorobę wprawdzie widać było i zmizerowanie, ale troski na niej próżnom szukał...

Zobaczywszy mnie wchodzącego na kulach, stanął, popatrzał i odezwał się:

— Cóż ty? Takżeś na Bukowinie bywał?

Uśmiechnąłem się. Westchnąłem głośno.

— Okropna klęska...

— Wojna — odparł; — nic tam nie było okropniejszego nad to, co się na wojnach trafiać zwykło. Pocóż się bezładnie rozprzęgli, a przednich straży i języka zaniedbali?

Zacząłem ubolewać; przerwał mi Olbracht niechętnie.

— Więcej teraz mówią, niż było, aby narzekać mogli i wyklinać za swoją winę drugich!

Ręką rzucił.

— A ty? — dodał — rychłoli te kije porzucić będziesz mógł?

— Spodziewam się, miłościwy panie, iż długo ich już nosić nie będę.

— Będziesz mi potrzebny — rzekł; — odpoczywaj póki można. Ja też zachorzałem niepotrzebnie, a dok-

torom się w ręce dostawszy, niełatwo z nich wydobyć. Muszę też we Lwowie się wynudzić, bo tu mieszczek ładnych niema, a to, co jest, dzikie...

Nigdym się nie spodziewał, ażeby król po tej klęsce o czem innem, jak o niej, o pomście i o zgojeniu ran myślał. Tymczasem ani mówić o tem, ani wspominać nie dawał i płochy umysł powracał mu już cały, jak był. Nudziło go i niecierpliwiło przypominanie Bukowiny; z niektórych żałościwszych wprost się wyśmiewał...

Rozmowa ze mną taki zaraz obrót wzięła, że ja, com go chciał pocieszać, musiałem zasmucony zamilknąć i co najprędzej pożegnać.

To prawda, że król przychodzącym z prośbami i rodzinom poległym bardzo wiele i szczodrze świadczył, ale do siebie nie przypuszczał i żalów niechętnie słuchał.

Przede mną samym jeszcze, gdym coś napomknął o poległym jednym z naszych, wyrwało mu się:

— To niepowrotne! Pocóż nadaremnie wznawiać i pieścić się tem, gdy tylko boli! Można poratować... dobrze, a co zginione, powinno pójść w niepamięć.

A skończył, śmiejąc się.

— Lena się do Krakowa wyrwała! Ale tej już niema co pilnować... zestarzała i zwiędła. Niechby się z nią jaki kupczyk ożenił, wiano sobie zebrać musiała... Ja teraz potrzebuję młodszych...

Powróciwszy do matki, gdy mnie o króla rozpytywać zaczęła, tak mi wstyd było całą prawdę powiedzieć, żem zbył, mówiąc tylko o chorobie i o tem, co przecierpiał.

Niebawem więc, jak skoro pozwoliła droga i doktór, nogę moją opatrzywszy, przeciwko podróży nie miał nic, pociągnęliśmy, bardzo powoli, do Krakowa, dokąd nas wyprzedziła część dworu matki.

Miało się już ku wiośnie. Jak we Lwowie, tak w stolicy panował smutek. Czuliśmy wszyscy, że to, co przeszło i spadło na nas tak ciężko, było nie końcem, ale początkiem tego, co nas czekało. Stepanek Woło-

szyn, Turek, Tatarzyn, a Litwie Moskwa teraz nie mogła dać spoczynku, widząc słabość naszą. Aleksander się odsuwał, albo go odciągali Litwini, Władysław czeski opieszale nam i niechętnie pomoc swą obiecywał, jakże nie miano korzystać.

Król zaś niezrażony, jak dawniej tak i teraz do wielkiej wojny przeciwko Turkom się sposobił.

Z Pragi i Budy jeździli do nas posłańcy, a królewscy do Władysława; obiecywano skuteczne przymierze, tymczasem Stepanek najeżdżał i łupił Pokucie i Ruś.

Wszystko to pan nasz tak lekko znosił, jakby był najpewniejszym szczęśliwego końca.

My, dojechawszy do Krakowa dosyć pomyślnie, ponieważ jeszcze noga dolegała, a do podkomorskiej służby nie było co śpieszyć, nie rozdzieliliśmy się z matką. Zostałem u niej w domu i mogę powiedzieć, że ten czas był jednym z najszczęśliwszych w życiu mojem.

Król nareszcie powrócił, lecz że mnie nie powoływano na zamek, zostałem pod Złotym dzwonem. Trochem zleniwiał i od matki a poczciwej Kingi już mi się odstać nie chciało.

Tymczasem, jak tylko Olbracht ozdrowiał, a poczuł się na siłach, począł to życie, do którego był nawykłym. Mało mu tego było, że co kilka dni u kardynała brata uczty i biesiady wesołe a pijackie odprawiał, z których najczęściej nad rankiem dopiero powracał. Ze swoimi dworzanami robił wycieczki na miasto po nocach do takich domów, pożal się Boże, w których nie tylko król, ale noga jego czeladzi postać nie była powinna.

Mówiono mi o tem, a niejeden raz słyszałem sam w nocy hałasy w rynku, w których rozpoznawałem znajomy mi dobrze śmiech króla.

Ci, co mu raili niegdyś Kingę i piękność jej zachwalali, musieli znowu, przez złość do mnie, podbudzić go do zwrócenia się ku niej. Doszło mnie to, że idącą do kościoła tuż niedaleko do Panny Marji królewscy

wysłańcy parę razy zaczepiali. Wśliznęła się do domu stara kobieta, która ją bałamucić próbowała, wielkie skarby obiecując, jeżeliby się uprowadzić dała. Otwarcie mówiono jej o królu.

Kinga ze wstydu nie śmiała się na to uskarżać przed nikim i dopiero się później wszystko wydało.

Niedołężny, zgrzybiały Sliziak więcej wiedział, niż ja; mnie nic nie mówiono o tem.

Pamiętna będzie dla mnie do zamknięcia powiek ta noc wiosenna, która znowu o losie moim rozstrzygnęła.

Z wieczora rozeszliśmy się wszyscy spokojnie spać, matka z Kingą na górze, ja na dole. Dziewczę zajmowało izdebkę w narożniku, wychodzącym na ulicę. Była północ może lub więcej, gdy z pierwszego głębokiego snu zostałem zbudzony głuchym szelestem, a potem hałasem, którego sobie nie umiałem wytłumaczyć. Strach jakiś mnie wziął i zerwałem się na równe nogi, a że nigdym nie sypiał, szabli przy sobie nie położywszy, chwyciłem za nią zaraz.

Jedno okno, opatrzone kratą żelazną, nie miało okiennic, mogłem więc przez nie wyjrzeć na ulicę i dostrzegłem kupę ludzi, poruszających się w ulicy, pod samym narożnikiem, w którym spała Kinga.

Zdawało mi się, żem zobaczył i drabinę przystawioną, i ludzi, co się po niej spinali. W domu było cicho.

W pierwszej chwili pomyślałem o złodziejach, lecz tuż dał się słyszeć krzyk stłumiony i nagle się urwał, jakby usta, co go wydały, gwałtownie zamknięto.

Sam nie wiem, jak naówczas wypadłem z kamienicy w ulicę, rzuciłem się z szablą podniesioną na gromadkę tę, która się nie spodziewała napaści i znalazłem twarz w twarz naprzeciw człowieka, który omdlałą Kingę z zawiązanemi chustą ustami trzymał na ręku. Podniosłem do góry szablę i ciąłem go przez głowę.

Dał się słyszeć krzyk... napastnik rzucił porwane

dziewczę, które padające podchwyciłem. Stało się zamieszanie wielkie... i wszyscy pierzchnęli.

Miałem czas jednak po głosie, po postawie i ze stroju poznać Olbrachta. Krew jego obryzgała dziewczę i mnie; był więc rannym.

Lecz przedewszystkiem musiałem ratować Kingę i na ramiona ją wziąwszy, wniosłem do dworu, gdzie już przestraszone dziewki, matka, służba wszystko było na nogach.

Zapalono światło, ocuciliśmy przelęknioną, która chwytała mnie jeszcze, jakby się lękała, aby ją znowu nie porwał napastnik. Miałem zaledwie czas szepnąć jej, aby imienia jego nie głosiła.

Nikt się go nie domyślał, nawet moja matka.

Co do mnie, jakkolwiek czułem się niewinnym, a ciąwszy Olbrachta, nie wiedziałem kogom uderzył, zawsze w oczach jego i ludzi popełniłem kryminał, który bezkarnie ujść mi nie mógł. Sądu na mnie głośnego zwołać nie mogli, lecz wrzucić do więzienia, jako sługę, król miał prawo i żywa duszaby się za mną nie ujęła. Nie pozostawało mi więc nic do czynienia, tylko uchodzić.

Gdy Kingę położono na łóżku w innej izbie i uspokojono, dałem matce znak, aby szła za mną.

— Matusiu — rzekłem, — sądy i zrządzenia Boże są nieprzeniknione. Nie uczyniłem nic złego, ratując biedną Kingę, a jak zbrodniarz uciekać muszę.

— Ty? dlaczego? — krzyknęła matka.

— Wiecie, kogom ranił? — zapytałem — a rana ciężka może być, bo ciąłem z całych sił. Wiecie?

Matka stała milcząca.

— Króla — rzekłem jej.

Zasłoniła sobie oczy.

— Możeż to być?

— Jak mnie żywego widzicie! Dopóki czas, a na zamku się nie rozpatrzą i przeciwko mnie nie spikną, muszę na koń siadać i skoro bramy otworzą, uchodzić

— Dokąd? na Boga!

— Nigdzie indziej, jak na Litwę, na dwór Aleksandra — odpowiedziałem.

Nie miałem u niego łask tak wielkich, jak Ciołek i inni, to prawda, ale zawsze mi był życzliwym i dobrym. Pomnę nawet, że mi parę razy to powtórzył, krótkiemi słowy, jak to on zwykł: — źle ci tam będzie, przychodź do mnie!

Matka ulękła się ucieczki. Miała myśl inną. Chciała, abym zaraz szedł do kardynała, jemu wszystko szczerze i otwarcie wypowiedział i prosił o opiekę. Lecz Fryderyka znałem, nigdyby przeciwko bratu nie wystąpił, a nadto był królewską krwią dumny, aby zniewagę jej, choć mimowolną, mógł przebaczyć.

Nie wiem dlaczego, obawiając się Litwy i wielkiego oddalenia, matka radziła mi potem zbiec do Zygmunta na Śląsk, alem ja tam nikogo życzliwego nie miał, a księcia znałem mało. Naostatek myślała, że gdybym do królowej matki rano szedł, do nóg jej upadł, odkrył wszystko, onaby może u Olbrachta wymogła, aby się nie mścił nade mną. Lecz do królowej matki ani było myśleć się udawać. Jeżeli kto, to ona, rzucenia się na syna, potomka wielkich cesarzów i królów, darować nie mogła. Najlepsza z matek, zacna i rozumna niewiasta, była tak dumna krwią swą, iż ją za nadludzką niemal uważała... Przy najlepszem sercu, byłaby mi to doradziła tylko, co ja sam czułem nieuchronnem — ucieczkę.

Uciekać zaś najłatwiej i najbezpieczniej mi było na Litwę.

Matka wreszcie sama się o tem dała przekonać i zamiast wstrzymywać mnie, niespokojna, żądała, ażebym jak można najrychlej wydobył się z miasta.

Stanęło na tem, że wprost do Wilna, do Aleksandra uchodzić muszę. Lecz i Kingi tak zostawić nie mogłem, ani matki odjechać. Dniało już jasno, gdy umówiwszy się o drogę i o to, aby matka moja z Kingą zaraz nazajutrz we dnie z orszakiem jak najliczniejszym udała się za mną, wyjechałem, twarz przysłoniwszy kapturem, za Florjańską bramę.

Gdym się potem obejrzał na to śliczne miasto moje, oblane ciepłem światłem poranka, jakby usypiające jeszcze wśród rozkwitłych ogrodów i zielonych drzew, łzy mi się polały z oczów. Zdawało mi się, że go już nigdy nie zobaczę i tych rozlicznych głosów jego nie usłyszę. A właśnie jakby na pożegnanie odzywały się z niewymowną słodyczą poranne dzwonki i wesołe głosy budzących się do pracy ludzi.

Ucieczka moja pośpieszna, która mogła się wydawać tchórzostwem, okazała się jednak potrzebną. Dowiedziałem się później, iż tegoż dnia trzy razy przychodzono z zamku po mnie, powołując do króla. Ci, co z Olbrachtem byli, instygowali na to koniecznie, aby mnie przybywającego, nie dopuściwszy do ganku, wzięto i do wieży rzucono. I byłoby się to dokonało, a jeden Bóg wie, czybym się żyw z niej mógł wydobyć.

Przygoda królewska nie mogła się utaić, gdyż nocą zaraz przywołano doktora Macieja z Mnichowa, aby opatrzył ranę, która, jak się okazało, była głęboka, a że Olbracht miał krew popsutą i na twarzy od niej trąd zjadliwy, długo się potem goić nie chciała.

Nie wchodził nikt w to, jakim sposobem król tej rany napytał i że sam po nią szedł, a oburzyli się wszyscy na onego zuchwalca, co śmiał rzucić się z mieczem na namaszczonego.

Nie byłbym ja śmiał pewnie podnieść na niego ręki, ale któż w nocnym napastniku mógł się króla domyślać?

Wyjechawszy z Krakowa, choć w nodze boleści srogich i rwania doznawałem przez cały czas, biegłem, nie stając, mil kilka, więcej na konia się oglądając, niż na siebie.

Szkapa była niepozorna, ale dziwnej wytrwałości, z tych naszych nieoszacowanych koni, co gdy paszy nie stanie, zgniłą strzechę gotów gryźć i byle wodę miał, trzyma się, a sił nie traci. Soliłem mu obrok i z ręki prawie karmiłem, chleb mu w wodzie rozmiękczałem, aby się dobrze posilił, i tak dwa całe dni z małemi

wypoczynkami biegłem, nie przystając prawie, aż do mieściny, w której z matką się mieliśmy spotkać.

Tum dopiero legł, a ległszy poczułem się tak złamanym i osłabłym nagle, iż sądziłem, że nie powstanę. Przez całe dwa dni czekałem napróżno przybycia matki i już zaczynałem wątpić, czyśmy się nie rozminęli, gdy trzeciego ukazała się kolebka znana i orszak jej towarzyszący. Miałem znowu tyle sił, żem naprzeciw wyszedł witać i nogi jej całować.

Dowiadywałem się, czy pogoni za mną nie wyprawiono, lecz matka mnie upewniła, iż na zamku przepytywać kazała, ale o ściganiu mowy nie było.

Wszystkie tylko sprzęty, zbroje i co miałem na Wawelu przechowanego, rozchwytali zaraz dworzanie, pewni tego, że ani powrócę nigdy, ani się upomnieć mogę.

Jechaliśmy więc w imię Boże do Wilna. Tu, jak dawniej. matka już do Gastoldowego dworu zajechać nie mogła, bośmy wiedzieli, że go hetman Biały zajmował. Puściłem się przodem, aby dwór jaki znaleźć, o który teraz w Wilnie trudniej było, bo od czasu jak Aleksandra ogłoszono wielkim księciem, miasto, wprzódy puste, napełniło się gośćmi, wojskiem i panami z dalekich stron przybywającymi.

Nie poznać było Wilna, naprzód dla samego dworu Aleksandrowego, który nietylko zamek, okoliczne dwory, ale w mieście gospód wiele zajmował, potem dla nowo pobudowanych domostw panów litewskich, otaczających wielkiego księcia swojego.

Rychło tu poznano dobroć wielką, powolność jego i tę jakąś obojętność, z którą dla spokoju dawał się powodować tym, co go otaczali. Korzystali z tego najśmielsi, najzuchwalsi, a umiejący mu się przypodobać.

Pod ten czas właśnie, po niedawno zawartem małżeństwie z księżną Heleną, córką wielkiego księcia moskiewskiego, cieszono się tem, iż pokój z Moskwą zachowanym być może, a kto wie, czy między Litwą nie byli i tacy, co razem z nią i Wołoszynem potajemnie przeciwko Polsce spiskowali?

Wpadłszy naówczas do Wilna, zupełnie się tu uczułem obcym, tak okrutnie mi się ono od czasu, jakem go nie widział, odmieniło. Ludzie, ulice, domy, obyczaje... a choć na samym dworze około księcia czuć i widać było, że Aleksander się wychowywał w Polsce, niemal to zacierał obyczaj, mowa i strój ruski.

Przy księciu, oprócz ulubieńca Ciołka i kilku pisarzy Polaków, na dworze młodzieży naszej dość było, ale przy księżnej niewieścia jej służba, duchowieństwo, czeladź cała była moskiewska.

W pierwszych dniach, wpadłszy tu, anim się umiał rozpatrzeć, anim rozumiał, co się dzieje; dłuższego potrzeba było czasu, by języka dostać i ludzi poznać.

Szczęściem dla matki mojej dowiedziałem się, iż Stanisław Gastold, starosta żmudzki, właśnie był przy księciu, a miał tu swój dwór, w którym rzadko przemieszkiwał.

Szedłem więc do niego z pokłonem, bo to był pan wielki i nietylko możny, ale znaczenia niepośledniego. Trudno się do niego było dostać. Wreszcie, gdy mnie przypuszczono i do kolan się pokłoniłem, opowiedziałem, że jestem sługą Nawojowej, która się musiała na czas jakiś schronić do Wilna i prosiłem o opiekę a najpierw o wyznaczenie gospody, aby gdzie spocząć miała.

Starosta żmudzki pono jako żyw matki mojej nie widział, lecz dobrze znał jej losy. Okazał się dosyć uprzejmym.

— Co mam, tem się podzielę — rzekł, — ale na początek nie będzie mieć wiele pociechy. Dworu mego połowę oczyścić jej każę, a gdy za dni dziesiątek odjadę do Szawel, cały wam oddać mogę.

Musiał dwór starosty zaraz się wynosić i obozować pod gołem niebem, a ja matkę pod dach ten bezpieczny wprowadziłem.

Miałem zamiar co rychlej szukać jeżeli nie służby u księcia, to opieki i dostać się do niego, lecz postrzegłem się zaraz, że nie popróbowawszy gruntu pod nogami, nic nie uczynię, albo i gorzej, niż nic, gdy krok postawię fałszywy. Musiałem więc począć od tego, aby

się rozpoznać, rozsłuchać i między Polakami, którzy tu byli, nowe znajomości robić, stare odnawiać.

Choć Ciołka, który już podówczas wysoko stał, niegdy znałem, nie chciałem się do niego uciekać; wolałem do młodego Łaskiego, bo ten przystępniejszym był i nie tak zgóry na drugich patrzał. Lecz Ciołek tą dumą zasłaniał się, jak tarczą, aby go szewckim synem nie przezywano, a Łaski takiego rodu był, iż jemuby nikt nie śmiał zadać ladajakiego pochodzenia.

Wybrawszy więc dzień i dowiedziawszy się, kiedy Łaskiego zastanę w jego izbie na zamku, zastukałem do niego. Był on już naówczas przedwcześnie, powiedzieć można, a dobrowolnie stary, choć wiekiem połowy żywota ludzkiego nie doszedł; twarzy surowej a poważnej, natury silnej i rosłej, małomówny, lecz doświadczonego rozumu i rozważnego słowa. Szanowali go wszyscy, choć nie wszyscy lubili może, bo niepoczciwym stawał mężnie na drodze.

Książę go potrzebował, Ciołek znosił, ale się obawiał, a że czuł w nim ród, którego sam nie miał, za to go może nienawidził.

Jużem to wiedział o nim od ludzi, iż na dworze, który się na obozy dzielił i wojnę z sobą cichą prowadził, Łaski się wcale do tych pokątnych spisków i konszachtów nie mieszał.

Znalazłem go, jakby nieboszczyka, dobroczyńcę mojego, Długosza, otoczonego księgami, przy pulpicie, z piórem w ręku. Choć widywał mnie zdala, lecz poznać ani sobie przypomnieć nie mógł.

Ucałowawszy rękę jego, począłem od tego, że dla pewnych okoliczności, których nie mogę wyjawić, ale nie czyniących ujmy czci mojej, zmuszony byłem zbiec z Krakowa i służbę Olbrachta porzucić.

Złeć to było polecenie, com sam czuł, a Łaski zmierzył mnie okiem badającem i zbył zrazu bardzo zimno. Okazał mi jawnie, że nie ma ufności do mnie. Zakląwszy go więc o tajemnicę, byłem zmuszony jak na spowiedzi wyznać wszystko.

Załamał biedny ręce i oczy spuścił na ziemię.

O chorobie króla już tu miano wiadomość, lecz przyczyny jej nie wiedziano.

Tłumaczyłem winę moją, jakom mógł. Milczał.

— Królewicza, a dziś wielkiego księcia, znam od dziecka — rzekłem, — zna on mnie też. Służby nie potrzebuję, ale pod opiekę jego radbym się dostać. W ostatku, choć trochę się zaniedbałem, w kancelarji też pracować mogę jako skryptor.

— Toby się przydało — odparł, — bo Rusinów diaczków mamy dosyć, ale do spraw z Polską brak nam ludzi.

Ośmieliłem się rzec wówczas, iż mi się widzi, że spraw tych coraz to mniej będzie pono, gdy, jak ze wszystkiego widać, Litwini i Rusini odrywają się gwałtem od Polski.

— Takci to było — odezwał się Łaski, — ale inaczej pono będzie wkrótce, bo się Moskwie książę ani nawet małżeństwem obronić nie zdoła. Związała się ona z Wołoszą, a znajdzie bodaj i innych sprzymierzeńców i ruskie ziemie chce oderwać od nas. My sami się nie obronimy, Kijów razem i Litwę zmuszeni od nawały tej zasłaniać. Ci nawet, co wprzód się tak Polski wyrzekali, jakby się obawiali, że ona ich pochłonie, zaczynają pożądać sojuszu nowego i unji.

— A cóż ty myślisz poczynać? — spytał.

Po chwili rozmowę Łaski zakończył tem, iż pogodnej chwili z księciem o mnie mówić się postara.

A tu miejsce może, abym coś napomknął o tem małżeństwie Aleksandrowem, o którem zdala inaczej słyszeliśmy, a dopiero tu patrząc na nie, serce się ściskało nad tem, że je dla w. księcia wymodlono i wyjednano. Nie przyniosło ono bowiem szczęścia ani w. księżnie Helenie, pani pobożnej, łagodnej, dobrego serca, ale bojaźliwej i przybitej obawą ojcowskiej władzy i woli, ani naszemu panu, który wychowanym był nie tak, aby niewiastę prostą, obyczaju niemal zakonnego, mógł zrozumieć i z nią się miłością połączyć.

Na straży też około w. księżnej Heleny stał naprzód niechętny wszystkiemu, co rzymskie i polskie było,

ojciec jej duchowny, potem służba i niewiasty. Stąd nieustanne nieporozumienia i waśnie. Donoszono fałszywie ojcu o ucisku, jaki córka cierpieć miała, a Aleksandrowi serce psowano, wskazując mu nieprzyjaciół w tych ludziach, najbliżej żony stojących.

Więc choć się oboje serdecznie do siebie zbliżyć i pokochać chcieli, nie dopuszczano.

Ukazał sięli, uchowaj Boże, ksiądz nasz na dworze, czasu, gdy księżna występowała, a przemówił co do niej, choćby najniewinniejsze słowo, wnet skarżono o gwałtowne namowy i nawracanie, i przychodziły listy piorunujące od ojca... Napróżno księżna, odpisując na nie, poprzysięgała, iż jej nie czyniono żadnego gwałtu, żadnym przymusem nie nękano, złośliwe doniesienia sług więcej ważyły.

Ten zaś dwór moskiewski, od ojca duchownego począwszy, diaczków, pisarzy, aż do ostatniej służebnej, taką tchnął nienawiścią do wszystkiego obcego, iż jej niczem przejednać nie było można. Odosobniali się dobrowolnie, kryli, zamykali, i niemal dotknięcia i spojrzenia obawiali, a wszystko na złe tłumaczyli.

Na samym więc dworze było jakby rozpalone ognisko, nie gasnące nigdy, które podsycało wzajemną niechęć. Aleksander zaś nie był człowiekiem, coby mocnem słowem i okazaniem woli swej poskromił niechętnych i zmusił do uległości. Łagodny, dobry, ramionami poruszał, żonę cieszył, jak umiał; gdy płakała, szukali dla niej zabawek i rozrywek, ale wkońcu zeszło na to, że oboje oddychali dopiero, gdy sami pozostali: w. księżna w swej kaplicy i teremie, Aleksander z Ciołkami, muzyką i starymi dworzanami.

Już podówczas marszałkował u niego kniaź Michał Gliński, Rusin, mąż postawny, wymowny, zuchwały, a ambicji wielkiej. Mając to właśnie, czego Aleksandrowi brakło, śmiałość wielką, prowadził go, jak chciał.

Koso już naówczas spoglądali na niego inni ludzie pomiarkowańsi, szczególniej Krzysztof Ilinicz, starosta lidzki, Jan z Zabrzezia, wojewoda trocki, Stanisław

z Żarnowic, żmudzki starosta i wielu innych. Ci wszyscy więcej wychowaniem, obyczajem, wiarą zbliżali się do Polski, Gliński ciągnął do Rusi i gromadził około siebie Rusinów zapamiętałych. Nie było jeszcze otwartej wojny, ale się już na nią zanosiło...

Gliński zatem głosował, aby od Polski stać zdala i obchodzić się bez niej, tamci trzymali, iż się Litwa nie ostoi sama i Moskwa ją pochłonie.

Co do Aleksandra, pewnie, że w duszy jego więcej było skłonności dla Polski, z którą zrywać nie chciał, ale żadnej mocy nie miał. Patrzeć było na niego, na męską postać, wzrost, siłę i oblicze, zdało się, iż w tem musi mieszkać potęga wielka, bo majestat miał, lecz do walki żadnej stworzonym nie był, a gdy mu się tylko zapowiadała, ulegał pierwszemu, co mu pokój przynosił.

Po widzeniu się mojem z ks. Łaskim, mając do czynienia około umieszczenia matki mej, przed i po wyjeździe Gastolda na Żmudź, nie chodziłem się dowiadywać o siebie.

Lecz z rana dnia jednego, wychodząc ze mszy świętej, gdym się rozglądał około chorągwi Witoldowej, u grobu jego wiszącej, uczułem, że mnie ktoś po ramieniu uderzył i, obejrzawszy się, zobaczyłem Łaskiego z książką w ręku.

Dobrotliwie mnie powitał.

— Mówiłem o was w. księciu — rzekł, — przypomniał sobie bardzo dobrze i uradował nawet, że was zobaczy, ale tego nie mógł zrozumieć, jakeście Olbrachta opuścili, który was pono szczególnie miłował.

Spuściłem oczy.

— Księciu nie mogę powiedzieć, co mnie tu przypędziło — rzekłem, — a kłamać, zaprawdębym nie chciał.

Ks. Łaski ramionami ruszył.

— Nigdy kłamać nie trzeba — rzekł, — ale nie zawsze człowiek jest obowiązany mówić wszystko. Jeżeli chcesz, pójdź do księcia wieczorem, gdy sam jest,

a pokłoń mu się. Skryptora miejsce przy mnie dla was gotowe, jeżeli chcecie.

Pocałowałem go znowu w rękę.

— Przyjmuję z wdzięcznością — rzekłem, — bo tym sposobem się zaliczyć będę mógł do dworu, a na przypadek znajdę opiekę.

— Nie sądzę, żebyś jej potrzebował — odparł Łaski. — Olbracht mściwym nie jest, zapomina łatwo, a gdy się rana zagoi, gniew przejdzie.

Tegoż wieczora, znalazłszy pomocnych dworzan, w tej godzinie, gdy książę sam był i zabawiał się zwykle tem, że mu śpiewano, opowiadano coś lub wpuszczano błazna Szyrkę, aby go rozrywał, i ja się dostałem do komnaty osobnej, do której tylko poufałych dopuszczano.

Książę chodził milczący, jak zawsze, orzechy gryząc, a w kącie cytarzysta mu grał i piosnkę nucił. Kiedy niekiedy stawał przy nim, patrzał, jak mu palce po strunach chodziły, uśmiechał się, sam nucił pocichu i przechadzał się znowu. Patrzał na wsze strony, ale tak jakoś dziwnie, jakby nic nie widział.

Gdy mnie spostrzegł, potrzebował jakiś czas namysłu, nim mu snać imię moje na pamięć przyszło, potem nagle się rozśmiał, przystąpił żywo i nic nie mówiąc, głośnym już śmiechem mnie witał.

Wiedziałem, że nie rad rozmawiał, choć chętnie słuchał. Więc zacząłem rozpowiadać, że mi się znudziło w Krakowie; a jako urodzony na Litwie, przybyłem tu spocząć... a że ks. Łaski skryptora potrzebował, radbym uzyskać pozwolenie pańskie, aby mu służyć.

Książę na to, obie ręce w górę podniósłszy, zamruczał coś niewyraźnego i nagle rzekł głośno:

— A jakże!... dobrze! dobrze!

Rozmowy tej już mu jednak było za wiele, zwrócił się do cytarzysty, kiwnął mi głową i poszedł.

Posiedziawszy czas jakiś, gdy niektórzy się wymykali, a w. książę miał do teremu żony przejść, pokłoniłem mu się zdala i odszedłem.

Nazajutrz rano ledwiem wstał, na podwórzu słyszę gwałtowne o mnie dopytywanie i wołanie.

Na złodzieju czapka gore; zląkłem się więc zrazu, lecz napróżno. Było to obyczajem Aleksandra, że nigdy sługi ani przyjął, ni odpuścił, nie obdarzywszy go... podskarbi więc jego szukał mnie z szablą, sztuką sukna i kilkudziesięciu grzywnami, które na powitanie jako gościniec otrzymałem.

Wszyscy królewicze tak szczodrzy być lubieli, jak ojciec, a więcej jeszcze dziad, lecz Aleksander innych przechodził. Zdawało się, że nie mógł się uspokoić, nowego człowieka spotkawszy, dopóki go nie obdarzył. Szły tak nie tylko sobole i sukno, ale całe włości i ziemie, i wszystko, co tylko miał.

W kancelarji przy ks. Łaskim nie miałem wiele zajęcia, ale się można było nauczyć od niego niemało rzeczy, dotyczących spraw Polski i Litwy i wzajemnych ich stosunków.

Jak on przepowiadał, spełniło się wszystko, gdyż najzaciętsi Rusini, co chcieli koniecznie starą unję horodelską zerwać, — teraz, gdy Moskwa coraz bardziej zagrażała, zmiarkowali, że sami sobie pozostawieni, padną jej ofiarą. Biskup Marcin żmudzki i wojewoda trocki wysłani zostali dla wznowienia sojuszu i na zjeździe w Wilnie latem po staremu do unji powrócono.

Moskiewski kniaź choć był teściem Aleksandra, wcale się na to nie oglądał. Myśmy na tem zyskali tylko, że co się u nas działo, a nawet o czem nikt nie myślał, donoszono Iwanowi, a miał na dworze swoich i nawet przy boku króla.

Czernihowski i rylski kniaziowie oderwali się od Litwy dla bezpieczeństwa i spokoju i przeszli do moskiewskiego. Wojna okrutna groziła tem, że i drudzy ruscy kniaziowie mogli Aleksandra zdradzić. Wojska wpogotowiu było mało, czasu nie stało, aby je brać, a i skarb tą rozrzutnością Aleksandrową był wyczerpany.

Pisała w. księżna Helena listy po listach ojcu, zaklinając, aby zięciowi folgował, bo mówiono, że Tata-

rów perekopskich w pomoc sobie zaciągał, lecz listy wcale nie skutkowały. Słano więc do Polski nagwałt, prosząc pomocy u Olbrachta. Tymczasem co było najlepszych hetmanów, kniaź Ostrogski, Ostyg, Citawor, Hlebowicz poszli na granicę z garstką ludzi.

Co podówczas działo się w Wilnie i po całej Litwie z obawy najazdu, opisać trudno. Niepokój panował największy i na dworze, gdzie jedni drugim na oczy wyrzucali, iż z rady ich i nieopatrzności kraj został prawie bezbronnym, zaufawszy małżeństwu i przymierzu moskiewskiemu.

Stało się to, czego się można było spodziewać — wojsko litewskie, na które dziesięć razy liczniejszy Moskal wystąpił, na głowę pobito, a hetmani najlepsi wszyscy poszli w niewolę.

Przez ten czas, gdy się to przygotowywało i działo, patrzałem często na w. ks. Aleksandra i nie mogłem zrozumieć, co się w nim i z nim działo. Chodził milczący, to zdając się zapominać o wszystkiem, to nagle niepokojąc się, wołając zkolei do siebie wszystkich, rozkazując opowiadać, śląc po język. Gdy się tak żywo poruszył, ludzi porozpędzał, gońców powyprawiał, namruczał, nakrzątał, zdawało mu się, że wszystko zrobione i, orzechy gryząc, chodził już spokojny, cytarzystom śpiewać rozkazując.

Wielu rzeczy księciu nie mówiono, rządzili się poza plecami jego wszyscy. Gliński sobie, Zabrzeziński sobie, Ilinicz na swą rękę, a hetmani, jako ich Duch Święty natchnął. Ładu i składu nie było.

Łaski czasem, gdy go to nacisnęło, wzdychał, mówiąc:

— Jeżeli nas co ocali, to chyba moc i Opatrzność Boża.

Glińskiemu w oczy raz rzekł:

— Chcieliście zerwać z Polską unję, obraliście sobie w. księcia na to, macie skutki: Brańsk, Putywl, Drohobuż, aż po Toropiec przepadły... a z Iwanem unja taka, że was zje...

Gliński naówczas złośliwie się uśmiechał, ruszał ramionami i pomrukiwał:

— Toć nie koniec... zobaczymy.

Tak się to ciągnęło do połowy 1501 r., a w mojem życiu prawie żadna nie zaszła zmiana. Jejmość pani matka moja nabyła od Hlebowiczów wielki dwór na Snipiszkach z ogrodami przestronnemi i szopami. Tuśmy się już zupełnie zagospodarowali, iż nam na niczem nie zbywało. Na parę godzin szedłem do kancelarji do ks. Łaskiego i do dworu na zamek, aby się dowiedzieć, czy nie przyszły wieści jakie, potem powracałem do matki i z nią a z Kingą spędzałem resztę czasu.

Śmieszno się do tego przyznać, ale ogród około domu, grzędy i rośliny różne lekarskie, których się nauczyłem rozpoznawać dawniej, zajmowały mnie mocno. Sadziłem, siałem, a nawet sam bywało rydla się nie wstydziłem, za co matka na mnie krzyczała, żem godności własnej poszanować nie umiał. Ludzie prości dziwowali się też temu, bom miał się kim wyręczyć.

Z rana na zamek koniecznie było potrzeba zajrzeć, bo nie było dnia, żeby tam coś nowego nie przyszło, albo z Polski, lub od Moskwy i granic.

Na wiosnę dowiedział się ks. Aleksander, że Olbracht wybierał się do Prus, aby zmusić nowego mistrza do hołdu; była nawet mowa o tem, aby bracia się z sobą spotkać i widzieć mogli. Życzył sobie tego Aleksander, a Olbracht pewnieby chętnie na pół drogi zjechał.

Posłano z zaproszeniem do Torunia Olechnowicza młodego.

W. ks. na wypadek podróży i ks. Łaskiego z sobą chciał wziąć, ale ja, oczywiście, towarzyszyć mu nie mogłem. Byłem pewien, że król, gdy się rana zagoiła, choć mówiono, że długo się z nią nosił, przebaczył mi i zapomniał; zato byli koło niego ludzie, co mi zabyć tego nie chcieli. Lepiej więc było na oczy im się nie nastręczać. Wiedzieli oni, gdziem był, ale tu w spokoju pozostawiali.

Czekaliśmy powrotu Olechnowicza z Prus, gdy

w wigilję św. Jana, przybywszy rano do ks. Łaskiego, zastałem go na klęczkach odmawiającego modlitwę, z twarzą wielce poruszoną i łzami na oczach. Nie była to zwykła godzina jego modlitwy. Stanąłem w progu. Wtem z klęcznika się poruszył i głośno zawołał:

— *Et lux perpetua luceat ei.*

Patrzałem zdziwiony, pytać nie śmiejąc.

— Nikt o tem nie wie jeszcze — odezwał się do mnie pocichu, — przybiegł do mnie goniec z Torunia... Olechnowicza też tylko co nie widać. Król umarł!

Nigdybym pewnie obojętnem sercem wiadomości tej nie przyjął, lecz teraz, gdym przebaczenia od niego otrzymać nie mógł, a posłyszał, że nie żyje, załamałem ręce...

Wszystko dobre, jakiego doznałem od niego i wielkie jego przymioty przyszły mi na pamięć, a złego i płochego zapomniałem. Wiek też obiecywał większy statek, przy tym rozumie, jaki miał, mogący go monarchą uczynić potężnym.

— Lat miał zaledwie czterdzieści! — zawołałem — silny był i zdrów... możeż to być? Nie struli go krzyżacy?

Łaski poruszył ramionami.

— Powietrzem nagle ruszony, życie skończył — rzekł. — Jaka przyczyna śmierci, Bóg wie jeden. Miałci lekarzów przy sobie; ci powiedzą chyba, jak w sile wieku mógł tak nagle życie stracić.

Ledwieśmy tak rozmowę smutną poczęli, gdy wpadł dworzanin książęcy, Łaskiego powołując do pana.

Opowiadał mi później, iż zastał tu już zgromadzonych wszystkich urzędników przedniejszych dworu: Glińskiego, Radziwiłła, biskupa Tabora.

Aleksander niemym był z boleści i płakał. Niepokój też ogarnął go o własny los, o bezkrólewie, które nastąpić miało w niebezpiecznej godzinie i o usposobienie umysłów w Polsce.

Wyrazić mi trudno, co, od tej chwili począwszy, u nas się działo. Około księcia wpływy się krzyżowały różne, bo jedni nie chcieli go widzieć na tronie pol-

skim, drudzy sobie właśnie życzyli. Co w Krakowie myślano o tem, nie wiedział nikt i przewidzieć nie było można.

Udało się ks. Łaskiemu, do którego po raz pierwszy we własnych widokach przyłączył się Erazm Ciołek, wmówić Aleksandrowi, iż i prawo miał do korony, i koniecznie się o nią starać był powinien, dla samej nawet obrony od Moskwy.

Leniwy trochę umysł księcia z początku zdawał się obawiać nawału spraw i trudności rządzenia krajami obu. Poruszył ks. Łaski ambicję, wskazał korzyści, dowodził, że większą siłą rozporządzając, łatwiej rządzić potrafi.

Gdy raz myśl tę zaszczepił, już jej odjąć nawet ulubieniec Gliński nie potrafił. Być też może, iż kniaź Michał spodziewał się, gdy Aleksander do Krakowa się przenieść będzie zmuszony, że jemu wielkorządy na Litwie powierzy. Nie nastawał więc przeciw temu.

Szło o to, aby wiedzieć, co myśli królowa matka i kardynał Fryderyk, a za kim oni stać będą, bo już chodziły wieści, że Władysława jedni prowadzić mieli, drudzy Zygmunta.

Trzeciego dnia po otrzymaniu wiadomości o zgonie króla już mnie ks. Łaski zawołał do siebie z tem, iż do Krakowa wskok jechać muszę, na dwór się dostać i spenetrować, na co się tam zanosi.

Niebezpieczeństwo mi nie groziło żadne, ale właśnie na ten czas zachorzała mi matka, na wiosnę, jak to było we zwyczaju, obficie sobie krwi upuścić kazawszy, poczem zesłabła mocno i w łóżku obległa.

Nie chciałem jej opuszczać w tym stanie, ale naleganiu ks. Łaskiego, a potem rozkazowi Aleksandra opierać się nie było sposobu. Nie mieli ludzi zaufanych, którymby łatwo i do kardynała, i do królowej, i do znaczniejszych urzędników przystęp znaleźli.

Musiałem więc, choć z wielkim w sercu niepokojem, natychmiast w podróż się wybierać. Książę sam ludzi, poczet, konie i pieniądze na drogę natychmiast mi wyznaczył.

Matka też, widząc, że o ważną szło sprawę, nie zatrzymywała mnie, a poczciwa Kinga dla uspokojenia zaklinała się, że od łoża jejmości nie odstąpi na chwilę i najtroskliwiej strzec będzie. Przyczem pana Macieja z Błonia, doktora, uprosiłem, aby nawiedził chorą i niczego nie żałował, choćby driakwje na wagę złota płacić przyszło.

Powierzywszy Kindze jeszcze matkę moją i ostatnią ją w ganku pożegnawszy niemal rodzicielskiem uczuciem, przyczem płaczu było niemało — w imię Boże ruszyłem do Krakowa.

Jakom tam zastał, w początku wyrozumieć było trudno. Krakowianie przebąkiwali o Władysławie, chcąc na głowie jego trzy korony połączyć, może nie bez chytrości i skrytej myśli, że sam w Polsce rządzić nie mogąc, będzie się tu wielkorządcami wyręczał. Nikogoby zaś łacniej nie naznaczył, jak Fryderyka, który już dał dowody, że rządzić umiał i lubili go wszyscy.

Poszedłem sam do kardynała na dwór jego, kędy jak około monarchy znalazłem wielki ścisk różnego rodzaju ludzi. Zajęty był i czynny bardzo, co mu jak Olbrachtowi nie przeszkadzało ucztować. Otwarte stoły teraz po całych dniach trzymał, karmiąc i pojąc, a wieczorami w kółku swych ulubieńców dzień kończył tak wesoło, jak poczynał. Była jednak ta między nim a bratem różnica, że wśród biesiadowania, a nawet gdy zdawał się podchmielonym, spraw ważnych nigdy z pamięci nie tracił, małymi ludźmi i rzeczami zręcznie się umiejąc posługiwać.

Gdym mu od w. księcia Aleksandra ukłon przyniósł, spojrzawszy mi bystro w oczy, rzekł:

— Cóż brat myśli? nie dosyć mu Litwy? Są ludzie, co go do korony prowadzić zechcą. Będzie się on starał o nią?

— Sądzę, że ona mu z prawa przypada — rzekłem.

— A Władysław? — wtrącił kardynał.

— Zrzekł się przecie swoich praw do Polski niejednokrotnie, a jeśli komu, to jemuby trzecia korona zaciężyła.

— Często trzy łatwiej nosić, niż jedną — odparł Fryderyk.

— Zresztą — dodałem, — sprawa to tych, co wybierać będą; sądzę jednak, iż Litwę ratując, by nie odpadła, życzyć należy wyboru Aleksandra.

Kardynał mi nic na to nie odpowiedział i zwróciwszy rozmowę, pytał o w. ks. Helenę, o stronnictwo na dworze, o stosunki z Moskwą, nie potrącając już o wybór przyszły.

Około królowej łacno mi było wybadać, że z kardynałem za Władysławem trzymała, tłumacząc się tem, iż powolny Aleksander wielkim trudnościom, jakie w spadku po Olbrachcie pozostały, nie mógłby podołać.

Piotr Kmita, marszałek koronny, za wiadomością i z naprawy królowej matki i kardynała, choć widomie się do tego nie wtrącających, wysłali już byli do Pragi z wezwaniem do Władysława wojewodę łęczyckiego, Piotra i Mikołaja, kanonika krakowskiego. O czem gdym się dowiedział, postanowiłem doczekać, ażby przyszła odpowiedź od Władysława.

Na tem nie dosyć; drudzy za Zygmuntem silniej jeszcze obstawali, twierdząc, iż ze wszystkich braci najzdolniejszym był, umysłu najpoważniejszego, statku wielkiego, a na małym swym Śląsku okazywał dowodnie, jakby znacznem państwem rządzić potrafił. Przyznawano mu obok dobroci, wszystkim im właściwej, silną wolę i energję, na której innym Jagiellonom zbywało.

Lecz Zygmunt, jakem się mógł tu przekonać, wcale nie czynił zabiegów o koronę, przyjaciół nie jednał, stronnictwa nie zbierał i okazywał obojętność zupełną. Tego więc Aleksander nie miał się co obawiać, gdy Władysława, popieranego potajemnie przez matkę, brata i Krakowian, lękać się było potrzeba.

Przeciwko Aleksandrowi tylko duchowieństwo miało to, iż poślubił królowę greckiej wiary i musiał z nią wprowadzić się do Krakowa. Zapowiadano, iż dla tej różnicy nawet koronowanąby być nie mogła. Stąd mu-

siałby wybuchnąć gniew ojca, w. ks. Iwana, i nowa wojna.

Rozsłuchawszy się tu i rozpatrzywszy, gdy posły od Władysława wróciły z obojętną odpowiedzią, wielkiej żądzy posiądzenia korony nie obiecującej, jeszcze raz szedłem z pożegnaniem do kardynała.

Trafiło się, żem pod wieczór dopiero przypuszczony został, po całym dniu na niezwykłej spędzonym zabawie, gdy Fryderyk już musiał się położyć do łóżka.

Po raz pierwszy uderzyło mnie w nim to, iż mimo młodego wieku, w twarzy, w oczach i całej postawie jakby choroba jakaś i okrutne znużenie się malowało. Oddech miał ciężki, oczy podbite, ruchy niespokojne, plamy po obliczu, na rękach i szyi czerwone jakieś i sine. Nie zważając jednak na to, jakem się dowiedział potem, życie prowadził takie, któreby najzdrowszego mogło z nóg zwalić. Doktorów nie słuchał, wyśmiewał się z nich i osłami ich zwał, dowodząc, że mu żaden z nich nie pomógł nigdy, a to, co z porady ich czynił, coraz więcej szkodziło.

— Wracasz na Litwę — rzekł mi, — zanieś pokłon Aleksandrowi i powiedz mu, niech o tem pamięta, aby na szerokie, prawda, i silne ramiona zbytniego nie brał ciężaru. Tutejsi panowie Władysława ciągną, drudzy o Zygmuncie mówią, nie godzi się braciom ze sobą wojować nawet o koronę.

— O ilem ja tu zbadać mógł — odpowiedziałem, — niemało też głos da za Aleksandrem, bo mu ta korona i z prawa należy się, i z nim idzie Litwa, a tak się ona może znowu odczepić.

Kardynał się skrzywił nieco.

— Ja się w te sprawy czynnie mieszać nie będę — odparł; — braciom życzę dobrze, niech się między sobą porozumieją.

I z tem mnie odprawił, gdyż boleści go jakieś nagle chwyciły i na czeladź wołać zaczął, aby mu leki do okładania ciała przyniesiono. Szerzyła się już naówczas po mieście wiadomość, jakoby choroba kardynała była straszną, nieznaną, a do uleczenia trudną, z ob-

cych krajów przyniesioną, której najlepsi doktorowie cale nie rozumieli.

Z takiemi wiadomościami pośpieszyłem w początku sierpnia zpowrotem do Wilna, mało po drodze wczasu zażywając, bo do zjazdu w Piotrkowie i przygotowania się do wyboru niewiele nam zostawało.

Czekała mnie tu najboleśniejsza w życiu mojem strata: nie zastałem już matki przy życiu. Dowiedziawszy się o tem na samym wstępie, ledwiem miał siłę ks. Łaskiemu sprawę zdać z mojej podróży i pobiegłem do osieroconego dworu. W trzy dni po wyjeździe moim skończyła życie, błogosławiąc mi do ostatniej godziny.

W progu domu spotkałem w czerni, zapłakaną, naprzeciwko mnie wychodzącą Kingę, która naprzód ze łkaniem do nóg mi się rzuciwszy, gdym ją podniósł, na szyję mi padła i nawpół omdlałą, na rękach ją musiałem wnieść do izby.

Tuśmy oboje długo, prawie nic nie mówiąc, płakali.

We dworze zastałem wszystko nieporuszonem tak jak za życia matki mej było, jej tylko jednej tu brakło.

Umierając, jak mi mówiła Kinga, wszystko, czem rozporządzać mogła, mnie przekazała.

Los Kingi niemal mnie więcej teraz, niż własny obchodził. Gubiłem się w myślach, jak go jej zapewnić, gdzie schronienie znaleźć. Odezwałem się więc do niej, jako ojciec:

— Powiedz, dziecię moje, co chcesz, abym uczynił dla ciebie! Jak mam los twój na przyszłość zabezpieczyć? Gdzie chcesz pozostać?

Wtem do nóg mi padła, obejmując je.

— Nie odpychaj mnie od siebie. Gdzież ja lepsze i bezpieczniejsze znajdę schronienie, w czyjem sercu lepszą opiekę?.

— Jakkolwiek stary jestem — odezwałem się — przecież, dziecko moje, gdybyśmy z sobą mieli pozostać, ludzkie języki czci twojejby mogły uwłaczać. Nie godzi się to.

Kinga mocno płakać zaczęła.

Siedziałem, wielką litością zdjęty, a i mnie też roz-

dzielenie się z nią jakby żelazem serce przeszywało. Wtem ona, oczy otarłszy, z jakąś odwagą, której w niej nie znałem, poczęła:

— Ocaliłeś mi cześć, a może i życie — rzekła, — przywiązałam się, jako pies do was... godziż się, abyście mnie precz odpędzili? Czym ja nie zasłużyła, abym przy was pozostać mogła!

— Boże wszechmogący! — zawołałem — gdybym młodszym był, ach! Kingo moja...

A ta mi się na szyję rzucając, poczęła wołać:

— Dla mnie starym nie jesteś, panie mój, nie odpychajcie mnie!

Jednemu Bogu wiadomo, jak się to naówczas dokonało, żem się dał skłonić do poślubienia jej. Żądała tego po mnie, a ja większego szczęścia nigdym na świecie nie pożądał i pod siwym włosem już się go nie spodziewał. Oszalałem właśnie.

Gdym potem, ochłonąwszy, rozważył, co miałem uczynić, i wstyd, i strach mnie ogarnął, ale Kinga mi nie dała się tem gryźć, wesołością swą i wielkiem sercem utrzymując w tym szale jakimś, z którego wyjść nie mogąc, czułem tylko, że się on z każdą powiększa godziną.

Nowe więc rozpocząć miałem życie. Trzeba było dać wiedzieć rodzinie, do wesela przygotowania czynić, wreszcie i przed moimi łaskawymi przyznać się do tego, że na starość rozum straciłem. Bom pewien był, że inaczej tego nie nazwą.

Stało się wszakże, że nikogo to nie zdziwiło bynajmniej, bo małżeństw takich naówczas siła się trafiało. Winszowano mi, a wszyscy niemal dodawali, iż słuszniem czynił, towarzyszkę sobie, choć późno, biorąc na resztę życia.

Przypadało to właśnie o tym czasie, kiedy się losy Aleksandrowe rozstrzygać miały, gdy mnie Łaski za sobą do Piotrkowa ciągnął, dokąd Tabor, biskup żmudzki, Radziwiłł podczaszy, Jan z Zabrzezia, trocki wojewoda i Olechnowicz, starszy kuchmistrz, wysłani być mieli do popierania wyboru.

Chciałbym był pozostać w Wilnie, ale sam w. książę przywoławszy, obdarzywszy, tak łaskawie przemówił, jechać polecając, żem i wesele odłożyć musiał i Kingę moją porzucić, choć mi dziś jednej godziny, bez niej spędzonej, żal było. Uprosiłem tylko daleką Gastoldów pokrewną, podżyłą niewiastę, wdowę po Korniakcie, aby na czas niebytności mej przy Kindze pozostała. Zgrzybiały i niedołężny Sliziak, który panią swą przeżył, także przy dworze moim zostawał. Miałem służbę liczną i poczciwą, na którą straż tego skarbu mojego zdać mogłem.

O Piotrkowie mało powiedzieć mogę, bom wiele pisał i ks. Łaskiemu służył, ale sam przez się czynnym nie byłem, ale przybywszy na miejsce, zrazu to można było przewidzieć, że ani ci, co Zygmunta prowadzili, ani Władysławowi nie utrzymają się przeciw Aleksandrowi. Prosta rachuba dzieło Jagiełły i Kazimierza utrzymać i umocnić kazała, a nie burzyć je.

Wybór posłów litewskich, których na zjeździe polskim bodaj pierwszy raz oglądano, bardzo też był szczęśliwy. Powaga biskupa Tabora, pańskie wystąpienie Radziwiłła i zręczność a żywy umysł wojewody trockiego zaraz Polaków ujęły. Olechnowicz kuchmistrz niby poufale się z tem odzywał, że Aleksander bodaj siłą gotów jest prawo swe do korony popierać.

Kardynał jak skoro tylko zmiarkował, iż na stronę Aleksandra szala się przeważyła, natychmiast się za nim oświadczył. Zygmunt żadnych starań nie czynił.

Stanęło więc wszystko na wzajemnem porozumieniu Litwy i Polski, z utrzymaniem starego związku i powszechnem uradowaniem, którego może tylko panowie krakowscy nie podzielali. Lecz i ci przycichli, sami pozostawszy.

Zaledwie się tu sprawa zakończyła, wyprosiłem się u ks. Łaskiego do Wilna zpowrotem, a nigdym zamłodu tak nie pędził dniem i nocą, ani się czuł tak rzeźwym i niezmordowanym, jak teraz.

Późno, późno nad zachodem uśmiechnęło mi się życie.

W Wilnie, dzięki Bogu, zastałem wszystko tak, jak pragnąć mogłem, a przygotowania weselne, powierzone Sliziakowi, mimo jego niedołęstwa, nie zostały zaniedbane.

Ponieważ koronacja królewska do pierwszych dni ostatniego miesiąca, na adwent odłożoną być musiała, gody moje ją poprzedziły.

Miałem do wyboru dwa dwory, do mnie należące: krakowski i wileński, nie chciałem sam rozstrzygać, gdziebyśmy pobrać się mieli i zamieszkać. Prosiłem Kingę, aby wedle własnego serca postanowiła.

Dwór wileński żałobę nam naszą przypominał, był on i dla mnie jakby wygnaniem, ona i ja woleliśmy do Krakowa powracać. Później zaś zamieszkać chciałem albo w Lidzkiem, lub choćby nie opuszczać Krakowa, gdzie miałem wielu przyjaciół, życzliwych i znajomych. Puściliśmy się w podróż, panią Korniaktową biorąc z sobą, jesienią, ale nim się jeszcze drogi popsuły, i trafiliśmy na babie lato tak piękne, że niemal wiosnę przypominało.

W Krakowie, gdy do wesela już przychodzić miało, suktę z sobą zwieść musiałem wielką. Chciało mi się gody sprawić wspaniałe i głośne, czemu Kinga się sprzeciwiała. Nie byłbym kilkuset grzywien żałował, aby je ludziom uczynić pamiętnemi.

Skończyło się więc na tem, żem do dworu co było w Krakowie dawnych towarzyszów i druhów pozapraszał na wieczerzę dnia tego, wyrzekłszy się trefnisiów, muzyki i wszelkiego hałaśliwego występu, kilka niewiast, które Kinga czasu pobytu swego znała, kilku starszych kupców, co mi życzliwi byli, zasiedli z nami do stołu i spędziliśmy godzin parę do wieczora.

Tymczasowo postanowiliśmy pozostać w Krakowie w domu naszym, cichego szczęścia zażywając. Tak doczekaliśmy się tu i przybycia króla a koronacji, którą brat Fryderyk odbył w towarzystwie innych biskupów, przytem nowy pan względem Krakowian i wszystkich wogóle, co się do niego zbliżali, okazał się napodziw szczodrym aż do rozrzutności, dobra, starostwa,

majętności rozdając obficie, niezawsze godnym tej łaski królewskiej.

Choć napozór się wszystko niby składało dosyć pomyślnie dla nowego pana, z boku patrząc i rozsłuchując się, wiele mu dobrego wróżyć nie było można. W zawieszeniu była wojna z moskiewskim, który na zięcia nie zważał, domagając się ziem ruskich i nie chcąc ustępować. Układy z nim szły twardo, a oprócz niebezpieczeństwa tego, zagrażali nieustannie Tatarowie! Król sam będąc na Litwę i Polskę, tu i tam rozrywać się musiał, bo go odwoływano.

Kardynał tymczasem czynnie i rozumnie w Krakowie go zastępował. Ale i na tego niewiele można było rachować, bo naówczas już doktór Maciej z Miechowa długiego życia mu nie obiecywał, dla srogiej i okrutnej choroby, której było trudno leczyć, więcej zaś dla życia niepomiarkowanego i zbytków, od jakich go powstrzymać nie było podobna. Zaledwie lepiej cokolwiek się czuł, jadł i pił bez miary, nie chcąc się szanować, a z doktorów się naśmiewając.

W miesiącu marcu tego roku coraz mocniej chorować zaczął. Nie wiem czy on sam się spodziewał tak rychłego zgonu, trzydziestu pięciu zaledwie lat doszedłszy, ale doktorowie wiedzieli, że mu nie poradzą nic.

Leżał już w wielkich boleściach, gdy na godzin kilka przed zgonem jego ulubiony mu sufragan Marjanus, jak mówiono, niepomiernie się objadłszy, zmarł nagle.

Gdy mu Michał Krzycki, który go nie odstępował, znać dał o tem nieopatrznie, wziął to jako hasło jakieś, że i jemu za nim iść było potrzeba.

— Marjanus mi poszedł zamawiać gospodę! — odezwał się, wzdychając, i tejże nocy w ciężkich boleściach Bogu ducha oddał.

Pewnie nikomu więcej go nie zabrakło, jak królowi, a i matka zgon najmłodszego z synów opłakiwała długo.

Tak z licznego potomstwa męskiego Kazimierza,

młodzieży, która się pięknością, zdrowiem, siłą odznaczała, zkolei Bóg powołał do siebie naprzód najczystszego i najświętszego z nich w kwiecie wieku młodzieńca Kazimierza, po nim Olbrachta i Fryderyka, tak, że z Aleksandrem licząc, trzech pozostawało jeszcze. Wszyscy oni zmarli bezpotomnie, a i po Aleksandrze dotąd potomstwa z opłakanego małżeństwa się nie spodziewano. Zygmunt też do ożenienia się nie kwapił.

Gdyśmy o tem z doktorem Maciejem z Miechowa, którego widywałem często i obcowałem z nim rad, rozmawiali, przypomniał mi, że Olbrachtową śmierć zawczasu wiele znaków przepowiadało. Ukazała się na niebie kometa z miotłą wielką ognistą. Mało co potem ta część zamku, którą zwano Kurzą Nogą, spłonęła, iż ledwie ogień powstrzymano, aby się dalej nie szerzył. W lutym gałka na ratuszu, którą tylko co nową zaciągnięto i umocowano, nocą spadła, choć wiatru nie było, potoczyła się na dach i rozbiwszy go, roztrzaskała sama. Doktorowi Miechowicie, naówczas z Krakowa jadącemu, w Piotrkowie dla podwód zbuntowane mieszczaństwo, które już o śmierci króla wiedziało, omało na gardło się nie usadowiło.

O czem rozpowiadając, rozumny mąż, choć niewyraźnie i niejasno, z bólem serca, bo był do rodziny królewskiej przywiązany, Aleksandrowi też nie obiecywał panowania długiego.

A był to pan, do którego ci, co się zbliżali i obcowali z nim, przywiązywali się wielce, dla wielkiej dobroci jego. Sam on gniewu nie znał, a do surowszego wystąpienia chyba go ulubieńcy skłonili.

Na czele ich stał oddawna kniaź Michał, o którym mówiliśmy już, że umysł królewski opanował. Ten Aleksandraby rad widział samowładnym na Litwie, dlatego, iż w jego imieniu rządził.

Tymczasem przykład Polski, ciągłe ocieranie się o szlachtę, mającą przywileje wielkie, zjazdy, na które patrzyli i słyszeli o nich Litwini, Litwinom też wielu w moc unji do tych przywilejów, co Polacy, ochoty dodawało. Nie chciano Aleksandra i na dziedzictwie wi-

dzieć rządzącego bez rady panów, bez sejmów i zjazdów. Starosta lidzki, Ilinicz, trocki wojewoda, starosta żmudzki i wielu innych, których tu obliczać trudno, odzywali się głośno, że litewska szlachta miała też prawa, co i polska.

Nie mogło to być w smak kniaziowi Michałowi, bo gdyby się wytaczało wszystko przed zjazdy, onby swej woli nie miał. Gardłował więc za tem, iż spiski knują i bunt zamierzają ci, co polskich chcą rządów, a umiał to królowi wmówić tak, iż gniew jego obudził przeciwko Iliniczowi i wojewodzie trockiemu.

Gliński stał przy tem, że Litwa inny obyczaj miała, a od nieprzyjaciela zagrożona, po hetmańsku, surowo musiała być trzymaną, na sejmy czasu nie trwoniąc daremnie, gdy granic strzec było potrzeba.

Z polskich panów większość trzymała z Iliniczem, za którym i ks. Łaski też był.

Sądziłem naówczas, przy młodej żonie zleniwiawszy, iż się już wszelka służba moja dworska skończyła, bom się nikomu nie zdawał potrzebnym. Król mnie nie powoływał, a ci, co przy nim byli, obficie z łask jego korzystając, niebardzo byli chętni pomnożeniu służby. Od czasu do czasu spotykałem się to z ks. Łaskim, zawsze na mnie łaskawym wielce, to z doktorem Maciejem, zdala króla widywałem i błogiego zażywaliśmy wczasu.

Pogrzebałem tego roku i starego Sliziaka, do którego od czasu pojednania z nieboszczką matką moją przywiązałem się szczególniej dlatego, żem go widział wiernym jej sługą. Nawet, gdy mu się już z łoża podnieść trudno było, starowina jeszcze o wszystkiem pamiętał i w domu starał się ład utrzymać. Ile lat miał, sam on nie wiedział, licząc je jednak z tego, co o swem życiu powiadał, musiało mu sto dochodzić, gdy się sam poczuł już na schyłku.

Niejeden raz to w ludziach, co późnego dożyli wieku, uważałem, iż sobie śmierć nadchodzącą przepowiadali. Tak było i ze Sliziakiem, który mnie przywoławszy, naprzód księdza zażądał, potem spokojniejszy już

objawił mi, że za żywota uciułał trochę grosza, który znajdę zakopany w garnku pod tapczanem. Z pieniędzy tych trzecią część chciał mieć na msze święte za duszę swą obrócone, a dwie żonie mojej przekazał.

Gdy zmarł i pochowaliśmy go u P. Marji przy bocznej kaplicy, jak sobie życzył, dopiero sobie przypomniałem ów garnek, wiele się zaprawdę po nim nie spodziewając.

Kazałem tedy łoże znieść i podłogę ceglaną opatrzywszy, znaleźliśmy pod jedną płytą garnek w istocie pełny, gruby i wielki. Nie było w nim nic, krom samego złota, portugałów różnych i sztuk ciężkich tyle, żeśmy je, ważąc na złotych węgierskich, dwa tysiące przeszło naliczyli.

Na owe czasy i człowieka dziw to był wielki, że tyle zebrać mógł, na lichwę nie dając i trzymając je zakopane. Z tych siedemset zaraz zapisałem wikarjuszom P. Marji na msze święte za duszę nieboszczyka, a resztę zachowałem na złą godzinę w gotowiźnie, abyśmy nie zaznali niedostatku, gdyby nam z litewskich posiadłości nie przyszło, co było powinno.

Gdyby nie to, co się naówczas każdego dnia nasłuchać przyszło, to o Moskwie, to o Tatarach, to o Wołoszy, to o knowaniach Glińskiego i rozterkach na dworze Aleksandrowym, latałby były pewnie z całego mojego żywota najszczęśliwszemi. Powrócił mi smak do ksiąg, o które teraz dziwnie łatwo być poczynało i stawały się one jeśli nie dla wszystkich, to dla wielu dostępne, gdy dawniej mało kto mógł je opłacić.

Część dnia spędzałem nad temi, które z Niemiec i z Wenecji do nas przywożono, rad sam kupując, lub od panów kolegjatów pożyczając, którzy na mnie łaskawi byli, odwiedzali i z rozumnych swych rozmów korzystać mi dopuszczali.

Sądziłem, że w domu swym razem z jejmością tak spokojnie żywota dokonam, patrząc zdala na to, co się dziać na świecie będzie, gdy jak to ze mną nieraz bywało, kleryk przybiegł, do ks. Łaskiego mnie wzywając.

Tu muszę się pochwalić tem, żem pewno nie dla kaligrafji mojej, ale dlatego, że do milczenia wypróbowany byłem, zachowanie zyskał u niego.

Nie był to już ów Łaski, jakiego początkowo pamiętałem w Wilnie. Nie zmienił się w charakterze swym, lecz ze znaczeniem powaga urosła i wszyscy się na niego oglądać musieli. Miał też i kancelarję swą liczną i dwór dostatni.

Nie mogłem wcale sądzić, iżby mnie na co potrzebował. Powitawszy uprzejmie naprzód, odezwał się:

— Słyszałeś, waszmość, co się to na Litwie dzieje?

— Mało co wiem, — odparłem — bom się domatorem stał, a niewielu widuję.

— Nie powiadano ci więc, do czego ten nieszczęsny Gliński króla skłonił? — ciągnął dalej Łaski. — Ilinicz do więzienia rzucony, grozi toż samo wojewodzie trockiemu i kilku innym... Kniaź się odgraża, iż na Litwie nie będzie póty dobrze, dopóki ze trzy głowy z karków nie zlecą.

— Lecz na Boga — przerwałem — surowość ta do Aleksandra nie jest podobną, ani dziełem jego być może!

— Niema straszniejszej rzeczy — odparł Łaski — nad słabość i brak woli, bo one dadzą się wieść na bezdroża. Dał Bóg panu naszemu najlepsze serce, ale siły poskąpił. Opanował go warchoł ten, kniaź Michał, któryby z drogi wszystkich chciał uprzątnąć i miota nim, niestety.

Ks. Łaski ręce załamał.

— Panie starosto, — rzekł do mnie, bo nazwisko to dawali mi niektórzy od Kazimierzowego daru ziemi — wybyście mnie i królowi na dworze jego potrzebni byli, dopóki się ta sprawa gardłowa nie skończy. Macie u króla ucho i zaufanie, a was się Gliński obawiać nie będzie. Zaradzilibyście może złemu, a przynajmniej nie dopuścili tego ścinania głów, którem grożą, dopóki się przyszły sejm w Radomiu nie zbierze.

— Ojcze mój, — odezwałem się — radbym z duszy być wam posłusznym, lecz sądzę, że za wiele o mnie trzymacie. Za małym jest, aby mnie kto miał słuchać.

— Około króla dziś najwięcej tacy mogą, na których oczy nie są zwrócone — rzekł Łaski; — jedźcie na dwór, nastręczcie się panu. Nie wątpię, że was przy sobie mieć zażąda. Życzy sobie tego królowa, ja was proszę. Rzucicie słowo, możecie zapobiec złemu; na-ostatek, przez was i my lepiej będziemy oświadomieni, aby wiedzieć, co czynić.

Dusznie mi się podejmować nie chciało teraz tego, co poprostu włożeniem palca między drzwi nazwać było można. Spokojne życie nagle zmienić na to gniazdo osie, jakiem był dwór Aleksandra, narazić się Glińskiemu nie miałem wcale ochoty. Prosiłem o czas do namysłu.

Gdym potem do Kingi wrócił, ostrożnie zwiastując jej, co mnie czekało, załamała ręce, zaklinając mnie, abym w ogień nie szedł.

Musiałem tem jednem odpierać, co jej troskliwość o mnie nastręczała, że królowi i Litwie naszej służyć do zdechu byłem obowiązany, ani mi się godziło dla własnego spokoju poświęcić ważne sprawy. Wprawdzie nie ufałem, abym się tam przydał na co, lecz ks. Łaski stał twardo przy tem, że iść byłem powinien.

Kilka dni trwał opór ze strony mojej, a z jego nalegania — zwyciężył wreszcie.

Król był jeszcze na Litwie. Jak skoro jechać przyrzekłem, wskok musiałem to wykonać. Czeladzi z sobą ledwie kilkoro wziąwszy, pod pozorem, iż do mojego starostwa jadę, ruszyłem na Litwę.

Po drodze już z tego, com słyszał, przekonałem się, że w istocie Iliniczowi, Zabrzezińskiemu, Kiszce i kilku innym stał Rusin na gardło. Król ulegał, Gliński kłamliwie dowodził, że spiskowano przeciw władzy w. książęcej z Polakami i powtarzał nieustannie, że dla grozy i postrachu głów kilka trzeba strącić

Król był na Litwie, oczekując, gdy go na zjazd do Radomia powołają. Przybyłem tu, jak mnie przystało, cicho i skromnie do naszego dworu na Snipiszkach. Miałem pomiędzy dworzanami królewskimi młodego

Szyszłę, którego lubiłem bardzo, on też się do mnie przywiązał. Różnica wieku między nami była taka, że ojcembym jego mógł się nazywać, ale chłopak niezwykłej był bystrości umysłu, przebiegłości, oka takiego, że mu nic nie uszło, a serce miał złote.

Prawy Litwin, poczciwy, dobrej woli, miał jednak to do siebie, że się nikomu nie dał zjeść w kaszy. Na oko spokojny, cichy, nie zdawał się na nic patrzyć, a widział wszystko, niczego słuchać, a ucha jego nic nie uszło.

Posłałem mojego Staszka naprzód po niego. Jakom się spodziewał, nadbiegł natychmiast.

O tem, co się na dworze działo, nikt na świecie lepiej nad niego nie mógł być uwiadomionym, a dla mnie tajemnic nie miał. Dorzucić muszę, że chłopak był niebogaty, a jam mu pomagał chętnie, bo upodobanie miał w pięknych koniach i sukniach. Trochę więc wdzięczności mi się należało.

Dowiedziawszy się, iż do Wilna przybyłem, Szyszło na konia siadł dla pośpiechu i przyleciał na Snipiszki.

Przywitał mnie jak ojca. Nie powiedziałem mu, z czem i dlaczego przyjechałem, ani na jak długo; lecz zaledwie chwila upłynęła, gdy mu się gęba rozwiązała.

— Nie chciało się wierzyć, co u nas rozpowiadają — odezwałem się, — bo pan dobry jest... Mówią o uwięzionych, o zbiegłych, o kacie i dekretach.

Podniósł ręce Szyszło do góry.

— Wszystko to prawda — odparł. — Nasz pan nieszczęśliwy jest, zgnębiony, zahukany przez kniazia Michała. Ten wymyśla spiski na drugich, a sam bodaj najgroźniejszym jest. Ilinicz zgubiony, bo po nim Drozdowi swemu chce zagrabić spuściznę. Tak samo na Trokach, na Żmudzi, na Smoleńsku chce mieć ludzi ze swego ramienia, więc opróżnić musi, co zawadza.

— Lecz król nasz nigdy okrutnym nie był — przerwałem, — nie może to być, ażeby przelewu krwi dopuścił, i to jeszcze tak zacnej.

— To też król męczy się niewymownie — mówił

Szyszło, — a wiemy to najlepiej my, którzy na niego patrzymy! Dopóki kniaź przy nim jest, a stara się go jak najmniej odchodzić, daje sobie wmówić, co tamten chce, wzdycha, ale godzi się; zostanie potem sam, naówczas niemal krwawym potem się oblewa, rozważając, co mu grozi. Gdyby nie jemu nawet, ale komukolwiek bądź codzień od rana do wieczora nieustannie tem nabijano głowę, że wszyscy na życie jego czyhają, że potajemnie się sprzysięgają, że mu grozi zrzucenie z tronu lub gorzej jeszcze... wkońcuby musiała go ogarnąć trwoga. Po nocach król ze snu się zrywa, krzycząc, bo mu zda się, że nie jest bezpiecznym. Wyjedzie na łowy, wyjdzie na zamek, każdy człowiek mu podejrzany. Strażami się otacza, jak nigdy. W tej obawie ciągle go chcąc utrzymać, Gliński zmyśla niebywałe rzeczy: każe swoim mówić i zeznawać, co ich nauczył. Nie może sam stać na straży, stawi Drozda, który jest jego prawą ręką. Nawet biskupowi naszemu, Taborowi, którego król szanuje i ufa mu, przystępu bronią, nie dopuszczają go, bo wiedzą, że przeciwko nim jest. W tym strachu, niepewności pan stracił zdrowie, wesołość, spokój umysłu; litość bierze patrzeć na niego.

— Jakże się to skończy, sądzicie? — zapytałem Szyszłę.

— Najgorzej — odparł, — bo osaczono biednego króla tak, że im ujść nie może. Gliński, ponieważ zręczny i czynny jest, króla wyręcza we wszystkiem, zasłużyć mu się umie, a tak się stawi, że bez niegoby sobie rady nie dał, stał się niezbędnym. W każdej sprawie, nim się ona rozstrzygnie, powołują kniazia Michała, nie czyni się bez niego nic. Czuje się potrzebnym, a tak kieruje wszystkiem, aby nim był. On wódz, jeżeli wojna on doradca, gdy trzeba się układać, on posłem, on sędzią, on wszystkiem.

Mniej więcej w ten sposób odmalował mi położenie Szyszło, na co nie było nawet co odpowiedzieć. Spytałem go, czy się choć dawnemu panu pokłonić mi będzie wolno.

— Jeżeli kniaź dopuści — rzekł Szyszło, — bo

i w tem go pominąć nie można. Jakże dawniej dla was był?

— Ani źle, ni dobrze — odparłem, — za małym jestem dla niego, aby na mnie patrzył.

— Przybywacie z Krakowa, — odezwał się Szyszło — to dosyć dla obudzenia nieufności, bo co tylko z Polski idzie, podejrzane kniaziowi. Wie, że krom Ciołka, samych tam ma nieprzyjaciół. Lecz — dodał — wiecie co? król codzień, gdy pora piękna, z rana idzie na mszę do katedry... stańcie na drodze. Jeżeli podniesie oczy, a zobaczy was... powoła pewnie.

Szyszle nie przyznając się do niczego, nazajutrz czaty na drodze do kościoła rozpocząłem. Poszczęściło mi się wielce. Aleksander, zobaczywszy mnie, skinął, abym się przybliżył.

— Z Krakowa? — spytał.

— Na wsi u siebie — byłem (musiałem skłamać) — a tu dom mam. Nie chciałem Wilna opuścić, nie pokłoniwszy się panu memu.

To mówiąc, do nóg mu się pochyliłem.

Uśmiechnął się dobrotliwie, lecz natychmiast, niby sobie coś przypomniawszy, trwożliwie się obejrzał, dał znak i pośpieszył do kościoła.

Wieczorem zawołano mnie do króla. Uważałem, idąc, nowych ludzi, Rusinów, Drozda, i kniazia Michała, około Aleksandra się uwijających.

Gdym przyszedł, a niewielu było, król, obejrzawszy się znowu, z obawą mi szepnął:

— Słyszałeś?

Udałem, iż nie wiem, o co pytał.

— Spiski na życie moje? Kto... Litwini!

Tu począł głową poruszać boleśnie.

— Miłościwy królu, nigdy ja temu nie uwierzę...

Gorąco począł i szybko dowodzić, iż się nie mylił, ale plątał się w mowie. Zamilkłem.

— Gdyby nie kniaź Michał — dodał pocichu, — jużby po mnie było. Ten jeden mi wierny, na nim wszystko.

Rozprawiać z nim o tem nie było sposobu, alem się

mógł przypatrywać, co się działo, bo mało na mnie zważano. Umyślnie też chytrości zażyłem, wiedząc, że tu Polacy wszyscy i z Polski przybywający byli w podejrzeniu, więc wdziałem suknie takim krojem, jakim je na Litwie noszono, a wymowę miałem zawsze tutejszą.

Rozpatrując się około królewskiego otoczenia, łatwo mi było dostrzec, iż na wsze strony sieci były porozpinane, straże tajemne postawione tak, aby bez Glińskiego, Drozda i jego zauszników nikt do króla przystępu nie miał, szczególniej na osobności.

Aleksander, jak zawsze, powolnym był i dla spokoju słuchał tych, co stali najbliżej, a oszczędzali mu troski myślenia i mówienia, teraz stał się prawie bezwładnem w ich ręku narzędziem.

Wszystko na kniazia Michała zdawał, bez niego nie śmiał poczynać nic, a Gliński nim władał, jako chciał.

Ani się dziwować można, że taką przewagę pozyskał, bo człowiek był niepospolitego umysłu, bystry, energiczny, śmiały aż do zuchwalstwa, a przytem zręczny. Z oczów mu patrzały niepomierna duma i ambicja, mimo to jednak, gdy było potrzeba, umiał się przed królem ułożyć, spłaszczyć, stać pokornym, czołobitnością go ujmować, miłość swą gorącą dla niego głosić, a drugich czernić i podejrzenia rzucać, aby od nich odstręczyć.

Daleko potężniejszy umysł, niż Aleksandrowy, dałby się był wziąć na te zręcznie nastawione sidła. Przekonałem się jednak, z niemałą pociechą moją, rozpatrując i rozsłuchując, że kniaź Michał pomiędzy pany i litewską starszyzną niewielu sobie pozyskał. Wszyscy nań z nieufnością patrzali, nie mówiąc już o tych, którzy mu zazdrościli, Biskupi, hetmanowie, wojewodowie, ilu ich było, albo się od niego usuwali, lub wręcz się oświadczali przeciwko niemu.

Śmielsi, jak Krzysztof Ilinicz, lidzki starosta, głównie Jan Zabrzeziński, Stanko z Żarnowic, Kiszka głośno zadawali Glińskiemu knowania zdradliwe. Inni mniej odważni, jak Olechnowicz, Ostrogscy i Radziwił-

łowie, dalej stojący, czekali, co się wywiąże z tego, aby też przeciwko Glińskiemu wystąpić.

Przeciwko tym, których jako jawnych nieprzyjaciół swoich znał Gliński, Iliniczowi, Zabrzezińskiemu, Kiszce wprost na gardło godził, a królowi to nieustannie wmawiał, że dopóty ładu i porządku Witoldowego nie będzie, dopóki głowy ich z karków nie spadną.

Z polskich panów przy królu nikogo nie miał Gliński za sobą, okrom potajemnie Ciołka, który głośno z nim trzymać nie śmiał. Kniaź Michał oświadczył się przeciwko wszelkiemu obyczajowi, który na Litwę z Polski był przeniesiony; szlachectwa i herbów pobratymczych polskich nie chciał znać, ani sejmików, ani senatorskiej Rady, ani praw i swobód ziemiańskich. Powiadał to i wpajał królowi, że Litwa, otoczona nieprzyjacioły, silnego rządu potrzebowała, a ten inny nie mógł być, tylko witoldowski, hetmański, stary, gdzie wola jednego stanowi wszystko. Tę władzę wrzekomo chciał mieć dla Aleksandra, a w istocie dla siebie, zamiast sojuszu z Polską, zamierzając z Moskwą się połączyć.

Ale wszystko to naówczas jeszcze było pokryte i tajemne.

Ja miałem to szczęście wielkie, żem powinowatemu i zausznikowi kniazia, Drozdowi, nie starając się o to, wpadł w oko i pozyskał łaskę jego, małą przysługą zjednawszy sobie, co mi do swobodnego na dworze obracania się wielką było pomocą.

Drozd zbierał naówczas woźniki jednej maści do kolebki dla powinowatej swej, a u mnie się znalazł właśnie wałach, który, jak ulany przypadł do czwórki. Chciał go za drogie pieniądze kupić u mnie, alem natychmiast go darował, co mi potem na dobre wyszło.

Ująłem go tem sobie i wstęp na dwór pozyskałem, mogąc się do króla zbliżyć, gdy chciałem. Drozd, mając mnie za swego, z niczem się nie taił. Zawczasu więc ostrzec mogłem, żeby króla stąd do Radomia na sejm ciągnęli, bo inaczej, jak tam wystąpić przeciw zamachom Glińskiego nie będą mogli jego przeciwnicy, któ-

rych panowie polscy powinni byli popierać. Kniaź rad Aleksandra trzymał w Wilnie, a nam trzeba było go stąd wyrwać koniecznie i od jego wpływu ochronić.

Wiedział Gliński, że sprawa jego z Iliniczem i innymi wytoczy się, najaw wyjdzie, wstrzymywał więc jako mógł, ale Łaski z innymi ciągnęli, a Polski się wyrzec nie było podobna. Musiał więc Aleksander jechać tam, gdzie go niemiła czekała rozprawa.

Ja do Radomia potrzebnym już nie byłem, anim tam jechać chciał, i korzystając z czasu, puściłem się co żywo do Krakowa nazad, wiedząc, z jakim tam niepokojem oczekiwała na mnie Kinga.

Na tym sejmie w Radomiu król pierwszy raz paraliżem został ruszony, słuchając wyrzutów gwałtownych, jakie mu czyniono, nie będąc do nich nawykłym. Od tego zaczęła się choroba jego, która zapowiadała, że rządy biednego, a słabego pana niedługo pociągną.

Wszyscy lekarze, jak Maciej z Błonia, Maciej z Miechowa i co ich było najuczeńszych, źle zaraz wróżyli.

Nie miał Aleksander tej wielkiej a chwalebnej cierpliwości ojca swego, który nieraz spokojnie najgwałtowniejszych wyrzutów i gróźb słuchać umiał, oka nie mrużąc, twarzy nie mieniąc, a potem na swojem, jako chciał, postawił. Miękki zawsze, bojaźliwy, pobytem na Litwie, do spokoju i uległości nawykły, bo tu mu czołem bijąc, złego słowa nikt rzec nie śmiał — usłyszawszy wyrzuty publiczne z ust duchownych i senatorów, tak się niemi uczuł dotkniętym, że go zaraz z izby napoły bezwładnego wyniesiono.

Nie mógł tego wyrozumieć, że w Polsce, gdy się ludzie wygadali swobodnie, a z serca zrzucili, co mieli, potem z nimi zrobićby mógł król powolnością, co pragnął, gdy na Litwie, milczący i czołem bijący, na pozór niewolniczo posłuszni, zdradę knuli i nim władali po swej myśli.

Zaraz po tym nieszczęśliwym radomskim paraliżu królewskim, gdy go w czerwcu chorego do Krakowa przywieziono, albo raczej przyniesiono, bo z kolebki na nosze, a z nich do kolebki niecierpliwy, ciągle się prze-

sadzać kazał — pobiegłem na zamek, chcąc go widzieć na własne oczy.

Trudno się było dostać, tak go osaczono, a samych lekarzów gromada nie dopuszczała nikogo, bo każdy chciałby był króla ratować.

Wieczorem, napróżno w krużgankach kilka godzin przestawszy, a języka nawet pewnego nie mogąc zyskać, poszedłem do pana Macieja z Miechowa, który pewnie ze wszystkich doktorów, jakich naówczas Kraków miał, najuczeńszym był, chcąc od niego się coś dowiedzieć. Wiedziałem, iż niechybnie jego też do porady Maciej z Błonia wzywać musiał.

Znalazłem go bardzo zasępionym, a na pierwsze pytanie moje, nim się odpowiedzieć zebrał, twarzą i ruchem rąk dał mi znać, jak małą miał nadzieję uzdrowienia.

— Z paraliżem ruszonych — rzekł nareszcie — mało kto potem władzę zupełną odzyskuje i do całkowitego zdrowia przychodzi. Długo jednak podczas nędzny żywot ciągnąć mogą. Z temperamentu królewskiego wnosząc, sądzę, że gdyby spokojnym był, pierwsze to ruszenie przebolałby może i dźwigał się. Ale na tronie spokoju niema, tem trudniej o to, gdy, jak u nas, dwa różne państwa w jednych są rękach, a troska nie o te, to o drugie nieustanna. Dosyć jednej złej od granic wiadomości, aby, co sejm nie dokonał... dopełniła. — Dodajcie do tego, — ciągnął dalej Miechowita nasz — że lekarzy około niego będzie siła, a z tych każdy swój sekret ma, radby leczyć po swojemu, chory zaś łatwowierny każdy, i chętnie coraz nowego się chwyta. Więc co jeden naprawi, drugi popsuje... A no, w rękach Bożych życie mocarzów! — dokończył, skłaniając głowę.

Radził pan Maciej, aby Aleksandra w Krakowie zatrzymano, na Litwę nie puszczając, gdzie zawsze zgryzot i umartwień poddostatkiem go czekało. Ale właśnie tam dla bezpieczeństwa od Moskwy i Tatarów najpotrzebniejszym był.

Z Zygmunta zaś, brata swego, tak jak niegdyś z kardynała Fryderyka, pomocy nie było, bo ten w Głogo-

wie, na Śląsku siedział, nie narzucając się, nie mieszając do niczego. I panowie go wzywać niebardzo mieli ochotę, bo się wówczas już silniejszej w nim obawiali dłoni.

Gdy potem w kilka dni przez znajomych i przyjaciół doprosiłem się, iż mnie do króla wpuszczono, znalazłem go prawda w krześle siedzącym, ale połowa ciała wcale się nie poruszała, a mówił z trudnością, bełkocąc, i jawna była, że cierpiał mocno.

Przyczyniało się do niepokojenia go to, o czem pan Maciej z Miechowa mówił i co przewidywał, że mu codzień ktoś nowego a cudownego lekarza raił, codzień inne leki. Więc umysł się poruszał, a na osłabionym panu czyniono eksperymenta, które mu coraz siły odejmowały.

Lekarstwa dawane nie pomagały. W Krakowie długo spocząć nie dano mu. Zaraz w początku następnego roku ciągnęli go jedni na sejm do Lublina, drudzy na Litwę dla przewidywanej wojny.

Tak smutnym, jak za pobytu Aicksandra, nigdy nie bywał zamek krakowski, choć i za nieboszczyka ojca jego niewiele tu wesela zażywano. Teraz aptekę czuć było wszędzie, powietrze balsamami a lekarstwy było przejęte.

Pół zamku królowa ze swymi Rusinami, jakby w niewoli zamknięta dobrowolnie, zajmowała. Tu się potajemnie odbywały dla niej nabożeństwa, a żaden ksiądz łaciński nie śmiał stopą progu przestąpić, bo natychmiast okrzykiwano, że szedł nawracać. Między królową Heleną, tem duchowieństwem moskiewskiem, dworem pani a drugą połową zamku królewską, niby między obozy nieprzyjacielskiemi, stojącemi naprzeciw siebie, choć do walki nie przychodziło, niechęć i nieufność panowała. Spoglądano na siebie koso i nieufnie.

Królowę często widzieć było można, przechodzącą z oczyma zapłakanemi, bo jej plotki diaczków chwili spoczynku nie dawały. Wyrywała się od nich do męża: i tu nie było się czem pocieszyć, bo się przed nią na tamtych skarżono.

Wpływ królowej nieznaczny był, albo prawie żaden; jednakże przez litość nad nią Aleksander w Krakowie długo nie mógł pozostać, bo Rusinom i jej w Wilnie zawsze lepiej i swobodniej, gdyż tu mieli swoich poddostatkiem i czuli się nie tak obcymi.

Gdy król do Lublina na sejm wyruszył, miał koło siebie ludzi dosyć, i ja tam nie byłem potrzebny, a rad pozostawałem w domu, do którego mnie przywiązywało szczęście i miła moja Kinga, która właśnie czasu tego sejmu synaczka mi powiła.

Na kolanach za to błogosławieństwo Bogu dziękując, jak skoro ona podnieść się mogła, sprawiłem w kamienicy naszej Pod dzwonem chrzest narodzonemu, któremu imię Chryzostoma dano. Przy tej zręczności przyjaciół moich ugościłem, nie żałując na to, bom sam szczęśliw był, jak nigdy w życiu, o to tylko jedno się modląc i Boga prosząc, aby mi dał synaczka do lat rozumnych wychować na chwałę Jego i pociechę naszą.

Trafiło się tak szczęśliwie, iż stary przyjaciel mój i towarzysz, Zadora, acz go wiek i zbytnia otyłość ociężałym uczyniły, znalazł się podówczas w Krakowie, i na ojca chrzestnego mogłem go uprosić.

Co zaszło na sejmie lubelskim, nie warto zapisywania, bo się duchowieństwo z panami świeckimi senatorami przez czas cały ścierało o prawa swe, o miejsce w izbie, o dawną tę przewagę stanu, której odzyskać już nie mogło, bo ją król Kazimierz złamał, do słusznej doprowadzając miary.

Donoszono z Lublina, że król ciągle chorzał, pokładał się i jak do Lublina niemocen się wlókł, tak go stamtąd wzięto na Litwę do Wilna nie silniejszym, jak był.

Na rękę to właśnie było Glińskiemu, gdyż umysł, strwożony chorobą, także osłabł i władać nim było łatwo.

Z naprawy to Glińskiego wezwano podówczas człowieka, o którym różnie po świecie mówiono, bo jedni go cudotwórcą głosili, drudzy mienili oszustem. Nikt naprawdę nie wiedział, co zacz był, bo on się sam Grekiem mienił z książęcego rodu Laskarysów, choć pono

prostej abstrakcji był i na naszej ziemi się rodził. Ten, niewiadomo skąd przybywszy do Olkusza, a potem do niejakiego Balińskiego, z córką się jego ożenił i u niego na wsi osiadł, nagle zasłynąwszy jako wielki doktór, któremu równego Korona nie miała.

Sławny bęben za górami, powiadają, tak też i ów Baliński w ustach ludzi łatwowiernych zasłynął, że się do niego z dalekich ziem, a szczególniej bogaci mieszczanie z Krakowa cisnęli. Pielgrzymowali do niego, do Balina, w chłopskich chatach mizernie się tuląc, którym on lekarstwy i czarami wiele obiecywał, a gdy się ślepej kurze ziarnko trafiło, umiano z tego korzystać.

Płynęli ludzie i pieniądze, a doktór czarnoksiężnik od bogatszych nie brał mniej nad sto czerwonych złotych, skąd go setnikiem przezywano. Do Krakowa zaś, choć mu i dwieście kto dawał, ważyć się nie śmiał, boby tam inni lekarze prędko poznali, kim był.

O tym tedy Balińskim pono zasłyszawszy, kniaź Gliński, naprzekór panu Maciejowi z Błonia, którego nie lubił, królowi go polecił, i natychmiast po niego wyprawiono, aby ratować przybywał.

Posłaniec, który jechał, musiał naprzód, nie mając z sobą tyla pieniędzy, na imię królewskie trzysta złotych pożyczyć, bo inaczej się ów cudotwórca ruszyć nie chciał. Oprócz tego trzeba mu było całej apteki królewskiej z Krakowa, którą na furze za nim wieziono.

Przybywszy do Wilna, kędy go kniaź Gliński wziął zaraz w osobliwą opiekę, gdy go do króla przyprowadzono, oświadczył zaraz, iż doktorowie nie rozumieli choroby, a pana wycieńczyli złemi lekami, ale on to dopiero ma naprawić.

Musiał pan Maciej z Błonia znieść to a milczeć.

Nazajutrz izbę na dolnym zamku przerobiono dla króla na łaźnię, do której różnych ziół i korzeni w kotłach i garnkach ponanoszono, i nad tą parą zielska trzymano chorego, któremu, aby się mocniej pocił, wina mocnego, szczególniej małmazji, poddawano.

Król, że już i tak słaby był, prawie omdlewał, iż

go cucić musiano. Doktór Maciej pobiegł zaraz do kanclerza z tem, iż lekarstwo od choroby groźniejszem było, aby nie dawano pana katować, ale Gliński i sam król słuchać tego nie chcieli.

Szło więc tak dalej, a co dalej, to i gorzej, na co nie zważano, bo może Glińskiemu pod ten czas trzeba było pozbyć się pana... i samemu pochwycić wszystko.

Silna tylko natura i wiek jeszcze nie podeszły leki te, chorobę i zgryzotę, jakiemi naówczas króla karmiono, wytchnienia mu nie dając, wytrzymać przez dość długi czas dozwoliły. Kanclerz Łaski, lekarz królewski, co było Polaków, nastawali na oszusta, widząc, że król się ma coraz gorzej, ale go Gliński bronił i osłaniał.

Tymczasem od Tatarów, których zdawna obiecywano i lękano się, wieści przychodziły, że wielkiemi zastępy na Litwę ciągnęli, a nie było z kim, ani komu przeciwko nim iść.

Z hetmanów litewskich, oprócz samego Glińskiego, żaden prawie ludzi nie miał, drudzy się pochorowali lub rozpierzchli byli, uchodząc od prześladowania kniazia Michała, który sam wszystko pragnął zagarnąć.

Po chrzcinach mojego chłopaka siedziałem spokojnie w Krakowie, cale się ruszyć nie myśląc stąd, gdy od kanclerza Łaskiego listy mi przyniesiono, w których na rany Chrystusowe mnie zaklinał, abym natychmiast jemu w pomoc przybywał, nikomu o tem nie powiadając, dokąd i z czem jadę.

Przypadło mi to tak nie w porę i nie na rękę, kiedybym był najmilej w domu siedział i na kołyskę spoglądał, żem włosów sobie mało z głowy nie wyrywał.

Ale wkońcu ten rozum przyszedł, iż człowiek nie dla siebie jednego żyje, krajowi posługę winien, a choćby przez długie lata służby sprawował, zawsze na zawołanie stawać musi, bo inaczej zdrajcąby go zwać przystało. Rad nierad musiałem na koń siąść i w najgorszą porę przedzierać się do Wilna.

Com tu zastał, przeszło wszelkie obawy moje, choć

po drodze dosyć się strachów nasłuchałem i powieści o Tatarach, a nigdzie o wojskach naszych i przeciwko nim gotowości.

W Wilnie król w łaźni się parzył osłabły, a kniaź Michał z Drozdem niby się sposobili ciągnąć, kupy zaciężne zbierano, załogi z zamków, gdzie jakiego kto miał żołnierza. Jeden Gliński nie tracił męstwa i otuchy, reszta wszyscy głowy i serca potracili... królowa ręce łamała, sierocą już przewidując rolę.

Kanclerz Łaski i garstka Polaków osamotniona, strzeżona, szpiegowana, ledwie jeszcze co mogła.

Kniaź naostatek, powiadano, przeciw pogaństwu chciał ciągnąć, ale nieinaczej, jak króla z sobą wlokąc, aby go samego z Polakami i ks. Łaskim nie zostawić.

Gdym przybył i na zamku się zjawił, a kanclerz poznał mnie, choć zawsze był chłodnym i poważnym, a sercu nad sobą mocy nie dawał, tym razem o mało mnie nie uściskał, błogosławiąc, iż posłusznym byłem rozkazom jego.

— Kiedy przybyłeś? — począł.

— Wczoraj — rzekłem. — Mam tu swoją chatę na Snipiszkach.

— Miałeś czas się rozsłuchać — podchwycił Łaski; — na zgubę wszystko wymierzone. Króla życie na włosku, Tatarowie na karku, hetmanowie rozproszeni, na wszystko jeden Gliński, a ten o sobie pamięta. Pan Maciej z Błonia powiada, że królewskie dni i godziny policzone. Uchowaj Boże śmierci na niego, Litwę Gliński oderwie od nas i przepadła; jeżeli, póki czas, królewicza Zygmunta z Głogowa tu nie ściągniemy z jaką taką siłą. Mało jednak po niego słać i listy pisać, potrzeba było człowieka, któryby mu ustną relację zdał i nakłonił go do podróży. Ani w pięćdziesiąt, ani w sto koni jechać mu nie przystało, ale z taką siłą, jaką tylko zebrać może. Wiem to dobrze, iż się mieszać nie zechce, bo mu spokój miły; lecz zakląć potrzeba na miłość tej ojczyzny, której dzieckiem jest, aby chwili nie tracąc, ratować ją przybywał... Na to,

krótko mówiąc, — dodał Łaski — mnie was było potrzeba. Łacnieby zaprawdę dla was przyszło wprost z Krakowa na Śląsk jechać, ale musieliście wprzódy na własne oczy widzieć i króla, i co się tu dzieje, i nad jaką stoimy przepaścią. Tatarowie, albo już pod Kleckiem koszem leżą, albo niebawem tam będą, a dalej się ich i tu spodziewać, bo kto temu brudnemu potokowi drogę zamości?

Tak się poczęła pierwsza moja rozmowa z kanclerzem, a potrosze więcej się dowiedziałem jeszcze.

Na Balińskiego wielkie padało podejrzenie, iż w zmowie z Glińskim wprost na życie króla godził, ale chcieli to uczynić tak, aby ich o zabójstwo obwinić nie było można.

Szedłem tedy nazajutrz, korzystając ze znajomości z Drozdem, abym mógł widzieć króla i onego szalbierza, co się doktorem zwał.

Trudno sobie wystawić człowieka więcej odrażającego, a dziwaczniej się okazującego, jak był ów Laskaris-Baliński. Wysokiego wzrostu, czarnego włosa i oczów, twarzy ponurej i nastrojonej zawsze, jakby nie z tego świata był i ludzi miał za robactwo mizerne, w sukni długiej, w czapce kształtu biretu na głowie, niby zadumany, wielkie sprawy w sobie noszący, obracał się szalbierz, rozkazy wydając opryskliwe, jakby tu sam był w prawie czynić, co chciał. Mało komu odpowiedzieć raczył.

Z oczów mu patrzało oszustwo, które pokrywając, nadrabiał dumą i wyniosłością.

Gdym się do króla dostał potem, ja, com go młodym znał, silnym, jak żubr, zdrowym i wytrzymałym, nie mogłem łez powściągnąć. Leżał, dysząc, osłabiony, wycieńczony i wybladły, ledwie mało co pocichu mówić mogąc, tak, że go niełatwo zrozumieć było.

Prostaczek nawet mógł poznać, że tu niewiele żywota pozostawało w tem ciele, a tu go takim, jakim był, przeciw Tatarom chciano wieźć, aby choć rozgłos poszedł, iż król sam przeciwko nim ciągnie. Trudno

było sobie inaczej tłumaczyć upór Glińskiego, bo chory ciężarem tylko mógł się stać w ciągnieniu.

Gdym, zbliżywszy się do łoża dla pocałowania ręki jego, odezwał się, iż w takim stanie z Wilna się ruszać było niepodobieństwem, mocno począł mi zaprzeczać i, bełkocąc, zawołał:

— Muszę, muszę... choćby życie przyszło dać, choćby mnie leżącego niesiono.

Ani z nim mówić o tem było można. Gliński też z Balińskim powiadali, że królowi podróż i zmiana powietrza nawet na zdrowie może być pomocną.

W ciągu dwóch tych dni, gdym tam był, a król codzień po łaźniach słabszym się okazywał, wpadł wkońcu pan Maciej z Błonia do kanclerza Łaskiego i tak go nastraszył, że mimo Glińskiego postanowił mocą swoją, tegoż dnia wieczorem, Balińskiego wziąć do więzienia.

Niemała to była rzecz ośmielić się na to, ale Łaski nieustraszonym był. Nie dając po sobie nic poznać, ludzi naznaczył, komnatę zamczystą kazał zgotować, i wieczorem oszusta w kurytarzu zamkowym schwyciwszy, dał go pod klucz.

Ledwie się to stało, z czego między Polakami radość była wielka, gdy natychmiast Glińskiemu, o kilka mil oddalonemu, gońca wysłano, o tem donosząc.

Nazajutrz wpadł do kanclerza jak burza, kniaź Gliński z wyrzutami i groźbami, ale Łaski, poparty przez Macieja z Błonia, murem stanął i ani chciał słuchać o uwolnieniu a dalszych lekach.

— Uchowaj Boże nieszczęścia — rzekł Glińskiemu — mało tego, że na Balińskiego padnie podejrzenie, ale i wy, miłościwy panie, nie obronicie się od niego. Macie i tak nieprzyjaciół siła, nie mnóżcie ich... Ja inaczej, jak przemocą szalbierza sobie wydrzeć nie dam...

Zmiarkował Gliński, że gra była niebezpieczna, poburczawszy więc, dał pokój, ale swojego faworyta umiał od kary uchować.

Czas jakiś siedział tu Baliński, to się odgrażając,

to modląc, aby go z życiem puszczono; wkońcu jednak, pewnie zapomocą i rozkazem kniazia, kraty żelazne w oknach potajemnie podpiłowano i nie stało go już jednej nocy. Zginął bez wieści.

Nierychło potem, przez Prusy się wyśliznąwszy, znalazł się w okolicy Krakowa, gdzie w Zwierzyńcu w klasztorze wraz z żoną mieszkał. Stąd do ks. paulinów dostał się na Skałkę. Tu go wyśledziwszy, Miedzielski, pisarz kanclerski, pochwycił i osadził w biskupiem więzieniu, gdzie długo nędznie siedział, chorzał, przez litość go nakoniec wypuszczono.

Naostatek stało się, jak Michał Gliński chciał. Król, królowa, dwór, zaciężny żołnierz, Racowie i Czechy, wyruszyło wszystko ku Lidzie, a ja tegoż czasu gońcem od kanclerza potajemnym na Śląsk do Głogowa, po księcia Zygmunta.

Pierwszy to raz mi przyszło rozpatrywać się na Śląsku i w tych krajach, nad któremi Zygmunt miał panowanie. Prawda, że tu Niemców zasiadłych znalazłem, jak mrowia, i że mi to kraj mierziło, ale też porządek, ład i gospodarstwo lepsze, niż na Litwie.

Ponieważ mnie tu nie znano, ani kto wiedział, z czem przybywam, łatwo się było rozsłuchać o królewiczu, o którym tu wszyscy mówili, jako o panu dobrym, sprawiedliwym, rządnym, chwaląc sobie, iż się pod jego moc dostali.

O czem w Polsce u nas cale słychać nie było, na zamku już mi powiedziano, iż przybrawszy sobie Ślązaczkę, bardzo piękną i uczciwego obyczaju jakąś, z nią już synaczka i córkę miał. Ta prawie jako żona przy nim na zamku mieszkała, a chłopię po książęcemu się wychowywało.

Gdym do marszałka dworu się opowiedział, iż posłańcem byłem i listy od kanclerza wiozłem, dano znać zaraz Zygmuntowi, który wyszedł do mnie, jak zwykł był w szubie sobolami podbitej, z siatką na głowie, bo włosy nosił długie.

Znalazłem go w sile wieku, oblicza prawdziwie pańskiego, spokojnego, choć wejrzenie miał napozór

groźne, a dla mnie, którego sobie przypomniał rychło, wielce uprzejmym.

Wziął list Łaskiego do ręki i sam go do okna szedł czytać.

Wiedziałem, iż tam nic innego nie stało, oprócz polecenia mnie, abym wiarę znalazł i chętne posłuchanie. Zwrócił się więc do mnie i, siadłszy spokojnie, mówić mi kazał, co mi nieść dano.

Począłem od tego, jakom Aleksandra bez nadziei porzucił, o czem Zygmunt dotąd nie wiedział, aby tak źle być miało. Musiałem mu wszystko, com wiedział i widział, od Lublina począwszy, opowiadać, Balińskiego nie zaniedbując, a powtarzając, co mi na odjezdnem pan Maciej z Błonia oświadczył, iż dni króla są policzone.

— Na Litwie zaś — dodałem, — jeśli nie przyjdzie prędka rada i pomoc, kniaź Gliński wszystko zagarnie i, z Moskwą się pokumawszy, na wieki wszystkie te kraje, tylu ofiarami okupione, oderwie.

Słuchał Zygmunt, jak zwykł był zawsze, długo milczący, dając mi tylko znaki, ażebym wszystko mówił bez ogródki. Odmalowałem więc położenie, jak było w istocie, nic nie tając w imieniu kanclerza Łaskiego, zaklinając królewicza, aby, jako jedyny spadkobierca, co rychlej przedsiębrał środki ku zachowaniu od upadku tego, na co wieki pracowały.

Jużem skończył i czekał odpowiedzi długo, nim Zygmunt usta otworzył, westchnąwszy ciężko naprzód.

— Niebłogą przywieźliście mi nowinę — rzekł. — Nie pragnąłem nigdy panowania nad rozległemi krajami, nauczywszy się z małego księstwa, jak kunszt rządzenia trudny. Brzemię to jest, choć złocone, ale ciężkie, od którego, kto je raz na barki weźmie, ani we dnie, ani w nocy nie jest wolnym, a nosi je aż do grobu. Chętniebym był z Głogowem i Opawą do żywota mego pozostał.

— Miłościwy panie — odparłem, — ależ to rodzica i dziada twojego dzieło... czyż je porzucić się wam godzi, gdy oni z grobów wołają, abyście mu nie dali

w proch się rozsypać?... Wszystkie nadzieje w tobie, oczy na ciebie się zwracają. Jeśli ty nie uratujesz Polski i Litwy, rozsypie się ten gmach w gruzy.

Przerwał mi wtem Zygmunt.

— Co obowiązkiem jest, to się spełnić musi. Uczynię, com powinien, lecz czy podołam?

I nie dając mi odpowiedzieć sobie, rozpytywać począł, jakiemi siłami kniaź Gliński rozporządzał. Właśnie to było dla wszystkich tajemnicą, bo on się z tem ukrywał. Pochód przeciwko Tatarom sam kilku co najmniej tysięcy wymagał, i te zapewnione mieć musiał kniaź, gdyż się iść naprzeciw nich wybierał.

— Jeżeli na myśli ma już dziś Litwę oderwać — rzekł Zygmunt — a z Moskwą się porozumiał, cóż ja naprzeciw jego tysiącom postawić mogę, gdy w pośpiechu, jakiego po mnie wymagacie, nad paręset koni w pole z sobą wyprowadzić nie mogę.

— Aliści imię wasze, powaga jego i prawa, które są do niego przywiązane, starczą za tysiące — odparłem. — Byle wiedziano, że wzięliście w ręce sprawy i czynnie występujecie, siły wam przypływać będą.

Chwilę pomilczał królewicz, patrząc w podłogę.

— A któż zaręczy za to — odezwał się, — że jak po śmierci Jagiełły, tak po zgonie ojca mego, nie chcą znowu Piastów prowadzić i popierać?

— Gdyby nawet komu się to zamarzyło — rzekłem, — co się tylekroć nie udało i nie uda teraz, toć pozostaje miłości waszej Litwa, która waszem dziedzictwem niezaprzeczonem jest, i tej naprzód bronić potrzeba.

Nic mi na to nie mówił Zygmunt, wstał zadumany, poszedł do okna, popatrzył na list Łaskiego i, nie zwracając się ku mnie, cały w sobie się zatapiać zdawał.

Obawiając się, aby to dumanie nie osłabiło w nim postanowienia, przerwałem sam milczenie, przypominając, iż Aleksander był konającym prawie, że my go już pewno żywym nie zastaniemy, i że jednego dnia nie tracąc, ludzi zbierać i do pochodu się gotować było potrzeba.

— Wiem ci ja to — odezwał się, wysłuchawszy — idźcie spocząć i zostawcie mi o wszystko staranie.

Tak mnię pożegnawszy, polecił komornikom, aby izby na zamku w dole mi ukazali i wszystko, czegobym potrzebował, dostarczyli.

Dnia tego do stołu królewicza nie byłem wezwany, ugościł mnie pan Krupa, marszałek jego u siebie, rozpytując pilno, co się na Litwie działo. Nie wiedząc, czym miał tajemnicę strzymać, czy mówić otwarcie, piąte przez dziesiąte prawiłem o chorobie królewskiej.

Miałem czas się potem, dnia tego i następnego, przypatrywać, co się na zamku działo, a podziwiać ład i porządek, jaki tu panował. Szło wszystko napozór zwolna, nie śpiesząc i nie chwytając, ale ludzie nie spali, karność była i posłuszeństwo wielkie.

Drugiego dnia Zygmunt mnie do siebie powołał. Czekał z listem w ręku, gdym przyszedł.

— Z Polski też od panów senatorów pismo przyszło, nakłaniając mnie, abym na Litwę śpieszył i ratował od zguby to państwo nasze, dali Bóg! — począł, przystępując do mnie. — Na dobrej woli i ochocie nie zbywa, ale siły wielkiej nie mam. Zaledwie w kilkaset koni rycerstwa wystąpić potrafię. Zarządzono już, aby się ludzie jutro ściągali, których opatrzywszy i podzieliwszy jak należy, wprędce w imię Boże ruszamy! Dwieście dobrych koni zbiorę, o więcej mi trudno.

— Wasza miłość — powtórzyłem — staniecie za tysiące.

— Uśmiechnął się dwuznacznie a smutno.

— Na wielką miłość ku mnie nie rachuję — odparł, — bom ja na nią zasłużyć nie mógł. Nie znają mnie. Należała ona dziadowi, powinna była ojcu, a przedsię jej nie mieli, jakżebym ja mógł ją zyskać?

Z tem mnie odprawił, jam jednak w obawie, aby się królewicz nie opóźnił, pod różnemi pozory póty ściągał z wyjazdem, pókim go w zupełnej gotowości nie zobaczył z ludźmi i wozami do ciągnienia.

Na zamku nic mojego oka nie uchodziło. Smutek

był wielki między ludźmi, który pono owa Ślązaczka, Katrynka, królewicza ulubienica, swojemi szlochy i biedowaniem wywoływała, czując, że teraz gdy na Zygmunta tron czekał, pewnie się z nią rozstać będzie zmuszony.

A że dotąd była jakby księżną i panią, i dziatki jej nosiły się bardzo wysoko, spaść z tej wysokości wiele kosztowało. Zygmunt, jak powiadano, przesiadywał u niej. Janusika małego na kolanach trzymał, pocieszał, uspokajał, jako umiał, ale i sam markotnym był.

Ani się temu dziwić było, — popatrzywszy, jak on tu żył pańsko, szczęśliwie, dostatnio i bez wszelkiej niemal troski, a miał z tego kąta cichego wyjść na teatrum, kędy godziny pokoju zażyć mu nie dadzą sprawy gorące.

Rycerstwo, które się zebrało do pochodu, oglądałem z wielką pociechą serca. Mało go było, to prawda, ale tak uzbrojonego, dobranego, dorodnego i pięknego a swornego, jeszczem nie widział.

Nic nie brakło do wyprawy już, gdym poszedł na pożegnalne posłuchanie. Obdarzył mnie przy niem Zygmunt szubą dostatnią, pięknie okrytą i nielada jakim pierścieniem, zalecając, abym Łaskiego upewnił, iż po drodze spoczywać nie będzie i pośpieszy, o ile zdoła.

Ja tedy znowu z moją małą garsteczką konie, które się słabsze okazały, pomieniawszy w Głogowie, naprost się ku Lidzie puściłem, gdziem już pewno króla zastać się spodziewał, żywym czy umarłym — Bóg wiedział. Jechałem z taką niecierpliwością, że nie wiem, jakim cudem konie i ludzie wytrzymać mogli, a padła mi tylko jedna szkapa u wozu, bez której się obejść było można.

Szczęśliwie udało mi się dostać do Lidy i nie rozdziawszy nawet, wprost szedłem do kanclerza, który, gdym mu bliskie przybycie Zygmunta zwiastował, ręce jak do modlitwy złożywszy, naprzód Bogu za to podziękował.

Na zamku w Lidzie, który zaledwie mógł pomieścić ludzi, dwór, wozy, które przy królu pozostały,

nie było ani porządku, ani wygody. Naprędce go jako tako wyczyszczono i opatrzono. Ciasnota była, iż ja przy murze okólnym w komorze bez okien ledwiem liche znalazł pomieszczenie, a konie musiały stać bez dachu.

Oprócz kanclerza przy królu pozostali Wojciech biskup wileński i Jan Zabrzeziński, a z polskiego dworu komorników i służby dosyć.

Zaledwiem miał czas cokolwiek spocząć, i zamyślałem albo do bliskich Pacewicz zbiec, lub do Krakowa wracać, gdy poczęły dochodzić coraz bardziej niepokojące wieści o Tatarach, a o Glińskim ani słychu.

Zabrzeziński począł nastawać na to, iż króla nazad do Wilna wieźć było potrzeba dla większych wygód i dla bezpieczeństwa, bo Tatarowie i na Lidę mogli się rzucić, a do obrony murów ludzi było mało. Drudzy wierzyć nie chcieli, aby się pogaństwo to tak w głąb kraju ważyć miało.

Aliści jednego poranka żołnierz z tych, co ich za językiem wyprawiono, powrócił, okazując ranę na twarzy jakoby od tatarskiej strzały zadaną. Był to najemnik z Raców i wiary mu nie dano, choć się zaklinał, iż życie tylko szkapie rączej był winien.

Wysłał więc za poradą Łaskiego Zabrzeziński ludzi kilkunastu z tem, aby koniecznie dotarli tam, gdzie zagony tatarskie sięgały. Trzeciego dnia powróciło ich niespełna tylu, ilu wyprawiono, i przywieźli cztery głowy, ucięte Tatarom, których kędyś pochwycili.

Gdy te na zamek przyniesiono i położono w wielkich sieniach na ławie, zbiegowisko powstało, popłoch i lament nie do opisania.

Wojciech biskup z panem Łaskim natychmiast postanowili, bądź co bądź, nazad z królem do Wilna uchodzić, o co i królowa błagała. Król już mowę utraciwszy, oczyma tylko i rękami ukazywał, że tego pragnie, i wszyscy się godzili, iż ważyć Aleksandra na niepewne losy obrony zamkowej nie godziło się.

Więc jednej godziny poruszyło się, co żyło.

W kolebce króla wieźć nie było podobna dlatego,

że wstrząśnięcia nie znosił, napół ledwie żyw będąc. Zrobiono więc nosze jakby łoże wygodne, które między dwa konie zawiesić miano, a na tych co najlepszych z dworu komorników posadzić. Ofiarowali się do tego pan Mikołaj Roszczyc, co później był kasztelanem biechowskim, i Jan z Sobótka, oba pokrewni kanclerza, na których on liczyć mógł, że życie gotowi dać, a najcięższy rozkaz spełnić.

Pochód jakby pogrzebowy, boleściwy, przy jęku i płaczu królowej i jej niewiast, wyruszył natychmiast ku Wilnu, a że mnie do Pacewicz się już dostać nie było podobna, bo tam już bodaj Tatarowie gospodarowali, przyłączyłem się i ja do królewskiego orszaku. Czasu do stracenia nie było, więc konie mieniano, spoczywano mało, a całą pieczę miano tylko około króla, przy którym tuż jechał, albo szedł pan Maciej z Błonia, to go trzeźwiąc, to pojąc, to otulając.

Pomiędzy nami w orszaku biskupa Wojciecha, kanclerza, Zabrzezińskiego często godzinami jednego słowa nie posłyszałeś. Jechali wszyscy milczący, ust nie otwierając, a duchowni tylko odmawiali modlitwy.

Radzi byli wszyscy pośpieszyć, ale dla króla, który nie znosił poruszeń gwałtownych, panowie Mikołaj i Jan konie noga za nogą prowadzić musieli. I tak nawet często stawano, bo coś ciągle poprawiać, maścić, wiązać było potrzeba.

Prawdziwą to krzyżową drogą było dla króla, bo świadom niebezpieczeństwa, osłabły, wszelkiego złego się mógł spodziewać, a dobrego bardzo mało. Wiekami się nam wydało to ciągnienie, które i pora czyniła nieznośnem. Każdy z nas liczył a liczył, ile nas jeszcze dzieliło od Wilna i ile na to czasu było potrzeba.

Z naszą garścią ludzi, gdyby Tatarowie się ważyli zaskoczyć, nawet pierwszego ich impetu nie byłoby czem odeprzeć.

W Lidzie na zamku zostawił Zabrzeziński maluczko ludzi, którym zaleconem było, aby jeśli wieść jaka od Klecka przyjdzie, gońce od Glińskiego natychmiast w pogoń za królem wyprawiać z tem, co przyniosą.

Ale do samego Wilna żaden poseł nas nie napędził, co wydawało się nam znakiem najgorszym i niepokoju przymnażało.

Gdy nareszcie o rannym brzasku z lasów się wydobywszy, zobaczyliśmy owo pożądane Wilno, niektórzy na kolana popadali, a biskup w głos się modlić zaczął, dziękując Bogu. Wszystkim nam ciężar wielki spadł z serca. Królowi przynajmniej Bóg dał bezpiecznie tu życia dokonać.

Nie będę tego opisywał, o czem szeroko potem rozpowiadano, jak niespodzianie cudownie przybyła od kniazia gońcem umyślnym do króla wiadomość o pobitych na głowę, rozproszonych i zgromionych okrutnie Tatarach. Zdało się to w istocie cudem łaski Bożej, aby królowi przed zgonem zesłał pociechę. Patrzyliśmy na to, jak słuchając opowieści o pogromie, choć mowy już nie miał, zapłakał z radości i ręce złożył, a oczy mu się otwarły i zajaśniały. Ale ten wysiłek i po wielkiem utrapieniu nagła radość pewnie mu zgon przyśpieszyły, bo mało co przeżywszy ów triumf, usnął na wieki.

Nieprzyjaciele nawet Glińskiego musieli mu natenczas przyznać, iż znał najlepiej sposób wojowania z tą dziczą i z małą siłą umiał ich tak osaczyć, ubiec, że odniósł zwycięstwo ogromne. Wielu też zyskał tem sobie jako wódz zręczny, śmiały i szczęśliwy.

Zaraz po śmierci króla wzięła się sprawa pogrzebu jego, bo chciano do grobów na Wawel ciało prowadzić tak jak Jagiełły i Kazimierzowe, ale czasu na to nie było i obawa zamachów Glińskiego zmuszała do pośpiechu. Pierwszy to więc z rodu tego, który choć polską koronę nosił, w Wilnie przy bracie złożony został na wieczny spoczynek.

Jam pod ten czas, wyprosiwszy się u Łaskiego, bom potrzebny nie był, nie zaglądając do Pacewicz, musiał do Krakowa do żony pośpieszać. Wiem tylko, iż Gliński, jako wielce przebiegłym był, widząc, iż na niego oczy zwrócone, czujność obudzona, nie ważył się niczem przeciw Zygmuntowi wypłacić. Owszem

w sześćset koni podobno, gdy Zygmunt ich z sobą mało co nad dwieście prowadził, zajechał drogę przybywającemu, pierwszy mu, jako wielkiemu księciu Litwy, hołd oddając. Sądził pewnie, iż tem sobie serce jego i zaufanie pozyskawszy, gdy Zygmunt się do Polski oddalić będzie musiał, albo namiestnictwo otrzyma, lub z opuszczenia Litwy będzie mógł korzystać. Ale znano go już nadto dobrze, aby mu zawierzyć miano. Wiadomem było, że choć sam obyczajem nie był Rusin, bo się po świecie ocierając, ogłady nabrał, ale z Rusinami trzymał i więcej ku moskiewskiemu patrzył, niż ku Polsce.

Nie czekałem na to, co w Wilnie spodziewanem i przewidywanem było, że Zygmunta Litwini, nie czekając na Polaków, bez ich narady, pomimo przyrzeczeń, na w. księstwo posadzą.

Gdym pana kanclerza przyszedł żegnać, a szepnął, iż się tego obawiam, aby unja znowu naruszoną nie była, rzekł mi:

— Z dwojga złego mniejsze wybierać należy. Zgodzimy się później na Zygmunta, a lepiej jest, aby Litwę miał zapewnioną, niżby, czekając na zjazd z nami, dał się rozpościerać tu Glińskiemu i świeżem zwycięstwem ośmielonemu ludzi sobie jednać.

Przyznaję, że mi naówczas z głowy i z pamięci wyszedł Władysław, który też do korony polskiej mógł rościć pewne prawa, choć się ich zaraz zrzekł na Zygmunta. Ale w Polsce byli tacy, coby może woleli go, aby sami potem za nieobecnego się rządzili.

Dawno już nie mając nic o Kindze, ani o dziecku naszem, z jakim niepokojem do Krakowa śpieszyłem, opisać nie potrafię. Modliłem się przez całą drogę, abym odzyskał zdrowych i szczęśliwych tych, co dla mnie byli jedynym skarbem na ziemi. I dał mi Bóg, żem jejmość znalazł, dzięki Jemu, krzepką i z chłopaczkiem na ręku wychodzącą na powitanie moje. Ona też spędziła wiele nocy bezsennych, myśląc o niebezpieczeństwach, na jakie byłem narażony.

Musiałem naówczas dać jej słowo uroczyste, że się

więcej do spraw publicznych mieszać nie będę, bo mi w tym wieku, po tylu przeprawach, słusznie należał spoczynek.

Z tą też podróżą życie moje czynne się zamknęło, nie poprzestałem jednak być świadkiem, często boleściwym, wszystkiego tego, co się u nas w Polsce i na Litwie działo, gdzie Gliński, który Zygmuntowi taką wierność poprzysięgał i służby mu swe zalecał, nie przestawał bróździć, knować i wojnę podżegać.

Za sprawą tych dwu braci, Michała i Wasyla, z moskiewskimi trwał zatarg nieustanny i wojna długo się przeciągająca, zaledwie zażegnana, wnet na nowo odradzająca, która pierwsze te lata panowania Zygmuntowego zajęła.

W styczniu 1507 r., gdy go królem w Piotrkowie okrzyknięto jednogłośnie, jechali kanclerz Łaski z Drzewieckim podkanclerzym, aby go na koronację do Krakowa przywiedli.

Świetny orszak Litwy i Rusi towarzyszył Zygmuntowi, ludu się zebrało dosyć, ale ów obrzęd acz wspaniały, innym, które ludzie pamiętali, nie dorównywał. Sam nawet zamek nasz krakowski, bardzo zaniedbany i opuszczony, smutnie wyglądał, potrzebując odbudowania i uporządkowania nowego, na które czasu nie stało. Jedne izby malowane przez Wielkiego ostały się jak były.

Ze wszystkich ziem i krajów niemałe było zbiegowisko tak duchowieństwa, jak przedniejszych ziemian. Były uczty, okrzyki, muzyki różne, biesiady dla ludu, rzucanie pieniędzy, potem uroczyste przyjęcie hołdu od miasta w rynku na majestacie, igrzyska i turnieje.

Krakowskie mieszczaństwo stało o to, aby nowemu panu przyniosło podarki, którychby się wstydzić nie potrzebowało i wszyscyśmy naówczas, co kto miał przedniejszego, chętnie na to składali.

Przy stołach bratali się Polacy z Litwą i Rusinami, przepijali do siebie i braterstwo poprzysięgali, ale niechęci też wiele się taiło pod temi i nie wszyscy tak do-

brymi byli, jak się okazać chcieli. Sama Litwa na dwa obozy była podzielona, z których jeden trzymał z Iliniczem i Zabrzezińskim, drugi z Glińskimi, a ci jak byli, tak pozostali z sobą nieprzyjaciółmi, wzajem zemsty pragnąc.

Gliński zaś, który długo Niemcom służył i stosunki z nimi zachował, nie tylko na Rusi i w Moskwie szukał sprzymierzeńców, ale rachował na poparcie i Czechów, i Austrjaków.

Wszystko to zrazu nie tak jawnem było jeszcze, ale się później odkryło, gdy Gliński nadzieję tracił, że król Zabrzezińskich dla niego poświęci i Litwę mu da w ręce.

Sprawa między kniaziem Michałem a Zabrzezińskimi, zwlekana i nierozstrzygnięta, ciągnęła się tak, bo król w początkach panowania ani jednych, ani drugich sobie narazić nie chciał, aż Glińscy, naprzód się naodgrażawszy, gdy to nie pomogło, jawny bunt podnieśli.

Myśmy tego czasu z jejmością i synaczkiem przesiadywali w Krakowie Pode dzwonem, chociaż ciągle o tem prawiąc i zbierając się, aby jak ziemianom przystało, na wieś jechać ziemi pilnować, na cudze ręce najemne jej nie zdając. Aleśmy, za długo w mieście i przy dworze siedząc, potrochu zgnuśnieli, odwykli od wiejskiego obyczaju, i choć obowiązek powoływał, nałóg wstrzymywał. Odkładało się jechanie z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, a życie tymczasem swoim nawykłym trybem płynęło. Pacewicze i wszystkie majętności nasze w garści dzierżawców i rządców, jak dojne krowy więcej mleka im, niż nam dawały. Posyłali nam lichej monety ladajakich piorunków, co sami chcieli, to gradobiciem, to suszą, to deszczem się składając; trzeba było brać, co łaskawie dali.

Jam wiedział jasno, że zmienić było potrzeba życie, na wieś powracać; choćby nie ręką, to okiem pracować i opuszczone majętności podźwignąć. Lecz tu mi się dopiero starość dała uczuć moja, w nałogu i potrzebie spoczynku, którego teraz zażywając, lękałem się

utracić. Ale bo też, można powiedzieć, że lepszego i spokojniejszego żywota nad ten nasz w Krakowie nie mógł człowiek mieć, ani pragnąć.

Człowiek z rana, pod bokiem u Panny Marji miał każdego czasu nabożeństwo. Tu Pana Boga pochwaliwszy, chciałoli się mi rozerwać, szedłem na ratusz, do Sukiennic, między kupców, którzy ciągle z różnych stron świata napływali, gdzie zawsze coś do widzenia i do posłyszenia było, a często i do podkuszenia. Wyszedł człowiek i bez kalety pełnej i bez myśli, aby coś kupił, a pomiędzy wozy, namioty, budki i sklepy wszedłszy, gdy się począł rozglądać w tych osobliwościach, które tu ze wschodu i zachodu napływały, mimowoli do mieszka sięgał i do domu znosił, co mu się zdawało potrzebnem, choć wczora o tem ani myślał.

Rzadki też dzień wypadł, aby na rynku i około ratusza nowiny jakiejś nie było, albo miejskiej lub z dalszych stron przyniesionej. Kupcy odbierali posłów i listy, a donoszono im, co się gdzie na świecie działo, bo musieli wiedzieć, kędy drogi były bezpieczne. Tu około piwnicy w ratuszu, choć ja rad do niej nie uczęszczałem, bom w domu miał, czego dusza zapragnęła, spotykało się znajomych; potem ciągnęło nieraz pod zamek i na zamek, gdzie nie brakło dawnych sodalisów, albo też ku kolegjum i św. Annie.

Byłbym ja wreszcie, jak Pan Bóg przykazał, wkońcu z tej kamienicy na wieś wyciągnął, ale na Litwie niepokój był ciągły, wojna grożąca, niebezpieczeństwo dla żony i dziecka, więc odkładało się aż do uspokojenia, ażeby ład powrócił, bom ani z Glińskimi, ani z Zabrzezińskim trzymać nie chciał, jeno z królem.

Nierychło wszakże pokój ten pożądany mógł nastąpić, bo Glińscy nie spali, drugim też zasnąć nie dając. Naprożno słano do Moskwy dla układów i zawarcia pokoju, o który i królowa Helena wdowa u brata się dopraszała. Gliński tam skuteczniej motał i obiecywał już bodaj całą Ruś naszą oddać moskiewskiemu.

Przyszło aż do tego, że ciągle Zabrzezińskiemu na gardło nastając, kniaź Michał naprzód kupą zbrojną,

kilkaset ludzi zgromadził i z nią już jawnie na nieprzyjaciela godził, gdzieby go bezbronnym pochwycił. Włócząc się tak w okolicy Grodna, bo Zabrzeziński tam w jednym ze swych dworców przebywał, traf chciał, że pochwycił miłośnicę marszałka, o której wiedziano, iż dla niej tajemnic nie miał. Tę ująwszy na drodze, na męki wzięto, aż wyśpiewała, gdzie Zabrzezińskiego szukać mieli.

Wpadł Gliński z kupą swą na dwór, w pierwospy z łóżka wyciągnąć kazał marszałka i Tatarzynowi dał mu łeb ściąć, sam sobie czyniąc sprawiedliwość.

Cztery mile potem jechał, dwór złupiwszy, rozkazując przed sobą na kopji wieźć utkwioną głowę nieprzyjaciela, którą nierychło potem w bagno rzucono.

Było to wypowiedzeniem wojny królowi i wszystkim, co z nim trzymać nie chcieli, bo się puścił potem Gliński pustoszyć majętności swoich nieprzyjaciół, których siła naówczas padła bezbronnych.

Moskiewskiemu to było na rękę. Zawichrzyło się na całej Litwie i Rusi, Glińscy już o zdobycie Kijowa kusić się chcieli. Rogi im rosły. Michał, sobie jakiegoś prawa do krajów litewskich szukając, zapragnął wdowę po Szymonie Olelkiewiczu poślubić, synowi jej obiecując panowanie, ale rozumna wdowa nie chciała go i nie dała przystępu ani do siebie, ani do Słucka.

Poszedł więc, plondrując Owrucz, Mozyrskie i sąsiednie ziemie, postrach w nich sieając. Druckich i Mścisławskich kniaziów pozyskawszy sobie, kusił się znowu o Słuck i księżnę Anastazję, lecz ta mu się opierała... Posuwał się aż pod Wilno zuchwały Gliński, dopóki król z wojskiem nie nadciągnął. Natenczas nie było już co czynić: zbiegł do Moskwy i oddał się jej w ręce.

Lepszego narzędzia przeciwko Polsce nie mógł mieć Wasyl moskiewski nad tego człowieka, który miał swych zauszników, przyjaciół i pomocników nie tylko na Litwie i w Polsce, ale, jakem mówił, i w Niemczech. Człowiek był zręczny, który tym zawsze się okazywał, kim pożądał, z Niemcy obcował, jako jeden z nich, z Polakami też gładko się umiał obchodzić, z Rusią ja-

ko brat się rozumiał, a z Moskwą też łatwo mu było się godzić. Myślę, że i z Tataramiby sobie radę dał, gdyby mu oni co obiecywali.

Wojny tej nieszczęśliwej, która potem wybuchła z naprawy Glińskiego, opisywać nie chcę, bom o niej tylko z posłuchów coś wiedział. Opowiadano, iż tak król Zygmunt sam, jak i wojska jego walecznie bardzo występowały, popłoch szerzyły, a Wasyla żołnierz nie tak dobrze zbrojny nigdzie prawie się w bitwie mierzyć z niemi nie ważył, i mieli hetmanowie poleconem, aby placu nie dostawali, a o zameczki się kusili tylko.

Dopiero po odniesionych klęskach nierychło skłonił się Wasyl do zawarcia pokoju, który i Zygmuntowi był wielce pożądanym, bo od wstąpienia na tron czasu odetchnąć nie miał.

Glińscy pozostali w Moskwie, ale choć ich tam wyposażono, nadano, zawsze ambicji ich to nie starczyło i wkrótce zdradę też knować zaczęli.

Pokój z Polską kruchy też był. Znalazły się rychło do zerwania go powody, o czem wszystkiem historycy obszerniej pisać nie omieszkają.

Zaledwie się nieco od Moskwy uspokoiwszy, zagrożonym król został od Wołoszyna, właśnie w porze, gdy dla niego o małżeństwie myślano.

I tu się orężowi naszemu poszczęściło, gdy dnia 4 października, w sam dzień św. Franciszka Wołochów na głowę porażono, których wielu znacznych padło i pościnać dano, pobrawszy w niewolę. Poczem stanął pokój za pośrednictwem króla Władysława.

I tu nie od rzeczy będzie coś rzec o małżeństwie królewskiem, o które już na niego od lat kilku nalegano, aby państwo na obce ręce nie przeszło przez bezpotomność.

Wspomniałem już o tem, pisząc o poselstwie mem od Łaskiego do Głogowy, jakom tam na zamku widział Katrynę Ślązaczkę, z którą Zygmunt przystojnie żył i synaczka a córkę z niej miał. Była ona w wielkiej uczciwości trzymana, a Janusik się chował jak książ-

żątko, ale nie przetoż na tron mogła z nim wstąpić, gdyż bodaj nawet szlacheckiego pochodzenia jej nie przyznawano.

Ukoronowanym będąc, musiał jej zawczasu los pewny obmyśleć, syna przyznawszy za swego, którego do stanu duchownego przeznaczył i przysposobić kazał.

Z ową słomianą wdową, czy to dla widoków łaski królewskiej, czy dla piękności jej, ożenił się potem Andrzej z Kościelca, starego rodu szlacheckiego mąż, Ogończyk, któregom ja dobrze znał. Mąż był wielkiego serca i męstwa, przeto na ludzkie języki niewiele dbał i raz postanowiwszy się żenić, choć mu rodzina rozbratem wiecznym groziła, choć bracia rodzeni wypowiadali mu drużbę, na swem postanowił i Telniczankę poślubił. Niemało go potem żółcią pojono, palcami wytykając, u stołu obrusy rzeżąc, z senatu wychodząc, aby z nim na jednej nie siedzieć ławie. Znosił on to wszystko mężnem sercem, ale bolał i bodaj mu prześladowanie życia ukróciło. Ani królewska opieka, ani pośrednictwo niczyje nie pomogło, tak się za ową hańbę rodu swojego wzięli gorąco Kościeliccy i do końca żywota brata znać nie chcieli. A zaprawdę mąż był godzien losu lepszego, bo ani męstwem, ani rozumem, ani poczciwością żadnemu nie ustąpił.

Telniczanka, nim zamąż wyszła i nim król się żenić zamyślał, przybywszy za Zygmuntem do Krakowa, w kamienicy, którą dla niej z polecenia króla kupił pan Boner przy Brackiej ulicy od spadkobierców Karla, zamieszkała. Córkę jej poślubił starosta chęciński, Szafraniec z Pieskowej Skały, przeciwko czemu nie sarkano i rodzina się jej ani jego nie zapierała.

Widywaliśmy Telniczankę nie mało razy do kościoła idącą lub jadącą z dziećmi, około której dwór był nieliczny, przepychu zasię wielkiego nie okazywała, ale dostatnio i przystojnie a skromnie występowała. Jeszcze naówczas widać w niej było ślady wielkiej piękności, oblicze miała pańskie, płeć delikatną, oczy czarne, postawę na podziw udatną, ale wyraz wzroku

i twarzy srogi i jakby nadąsany, a wesela nigdy u niej nikt nie widział. Niechętnie z kim zabierała znajomości, a więcej stroniła od ludzi, niż ich szukała.

Małżeństwo króla, o które naglono, naprzód z powodu wojny z Wołoszą, odroczone być musiało. Swatano mu naówczas meklemburską księżniczkę, a później brat Władysław naraił daleko młodszą, choć kondycji pośledniejszej, Barbarę Zapolli, córkę pana na Trenczynie, wojewody siedmiogrodzkiego.

Ta miała lat zaledwie siedemnaście i głoszono ją piękną bardzo; ale przeciw niej z początku wszyscy to mieli, że wielkiego rodu nie była. Na co jednak nie zważano, a wybór za łaską Bożą później okazał się bardzo szczęśliwym.

Cesarz Maksymiljan stręczył od siebie księżniczkę z rodu Gonzagów, ale za późno, gdy już wyprawiono po Barbarę posłów: Lubrańskiego biskupa poznańskiego, Szydłowieckiego, sandomierskiego kasztelana, i Łukasza z Górki poznańskiego.

Na przyjęcie młodej małżonki zaproszono co przedniejsze panie, żony senatorów, kasztelanowę poznańską, krakowską, wojewodzinę ruską i inne poważne niewiasty. Towarzyszyła córce swej matka, Jadwiga, brat i wuj, książę na Cieszynie, którzy z nią mil dwie od Krakowa do Morawicy przybywszy, tam przez dzień i noc spoczywali.

Mrozy i śniegi srogie były. Wyjechał król na spotkanie w kolebce i czekał na narzeczoną pod Łobzowem w namiocie. Tu witał ją polską mową ks. kanclerz Łaski, poczem oboje z królem do miasta wjazd odprawili, po drodze wszędzie radośnie przyjmowani.

Wszystkim zaraz naówczas skromna, piękna i łagodnego wyrazu młoda pani wielce się podobała i rokowano małżeństwu szczęście.

W następną niedzielę odbył się ślub i koronacja, przy wielkich potem festynach, biesiadach, turniejach, którym tylko ostre zimowe powietrze cokolwiek na przeszkodzie stawało.

Jakie pożycie ich było przez ten krótki czas, który

królowa miała na świecie pozostać, mówić nie potrzebuję, bo wszyscy byli świadkami tego szczęścia, jakiego Zygmunt z nią zażywał. Ale ziemskich to rzeczy obrót zwykły, że tu nic trwać nie może, a co najwdzięczniejsze, jako kwiat, prędko więdnieje.

Obwiniano lekarza królowej o niedbalstwo, iż po narodzeniu córeczki należnego spoczynku i ostrożności zwykłych zaniechał. Zmarła zaledwie lat dwudziestu doszedłszy, w kwiecie wieku, z niewymownym żalem króla i wszystkich, co ją znali i do niej się zbliżyli.

Powszechne było mniemanie, że jej modlitwom i postom winniśmy byli sławne zwycięstwo pod Orszą... Jałmużniczką była wielką, a pokorą i dobrocią swą serca sobie ujmowała. Pogrzeb chciano odprawić jak najwspanialszy i listy zapraszające rozesłano szeroko, ale naówczas grasujące powietrze wielu przybyć nie dozwoliło.

Na tem się kończy przerwany nagle rękopism Jaszka Orfana.

Kartę jedną jeszcze zajmują ornamenta, piórem odniechcenia kreślone, w rodzaju tych, jakie manuskrypta XV w. zdobić zwykły, ale wykonane niedbale. Wpośród nich tu i owdzie sentencje łacińskie: *Meminisse juvabit. Scripta manent* i t. p. Na odwrocie tej karty, ręką i atramentem odmiennym dopisano:

„Roku Pańskiego 1518, w miesiącu maju, jechaliśmy wraz z najdroższym małżonkiem moim i synaczkiem dla oglądania majętności na Litwie, opatrzenia, co tam nie dostawało, abyśmy przenieść się mogli i zamieszkać w którymkolwiek ze dworów. O wszystkich nam bowiem donoszono, że są nieomal w ruinie i że z gruntuby nowe budowanie przystało, jeśli zamieszkać zechcemy, co długiego czasu potrzebowało.

Chciał starosta sam, własnemi oczyma przekonać się, ile w tem było prawdy, a zarazem i obrać miejsce

dogodne na przyszłą rezydencję, środkowe i dla oka też miłe.

Podróż naszą, w ciągu której zdrów był, jak nigdy rzeźwy, wesół, a niezmiernie czynny, odbywaliśmy bez pośpiechu, ja z synaczkiem w kolebce, mąż prawie ciągle na koniu, na którego podczas i Chryzia bierał, aby zwolna nawykał do siodła, z czego dla dziecka radość i uciecha była niewymowna.

Przodem wysłany do Pacewicz Staszko miał na pierwszy czas nam jakiekolwiek zgotować przyjęcie. Nie spodziewaliśmy się tu znaleźć ani wygód wielkich, ani szczególnych przygotowań ze strony dzierżawców i tenutorów, ale na wozach z sobą wieźliśmy namioty i cokolwiek potrzeba było, a o co na gruncie mogło być trudno.

W Pacewiczach dwór nowy, mały i licho sklecony śród borów jodłowych, piasków i pustyni, niebardzo się podobał panu staroście. Ale tu główny obóz nasz rozłożywszy, musieliśmy z niego czynić wycieczki do innych wsi i dworów naszych dla opatrzenia ich i wyboru miejsca na rezydencję, którą chciał mieć acz z drzewa, ale obszerną i dogodną. A że się w ogrodach, drzewach, kwiatach i wirydarzach wszelakich pan mój kochał i chciał je mieć u siebie, gruntu też patrzeć było potrzeba, aby praca marnie nie poszła.

Ze wszystkich się wydał najdogodniejszym stary dworzec w Kalniszkach, gdzieśmy znaleźli trochę drzew pięknych, jeziorko i pagórek, na którym zabudować się można było szeroko i dostatnio.

Tu więc zaraz pan mój kazał drzewo zwozić i zakładać fundamenta z takim pośpiechem i gorącością, że spoczynku sam nie miał i nikomu nie dał, aż się kamień na pokłady i belki a tramy zwozić zaczęło. Przy tem niemal sam stał, jak dozorca, ludzi karmiąc i pojąc, a zachęcając, aby żywo się brali do roboty. Cieślów co najlepszych i murarzów zamówiwszy, dla pilności około budowli osobnego wziąwszy oficjalistę, pieniądze na wydatki odłożywszy, w początku lipca chciał już

pan starostą stąd nas do Wilna prowadzić, gdzieśmy we dworze na Snipiszkach spocząć mieli.

Wszystko znowu było do podróży przygotowanem, gdy dnia dziesiątego wieczorem powróciwszy z Kalniszek późno, uskarżać się począł na boleści w krzyżach i znużenie. Dziwnem to nie było, bo się niepomiernie krzątał, trudził, nie dosypiał i po całych dniach z konia nie zsiadał. Po wieczerzy, której mało co skosztował, położył się na spoczynek i wkrótce usnął twardo.

Ale ze snu tego już mu się Pan Bóg nie dał przebudzić. Nazajutrz rano znaleźliśmy go ostygłym, z rękami na piersiach złożonemi, jakby do modlitwy, a twarzą tak spokojną i pogodną, iż się zdawał szczęśliwość wieczną oglądać.

Jakom ja ubożuchna, nieszczęśliwa sierota cios ten okrutny przeżyła, a że mi we łzach życia mizernego reszta nie spłynęła, Bogu jednemu zawdzięczam, który dla synaczka matkę zachować raczył.

Grób na cmentarzu w Kalniszkach dla niego i dla siebie zmurować kazawszy, w nim zwłoki jego złożyłam przy pogrzebie, na który ziemian i duchowieństwa zebrało się dosyć.

Chciałabym była pozostać tu, przy grobie nieboszczyka, ale ani dworu, ani nauczycieli dla Chryzia, jakich starosta żądał, nie mając podczas, musiałam do Krakowa powracać, nimby w Kalniszkach stanęło budowanie wedle woli Jaszka i po jego myśli.

Bożej opiece jedyne losy moje i dziecka zlecam, sieroce życie dalej wiodąc, dopóki się nie połączę z panem moim".

KONIEC.

+ fdo
d